

**Ernest Hemingway**

**49 opowiadań**

## PRZEDMOWA AUTORA

Pierwsze cztery opowiadania są ostatnimi, jakie napisałem. Dalsze następują w takim porządku, w jakim zostały pierwotnie opublikowane.

Pierwszym moim opowiadaniem było *W Michigan*, napisane w Paryżu, w roku 1921. Ostatnim jest *Stary człowiek przy moście przetelegrafowany z Barcelony* w kwietniu 1938.

Oprócz Piątej kolumny napisałem *Morderców*, *Dzisiaj jest piątek*, *Dziesięcioro Indian*, *część Słońce też wschodzi i jedną trzecią Mieć i nie mieć w Madrycie*. Madryt był zawsze dobrym miejscem do pracy. Tak samo Paryż, a w chłodnych miesiącach *Key West* na Florydzie i rancho pod *Cooke City* w Montanie, *Kansas City*, *Chicago*, *Toronto* i *Hawana* na Kubie.

Niektóre inne miejsca nie były takie dobre, ale może to my nie byliśmy tacy dobrzy, kiedyśmy w nich przebywali.

W tej książce są różne rodzaje opowiadań. Mam nadzieję, że znajdziecie takie, które wam się spodobają. Odczytując je na nowo, widzę, że poza tymi, co osiągnęły pewien rozgłos - tak że nauczyciele szkolni włączają je do zbiorów opowiadań, które muszą kupować ich uczniowie, co sprawia, że człowiek czyta je zawsze z lekkim zakłopotaniem i zastanawia się, czy naprawdę je napisał, czy może gdzieś usłyszał - najbardziej lubiłem *Krótkie szczęśliwe życie Franciszka Macombera*, *W innej krainie*, *Wzgórza jak białe słonie*, *Taki już nigdy nie będziesz*, *Śniegi Kilimandżaro*, *Jasne, dobrze oświetlone miejsce* oraz opowiadanie pod tytułem *Światło życia*, które nigdy nie podobało się nikomu poza mną. I jeszcze kilka innych. Bo gdyby się ich nie lubiło, nie dałoby się ich publikować.

Podążając tam, gdzie musimy podążać, robiąc to, co musimy robić, i oglądając to, co musimy oglądać, stępiamy i wyszczerbiamy narzędzie, którym piszemy. Ale wolę je mieć powyginane i stępione i czuć, że muszę je znowu wyostrzyć, wykuć we właściwy kształt i przeciągnąć po osetce - i wiedzieć, że mam o czym pisać - niż żeby było piękne i błyszczące, a ja żeby nie miał nic do powiedzenia, albo żeby było gładkie i dobrze naoliwione w schowku, ale nie używane.

Teraz już trzeba wziąć się znów do ostrzenia. Chciałbym pożyć dość długo, aby napisać jeszcze trzy powieści i dwadzieścia pięć opowiadań. Znam kilka wcale niezłych.

1938

Ernest Hemingway

## KRÓTKIE SZCZĘŚLIWE ŻYCIE FRANCISZKA MACOMBERA

Była już pora obiadowa i wszyscy siedzieli pod podwójnym, zielonym skrzydłem namiotu-jadalni, udając, że nic się nie stało.

- Napijcie się lemoniady czy soku z grejpfruta? - spytał Macomber.

- Ja proszę whisky - odparł Robert Wilson.

- Ja też. Muszę się napić czegoś mocnego - powiedziała żona Macombera.

- Myślę, że to będzie najlepsze - zgodził się Macomber. - Niech pan mu każe przygotować trzy whisky.

Usługujący boy już się do tego zabrał; wydobył butelki z płóciennych worków do chłodzenia, kropliście zapoconych na powiewie, który przenikał między drzewa ocieniające namioty.

- Ile powinienem im dać? - spytał Macomber.

- Funt będzie aż nadto - powiedział Wilson. - Nie trzeba ich psuć.

- Przewodnik to rozdzieli?

- Oczywiście.

Przed pół godziną Franciszek Macomber przybył w triumfie do swego namiotu, niesiony od skraju obozowiska na rękach i ramionach przez kucharza, boyów, oprawiaczy i tragarzy. Nosiciele broni nie wzięli udziału w tej manifestacji. Kiedy krajowcy postawili go na ziemi przed wejściem do namiotu, uściśnął im wszystkim dłonie, przyjął powinszowania, a potem wszedł do środka, siadł na łóżku i pozostał tak, póki nie przyszła jego żona. Nie odezwała się do niego, a on zaraz wyszedł, aby obmyć sobie twarz i ręce w stojącej na zewnątrz przenośnej umywalni, i zasiadł w wygodnym płóciennym fotelu, obok namiotu-jadalni, gdzie był przewiew i cień.

- No, ma pan swojego lwa - powiedział Robert Wilson. - I to doskonałego.

Pani Macomber rzuciła szybkie spojrzenie Wilsonowi. Była niezmiernie przystojną, wypielegnowaną kobietą; uroda i pozycja towarzyska przyniosły jej przed pięciu laty pięć tysięcy dolarów jako zapłatę za zgodę na firmowanie - wraz z fotografią - reklam pewnego kosmetyku, którego nigdy nie używała. Od jedenastu lat była żoną Franciszka Macombera.

- Dobry ten lew, prawda? - spytał Macomber. Teraz żona spojrzała na niego. Spojrzała na obu tych mężczyzn tak, jakby ich nigdy dotąd nie widziała.

Uświadomiła sobie, że jednemu z nich, Wilsonowi, zawodowemu myśliwemu, nigdy dotychczas nie przypatrzyła się naprawdę. Był średniego wzrostu, miał jasnoblonde włosy, szczeciniasty wąs, bardzo rumianą twarz i niesłychanie zimne, niebieskie oczy, a w ich

kącikach delikatne, białe zmarszczki, które zwierzały się wesoło, gdy się uśmiechał. Uśmiechnął się do niej w tej chwili, a ona przeniosła wzrok z jego twarzy na ramiona opadające pod luźną bluzą, na której cztery duże naboje tkwiły w tulejkach tam, gdzie zwykle jest lewa górna kieszeń - potem na wielkie, ogorzałe ręce, stare spodnie i bardzo brudne buty i znowu na rumianą twarz. Przyjrzała się miejscu, gdzie zapiekła ogorzałość kończyła się białą linią, znaczącą krąg pozostawiony na czole przez kapelusz, który teraz wisiał na jednym z kołków u pala podtrzymującego namiot.

- No, za tego lwa! - powiedział Robert Wilson. Znowu uśmiechnął się do niej, a ona bez uśmiechu spojrzała badawczo na męża.

Franciszek Macomber był bardzo wysoki, świetnie zbudowany, jeżeli nie brać pod uwagę nadmiernie długich kości; ciemne włosy nosił krótko przystrzyżone, usta miał raczej wąskie i uchodził za przystojnego. Ubrany był w taki sam strój do polowań afrykańskich jak Wilson, tyle że nowy; miał lat trzydzieści pięć, utrzymywał się w doskonałej formie, osiągnął dobre wyniki w sportach, pobił kilka rekordów rybackich i właśnie dopiero co publicznie okazał się tchórzem.

- Za tego lwa - powiedział. - Nie wiem, jak panu dziękować za to, co pan zrobił.

Małgorzata, jego żona, oderwała od niego wzrok i znów przyjrzała się Wilsonowi.

- Nie mówmy o lwie - powiedziała.

Wilson spojrzał na nią bez uśmiechu i teraz ona uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo dziwny dzień - ciągnęła. - Czy w południe nie powinien pan mieć kapelusza na głowie, nawet pod namiotem? Przecież tak mnie pan uczył.

- Mogę włożyć - powiedział Wilson.

- Wie pan, że pan jest bardzo czerwony na twarzy - powiedziała i uśmiechnęła się znowu.

- Od picia.

- Chyba nie - powiedziała. - Franciszek dużo pije, a nigdy nie jest czerwony.

- Dziś jestem - spróbował zażartować Macomber.

- Nie - odparła Małgorzata. - To ja się dziś czerwienię. Ale pan Wilson jest zawsze czerwony.

- Widocznie taka rasa - powiedział Wilson. - A może by pani przestała mówić na temat mojej urody?

- Dopiero zaczęłam.

- Dajmy z tym spokój.

- Rozmowa będzie dość trudna - powiedziała Małgorzata.

- Nie bądź niemądra, Margot - rzekł jej mąż.

- Nie widzę trudności - powiedział Wilson. - Przecież mamy pierwszorzędnego lwa.

Małgorzata spojrzała na nich, a oni zauważyli, że jest bliska płaczu. Wilson od dłuższego czasu czuł, że się na to zanosi; i obawiał się tego. Macomberowi nie w głowie były podobne obawy.

- Ach, gdybyż to się nie stało! Gdyby to się nie stało! - wykrzyknęła i odbiegła do swego namiotu. Niczym nie zdradziła się, że płacze, ale obaj widzieli, iż jej ramiona drgają pod różową przeciwśłoneczną koszulą.

- Kobietom brak równowagi - powiedział Wilson do Macombera. - To nie ma znaczenia. Napięte nerwy, i tak dalej.

- Nie - odpowiedział Macomber. - Myślę, że to będzie już na mnie ciężko do końca życia.

- Bzdura. Golnijmy sobie tego pogromcy olbrzymów - powiedział Wilson. - Zapomnij pan o tym. Nie ma się czym przejmować.

- Można spróbować odparł Macomber.

W każdym razie nie zapomnę tego, co pan dla mnie zrobił.

- E tam - rzekł Wilson. - Głupstwo.

Siedzieli w cieniu, w którym rozbito obóz pod rozłożystymi akacjami; w tyle było usiane głazami urwisko, przed sobą mieli łąkę traw, zbiegającą do kamienistego potoku, a dalej las. Popijali chłodny trunek, unikając nawzajem swojego wzroku, a tymczasem boyowie nakrywali stół do obiadu. Wilson wyczuł, że już wie wszystko, i kiedy spostrzegł, że boy Macombera, rozstawiając talerze, łypie ciekawie na swego pana, warknął coś do niego w języku suaheli. Chłopiec odwrócił się stropiony.

- Co pan mu powiedział? - spytał Macomber.

- Nic. Żeby się ruszał, bo każę mu wlepić z piętnaście mocniejszych.

- Czego? Batów?

- To nie jest dozwolone - powiedział Wilson. - Powinno się dawać im kary pieniężne.

- Ciągle jeszcze ich bijecie?

- O, tak. Mogliby zrobić chryję, gdyby się chcieli poskarżyć. Ale nie chcą. Wolą to od grzywny.

- Dziwne - powiedział Macomber.

- Właściwie nie - odparł Wilson. - A co pan by wolał? Dostać porządne różgi, czy stracić zarobek? - Potem zrobiło mu się głupio, że zadał to pytanie, i nim Macomber zdążył odpowiedzieć, rzekł:

- Wie pan, każdy co dzień dostaje cięgi w taki czy inny sposób.

I to nie było bardziej udane. "Boże kochany, ależ ze mnie dyplomata" - pomyślał.

- Tak, dostajemy cięgi - powiedział Macomber, wciąż nie patrząc na niego. - Okropnie mi przykro z powodu tego lwa. Ale to chyba nie musi się rozejść? To znaczy, nikt o tym się nie dowie?

- Chce pan zapytać, czy opowiem o tym w klubie Mathaiga? - Wilson spojrział na niego zimno. Tego się nie spodziewał. "Więc z niego nie tylko cholerny tchórz, ale i cholerne cztery litery - pomyślał. - Nawet go dosyć lubiłem do dzisiejszego dnia. Ale co to można wiedzieć z Amerykaninem?" - Nie - powiedział. - Jestem zawodowym myśliwym. Nigdy nie rozmawiamy o naszych klientach. Może pan być zupełnie spokojny. Prośba, żebyśmy nie gadali, uważana jest za rzecz w złym stylu.

Doszedł teraz do wniosku, że byłoby o wiele lepiej odseparować się. Mógłby wtedy jadać osobno i czytać książkę przy jedzeniu. Oni jadaliby sami. Odtąd towarzyszyłby im podczas safari w ściśle oficjalnym charakterze. Jak to mówią Francuzi? Z dystygowana konyderacją. Byłoby to o wiele łatwiejsze od brnięcia w tych emocjonalnych bzdurach. Obrazi go i gładko zerwie bliższe stosunki. Wtedy będzie mógł czytać przy jedzeniu i dalej spijać ich whisky. Tak właśnie się mówi, kiedy safari źle idzie. Spotykasz innego zawodowego myśliwego, pytasz: "Jak ci się powodzi?", a on odpowiada: "Ach, dalej żłopię ich whisky" - i już wiesz, że wszystko diabli wzięli.

- Przepraszam - powiedział Macomber i obrócił ku niemu tę swoją amerykańską twarz, która pozostaje chłopięca, póki nie zmieni się w twarz starszego pana. Wilson spojrział na jego przystrzyżone włosy, ładne, trochę rozbiegane oczy, zgrabny nos, wąskie wargi i pięknie zarysowaną szczękę. - Przepraszam, że nie wziąłem tego pod uwagę - Tyle jest rzeczy, w których się nie orientuję.

"No i co tu robić?" - pomyślał Wilson. Był już zupełnie gotów szybko i gładko zerwać stosunki, a tu ten łamaga przeprosza go, choć został znieważony. Spróbował jeszcze raz.

- Nie martw się pan, że to rozgadam - powiedział. - Muszę zarabiać na życie. Pan wie: w Afryce żadna kobieta nie pułuje do lwa i żaden biały mężczyzna nigdy nie wieje.

- A ja wiałem jak królik - odrzekł Macomber.

"No i co, u diabła, robić z człowiekiem, który tak gada?" - zastanowił się Wilson.

Spojrział na Macombera swymi płaskimi, błękitnymi oczami strzelca wyborowego, a tamten uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, o ile się nie zwracało uwagi na wyraz oczu, kiedy był czymś zmartwiony.

- Może to sobie odbije na bawołach - powiedział. - Przecież teraz do nich się weźmiemy, prawda?

- Jutro rano, jeżeli pan chce - odparł Wilson. A może nie miał racji? Pewnie tak właśnie trzeba to przyjmować. Nie ma co; z Amerykanami nigdy nic nie wiadomo. Znowu uczuł życzliwość dla Macombera. Gdyby można zapomnieć dzisiejszy ranek! Ale, oczywiście, nie można. Ten ranek był zupełnie fatalny.

- Idzie Memsahib - powiedział. Istotnie, szła od swojego namiotu, odświeżona, wesola i bardzo ładna. Owal jej twarzy był doskonały, tak doskonały, iż należałoby się spodziewać, że musi być głupia. "Ale nie jest głupia - pomyślał Wilson. - Nie, wcale nie jest głupia."

- Jakże się czuje piękny, czerwony pan Wilson? A tobie już lepiej, Franciszku, moja perelko?

- O wiele - powiedział Macomber.

- Machnęłam na to ręką - oświadczyła siadając przy stole. - A bo to ważne, czy Franciszek dobrze zabija lwy? To nie jego zawód. To zawód pana Willsona. Pan Wilson robi doprawdy wielkie wrażenie, kiedy coś zabija. Bo pan zabija, co popadnie, prawda?

- O, tak - odparł Wilson. - Po prostu co popadnie. - "To one są najtwardsze na świecie - myślał. - Najtwardsze, najokrutniejsze, najbardziej drapieżne i pociągające, a ich mężczyźni zmiękli albo rozkleili się nerwowo, podczas gdy one stwardniały. A może to dlatego, że dobierają sobie takich, którymi mogą rządzić? Nie, niemożliwe, żeby były tak mądre w wieku, kiedy wychodzą za mąż" - myślał. Rad był, że już przedtem wyedukował się w kobietach amerykańskich, bo ta była ogromnie pociągająca.

- Rano jedziemy na bawoły - powiedział do niej.

- Ja też pojedę.

- Nie, nie pojedzie pani.

- I owszem. Czy mogę, Franciszku?

- Dlaczego nie chcesz zostać w obozie?

- Za nic w świecie - odparła. - Za nic w świecie nie chciałabym opuścić czegoś takiego jak dzisiaj.

"Kiedy stąd odchodziła - myślał Wilson - kiedy szła się wyplakać, wydawała się pierwszorzędną kobietą. Miało się wrażenie, że rozumie, że zdaje sobie sprawę, że jest jej przykro za niego i za siebie, że wie, jak rzeczy naprawdę wyglądają. Nie ma jej dwadzieścia minut i wraca po prostu okryta polewą tego okrucieństwa amerykańskiej kobiety. To są najcholerniejsze baby."

- Jutro urządzimy dla ciebie coś innego - powiedział Franciszek Macomber.

- Pani nie pojedzie - odezwał się Wilson.

- Pan się grubo myli - oświadczyła mu. - Tak bardzo chcę znów widzieć, jak pan się będzie popisował. Ładny pan był dziś rano. To znaczy, o ile rozwalanie łbów może być ładne.

- Idzie obiad - powiedział Wilson. - Ogromnie pani wesoło, co?

- Dlaczego nie ma mi być wesoło? Nie przyjechałam tu, żeby się nudzić.

- No, nudno nie było - stwierdził Wilson. Widział stąd głązy w rzeczce, a za nią wysoki brzeg i drzewa, i przypomniał sobie, co było rano.

- O, nie - powiedziała. - Było uroczo. A jutro... Nie ma pan pojęcia, jak czekam na jutro.

- To, co boy pani podaje, to jest eland - powiedział Wilson.

- Te wielkie krowiaste stwory, co skaczą jak zające, prawda?

- Myślę, że opis się zgadza.

- Doskonale mięso - powiedział Macomber.

- Toś ty zastrzelił Franciszku? - zapytała.

- Tak.

- Nie są niebezpieczne, prawda?

- Tylko jak wpadną prosto na człowieka - powiedział Wilson.

- Bardzo mnie to cieszy.

- Może być tak na chwilę przestała się wygłupiać, Margot - powiedział Macomber kładąc befsztyk z elanda i nakładając trochę kartofli, sosu i marchewki na widelec, na który nadziany był kawałek mięsa.

- Ano mogę - odparła - zwłaszcza że tak się ładnie wyrażasz.

- Wieczorem napijemy się szampana, żeby oblać tego lwa - powiedział Wilson. - W południe trochę za gorąco.

- Ach, lew - powiedziała Margot. - Zapomniałam o lwie.

"A więc daje mu szkołę - pomyślał Robert Wilson. - A może tak właśnie trzeba zachowywać się w podobnym wypadku? Bo jak powinna postępować kobieta, kiedy odkrywa, że jej mąż to cholerny tchórz? Jest piekielnie okrutna, ale one wszystkie takie. Bo rządzą, rzecz jasna, a żeby rządzić, trzeba czasami być okrutnym. Ale dość się już napatrzyłem ich przekłętą terroru."

- Pani pozwoli jeszcze elanda - powiedział uprzejmie.



Późnym popołudniem Wilson i Macomber odjechali autem z szoferem-krajowcem i dwoma nosicielami broni. Pani Macomber została w obozie. Oświadczyła, że jest za gorąco, a chce pojechać z nimi wczesnym rankiem. Kiedy odjeżdżali, Wilson spojrzął na nią; stała pod wielkim drzewem, raczej ładna niż piękna w tym różowawym khaki, z ciemnymi włosami ściągniętymi z czoła i zebranymi w węzeł opadający aż na szyję i twarzą tak świeżą - pomyślał - jak gdyby była w Anglii. Pomachała do nich ręką, gdy wóz przejeżdżał przez kotlinę porośniętą wysoką trawą i skręcał między drzewa, na małe wzgórki pokryte gęstym buszem.

W buszu napotkali stado antylopy impala i wysiadłszy z auta podeszli starego kozła o długich, rozłożystych rogach, i Macomber zabił go bardzo udanym strzałem, który zwałił kozła z odległości dobrych dwustu jardów i zmusił stado do oszalałej ucieczki, przy czym zwierzęta sadziły jedno nad grzbietem drugiego długimi, rozkraczonymi susami, tak niewiarogodnymi i napowietrznymi jak te, które czasem daje się we śnie.

- Dobry strzał - powiedział Wilson. - Bo to mały cel.

- Warte coś te rogi? - zapytał Macomber.

- Doskonale - odparł Wilson. - Strzelaj pan tak dalej, a nie będzie kłopotów.

- Myśli pan, że znajdziemy jutro bawoły?

- Jest duża szansa. Wychodzą na żer z samego rana i jeżeli nam się poszczęści, możemy je złapać na otwartym.

- Chciałbym jakoś wymazać tę historię z lwem - powiedział Macomber. - Nie bardzo jest przyjemnie, jak żona widzi, że człowiek robi coś podobnego.

"Mnie by się zdawało, że jeszcze nieprzyjemniej jest tak się zachować, czy żona widzi czy nie - pomyślał Wilson - albo gadać o tym, kiedy już się stało." Powiedział jednak:

- Niech pan więcej o tym nie myśli. Każdego może wytrącić z równowagi pierwszy lew. Już jest po wszystkim.

Ale tego wieczora, po kolacji i szklance whisky z wodą sodową, wypitej przy ognisku przed położeniem się do łóżka - kiedy Franciszek Macomber, wyciągnięty na pryczy pod moskitierą, wsłuchiwał się w nocne odgłosy - nie było po wszystkim. Ani nie było po wszystkim, ani się nie zaczynało. Trwało to w nim dokładnie tak, jak się zdarzyło; niektóre momenty tkwiły niezatarte w pamięci, a on czuł nikczemny wstyd. Ale silniej od wstydu czuł w sobie lodowaty, drązący strach. Strach nie ustępował, niby zimna, oślizła próżnia w całej tej pustce, gdzie niegdyś była jego pewność siebie - i to przejmowało go uczuciem mdłości. Strach był przy nim jeszcze teraz.

Zaczął się to wszystko ubiegłej nocy, kiedy obudził się i usłyszał lwa ryczącego gdzieś nad rzeczką. Był to głos niski, zakończony podobnym do kaszlu pomrukiem, który jakby rozlegał się tuż za namiotem, i kiedy Franciszek Macomber, zbudziwszy się wśród nocy, posłyszał go - zląkł się. Żona spała oddychając spokojnie. Nie było nikogo, komu by mógł powiedzieć, że się boi, nikogo, kto by się bał razem z nim, leżał więc samotnie, nie znając somalijskiego przysłowia, które mówi, że człowiek odważny zawsze trzy razy czuje lęk przed lwem: gdy po raz pierwszy widzi jego trop, gdy po raz pierwszy słyszy jego ryk i gdy po raz pierwszy staje z nim oko w oko. A potem, kiedy przed wschodem słońca jedli w namiocie śniadanie przy świetle latarni, lew zaryczał znowu i Franciszkowi wydało się, że chyba jest na samym skraju obozu.

- Sądząc po głosie, to jakiś stary wyga - powiedział wtedy Robert Wilson, podnosząc wzrok znad wędzonej ryby i kawy. - Niech pan posłucha, jak kaszle.

- Czy on jest bardzo blisko?

- O jakąś milę w górę rzeki.

- A zobaczymy go?

- Spróbujemy.

- To jego ryk niesie aż tak daleko? Wydaje się, jakby był w samym obozie.

- Diabelnie daleko niesie - odpowiedział Robert Wilson. - Dziwnie daleko. Mam nadzieję, że to kot wart kuli. Boyowie mówią, że jest tu gdzieś blisko jeden bardzo duży.

- A jeżeli dojdę do strzału, to gdzie powinienem trafić, żeby go unieruchomić? - spytał Macomber.

- W łopatkę - odparł Wilson. W kark, jeżeli pan zdoła. Niech pan strzela na kość. Żeby go zwalić z nóg.

- Mam nadzieję, że uda mi się ulokować kulę właściwie - powiedział Macomber.

- Pan bardzo dobrze strzela. Niech pan się nie spieszy. Trzeba strzelać na pewniaka. Liczy się pierwsza wsadzona kula.

- Jaka to będzie odległość?

- Nie mam pojęcia. Lew ma w tej sprawie coś niecoś do powiedzenia. Niech pan zaczeka, aż podejdzie dość blisko na pewny strzał.

- Poniżej stu jardów? - spytał Macomber.

Wilson szybko spojrział na niego.

- Sto będzie mniej więcej dobrze. Może się zdarzyć, że będzie trzeba dopuścić go trochę bliżej, powinno się ryzykować o wiele dalszego strzału. Sto to przyzwoity dystans. Z tej odległości może go pan trafić, gdzie pan zechce. O, idzie Memsahib.

- Dzień dobry - powiedziała. - Pójdziemy za tym lwem?
- Jak tylko pani skończy śniadanie - odpowiedział Wilson. - Jak się pani czuje?
- Cudownie - odparła. - Jestem bardzo podniecona.
- Pójdę dopilnować, żeby wszystko było gotowe. - Wilson odszedł. Kiedy odchodził,

lew zaręczał znowu.

Hałaśliwy drań - powiedział Wilson. - Zrobimy z tym koniec.

- Co ci jest, Franciszku? - spytała męża pani Macomber.

- Nic.

- Owszem, coś się z tobą dzieje - powiedziała. - Czym się denerwujesz?

- Niczym - odparł.

- Powiedz mi - spojrzała na niego. - Niedobrze się czujesz?

- To ten przekłety ryk - odpowiedział. - Wiesz, to tak trwa przez całą noc.

- Dlaczegoś mnie nie obudził? - spytała. - Posłuchałabym z rozkoszą.

- Muszę zabić tego drania - powiedział żałośnie Macomber.

- No, przecież po to tu przyjechałeś, prawda?

- Tak. Ale jestem zdenerwowany. Ryk tej bestii działa mi na nerwy.

- Więc jak powiedział Wilson, zabij go i zrób koniec z jego rykiem.

- Tak kochanie - odparł Franciszek Macomber. - Łatwo to powiedzieć, prawda?

- Chyba się nie boisz?

- Oczywiście, że nie. Ale zdenerwowało mnie słuchanie tych ryków przez całą noc.

- Zabijesz go wspaniale - powiedziała. - Jestem tego pewna. Strasznie chcę to zobaczyć.

- Skończ śniadanie, to pójdziemy.

- Jeszcze się nie rozwidniło - zauważyła. - Śmieszna godzina.

W tejże chwili z głębi piersi lwa dobył się jękliwy, niespodziewanie gardłowy, coraz to silniej wibrujący ryk, który zdawał się wstrząsać powietrzem, a zakończył westchnieniem i ciężkim głuchym pomrukiem.

- Wydaje się, że jest tuż-tuż - powiedziała żona Macombera.

- Boże - szepnęła Macomber. - Nie mogę znieść tego przekłętego ryku.

- To robi wielkie wrażenie.

- "Wrażenie"! To jest przerażające.

Nadszedł Robert Wilson szczerząc zęby w uśmiechu; niósł swój krótki, brzydki, potwornie wielkokalibrowy, dwunastomilimetrowy sztucer Gibbs.

- Chodźmy - powiedział. - Pana nosiciel ma już pańskiego Springfieldda i duży sztucer. Wszystko jest w samochodzie. Ma pan pełne kule?

- Mam.

- Jestem gotowa - oświadczyła pani Macomber.

- Trzeba skończyć z tym harmiderem - zdecydował Wilson. - Siadaj pan na przedzie. Memsahib może tu siąść razem ze mną.

Wsiadli do samochodu i o pierwszym, szarym brzasku ruszyli między drzewami w górę rzeczki. Macomber otworzył sztucer, stwierdził, że są w nim kule z metalowymi łuskami, zatrzasnął zamek i zabezpieczył broń. Widział, że ręka mu drży. Pomacał naboje, które miał w kieszeni, i przesunął palcami po tych, co tkwiły w tulejkach na bluzie. Obrócił się ku tylnej ławeczce bezdrzwiowego pudełkowego auta, na której jego żona siedziała z Wilsonem; oboje byli uśmiechnięci z podniecenia, a Wilson pochylił się do przodu i szepnął:

- Widzi pan, jak ptaki tam siadają? To znaczy, że stary już odszedł od swego ścierwa.

Po drugiej stronie rzeczki, ponad drzewami, Macomber ujrzał krążące i opuszczające się sępy.

- Jest szansa, że przyjdzie tu pić - szepnął Wilson. - Zanim się położy. Niech pan uważa.

Posuwali się z wolna wzdłuż wysokiego brzegu rzeki, który tutaj opadał stromo do jej kamienistego łożyska, i jadąc kluczyli między wielkimi drzewami. Macomber właśnie obserwował przeciwny brzeg, gdy wtem uczuł, że Wilson chwyta go za ramię. Wóz stanął.

- Jest - usłyszał szept. - Przed nami, w prawo. Wysiadaj pan i wal go. Cudowny lew.

Macomber zobaczył teraz lwa. Stał prawie bokiem, ogromny łeb miał podniesiony i zwrócony w ich stronę. Poranny wietrzyk, który wiał ku nim, ledwie poruszał jego ciemną grzywą; lew wydawał się olbrzymi, w szarym świetle brzasku odcinał się wyraźnie na tle zbocza, łopatki miał ciężkie, potężny tułów gładki i zwalisty.

- Jak to daleko? - spytał Macomber podnosząc sztucer.

- Jakies siedemdziesiąt pięć jardów. Wysiadaj pan i strzelaj.

- Dlaczego nie można strzelać stąd?

- Nie strzela się do nich z wozu - szepnął mu w ucho Wilson. - Wysiadaj pan. Nie będzie tak stał cały dzień.

Przez półokrągły otwór obok przedniego siedzenia Macomber zsunął się na stopień, a potem na ziemię. Lew ciągle stał patrząc majestatycznie i chłodno na ów przedmiot, który w jego oczach rysował się tylko sylwetką a był pękaty niczym jakiś supernosorożec. Nie

dolatywał stamtąd żaden zapach człowieka, więc obserwował ten przedmiot poruszając lekko z boku na bok ogromną głową. Potem, wciąż go obserwując, bez lęku, tylko z wahaniem, czy zejść na brzeg i pić mając naprzeciw siebie podobną rzecz, ujrzał ludzka postać, która oderwała się od niej, więc obrócił ciężki łeb i ruszył ku zaroślom, i wtedy usłyszał rozdzierający trzask i poczuł grzmotnięcie ośmiomilimetrowego, trzynasto - i półgramowego, pełnego pocisku, który wgryzł mu się w bok i nagłym, ognistym, piekącym uczuciem mdłości przedarł się przez żołądek. Lew pokłusował między drzewami ku wysokiej trawie i schronieniu, ciężki, na wielkich łapach, rozkołysany, ze zranionym, pełnym brzuchem, a wtedy trzask powtórzył się znowu i minął go rozszczepiając powietrze. Potem trzasnęło raz jeszcze i poczuł uderzenie, które rąbnęło go w dolne żebra i przewierciło na wylot, w paszczy miał nagle gorącą, pianistą krew i pogalopował ku wysokiej trawie, gdzie mógł się skulić i ukryć, i czekać, aż przyniosą tę trzaskającą rzecz dość blisko, by można było skoczyć i dopaść człowieka, który ją trzymał.

Macomber, wysiadając z auta, nie myślał o tym, co przeżywa lew, czuł tylko, że ręce mu się trzęsą, i gdy odchodził od wozu, prawie nie był zdolny poruszać nogami. Zesztywniały mu w udach, ale wyczuwał, jak drgają mięśnie. Podniósł sztucer, wymierzył w miejsce, gdzie głowa lwa stykała się z łopatką, i nacisnął spust. Nic się nie stało, choć ciągnął tak, iż pomyślał, że palec mu się złamie. Wtedy przypomniał sobie, że broń jest zabezpieczona, i kiedy ją opuścił, ażeby odbezpieczyć, postąpił o jeden zdrętwiały krok naprzód, a lew, widząc jego sylwetkę już teraz oderwaną od sylwetki auta, zawrócił i ruszył kłusem. Macomber strzelił i usłyszał głuchy stuk, który świadczył, że kula trafiła, ale lew szedł dalej. Macomber strzelił powtórnie i wszyscy widzieli, jak pocisk wyrzucił w górę garść ziemi za kłusującym lwem. Strzelił raz jeszcze, pamiętając, by zniżyć lufę, rozległo się uderzenie kuli, a lew przeszedł w galop i zniknął w wysokiej trawie, zanim Macomber zdążył pchnąć rączkę zamka do przodu.

Macomber stał czując mdlenie w żołądku, drżały mu ręce, wciąż jeszcze trzymające wycelowanego Springfieldda, a obok stała jego żona i Robert Wilson. Nie opodał dwaj nosiciele broni gadali coś do siebie w języku wakamba.

- Trafiłem go - powiedział Macomber. - Trafiłem dwa razy.

- Dał mu pan raz po miękim, a raz gdzieś w przód - powiedział bez entuzjazmu Wilson. Nosiciele mieli bardzo poważne miny. Już teraz milczeli.

- Może pan go i zabił - mówił Wilson. - Będziemy musieli chwilę poczekać, zanim pójdziemy się przekonać.

- Jak to?

- Powinien zesłać, nim zaczniemy go tropić,
- Aha - szepnął Macomber.
- Wspaniały lew - powiedział wesoło Wilson. - Tylko że wlaź w paskudne miejsce.
- Dlaczego paskudne?
- Nie można go wypatrzeć, póki się na niego nie wejdzie.
- Och!
- Chodźmy - powiedział Wilson. - Memsahib może zostać w aucie. Musimy obejrzeć

ślady farby.

- Zostań tu, Margot - zwrócił się do żony Macomber. W ustach mu zaschło i trudno mu było mówić.

- Dlaczego?
- Wilson tak powiedział.
- Idziemy popatrzeć - wyjaśnił Wilson. - Pani zostanie tutaj. Stąd nawet lepiej widać.
- Dobrze.

Wilson przemówił do kierowcy w języku suaheli. Tamten kiwnął głową i powiedział:

- Tak, Bwana.

Zeszli ze stromego zbocza, przeprawili się przez rzeczkę, wymijając głązy i przełaząc przez nie, a potem czepiając się wystających korzeni, wdrapali się na drugi brzeg i ruszyli wzdłuż niego, aż wreszcie znaleźli miejsce, gdzie lew kłusował, kiedy Macomber strzelił po raz pierwszy. Na krótkiej trawie widniała ciemna krew, którą nosiciele broni pokazali łodyżkami zielska, po czym uciekli za nadbrzeżne drzewa.

- Co robimy? - spytał Macomber.

- Niewielki mamy wybór - odparł Wilson. - Nie możemy tu ściągnąć auta. Za stromo. Damy mu czas, żeby trochę zdrętwiał, a potem obaj wejdziemy w zarośla i poszukamy go.

- Nie można by podpalić trawy? - spytał Macomber.

- Za zielona.

- A może posłać nagonką?

Wilson spojrział na niego badawczo.

- Oczywiście, że można - powiedział. - Ale to właściwie morderstwo. Widzi pan, my wiemy, że lew jest ranny. Można napędzać nie zranionego lwa - ruszy za lada hałasem - ale ranny lew będzie szarżował. Nie widzi go się, póki się na niego nie wdepcnie. Rozpłaszczy się całkiem w takiej kryjówce, w której nie przypuściłby pan, że może schować się zając. Nie bardzo wypada posyłać ludzi na tego rodzaju historię. Ktoś musi wtedy oberwać.

- A nosiciele broni?

- O, ci pójdą z nami. To jest ich shauri; podpisali na to zgodę, widzi pan. Mimo to nie wyglądają na zbyt uradowanych, co?

- Ja nie chcę tam wchodzić - powiedział Macomber. Wyrwało mu się to, zanim się spostrzegł.

- Ja też nie - odparł Wilson bardzo wesoło. - Ale naprawdę nie ma wyboru. - A potem przyszło mu coś do głowy, zerknął na Macombera i nagle zauważył, że ten się trzęsie i ma żalony wyraz twarzy.

- Pan oczywiście nie musi iść - powiedział. - Przecież na to się mnie angażuje. Dlatego właśnie jestem taki kosztowny.

- To znaczy, że pan by poszedł sam jeden? A czy nie można go tak zostawić?

Robert Wilson, który był całkowicie zaprzątnięty lwem i wynikłymi trudnościami i który nie myślał o Macomberze poza tym, iż zauważył, że ma on trochę stracha, nagle poczuł się tak, jakby otworzył w hotelu niewłaściwe drzwi i zobaczył coś wstydlwego.

- Jak to?

- Dlaczego go po prostu nie zostawić?

- To znaczy udawać przed samym sobą, że nie jest trafiony?

- Nie. Ot, machnąć na niego ręką.

- Tego się nie robi.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, on z całą pewnością cierpi. Po drugie, ktoś inny może się napatoczyć na niego.

- Rozumiem.

- Ale pan nie musi mieć z tym nic wspólnego.

- Wołałbym - powiedział Macomber. - Wie pan, ja się zwyczajnie boję.

- Pójdę pierwszy, kiedy wejdziemy w zarośla - oświadczył Wilson. - Kongoni będzie tropił. Pan niech się trzyma za mną, trochę z boku. Możliwe, że usłyszymy, jak mruczy. Jeżeli go zobaczymy, strzelimy obaj. Niech się pan nic nie martwi. Będę pana pilnował. Ale właściwie może i lepiej, żeby pan nie szedł. Nawet o wiele lepiej. Niech pan wraca do Memsahib, a ja to przez ten czas załatwię.

- Nie, ja chcę iść z panem - powiedział Macomber.

- W porządku - rzucił Wilson. - Ale niech pan nie idzie, jeżeli pan nie ma ochoty. Teraz to znowu jest moje shauri.

- Chcę pójść - powiedział Macomber. Siedli pod drzewem i zapalili papierosy.

- A może by pan wrócił i porozmawiał z Memsahib, póki czekamy? - zapytał Wilson.

- Nie.

- To ja zawrócę i powiem, żeby się nie niecierpliwiła.

- Dobrze - powiedział Macomber. Siedział tam, pocąc się pod pachami, w ustach mu zaschło, w żołądku miał uczucie pustki i chciał zebrać się na odwagę i powiedzieć Wilsonowi, żeby bez niego poszedł dobić lwa. Nie mógł wiedzieć, iż Wilson był wściekły, że wcześniej nie zauważył jego strachu i nie odesłał go do żony. Kiedy tak siedział, nadszedł Wilson.

- Mam pański duży sztucer - oznajmił. - Bierz pan. Chyba daliśmy mu dosyć czasu. Idziemy.

Macomber wziął duży sztucer, a Wilson dodał:

- Niech pan się trzyma mniej więcej pięć jardów za mną po prawej i robi dokładnie to, co panu powiem. - Następnie przemówił w języku suaheli do dwóch nosicieli broni, którzy wyglądali jak obraz zgnębienia.

- Chodźmy - rzekł.

- Mógłbym się napić wody? - spytał Macomber.

Wilson powiedział coś starszemu nosicielowi, który miał u pasa manierkę; ten odpiął ją, odkręcił pokrywkę i podał Macomberowi. Macomber wziął manierkę myśląc, jaka wydaje się ciężka i jak włochaty i gruby jest pod dotknięciem jej wołokowy pokrowiec. Podniósł ją do ust i spojrzał na wysoką trawę, za którą rosły drzewa o płaskich koronach. Wiatr wiał w tamtą stronę i trawa marszczyła się łagodnie pod powiewem. Spojrzał na nosiciela broni i zauważył, że jego też dręczy strach.

O trzydzieści - pięć jardów od skraju trawy ogromny lew leżał rozplaszczony na ziemi. Uszy położył po sobie i jedynym jego ruchem było leciutkie drganie w górę i w dół długiego zakończonego czarnym pędzlem ogona. Obrócił się ku swoim prześladowcom, gdy tylko dotarł do tej kryjówki; mdliło go od bólu przenikającego przez pełny brzuch i słabł od rany w płucach, od której za każdym oddechem występowała mu na pysk rzadka czerwona piana. Boki miał wilgotne i rozpalone, muchy obsiadły niewielkie otwory pozostawione w jego płowej skórze przez pełne pociski, duże, żółte ślepie, zwężone od nienawiści, patrzyły prosto przed siebie, mrugając tylko wtedy, gdy odzywał się ból przy oddechu, pazury wpijały się w miękką, spieczoną ziemię. Wszystko w nim - ból, mdłości, nienawiść, cała pozostała jeszcze siła sprężyło się w najwyższe przygotowanie do skoku. Słyszał rozmawiających ludzi, więc czekał i zbierał się w sobie gotując się do ataku, gdy tylko tamci



wędą między trawy. Kiedy usłyszał ich głosy, ogon jego wyprężył się i zaczął uderzać o ziemię, a gdy weszli na skraj traw, lew zamruczał ochryple i zaszarżował.

Kongoni, stary nosiciel idący na przedzie po śladach krwi, Wilson, który śledził każdy ruch traw i trzymał w pogotowiu swój wielki sztucer, drugi nosiciel patrzący przed siebie i nasłuchujący, a obok Wilsona Macomber z nastawioną bronią - ledwie zdołali wejść między trawy, kiedy Macomber usłyszał zdławiony krwią, ochryply pomruk i ujrzał świszczący pęd w gąszczu. W następnej chwili wiedział tylko, że biegnie, że gna dziko, w przerażeniu na otwartą przestrzeń, ku rzeczce.

Usłyszał ka-ra-wong! dużego sztucera Wilsona i znowu drugi ogłuszający ka-ra-wong! - i obróciwszy się zobaczył lwa, wyglądającego teraz straszliwie, jakby z urwaną połową łba, pełzającego ku Wilsonowi skrajem wysokiej trawy, podczas gdy ogorzały mężczyzna repetował swój krótki, brzydki sztucer i składał się starannie; a potem z lufy dobył się jeszcze jeden gromowy ka-ra-wong! - i pełzający, ciężki, płowy tułów lwa zeszywniał, ogromna, rozharatana głowa osunęła się w przód i Macomber, na polance, do której dopadł, stojąc samotnie z nabitym sztucercem w rękę, podczas gdy dwaj czarni i jeden biały patrzyli na niego ze wzdrganiem, wiedział już, że lew nie żyje. Podszedł do Wilsona, a jego wielki wzrost był w owej chwili niby nagi wyrzut; Wilson spojrzał na niego i spytał:

- Chce pan zrobić zdjęcia?

- Nie.

Tylko tyle powiedziano do chwili, gdy znaleźli się przy samochodzie. Wtedy Wilson odezwał się.

- Wspaniały lew. Boyowie ściągają skórę. Możemy zostać tu, w cieniu.

Żona Macombera nie spojrzała na męża ani on na nią; siadł obok na tylnej ławeczce samochodu, a Wilson zajął miejsce przy kierowcy. Raz Macomber pochylił się i nie patrząc wziął żonę za rękę, ale ją cofnęła. Spojrzawszy na drugi brzeg rzeczki, gdzie nosiciele ściągali skórę z lwa, zrozumiał, że musiał widzieć wszystko. Kiedy tak siedzieli, wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Wilsona. Ten obrócił się, a wtedy przechyliła się przez niskie oparcie siedzenia i pocałowała go w usta.

- Ojej - powiedział Wilson, a jego twarz przybrała barwę jeszcze ciemniejszą od przyrodzonej zapiekłej czerwieni.

- Pan Robert Wilson - powiedziała pani Macomber. - Śliczny, czerwony pan Robert Wilson.

Znowu usiadła przy Macomberze i spojrzała na drugi brzeg, gdzie leżał lew ze sterczącymi do góry, białymi umięśnionymi, obnażonymi łapami, na których znaczyły się

ścięgną, i białym nazartym brzuchem. Murzyni ściągnęli z niego skórę. Wreszcie przynieśli ją, mokrą i ciężką, przysiedli na tyle auta, zwinąwszy ją uprzednio, i wóz ruszył z miejsca. Nikt nie powiedział ani słowa więcej do chwili, gdy znaleźli się w obozie.

Taka była historia lwa. Macomber nie wiedział, co czuł lew, nim rzucił się na nich, ani też w chwili gdy niewiarogodny cios dwunastomilimetrowego pocisku o początkowej sile uderzenia dwóch ton trafił go w pysk, ani co sprawiło, że i potem szedł naprzód, kiedy drugie potworne rąbnięcie zgruchotało mu krzyże, a on pełznął dalej ku tej trzaskającej, grzmiącej rzeczy, która go zniszczyła. Wilson wiedział o tym coś niecoś i wyraził to mówiąc tylko: "Wspaniały lew!", ale Macomber nie wiedział, co w ogóle może czuć Wilson. Nie wiedział także, co może czuć jego własna żona, prócz tego jednego, że między nimi wszystko jest skończone.

Żona zrywała z nim już przedtem, ale to nigdy nie trwało długo. Był bardzo bogaty, miał wkrótce być jeszcze bogatszy i wiedział, że teraz już go nie opuści. To była jedna z niewielu rzeczy, które wiedział naprawdę. Wiedział o tym, miał także pewną wiedzę o motocyklach - to przyszło najwcześniej - o samochodach, polowaniu na kaczki, łowieniu ryb - pstrągów, łososi i ryb morskich - o sprawach płci, które znał z książek, wielu książek, zbyt wielu książek, o wszystkich grach sportowych, o psach, trochę o koniach, o tym, co robić, żeby mieć pieniądze, wiedział o większości rzeczy, którymi zajmował się jego świat, i o tym, że żona go nie opuści. Niegdyś była wybitną piękną i nadal była wybitną piękną w Afryce, ale już nie dość wybitną piękną w kraju, ażeby móc porzucić męża i poprawić swoją sytuację, i wiedziała o tym, i on też o tym wiedział. Kiedyś przepuściła okazję porzucenia go i Macomber o tym pamiętał. Gdyby umiał lepiej radzić sobie z kobietami, pewnie zaczęłaby się martwić, że weźmie sobie nową, piękną żonę, ale za dużo o nim wiedziała, żeby się tym przejmować. Prócz tego miał zawsze wiele wyrozumiałości, która wydawała się najładniejszą jego cechą, o ile nie była najbardziej żółwogą.

Wszystko razem wzięwszy, uważano ich za stosunkowo szczęśliwą parę małżeńską, jedną z tych, których rozwód jest często tematem plotek, ale nigdy nie dochodzi do skutku, i jak pisał prasowy kronikarz towarzyski, "dodali posmaku przygody do swojej wciąż aktualnej i budzącej tyle zazdrości, romantycznej historii", wyruszając na safari do kraju, który był znany pod nazwą Czarnej Afryki, póki Martinowie Johnsonowie nie rozświetlili go na srebrnych ekranach, polując na Starego Simbe-lwa i bawoły, na Temba, czyli słonia, i zbierając równocześnie okazy dla Muzeum Historii Naturalnej. Tenże kronikarz donosił w przeszłości co najmniej trzykrotnie, że Macomberowie są już "o kro k" od rozwodu, co rzeczywiście odpowiadało prawdzie. Ale zawsze jakoś to naprawiali. Ich związek miał

zdrowe podstawy. Margot była zbyt piękna, aby Macomber chciał się z nią rozejść, a Macomber miał za dużo pieniędzy, aby Margot mogła go rzucić.

Było około trzeciej nad ranem, kiedy Franciszek Macomber - który przestawszy rozmyślać o lwie zdrzemnął się trochę, potem się ocknął i zasnął znowu - zbudził się nagle, przerażony, bo miał sen, że stoi nad nim lew z okrwawionym łbem. Posłuchawszy chwilę z walącym sercem, uświadomił sobie, że żony nie ma na drugim łóżku polowym w namiocie. Z tą świadomością przeleżał bezsennie dwie godziny. Po upływie tego czasu żona weszła do namiotu, uniosła moskitierę i wśliznęła się z lubością do łóżka.

- Gdzieś ty była? - zapytał w ciemnościach Macomber.

- Halo - powiedziała. - Nie śpisz?

- Gdzie byłaś?

- Wyszłam odetchnąć trochę powietrzem.

- Odetchnęłaś sobie. Jak cholera.

- A co ty chcesz, żebym powiedziała, kochanie?

- Gdzie byłaś?

- Odetchnąć powietrzem.

- Znalazłaś nowe określenie na t o. Jesteś dziwka.

- A ty jesteś tchórz.

- Dobrze - powiedział. - I co z tego?

- Nic, jeżeli o mnie idzie. Ale proszę cię, nie rozmawiajmy, kochanie, bo jestem bardzo śpiąca.

- Myślisz, że ja wszystko zniosę.

- Wiem, że zniesiesz, mój słodki.

- Otóż nie.

- Proszę cię, kochanie, nie rozmawiajmy. Tak mi się chce spać.

- Miało już tego nie być. Obiecywałaś, że nie będzie.

- No, ale teraz jest - odpowiedziała słodko.

- Mówiłaś, że jak wyjedziemy w tę podróż, nie będzie tego więcej. Obiecałaś.

- Tak kochanie. Taki miałam zamiar. Ale podróż popsuka się wczoraj. Nie musimy o tym mówić, prawda?

- Nie czekasz długo, kiedy masz przewagę, co?

- Proszę cię, nie rozmawiajmy. Taka jestem senna, kochanie.

- Ja będę mówił.

- To nie zwracaj na mnie uwagi, bo ja idę spać. - I zasnęła.

Do śniadania zasiedli we troje jeszcze przed świtem i Franciszek Macomber stwierdził, że spośród wielu ludzi, których nienawidził, najbardziej nienawidził Roberta Wilsona.

- Dobrze się spało? - zapytał go swoim gardłowym głosem Wilson nabijając fajkę.

- A panu?

- Pysznie - odpowiedział myśliwy.

"Ty draniu - pomyślał Macomber. - Ty bezczelny draniu."

"A więc go obudziła wracając - myślał Wilson i patrzył na tych dwoje swymi płaskimi, zimnymi oczami. - No cóż, dlaczego nie pilnuje żony? Co on sobie wyobraża? Że jestem jakimś cholernym świętym z gipsu? Niech ją trzyma tam, gdzie jej miejsce. To jego własna wina."

- Myśli pan, że znajdziemy bawoły? - zapytała Margot odsuwając kompot z moreli.

- Możliwe - odparł Wilson i uśmiechnął się do niej. - Dlaczego pani nie chce zostać w obozie?

- Za nic - powiedziała.

- Może by pan kazał żonie zostać? - zapytał Wilson Macombera.

- Niech pan sam jej każe - odparł zimno Macomber.

- Nie bawmy się w rozkazywanie ani też - zwracając się do Macombera - w żadne głupstwa, Franciszku - powiedziała Margot bardzo miłym tonem.

- Gotów pan? - zapytał Macomber.

- Każdej chwili - odpowiedział Wilson. - Chce pan, żeby Memsahib pojechała z nami?

- Albo to nie obojętne, czy ja chcę, czy nie?

"Niech to wszyscy diabli wezmą - pomyślał Robert Wilson. - Niechże to diabli. Więc to tak będzie teraz wyglądało. No więc, tak będzie wyglądało."

- Rzeczywiście obojętne - powiedział.

- Czy pan na pewno nie wolałby zostać z nią w obozie i dać mi samemu zapolować na bawoły? - spytał Macomber.

- Tego nie mogą zrobić - powiedział Wilson. - Na pana miejscu nie gadałbym bzdur.

- Nie mówię bzdur. Czuję obrzydzenie.

- To kiepskie słowo: "obrzydzenie".

- Franciszku, proszę cię, czy nie mógłbyś mówić z sensem? - spytała pani Macomber.

- Mówię aż za bardzo z sensem - odrzucił Macomber. - Widziałas kiedy tak ohydne jedzenie?

- Coś nie w porządku z jedzeniem? - zapytał spokojnie Wilson.

- Tak samo jak ze wszystkim.

- Weź się pan w garść - powiedział bardzo spokojnie Wilson. - Do stołu służy boy, który rozumie trochę po angielsku.

- Cholera z nim.

Wilson wstał i pykając z fajki odszedł rzuciwszy kilka słów w języku suaheli jednemu z nosicieli broni, który na niego czekał. Macomber nadal siedział z żoną przy stole. Wpatrywał się w swoją filiżankę kawy.

- Jeżeli zrobisz scenę, to cię rzucę, kochanie - powiedziała spokojnie Margot.

- Nie, nie rzucisz.

- Spróbuj, to zobaczysz.

- Nie rzucisz mnie.

- Nie - powiedziała. - Nie rzucę cię, a ty będziesz się grzecznie zachowywał.

- Grzecznie się zachowywał? Też sposób mówienia! Grzecznie się zachowywał.

- Tak. Grzecznie.

- Dlaczego ty tego nie spróbujesz?

- Próbowałam od dawna. Od tak dawna.

- Nienawidzę tej czerwonej świni - powiedział Macomber. - Nie mogę na niego patrzeć.

- On jest naprawdę bardzo miły.

- Ach, zamknij się - nieomal krzyknął Macomber.

Właśnie w tej chwili zajechał samochód i stanął przed namiotem-jadalnia; wysiadł z niego kierowca i dwaj nosiciele broni. Wilson podszedł i spojrzał na męża i żonę siedzących przy stole.

- Jedziemy zapolować? - spytał.

- Tak - odparł Macomber wstając. - Tak.

- Lepiej weźcie państwo swetry. W wozie będzie chłodno.

- Włożę skórzaną kurtkę - rzekła Margot.

- Ma ją boy - powiedział do niej Wilson. Siadł na przedzie obok kierowcy, a Franciszek Macomber i jego żona milcząc zajęli miejsca na tylnym siedzeniu.

"Mam nadzieję, że temu durniowi nie przyjdzie na myśl, żeby kropnąć mi w łeb - myślał Wilson. - Jednak kobiety są zawadą na safari."

O szarym brzasku samochód potoczył się w dół, przejechał przez rzeczkę kamienistym brodem, a potem wspiał się, przechylony, na stromy brzeg, gdzie Wilson kazał ubiegłego dnia przekopać drogę, ażeby mogli dotrzeć do bujnie zalesionego, pofalowanego terenu po drugiej stronie.

“Dobry ranek” - myślał Wilson. Rosa była obfita i kiedy koła toczyły się po trawie i niskich krzewach, czuł zapach miazdżonych liści. Woń ta przypominała werbenę i miły mu był ten wczesnoporanny zapach rosy i zgniecionych paproci, i widok pni drzewnych czerniejących w porannej mgle, kiedy samochód jechał bezdrożną, do parku podobną okolicą.

Usunął teraz z myśli tych dwoje na tylnym siedzeniu i zastanawiał się nad bawołami. Te, których szukał, siedziały za dnia w gęsto zarośniętych moczarach, gdzie niepodobna było dojść do strzału, ale nocą wychodziły żerować na otwartej przestrzeni; jeżeli więc zdoła wjechać autem między nie a ich bagna, Macomber będzie miał dużą szansę spotkać bawoły na otwartym. Wilson nie miał ochoty polować z Macomberem w gąszczu na bawoły. Nie miał w ogóle ochoty polować z Macomberem ani na bawoły, ani na cokolwiek innego, ale był zawodowym myśliwym i w swoim czasie polował już z różnymi cudakami. Jeżeli dziś zdobędą bawołą, to zostanie jeszcze tylko nosorożec, i ten nieborak skończy ze swoją niebezpieczną grą, i wszystko może się jakoś ułożyć. On sam nie będzie miał więcej nic wspólnego z tą kobietą, a Macomber przejdzie i nad tym do porządku. Najwyraźniej musiał już przeżywać wiele podobnych historii. Biedny łamaga. Widocznie jakoś potrafi godzić się z takimi rzeczami. No cóż, psiakrew, to wina tego niedołągi.

Robert Wilson zabierał na safari podwójne łóżko polowe, ażeby móc korzystać z każdej gratki, jaka by mu się nadarzyła. Pracował dla specjalnej klienteli, międzynarodowej, rozwiązłej sfery ludzi zabawiających się sportem, w której kobiety nie uważały, że dostają, co należy, za swoje pieniądze, jeżeli nie dzieliły owego polowego łóżka z zawodowym myśliwym. Gardził tymi ludźmi, kiedy przebywał z dala od nich, chociaż wydawali mu się dość mili w codziennym obcowaniu, ale żył z nich i póki go zatrudniali, ich prawidła postępowania były jego prawidłami.

Obowiązywały go we wszystkim prócz myślistwa. Miał własne prawidła dotyczące zabijania i tamci mogli albo się do nich stosować, albo też najać sobie kogo innego. Wiedział również, że oni wszyscy szanują go za to. A jednak ten Macomber jest jakiś dziwny. Jest, do diabła. Tylko ta żona. Właśnie, żona. Hm, żona. No, trzeba dać z tym spokój.

Obejrzał się na nich. Macomber siedział ponury i wściekły. Margot uśmiechnęła się do Wilsona. Wyglądała dziś młodziej, niewinnie j, bardziej świeżo i jakoś nie tak zawodowo pięknie.

“Bóg jeden wie, co ona tam ma w sercu - pomyślał Wilson. - Niewiele mówiła dziś w nocy. Ale miło było na nią patrzeć.”

Samochód wspiał się na łagodną pochyłość, przejechał między drzewami, a potem wysunął się na trawiastą, do prerii podobną polanę i jechał jej skrajem, w cieniu drzew; kierowca prowadził powoli, a Wilson bacznie śledził polanę i jej przeciwległą stronę. Zatrzymał wóz i zbadał teren przez lornetkę. Następnie dał znak kierowcy, by jechał dalej, i wóz powoli ruszył naprzód, wymijając dziury poryte przez dzikie świnie i błotne zamki wybudowane przez mrówki. I wtedy Wilson, patrząc na polanę, obrócił się nagle i powiedział:

- Jak Boga kocham, są!

I kiedy samochód skoczył naprzód, a Wilson powiedział coś szybko do kierowcy w języku suaheli, Macomber, spojrzawszy we wskazane miejsce, zobaczył trzy olbrzymie, czarne zwierzęta, które w swej podłużnej masywności wydawały się nieledwie cylindryczne, niby wielkie, czarne wagony-cysterny, a teraz pędziły galopem wzdłuż przeciwległego skraju polany. Galop ten wyprężał ich szyje i tułowia; Macomber widział zadarte, rozłożyste, czarne rogi, kiedy tak gnały z wyciągniętymi łbami, które nie poruszały się wcale.

- Trzy stare byki - powiedział Wilson. - Przetniemy im drogę, zanim dopadną do błota.

Wóz mknął przez polanę jak szalony, z szybkością czterdziestu pięciu mil na godzinę, i w miarę jak Macomber patrzył, bawoły rosły i rosły, aż wreszcie mógł dojrzeć szary, bezwłosy, wyliniały kadłub jednego ogromnego byka, szyję wrośniętą w łopatki i połyskliwą czerń rogów, gdy zwierz tak galopował nieco w tyle za pozostałymi, wyciągniętymi w równym, rozkołysanym cwale. I wtedy, na samochodzie, rozkołysanym, jakby właśnie przeskoczył rów, zbliżyli się jeszcze bardziej i Macomber dojrzał pędzący ogrom byka, kurz na jego rzadko owłosionej skórze, wielkie guzy rogów, wysunięty pysk o rozdętych nozdrzach, i już podnosił sztucer, gdy Wilson krzyknął: “Nie z wozu, durniu!” - i nie czuł strachu, tylko nienawiść do Wilsona, kiedy hamulce zwarły się, wóz zarzucił bokiem i niemal zarył się w miejscu. Wilson wyskoczył z jednej strony, a on z drugiej i potknął się, gdy jego stopy uderzyły o wciąż jeszcze sunącą mimo ziemię, i już strzelał do byka, słyszał walące w niego pociski, opróżniał magazynek w oddalającego się stale

zwierza, wreszcie przypomniał sobie, że ma mierzyć w jego przód, na komorę, i kiedy sięgnął po nowe ładunki, zobaczył, że byk upadł. Upadł na kolana i potrząsał ogromnym łbem, a Macomber widząc, że dwa pozostałe bawoły jeszcze galopują, strzelił do pierwszego i trafił. Strzelił raz jeszcze, chybił, usłyszał grzmiący ka-ra-wong! sztucera Wilsona i ujrzał, że pierwszy byk zarył nosem w ziemię.

- Wal pan tamtego! - krzyknął Wilson. - Teraz pan strzela!

Ale drugi byk oddalał się tym samym równym galopem i Macomber spudłował wyrzucając fontannę ziemi, nie trafił też Wilson, wzbił tylko tuman kurzu i krzyknął: "Chodź pan. Za daleko!" - chwycił go za ramię i już wisieli po obu bokach samochodu, i walili, rozchwiani, po wyboistym gruncie, starając się prześcignąć równy, kołyszący, ciężkogłowy, prosty jak strzała galop bawołu.

Byli coraz bliżej i Macomber ładował sztucer, naboje leciały mu z rąk na ziemię, coś mu się zacięło w broni, poprawiał to i już niemal zrównali się z bykiem, gdy Wilson krzyknął: "Stój!" - i wóz zarzucił tak, że omal się nie wywalił, a Macomber skoczył z auta na równe nogi, zatrzasnął zamek i strzelił, jak mógł najdalej do przodu, w galopujący, przygięty, czarny grzbiet, wymierzył, strzelił znowu i znowu, i znowu, a kule, trafiając co do jednej, nie wywierały żadnego widocznego skutku. Teraz strzelił Wilson i grzmot ogłuszył Macombera, który zobaczył, że byk się potknął. Macomber strzelił raz jeszcze, mierząc starannie, i bawół runął na kolana.

- Dobra - powiedział Wilson. - Ładna robota. Mamy wszystkie trzy.

Macomber był pijany z uniesienia.

- Ile razy pan strzelał? - zapytał.

- Tylko trzy - odparł Wilson. Pan zabił pierwszego byka. Tego największego. Ja pomogłem panu dobić tamte dwa. Bałem się, że zwieją w gąszcz. To pan je zabił. Ja tylko trochę dokończyłem. Strzelał pan diabło dobrze.

- Chodźmy do auta. Chcę się czegoś napić.

- Najpierw trzeba dobić tego byka - powiedział Wilson. Bawół klęczał, wściekle podrzucał łbem i łypiąc małymi oczkami ryczał z dziką furją, kiedy szli ku niemu.

- Niech pan uważa, żeby nie wstał - ostrzegł Wilson. A potem: - Podejdz pan trochę z boku i daj mu w kark, zaraz za uchem.

Macomber starannie wycelował w środek potężnej podrzucanej wściekłością szyi i strzelił. Po strzale łeb opadł na ziemię.

- Załatwione powiedział Wilson. Dostał w kręgosłup. Cholernie wyglądają, co?

- Chodźmy się napić - rzekł Macomber. W życiu nie czuł się tak wspaniale.



W samochodzie siedziała żona Macombera, bardzo blada.

- Cudowny byłeś, kochanie - powiedziała do męża. - Cóż to była za jazda!

- Nieprzyjemna? - zapytał Wilson.

- Okropna. Jak żyję, tak się nie bałam.

- Napijmy się wszyscy - powiedział Macomber.

- Koniecznie - odparł Wilson. - Niech pan da Memsahib.

Wypiła łyk czystej whisky z płaskiej flaszki i połykając otrząsnęła się lekko. Oddała flaszkę Macomberowi, który wręczył ją Wilsonowi.

- To było wstrząsające - powiedziała. - Okropnie mnie rozboleła głowa. Ale nie wiedziałam, że wolno do nich strzelać z auta.

- Nikt nie strzelał z auta - odparł chłodno Wilson.

- To znaczy gonić je autem.

- Normalnie bym tego nie zrobił - powiedział Wilson. - Ale w danej chwili wydawało mi się to dosyć sportowe. Jazda przez tę polanę pełną dziur i innych przeszkód była ryzykowniejsza od polowania pieszo. Bawoły mogły, gdyby chciały, szarżować na nas za każdym strzałem. Miały wszystkie szansę. Ale jednak nie mówiłbym o tym nikomu. Bo to jest nieprzepisowe, jeżeli o to pani idzie.

- Mnie się wydawało bardzo nie fair ścigać te wielkie bezradne zwierzaki samochodem - powiedziała Margot.

- Naprawdę? - spytał Wilson.

- Co by było, jakby się o tym dowiedzieli w Nairobi?

- Po pierwsze, straciłbym licencję. No i byłyby różne nieprzyjemności - odpowiedział Wilson popijając z flaszki. - Zostałbym bez pracy.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- No - powiedział Macomber uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia. - Teraz ona ma sposób na pana.

- Umiesz tak ładnie wyrażać pewne rzeczy, Franciszku - powiedziała Margot Macomber.

Wilson spojrział na nich dwoje. "Jeżeli mężczyzna-cztery litery żeni się z kobietą-pięć liter, to iloma literami mogą być ich dzieci?" - myślał. Powiedział natomiast:

- Zgubił nam się jeden nosiciel. Zauważył pan?

- Mój Boże, nie - odparł Macomber.

- O, idzie - powiedział Wilson. - Nic mu się nie stało. Pewnie wypadł, kiedyśmy odjeżdżali od pierwszego byka.

Kuśtykał ku nim niemłody nosiciel broni we włóczkowej czapce, bluzie koloru khaki, szortach i sandałach na gumie, ponury i zniechęcony. Gdy podszedł, zawołał coś do Wilsona w języku suaheli i wszyscy dostrzegli zmianę w twarzy białego myśliwego.

- Co on mówi? - spytała Margot.

- Mówi, że pierwszy byk wstał i poszedł w busz - powiedział Wilson bezbarwnym głosem.

- Och - bąknął tępo Macomber.

- Więc będzie to samo co z lwem - powiedziała Margot, pełna oczekiwania.

- Wcale nie będzie to samo co z lwem - odpowiedział jej Wilson. - Chce pan się jeszcze napić?

- Owszem, dziękuję - odezwał się Macomber. Spodziewał się, że wróci mu to uczucie, które miał przy lwie, ale nie wracało. Po raz pierwszy w życiu doprawdy zupełnie się nie bał. Zamiast strachu odczuwał wyraźne uniesienie.

- Pójdziemy obejrzyć drugiego byka - oświadczył Wilson. - Powiem szoferowi, żeby postawił wóz w cieniu.

- Co pan chce zrobić? - spytała Margot Macomber.

- Obejrzyć bawołu.

- Ja też pójdę.

- Niech pani idzie.

Poszli we troje ku miejscu, gdzie drugi bawół piętrzył się czarno na polanie, leżąc w trawie z wyciągniętym łbem i masywnymi rogami rozstawionymi szeroko.

- Bardzo dobre poroże - powiedział Wilson. - Blisko pięćdziesiąt cali rozłogi.

Macomber patrzył na niego uradowany.

- Potwornie wygląda - powiedziała Margot. - Nie moglibyśmy pójść w cień?

- Oczywiście - odparł Wilson. Niech pan spojrzy - powiedział do Macombera. - Widzi pan tę kępę buszu?

- Widzę.

- Tam właśnie wlaź pierwszy byk. Nosiciel mówił, że kiedy wypadł z wozu, byk leżał. On sam patrzył za nami, jakieś tam borykali, i za dwoma galopującymi bawołami. Kiedy znów spojrzął na byka, ten stał i przyglądał mu się. Chłop pognał jak sto diabłów, a byk powoli wszedł w ten busz.

- Możemy zaraz pójść za nim? - spytał skwapliwie Macomber.

Wilson spojrział na niego badawczo. "Do diabła, jeżeli to nie jest dziwak - pomyślał. - Wczoraj trzęsie portkami, a dziś robi się z niego zadziorny zabijaka."

- Nie, damy mu trochę czasu.

- Proszę was, wejdźmy w cień - powiedziała Margot. Była blada; wyglądała na chorą. Poszli do samochodu, który stał pod pojedynczym, rozłożystym drzewem, i wsiedli wszyscy troje.

- Są szansę, że tam zdechł - zauważył Wilson. - Za chwilę pójdziemy zobaczyć.

Macombera ogarnęło dzikie, bezsensowne uczucie szczęścia, jakiego nie zaznał nigdy dotąd.

- Boże, ależ to była pogoń - powiedział. - Jak żyję, nie miałem takiego uczucia. Czy to nie było cudowne, Margot?

- Dla mnie okropne.

- Dlaczego?

- Okropne - powiedziała zaciekle. - Wstrętne.

- Wie pan, chyba już się nigdy niczego nie złękne - mówił Macomber do Wilsona. - Coś się we mnie stało, kiedyśmy zobaczyli tego bawołu i puścili się za nim. Jak gdyby pękła jakaś tama. To było czyste podniecenie.

- Oczyszcza człowiekowi wątrobę - powiedział Wilson. - Diabelnie śmieszne rzeczy zdarzają się ludziom.

Twarz Macombera promieniała.

- Naprawdę coś się ze mną stało, wiecie - powtórzył. - Czuję się zupełnie inaczej.

Jego żona nie mówiła nic; patrzyła na niego dziwnie. Wcisnęła się w siedzenie auta, a Macomber, pochylony do przodu, rozmawiał z Wilsonem, który obrócił się do niego przez oparcie przedniej ławeczki.

- Wie pan, miałbym chęć spróbować jeszcze jednego lwa - mówił Macomber. - Ja się ich teraz naprawdę nie boję. Ostatecznie, cóż mogą człowiekowi zrobić?

- Właśnie - powiedział Wilson. - W najgorszym razie mogą zabić. Jak to idzie? Szekspir. Pierwszorzędne. Zobaczą, czy sobie przypomnę. O, to jest pierwszorzędne. Kiedyś sam sobie to cytowałem. Zaraz, zaraz: "Przebóg, wszystko mi jedno, raz tylko człowiek może umrzeć. Jesteśmy Bogu śmierć dłużni; jak bądź obróć się rzeczy, kto tego roku umrze, ma spokój na rok przyszły." (Szekspir, Henryk IV) Świetne, co?

Był bardzo zmieszany, że ujawnił to, czym żył, ale widywał już, jak ludzie osiąkali dojrzałość, i zawsze go to poruszało. Nie była to sprawa ich dwudziestych pierwszych urodzin.

Trzeba było dziwnego myśliwskiego trafu, nagłego rzucenia się do akcji, w chwili gdy nie ma czasu martwić się na zapas, aby to dokonało się w Macomberze, ale niezależnie od warunków, w jakich nastąpiło, nastąpiło z całą pewnością. "Patrzajcie teraz na tego oferme - pomyślał Wilson. - Wszystko dlatego, że niektórzy z nich tak długo pozostają chłopcami. Czasem przez całe życie. Zachowują chłopięcą figurę, kiedy już mają pięćdziesiątkę. Wielcy amerykańscy chłopcy-mężczyźni. Diabło dziwaczni ludzie." Ale teraz już mu się podobał ten Macomber. "Diabło dziwaczny facet. Przez to chyba będzie też koniec z przyprawianiem mu rogów. To byłoby pierwszorządne. Pierwszorządne. Oferma pewnie był w strachu przez całe życie. Nie wiadomo, od czego się zaczęło. Ale teraz już po wszystkim. Nie zdążył zleknać się bawołu. No i to, że się rozzłościł. I ten samochód. W samochodzie czuł się bardziej swojsko. Teraz z niego piekielny zabijaka. Widziało się podobne rzeczy na wojnie. To większa zmiana niż jakaś tam utrata dziewictwa. Strach zniknął, jakby go zoperowali. Coś innego wyrosło na tym miejscu Najważniejsze, co może być w człowieku. Zrobiło to z niego mężczyznę. Kobiety też to widzą. Już się teraz nie boi.

Z głębi ławeczki Małgorzata Macomber patrzyła: na nich obu. W Wilsonie nie było żadnej zmiany Widziała go takim, jakim objawił jej się poprzedniego dnia, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie na czym polega jego wielki talent. Ale dostrzegał; teraz przemianę we Franciszku Macomberze.

- Miewa pan to uczucie szczęścia w oczekiwaniu czegoś, co ma się zdarzyć? - pytał Macomber, wciąż badając swoje nowe bogactwo.

- O tym nie wypada mówić - odparł Wilson patrząc mu w twarz. - O wiele bardziej elegancko jest powiedzieć, że się ma stracha. Zresztą, pan jeszcze nieraz będzie się bał.

- Ale przecież pan zna to uczucie szczęścia przed działaniem?

- Owszem - przyznał Wilson. - Jest coś takiego. Nie trzeba za wiele o tym gadać, bo wszystko się przegada. W niczym nie znajdzie się przyjemności, jak się za dużo mówi.

- Obaj wygadujecie bzdury - powiedziała Margot. - Tylko dlatego, żeście gonili samochodem bezbronne zwierzęta, przemawiacie jak bohaterzy.

- Przepraszam - powiedział Wilson. - Zanadto się rozgadałem. - "Już ją to zaczyna niepokoić" - pomyślał.

- Jeżeli nie wiesz, o czym mówimy, to po co się wtrącasz? - zapytał żony Macomber.

- Strasznie się zrobiłeś odważny, i to strasznie nagle - powiedziała wzgardliwie jego żona, ale tej wzgardzie brakło pewności. Margot bała się czegoś ogromnie.

Macomber roześmiał się bardzo naturalnie i serdecznie.

- A wiesz, że tak - potwierdził. - Naprawdę tak.

- Czy aby nie trochę za późno - spytała z goryczą Margot. Bo przecież od tylu lat starała się, jak mogła, i to, że obecnie tak było między nimi, nie wynikało z niczyjej winy.

- Dla mnie nie - odparł Macomber.

Margot nie powiedziała nic, cofnęła się tylko w róg siedzenia.

- Myśli pan, że już daliśmy mu dosyć czasu? - zapytał wesoło Macomber Wilsona.

- Możemy zobaczyć - odparł Wilson. - Zostały panu jeszcze pełne pociski?

- Nosiciel ma kilka.

Wilson zawołał w języku suaheli i starszy nosiciel, który oprawiał jeden z łbów, wyprostował się, wyciągnął z kieszeni pudełko nabojów i przyniósł je Macomberowi, który napełnił magazynek, a resztę wsadził do kieszeni.

- Może pan strzelać ze Springfielda - powiedział Wilson. - Przyzwyczajony pan jest do niego. Mannlichera zostawimy w wozie z Memsahib. Pański nosiciel może wziąć ciężki sztucer. Ja mam te cholerną armatę. No, a teraz coś panu powiem. - Odkładał to do ostatniej chwili, bo nie chciał straszyć Macombera. - Jak byk szarżuje, to wali z podniesionym łbem, wyciągniętym prosto przed siebie. Guzy rogów uniemożliwiają strzał w mózg. Jedyne możliwe strzały - to prosto w nos. Drugi może być w pierś, a jeżeli jest się z boku - w szyję albo łopatkę. Kiedy są raz trafione, trzeba się piekielnie namęczyć, żeby je dobić. Niech pan nie próbuje żadnych cudów. Strzelaj pan tak, jak będzie najłatwiej. No, już skończyli oprawiać ten łeb. Możemy iść?

Zawołał nosicieli broni, którzy podeszli ocierając ręce; starszy przysiadł się z tyłu wozu.

- Wezmę tylko Kongoniego - powiedział Wilson. - Tamten może zostać, żeby odpędzać sępy.

Kiedy samochód posuwał się z wolna przez otwartą przestrzeń ku gęstej wysepce drzew, która przecinając kotlinę biegła językiem zieleni wzdłuż wyschniętego łożyska potoku, Macomber czuł bicie serca i suchość w ustach, ale było to tylko podniecenie, nie strach.

- Tutaj wszedł - powiedział Wilson. A potem do nosiciela w języku suaheli: - Idź śladem farby.

Wóz stał bokiem do kępy buszu. Macomber, Wilson i nosiciel wysiedli. Macomber obejrzał się i zauważył, że żona, obok której leżał sztucer, patrzy za nim. Pomachał do niej ręką, ale nie odpowiedziała mu tym samym.

Zarośla były bardzo gęste, a ziemia wyschnięta. Starszy nosiciel pocił się obficie, Wilson zsunął kapelusz na oczy i Macomber widział tuż przed sobą czerwony kark myśliwego. Nagle nosiciel powiedział coś Wilsonowi i pobiegł naprzód.

- Leży tam, nieżywy - rzekł Wilson. - Dobra robota.

Obrócił się, ujął dłoń Macombera i kiedy ściskali sobie ręce śmiejąc się do siebie, nosiciel wrzasnął dziko i ujrzeni go wypadającego jak strzała w bok z gęstwiny, a za nim byka z podniesionym nosem, zaciśniętym pyskiem, ociekającego krwią, z wyciągniętym, masywnym łbem, szarżującego, łpiącego na nich małymi, świńskimi przekrwionymi ślepiami. Wilson, który był w przedzie, przyklęknął i dał ognia, a Macomber też strzelił nie słysząc własnego strzału wśród ryku sztucera Wilsona i ujrzał podobne do łupku kawałki przyskające z ogromnych guzów rogowych i szarpnięcie łba. Strzelił powtórnie w szeroko rozstawione nozdrza, spostrzegł, że znowu łeb szarpnął się i znowu poleciały odpryski, i nie widząc teraz Wilsona złożył się starannie, strzelił raz jeszcze w chwili, gdy olbrzymi tułów bawołu był już niemal na nim, a sztucer prawie dotykał nadlatującego łba, i ujrzał małe, złośliwe oczka, zniżający się łeb - a wtedy poczuł nagły, do białości rozpalony, oślepiający błysk wybuchający pod czaszką - i to było wszystko, co kiedykolwiek miał czuć.

Wilson odskoczył w bok, by strzelić na komorę. Macomber stał twardo i strzelał w nos, za każdym razem odrobinę za wysoko, trafiając w ciężkie rogi, obłupując je i obtłukując, jak gdyby strzelał w łupkowy dach, a pani Macomber, siedząca w samochodzie, dała ognia z sześć i pół milimetrowego Mannlicera do bawołu, w chwili gdy już miał przebić rogami Macombera, i trafiła męża około dwóch cali powyżej i nieco w bok od podstawy czaszki.

Franciszek Macomber leżał teraz twarzą do ziemi, niespełna dwa jardy od powalonego na bok bawołu, żona klęczała nad nim, a przy niej stał Wilson.

- Nie odwracałbym go - powiedział Wilson.

Kobieta płakała histerycznie.

- Może pani wróci do wozu. Gdzie sztucer?

Potrząsnęła głową, twarz miała wykrzywioną. Nosiciel podniósł sztucer z ziemi.

- Zostaw to tak, jak jest - powiedział Wilson. A potem: - Idź po Abdullę, żeby był świadkiem, w jaki sposób doszło do tego wypadku.

Ukląkł, wyjął z kieszeni chustkę i przykrył nią krótko ostrzyżoną głowę Franciszka Macombera. Krew wsiąkała w suchą, sypką ziemię.

Wilson wstał i przyjrzał się bawołowi leżącemu na boku, z wyciągniętymi nogami; po jego rzadko owłosionym brzuchu pełzały robaki. "Cholernie dobry byk - zarejestrował

automatycznie mózg Wilsona. - Dobre pięćdziesiąt cali albo więcej." Zawołał kierowcę, kazał mu przykryć zwłoki kocem i pozostać przy nich. Następnie podszedł do samochodu, gdzie siedziała w rogu zapłakana kobieta.

- Ładnie to pani zrobiła - powiedział bezbarwnym głosem. - Bo on i tak by panią rzucił.

- Niech pan przestanie - powiedziała.

- Oczywiście, to jest przypadek. Ja wiem.

- Niech pan przestanie - powtórzyła.

- Proszę się nie martwić - mówił. - Będzie trochę nieprzyjemności, ale każę zrobić parę zdjęć, które bardzo się przydadzą przy śledztwie. Poza tym będą zeznania nosicieli i kierowcy. Nic pani nie grozi.

- Niech pan przestanie - powiedziała.

- Masę jest do roboty - mówił. - Będę musiał posłać wóz do jeziora, żeby przez radio zamówić samolot, który zabierze nas troje do Nairobi. Dlaczego pani go nie otruła? Tak się to załatwia w Anglii.

- Milcz! Milcz! Milcz! - krzyknęła kobieta. Wilson spojrzał na nią swymi płaskimi, błękitnymi oczami.

- Już mi przeszło - powiedział. - Byłem trochę zły. Zaczynałem lubić pani męża.

- Och, proszę, niech pan przestanie! - zawołała. - Proszę, proszę, niech pan przestanie!

- To już lepiej - powiedział Wilson. - "Proszę" to brzmi o wiele lepiej. Teraz przestanę.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## ROGI BYKA

W Madrycie pełno jest chłopców imieniem Paco, co jest zdrobnieniem od Francisco, i nawet istnieje madrycki dowcip o pewnym ojcu, który przyjechał do stolicy i w rubryce "Wiadomości osobiste" dziennika "E Liberal" zamieścił następujące ogłoszenie: "PACO, SPOTKAJ SIĘ ZE MNA W HOTELU MONTANA WTOREK POŁUDNIE, WSZYSTKO PRZEBACZONE. PAPA" - i o tym, jak trzeba było wezwać oddział Guardia Civil, żeby rozpedzić ośmiuset młodych ludzi, którzy przyszli w odpowiedzi na to ogłoszenie. Jednakże ten Paco, co podawał do stołu w "Pension Luarca", nie miał ojca, który by mu coś przebaczył, ani nic takiego, co ojciec mógłby przebaczyć. Miał dwie starsze siostry, które były pokojówkami w "Luarca" i dostały tam pracę dzięki temu, że pochodziły z tej samej wioski, co jedna z dawnych pokojówek w owym pensjonacie, która okazała się pracowita i uczciwa, i przez to wyrobiła swojej wsi i jej wytworom dobre imię. Te siostry opłaciły mu drogę autobusem do Madrytu i uzyskały dla niego posadę pomocnika kelnera. Pochodził z wioski z tej części Estremadury, gdzie warunki są niewiarygodnie prymitywne, żywności mało, a wygody nieznane, i pracował ciężko, odkąd mógł sięgnąć pamięcią.

Był dobrze zbudowany, miał bardzo czarne, lekko kędzierzawe włosy, zdrowe zęby, cerę, której mu zazdrościły siostry, i ochoczy, beztroski uśmiech. Ruszał się żwawo, swoje obowiązki wypełniał dobrze i kochał siostry, które wydawały mu się piękne i eleganckie; kochał też Madryt, będący dla niego wciąż jeszcze niebywałym miejscem, i kochał swoją pracę, która wykonywana w jaskrawym świetle, wśród czystych obrusów, w wieczorowym ubraniu, z obfitym pożywieniem w kuchni - zdawała się romantycznie piękna.

W "Luarca" mieszkało od ośmiu do dwunastu różnych osób, które stołowały się w salce jadalnej, ale dla Paco, najmłodszego z trzech usługujących kelnerów, istnieli naprawdę tylko toreadorzy.

W tym pensjonacie mieszkali drugorzędni matadorzy, bo punkt na Calle San Jeronimo był dobry, jedzenie doskonałe, a cena pokoju i wyżywienia niska. Dla toreadora jest rzeczą konieczną stwarzać pozory jeżeli nie dobrobytu, to przynajmniej zamożności, jako że decorum i godność stawiane są wyżej niż odwaga wśród zalet najbardziej cenionych w Hiszpanii; toteż toreadorzy siedzieli w "Luarca", dopóki nie rozeszły im się ostatnie pesety. Nie było wypadku, żeby któryś przeniósł się do lepszego czy droższego hotelu; drugorzędni nigdy nie stawiali się pierwszorzędnymi, natomiast z "Luarca" można było szybko stoczyć się w dół, ponieważ mógł tam mieszkać każdy, kto coś w ogóle zarabiał, a



gościowi nigdy nie przedstawiano rachunku, jeżeli o to nie prosił, chyba że kierowniczka pensjonatu widziała, że sprawa jest beznadziejna.

W owym czasie mieszkało w "Luarca" trzech pełnych matadorów oraz dwaj dobrzy pikadorzy i jeden doskonały banderillero. "Luarca" była luksusem dla pikadorów i banderillerów, którzy mając rodziny w Sewilli, musieli znaleźć sobie w Madrycie mieszkanie na sezon wiosenny; jednakże byli oni dobrze płatni i zatrudnieni na stałe przez matadorów mających kontrakty na cały nadchodzący sezon, i każdy z owych trzech podwładnych miał prawdopodobnie zarobić o wiele więcej niż którykolwiek z trzech matadorów. Z tych trzech matadorów jeden był chory i starał się to ukryć, drugi przeżył już swój krótki okres popularności, kiedy był rewelacją, a trzeci był tchórzem.

Ten tchórz, zanim na początku swojego pierwszego sezonu w charakterze pełnego matadora został szczególnie okrutnie raniony rogiem w dół brzucha, był niegdyś wyjątkowo odważny i niezwykle zręczny i nadal zachował wiele efektownych manieryzmów z okresu swoich sukcesów. Był ogromnie jowialny i śmiał się ustawicznie, z powodem i bez powodu. W czasach kiedy się cieszył powodzeniem, ogromnie lubił robić innym kawały, ale teraz już to zarzucił. Wymagały pewności siebie, której nie czuł. Ten matador miał inteligentną, otwartą twarz i nosił się z dużym fasonem.

Matador, który był chory, stanął się tego nigdy nie pokazywać i bardzo uważał, żeby zawsze zjeść po trochu każdej potrawy podawanej do stołu. Miał duży zapas chusteczek, które sam prał u siebie w pokoju, a ostatnio zaczął sprzedawać swoje toreadorskie stroje. Sprzedał tanio jeden przed Bożym Narodzeniem, a drugi w pierwszym tygodniu kwietnia. Były to stroje bardzo kosztowne, zawsze utrzymywane w dobrym stanie, i został mu jeszcze jeden. Nim zachorował, był bardzo obiecującym, a nawet sensacyjnym toreadorem, i chociaż sam czytać nie umiał, przechowywał wycinki z gazet, w których pisano, że podczas swojego debiutu w Madrycie był lepszy od Belmonta. Jadał samotnie przy małym stoliku i rzadko podnosił wzrok.

Matador, którego niegdyś uważano za rewelację, był bardzo niski, smagły i ogromnie godny. On także jadał samotnie przy osobnym stoliku, uśmiechał się bardzo rzadko, a nie śmiał się nigdy. Pochodził z Valladolid, gdzie ludzie są ogromnie poważni, i był zdolnym matadorem, ale jego styl wyszedł z mody, zanim on sam zdążył się stać ulubieńcem publiczności dzięki swoim zaletom, którymi były odwaga i spokojna zręczność, i jego nazwisko na afiszu nie przyciągało już nikogo na walkę. Rewelacją w nim było to, iż był tak niski, że ledwie sięgał głową ponad kłęb byka, ale istnieli też inni niscy toreadorzy, on zaś nigdy nie zdołał pozyskać sobie łask publiczności.

Z pikadorów jeden był chudy, siwowłosy, o jastrzębiej twarzy i drobnej budowie, ale ręce i nogi miał jak z żelaza i zawsze nosił pasterskie buty pod długimi spodniami, pił za wiele co wieczór i zerkał miłośnie na każdą kobietę w pensjonacie. Drugi był ogromny, ciemnowłosy, śniady, przystojny, z włosami czarnymi jak Indianin i olbrzymimi dłońmi. Obaj byli świetnymi pikadorami, chociaż pierwszy podobno stracił wiele ze swej umiejętności przez picie i rozpustę, a o drugim mówiono, że jest zanedo samowolny i kłótniwy, aby pozostać z którymkolwiek matadorem dłużej niż jeden sezon.

Banderillero był w średnim wieku, szpakowaty, zwinny jak kot mimo swoich lat, i kiedy siedział przy stole, wyglądał na dosyć zamożnego biznesmena. Nogi miał dobre jeszcze na ten sezon, a gdyby mu się popsuły, miał dość inteligencji i doświadczenia, żeby zapewnić sobie stałe zajęcie jeszcze na długi czas. Różnica polegałaby wtedy na tym, że utraciwszy szybkość w nogach, zawsze bałby się tam, gdzie teraz był pewny siebie i spokojny, zarówno na arenie jak poza nią.

Tego wieczora wszyscy już opuścili jadalnię poza pikadorem o jastrzębiej twarzy, który pił za dużo, licytorem ze znamionami na policzkach, który sprzedawał zegarki na hiszpańskich targach i festiwalach i także pił za dużo, oraz dwoma księżmi z Galicji, którzy siedzieli przy stoliku w kącie i pili, jeżeli nie za dużo, to w każdym razie wystarczająco. Naówczas w "Luarca" wliczano wino do ceny pokoju z utrzymaniem i kelnerzy właśnie przynieśli świeże butelki valdepenas do stolika licytatora, potem pikadora, wreszcie obu księży.

Trzej kelnerzy stali w głębi jadalni. W pensjonacie istniał przepis, że wszyscy oni winni pozostać na służbie, dopóki nie wyjdą goście, których obsługiwali, ale kelner, który podawał do stołu księży, umówił się na zebranie anarcho-syndykalistów, i Paco zgodził się przejąć od niego ten stolik.

Na piętrze matador, który był chory, leżał samotnie na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce. Matador, który już przestał być rewelacją, siedział i wyglądał przez okno, szykując się do wyjścia na kawę. Matador, który był tchórzem, miał u siebie w pokoju starszą siostrę Paco i usiłował nakłonić ją do zrobienia czegoś, czego mu ze śmiechem odmawiała. Matador ten mówił:

- No chodźże, mała dzikusko.
- Nie - odpowiedziała siostra. - A niby dlaczego?
- Zrób mi tę łaskę.
- Najadłeś się i teraz chcesz mnie na deser.
- Tylko raz. Co to może zaszkodzić?

- Zostaw mnie. Zostaw, mówię ci.

- To przecież taki drobiazg.

- Zostaw mnie, powiadam.

Na dole, w jadalni, najwyższy z kelnerów, który już był spóźniony na zebranie, powiedział:

- Patrzcie, jak te czarne świny piją.

- Nie można tak mówić - odparł drugi kelner. - To przyzwoici klienci. Nie piją za dużo.

- Ja uważam, że doskonale można tak mówić - powiedział wysoki. - To są dwa przekleństwa Hiszpanii: byki i księża.

- Na pewno nie poszczególne byki i nie poszczególni księża - odrzekł drugi kelner.

- Owszem - powiedział wysoki. - Tylko przez jednostkę można zaatakować klasę. Trzeba zabijać poszczególnego byka i poszczególnego księdza. Wtedy dopiero ich nie będzie.

- Schowaj to sobie na zebranie - rzekł drugi kelner.

- Patrz, jaki ten Madryt jest barbarzyński - powiedział wysoki kelner. - Już wpół do dwunastej, a ci wciąż żłopią.

- Zaczęli jeść dopiero o dziesiątej - odparł drugi kelner. - Jak wiesz, było sporo dań. Wino jest tanie i oni za nie zapłacili. To nie jest mocne wino.

- Jak może być solidarność robotników z takimi głupcami jak ty? - zapytał kelner.

- Słuchaj - rzekł drugi kelner, który był mężczyzną po pięćdziesiątce. - Ja pracowałem przez całe życie. I muszę pracować jeszcze przez resztę życia. Nie narzekam na pracę. Praca to rzecz normalna.

- Tak, ale brak pracy zabija.

- Ja zawsze pracowałem - powiedział starszy. - Idź już na to zebranie. Nie ma potrzeby tu czekać.

- Jesteś dobrym kolegą - rzekł wysoki kelner. - Ale zupełnie brakuje ci ideologii.

- Mejor si me falta eso que el otro - odparł starszy kelner (co znaczyło, że lepiej, aby brakowało tego niż pracy). - Idź na ten mityng.

Paco nie mówił nic. Nie rozumiał się jeszcze na polityce, ale zawsze czuł dreszczyk, kiedy słyszał, jak wysoki kelner mówi o konieczności zabijania księży i Guardia Civil. Wysoki kelner ucieleśniał dla niego rewolucję, a rewolucja była romantyczna. On sam bardzo by chciał być dobrym katolikiem, rewolucjonistą, mieć stałą posadę, taką jak ta, i jednocześnie być toreadorem.

- Idź na zebranie, Ignacio - powiedział. - Biorę na siebie twoją robotę.

- My obaj - dodał starszy kelner.

- Nie ma jej dosyć nawet na jednego - rzekł Paco. - Idź na zebranie.

- Pues me voy (A więc idę.) - powiedział wysoki kelner. - I dziękuję wam.

Tymczasem na piętrze siostra Paco wyrwała się z objęć matadora tak zręcznie jak zapaśnik wywijający się z uchwytu i powiedziała, teraz już rozgniewana:

- To są ci zgłodniali. Nieudany matador. Z tymi twoimi cetnarami strachu. Jeżeli masz tego tyle, to zachowaj sobie na arenę.

- Tak mówi kurwa.

- Kurwa to też kobieta, ale ja nie jestem kurwa.

- Jeszcze będziesz.

- Nie przez ciebie.

- Odejdź ode mnie - powtórzył matador, który teraz, gdy został odepchnięty i odtrącony, czuł powracającą nagość swojego tchórzostwa.

- Odejść od ciebie? Co od ciebie nie odeszło? - odpowiedziała siostra Paco. - Nie chcesz, żebym ci posłała łóżko? Za to mi płacą.

- Odejdź ode mnie - powtórzył matador, którego szeroka, przystojna twarz skurczyła się grymasem przypominającym płacz. - Ty dziwko. Ty parszywa dziwko.

- Matador - powiedziała zamykając drzwi za sobą. - Mójże matador!

W pokoju matador usiadł na łóżku. Na twarzy miał wciąż ów grymas, który na arenie przemieniał się w stały uśmiech, budzący lęk wśród tych, co siedzieli w pierwszych rzędach i wiedzieli, na co patrzą.

- Jeszcze i to - powiedział na głos. - I to. I to.

Pamiętał czasy, kiedy mu szło dobrze, a było to ledwie przed trzema laty. Pamiętał grubo haftowaną złotem kurtkę toreadorską, ciężącą mu na ramionach tamtego gorącego majowego popołudnia, kiedy jego głos był jeszcze taki sam na arenie jak w kawiarni, i to, jak mierzył po klindze z ostrzem wygiętym na końcu w to miejsce u góry łopatek, gdzie był pokryty pyłem, porośnięty krótką szczecina, czarny kłęb mięśni nad rozłożystymi, bodącymi drewno rogami o wyszczerbionych szpicach, które zniżały się, kiedy zadawał śmiertelne pchnięcie, i to, jak szpada weszła tak łatwo jak w kopiec jędrnego masła, i jego dłoń wpychała głowicę rękojeści, lewa ręka była opuszczona nisko, lewe ramię podane do przodu, ciężar ciała wsparty na lewej nodze, a potem nagle ciężar ciała już nie był oparty na nodze, ale na dole brzucha, i kiedy byk poderwał łeb, róg pogrążył się cały w ciele matadora, który okręcił się na rogu dwa razy, zanim go ściągnięto. Teraz więc, kiedy

zabijał, co zdarzało się rzadko, nie mógł patrzeć na rogi - i w ogóle czy jakaś dziwka może wiedzieć, co przechodził przed walką? Cóż przeszli ci, którzy śmieli się z niego? To wszystko kurwy, i niech ich szlag trafi.

Na dole, w jadalni, pikador siedział i przyglądał się księżom. Jeżeli w pokoju były kobiety, patrzył na nie. Jeżeli kobiet nie było, obserwował z satysfakcją jakiegoś cudzoziemca, un inglés, ale teraz, z braku kobiet i cudzoziemców, przypatrywał się z zadowoleniem i zuchwalstwem obu księżom. Kiedy tak patrzył, licytator ze znamionami na twarzy wstał i złożony serwetkę wyszedł zostawiając połowę ostatniej butelki wina, którą zamówił. Gdyby miał już uregulowany rachunek w "Luarca", byłby jej dokończył.

Dwaj księża nie patrzyli na pikadora. Jeden z nich mówił:

- Już dziesięć dni tu czekam, żeby się z nim zobaczyć, i po całych dniach przesiaduję w przedpokoju, a on nie chce mnie przyjąć.

- Co robić?

- Nic. Co można zrobić? Nie sposób działać na przekór władzy.

- Ja tu siedzę dwa tygodnie i nic. Czekam, a oni nie chcą się ze mną widzieć.

- Bo my jesteśmy z opuszczonego kraju. Jak nam się skończą pieniądze, możemy wracać.

- Do tego opuszczonego kraju. Co Madryt obchodzi Galicja? Jesteśmy biedną prowincją.

- Można zrozumieć postępek naszego brata Basilia.

- Mimo wszystko nie mam jednak zaufania do rzetelności Basilia Alvareza.

- W Madrycie człowiek się uczy rozumieć. Madryt zabija Hiszpanię.

- Gdyby po prostu zobaczyli się z człowiekiem i odmówili.

- Nie. Musi się być złamanym i wyczerpanym przez czekanie,

- Ano, zobaczymy. Mogę czekać równie dobrze jak każdy inny.

W tej chwili pikador podniósł się, podszedł do stolika księży i stanął przed nimi, siwowłosy, o jastrzębiej twarzy, wpatrując się w nich z uśmiechem.

- Torero - powiedział jeden ksiądz do drugiego.

- I to dobry - odrzekł pikador i wyszedł z jadalni, w swej szarej kurtce, wcięty w pasie, na krzywych nogach, w opiętych spodniach wypuszczonych na buty pasterskie z wysokimi obcasami, które stuknęły po podłodze, kiedy szedł zamaszystym, równym krokiem uśmiechając się do siebie. Żył w małym, ciasnym zawodowym świecie osobistej sprawności, conocnych alkoholowych tryumfów i zuchwalstwa. Teraz zapalił cygaro i nasadziwszy w hallu kapelusz na bakier, wyszedł do kawiarni.

Księża wyszli zaraz po pikadorze, uprzytomniwszy sobie nagle, że są ostatnimi gośćmi, i nie został tam nikt oprócz Paco i owego kelnera w średnim wieku. Sprzątnęli ze stołów i odnieśli butelki do kuchni.

W kuchni siedział chłopak, który zmywał naczynia. Był o trzy lata starszy od Paco, bardzo cyniczny i zajadły.

- Masz - powiedział starszy kelner i nalawszy valdepenas do szklanki podał mu ją.

- Czemu nie? - Chłopiec wziął szklankę.

- Tu, Paco - zapytał kelner.

- Dziękuję - odrzekł Paco. Wszyscy trzej wypili.

- Będę już szedł - powiedział kelner.

- Dobranoc - odrzekli.

Wyszedł i zostali sami. Paco wziął serwetkę, której używał jeden z księży, stanął wyprostowany, wsparty mocno na piętach, opuścił serwetkę i podążając głową za ruchem rąk przerzucił je za siebie wolnym, powłóczyстым zwrotem veronica (ruch toreadora, kiedy obraca się w miejscu z rozpostartą kapą). Obrócił się i wysunąwszy nieco prawą stopę wykonał drugi zwrot zdobywając nieco terenu na urojonym byku, po czym zrobił trzeci zwrot, powolny, doskonale wyliczony i gładki, wreszcie zebrał serwetkę przy pasie i uchylił się biodrami przed bykiem w mediaveronica.

Chłopiec zmywający naczynia, który na imię miał Enrique, obserwował go krytycznie i drwiąco.

- Jaki ten byk? - zapytał.

- Bardzo odważny - odrzekł Paco. - Patrz.

Stanął, smukły i wyprostowany, i zrobił jeszcze cztery bezbłędne zwroty, gładkie, wytworne i wdzięczne.

- A byk? - zapytał Enrique stojąc przy zlewie w fartuchu, ze szklanką wina w ręce.

- Ma jeszcze masę gazu - odparł Paco.

- Nudzisz mnie - rzekł Enrique.

- Czemu?

- Patrz.

Enrique zdjął fartuch i przyzywając urojonego byka wykonał cztery doskonale, niespieszne, cygańskie veronica, po czym zakończył rebolera, przy której fartuch zamiótł sztywnym łukiem po nosie byka, kiedy chłopak od niego odchodził.

- No, tylko popatrz - rzekł. - A ja zmywam naczynia.

- Dlaczego?

- Strach - odparł Enrique. - Miedo. Ten sam strach, który byś czuł na arenie przed bykiem.

- Nie - powiedział Paco. - Ja bym się nie bał.

- Leche! - rzekł Enrique. - Każdy się boi. Ale torrero umie opanować strach, żeby dać sobie radę z bykiem. Brałem raz udział w amatorskiej walce i tak się bałem, że nie mogłem wytrzymać i uciekłem. Wszyscy uważali, że to było bardzo śmieszne. Ty też byś się tak bał. Gdyby nie strach, każdy czyścibut w Hiszpanii byłby toreadorem. Ty, chłopak ze wsi, bałbyś się jeszcze gorzej ode mnie.

- Nie - powiedział Paco.

Za wiele razy robił to w wyobraźni. Za wiele razy widywał rogi, wilgotny pysk byka, drgające ucho, a potem łeb, który się opuszcza, i szarżę z łomotem kopyt, i rozgrzanego byka, co przelatuje obok, gdy on zamiata kapą - po to, by znów powrócić do szarży - i siebie powiewającego kapą znowu i znowu, i znowu, aż w końcu okręcał byka dookoła siebie we wspaniałej mediaveronica i odchodził rozkołysanym krokiem, z włosami byka wplątanymi w złote ozdoby kurtki po owych zwrotach z bliska; byk stał jak zahipnotyzowany, a tłumy klaskały. Nie, on by się nie bał. Inni tak. On nie. Wiedział, że by się nie bał. Nawet gdyby się kiedyś zląkł, potrafiłby to zrobić i tak. Ufał sobie.

- Nie bałbym się - powiedział.

Enrique znowu powtórzył: - Leche. - Potem rzekł: - A może byśmy spróbowali?

- Jak?

- Słuchaj - powiedział Enrique. - Ty myślisz o byku, ale nie myślisz o rogach. Byk ma taką siłę, że rogi prują jak nóż, kłują jak bagnet, a zabijają jak maczuga. Popatrz - otworzył szufladę i wyjął dwa noże do mięsa. Przywiążę je do nóg krzesła. Potem będę udawał byka trzymając krzesło przed głową. Noże będą rogami. Jeżeli wtedy zrobisz te swoje zwroty, to przynajmniej będą coś warte.

- Pożycz mi fartuch - rzekł Paco. - Zrobimy to w jadalni.

- Nie - powiedział Enrique, straciwszy nagle zajadłość. - Nie rób tego, Paco.

- I owszem - odrzekł Paco. - Ja się nie boję.

- Złękiesz się, jak zobaczysz te noże lecące na ciebie.

- Zobaczymy - powiedział Paco. - Daj fartuch.

W tym samym czasie - kiedy Enrique przytwierdzał do nóg krzesła dwiema brudnymi serwetkami oba noże ostre jak brzytwy, z ciężkimi ostrzami, przytrzymując je w połowie, okręcając mocno serwetki i wiążąc je w węzły - obie pokojówki, siostry Paco, były w drodze do kina, żeby obejrzeć Gretę Garbo w Annie Christie. Jeden z księży siedział w

bieliznie, czytając brewiarz, a drugi, w nocnej koszuli, odmawiając różaniec. Wszyscy toreadorzy z wyjątkiem tego chorego zjawili się jak co wieczór w "Cafe Fornos", gdzie wysoki czarnowłosy pikador grał teraz w bilard, a niski, poważny matador siedział przy obłożonym stoliku, mając przed sobą białą kawę, a obok banderillera w średnim wieku i kilku innych poważnych pracowników.

Lubiący popić, siwy pikador siedział nad kieliszkiem koniaku cazalas, wpatrując się z przyjemnością w stolik, przy którym matador, który stracił odwagę, siedział z innym matadorem, który wyrzekł się szpady, żeby na powrót zostać banderillerem, oraz dwiema mocno zużytymi prostytutkami.

Licytator stał na rogu ulicy rozmawiając ze znajomymi. Wysoki kelner był na zebraniu anarcho-syndykalistów i czekał na sposobność zabrania głosu. Kelner w średnim wieku siedział na tarasie "Cafe Alvarez", popijając małe piwo. Właścicielka pensjonatu "Luarca" już spała u siebie w łóżku; leżała na wznak, z poduszką między nogami, masywna, tłusta, uczciwa, czysta, beztroska, bardzo religijna, zawsze tęskniąca i modląca się co dzień za męża, który nie żył już od dwudziestu lat. Matador, który był chory, leżał w swoim pokoju twarzą do dołu na łóżku przyciskając usta do chustki.

W opustoszałej jadalni Enrique zawiązał ostatni węzeł na serwetkach, które przytwierdzały noże do nóg krzesła, i podniósł krzesło. Nastawił przed siebie jego nogi z nożami i przytrzymał krzesło nad głową tak, że noże sterczały na wprost, po obu stronach jego głowy.

- Ciężkie - powiedział. - Słuchaj, Paco. To bardzo niebezpieczne. Daj spokój. - Był spocony. Paco stanął naprzeciw niego z rozłożonym fartuchem, trzymając zebrane fałdy w obu rękach, z kciukami do góry a wskazującymi palcami do dołu, z fartuchem rozpostartym tak, aby zwrócić uwagę byka.

- Szarżuj na wprost - powiedział. - Zawróć tak jak byk. Szarżuj, ile razy chcesz.

- Jak będziesz wiedział, kiedy przerwać zwrot? - spytał Enrique. - Lepiej zrobić trzy, a potem media.

- Dobra - odrzekł Paco. - Ale leć prosto. Hu, torito! Chodź, byczku!

Biegąc ze schyloną głową Enrique natarł na niego, a Paco zamiótł fartuchem przed ostrzem noża, kiedy przelatywało tuż obok jego brzucha - i gdy go mijalo, było dla niego prawdziwym rogiem, czarnym i gładkim, z białym szpicem; a kiedy Enrique przebiegłszy zawrócił, by znowu natrzeć, zatupotało obok rozgrzane cielsko byka, z bokami zlanymi krwią, potem znów zawróciło jak kot i nadbiegło, gdy on powoli kołysał kapą. Potem byk zawrócił raz jeszcze i zaszarżował, i Paco obserwując nadlatujące ostrze wysunął lewą stopę



o dwa cale za daleko w przód, i nóż nie przemknął obok, ale wlaź tak łatwo jak w bukłak wina, i coś trysnęło gorąco, piekąco, wokół nagłej sztywności stali tam w środku i Enrique krzychał: - Ay! Ay! Daj mi wyciągnąć! Wyciągnąć! - a Paco osunął się w przód na krzesło, nadal trzymając fartuch-kapę, Enrique zaś ciągnął za krzesło, a nóż obracał się w nim, w nim, w Paco.

Teraz nóż był już wyciągnięty i Paco siedział na podłodze w poszerzającej się, ciepłej kałuży.

- Przyłóż sobie serwetkę. Przytrzymaj! - krzychał Enrique. - Przytrzymaj mocno. Ja lecę po doktora. Musisz zatrzymać krwotok.

- Powinna być gumowa nakładka - rzekł Paco. Widywał to na arenie.

- Ja biegłem prosto - powiedział Enrique płacząc. - Chciałem tylko pokazać ci, jakie to niebezpieczne.

- Nie martw się - rzekł Paco głosem, który brzmiał jakby z bardzo daleka. - Ale sprowadź doktora.

Na arenie podnosili człowieka i nieśli go biegiem do pokoju operacyjnego. Jeżeli arteria udowa opróżniła się, zanim tam dotarli, to wzywali księdza.

- Daj znać któremuś z księży - powiedział Paco przyciskając mocno serwetkę do dolnej części brzucha. Nie mógł uwierzyć, że mu się to stało.

Ale Enrique biegł już przez Carrera San Jeronimo do czynnego całą noc pogotowia, i Paco został sam, i najpierw siedział, potem skulił się, wreszcie opadł na podłogę, kiedy już było po wszystkim; czuł jak życie z niego uchodzi niby brudna woda z wanny, kiedy się wyjmie zatyckę. Bał się i było mu słabo, i próbował odmówić akt skruchy, i pamiętał, jak się zaczyna, ale zanim zdążył powiedzieć najprędzej, jak mógł: "O Boże mój, serdecznie żałuję, że obraziłem Ciebie, który jesteś godny całej mojej miłości, i mocno postanawiam...", poczuł, że mu za słabo, i przewrócił się twarzą na podłogę, i już bardzo szybko było po wszystkim. Przecięta arteria udowa opróżnia się prędzej, niż można sobie wyobrazić.

Kiedy doktor z pogotowia wchodził na schody w towarzystwie policjanta, który przytrzymał Enrique'a za ramię, obie siostry Paco były jeszcze w luksusowym kinie na Gran Via, gdzie mocno je rozczarował film z Gretą Garbo, który ukazywał wielką gwiazdę w nędznym, ubogim otoczeniu, podczas gdy obie przywykły widywać ją otoczoną wielkim przepychem i zbytkiem. Film bardzo się nie podobał publiczności, która protestowała gwizdami i tupaniem. Wszyscy inni mieszkańcy pensjonatu robili prawie to samo, co w chwili kiedy zdarzył się wypadek, tyle tylko, że księży zakończyli modlitwy i gotowali się do

snu, a siwowłosy pikador przeniósł się razem z koniakiem do stolika, przy którym siedziały owe dwie mocno zużyte prostytutki. Nieco później wyszedł z kawiarni z jedną z nich. Była to ta, której stawiał napitki matador, co stracił odwagę.

Młody Paco nigdy się nie dowiedział o tym wszystkim ani o tym, co ci ludzie mieli robić nazajutrz i następnych dni. Nie miał pojęcia, jak naprawdę żyli ani jak skończyli. Nie uświadamiał sobie nawet, że kiedyś skończyli. Umarł, jak mówią Hiszpanie, pełen złudzeń. W swym życiu nie zdążył utracić żadnego z nich ani nawet na końcu odmówić aktu skruchy.

Nie zdążył też rozczarować się filmem Grety Garbo, który przez tydzień rozczarowywał cały Madryt.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## ŚNIEGI KILIMANDŻARO

*Kilimandżaro to pokryta śniegiem góra, wysokości 19 710 stóp, o której powiadają, że jest najwyższa w Afryce. Szczyt zachodni znany jest pod nazwą "Ngaje Ngai", czyli Dom Boga. Tuż pod zachodnim szczytem leży wyschnięty i zamrożony szkielet lamparta. Nikt nie potrafił dotąd wytłumaczyć, czego mógł szukać lampart na tak wielkiej wysokości.*

- Właściwie to wspaniale, że przestało boleć - powiedział. - Po tym poznać, że się rozpoczęło.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością. Ale przykro mi z powodu zapachu. To musi być dla ciebie bardzo nieprzyjemne.

- Przestań. Proszę cię, przestań.

- Spójrz na nie - powiedział. - Ciekaw jestem, czy przyciąga je widok, czy zapach.

Łóżko polowe, na którym leżał mężczyzna, umieszczone było w szerokim cieniu drzewa mimozowego, a gdy patrzył poza strefę cienia ku jarzącej się w słońcu równinie, widział tam trzy ohydnie rozkraczone ptaki, podczas, gdy na niebie szybowało ich jeszcze co najmniej dwanaście, rzucając w przelocie szybkie, ruchome cienie.

- Krążą tu od dnia, kiedy zepsuła się nam ciężarówka - stwierdził. - Dzisiaj pierwszy raz zaczęły siadać na ziemi. Z początku, gdy jeszcze tak ostrożnie szybowały, przyglądałem się im uważnie, na wypadek gdybym chciał je kiedyś wykorzystać w jakimś opowiadaniu. Teraz wydaje mi się to śmieszne.

- Czy mógłbyś dać spokój?

- Ja tylko tak sobie gadam - powiedział. - Kiedy gadam, robi mi się lżej. Ale nie chciałbym ci sprawiać przykrości.

- Wiesz przecież, że mi nie sprawiasz przykrości - odpowiedziała. - Tylko że ta zupełna bezradność działa na nerwy. Musimy sobie jakoś radzić, aż nadleci samolot.

- Albo aż nie nadleci.

- Powiedz, czy mogę coś' dla ciebie zrobić. Na pewno coś się znajdzie.

- Mogłabyś mi odjąć nogę, co może powstrzyma proces, chociaż wątpię. Albo mogłabyś mnie zastrzelić. Nauczyłaś się świetnie strzelać. To ja cię nauczyłem.

- Proszę cię, nie mów tak. Czy mam ci poczytać?

- Co?

- Coś się chyba jeszcze znajdzie w worku z książkami.

- Nie mogę słuchać. Najlepiej mi jest, jak sam mówię. Sprzecząmy się i wtedy czas szybciej mija.

- Ja się nie sprzecząm. Nigdy nie chcę się sprzecząć. Nie sprzecząjmy się, nawet jak nam nerwy dokuczają. Może wrócą dzisiaj nową ciężarówką. Może nadleci samolot.

- Nie chcę się wcale stąd ruszać - powiedział mężczyzna. - To nie ma już żadnego sensu. Chyba żeby tobie ulżyć.

- Nie bądź tchórzem.

- Dajże człowiekowi spokojnie umrzeć bez obrzucania go wyzwiskami. Czemu mi wymyślasz?

- Nie umrzesz.

- Nie gadaj głupstw. Już teraz, w tej chwili umieram. Spytaj tych sukinsynów.

Spojrzał na wielkie, ohydne ptaki, które kucaly wtuliwszy gołe łby w zmierzwione pióra. Teraz czwarty ptak spłynął na ziemię i pobiegł ku tamtym, zrazu szybko, potem powoli, kiwając się jak kaczka.

- Zbierają się dokoła każdego obozu. Tylko że przedtem nie zwracałeś na nie uwagi. Nie umrzesz, jeżeli nie skapitulujesz.

- Gdzie to wyczytałaś? Straszna z ciebie idiotka.

- Mógłbyś się zająć kim innym.

- O, na litość boską! - krzyknął. - Robiłem to zawodowo całe życie.

Potem umilkł i leżał przez dłuższą chwilę patrząc poprzez rozedrganą upalnym powietrzem równinę na skraj buszu. Kilka antylop odcinało się tam od złotego tła swoją bielą i maleńkością, a dalej widać było stado zebr białych na tle zieleni. Dobrze to było miejsce na obóz. Pod wzgórzem, wśród rozłożystych drzew, ze świeżą wodą i w pobliżu wyschniętego niemal wodopoju, do którego rankiem zlatywały się pustynniki.

- Może ci jednak poczytać? - spytała. Siedziała koło jego łóżka na obciążonym brezentem krześle. - Zaczyna wiać lekki wiaterek.

- Nie, dziękuję.

- Może nadjedzie ciężarówka.

- Gwizdzą na ciężarówkę.

- A ja nie.

- Gwizdziesz na tyle rzeczy, na których mi zależy.

- Nie na tak wiele, Harry.

- Może byśmy się czegoś napili?

- To ci może zaszkodzić. Wyczytałam u Blacka, że należy unikać alkoholu. Nie powinieneś pić.

- Molo! - zawołał.

- Tak, Bwana.

- Przynieś whisky-soda.

- Tak, Bwana.

- Nie powinieneś pić - powtórzyła. - To jest właśnie kapitulacja. Zaszkodzi ci to, wiem, że ci zaszkodzi.

- Nie - upierał się. - Pomoże mi.

"A więc już jest po wszystkim - pomyślał. - A więc nie będzie można już niczego dokończyć. Więc tak to się kończy przy sprzeczce o kieliszek whisky." Od chwili kiedy gangrena zaatakowała prawą nogę, nie czuł już bólu, a wraz z bólem znikł strach i czuł już tylko ogromne zmęczenie i złość, że właśnie tak to wszystko się kończy. Tego, co za chwilę miało nastąpić, nie był naprawdę ciekaw. Dręczyło go od lat, ale teraz nie miało już znaczenia. Dziwna rzecz, jakie się to staje łatwe, kiedy się jest dostatecznie zmęczonym.

Wiedział, że nie weźmie się już teraz do tych wszystkich tematów, które - chował sobie na później, by pisać o nich wtedy dopiero, kiedy będzie umiał naprawdę dobrze pisać. Z drugiej strony teraz nie grozi mu już, że napisze źle. Kto wie, może dlatego te tematy odkładał tyle razy, że po prostu nie potrafił. Cóż, nie dowie się nigdy, jak to właściwie było.

- Zaczynam żałować, żeśmy tu przyjechali - odezwała się kobieta i przygryzła wargę. Patrzyła na niego, na szklankę w jego ręku. - W Paryżu nie mogłoby ci się nic podobnego zdarzyć. Zawsze mówiłeś, że kochasz Paryż. Moglibyśmy przecież zostać tam albo pojechać gdzie indziej. Pojechałabym gdziekolwiek. Zawsze ci mówiłam, że pojedę z tobą, gdzie tylko zechcesz. Jeżeli już chciałeś koniecznie polować, to mogliśmy pojechać na Węgry i mieć wszystkie wygody.

- Ty i twoje parszywe pieniądze - powiedział.

- Jesteś niesprawiedliwy - odparła. - Były zawsze równie twoje jak moje. Rzuciłam wszystko i jechałam, gdzie tylko miałeś ochotę, zawsze robiłam to co chciałeś. Ale wolałabym, żebyśmy tutaj nie przyjeżdżali.

- Mówiłaś, że ci się tu bardzo podoba.

- Mówiłam tak, kiedy byłeś zdrow. Ale teraz nienawidzę tego kraju. Dlaczego musiałeś się skaleczyć w nogę? Dlaczego właśnie nam musiało się coś takiego przytrafić?

- Prawdopodobnie wszystko poszło stąd, że zapomniałem zajodynować to miejsce, kiedy się zadrapałem. Potem nie zwracałem uwagi na nogę, bo nigdy w życiu nie ropiała mi

żadna rana. A później, kiedy zaczęło się to paskudzić i wszystkie inne środki dezynfekcyjne wyczerpały się, używałem niepotrzebnie tego słabego roztworu kwasu karbolowego, który sparaliżował drobne naczynia krwionośne i spowodował gangrenę. - Spojrzał na nią. - Co ci mam jeszcze powiedzieć?

- Nie o to mi chodzi.

- Gdybyśmy na przykład wynajęli dobrego mechanika zamiast tego niedowarzonego kikujskiego kierowcy, sprawdziliby poziom oliwy i nie przepaliłyby się łożyska w ciężarówce.

- Nie o to mi chodzi.

- Gdybyś nie zerwała dla mnie z rodziną, z twoją przeklętą rodziną z Old Westbury, z Saratogi, z Palm Beach, to...

- Przecież kochałam cię. Jesteś strasznie niesprawiedliwy. Kocham cię i teraz. Będę cię zawsze kochała. A ty, czy kochasz mnie jeszcze?

- Nie - odparł mężczyzna. - Nie, nie sądzę. Nigdy cię nie kochałem.

- Harry! Co ty mówisz? Rozum ci się pomieszał. - Nie mam rozumu i nie miało mi się co pomieszać.

- Nie pij - błagała. - Proszę cię, kochanie, nie pij więcej. Musimy robić wszystko, co w naszej mocy.

- Ty rób - odpowiedział. - Ja jestem zmęczony.

*Oczyrna wyobraźni widział znów dworzec w Karagaczu, gdzie stał ze swoim tornistrem. Reflektor ekspresu Simplon-Orient przecinał ciemność nocy; było już po wszystkim, a on opuszczał Trację po porażce Greków. To był jeden z tych tematów, których opisanie chował sobie na później wraz z takim jak ów ranek, kiedy przy śniadaniu sekretarka Nansena patrząc na śniegi Bułgarii spytała starego, czy to śnieg, a stary wyjrzawszy przez okno powiedział, że nie, to nie śnieg. Za wcześnie jeszcze na śnieg. I sekretarka powtórzyła wszystkim dziewczętom, że nie, widzicie, że to nie śnieg. Na to one wszystkie, że to nie śnieg, że myliły się. Ale to był śnieg i w ten śnieg posłał je, kiedy rozwinął akcją wymiany ludności. W śniegu tym brodziły i ginęły tej właśnie zimy.*

*Śnieg padał też przez cały tydzień, przez całe święta Bożego Narodzenia, owego roku w Gauertalu. Mieszkali w domku drwala, a wielki kwadratowy kaflowy piec wypełniał połowę pokoju. Spali na materacach wypchanych liśćmi buku. I wtedy właśnie zjawił się dezenter z pokrwawionymi nogami. Powiedział, że policja jest na jego*

tropie, wiać dali mu wełniane skarpetki i rozmową zatrzymali żandarmów, dopóki śnieg nie pokrył śladów.

*W Schrunzu w pierwszy dzień Bożego Narodzenia śnieg był taki jaskrawobiały, że bolały oczy, gdy patrzyło się nań wprost z weinstuby, przyglądając się ludziom wracającym z kościoła. Tam też szli wygładzoną saniami, wyżółcona moczem drogą, prowadzącą wzdłuż rzeczki ku stromym, zalesionym wzgórzom, niosąc ciężkie narty na ramionach. Potem zjeżdżali wielką trasą na lodowiec mijając Madlener Haus, a śnieg był gładki jak lukier i lekki jak puder. Pamięta? jeszcze swój bezszelestny pad, gdy jak ptak opadał w dolinę.*

*Zasypało ich w Madlener Haus i przez tydzień siedzieli w domu, podczas gdy na dworze szalała wichura, i przy zakopconej lampie grali w karty, a stawki były coraz wyższe, w miarę jak pan Lent przegrywał. W końcu przegrał wszystko. Fundusze szkoły narciarskiej, cały dochód sezonu i wreszcie wszystkie swoje oszczędności. Widział go wyraźnie, jego i jego długi nos, jak zbierał swoje karty i odzywał się "na ślepo". Wtedy często grano w karty. Grano, kiedy nie było śniegu, i grano, kiedy było go za dużo. Myślał o tych wszystkich okresach swojego życia, które spędził przy kartach.*

*Lecz nie napisał przecież o tym ani jednego wiersza. Podobnie jak nigdy nie pisał o owym zimnym, jasnym dniu Bożego Narodzenia, kiedy to przez równinę góry widoczne były jak na dłoni i kiedy Johnson przeleciał ponad frontem, by zbombardować pociąg wiozący oficerów austriackich na urlop. Gdy rozpierzchli się i rozbiegli, walił do nich z karabinu maszynowego. Pamiętał, jak później Johnson przyszedł do mesy i jak zaczął im opowiadać o tym wszystkim. I jaka zaległa cisza, i jak w tej ciszy ktoś nagle powiedział: "Ty łotrze jeden, ty sukinsynu."*

*Z tymi samymi Austriakami, których wtedy zabijali, jeździli później na nartach. Nie, nie z tymi samymi. Hans, z którym jeździł przez cały ów rok, był w strzelcach królewskich, a gdy raz poszli razem na zajęcia, opowiadali sobie o walkach nad Pasubio i o ataku na Pertikę i na Asalone. I o tym też nigdy nie napisał. Ani o Monte Corno, ani o Siete Commun, ani o Arsiedo.*

*Ileż to zim spędził w Arlbergu i w Vorarlbergu? Cztery. I zaraz przypomniał sobie człowieka, który miał na sprzedaż lisa. Spotkali go w Bludenz, dokąd poszli, żeby zakupić upominki. I przypomniał mu się też wiśniowopestkowy smak kirszu i szybkość pędu, gdy zjeżdżało się po świeżym śniegu, nawarstwionym na lodzie, śpiewając: "Hej! Ho! - rzekł Rally!", i ostatni odcinek tuż przed stromym spadkiem, który brało się wprost, by zaraz, w trzech zakrętach, przelecieć przez sad i poprzez rów i wpaść na oblodzoną szosą tuż*

*przy zajeździe. Odpinało się szybko wiązania, zrzucało się narty z nóg, ustawiało się je pod drewnianą ścianą, podczas gdy przez okno padało na dwór światło lampy z ciepłego, zadymionego, pachnącego młodym winem wnętrza, skąd dochodziły dźwięki harmonii.*

- Gdzie mieszkaliśmy w Paryżu? - spytał kobietę, która teraz, w Afryce, siedziała przy nim na krzeselku.

- W "Crillonie". Przecież pamiętasz.

- Dlaczego mam pamiętać?

- Zawsze tam mieszkaliśmy.

- Nie. Nie zawsze.

- Tam albo w "Pavillon Henri Quatre" w Saint Germain. Mówiłeś, że kochasz ten krajobraz.

- Miłość to kupa śmieci - powiedział Harry. - A ja jestem kogutem, który wskakuje na nią i pieje.

- Jeżeli już musisz odejść, to czy koniecznie trzeba, żebyś zabił przedtem wszystko, co zostawiasz? Czy musisz wszystko zabrać? Czy musisz koniecznie zabić swojego konia i żonę i spalić siodło i zbroję?

- Tak jest - odpowiedział. - Twoje przeklęte pieniądze były moją zbroją.

- Przestań.

- Dobrze, dam już spokój. Nie chcę ci robić przykrości.

- Trochę za późno sobie o tym przypomniałeś.

- No więc dobrze. Będę przykry. To zabawniejsze. Jedyna rzecz, którą z tobą naprawdę lubiłem robić, jest teraz niemożliwa.

- To nieprawda. Lubiłeś robić ze mną wiele rzeczy. A ja robiłam wszystko, co chciałeś.

- O, przestań się już chwalić.

Spojrzał na nią i spostrzegł, że płacze.

- Posłuchaj - powiedział. - Czy myślisz, że ja to wszystko mówię dla przyjemności? Sam nie wiem, po co i dlaczego. Przypuszczam, że człowiek próbując ratować się od śmierci zabija innych. Gdy rozpoczęliśmy tę rozmowę, wszystko było dobrze. Nie chciałem nic takiego powiedzieć. Ale nie wiem, co się ze mną stało, chyba zwariowałem i jestem okrutny. Ale, kochanie, nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Kocham cię naprawdę. Wiesz, że cię kocham. Nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie.



Bez trudu wśliznął się w to stare, wyświechtane kłamstwo.

- Jesteś taki dobry!

- Ty kurwo! - zawołał. - Ty bogata kurwo! Czy nie brzmi to romantycznie? Jestem pełen poezji. Pełen gangreny i poezji. Pełen zgangrenowanej poezji.

- Przestań, Harry, przestań! Znowu diabeł wszedł w ciebie.

- Nie, nie lubię niczego zostawiać - powiedział teraz mężczyzna. - Nie lubię niczego zostawiać za sobą.

Zbudził się z drzemki. Był wieczór. Słońce zaszło za wzgórze, cała równina pokryta była cieniem, a dokoła obozu różne małe zwierzęta gromadziły się w poszukiwaniu żeru. Przyglądał się im, jak pośpiesznie kiwały łebkami i jak machały ogonami, trzymając się z daleka od buszu. Ptaki nie siedziały już na ziemi. Zgromadziły się wszystkie gęsto na pobliskim drzewie. Było ich więcej. Przy łóżku siedział teraz boy.

- Memsahib poszła strzelać - oświadczył. - Czy Bwana co chce?

- Nie.

Poszła widocznie upolować coś do jedzenia, a wiedząc, jak bardzo lubi przyglądać się polowaniu, odeszła daleko, by nie zakłócić spokoju małego wycinka równiny, jaki leżał w zasięgu jego wzroku. „Do wszystkiego przykłada wagę - pomyślał. - Do wszystkiego, co kiedykolwiek czytała, słyszała czy widziała.”

Nie było wreszcie jej winą, że gdy przyszedł do niej, było już po wszystkim. Jakże mogła wiedzieć, że wszystko, co mówił, nie miało już żadnego znaczenia, że mówił z przyzwyczajenia i dla świętego spokoju. Kiedy wcale już nie myślał tego, co mówił, kłamstwa przynosiły mu znacznie większe sukcesy u kobiet niż prawda, kiedy jeszcze mówił im prawdę.

Nie tyle zresztą może kłamał, ile po prostu nie miał już żadnych prawd do powiedzenia. Przeżył swoje życie, było skończone, ale jakoś żył dalej, tylko że wśród zupełnie nowych ludzi, z większą ilością pieniędzy, w najlepszych ze znanych mu miast i w paru nowych.

Starał się w ogóle nie myśleć i wszystko szło jak najlepiej. Był obdarzony znakomicie funkcjonującym organizmem, toteż nie zszedł na psy jak większość przyjaciół i udawał, że nie interesuje go już praca, jaką wykonywał dawniej, skoro przecież i tak już jej wykonywać nie mógł. Ale wmawiał sobie, że kiedyś opíše jeszcze tych wszystkich ludzi, tych bogatych, że w gruncie rzeczy nie jest jednym z nich, lecz szpiegiem w ich krainie, że pewnego dnia opuści ją i zacznie pisać o niej i że będzie to dla odmiany opowieść człowieka, który wie, o

czym pisze. Ale przecież wiadomo było, że nie napisze już nic, każdy dzień bowiem spędzony na niepisaniu, w komforcie, w towarzystwie ludzi, którymi pogardzał, osłabiał jego wrażliwość, jego wolę do pracy, w końcu więc zupełnie przestał pracować. Ludzie, wśród których teraz się obracał, czuli się znacznie lepiej w jego towarzystwie, kiedy nic nie robił. W dobrym okresie swego życia był bardzo szczęśliwy w Afryce, toteż przyjechał tu, aby raz jeszcze wystartować. Zorganizowali to safari w sposób jak najprymitywniejszy. Nie stworzyli sobie specjalnych niewygód, ale unikali też wszelkiego zbytku i wyobrażał sobie, że wróci w ten sposób do formy. Że w ten sposób zrzuci z duszy warstwy tłuszczu, które tam narosły, podobnie jak zawodnik idzie w góry, aby pracą i wysiłkiem spalić nadmiar ciała.

Była z tego zadowolona. Przynajmniej tak mówiła. Lubiła wszystko, co podniecało, co dawało zmianę otoczenia, wprowadzało nowych ludzi, nowe przyjemności. A on oddawał się iluzji, że wstępuje w niego nowa ochota do pracy. Ale jeżeli teraz wszystko się kończyło, a wiedział, że się kończy, to niechże przynajmniej nie wije się jak żmija, która gryzie siebie samą, bo złamano jej kręgosłup. Ta kobieta nic nie była winna. Gdyby nie ona, byłaby inna na jej miejscu. Skoro żył kłamstwem, mógł ostatecznie umrzeć w kłamstwie. Zza wzgórza doszedł go odgłos strzału.

Strzelała znakomicie ta jego dobra, ta jego bogata kurwa, ta dobrotliwa opiekunka i niszczycielka jego talentu. Bzdura! Sam zniszczył swój talent. Dlaczego próbuje zwać wszystko na kobietę, która utrzymywała go w takim dostatku? Zniszczył swój talent, bo przestał go używać, bo zdradził samego siebie i wszystko, w co niegdyś wierzył, bo za dużo pił i stąpił tym samym ostrzem swojej wrażliwości, zniszczył go przez lenistwo, przez snobizm, przez niechlujstwo, przez pychę i dumę, przez wzloty i upadki. A cóż to znowu? Katalog starych książek? Czym był wreszcie ten jego talent? Miał go na pewno, ale kupczył nim zamiast używać. Nie ujawniał go nigdy w tym, co robił, lecz w tym, co mógłby zrobić. Zresztą nie zarabiał na życie ani piórem, ani ołówkiem, ale wybrał sobie zupełnie inny sposób. Czyż nie było dziwne, że ilekroć kochał się w jakiejś kobiecie, była ona z reguły bogatsza od swojej poprzedniczki? A gdy nie umiał już kochać, gdy już tylko kłamał tak jak teraz, tak jak tej kobiecie, która miała więcej pieniędzy od tamtych wszystkich, która miała najwięcej pieniędzy na świecie, która miała też niegdyś męża i dzieci, która brała sobie kochanków i rzucała ich, a która kochała go jako pisarza, jako mężczyznę, jako towarzysza życia i jako swoją najcenniejszą własność, czyż nie było rzeczą dziwną, że tej, której nie kochał wcale i której kłamał bez przerwy, że tej potrafił dać więcej za jej pieniądze niż tym, które kochał naprawdę?

“Každy z nas - pomyślał - stworzony jest do tego, co robi. Talent objawia się w tej dziedzinie, w której zarabia się na życie.” Od najmłodszych lat sprzedawał swoją żywotność w takiej czy innej postaci i przekonał się, że kiedy nie był zaangażowany uczuciowo, dawał lepszy towar. Przekonał się o tym, ale już nigdy o tym nie napisze. Nie, nie napisze już o tym, chociaż warto by o tym napisać.

Spostrzegł ją, jak szła przez równinę w stronę obozu. Miała na sobie spodnie do konnej jazdy, w rękę trzymała strzelbę. Za nią dwaj chłopcy nieśli na kiju ustrzeloną antylopę, małego duckerka. “Jest wciąż jeszcze przystojna - pomyślał - i ma przyjemne ciało.” Miała prawdziwy talent i zamiłowanie do spraw łóżkowych i choć nie była ładna, lubił jej twarz. Czytała dużo, chętnie jeździła konno, namiętnie polowała i stanowczo za dużo piła. Mąż jej umarł, gdy była jeszcze stosunkowo młodą kobietą, i przez pewien czas poświęciła się całkowicie swoim dwojgu podrastającym dzieciom, które jej nie potrzebowały i które jej obecność krępowała, oraz swoim stajniom i książkom, i wreszcie butelce. Przed kolacją lubiła czytać, a czytając piła whisky z wodą sodową. Przy kolacji była już lekko wstawiona, a wypiwszy jeszcze butelkę wina była zwykle dość pijana, by móc usnąć.

Tak było, zanim zaczęła mieć kochanków. Gdy już zaczęła mieć kochanków, nie piła tak dużo, gdyż nie musiała się już upijać, żeby zasnąć. Lecz kochankowie nudzili ją. Miała męża, z którym się nigdy nie nudziła, a ci ludzie nudzili ją naprawdę bardzo.

Potem jedno z dzieci zginęło w wypadku samolotowym i potem nie chciała już kochanków, a wobec tego, że alkohol przestał być dla niej środkiem znieczulającym, musiała urządzić sobie zupełnie nowe życie. Zaczęła się nagle bać samotności. Ale chciała mieć przy sobie kogoś, kogo przynajmniej mogłaby szanować.

Zaczęło się bardzo banalnie. Lubiła jego utwory i podziwiała jego tryb życia. Wyobrażała sobie, że on robi tylko to, na co ma ochotę. Kroki, jakie przedsięwzięła, by go zdobyć, i przyczyny, dla których w końcu zakochała się w nim, były żelazną, konsekwencją nowego życia, jakie starała się sobie zbudować, a on po prostu sprzedawał to, co pozostało mu jeszcze z dawnego życia.

Sprzedawał za pieniądze, to pewne, za komfort i za co jeszcze? Nie wiedział dobrze. Kupiłaby mu wszystko, czego by zażądał. To było pewne. Poza tym była wyjątkowo miłą kobietą. Szedł z nią do łóżka równie chętnie jak z każdą inną, a może nawet chętniej, bo była bogata, bo była wdzięczna, bo była miła i nigdy nie robiła scen. A teraz to nowe życie, które zbudowała, znów zbliżało się do końca, i to dlatego, że dwa tygodnie temu nie zajadynował kolana, które zadrapał o jakieś ciernie, gdy przedzierał się przez busz, by

sfotografować stado antylop, co stały z wysoko uniesionymi łbami i wypatrywały czegoś wężąc nozdrzami, z uszami nastawionymi na najmniejszy szmer, na odgłos którego rzuciłyby się jak szalone w zarośla. I tak się też stało, uciekły, zanim zdołał zrobić zdjęcie.

Nadeszła.

Zwrócił głowę w jej stronę i spojrzął na nią z bliska.

- Halo! - powiedział.

- Zastrzeliłam duckerka - oświadczyła. - Będziesz miał dobry rosół. Każę im też zrobić puree z kartofli. Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej.

- To świetnie. Wiesz, pomyślałam, że pewnie ci się teraz polepszy. Spałeś, kiedy odchodziłam.

- Uciałem sobie przyjemną drzemkę. Czy byłaś daleko?

- Nie. Tylko za wzgórzem. Udał mi się ten strzał.

- Świetnie strzelasz.

- Lubię polowanie. Lubię Afrykę. Wiesz, gdyby nie twoja choroba, byłyby to nasza najprzyjemniejsza podróż. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile radości sprawia mi polowanie z tobą. No i kraj jest piękny.

- I mnie się tu podoba.

- Kochanie, nie wiesz nawet, jak się cieszę, że się lepiej czujesz. Przedtem, kiedy byłeś taki dziwny, było mi strasznie przykro. Nie będziesz już nigdy tak mówił do mnie, prawda? Przymknij.

- Nie - odpowiedział. - Zresztą nie pamiętam, co mówiłem.

- Nie dręcz mnie. Nie powinieneś mnie dręczyć. Jestem tylko niemłodą kobietą, która cię bardzo kocha i chce robić to, co ty chcesz. Nieraz mnie już w życiu dręczono. Nie chcesz mnie chyba zamęczyć.

- Chciałbym cię zamęczyć kilka razy, ale w łóżku - powiedział.

- Tak. To najlepszy sposób. Tak powinno być. Samolot przyleci jutro.

- Skąd wiesz?

- Jestem pewna. Musi przylecieć. Chłopcy przygotowali już drzewo i trawę do podpalenia. Oglądałam pole dzisiaj rano. Jest dosyć miejsca na lądowanie i sterty trawy ułożone są na obu krańcach.

- Dlaczego myślisz, że przyleci jutro?

- Jestem przekonana. Właściwie już się spóźnił. Jak dostaniemy się do miasta, to opatrzą ci nogę i będziemy się mogli znów na dobre niszczyć, ale nie gadaniem.

- Napijmy się czegoś. Słońce już zaszło.
- Czy ci to nie zaszkodzi?
- Na pewno nie.
- No, to napiję się z tobą. Molo, letti dui whisky-soda! - zawołała.
- Powinnaś włożyć wysokie buty, bo pogryzą cię moskity - powiedział.
- Włożę je już po kąpieli.

Pili. A tuż przed nastaniem nocy, kiedy za mało było już światła dla myśliwych, na równinie ukazała się hiena w swojej drodze za wzgórze.

- To ścierwo przechodzi tędy, co wieczór - powiedział - od dwóch tygodni.
- To ona tak wyje po nocach. Mnie to nie przeszkadza. Ale to paskudne stworzenie.

Teraz gdy pili razem, gdy nie odczuwał żadnego bólu, tylko lekkie zdrętwienie mięśni od leżenia w jednej pozycji, gdy obserwowali boyów rozpalających ognisko i długie ich cienie tańczące po ścianach namiotu, poczuł, że wraca stare uczucie zadowolenia z tego łatwego życia. Naprawdę była dla niego dobra. Po południu był niesprawiedliwy i okrutny. Była to wspaniała kobieta, naprawdę wspaniała. I w tej samej chwili uświadomił sobie, że musi umrzeć.

Świadomość ta przyszła nagle wielką falą. Ale nie jako fala wody czy wiatru, lecz jako cuchnąca fala samotności, na której grzbiecie kołysała się leciutko hiena.

- Co ci jest, Harry? - spytała.
- Nic - odpowiedział. - Lepiej przesiądź się na drugą stronę, żebyś nie siedziała pod wiatr.
- Czy Molo zmienił opatrunek?
- Zmienił. Teraz używa już tylko kwasu bornego.
- Jak się czujesz?
- Dziwnie.
- Pójdę się wykąpać - oświadczyła. - Wrócę za chwilę. Zjemy razem kolację, a potem wstawimy twoje łóżko do namiotu.

"A więc - powiedział do siebie - dobrze, żeśmy przestali się kłócić." Z tą kobietą nigdy się nie kłócił, podczas gdy z tamtymi, które kochał naprawdę, kłócił się tak gwałtownie i tak często, że w końcu w kłótniach tych ginęło powoli uczucie. Za bardzo kochał, za wiele wymagał i w końcu marnował wszystko.

*Myślał o okresie konstantynopolskim i o kłótniach paryskich, które poprzedziły wyjazd. Łajdaczył się przez cały czas, a gdy to się skończyło i gdy zobaczył, że nie potrafi*

zabić swojej samotności, a tylko ją pogarsza, napisał do niej, do tej pierwszej, do tej, która go opuściła, o tym właśnie, że nie potrafi zabić samotności... I o tym, że raz, gdy stał przed kawiarnią "Régence", wydało mu się, że widzi jej sylwetkę, i że zrobiło mu się mdło i słabo, i że potrafił godzinami chodzić bulwem za jakąś kobietą, która mu ją przypominała, bojąc się sprawdzić, że to nie ona, i bojąc się jednocześnie stracić uczucie nadziei. I o tym, że ilekroć spał z jakąś kobietą, było mu jeszcze bardziej tęskno za nią. I o tym, że to, co zrobiła, nie ma żadnego znaczenia, albowiem nie potrafi się nigdy wyleczyć z miłości do niej. Pisał ten list zupełnie na trzeźwo w klubie i wysłał go do Nowego Jorku z prośbą, by odpisała na adres paryskiego biura. To wydało mu się najpewniejsze. I tegoż wieczoru tęsknił za nią tak okropnie, że poczuł w sobie straszliwą pustkę i wyszedł na miasto, i pod "Taximem" przygadał sobie jakąś dziewczynę, i zaprosił ją na kolację. Po kolacji poszedł z nią na dansing, ale tańczyła kiepsko i zamienił ją na jakąś armeńską dziwkę, która ocierała się o niego brzuchem tak mocno, że aż parzyło. Zabrał ją jakimś angielskiemu podoficerowi artylerii po grubszej awanturze. Artylerzysta poprosił go na dwór i tam, na chodniku, bili się ze sobą w zupełnych ciemnościach. Najpierw uderzył go dwa razy mocno w szczękę, a gdy tamten nie upadł, wiedział już, że będzie to dłuższa bójka. Artylerzysta walnął go w pierś, a potem w kość policzkową. Wtedy on zamachnął się lewą ręką i trafił, a artylerzysta rzucił się na niego, chwycił go za pole marynarki i oddał mu rękaw, a on rąbnął go dwa razy prawą pięścią za ucho, a gdy odpychał go, tamten trafił jeszcze raz prawą. Gdy artylerzysta wreszcie upadł, wyrzwał głową o chodnik, on porwał dziewczynę i zaczął z nią uciekać, gdyż już słychać było kroki zbliżających się kanarków. Wsiadli do taksówki i pojechali nad Bosfor do "Rimmily Hissa" i z powrotem, a noc była chłodna, potem poszli do łóżka, a ona była właśnie taka, jak się spodziewał, trochę przejrzała, ale gładka, różowa, różana, słodka jak ulepek, gładkobrzucha i piersiasta, i nie trzeba było jej kłaść poduszek pod pośladki. Odszedł z pierwszym brzaskiem poranka, ostrożnie, by jej nie zbudzić, i zjawił się w "Pera Palace" z podbitym okiem i z marynarką o urwanym rękawie pod pachą. Też nocy odjechał do Anatolii i pamięta, że później, w czasie tej podróży, jechali przez cały jeden dzień przez pola maków uprawianych na opium. Dziwne to było uczucie i po pewnym czasie zatracano się świadomość odległości. Dojechali do miejsca, skąd ruszyli do ataku z nowo przybyłymi oficerami z Konstantynopola, którzy nie mieli zielonego pojęcia o niczym, a artyleria zaczęła walić we własne oddziały i brytyjski obserwator płakał jak dziecko.

Tegoż dnia po raz pierwszy w życiu zobaczył zabitych żołnierzy w białych spódnickach baletowych i w spiczastych pantofelkach opatrzonych pomponami. Turcy

nacierali systematycznie grupami i widział, jak mężczyźni w spódniczkach uciekali, a oficerowie strzelali do nich, a potem sami też uciekali. Wreszcie i on, i brytyjski obserwator zaczęli biec i biegli szybko. Płuca bolały nieznośnie, a w ustach miał smak metalu. Zatrzymali się za jakimiś głazami, a Turcy nadchodzili tą samą niepowstrzymaną falą. Później widział rzeczy, o których nawet myśleć się nie chciało, a nieco później rzeczy jeszcze straszniejsze. Toteż gdy powrócił do Paryża, nie chciał mówić i nie mógł nawet znieść, gdy ktoś wspominał o tamtych sprawach. Kiedyś na tarasie kawiarni paryskiej zobaczył tego poetę amerykańskiego o durnej, kartoflanej twarzy, siedzącego przy stoliku przed stertą spodków i rozmawiającego o dadaizmie z jakimś Rumunem, który twierdził, że nazywa się Tristan Tsara, i cierpiął na wieczne bóle głowy, a w oku nosił monokl. Potem wrócił do domu, do żony, którą teraz znów kochał zapomniawszy o tamtych klótniach, o tym całym szaleństwie, szczęśliwy, że jest w domu - i wtedy właśnie przesłano mu z biura pocztę.

Rano przyniesiono mu kilka listów na tacy i gdy zobaczył charakter pisma, zrobiło mu się zimno i gorąco i usiłował ukryć list pod stosem, innych kopert; ale żona zaraz spytała: "Od kogo jest ten list, kochanie?", i to był początek końca tej historii.

Pamiętał je wszystkie, pamiętał wszystkie dobre chwile spędzone z nimi i wszystkie klótnie i awantury. Na te swoje klótnie wybierali sobie najpiękniejsze miejsca na kuli ziemskiej. Dlaczego zawsze zaczynały się klócić, kiedy czuł się najlepiej? Nigdy o tym nie pisał. Z początku dlatego, że nie chciał im sprawić przykrości, a potem dlatego, że uważał, iż jest dość innych spraw do opisywania. Ale przecież wiedział, że kiedyś w końcu będzie o tym pisał. Tyle zostało jeszcze do napisania. Widział zmiany zachodzące w samym świecie, nie tylko w wydarzeniach. Bywał świadkiem wielu wydarzeń i obserwował ludzi. Widział w nich głębsze, subtelniejsze zmiany i pamiętał ich z najróżniejszych okresów życia. Był sam częścią tych wydarzeń, był ich świadkiem i obowiązkiem jego było pisanie o nich; ale teraz już na to za późno.

- Jak się czujesz? - spytała. Wyszła z namiotu po kąpieli.

- Dobrze.

- Czy zjadłbyś coś? - Za nią stał Molo ze składanym stolikiem i drugi boy z talerzami.

- Chciałbym pisać - powiedział.

- Napij się przynajmniej rosołu, musisz podtrzymać siły.

- Umrę dziś w nocy - powiedział spokojnie. - Nie potrzebują podtrzymywać swoich sił.

- Błagam cię, Harry - powiedziała - nie bądź melodramaty czny.

- Dlaczego nie powąchasz? Noga zgniła już do połowy uda. Po jaką cholere mam się paprać z rosołem? Molo, dawaj whisky-soda.

- Proszę cię, napij się rosołu - prosiła łagodnym głosem.

- No, dobrze.

Rosół był za gorący. Musiał trzymać kubek przez dłuższą chwilę, zanim płyn w nim wystygł dostatecznie, a potem z trudem połknął go pokonując uczucie mdłości.

- Jesteś wspaniała - oświadczył. - Nie zwracaj na mnie uwagi, dobrze?

Patrzyła na niego i on patrzył na jej tak dobrze znaną, tak kochaną twarz z okładki "Town and Country" i "Spura", może trochę zniszczoną alkoholem, może trochę zmęczoną od uprawiania miłości. Ale przecież w "Town and Country" nigdy nie pokazywali jej jędrnych piersi i świetnych ud, i tych wprawnych w pieśczętach rąk. I gdy tak patrzył i widział jej jakże znajomy, miły uśmiech, poczuł znów nadchodzącą śmierć. Tym razem uczucie to nie przyszło falą. Tym razem był to zaledwie podmuszek, podmuszek wiatru, co porusza płomień świecy i czyni go jasnym i wysokim.

- Powiedz, żeby przynieśli moją siatkę na moskity i rozwiesili ją pomiędzy drzewami, i niech dorzucą drzewa do ognia. Nie chcę dzisiaj spać w namiocie. Nie warto się stąd ruszać. Niebo jest czyste. Na pewno nie będzie deszczu.

A więc tak się umiera, w szeptach, których się samemu nawet nie słyszy. No, przynajmniej nie będzie więcej kłótni. To mógł przyrzec każdemu. Nie zamierza zepsuć sobie teraz jedyne doświadczenia, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Ale pewnie je zepsuje. Psuł sobie wszystko w życiu. A może jednak nie zepsuje.

- Czy potrafisz stenografować? - spytał.

- Nie, nigdy się tego nie uczyłam.

- Nie szkodzi.

I tak nie było już czasu, chociaż wszystko zlewało się teraz w jedną całość i gdyby się tylko trafiło na odpowiednie słowa, można by to zmieścić w paru zdaniach.

*Dom zbity był z wielkich pni, pobielany wapnem i stał na wzgórzu nad jeziorem. Nad drzwiami, na drążku, huśtał dzwon, którym zwoływano ludzi na posiłki. Za domem były pola, za polami las. Dwa szeregi topoli lombardzkich biegły od domu do przystani. Topole rosły też dokoła jeziora. Skrajem lasu wiodła droga na wzgórze i tam chodził na jeżyny. Potem dom się spalił i wszystkie strzelby, które leżały nad kominkiem, na podpórkach z kopyt jelenich, spaliły się także, a potem wszystkie lufy wraz z ołowiem, co*



stopniał w magazynkach, leżały na kupie popiołu, którego używało się do robienia ługu w wielkich żelaznych kotłach. Pytał dziadka, czy mógłby się nimi bawić, a dziadek odpowiedział, że nie. Były to strzelby dziadka, innych nigdy już sobie nie kupił. I nigdy więcej nie poszedł już na polowanie. Dom odbudowano w tym samym miejscu, tym razem z desek, i pomalowano go na biało, a z ganku widać było topole i leżące za nimi jezioro. Ale nigdy już nie było strzelb. Lufy tamtych, co zwykły leżeć na jelenich podpórkach, nad kominkiem spalonego domu, leżały sobie na kupie popiołu i nikt ich nigdy nie ruszał.

Po wojnie wydzierżawili sobie w Szwarcwaldzie potok pełen pstrągów, a prowadziły tam dwie drogi. Jedna przez dolinę do Trybergu, przez białą drogę ciągnącą się wśród cienistych drzew, a potem boczną dróżką przez wzgórza, gdzie mijano się wiele małych gospodarstw z wielkimi szwarcwaldzkimi domami. Ta droga prowadziła prosto do potoku. Tu zaczynał się połów.

Druga droga była inna, trzeba się na nią było wspinać stromo w górę do skraju lasu i iść sosnowym borem grzbietami wzgórz. Potem na lake, a ląka ta prowadziła już prosto w dół do mostku. Wzdłuż potoku rosły brzozy, a sam potok nie był bardzo szeroki, ale wartki i przezroczysty, rozszerzający się w tych miejscach, w których podmywał korzenie brzoź. Właściciel hotelu w Trybergu chwalił sobie sezon. Było tam u niego bardzo przyjemnie i wszyscy się ze sobą przyjaźnili. Następny rok przyniósł inflację; pieniądze, które zarobił w poprzednim sezonie, nie starczyły nawet na zakup prowiantów i uruchomienie hotelu, więc powiesił się.

To można by chyba jeszcze podyktować, ale jak dyktować o placu Contrescarpe, gdzie sprzedawcy malowali kwiaty na ulicy i farba lala się na kocie łby jezdni, tam gdzie był przystanek autobusu i gdzie siedzieli starcy i staruchy, pijani winem i tanim marcem. Jest zimno i dzieciakom leje się z nosa; w "Café des Amateurs" powietrze przesiąknięte jest zapachem brudnego potu, biedy i pijaństwa, a na górze mieszkają prostytutki z "Bal Musette". Konsjerżka gościła u siebie kawalerzystę z Gwardii Republikańskiej; jego wspaniały, końskim ogonem ozdobiony kask leżał na krześle. A lokatorka z tamtej strony hallu, której mąż był zawodnikiem kolarskim, tak się ucieszyła owego poranka w sklepie z nabiałem, kiedy otworzyła "L'Auto" i zobaczyła, że przyszedł trzeci w wyścigu Paryż - Tours, w swoim pierwszym wielkim rajdzie. Zarumieniła się i roześmiała, a potem płacząc poszła na górę do swojego pokoju trzymając w ręku żółte kartki sportowego pisma. Mąż kobiety, która prowadziła "Bal Musette", był szoferem taksówki, a gdy on, Harry, musiał czasami jechać wcześniej na lotnisko, tamten budził go stukaniem w

drzwi, a potem razem wypijali po szklance białego wina przy kontuarze baru, zanim ruszyli w drogę. Znał wtedy swoich sąsiadów z dzielnicy, bo wszyscy byli biedni tak jak i on.

Dokoła placu mieszkały dwa rodzaje ludzi, pijacy i sportowcy. Pijacy zagłuszali biedę na swój sposób, sportowcy zaś wysiłkiem fizycznym. Byli to potomkowie komunardów i bez trudu rozeznawali się w polityce. Wiedzieli bardzo dobrze, kto rozstrzelał ich ojców, ich krewnych, ich braci i przyjaciół, gdy wojska wersalskie wkroczyły do miasta po upadku Komuny. Rozstrzeliano po prostu każdego, kto miał zgrubiałe od pracy ręce, kto nosił na głowie czapkę lub miał jakieś inne znamiona wskazujące, że jest człowiekiem pracy. Wśród tej biedoty, w tej właśnie dzielnicy, w pokoiku, którego okna wychodziły na jatkę końską i winiarnię, zaczął pisać to, co miało być istotą jego twórczości. Żadnej innej dzielnicy Paryża nie miał już nigdy pokochać tak bardzo; kochał jej rozłożyste drzewa, stare domy, otynkowane na biało na górze, a dołem pomalowane na brązowo, długie, zielone autobusy na okrągłym, placu, purpurowa farbą spływającą po kocich łbach i jeszcze nagły spadek ulicy Kardynała Lemoine prowadzącej prosto do rzeki, a z drugiej strony kipiącą własnym, gwarowym życiem ulicę Mouffetard. Była tam jeszcze jedna ulica, która wiodła w górę, wprost do Panteonu, i inna, którą zawsze wybierał, kiedy jeździł na rowerze. Jedyna asfaltowana ulica w całej dzielnicy, gładka dla opon, miała wąskie, wysokie domy, a w jednym z nich, w tanim hoteliku, zmarł Paul Verlaine. Mieszkanie jego, Harry'ego, miało tylko dwa pokoiki, ale na najwyższym piętrze wynajmował sobie za sześćdziesiąt franków miesięcznie pokój, w którym pisał, i z tego pokoju był widok na dachy i kominy, i wszystkie wzgórza Paryża.

Z samego mieszkania widok był tylko na sklepik, w którym sprzedawano węgiel i drzewo, i wino, kiepskie wino. Widać było też złotą końską głowę, wywieszoną przed jatką, a w otwartym oknie wystawowym wisiały żółto-czerwone poicie końskiego mięsa. W kooperatywie, wymalowanej na kolor zielony, kupowali wino, dobre i tanie. Poza tym widać było tylko otynkowane ściany i kilka okien sąsiadów. Tych sąsiadów, którzy nocą, gdy jakiś pijak jęczał i zawodził na chodniku w owej typowej francuskiej ivressie, o której propaganda mówiła, że nie istnieje, otwierali okna i wymyślali:

- Gdzie policjant? Kiedy jest potrzebny, to go nigdy nie ma. Pewnie śpi z jakąś Jconsjerzką. Gdzie jest policjant?

Aż wreszcie ktoś wylewał kubel wody przez okno na ulicę i jęki ustawały.

- Co to? Woda? To dobry pomysł. - I zamykały się okna.

*Marie, sprzątaczką, protestowała przeciwko ośmiogodzinnemu dniu pracy i mówiła:*

*- Kiedy mąż pracuje do szóstej, to upija się po drodze do domu tylko trochę i nie wydaje tyle pieniędzy. Ale jak pracuje do piątej, to upija się co noc i w ogóle nie przynosi pieniędzy do domu. Żony robotników płacą za ten skrócony dzień pracy.*

*- Czy nie napiłbyś się jeszcze rosołu? - spytała go teraz kobieta.*

*- Nie, dziękuję. Jest doskonały.*

*- Spróbuj choć troszeczkę.*

*- Napiłbym się whisky.*

*- To ci zaszkodzi.*

*- Nie. To mi tylko nie pomoże. Pamiętasz tę piosenkę? Słowa i muzyka Cole Portera.*

*- Dobrze wiesz, że lubię, kiedy pijesz.*

*- Wiem, wiem. Tylko że mi to może zaszkodzić.*

*"Jak ona sobie pójdzie - pomyślał - wypiję, ile zechcę. Nie, nie ile zechcę, a ile jest. O, jakie straszne znużenie! Trzeba się choć na chwilę zdrzemnąć." Leżał spokojnie, ale śmierć nie nadchodziła. Musiała pójść dokoła, inną ulicą. Jechała parami, na rowerach, po jezdniach, bezszelestnie.*

*Nie, nigdy nie pisał o Paryżu. O tym Paryżu, który kochał naprawdę. Ale przecież nie pisał także o tylu innych rzeczach.*

*Na przykład o rancho i o srebrnoszarych liściach szałwi, o wartkich, przezroczystych wodach, płynących nawadniającymi rowami, i o głębokiej zieleni lucerny. Ścieżka wiodła ku wzgórzom, a latem bydło było płochliwe jak sarny. Jesienią zaś, kiedy sprowadzało się je do doliny, szło w tumanach kurzu, porykując, jedną, powolną, hałaśliwą lawą. Za górami, w jaskrawym świetle wczesnego wieczora, rysował się ostro i wyraźnie szczyt, a nocą jechało się konno poprzez dolinę oświetloną jasno światłem księżyca. Pamiętał teraz dokładnie, jak szedł kiedyś ciemną nocą przez las, trzymając się końskiego ogona. Pamiętał wszystkie opowiadania, które zamierzał kiedyś napisać.*

*Jedno było o niedorozwiniętym parobku, którego pewnego razu zostawili na rancho i któremu powiedzieli, żeby nie pozwolił nikomu dobrać się do siana. Pewnego dnia zjawił się po paszę stary łotr z Forks, który, kiedy ten sam parobek pracował u niego, bił go regularnie. Chłopiec odmówił staremu siana, a stary zagroził, że go znów*

zbije. Chłopiec wziął strzelbę z kuchni i gdy stary wszedł do stodoły, zastrzelił go. A kiedy wrócili na rancho, stary nie żył już od tygodnia, a zamrożone jego zwłoki były częściowo pożarte przez psy. Ale to, co pozostało, załadowało się na sanie, okryło prześcieradłem i dobrze przywiązało sznurem,. Obydwaj z chłopcem założyli narty i zaciągnęli sanie do szosy, a potem szosa sześćdziesiąt mil do miasta, gdzie trzeba było wydać parobka w ręce policji. Chłopcu nawet do głowy nie przyszło, że zostanie aresztowany. Myślał, że spełnił swój obowiązek i że zostanie nagrodzony, i że ma przyjaciela. Przecież pomagał przy transporcie zwłok starego, co było dostatecznie wyraźnym dowodem dla każdego, że stary był człowiekiem złym i że usiłował ukraść paszę, która do niego nie należała. Gdy szeryf nałożył mu kajdanki, parobek nie chciał po prostu wierzyć, że to możliwe. I zaczął płakać. To było jedno z wielu opowiadań, które chciał napisać. Znał co najmniej dwadzieścia dobrych opowiadań z tamtych stron, ale żadnego z nich nie napisał. Dlaczego?

- Ty powiesz im, dlaczego - powiedział.

- Co takiego, kochanie?

- Nic.

Teraz, kiedy go miała, nie piła już tyle co przedtem. Ale gdyby nawet miał żyć, też o niej by nie pisał. Ani o żadnej z nich. Bogate były nudne i za dużo piły albo wciąż grały w warcaby. Były nudne i powtarzały się. Pamiątał dobrze biednego Juliana i jego romantyczny strach przed tymi kobietami, i opowiadanie, które napisał, a które zaczynało się od słów: "Ludzie bardzo bogaci są zupełnie inni niż ty czy ja." I jak ktoś na to odpowiedział Julianowi: "Oczywiście, bo mają więcej pieniędzy." Ale Julian nie uważał tego wcale za śmieszne. Był przekonany, że bogaci mają jakiś specjalny urok, a gdy przekonał się później, że tak nie jest, świadomość ta złamała go zupełnie.

A on, on pogardzał ludźmi, którzy łamali innych. Nie podziwiał ich, bowiem rozumiał ich aż za dobrze. Był pewny siebie, tak przynajmniej sądził, dlatego że nic nie mogło go głęboko dotknąć, w gruncie rzeczy bowiem na niczym mu naprawdę nie zależało.

"Potrafię dać radę wszystkiemu - pomyślał - nie zmoże mnie nic, o nic nie dbam."

Dobrze. Nie będzie się przejmował śmiercią. Jedyna rzecz, której się w życiu bał, to ból. Potrafił go znieść równie dzielnie jak każdy inny mężczyzna, chyba że trwał zbyt długo i wyczerpał jego siły. Ale tym razem było tak, że ten okropny ból, który miał już złamać jego wolę, nagle i niespodzianie ustał.

*Pamiętał, a było to dawno temu, jak Williamson, oficer bombardier, przeprawiając się nocą przez druty, natknął się na granat porzucony przez jakiś patrol niemiecki. I pamiętał, jak Williamson wył i jak błagał, żeby go zabili. Był to człowiek tęgi, bardzo odważny, dobry oficer, chociaż lubił urządzać jakieś fantastyczne pokazówki. Ale tamtej nocy, uwikłany w zasiekach i oświetlany od czasu do czasu światłem rakiety, leżał i wył. Kiszki wypadły mu z jamy brzusznej i zaplątały się w drutach. Gdy wreszcie poszli po niego, musieli go odciąć obcęgami. "Zabij mnie, Harry, na litość boską, zabij mnie!" Kiedyś znacznie przedtem, pokłócili się o to, czy Pan Bóg zsyła na człowieka próbę większą, aniżeli człowiek może znieść, i ktoś wygłosił wtedy teorię, że gdy ból staje się naprawdę nieznośny, człowiek traci automatycznie przytomność. Ale zapamiętał sobie dobrze Williamsona i tamtą noc. Williamson nie tracił przytomności, aż Harry oddał mu wszystkie tabletki morfiny, jakie chował dla siebie, a i te nie podziałały od razu.*

Ale to, na co cierpiał w tej chwili, było przecież łatwe, i jeżeli nie miało się pogorszyć, to nie ma się czym przejmować. Tyle tylko, że wolałby umierać w lepszym towarzystwie.

Zastanawiał się przez moment, w jakim towarzystwie chciałby być w tej chwili.

"Nie - pomyślał wreszcie - jeżeli człowiek robi wszystko za długo i za późno, to trudno spodziewać się, że ludzie na niego będą czekali." Wszyscy już odeszli. Przyjęcie się skończyło, pozostała tylko pani domu.

"Umieranie zaczyna mnie tak samo nudzić jak wszystko inne" - pomyślał.

- Co za nuda! - powiedział głośno.

- Co masz na myśli, kochanie?

- Wszystko, co trwa tak cholernie długo.

Spojrzał na jej twarz, zawieszoną pomiędzy nim a ogniskiem. Siedziała wygodnie na krześle, a światło padało na jej sympatyczną, lekko pomarszczoną twarz. Była senna. Usłyszała szelest kroków hieny tuż za obrębem światła ogniska.

- Pisałem - powiedział. - Zmęczyło mnie to.

- Czy uda ci się zasnąć?

- Na pewno. Czemu się nie położysz?

- Przyjemnie mi siedzieć przy tobie.

- Czy nie czujesz czegoś dziwnego? - spytał.

- Nie, nic, jestem po prostu trochę senna.

- A ja coś czuję.

Przed chwilą właśnie poczuł przechodzącą mimo śmierć.

- Wiesz, jedyne uczucie, jakiego naprawdę nigdy nie zatraciłem - powiedział - to ciekawość.

- Nigdy nie zatraciłeś niczego. Jesteś najpełniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam w życiu.

- Chryste Panie! - powiedział. - Dlaczego kobiety nic nie rozumieją? Czym się kierujesz? Powiedz! Pewnie intuicją!

Albowiem właśnie w tej samej chwili śmierć znów przysłała, położyła głowę w nogach łóżka i poczuł wyraźnie na sobie jej oddech.

- Nigdy nie wierz w te opowiadania o kosie i o czaszce - zwrócił się do kobiety. - Powiadam ci, że może to być z równym powodzeniem ptak albo dwaj policjanci na rowerach. Albo coś o szerokim ryju, jak hiena.

Tamto przysunęło się bliżej, ale było teraz zupełnie bezkształtne, po prostu zajmowało miejsce.

- Powiedz, żeby sobie poszło.

Nie odchodziło, ale, przeciwnie, przysunęło się jeszcze bliżej.

- Ale masz okropny oddech - powiedział mu. - Śmierdzisz jak zaraza.

Znowu przysunęło się bliżej i nie mógł już do niego mówić, a gdy spostrzegło, że już mówić nie może, przysunęło się jeszcze bardziej, spróbował odpędzić je bez słów, ale rzuciło mu się całym ciężarem na piersi i przykucnęło sobie tam, tak że nie mógł się już ani poruszyć, ani wydobyć głosu i wtedy usłyszał głos kobiety:

- Bwana zasnął. Podnieście łóżko bardzo ostrożnie i zanieście do namiotu.

Nie mógł mówić, a chciał powiedzieć, żeby je odegnała, ale ono stało się jeszcze cięższe i nie mógł już nawet oddychać. A potem nagle, gdy podnosili łóżko, ciężar usunął się z piersi i zrobiło się zupełnie lekko.

Było rano, było rano od pewnego już czasu i usłyszał warkot samolotu. Samolot ukazał się na niebie bardzo malutki i zakreślił szerokie koło, a chłopcy wybiegli z namiotów i zapalili ogniska, lejąc obficie benzynę i dokładając wielkie sterty trawy, tak że po obydwóch stronach pola zapłonęły dwie długie smugi ognia. Poranny wiatr chylił płomień w stronę obozu. Samolot zatoczył jeszcze dwa koła, tym razem bardzo nisko, wyprostował się i wylądował gładziutko, i zaraz potem ukazał się stary Compton w szarych spodniach, tweedowej marynarce i brązowym filcowym kapeluszu na głowie.

- Co to za kawały, stary durniu! - zawołał Compton.

- Noga mi się paskudzi - odpowiedział. - Zjesz śniadanie?

- Dziękuję. Napiję się tylko herbaty. Przyleciałem Pchłą. Nie będę mógł zabrać twojej pani. Jest tylko jedno miejsce dla ciebie. Ciężarówka jest już w drodze.

Helena wzięła Comptona na stronę i coś z nim szeptała.

Compton powrócił po chwili, jeszcze radośniejszy niż zazwyczaj.

- Zaraz cię zabieramy - powiedział. - Wrócę po panią. Obawiam się jednak, że będę musiał wziąć benzynę w Arushy. No więc, jazda, spieszmy się.

- A co z herbatą?

- Właściwie wcale mi się nie chce pić.

Chłopcy ponieśli go wraz z łóżkiem, obchodząc zielone namioty, w dół koło skał i dalej na równinę, gdzie płonęły jasno długie smugi ognia. Trawa była już całkiem spalona, a wiatr podsyczał płomień. Tam stał mały samolocik. Trudno było ulokować Harry'ego w niewielkiej przestrzeni, ale wreszcie siedział już wygodnie w skórzanym fotelu, oparłszy sztywno wyprostowaną nogę o poręcz fotela Comptona. Compton zapuścił motor i włączył do środka. Pomachał ręką chłopcom i Helenie i zaraz nieskładny hałas zamienił się w znajomy stary warkot. Zawrócili zgrabnie, a Compie omijał jamy dzików i pędził jak szalony pomiędzy smugami ognia. Podrzucało ich na nierównym terenie, a potem podrzuciło jeszcze raz, a dobrze, i już unosili się w górę, a wtedy zobaczył wszystkich, jak stali na dole powiewając chusteczkami, widział obóz rozłożony pod wzgórzem, które teraz wydawało się coraz bardziej płaskie. Równina roztaczała się coraz szerzej, tu i ówdzie pojawiały się kępy drzew, busz spłaszczal się także coraz bardziej, a wszystkie wydeptane przez zwierzynę ścieżki prowadziły bezpośrednio do wyschniętych wodopojów. Zobaczył też jakąś wodę, o której nie miał dotąd pojęcia. Zebry miały teraz już tylko małe zaokrąglone plecy, a gnu jak wielkie wykrzykniki o grubych kropkach, gwiazdziście rozbiegały się po równinie, kiedy zaczął je doganiać cień samolotu. Były coraz mniejsze, a w biegu ich nie było już galopu. Równina ciągnęła się jak okiem sięgnąć, a była cała szarozółta. Bezpośrednio przed oczami miał tweedową marynarkę starego Compie i jego brązowy filcowy kapelusz. Po chwili minęli pierwsze pasmo wzgórz i zaraz znaleźli się nad górami porośniętymi zielonym, gęstym lasem i prętami bambusu, i znowu lasem, wyrzeźbionym teraz w wypukłości i wklęsnięciu. Pozostawili to za sobą, minęli jeszcze kilka wzgórz, potem znaleźli się nad gorącą, purpurowo-brunatną równiną, podrzucającą samolot falami upału. Compie odwracał się od czasu do czasu, żeby stwierdzić, czy wszystko w porządku.

A potem nagle, zamiast lecieć prosto na Aruszę, skręcili w lewo. Compie widocznie obliczył, że ma dość paliwa. Harry spojrział w dół i zobaczył pod sobą różową chmurę, poruszającą się tuż nad ziemią, jak pierwsza śnieżna burza, i zrozumiał, że to szarańcza

przybywa już z południa. Zaczęli się znów wznosić i zdawało się, że lecą na wschód, potem nagle pociemniało i znaleźli się w samym środku burzy. Deszcz szumiał gęsto i gwałtownie jak wodospad, ale zaraz wydostali się, a stary Compton odwrócił głowę i wskazał palcem: przed nimi stał wielki jak świat, wspaniały, olbrzymi, nieprawdopodobnie biały i błyszczący w słońcu kwadratowy szczyt Kilimandżaro. Wtedy zrozumiał, że tam leci.

Właśnie w tej samej chwili hiena przestała popłakiwać w ciemnościach i zaczęła wydawać z siebie dźwięk dziwny, ludzki, brzmiący niemal jak płacz. Kobieta usłyszała ten dźwięk i poruszyła się niespokojnie, ale nie obudziła się. We śnie znajdowała się w swoim domu na Long Island i była to noc przed pierwszym balem córki. Nie wiadomo dlaczego, ojciec jej też tam był i właśnie powiedział coś bardzo nieprzyjemnego. Ale po chwili wycie hieny stało się tak głośne, że kobieta przebudziła się i przez chwilę nie mogła zrozumieć, gdzie jest, i bardzo się przeraziła. Potem wzięła latarkę elektryczną i oświetliła nią sąsiednie łóżko, które przynieśli do namiotu, kiedy Harry już spał. Widziała pod siatką na moskity zarysy jego ciała, ale jedna noga wysunęła się i zwisała bezwładnie z łóżka. Wszystkie bandaże opadły i trudno było na to patrzeć.

- Molo! - zawołała. - Molo! Molo!

I zaraz powiedziała:

- Harry, Harry - i po chwili już głośniej: - Harry! Proszę cię! O Harry!

Nie było odpowiedzi i nie słyhać też było jego oddechu.

W ciemnościach hiena wyła tym samym głosem, jaki obudził przed chwilą kobietę. Ale kobieta nie słyszała, tak ogłuszyło ją bicie własnego serca.

*Przełożyła Mira Michałowska*



## STARY CZŁOWIEK PRZY MOŚCIE

Stary człowiek w okularach o stalowej oprawie i w bardzo zakurzonej odzie siedział przy drodze. Na rzece był most pontonowy, przez który ciągnęły wozy, ciężarówki, sunęli mężczyźni, kobiety i dzieci. Furmanki zaprzęgnięte w muły, z trudem wjeżdżały na stromy brzeg, a żołnierze pomagali im podpierając szprychy kół. Ciężarówkom wspinanie się na brzeg szło łatwiej i oddalały się szybko, a chłopcy wlekli się mozolnie, po kostki w kurzu. Lecz starzec siedział bez ruchu. Był zbyt zmęczony, aby iść dalej.

Moim zadaniem było przekroczenie mostu, zbadanie przyczółka i stwierdzenie, do jakiego miejsca dotarł nieprzyjaciel. Uczyniłem to i powróciłem na drugą stronę rzeki. Było tam teraz znacznie mniej furmanek i bardzo niewielu pieszych, ale starzec wciąż siedział na swoim miejscu.

- Skąd jesteście? - spytałem go.

- Z San Carlos - odpowiedział i uśmiechnął się.

Było to jego rodzinne miasteczko i wymawianie tej nazwy sprawiało mu przyjemność, więc uśmiechnął się.

- Opiekowałem się zwierzętami - dodał.

- O - powiedziałem tylko, niezupełnie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Tak - powiedział. - Pozostałem, by zaopiekować się zwierzętami. Byłem ostatnim człowiekiem, który opuścił San Carlos.

Nie wyglądał na pastucha i spojrzawszy na jego czarne, zakurzone ubranie, na jego szarą, zakurzoną twarz i okulary w stalowej oprawie, spytałem:

- A co to były za zwierzęta?

- Różne zwierzęta - odpowiedział. - Musiałem je opuścić.

Obserwowałem most i afrykański niemal krajobraz dorzecza delty rzeki Ebro i myślałem o tym, ile czasu minie, zanim zetkniemy się z wrogiem. Nasłuchiwałem pierwszych odgłosów sygnalizujących owo zawsze tajemnicze zjawisko zwane kontaktem z nieprzyjacielem, a starzec wciąż siedział na swoim miejscu.

- Jakie to były zwierzęta? - spytałem.

- Trzy zwierzęta wszystkiego razem - tłumaczył mi. - Dwie kozy i jeden kot, no i jeszcze cztery pary gołębi.

- I musieliście je opuścić? - spytałem.

- Tak. Z powodu artylerii. Kapitan kazał mi iść z powodu artylerii.

- I nie macie żadnej rodziny? - spytałem obserwując drugi brzeg, gdzie ostatnie furmanki pośpiesznie zjeżdżały ze skarpy.

- Nie - odpowiedział. - Tylko te zwierzęta, które wymieniłem. Z kotem, oczywiście, nie ma zmartwienia. Koty same sobie dają radę, ale nie chcę nawet myśleć o tym, co będzie z resztą.

- Jakie macie poglądy polityczne? - spytałem.

- Nie mam żadnych - odpowiedział. - Mam siedemdziesiąt sześć lat. Zrobiłem dwanaście kilometrów i wydaje mi się, że dalej już nie pójdę.

- To nie jest dobre miejsce na postój - powiedziałem. - Jeżeli możecie, to pójdźcie jeszcze szosa do skrzyżowania na Tortosę. Tam są samochody.

- Poczekam jeszcze chwilę powiedział i pójdę. Dokąd jadą te samochody?

- Do Barcelony - powiedziałem.

- Nie znam tam nikogo - odpowiedział - ale dziękuję wam bardzo. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Spojrzał na mnie zmęczonym, beznamiętnym wzrokiem i z wielkiej potrzeby podzielenia się z kimś swoją troską, powtórzył:

- Kot na pewno da sobie radę. Nie ma się co martwić o kota. Ale tamte. Jak wam się zdaje, co z nimi będzie?

- Nic, pewnie jakoś przeżyją.

- Tak myślicie?

- Czemu nie? - powiedziałem patrząc na drugi brzeg, gdzie nie widać już było furmanek.

- Ale co zrobią, jak zaczną strzelać artyleria? Przecież mnie kazali iść z powodu artylerii.

- Czy otworzyliście gołębnik? - Spytałem.

- Tak.

- Gołębie odfruną.

- Tak, na pewno. Na pewno odfruną. Ale tamte. Lepiej nie myśleć o tamtych - powiedział.

- Jeżeli odpoczęliście już trochę, to ruszcie w drogę - nalegałem. - Wstańcie teraz i spróbujcie iść.

- Dziękuję - powiedział i wstał, zachwiał się i zaraz siadł z powrotem w przydrożnym kurzu.

- Opiekowałem się zwierzętami - powiedział głucho, ale już nie do mnie. -  
Opiekowałem się tylko zwierzętami.

Nic nie mogłem dla niego zrobić. Była Niedziela Wielkanocna i faszyci nacierali w kierunku rzeki Ebro. Dzień był szary, chmury wisiały nisko, tak że nie używali samolotów. To i jeszcze fakt, że koty same sobie dają radę, to było wszystko, na co liczyć mógł ten stary człowiek.

*Przełożyła Mira Michałowska*

## W MICHIGAN

Jim Gilmore przyjechał do Hortons Bay z Kanady. Warsztat kowalski odkupił od starego Hortona. Jim był niskim brunetem, miał duże wąsy i wielkie ręce. Dobrze robił podkowy i nie bardzo wyglądał na kowala, nawet kiedy chodził w skórzanym fartuchu. Mieszkał na pięterku nad kuźnią, a stołował się u D. J. Smitha.

Liza Coates pracowała u Smithów. Pani Smith, tęga, czysta kobieta, mawiała, że to najschludniejsza dziewczyna pod słońcem. Liza miała ładne nogi, nosiła czyste bawełniane fartuszki i Jim zauważył, że włosy ma zawsze porządnie upięte. Lubił jej twarz, bo taka była wesoła, ale nigdy nie myślał o Lizie.

Jim podobał jej się ogromnie. Lubiła patrzeć, jak idzie z warsztatu, i często podchodziła do drzwi kuchennych, żeby mu się przyjrzeć, kiedy szedł drogą. Podobały jej się wąsy Jima i biel jego zębów, gdy się uśmiechał. Bardzo jej się podobało, że Jim nie wygląda na kowala. Podobało jej się to, że państwo Smith tak lubią Jima. Pewnego dnia, kiedy się mył u studni za domem, spostrzegła, że podobają jej się czarne włosy na jego rękach i białosc skóry powyżej linii opalenizny. Doznała dziwnego uczucia, kiedy zauważyła, że jej się to podoba.

Osada Hortons Bay składała się ledwie z pięciu budynków stojących przy głównym trakcie z Boyne City do Charlevoix. Był tam dom towarowy, poczta o wysokim froncie, przed którą czasem stała platforma, dalej domy Smitha, Strouda, Dilwortha, Hortona i Van Hoosena. Wybudowano je w dużej kotlinie zarosłej wiązami, a droga była tam bardzo piaszczysta. W obu kierunkach rozciągały się wzdłuż traktu pola uprawne i lasy. Przy trakcie, kawałek za osadą, stał kościół metodystów, a na drugim jej krańcu - szkoła gminna. Kuźnia była od frontu pomalowana na czerwono i znajdowała się naprzeciw szkoły.

Stroma, piaszczysta droga zbiegała ze wzgórza przez las do zatoki. Z kuchennych drzwi domu Smitha widać było lasy schodzące aż do jeziora i drugi brzeg zatoki. Bardzo pięknie tu było wiosną i latem, zatoka błękitniała i lśniła, a na jeziorze, za cyplem, zwykle pieniały się białe fale gnane bryzą wiejącą od Charlevoix i jeziora Michigan. Z tych drzwi Liza widziała daleko na wodzie galary z rudą płynące do Boyne City. Gdy na nie patrzała, zdawały się nie poruszać wcale, lecz jeśli weszła do kuchni, wytarła trochę naczyń i wyjrzała znowu, galarów nie było już widać za cyplem.

Teraz Liza wciąż rozmyślała o Jimie Gilmore. On zaś najwyraźniej nie zwracał na nią większej uwagi. Prowadził ze Smithem rozmowy o swojej robocie, o partii

republikańskiej i Jamesie Blaine. Wieczorami w izbie frontowej czytywał pod lampą "Klingę Toledańską" i gazetę z Grand Rapids albo szedł ze Smithem łowić ościeniem ryby na zatoce przy świetle latarki.

Jesienią Jim, Smith i Charley Wyman wzięli wóz, namiot, prowiant, toporki, strzelby i dwa psy i pojechali polować na jelenie w lasach sosnowych za Vanderbilt. Liza i pani Smith przez cztery dni przed wyjazdem gotowały dla nich jedzenie. Liza chciała zrobić dla Jima coś specjalnego, lecz w końcu nie zrobiła nic, bo bała się prosić panią Smith o jajka i mąkę, a choćby je nawet kupiła, pani Smith mogła ją przyłapać na pieczeniu. Pani Smith nie miałyby tego za złe, ale Liza obawiała się jednak.

Przez cały ten czas, gdy Jim polował na jelenie, Liza myślała o nim. Okropnie było bez niego. Nie mogła spać od tego myślenia, ale odkryła, że jest ono przyjemne. Robiło jej się lżej, gdy się nie hamowała. Ostatniej nocy przed ich powrotem nie zasnęła w ogóle, a właściwie nie bardzo wiedziała, czy spała, bo sny o tym, że nie śpi, poplątały się jej z prawdziwym niespaniem.

Kiedy ujrzała nadjeżdżający drogą wóz, zrobiło jej się słabo i jakby mdło. Nie mogła się doczekać Jima; wydawało jej się, że wszystko będzie dobrze, gdy już przyjedzie. Wóz przystanął pod wielkim wiązem, a pani Smith i Liza wyszły przed dom.

Wszyscy mężczyźni mieli brody, a w tyle wozu leżały trzy jelenie, których cienkie nogi sztywno sterczały nad krawędzią. Pani Smith ucałowała męża, a ten przytulił ją do siebie. Jim powiedział: "Jak się masz, Lizo!", i uśmiechnął się. Liza nie wiedziała, co się stanie, kiedy Jim wróci, ale była pewna, że coś musi się stać. A nie stało się nic. Ot, mężczyźni wrócili do domu, nic więcej. Jim ściągnął z jeleni płócienne worki, a Liza obejrzała zwierzynę. Leżał tam jeden duży byk. Zesztywniał i trudno było zdjąć go z wozu.

- To tyś go zabił, Jim? - spytała Liza.

- No! Cudo, nie? - Jim zarzucił sobie jelenia na plecy, ażeby go zanieść do wędzarni.

Tego wieczora Charley Wyman został u Smithów na kolacji. Za późno było wracać do Charlevoix. Mężczyźni umyli się i czekali we frontowej izbie na posiłek.

- Nie zostało tam nic w tym gąsiorku, Jimmy? - zapytał Smith, a Jim poszedł do wozu stojącego w stodole po gąsior whisky, który mieli z sobą na polowaniu. Mieściły się w nim cztery galony, a i teraz na dnie przelewało się jeszcze całkiem sporo. Wracając do domu Jim pociągnął długi łyk. Trudno było podnieść takie wielkie naczynie i pić z niego. Trochę whisky pociekło Jimowi na koszulę. Obaj pozostali mężczyźni uśmiechnęli się, kiedy wrócił z gąsiorem. Smith posłał Lizę po szklanki, a gdy je przyniosła, nalał trzy duże porcje.

- No, twoje zdrowie! - powiedział do niego Charley Wyman.
- Za tego twojego wielkiego byka, Jimmy!
- Za wszystkie, któreśmy spudłowali! - zawołał Jim i łyknął trunku.
- Pysznie człowiekowi smakuje.
- W tej porze roku nie ma jak whisky na wszystkie dolegliwości.
- Może jeszcze po jednym, chłopaki?
- Ano może.
- No to lu!
- Za przyszły rok!

Jim zaczynał czuć się wspaniale. Pasjami lubił smak whisky i to palące uczucie w gardle. Rad był, że wrócił do wygodnego łóżka, gorącej stawy i warsztatu. Napił się jeszcze. Do kolacji zasiedli rozochoceni, ale zachowywali się bardzo przyzwoicie. Liza przyniósłszy jedzenie siadła do stołu razem ze wszystkimi.

Była to smaczna kolacja. Mężczyźni jedli w skupieniu. Potem przeszli znów do frontowej izby, a Liza i pani Smith sprzątnęły ze stołu. Wreszcie pani Smith poszła na górę, wkrótce też i mąż udał się za nią. Jim i Charley zostali we frontowej izbie. Liza usiadła w kuchni przy piecu i udając, że czyta książkę, rozmyślała o Jimie. Nie chciała się jeszcze kłaść, bo wiedziała, że Jim będzie wychodził, i miała chęć popatrzeć wtedy na niego, żeby zabrać ze sobą do łóżka jego obraz.

Myślała o nim usilnie i wreszcie Jim wyszedł z izby. Oczy mu błyszczały, włosy miał trochę zmierzwiłone. Liza opuściła wzrok na książkę. Jim zaszedł z tyłu i przystanął za krzesłem, a ona uczuła jego oddech i wtedy ją objął. Piersi miała pulchne i jędrne, a sutki wyprężyły się pod jego dłońmi. Liza przestraszyła się okropnie, bo nikt jej jeszcze nie dotykał, ale myślała: "Nareszcie do mnie przyszedł. Przyszedł naprawdę."

Siedziała sztywno, bo bardzo była załękniona i nie miała pojęcia, co robić, a wtedy Jim przycisnął ją silnie do oparcia krzesła i zaczął całować. Było to uczucie tak przenikliwe, bolesne, raniące, iż pomyślała, że tego nie wytrzyma. Czuła Jima poprzez oparcie krzesła, nie mogła tego znieść i wtem coś w niej jakby się przekręciło, i to uczucie stało się przyjemne i ciepłe. Jim trzymał ją przyciśniętą mocno do krzesła, a ona już tego chciała i Jim szepnął:

- Chodź się przejść.

Liza zdjęła płaszcz z wieszaka przybitego na ścianie kuchni i oboje wyszli z domu. Jim obejmował ją ramieniem i co parę kroków przystawali, przytulali się do siebie, i Jim ją całował. Nie było księżycy; brnęli po kostki w piachu drogi wiodącej między drzewami ku

przystani i magazynowi nad zatoką. Woda chlupotała ospale, a po drugiej stronie zatoki ciemno majaczył cypel. Było zimno, ale Liza czuła żar w całym ciele od bliskości Jima.

Usiedli pod magazynem, a Jim przyciągnął ją do siebie. Złękła się. Jedna ręka Jima wsunęła się za jej bluzkę i zaczęła gładzić piersi, a druga spoczęła na kolanie. Liza bała się bardzo i nie wiedziała, co Jim teraz zrobi, ale przytuliła się mocno do niego. Wtedy ta ręka, która leżała ciężko na jej kolanie, cofnęła się, dotknęła nogi i zaczęła pełznąć ku górze.

- Przestań, Jim - powiedziała Liza.

Jim wsunął rękę dalej.

- Nie trzeba, Jim. Nie trzeba. - Ani Jim, ani jego ręka nie zwracali na nią uwagi.

Deski były twarde. Jim podniósł Lizie spódnicę i usiłował coś jej zrobić. Bała się, lecz chciała tego. Chciała koniecznie, ale to ją przerażało.

- Nie powinienes, Jim... Nie powinienes.

- Muszę. I zrobię. Sama wiesz, że musimy.

- Wcale nie, Jim. Nie musimy. Och, to niedobrze! Och, to takie duże i tak boli!... Nie można! Och, Jim, Jim! Och!

Jodłowe deski pomostu były twarde, pełne zadziórów i zimne, a Jim leżał ciężko na niej i zadał jej ból. Liza odsunęła go, bo było jej niewygodnie i zdrętwiała. Jim spał. Nawet się nie poruszył. Wydobyła się spod niego, siadła, wygładziła spódnicę i płaszcz i spróbowała doprowadzić włosy do ładu. Jim spał z lekko rozchyłonymi ustami. Liza pochyliła się i pocałowała go w policzek. Spał dalej. Uniosła trochę jego głowę i potrząsnęła nią. Jim odwrócił twarz i przełknął ślinę. Liza zaczęła płakać.

Podeszła do krawędzi pomostu i spojrzała w wodę. Z zatoki wstawała mgła. Lizie było zimno, czuła się nieszczęśliwa, wszystko jakby się skończyło. Wróciła tam, gdzie leżał Jim, i potrząsnęła nim raz jeszcze na wszelki wypadek. Płakała.

- Jim - powiedziała. - Jim. Proszę cię, Jim. Jim poruszył się i skulił jeszcze bardziej. Liza zdjęła płaszcz, pochyliła się i okryła nim Jima. Opatuliła go ze wszystkich stron dokładnie i starannie. Następnie poszła pomostem i dalej stromą piaszczystą drogą, żeby położyć się do łóżka. Lasem pełzła od zatoki zimna mgła.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## NA PRYZYSTANI W SMYRNIE

Najdziwniejsze - mówił - było to, jak co noc krzyczeli o północy. Nie wiem, dlaczego krzyczeli o tej porze. Staliśmy w porcie, a oni wszyscy byli na nabrzeżu i o północy zaczynali krzyczeć. Kierowaliśmy na nich reflektor, żeby się uspokoili. To zawsze robiło swoje. Przesuwaliśmy po nich reflektorem tam i z powrotem dwa albo trzy razy i wtedy przestawali. Raz byłem akurat najstarszym oficerem na nabrzeżu, i podszedł do mnie jakiś oficer turecki okropnie wściekły, bo któryś z naszych marynarzy zachował się wobec niego bardzo obraźliwie. Więc powiedziałem, że ten gość zostanie odesłany na pokład i najsurowiej ukarany. Poprosiłem, żeby go wskazał. No i pokazał jednego podoficera artylerii okrętowej, całkiem nieszkodliwego chłopca. Powiedział mi przez tłumacza, że go strasznie i kilkakrotnie znieważył. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ten podoficer na tyle znał turecki, aby go mógł znieważać. Zawołałem go i zapytałem:

- Czy wyście przypadkiem nie gadali z jakimiś tureckimi oficerami?

- Z żadnym nie rozmawiałem.

- Jestem tego zupełnie pewny - powiedziałem - ale lepiej wróćcie na pokład i nie pokazujcie się na lądzie przez resztę dnia.

Następnie powiedziałem Turkowi, że ten człowiek zostanie odesłany na okręt i będzie potraktowany jak najsurowiej. O, jak najostrzej. Był tym zachwycony. Zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi.

- Najgorsze - mówił - były kobiety z umarłymi niemowlętami. Nie można było ich zmusić, żeby oddały swoje nieżywe dzieci. Trzymały martwe dzieci po sześć dni. Nie chciały ich oddać. Nie można było nic poradzić. Musiało się je w końcu odbierać. I jeszcze była tam jedna stara kobieta, całkiem niezwykły przypadek. Opowiedziałem o tym doktorowi, a on mi na to, że kłamie. Usuwaliśmy ich z nabrzeża, musieliśmy usunąć zmarłych, a ta stara leżała na czymś w rodzaju noszy. Powiedzieli do mnie: "Może pan na nią spojrz." Więc popatrzyłem na nią, a ona w tej samej chwili skonała i zupełnie zeszywniała. Nogi jej się podkurczyły i ona podkurczyła się od pasa i zrobiła się całkiem sztywna. Zupełnie jakby nie żyła od wczoraj. Była nieżywa i kompletnie sztywna. Opowiedziałem o tym jednemu medykowi, a on mi powiedział, że to niemożliwe.

Wszyscy siedzieli tam na nabrzeżu i to wcale nie przypominało trzęsienia ziemi czy czegoś takiego, bo nigdy nie wiedzieli, co na to Turcy. Nie mieli pojęcia, co Turcy robią. Pamięta pan, jak nam zakazali podpływać i zabierać ludzi? Miałem pietra, kiedyśmy się zjawili tego rana. Mieli do licha baterii i mogli nas zrąbać na wodzie. Mieliśmy tam



wpłynąć, podsunąć się do nabrzeża, rzucić przednie i tylne kotwice, a potem ostrzelać turecką dzielnicę miasta. Oni mogli nas zrębać na wodzie, ale my byśmy rozwalili miasto do jasnej cholery. Jednakże wystrzelili do nas tylko parę ślepych ładunków, kiedyśmy wpływali. Zjawił się Kemal i wylał tureckiego dowódcę. Za nadużycie władzy czy coś takiego. Trochę się uniósł. Bo byłaby z tego cholerna chryja.

Pamięta pan ten port. Pływała tam masa różnych ładnych rzeczy. Pierwszy raz w moim życiu doszło do tego, że mi się to śniło. Kobiety rodzące nie były takie przykre jak te z umarłymi dziećmi. Rodziły, tam, a jakże. Zdziwiający, jak mało z nich umarło. Wystarczyło je czymś przykryć i dać im robić swoje. Zawsze wybierały sobie na to najciemniejsze miejsce w ładowni. Żadnej z nich nic nie obchodziło, jak już raz zeszyły z nabrzeża.

Grecy też byli fajni. Kiedy się ewakuowali, mieli te wszystkie zwierzęta juczne, których nie mogli zabrać ze sobą, więc po prostu połamali im przednie nogi i pozrzucałi do płytkiej wody. Wszystkie te muły z połamanymi przednimi nogami kotłowały się tam w płytkiej wodzie. To wszystko razem była przyjemna historia. Tak, daję słowo, bardzo przyjemna historia.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

*Wszyscy byli pijani. Cała bateria maszerująca drogą w ciemnościach była pijana. Szliśmy do Szampanii. Porucznik coraz to odjeżdżał konno w pole i mówił do niego: "Powiadam ci, mon vieux, jestem pijany. Och, ale się zalałem." Maszerowaliśmy tą drogą przez całą noc w ciemnościach, a adiutant jechał na koniu obok mojej kuchni polowej i powtarzał: "Musicie ją wygasić. To niebezpieczne. Na pewno to zaobserwują." Byliśmy o pięćdziesiąt kilometrów od frontu, a ten adiutant martwił się ogniem pod moją kuchnią. Zabawnie było maszerować tą drogą. To działo się wtedy, jak byłem kapralem w obsłudze kuchennej.*

## OBÓZ INDIAŃSKI

U brzegu jeziora stała długa łódź wyciągnięta na ląd. Obaj Indianie czekali.

Nick usiadł z ojcem na rufie. Indianie zepchnęli łódź na wodę, a jeden wskoczył do środka i zaczął wiosłować. Stryj Jerzy siedział na rufie łodzi obozowej. Młodszy Indianin zepchnął ją także, wsiadł i chwycił za wiosła.

Obie łodzie ruszyły w ciemność. Nick słyszał dość daleko przed sobą we mgle stukot wiosła w dulkach tamtej łodzi. Indianie wiosłowali szybkimi, urywanymi ruchami. Chłopiec odchylił się w tył, otoczony ramieniem ojca. Na wodzie było zimno. Ich Indianin wiosłował ostro, ale druga łódź oddalała się coraz bardziej we mgle.

- Dokąd płyniemy, tato - zapytał Nick.

- Do indiańskiego obozu. Jest tam jedna Indianka bardzo chora.

- Aha - powiedział Nick.

Po przeciwległej stronie zatoki druga łódź już czekała wyciągnięta na piasek. Stryj Jerzy palił w mroku cygaro. Młody Indianin wepchnął ich łódź daleko na brzeg. Stryj Jerzy poczęstował obu Indian cygarami.

Z plaży poszli wilgotną od rosy łaką za Indianinem, który niósł latarnię. Następnie weszli w las i ruszyli ścieżką wiodącą do przesieki, która biegła ku wzgórzom. Na przesiece było znacznie widniej, gdyż drzewa wycięto tu po obu stronach. Młody Indianin przystanął i zdmuchnął latarnię, po czym udali się w dalszą drogę.

Kiedy minęli zakręt, wypadł na nich ze szczekaniem jakiś pies. Przed sobą ujrzeli światełka chat, w których mieszkali indiańscy korowacze. Rzuciły się ku nim inne psy, ale obaj Indianie zapędzili je z powrotem do chat. W oknie tej, która była najbliżej drogi, paliło się światło. Na progu stała stara kobieta z lampą w ręce.

Wewnątrz, na drewnianej pryczy, leżała młoda Indianka. Od dwóch dni rodziła dziecko. Dopomagały jej wszystkie stare kobiety z obozu. Mężczyźni wynieśli się dalej na drogę, żeby nie słyszeć jej krzyków, i tam zasiedli paląc w ciemnościach. Właśnie krzyczała, kiedy Nick z dwoma Indianami wchodził do chaty za ojcem i stryjem Jerzym.

Leżała na dolnej pryczy, rozdęta, przykryta kołdrą. Głowę miała odwróconą w bok. Na górnej pryczy leżał jej mąż, który przed trzema dniami zaciął się mocno w nogę siekierą. Palił fajkę. W izbie panował wstrętny zaduch.

Ojciec Nicka kazał postawić wodę na ogniu i kiedy się grzała, powiedział do syna:

- Ta pani będzie miała dziecko, Nick.

- Wiem - odrzekł Nick.

- Nic nie wiesz - powiedział ojciec. - Posłuchaj. To, co ona przechodzi, nazywa się bólami porodowymi. Dziecko chce się urodzić i ona też chce je urodzić. Wszystkie jej mięśnie usiłują wypchnąć to dziecko. I wtedy właśnie krzyczy.

- Rozumiem - powiedział Nick.

W tejże chwili kobieta wrzasnęła.

- Och, tatusiu, nie możesz jej coś dać, żeby tak nie krzyczała? - zapytał Nick.

- Nie. Nie mam żadnego środka znieczulającego - odpowiedział ojciec. - Ale jej krzyki nie są ważne. Nie słyszę ich, bo nie mają znaczenia.

Na górnej pryczy mąż Indianki odwrócił się do ściany.

Kobieta stojąca w kuchni dała doktorowi znak, że woda gotowa. Ojciec Nicka poszedł tam i wlał do miednicy mniej więcej połowę zawartości dużego kociołka. Do wody pozostałej w kociołku włożył kilka przedmiotów, które odwinął z chustki.

- To musi się wygotować - powiedział i kawałkiem mydła przywiezionym z obozu zaczął szorować ręce w gorącej wodzie. Nick patrzył, jak dłonie ojca obmywają się wzajemnie mydłem. Ojciec, szorując ręce bardzo starannie i gruntownie, mówił do niego:

- Widzisz, Nick, dzieci powinny się rodzić głową naprzód, ale czasami bywa inaczej. Wtedy robią wszystkim masę kłopotu. Możliwe, że będę musiał zoperować tę panią. Za chwilę będziemy wiedzieli.

Gdy uznał, że ręce są już wymyte, wszedł do izby i wziął się do roboty.

- Odsuń kołdrę, Jerzy - powiedział. - Wolę jej nie dotykać.

Potem, kiedy zaczął operację, kobietę przytrzymał stryj Jerzy i trzech Indianie. Ugryzła w rękę stryja Jerzego, który powiedział: "Przekłeta dziwka!", a młody Indianin, który go przywiózł, roześmiał się do niego. Nick trzymał ojcu miednicę. Wszystko to zajęło sporo czasu.

Ojciec Nicka podniósł dziecko, dał mu klapsa, by chwyciło oddech, i wręczył je starej kobiecie.

- Widzisz, Nicku? Chłopak - powiedział. - Jak ci się podoba zajęcie asystenta?

- Bardzo - powiedział Nick. Odwracał wzrok, żeby nie widzieć, co robi ojciec.

- No, gotowe - rzekł ojciec i wrzucił coś do miednicy.

Nick nie spojrzał na to.

- A teraz trzeba założyć parę szwów - powiedział ojciec. - Możesz się przyglądać, Nick, albo nie; jak chcesz. Będę zszywał cięcie, które zrobiłem.

Nick nie przyglądał się. Zaciekawienie przeszło mu już od dawna.

Ojciec skończył i wyprostował się. Wyprostowali się też stryj Jerzy i trzej Indianie. Nick odniósł miednicę do kuchni.

Stryj Jerzy spojrzał na swoją rękę. Młody Indianin uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Obmyję ci to wodą utlenioną, Jerzy - powiedział doktor.

Pochylił się nad Indianką. Leżała teraz spokojnie, oczy miała przymknięte. Była bardzo blada. Nie wiedziała, co się stało z dzieckiem, nie wiedziała w ogóle nic.

- Wróć tu rano - rzekł doktor wstając. - Pielęgniarka powinna przyjechać z St. Ignace około południa; przywiezie wszystko, czego nam potrzeba.

Był podniecony i rozmowny jak piłkarze w szatni po meczu.

- To coś dla tygodnika lekarskiego, Jerzy! mówił. - Cesarskie zrobione kozikiem i zaszyte cienką dziewięciostopową żyłką z jelit!

Stryj Jerzy stał pod ścianą i oglądał rękę.

- Tak, tak, fajny chłop z ciebie - powiedział.

- No, trzeba zajrzeć do dumnego ojca. Zwykle to oni najciężej przechodzą te drobiazgi - rzekł doktor. - Muszę powiedzieć, że zniósł wszystko dosyć spokojnie.

Ściągnął Indianinowi koc z głowy. Gdy cofnął dłoń, była wilgotna. Trzymając lampę w jednej ręce wspiał się na krawędź dolnej pryczy i zajrzał na górę. Indianin leżał z twarzą obróconą do ściany. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha. Krew spłynęła w małą kałużę tam, gdzie jego ciało wygniotło siennik. Głowa spoczywała na lewym ramieniu. Otwarta brzytwa leżała na kocu ostrzem do góry.

- Jerzy, wyprowadź Nicka - powiedział doktor.

Nie było to potrzebne. Nick, stojąc w drzwiach kuchni, widział dobrze górną pryczę, gdy ojciec z lampą w ręce opuszczał na poduszkę głowę Indianina.

Zaczynało świtać, kiedy wracali przesieką do jeziora.

- Okropnie żałuję, że cię zabrałem ze sobą, Nickie - powiedział ojciec. Całe jego pooperacyjne podniecenie znikło. - Naraziłem cię na paskudny widok.

- Czy kobiety zawsze tak ciężko rodzą dzieci? - zapytał Nick.

- Nie; to był zupełnie wyjątkowy przypadek.

- Dlaczego on się zabił, tatusiu?

- Czy ja wiem, Nicku. Pewno nie mógł tego znieść.

- A czy dużo mężczyzn się zabija?

- Nie tak wielu, Nicku.

- A kobiety?

- Bardzo rzadko.
- Nigdy się nie zabijają?
- Ach, owszem. Czasami.
- Tatusiu?
- Co?
- Gdzie poszedł stryj Jerzy?
- Niedługo wróci.
- Czy to ciężko umierać, tatusiu?
- Nie. Myślę, że dosyć łatwo. To zależy.

Wsiadli do łodzi. Nick zajął miejsce na rufie, a ojciec przy wiosłach. Zza wzgórza wychodziło słońce. Wyskoczył okoń tworząc krąg na wodzie. Nick ciągnął za sobą zanurzoną dłoń; woda wydawała się ciepła w rzeźwym chłodzie poranka.

Tam, na jeziorze, o świcie siedząc na rufie łodzi, którą wiosłował ojciec, Nick nabrał całkowitej pewności, że nigdy nie umrze.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

*Za bagnistą równiną sterczały w deszczu minarety Adrianopola. Wozy utknęły na przestrzeni trzydziestu mil na drodze do Karagaczu. Bawoły i inne bydło ciągnęły je przez błoto. Ani początku, ani końca. Tylko wozy wyładowane wszystkim, co ci ludzie posiadali. Starzy mężczyźni i kobiety, przemoczeni na wylot, szli obok popędzając zwierzęta. Marica płynęła wezbrana żółto prawie aż po sam most. Na moście utworzył się zwarty zator wozów, między którymi dreptały wielbłądy. Kawaleria grecka parła wzdłuż tego pochodu. Kobiety i dzieci siedziały na wozach zawalonych materacami, lustrami, maszynami do szycia, tobołkami. Jedna z kobiet, rodziła dziecko, a jakaś młoda dziewczyna trzymała nad nią koc i płakała. Strach było na to patrzeć. Deszcz padał przez całą ewakuację.*

## DOKTOR I ZONA DOKTORA

Dick Boulton przyszedł z osady indiańskiej, żeby pociąć drzewo dla ojca Nicka. Przyprowadził swojego syna, Eddy'ego, i drugiego Indianina nazwiskiem Billy Tabeshaw. Przyszli z lasu przez tylną furtkę, a Eddy niósł długą pilę poprzeczną. Kiedy szedł, podrygiwała mu na ramieniu i wydawała melodyjny dźwięk. Billy Tabeshaw niósł dwa duże bosaki. Dick miał pod pachą trzy siekiery.

Obrócił się i zamknął furtkę. Pozostali poszli przed nim na brzeg jeziora, gdzie leżały zagrzebane w piasku kłocce.

Te kłocce zgubiono z dużego transportu pni, które holował po jeziorze do tartaku parowiec "Magie". Woda je zniosła na plażę i jeżeliby się nic z nimi nie zrobiło, wcześniej czy później ludzie z parowca przepłynęliby wzdłuż brzegu łodzią wiosłowa, odnaleźliby kłocce, wbili w koniec każdego z nich żelazny ćwiek, z pierścieniem, a potem odholowali na jezioro, żeby dołączyć je do nowego transportu. Jednakże drwale mogli się nigdy nie zjawić po nie, bo dla kilku kłoców nie warto było opłacać ludzi, którzy by je zabrali. A gdyby nikt po nie nie przyszedł, zostałyby na plaży, nasiąkłyby wodą i zgniły.

Ojciec Nicka zakładał, że tak właśnie się stame, toteż wynajął Indian z osady, żeby przyszedli, pocięli kłocce pilą i porozłupywali je klinami na szczapy i polana do kominka. Dick Boulton poszedł koło domu nad jezioro. Leżały tam cztery duże pnie bukowe, prawie zupełnie zagrzebane w piasku. Eddy zawiesił pilę za rączkę w rozwidleniu drzewa. Dick położył trzy siekiery na małym pomoście. Dick był mieszkańcem i wielu farmerów z okolic jeziora sądziło, że jest białym. Był bardzo leniwy, ale kiedy raz zabrał się do roboty, pracował doskonale. Wyjął z kieszeni kostkę tytoniu do żucia, odgryzł kawałek i zagadał w języku Odżibwejów do Eddy'ego i Billa Tabeshaw.

Wbili haki bosaków w jeden z kłoców i nacisnęli drągi, żeby go wyważyć z piasku. Napierali całym ciężarem na drzewca. Kloc poruszył się w piasku. Dick Boulton obrócił się do ojca Nicka.

- No, doktorze - powiedział. - To pan tu ukradł ładną kupę drzewa.

- Nie gadaj tak, Dicku - odrzekł doktor. - To jest drzewo wyrzucone przez wodę.

Eddy i Billy Tabeshaw wyważyli kloc z mokrego piasku i poturlali go do wody.

- Wrzućcie go - zawołał Dick Boulton.

- Po co to robicie? - spytał doktor.

- Trzeba go obmyć. Spłukać piasek ze względu na pilę. I chcę zobaczyć, czyj jest - powiedział Dick.



Kloc leżał w wodzie na skraju jeziora. Eddy i Billy Tabeshaw oparli się na bosakach pocąc się w słońcu. Dick ukląkł na piasku i popatrzał na znak wybity młotkiem sągarza na drzewie przy końcu kłoca.

- To własność White'a i McNally'ego - powiedział wstając i otrzepując spodnie na kolanach.

Doktor był mocno speszony.

- W takim razie lepiej go nie piłujcie, Dicku - powiedział krótko.

- Niech pan się nie gorączkuje, doktorze - powiedział Dick. - Niech pan się nie gorączkuje. Mnie wszystko jedno, komu pan go kradnie. To nie moja rzecz.

- Jeżeli uważasz, że kloce są skradzione, to je zostawcie i zabierajcie się z narzędziami z powrotem do osady - rzekł doktor. Twarz miał zaczerwienioną.

- Niech pan tak nie wybucha, doktorze - powiedział Dick. Splunął na kloc sokiem tytoniowym, który spłynął rozcieńczając się w wodzie. - Pan wie równie dobrze jak ja, że są kradzione. Mnie to nie robi różnicy.

- W porządku. Jeżeli uważasz, że drzewo jest kradzione, zabieraj swoje rzeczy i wynoś się.

- Ale, doktorze...

- Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się.

- Niech pan posłucha, doktorze...

- Jeżeli jeszcze raz powiesz do mnie: "doktorze", to ci wybiję wszystkie zęby.

- O, nie, tego pan nie zrobi, doktorze.

Dick Boulton popatrzył na doktora. Dick był barczystym mężczyzną. Wiedział, jaki jest barczysty. Lubił wdawać się w bójkę. Był uradowany. Eddy i Billy Tabeshaw stali oparci na bosakach i spoglądali na doktora. Doktor przygryzł dolną wargę i spojrzał na Dicka Boultona. Potem odwrócił się i ruszył pod górę do domu. Mogli poznać po jego plecach, jaki jest zły. Patrzyli za nim, kiedy wchodził na wzgórze, a potem do domu.

Dick powiedział coś w języku Odżibwejów. Eddy zaśmiał się, natomiast Billy Tabeshaw miał bardzo poważną minę. Nie rozumiał po angielsku, ale pocił się przez cały czas tej awantury. Był tłusty i miał rzadkie, pojedyncze włoski na górnej wardze, jak Chińczyk. Wziął oba bosaki. Dick zabrał siekiery, a Eddy zdjął piłę z drzewa. Ruszyli w drogę, minęli dom i wyszli tylną furtką do lasu. Dick zostawił furtkę otwartą. Billy Tabeshaw zawrócił i zamknął ją. Zniknęli w lesie.

W domu doktor, siedząc na łóżku w swoim pokoju, zobaczył na podłodze przy komodzie stos pism lekarskich. Były jeszcze w opaskach, nie otwarte. To go zirytowało.

- Nie wracasz do roboty, kochanie? - spytała żona doktora z sąsiedniego pokoju, gdzie leżała przy zapuszczonych roletach.

- Nie!

- A czy coś się stało?

- Miałem awanturę z Dickiem Boultonem.

- O - powiedziała jego żona. - Spodziewam się, że nie straciłeś panowania nad sobą, Henryku.

- Nie - odrzekł doktor.

- Pamiętaj, że ten, kto rządzi swym duchem, większy jest niżli ten, co zdobywa nagrody - powiedziała jego żona. Była wyznawczynią "Wiedzy Chrześcijańskiej"(seкта założona w Ameryce w r. 1886. nauczająca, że przyczyny wszelkich schorzeń ciała i ducha biorą swój początek w psychice człowieka). Jej Biblia, egzemplarz "Wiedzy i Zdrowia" oraz "Kwartalnik" leżały na stoliku przy łóżku w zaciemnionym pokoju.

Jej mąż nie odpowiedział. Siedział na łóżku i czyścił strzelbę. Załadował do pełna magazynek ciężkimi złotymi nabojami i rozładował go na powrót. Naboje leżały rozsypane na łóżku.

- Henryku! - zawołała żona. Potem zamilkła na chwilę. - Henryku!

- Słucham - powiedział doktor.

- Nie powiedziałaś Boultonowi nic takiego, co by go rozzłościło?

- Nie - odrzekł doktor.

- Więc o co poszło, mój drogi?

- O nic takiego.

- Powiedz mi, Henryku. Proszę cię, nie ukrywaj nic przede mną. O co wam poszło?

- Ano, Dick jest mi winien sporo pieniędzy za wyciągnięcie jego squaw z zapalenia płuc, i myślę, że szukał awantury, żeby nie musieć tego odpracować.

Jego żona milczała. Doktor starannie przetaił strzelbę szmatą. Powpychał z powrotem ładunki naciskając sprężynę magazynka. Siedział ze strzelbą na kolanach. Lubił ją bardzo. A potem usłyszał głos żony z ciemnego pokoju.

- Kochany, nie przypuszczam, naprawdę nie przypuszczam, żeby ktoś mógł zrobić coś podobnego.

- Nie? - zapytał doktor.

- Nie. Naprawdę nie mogę uwierzyć, żeby ktoś zrobił rozmyślnie coś takiego.

Doktor wstał i postawił strzelbę w kącie za komoda.

- Wychodzisz, mój drogi? - spytała żona.

- Chyba się trochę przejdę - powiedział doktor.

- Jakbyś spotkał Nicka, powiedz mu, że matka chciałaby się z nim zobaczyć, dobrze?

- powiedziała jego żona.

Doktor wyszedł na ganek. Siatkowe drzwi trzasnęły za nim. Dosłyszał, że żonie aż dech zaparło, kiedy trzasnęły.

- Przepraszam - powiedział pod jej oknem z zapuszczonymi roletami.

- Nic nie szkodzi, kochanie - odrzekła.

W upale wyszedł przez furtkę i ruszył ścieżką do jodłowego lasu. W lesie było świeżo nawet w taki gorący dzień. Natknął się na Nicka, który siedział oparty plecami o drzewo i czytał.

- Mama chce, żebyś do niej przyszedł - powiedział doktor.

- Ja chcę iść z tobą - odrzekł Nick.

Ojciec spojrzał na niego.

- No dobrze. To chodź - powiedział. - Daj mi tę książkę, włożę ją do kieszeni.

- Wiem, gdzie są czarne wiewiórki, tatusiu - powiedział Nick.

- Dobrze - odparł ojciec. - Chodźmy tam.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

*Byliśmy w jednym z ogrodów w Mons. Miody Buckley wrócił zza rzeki ze swoim patrolem. Pierwszy Niemiec, jakiego zobaczyłem, wdrapał się na mur ogrodowy. Zaczekaliśmy, aż przełożył jedną nogę przez mur, i wtedy kropnęliśmy do niego. Miał na sobie tyle oporządzenia i był jakby strasznie zaskoczony, i spadł do ogrodu. Potem jeszcze trzech wdrapali się trochę dalej na mur. Zastrzeliliśmy ich. Wszyscy spadli tak samo.*

## COS SIĘ KOŃCZY

Za dawnych czasów Hortons Bay było osadą tartaczną. Do uszu każdego z tutejszych mieszkańców stale docierał warkot wielkich pił w tartaku nad jeziorem. A potem któregoś roku zabrakło drzewa na przerób. Do zatoki wpłynęły szkunery transportowe, na które załadowano deski zmagazynowane na placu. Zabrano wszystkie stopy drewna. Ludzie, którzy pracowali w tartaku, wymontowali z dużego budynku całą dającą się rozebrać maszynię i wciągnęli ją na pokład jednego ze szkunerów. Wypłynął on z zatoki na jezioro wioząc dwie wielkie piły, przesuwnicę, która podawała pnie drzewne pod wirujące piły tarczowe, i wszystkie walce, koła, pasy i części żelazne, ułożone na drewnie, którym statek wyładowany był po wręby. Otwarty luk ładowni przykryto płótnem, przywiązano je mocno, żagle szkunera wydeły się i statek wypłynął na jezioro unosząc to, co tartak czyniło tartakiem, a Hortons Bay - miasteczkiem.

Jednopiętrowe baraki mieszkalne, stołówka, sklep zaopatrujący tartak, zabudowania biurowe i sam wielki budynek tartaku pozostały opustoszałe wśród podmokłej, pokrytej trocinami łąki nad brzegiem jeziora.

W dziesięć lat później, gdy Nick i Marjorie wiosłowali wzdłuż brzegu, nie było już ani śladu tartaku, z wyjątkiem potrzaskanego wapnia fundamentów, prześwitującego poprzez chaszczę porastające błota. Płynęli skrajem podwodnego kanału spławnego, gdzie dno nagle opadało z piaszczystych płycizn na głębokość dwunastu stóp w ciemną wodę. Zmierzali do cypla, gdzie na noc mieli zarzucić wędki na pstrągi tęczowe.

- Patrz, Nicku, nasza stara ruina - powiedziała Marjorie.

Nick, wiosłując, spojrział na białe kamienie prześwitujące między zielenią drzew.

- Aha - odrzekł.

- Pamiętasz, jak tu był tartak? - spytała Marjorie.

- Bardzo słabo - odparł Nick.

- To bardziej przypomina jakiś zamek.

Nick nie odpowiedział. Płynąc dalej wzdłuż linii brzegu, stracili z oczu ruiny tartaku. Potem Nick przeciął w poprzek zatokę.

- Nie biorą - powiedział.

- A nie - odparła Marjorie. Przez - cały czas pilnie obserwowała wędkę, nawet gdy rozmawiali. Przepadła za łowieniem ryb. Przepadła za łowieniem ryb z Nickiem.

Tuż obok łodzi spory pstrąg rozciął powierzchnię wody. Nick silnie zagarnął jednym wiosłem, aby obrócić łódź i przeciągnąć wleczoną daleko w tyle przynętę w poblizsze miejsca,

gdzie pstrąg żerował. Kiedy grzbiet ryby wynurzył się z wody, drobne rybki rozpięchły się jak szalone. Posiekały powierzchnię niczym garść śrutu ciśnięta na wodę. Wynurzył się inny pstrąg, żerujący po drugiej stronie łodzi.

- Jedzą - powiedziała Marjorie.

- Ale nie biorą - odrzekł Nick.

Powiosłował dalej, chcąc przeciągnąć przynętę obok żerujących ryb, a potem skierował się ku cyplowi. Marjorie zwinęła linkę dopiero wtedy, gdy łódź dotknęła brzegu.

Wyciągnęli łódź na piasek, a Nick wyjął wiadro pełne żywych okoni, które pływały w nim w wodzie. Wydobył rękami trzy sztuki, obciął im głowy i ściągnął skórę; tymczasem Marjorie wodziła dłońmi w wiadrze, wreszcie złapała okonia, także obcięła mu łeb i zdjęła skórę. Nick spojrzał na jej rybę.

- Nie trzeba jej wrywać płetwy brzusznej - powiedział. - Nada się na przynętę i tak, ale lepiej, jak ma płetwę.

Odarte ze skóry okonie nawłókł za ogony na haczyk. Obie wędki miały po dwa haczyki przymocowane do przyponu. Potem Marjorie powiosłowała nad krawędzią podwodnego kanału trzymając linkę w zębach i zerkając na Nicka, który stał z wędką na brzegu i wypuszczał linkę z kołowrotka.

- Już będzie dosyć - zawołał.

- Rzucić ją do wody? - odkrzyknęła Marjorie trzymając linkę.

- No, pewnie. Wypuść ją. - Marjorie wyrzuciła linkę za burtę i patrzyła, jak przynęty osuwają się pod wodę.

Podpłynęła łodzią i w taki sam sposób odciągnęła na jezioro drugą linkę. Za każdym razem Nick przyciskał ciężkim klockiem trzonek wędki, żeby przytrzymać ją w miejscu, i nastawiał go pod kątem, podpierając mniejszym kawałkiem drewna. Zwijał luźną część linki tak, by ta przebiegała naprężona aż do miejsca, gdzie przynęta spoczywała na piaszczystym dnie kanału, po czym zamykał zacisk na kołowrotku. Jeśli pstrąg, żerujący na dnie, chwycił przynętę, uciekał z nią wybierając linkę z kołowrotka, który terkotał pod zaciskiem.

Marjorie podpłynęła do cypla nadkładając nieco drogi, ażeby nie potraścić linki. Zagarnęła mocno wiosłami i łódź wsunęła się na piasek. Wraz z nią przyplłynęły drobne fale. Marjorie wysiadła, a Nick wciągnął łódź dalej na brzeg.

- Co ci jest, Nicku? - spytała Marjorie.

- Nie wiem - odpowiedział Nick zbierając drzewo na ogień.

Rozpalili ognisko z drewna wyrzuconego na brzeg. Marjorie przyniosła z łodzi koc. Wieczorna bryza zwiewała dym ku cypłowi, więc Marjorie rozłożyła koc między ogniskiem a jeziorem.

Usiadła plecami do ognia i czekała na Nicka. Podszedł i siadł przy niej na kocu. Za sobą mieli gęsty zagajnik cypla, przed nimi była zatoka i ujście rzeczki Hortons Creek. Nie było całkiem ciemno. Światło ogniska sięgało aż do wody. Widzieli obie stalowe wędkę nachylone nad ciemną tonią. Ogień lśnił na ich kołowrotkach.

Marjorie otworzyła koszyk, w którym przywieźli kolację.

- Nie mam apetytu - powiedział Nick.

- Zjedź coś Nicku.

- No, dobrze.

Jedli w milczeniu, obserwując wędkę i odbłask ognia na wodzie.

- Będzie dziś księżyc - powiedział Nick. Spojrzał poprzez zatokę na wzgórza, które zaczynały rysować się ostrzej na tle nieba. Wiedział, że zza nich wzejdzie księżyc.

- Ja wiem, że będzie - powiedziała wesoło Marjorie.

- Ty wszystko wiesz.

- Och, Nicku, proszę cię, przestań. Błagam cię, nie bądź taki.

- Nic na to nie poradzę. Bo tak jest. Ty wszystko wiesz. W tym właśnie sęk. Sama wiesz, że tak jest.

Marjorie nic nie odpowiedziała.

- Wszystkiego cię nauczyłem. Wiesz, że tak. A zresztą, czego ty nie wiesz!

- Och, bądźże cicho! - zawołała Marjorie. - Patrz: już jest księżyc.

Siedzieli na kocu z dala od siebie i przyglądali się wschodzącemu księżycowi.

- Po co mówisz głupstwa? - spytała Marjorie. - No, naprawdę, co się stało?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz.

- Nie, nie wiem.

- Proszę cię, powiedz.

Nick spojrzał na księżyc wysuwający się zza wzgórz.

- To już przestało być zabawne.

Bał się popatrzeć na Marjorie. Wreszcie spojrzał. Siedziała tyłem do niego. Spojrzał na jej plecy.

- Już nie jest zabawne. Ani trochę.

Milczała. On mówił dalej:

- Czuję się tak, jakby się wszystko we mnie rozleciało. Czy ja wiem, Marge... Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Wciąż patrzył na jej plecy.

- Nie bawi cię już to, że się kochamy? - spytała Marjorie.

- Nie - odrzekł Nick.

Marjorie wstała. Nick siedział z głową opartą na rękach.

- Wezmę łódź - powiedziała Marjorie. - Ty możesz wrócić piechotą, naokoło cypla.

- Dobrze - odparł Nick. - Zepchnę ci ją na wodę.

- Nie potrzeba - powiedziała. Siedziała już w łódce, która unosiła się na wodzie w świetle księżyca. Nick zawrócił, położył się przy ognisku i ukrył twarz w kocu. Słyszał, jak Marjorie wiosłuje na jeziorze.

Leżał tak długo. Leżąc usłyszał, że na polankę wychodzi Bili, który tu przyszedł naokoło lasem. Nick czuł, że zbliża się do ogniska. Bill w ogóle go nie dotknął.

- Poszła już? - zapytał.

- Aha - odpowiedział Nick leżąc twarzą w kocu.

- Zrobiła ci scenę?

- Nie, nie było żadnej sceny.

- No i jak się czujesz?

- Ach, idźże stąd, Bill. Odejdź na chwilę.

Bill wybrał sobie sandwich z koszyka i poszedł obejrzeć wędkę.

*Przełożył Bronisław Zieliński*



*Dzień był strasznie gorący. Zagrodziliśmy most zupełnie doskonałą barykadą. Była po prostu wspaniała. Duża stara krata z kutego żelaza, z frontu jakiegoś domu. Za ciężka, żeby ją podnieść, a można było przez nią strzelać, i tamci musieliby przelazić przez wierzch. Była świetna. Próbowali przez nią przeleźć i ostrzelaliśmy ich z odległości czterdziestu jardów. Rzucili się na nią, a potem przybiegli sami oficerowie i próbowali ją usunąć. To była absolutnie doskonała przeszkoda. Ich oficerowie byli wspaniali. Strasznie się zmartwiliśmy, kiedy przyszła wiadomość, że skrzydło się załamało i że musimy się wycofać.*

## TRZYDNIOWA ZAWIERUCHA

Deszcz ustał, kiedy Nick skręcił na drogę idącą przez sad. Owoce już zebrano, jesienny wiatr dał między nagimi drzewami. Nick przystanął i podniósł leżące przy drodze jabłko, które połyskiwało w pozółkłej trawie, zmoczone deszczem. Włożył je do kieszeni kraciastej kurtki.

Z sadu droga wychodziła na szczyt wzgórza. Stał tam domek; na ganku było pusto, z komina wznosił się dym. Za domem był garaż, kojec dla kur, a dalej młody zagajnik, niby żywopłot odgradzający dom od lasu. Nick patrzył na wysokie drzewa chylące się nisko na wietrze. Była to pierwsza jesienna burza.

Kiedy Nick szedł przez pole za sadem, drzwi domku otworzyły się i stanął w nich Bill. Zatrzymał się na ganku i wyjrzał.

- Co słyszeć, stary? - zapytał.

- Jak się masz, Bill - powiedział Nick wchodząc na stopnie.

Stanęli obok siebie spoglądając na okolicę: daleko za sadem i drogą, polami w dole i zalesionym cyplem widać było jezioro. Dał po nim wiatr; widzieli piany fal wzdłuż cypla Ten Mile.

- Ale dmucha - powiedział Nick.

- Będzie tak dmuchało trzy dni - odparł Bill.

- Twój ojciec jest w domu? - spytał Nick.

- Nie. Poszedł gdzieś ze strzelbą. Wejdz.

Nick wszedł do domku. Na kominie płonął wielki ogień hucząc od wiatru. Bill zamknął drzwi.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

Poszedł do kuchni i wrócił z dwiema szklankami i dzbanem wody. Nick sięgnął po butelkę whisky stojącą na półce nad kominkiem.

- Można? - spytał.

- No, chyba - odparł Bill.

Zasiedli przed kominkiem popijając irlandzką whisky z wodą.

- Ma jakiś fajny, przydymiony smaczek - powiedział Nick i przez szkło popatrzał na ogień.

- To od torfu.

- Przecież nie można dodawać torfu do trunków - powiedział Nick.

- Nie szkodzi.

- Widziałeś kiedy torf? - spytał Nick.

- Nie.

- Ani ja - powiedział Nick.

Jego buty oparte o palenisko zaczęły parować przy ogniu.

- Lepiej ściągnij buty - zaproponował Bill.

- Nie mam skarpetek.

- Zdejmij buty i wysusz, a ja ci przyniosę jakieś skarpetki - powiedział Bill. Wszedł po schodach, na poddasze i Nick usłyszał jego kroki na górze. Poddasze było częściowo odkryte i Bill sypiał tam z ojcem, a czasem z Nickiem. W głębi była ubieralnia. Jeżeli padał deszcz, odsuwali łóżka polowe i przykrywali je gumowymi pokrowcami.

Bill zszedł niosąc parę grubych wełnianych skarpet.

- Już za późna pora roku, żeby łązić z gołymi nogami - powiedział.

- To okropne, że trzeba będzie znowu nosić skarpetki - odrzekł Nick. Naciągnął je, usadowił się wygodnie w fotelu i oparł nogi na ekraniku stojącym przed kominkiem.

- Wgnieciesz ekranik - ostrzegł go Bill.

Nick przeniósł nogi na brzeg paleniska.

- Masz coś do czytania? - spytał.

- Tylko gazetę.

- Co tam zwojowali "Cardinals"?

- Przegrali jednego dnia dwa mecze z "Gigantami".

- Będą mieli nauczkę.

- Oddali to za darmo - rzekł Bill. - Im jest wszystko jedno, póki McGraw może sobie kupić każdego dobrego gracza z ligi.

- Wszystkich nie wykupi - powiedział Nick.

- Kupuje każdego, kogo chce - odparł Bill. - Albo tak kombinuje, żeby im było źle i żeby musieli się przehandlować.

- Jak Heinie Zim - zgodził się Nick.

- Taki twardy łeb bardzo mu się przyda.

Bill wstał.

- Umie dać dobrą piłkę - zaczął Nick. Żar ognia parzył mu nogi.

- Pierwszorzędny strateg - powiedział Bill. - A jednak czasem przegrywa.

- Może właśnie na to jest potrzebny McGrawowi - poddał Nick.

- Może - zgodził się Bill.

- Za tym zawsze tkwi coś, czego się nie wie.

- Jasne. Ale jak na tę odległość, kapujemy się wcale nieźle.
- Tak samo lepiej doбира się konie, kiedy się ich nie widzi.
- Właśnie.

Bill sięgnął po butelkę whisky. Jego wielka dłoń objęła ją całą. Nalał trunku do szklanki, którą podsunął mu Nick.

- Ile wody?
- Tyle samo.

Usiadł na podłodze obok fotela Nicka.

- Fajnie jest, jak przychodzą jesienne burze, co? - zapytał Nick.
- Byczo!
- Najlepsza pora roku.
- Cholernie byśmy się teraz czuli w mieście.
- Ale chciałbym zobaczyć rozgrywki - powiedział Nick.

- Ba, kiedy teraz zawsze są w Nowym Jorku albo w Filadelfii - mówił Bill. - To nie dla nas.

- Ciekawe, czy "Cardinals" zdobędą kiedyś porzecz?
- Nie za naszego życia - odparł Bill.
- O rany, chyba się wściekną.
- Pamiętasz, jak kiedyś już mało im brakowało przed tamtą kraksą kolejową?
- No - przypomniał sobie Nick.

Bill sięgnął po książkę, która leżała otwarta, grzbietem do góry, na stoliku pod oknem, gdzie ją zostawił, kiedy podchodził do drzwi. Trzymając szklankę w jednej, a książkę w drugiej ręce oparł się plecami o fotel Nicka.

- Co czytasz?
- Ryszarda Feverela.
- Nie mogłem przez to przebrnąć.
- Dobra rzecz - powiedział Bill. - Wcale niezła książka, Nicku.
- A masz jeszcze coś, czego nie czytałem? - zapytał Nick.
- Znasz Leśnych kochanków?
- Aha. To tam oni kładą się co noc do łóżka przedzieleni gołym mieczem.
- Dobra książka, Nick.

- Pierwszorzędna. Tylko ani rusz nie mogłem zrozumieć, po co ten miecz. Przecież musiałby cały czas leżeć ostrzem do góry, bo jakby się przewrócił na płask, to można by się po nim tarzać bez żadnej szkody.

- To symbol - powiedział Bill.

- No tak - odparł Nick, - Ale niepraktyczny.

- Czytałeś Męstwo?

- Dobra rzecz - powiedział Nick. - Prawdziwa książka. To tam ten jego stary wciąż go prześladowuje. Masz jeszcze coś Walpole'a?

- Ciemny las - odparł Bill. - To o Rosji.

- Co on może wiedzieć o Rosji? - spytał Nick.

- Nie mam pojęcia. Z tymi gośćmi nigdy nie wiadomo. Może tam jeździł, jak był młodym chłopakiem. Ma dużo wiadomości.

- Chciałbym go poznać - powiedział Nick.

- A ja chciałbym poznać Cherystona - odparł Bill.

oapari

- Ba, żeby tak tu był, to byśmy go jutro wzięli na ryby do Charlevoix.

- Ciekaw jestem, czyby mu się podobało łowienie - powiedział Bill.

- Na pewno - odparł Nick. - To musi być pierwszorzędny gość. Pamiętasz Latającą oberżę?

*Jeśli ci z nieba jacy święci*

*Do picia inną dadzą lure,*

*Podziękuj im za dobre chęci*

*I chluj ją prosto w zlew w dziurę!*

- O, właśnie - rzekł Nick. - To chyba lepszy facet niż Walpole.

- Pewnie, że tak - powiedział Bill. - Ale znowu z Walpole'a jest lepszy pisarz.

- Czy ja wiem? Taki Chesterton to klasyk.

- Walpole też klasyk - upierał się Bill.

- Chciałbym, żeby obaj tu byli - ciągnął Nick. - Wzielibyśmy ich jutro na ryby do Charlevoix.

- Upijmy się - powiedział Bill.

- Dobra - zgodził się Nick.

- Mój stary nie będzie miał pretensji.

- Na pewno?

- Jasne!

- Ja już jestem trochę zalany - powiedział Nick.

- Ale skąd! - odparł Bill.

Wstał z podłogi i sięgnął po butelkę whisky. Nick podsunął mu szklanę. Nie spuszczał z niej oka, gdy Bill nalewał.

Bill napelnił szklanę do połowy.

- Sam dolej sobie wody - powiedział. - Zostało już tylko na jedną kolejkę.

- A masz jeszcze? - spytał Nick.

- Jest tego kupa, ale ojciec pozwala mi pić tylko to, co odkorkowane.

- No, pewnie - powiedział Nick.

- Bo mówi, że właśnie otwieranie butelek robi z ludzi pijaków - wyjaśnił Bill.

- Słusznie - odparł Nick. Zastanowiło go to. Nigdy dotąd nie wpadł na taką myśl.

Zawsze sądził, że nałogowcem staje się ten, co pije w pojedynkę.

- Jak się czuje ojciec? - zapytał z uszanowaniem.

- Dobrze - odrzekł Bill. - Tylko czasem trochę się rzuca.

- To byczy gość - powiedział Nick. Nalał sobie do szklanki wody z dzbanka. Powoli zmieszała się z whisky. Whisky było więcej niż wody.

- No, chyba - powiedział Bill.

- Mój stary też jest porządny.

- Ja myślę.

- Mówi, że nigdy w życiu nie wziął wódki do ust - powiedział Nick, jakby oznajmiał o fakcie naukowym.

- No, bo to doktor. A mój stary jest malarz. To co innego.

- Dużo stracił - powiedział smutno Nick.

- Nie wiadomo. Każda rzecz ma swoją dobrą stronę.

- Sam mówi, że masę stracił - wyznał Nick.

- No, mój to miał ciężkie życie - powiedział Bill.

- Wszystko się wyrównuje.

Siedzieli spoglądając w ogień i rozmyślając o tej głębokiej prawdzie.

- Przyniosę jaką kłodę z tylnego ganku - powiedział Nick. Patrząc w palenisko zauważył, że ogień przygasa. Ponadto chciał pokazać, że dobrze znosi trunek i potrafi robić rzeczy praktyczne. Choćby nawet ojciec nigdy nie tknął ani kropli, Bill i tak nie spije jego, Nicka, zanim się sam nie urżnie.

- Przynieś któryś z tych dużych bukowych kłoców - powiedział Bill. I on także był świadomie praktyczny.

Wracając z polanem przez kuchnię Nick w przejściu strącił brytfannę ze stołu. Odłożył polano i podniósł ją. Były w niej suszone morele, które moczyły się w wodzie. Starannie pozbierał wszystkie - niektóre potoczyły się aż pod piec - i włożył je do brytfanny. Dolał trochę wody z wiadra stojącego obok stołu. Był z siebie bardzo dumny. Wykazał całkowitą praktyczność.

Wszedł do pokoju niosąc polano, a Bill wstał z fotela i pomógł mu ułożyć je na ogniu.

- Niezły kloc - powiedział Nick.

- Chowałem go na złą pogodę - odparł Bill. - Taki będzie się palił przez całą noc.

- Rano jeszcze zostaną węgle na rozpałkę.

- Właśnie - powiedział Bill. Rozmowę prowadzili na wysokim poziomie.

- Golnijmy sobie jeszcze - zaproponował Nick.

- Zdaje się, że w kredensie jest druga otwarta flaszka - powiedział Bill.

Ukląkł w rogu przed kredensem i wyjął czworograniastą butelkę.

- Szkocka - powiedział.

- Przyniosę trochę wody - rzekł Nick. Znow wyszedł do kuchni. Napełnił dzbanek zimną źródłaną wodą, której nabrał czerpakiem z wiadra. Wracając do pokoju zerknął w lustro wiszące w jadalni. Własna twarz wydała mu się obca. Uśmiechnął się do tej twarzy w lustrze, a ona odpowiedziała mu grymasem. Mrugnął do niej i poszedł dalej. Nie była to jego twarz, ale to mu nie przeszkadzało.

Bill napełnił szklanki.

- Strasznie dużo - powiedział Nick.

- Ale nie dla nas, stary - odparł Bill.

- Za co pijemy? - zapytał Nick podnosząc szklankę.

- Wypijmy za nasz połów.

- Dobra - powiedział Nick. - Panowie! Za pomyślność połowów!

- Wszystkich połowów - dodał Bill. - Wszędzie.

- Za rybołówstwo! - powiedział Nick. - Ot, za co pijemy.

- To lepsze niż baseball.

- Nie ma żadnego porównania - odparł Nick. - Jak to się stało, żeśmy zaczęli gadać o baseballu?

- To była pomyłka - powiedział Bill. - Baseball to gra dla chamów.

Wypili do dna.

- A teraz wypijmy za zdrowie Chestertona.

- I Walpole'a - dorzucił Nick.

Nick nalał whisky, Bill dolał wody. Spojrzeli na siebie. Czuli się wspaniale.

- Panowie - powiedział Bill. - Wznoszę toast na cześć Chestertona i Walpole'a.

- O, właśnie, panowie.

Wypili. Bill znowu napełnił szklanki. Zasiadli w wielkich fotelach przed ogniem.

- Bardzo mądrze zrobiłeś, stary - powiedział Bill.

- Z czym? - spytał Nick.

- Żeś zerwał z tą Marge.

- Chyba tak.

- To było jedyne wyjście. Gdybyś nie zerwał, siedziałbyś teraz w domu i próbował zarobić tyle forsy, żeby móc się ożenić.

Nick milczał.

- Jak raz się człowiek ożeni, to już leży - ciągnął Bill. - Nic mu nie zostaje. Nic. Ani, ani. Jest wykończony. Przecież widziałeś tych gości, co się pożenili.

Nick milczał nadal.

- Od razu można ich poznać - mówił Bill. - Mają ten jakiś spasiony, małżeński wygląd. Są wykończeni.

- Jasne - powiedział Nick.

- Pewnie przykre było to zerwanie - ciągnął Bill. - Ale człowiek zawsze w końcu polecą za kim innym i wtedy znów wszystko jest w porządku. Lataj za dziewczynami, ale nie daj się zrobić na szaro.

- Aha.

- Gdybyś się z nią ożenił, musiałbyś się ożenić z całą rodziną. Pamiętaj, jaka jest jej matka i ten gość, za którego wyszła.

Nick kiwnął głową.

- Tylko pomyśl, jak by to było, gdyby wciąż ci się pętali po domu i ty byś musiał chodzić do nich na obiad w niedzielę, zapraszać ich do siebie, a ona w kółko mówiłaby córce, co ma robić i jak.

Nick siedział w milczeniu.

- Upiekło ci się jak cholera - mówił Bill. - Teraz Marge może sobie wyjść za kogoś takiego jak ona, założyć dom i być szczęśliwa. Nie można mieszać ani oliwy z wodą, ani



tych rzeczy; to zupełnie tak, jakbym ja chciał się żenić z tą Idą, co pracuje u Strattonów. A pewnie byłaby nie od tego.

Nick milczał. Alkohol wywietrzył mu z głowy. Nie było Billa, a on sam nie siedział przed ogniem ani nie wybierał się jutro na ryby z Billem i jego ojcem. Nie był pijany. Zupełnie mu to przeszło. Wiedział tylko jedno: że kiedyś miał Marjorie i że ją stracił. Odeszła - on sam ją odpędził. Tylko to było ważne. Może już nigdy jej nie zobaczy. Pewnie tak będzie. Wszystko minęło, skończyło się.

- Napijmy się jeszcze - powiedział.

Bill nalał. Nick dodał trochę wody.

- Gdyby to dalej trwało, nie siedzielibyśmy tu teraz - rzekł Bill.

To prawda. Pierwotnie Nick zamierzał wrócić do domu i wziąć posadę. Potem planował sobie, że zostanie w Charlevoix przez całą zimę, żeby być blisko Marge. Teraz nie wiedział już, co będzie robił.

- Pewnie nawet nie wybieralibyśmy się jutro na ryby - ciągnął Bill. - Miałeś dobrego nosa, szkoda gadać.

- Nie było rady - odpowiedział Nick.

- Wiem. Tak zawsze bywa.

- Raptem wszystko się skończyło - mówił Nick. - Nie mam pojęcia dlaczego. Nic nie mogłem na to poradzić. Zupełnie jak wtedy, gdy przychodzi taka trzydniówka jak teraz i zrywa liście z drzew.

- No, już po wszystkim. To grunt - powiedział Bill.

- To była moja wina.

- Nieważne, czyja była wina.

- Ano, chyba nie.

Najważniejsze było to, że nie ma już Marjorie i że pewnie nigdy jej nie zobaczy. Opowiadał jej, jak to razem pojedą do Włoch i jak tam będzie zabawnie. I co będą zwiedzali. Teraz to się skończyło.

- Najważniejsze, żeby już było po wszystkim - mówił Bill. - Powiadam ci, stary, że bardzo się martwiłem, póki to trwało. Aleś to dobrze rozegrał. Jej matka musi być zła jak wszyscy diabli. Tyłu ludziom naopowiadała, żeście się zaręczyli.

- Nie byliśmy zaręczeni.

- Wszyscy naokoło gadali, że tak.

- Co ja zrobię - powiedział Nick. - Nie byliśmy.

- To nie mieliście się pobrać?

- I owszem. Ale nie byliśmy zaręczeni.
- Co to za różnica? - zapytał rozsądnie Bill.
- Nie wiem. Ale jakaś jest.
- Nie widzę żadnej.
- No, dobra - powiedział Nick. - Urznijmy się.
- W porządku - odparł Bill. - Urznijmy się naprawdę.
- Zalejemy się, a potem pójdziemy popływać - rzekł Nick.

Opróżnił swoją szklankę.

- Żal mi jej jak cholera, ale co mogłem zrobić? - powiedział. - Wiesz, jaka była ta matka.

- Okropna.
- Nagle wszystko się skończyło - mówił Nick. - Nie powinienem o tym gadać.
- Ty wcale nie gadasz - powiedział Bill. - To ja gadałem, a teraz już przestałem.

Nigdy więcej nie będziemy na ten temat mówili. Nie powinieneś o tym myśleć, bo może ci się wrócić.

Nickowi nie przyszło to do głowy. Wszystko wydawało się takie ostateczne. Ale to była myśl. Zaraz poczuł się raźniej.

- No, pewnie - powiedział. - Zawsze jest to niebezpieczeństwo.

Czuł się teraz szczęśliwy. Więc nic nie było nieodwołalne. W sobotę wieczorem może pojechać do miasta. Dziś jest czwartek.

- Zawsze istnieje możliwość - powiedział.
- Musisz się pilnować.
- Będę się pilnował.

Był szczęśliwy. Nic się nie skończyło. W ogóle nic nie było stracone. Pojedzie do miasta w sobotę. Zrobiło mu się lżej na sercu, tak jak przed rozpoczęciem tej rozmowy przez Billa. Zawsze istniało jakieś wyjście.

- Weźmy strzelby i chodźmy na cypel poszukać twojego ojca - powiedział Nick.
- Dobrze.

Bill zdjął dwie śrutówki z wieszaka przybitego na ścianie. Otworzył pudełko naboii. Nick włożył kurtkę i buty zeszywniałe po wysuszeniu. Był wciąż jeszcze zupełnie pijany, ale umysł miał jasny.

- Jak się czujesz? - zapytał.
- Byczo. Po prostu mam trochę w czubie. - Bill zapinał sweter.

- Nie warto się upijać.
- Nie. Trzeba wyjść na powietrze. Wyszli przed domek. Wiatr dął potężnie.
- Przy takiej pogodzie ptaki będą siedziały w trawie - odezwał się Nick.

Ruszyli w stronę sadu.

- Dziś rano widziałem słońkę - powiedział Bill.

- Może się gdzie poderwie.

- Niepodobieństwo strzelać przy tym wietrze. Kiedy znaleźli się na dworze, cała sprawa Marge przestała wyglądać tragicznie. Nie była nawet zbyt ważna. Wiatr zdmuchiwał wszystkie takie rzeczy.

- Dmie prosto od wielkiego jeziora - odezwał się Nick.

Poprzez wiatr usłyszeli głuchy huk strzelby.

- To tata - powiedział Bill. - Jest na bagnie.

- Walmy tam prosto - odparł Nick.

- Pójdziemy na przełaj dolnymi łąkami i zobaczymy, czy coś się nie poderwie.

- Dobrze - powiedział Nick.

Nic już teraz nie było ważne. Wiatr wywiał mu wszystko z głowy. Ale zawsze może pojechać do miasta w sobotę wieczorem. Dobrze było mieć to w odwodzie.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

Rozstrzelali tych sześciu ministrów z rządu o wpół do szóstej rano pod murem szpitala. Na podwórzu stały kałuże wody. Na bruku podwórza leżały mokre, zwiędłe liście. Padało gęsto. Wszystkie okiennice szpitala były zabite gwoździami. Jeden z ministrów był chory na tyfus. Dwaj żołnierze znieśli go na dół, w deszcz. Próbowali ustawić go pod murem, ale siadł w kałuży wody. Pięciu pozostałych stało bardzo spokojnie pod murem. W końcu oficer powiedział żołnierzom, że nie warto próbować go ustawić. Kiedy wystrzelili pierwszą salwę, siedział w wodzie, z głową złożoną na kolanach.

## ZAPAŚNIK

Nick podniósł się z ziemi. Nic mu się nie stało. Spojrzał na tor, na znikające za zakrętem tylne światła wagonu służbowego. Po obu stronach toru była woda, a dalej moczary porosłe modrzewiami.

Pomacał kolano. Spodnie miał rozerwane, a skórę zdartą. Ręce były podrapane, pod paznokcie nabiło mu się piasku i żużlu. Podszedł do skraju nasypu, opuścił się po niewielkiej pochyłości aż do wody i obmył sobie ręce. Mył je starannie w zimnej wodzie, usuwając brud spod paznokci. Przykucnął i opłukał kolano.

Parszywy cham ten hamulcowy. Jeszcze go kiedyś dostanie w swoje ręce. Pozna go. To ci dopiero ładne postępowanie.

"Chodź tu, mały - powiedział. - Mam coś dla ciebie."

I Nick się nabrał. Cóż to za świństwo!

Już nigdy więcej nie da się tak nabić w butelkę.

"Chodź tu, mały, mam coś dla ciebie." A potem łup, i Nick wylądował na czworakach przy torze.

Potał oko. Nabrzmięwało porządnie. Będzie siniak, nie ma co. Już bolało. Ach, to wstrętny cham.

Dotknął palcami guza nad okiem. A, co tam! Tylko podbite oko. Nic więcej się nie stało. Wykpił się z tego niewielkim kosztem. Warto by zobaczyć to oko. W wodzie nie mógł się jednak przejrzeć. Było ciemno; znajdował się daleko od jakiegokolwiek osiedla. Otarł ręce o spodnie, wyprostował się i wdrapał po nasypie na tor.

Ruszył po szynach. Tor był dobrze podsypany, szło się po nim łatwo, pewnie, między podkładami był ubity piasek i żwir. Gładka nawierzchnia biegła przez bagna jak grobla. Nick szedł przed siebie. Musi przecież gdzieś dojść.

Nick wskoczył przedtem do pociągu towarowego, kiedy ten zwolnił przy stacji przetokowej obok rozjazdu Walton. Przejechał pociągiem przez Kalkaska, gdy zaczynało się ściemniać. W tej chwili musiał więc być niedaleko Mancelony. Trzy albo cztery mile bagnami.

Szedł torem stąpając po żwirze leżącym między podkładami; moczary wyglądały upiornie pośród wstającej mgły. Oko bolało go, był głodny. Pozostawiał za sobą całe mile toru. Po obu stronach wciąż rozciągały się bagna.

Ujrzał przed sobą most. Przeszedł po nim stukając głucho butami o żelazo. Poprzez szczeliny między podkładami widział w dole czerni wody. Kopnął leżący ćwiek, który spadł do rzeki.

Za mostem były wzgórza. Wznosiły się, wysokie i ciemne, po obu stronach toru. Nieco dalej Nick zauważył ognisko.

Ostrożnie poszedł torem w tę stronę. Ognisko paliło się trochę dalej w bok, poniżej nasypu. Widział tylko światło. Tor wychodził z wąwozu, który w miejscu, gdzie płonął ogień, rozszerzał się i ginął w lasach. Nick ostrożnie opuścił się z nasypu i zagłębił w las, chcąc podejść do ogniska zza drzew.

Był to las bukowy i Nick idąc między drzewami czuł pod podeszwą opadłe łuski żołądki. Ognisko płonęło teraz jasno na samym skraju lasu. Siedział tam jakiś mężczyzna. Nick przystanął za drzewem i zaczął go obserwować. Mężczyzna zdawał się być sam. Siedział oparłszy głowę na rękach i patrzył w ogień. Nick wyszedł pomiędzy drzew w krąg światła.

Mężczyzna wciąż siedział i patrzył w ogień. Nie poruszył się nawet, gdy Nick podszedł zupełnie blisko.

- Halo! - powiedział Nick.

Mężczyzna podniósł wzrok.

- A ty gdzieś dostał tę śliwę? - zapytał.

- Zrzucił mnie jeden hamulcowy.

- Z towarowego?

- Aha.

- Widziałem drania - powiedział mężczyzna. - Przejeżdżał tędy z półtorej godziny temu. Łazł po dachach wagonów, zabijał w ręce i śpiewał.

- Łobuz!

- Musiało mu być przyjemnie tak ciebie zwalić - powiedział poważnie mężczyzna.

- Jeszcze ja go rozwalę.

- Zapraw go kiedy kamieniem, jak będzie przejeżdżał - doradził tamten.

- Już ja go dostanę.

- Toś ty taki zadziorny, co?

- Nie - odparł Nick,

- Wy, młodzi, wszyscy jesteście zadziorni.

- Bo tak trzeba - powiedział Nick.

- Właśnie mówię.

Mężczyzna spojrział na Nicka i uśmiechnął się. Nick spostrzegł w blasku ogniska, że ma twarz zniekształconą. Nos był wklęsnięty, oczy jak szparki, wargi osobliwego kształtu. Nick nie od razu zauważył to wszystko, widział tylko, że twarz mężczyzny jest jakaś dziwna i okaleczona. Była barwy kitu. W świetle ogniska wyglądała jak martwa.

- Nie podoba ci się moja jadaczka? - zapytał tamten.

Nick zmieszał się.

- T owszem - powiedział.

- Popatrz. - Mężczyzna zdjął czapkę.

Miał tylko jedno ucho. Było obrzmiałe i mocno przylegało do głowy. W miejscu drugiego był tylko strzęp skóry.

- Widziałeś kiedy kogoś takiego?

- Nie - odrzekł Nick. Zrobiło mu się trochę mdło.

- A ja to wytrzymałem - powiedział mężczyzna. - Myślisz, że nie mogłem wytrzymać, mały?

- Dlaczego nie?

- Oni wszyscy haratali sobie na mnie ręce - mówił tamten. - I nic nie mogli mi zrobić.

Spojrzał na Nicka.

- Siadaj - powiedział. - Chciałbyś coś zjeść?

- Niech pan sobie nie robi kłopotu - odparł Nick. - Idę do miasta.

- Słuchaj no - powiedział niski mężczyzna. - Mów do mnie: Ad.

- Dobrze.

- Posłuchaj - ciągnął tamten. - Ja jestem niezupełnie w porządku.

- Jak to?

- Jestem wariat.

Nałożył czapkę. Nickowi zachciało się śmiać.

- Nic panu nie brakuje - powiedział.

- Właśnie że tak. Jestem wariat. Słuchaj, byłeś kiedy wariatem?

- Nie - odparł Nick. - Skąd to na człowieka przychodzi?

- Nie wiem - odpowiedział Ad. - Jak już cię złapie, to wcale tego nie czujesz. Znasz mnie, co?

- Nie.

- Jestem Ad Francis.

- Uczciwie?

- Nie wierzysz?

- Owszem.

Nick czuł, że to musi być prawda.

- A ty wiesz, dlaczego ich zwyciężalem?

- Nie - odparł Nick.

- Bo serce mi wolno bije. Tylko czterdzieści uderzeń na minutę. Pomacaj.

Nick zawahał się.

- No, dalej - mężczyzna złapał go za rękę. - Weź mnie za kiść. Przyłóż tu palce.

Ręka jego była gruba w przegubie, a mięśnie napinały się nad kością. Nick wyczuł palcami wolne tętno.

- Masz zegarek?

- Nie.

- Ja też nie - powiedział Ad. - To na nic, jeżeli nie masz zegarka.

Nick puścił jego rękę.

- Słuchaj - ciągnął Ad Francis. - Spróbuj jeszcze raz. Licz uderzenia, a ja będę rachował do sześćdziesięciu.

Nick zaczął liczyć czując pod palcami mocne, powolne tętno. Słyszał, jak niski mężczyzna wolno odlicza na głos: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć - i dalej.

- Sześćdziesiąt - zakończył Ad. - Minuta. A tobie ile wyszło?

- Czterdzieści - powiedział Nick.

- W porządku - ucieszył się Ad. - Nigdy nie przyśpiesza.

Z nasypu kolejowego spuścił się jakiś mężczyzna i podszedł przez polankę do ogniska.

- Serwus, Bugs! - zawołał Ad.

- Serwus - odpowiedział Bugs. Był to głos Murzyna. Nick po chodzie poznał, że to Murzyn. Tamten stanął do nich tyłem, pochylił się nad ogniem i wyprostował.

- To mój kumpel, Bugs - powiedział Ad. - On też jest wariat.

- Miło mi pana poznać - odezwał się Bugs. - Że niby skąd pan jest?

- Z Chicago - odpowiedział Nick.

- Piękne miasto - rzekł Murzyn. - Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Adams. Nick Adams.

- Bugs, on powiada, że nigdy nie był wariatem - wtrącił Ad.

- To jeszcze dużo go czeka - odparł Murzyn. Rozwijał przy ogniu jakąś paczkę.

- Kiedy coś zjemy, Bugs? - spytał zapaśnik.



- A zaraz.
- Głodny jesteś Nick?
- Jak diabli.
- Słyszysz, Bugs?
- Słyszę na ogół wszystko, co się dzieje.
- Nie o to cię pytałem.
- Owszem. Słyszałem, co ten pan powiedział.

Układał na patelni plasterki szynki. Kiedy patelnia się rozgrzała, tłuszcz począł skwierczeć, a Bugs, przykucnąwszy nad ogniem na swoich długich murzyńskich nogach, odwrócił na drugą stronę plastry szynki, na wierzch wrzucił kilka jajek przechylając patelnię z boku na bok, żeby je zalać gorącym tłuszczem.

- Może pan wyjmie z tej torby chleb i pokraje, panie Adams - odwrócił się Bugs od ognia.

- Dobra.

Nick sięgnął do torby i wyjął bochenek chleba. Ukrajał sześć kawałków. Ad obserwował go; pochylił się do przodu.

- Daj mi swój nóż, Nicku - powiedział.

- Niech pan nie daje - odezwał się Murzyn. - Nie wypuszczaj pan noża z ręki, panie Adams.

Zapaśnik cofnął się.

- Może mi pan poda chleb, panie Adams - poprosił Bugs.

Nick przyniósł mu go.

- Lubi pan chleb moczony w tłuszczu z szynki? - zapytał Murzyn.

- No!

- Może zaczekajmy jeszcze trochę. To lepiej smakuje pod koniec jedzenia. Proszę.

Murzyn wziął z patelni płat szynki, położył go na kawałku chleba, po czym zsunął na wierzch jajko.

- Teraz niech pan będzie łaskaw położyć na to drugi kawałek chleba i podać panu Francisowi.

Ad wziął sandwicz i zaczął jeść.

- Niech pan uważa, żeby jajko się nie wysliznęło - przestrzegał Murzyn. - A to dla pana, panie Adams. Reszta będzie dla mnie.

Nick nadgryzł sandwicz. Murzyn siedział naprzeciw niego, obok Ada. Gorąca, przysmażona szynka z jajkiem smakowała wybornie.

- Pan Adams jest bardzo głodny - powiedział Murzyn. Niski mężczyzna, którego Nick znał z nazwiska jako dawnego mistrza walk zapaśniczych, siedział w milczeniu. Nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy Murzyn wspomniał o nożu.

- Można pana poczęstować kawałkiem chleba namoczonym w gorącym tłuszczu z szynki? - zapytał Bugs.

- Bardzo dziękuję.

Niski biały człowiek spojrzał na Nicka.

- Chce pan kawałek, panie Adolfie? - Bugs podsunął mu patelnię.

Ad nie odpowiedział. Patrzył na Nicka.

- Panie Francis? - rozległ się miękki głos Murzyna.

Ad milczał. Przyglądał się Nickowi.

- Mówię do pana, panie Francis - powiedział łagodnie Murzyn.

Ad wciąż wpatrywał się w Nicka. Czapkę nasunął na oczy. Nick poczuł się nieswojo.

- Skąd tyś się tu wziął, u cholery? - wybiegły spod czapki ostre słowa zwrócone do Nicka. - Co tobie się zdaje, do diabła? Że kto ty jesteś? Głupi gówniarz. Przyłazisz, gdzie cię nikt nie prosi, zżerasz człowiekowi jedzenie, a jak cię spytać, - czybyś nie pożyczył noża, to robisz się ważny.

Łypnął na Nicka, twarz miał zbieleła, oczu prawie nie było widać pod czapką.

- Paradny jesteś. Kto cię, u licha, prosił, żebyś się tu przypętał?

- Nikt.

- Masz rację, cholera, że nikt. I nikt nie prosił, żebyś został. Przyłazisz, szurasz na moją twarz, wypalasz moje cygara, chlejesz mój .trunek i gadasz z góry. Skądeś się urwał, psiakrew?

Nick milczał. Ad podniósł się z ziemi.

- Ja ci pokażę, ty kopany gówniarzu z Chicago. Zaraz dostaniesz w mordę. Kapujesz?

Nick cofnął się. Mały mężczyzna szedł ku niemu powoli; stawiał stopy płasko, dając krok lewą nogą, a prawą podciągając do niej.

- No, uderz - nadstawił głowę. - Spróbuj mnie uderzyć.

- Ja wcale nie chcę pana bić.

- Tak się z tego nie wykpisz. Dostaniesz lanie, rozumiesz? No, dalej, bierz się do mnie.

- Niech pan da spokój - odparł Nick.

- No, to zobaczysz, ty gówniarzu.

Niski mężczyzna spojrzął na stopy Nicka. Kiedy opuścił wzrok, Murzyn, który siedł za nim od ogniska, zamachnął się i trzasnął go czymś w podstawę czaszki. Tamten zwałił się na twarz, a Bugs rzucił w trawę owiniętą płótnem pałkę.

Niski mężczyzna leżał twarzą w trawie. Murzyn dźwignął go i poniósł do ogniska. Adowi zwisała głowa, twarz wyglądała okropnie, oczy były otwarte. Bugs delikatnie złożył go na ziemi.

- Może pan przyniesie wody w wiadrze, panie Adams - powiedział. - Boję się, że go trochę za mocno uderzyłem.

Murzyn nabrał dłonią wody, opryskał twarz leżącego i pociągnął go lekko za ucho. Tamten przymknął oczy.

Bugs wyprostował się.

- Nic mu nie jest - powiedział. - Nie ma się czym martwić. Bardzo mi przykro, panie Adams.

- Nie szkodzi. - Nick patrzył na niskiego mężczyznę. Zauważył leżącą w trawie pałkę i podniósł ją. Miała elastyczny trzonek, czuł w dłoni jej giętkość. Obszyta była podniszczoną czarną skórą, a koniec z ciężarkiem miała owinięty chustką.

- Trzonek jest z kości wielorybie] - uśmiechnął się Murzyn. - Teraz już takich nie wyrabiają. Nie wiedziałem, czy pan potrafi sam się obronić, a zresztą nie chciałem, żeby pan mu zrobił krzywdę albo pokiereszował go jeszcze bardziej.

Uśmiechnął się znowu.

- Sam pan mu zrobił krzywdę.

- Ja wiem, jak to trzeba załatwiać. Nic z tego nie zapamięta. Muszę tak robić, żeby go osadzić, jak tak zaczyna wyprawiać.

Nick wciąż patrzył na niskiego mężczyznę, który leżał z przymkniętymi oczami w świetle ogniska. Bugs dorzucił kilka dREW do ognia.

- Niech pan się o niego nie martwi, panie Adams. Już go nieraz widziałem w tym stanie.

- Dlaczego on zwariował? - zapytał Nick.

- O, wiele było powodów - odparł Murzyn siedząc przy ogniu. - Napije się pan kawy, panie Adams?

Podał mu kubek i poprawił kurtkę, którą podłożył pod głowę nieprzytomnemu towarzyszowi.

- Po pierwsze, za dużo w życiu oberwał. - Murzyn pociągnął łyk kawy. - Ale to go tylko jakby otumanilo. Po drugie, za menażera miał siostrę i wciąż ich opisywali w

gazetach, w kółko tam była mowa o braciach i siostrach, o tym, jak ona kocha brata i jak on kocha siostrę, aż w końcu pobrali się w Nowym Jorku i było z tego dużo nieprzyjemności.

- Pamiętam.

- Właśnie. Ma się rozumieć, oni wcale nie byli rodzeństwem, ale wielu ludziom to i tak się nie podobało, zaczęły się przykrości, aż któregoś dnia ona odjechała i nigdy już nie wróciła.

Dopił kawy i otarł usta wewnętrzną, różową stroną dłoni.

- No i zwariował. Napije się pan jeszcze kawy.

- Dziękuję.

- Widziałem ją parę razy - ciągnął Murzyn. - Bardzo przystojna kobieta. A tak do niego podobna, że mogliby być bliźniakami. On wcale nieźle by wyglądał, gdyby nie ta pokiereszowana twarz.

Zamilkł. Opowieść była widać skończona.

- Gdzie pan go poznał? - zapytał Nick.

- W więzieniu - odparł Murzyn. - Po jej odjeździe wciąż kogoś rozkwaszą! i wsadzili go do ciupy. Ja siedziałem za pokrajanie nożem człowieka. Uśmiechnął się i mówił dalej łagodnym głosem.

- Od razu mi się spodobał i kiedy mnie puścili, poszedłem do niego. Wymyślił sobie, że jestem wariat, a mnie to nie przeszkadza. Chętnie z nim przebywam, z przyjemnością wędruję sobie po kraju i nie muszę po to kraść. Lubię żyć jak dżentelmen.

- A co wy robicie? - zapytał Nick.

- Och, nic. Po prostu się wałęsamy. On ma pieniądze.

- Musiał zarobić kupę forsy.

- Jasne. Ale wszystko wydał. Albo mu zabrali. Ona przysyła mu pieniądze.

Poprawił ogień.

- Bardzo fajna kobieta. - powiedział. - Taka do niego podobna, że mogliby być bliźniakami.

Murzyn spojrział na niskiego mężczyznę, który leżał oddychając ciężko. Jasne włosy opadły mu na czoło. Okaleczona twarz była spokojna i miała jakiś dziecięcy wyraz.

- Mogę go teraz obudzić każdej chwili panie Adams. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, wolałbym, żeby pan może odszedł. Przykro mi, że jestem niegościnnie, ale pana widok mógłby go znowu zdenerwować. Nie cierpię go bić, a to jest jedyny sposób, jak już zaczniesz. Muszę go trzymać z daleka od ludzi. Nie ma pan żalu, panie Adams? Nie, niech mi pan nie dziękuje. Ostrzegłbym pana przed nim, ale zdawało się, że pan mu się spodobał,

więc myślałem, że wszystko będzie dobrze. Stąd o jakieś dwie mile torem jest miasto. Nazywa się Mancelona. Do widzenia. Szkoda, że nie możemy poprosić, żeby pan z nami zanocował, ale to po prostu wykluczone. Nie chciałby pan zabrać z sobą trochę szynki i chleba? Nie? Niech pan lepiej weźmie sandwicz.

Mówił to wszystko przyciszonym, gładkim, uprzejmym murzyńskim głosem.

- Doskonale. No, to do widzenia, panie Adams. Do widzenia i wszystkiego dobrego.

Nick odszedł od ogniska przez polankę w stronę toru kolejowego. Gdy znalazł się poza kręgiem światła, nadstawił uszu. Murzyn mówił coś swym miękkim, zniżonym głosem. Nick nie mógł rozróżnić słów. Potem usłyszał głos niskiego mężczyzny: - Mam okropny ból głowy, Bugs.

- Przejdzie, panie Francis - rozległ się uspokajający głos Murzyna. - Niech pan tylko wypije kubek tej gorącej kawy.

Nick wdrapał się na nasyp i ruszył torem. Przypomniał sobie, że w ręku trzyma sandwicz z szynką, więc włożył go do kieszeni. Obejrawszy się z wysokiego stoku, w miejscu gdzie tor skręcał między wzgórz, dostrzegł blask ogniska na polance.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

*Nick siedział pod ścianą kościoła, gdzie go przywlekli spod ognia karabinów maszynowych na ulicy. Obydwie nogi miał wyciągnięte bezwładnie. Został trafiony w kręgosłup. Twarz miał spoconą i brudną. Świeciło mu w nią słońce. Dzień był bardzo gorący. Rinaldi leżał twarzą do ziemi pod ścianą, barczysty, z rozrzuconym dookoła oporządzeniem. Nick patrzył bystro przed siebie. Różowa ściana domu naprzeciwko zawałiła się od dachu i jakieś żelazne łóżko zwisało skrzycone nad ulicą. W cieniu domu leżeli wśród gruzu dwaj zabici Austriacy. Dalej w ulicy leżały inne trupy. W miasteczku posuwano się naprzód. Wszystko szło dobrze. Sanitariusze powinni byli zjawić się lada chwila. Nick ostrożnie obrócił głowę i spojrzął na Rinaldiego.*

*- Senta, Rinaldi. Senta. Obaj zawarliśmy odrębny pokój.*

*Rinaldi leżał nieruchomo w słońcu i oddychał z trudnością.*

*- My nie patrioci.*

*Nick ostrożnie odwrócił głowę uśmiechając się z trudem. Rinaldi sprawił mu zawód jako audytorium.*

## BARDZO KRÓTKA HISTORIA

Któregoś upalnego wieczora w Padwie zanieśli go na dach, skąd mógł popatrzeć z góry na miasto. Po niebie latały jerzyki. Wkrótce się ściemniło i zapłonęły reflektory. Tamci zeszli na dół i wzięli ze sobą butelki. On i Luz słyszeli ich niżej na balkonie. Luz usiadła na łóżku. Była chłodna i świeża w tej gorącej nocy.

Luz pełniła nocny dyżur przez trzy miesiące. Chętnie jej na to pozwolono. Kiedy go operowali, przygotowywała go na stół operacyjny i oboje powtarzali sobie dowcip o różnicy między anemią a enemą. Poddał się narkozie trzymając się mocno w garści, żeby czegoś nie wypaplać, jak przyjdzie ten głupi moment gadatliwości. Kiedy zaczął chodzić o kulach, sam mierzył temperaturę, żeby Luz nie musiała wstawać z łóżka. Było tam tylko kilku pacjentów i wszyscy wiedzieli o nich obojgu. Wszyscy lubili Luz. Kiedy wracał korytarzami, myślał o Luz leżącej w jego łóżku.

Przed jego powrotem na front poszli pomodlić się do Duomo. Było tam mrocznie i cicho i modliło się kilka innych osób. On i Luz chcieli się pobrać, ale nie było dość czasu na zapowiedzi i ani jedno, ani drugie nie miało świadectwa urodzenia. Czuli się małżeństwem, ale chcieli, żeby wszyscy o tym wiedzieli, i chcieli zrobić tak, żeby tego nie utracić.

Luz napisała do niego wiele listów, które dostał dopiero po zawieszeniu broni. Piętnaście naraz przyszło na front, a on poukładał je według dat i przeczytał wszystkie od razu. Pisała o szpitalu i o tym, jak bardzo go kocha, i że nie może dać sobie rady bez niego, i że tak strasznie brak jej go w nocy.

Po zawieszeniu broni oboje zgodzili się, że powinien wrócić do kraju i znaleźć jakąś pracę, aby mogli się pobrać. Luz miała wrócić dopiero wtedy, kiedy by dostał dobrą posadę i mógł po nią przyjechać do Nowego Jorku. Zostało uzgodnione, że nie będzie pił, a nie miał ochoty spotykać się ze swymi znajomymi ani z nikim innym w Stanach. Tylko znaleźć posadę i ożenić się. W pociągu z Padwy do Mediolanu pokłócili się o to, że nie chciała od razu wrócić do kraju. Kiedy musieli się pożegnać na stacji w Mediolanie, pocałowali się na do widzenia, ale kłótnia nie była zakończona. Było mu okropnie żegnać się w taki sposób.

Popłynął do Ameryki statkiem z Genui. Luz wróciła do Pordenone na otwarcie szpitala. Było tam smutno i padał deszcz, a w mieście kwaterował batalion arditi. Siedząc zimą w tym błotnistym, zalanym deszczem miasteczku, major z owego batalionu zaczął zalecać się do Luz, a ona nigdy dotąd nie знаła Włochów i w końcu napisała do Stanów, że tamto, co ich łączyło, było tylko młodzieńczą historią. Żałuje bardzo i wie, że on pewnie nie potrafi zrozumieć, ale może jej kiedyś przebaczy i jeszcze będzie jej wdzięczny, a ona

spodziewa się zupełnie niespodziewanie wyjść za mąż na wiosnę. Kocha go zawsze, ale teraz uświadomiła sobie, że to była młodzięcza miłość. Ma nadzieję, że on zrobi wielką karierę, i wierzy w niego bezwzględnie. Wie, że tak będzie najlepiej.

Major nie ożenił się z nią ani na wiosnę, ani kiedy indziej. Luz nigdy nie dostała odpowiedzi na wysłany do Chicago list na ten temat. On zaś wkrótce potem zaraził się rzeżączką od ekspedientki z domu towarowego jadąc taksówką przez Park Lincolną.

*przełożył Bronisław Zieliński*



Kiedy bombardowanie rozwalalo okopy pod Fossaltą, lezał płasko, pocil się i modlił o Jezu Chryste wydostań mnie stąd. Jezu kochany błagam wydostań mnie stąd. Chryste błagam błagam błagam Chryste. Jeżeli nie dasz żeby mnie zabili zrobią wszystko co każesz. Wierzę w Ciebie i będę mówił wszystkim na świecie że tylko Ty jeden jesteś ważny. Proszę Cię proszę dobry Jezu. Ostrzał przesunął się nieco dalej wzdłuż linii. Zabraliśmy się do naprawiania okopów i rano weszło słońce, i dzień był gorący, parny, wesoły i spokojny. Następnego wieczora, w Mestre, nie opowiedział o Jezusie tej dziewczynie, z która poszedł na górę w Villa Rossa. I nigdy nie opowiedział nikomu.

## POWRÓT ŻOŁNIERZA

Krebs poszedł na wojnę prosto z college'u metodystów w Kansas. Istnieje fotografia, na której widać go wśród kolegów z korporacji, mających co do jednego kołnierzyki ściśle tej samej wysokości i fasonu. Zaciągnął się do piechoty morskiej w roku 1917, a wrócił do Stanów Zjednoczonych dopiero wtedy, gdy druga dywizja powróciła z nad Renu w lecie 1919 roku.

Jest także fotografia, która go ukazuje nad Renem z dwiema niemieckimi dziewczynami i drugim kapralem. Krebs i kapral wydają się na niej za duzi na swoje mundury. Niemieckie dziewczyny nie są piękne. Renu na zdjęciu nie widać.

Kiedy Krebs wrócił do swego rodzinnego miasteczka w Oklahomie, witanie bohaterów już się zakończyło. Przyjechał o wiele za późno. Wszyscy mężczyźni z miasteczka, których powołano do wojska, zostali uroczystie przywitani w chwili swojego powrotu. Było przy tym sporo hysterii. Obecnie nastąpiła reakcja. Ludzie najwyraźniej uważali za trochę śmieszne, że Krebs wrócił tak późno, w rok po zakończeniu wojny.

Z początku Krebs, który był w lesie Belleau, pod Soissons, w Szampanii, St. Mihiel i w Argonnach, nie chciał w ogóle mówić o wojnie. Później obudziła się w nim potrzeba mówienia, ale nikt nie chciał tego słuchać. Jego miasteczko słyszało już za wiele opowiadań o okropnościach, żeby się przejąć czymś świeżym. Krebs przekonał się, że po to, aby go w ogóle słuchano, musi kłamać, i kiedy to zrobił dwa razy, zaszła w nim także reakcja przeciwko wojnie i mówieniu o niej. Przez to, że naopowiadał kłamstw, poczuł wstręt do wszystkiego, co przeżył na wojnie. Wszelkie te momenty, o których myśląc czuł się wewnętrznie świeży i czysty, te tak już dawne chwile, kiedy robił jedną jedyną rzecz, jaką winien był robić mężczyzna, i to z łatwością i naturalnie, chociaż mógł robić coś innego - teraz zagubiły swoją świeżość i wartość, a potem zagubiły się same.

Jego kłamstwa były zupełnie nieważne i polegały na przypisywaniu sobie rzeczy, które inni widzieli, słyszeli albo robili, oraz na podawaniu jako faktów pewnych apokryficznych wydarzeń, dobrze znanych wszystkim żołnierzom. Nawet te jego kłamstwa nie były sensacją w pokoju bilardowym. Znajomi Krebsa, którzy słyszeli szczegółowe relacje o tym, jak w lesie argońskim znaleziono kobiety niemieckie przykute łańcuchami do karabinów maszynowych, i którzy nie mieli zrozumienia albo przez patriotyzm nie mogli mieć zainteresowania dla jakichkolwiek niemieckich cekaemiarzy nie przykutych za pomocą łańcuchów - nie przejmowali się jego opowiadaniem.

Krebs nabrał obrzydzenia do przeżyć będących wynikiem nieprawdy albo przesady i jeżeli czasem spotykał innego człowieka, który naprawdę był żołnierzem, i jeżeli pogadali przez kilka minut w garderobie podczas jakiejś potańcówki, wpadał w łatwą pozę starego żołnierza wśród innych żołnierzy: utrzymywał, że przez cały czas paskudnie, okropnie się bał. W ten sposób utracił wszystko.

W owym czasie, a był to koniec lata, sypiał do późna, wstawał, żeby się przejść przez miasteczko do czytelnicy po książkę, zjadał obiad w domu, czytał na ganku frontowym, póki go to nie znudziło, po czym wychodził na miasto, żeby spędzić najgorętsze godziny dnia w chłodnym półmroku pokoju bilardowego. Uwielbiał grę w bilard.

Wieczorami ćwiczył na klarncie, spacerował po mieście, czytał i szedł spać. W oczach swoich dwóch młodych sióstr był nadal bohaterem. Matka przynosiłaby mu śniadanie do łóżka, gdyby tego chciał. Często zachodziła do niego, kiedy leżał w łóżku, i prosiła, żeby coś opowiedział o wojnie, ale jej uwaga była zawsze rozproszona. Ojciec zachowywał się z rezerwą.

Przed pójściem na wojnę Krebsowi nigdy nie pozwalano używać rodzinnego samochodu. Ojciec pracował w handlu nieruchomościami i stale chciał mieć wóz do swojej dyspozycji, na wypadek gdyby było trzeba zawieźć klientów za miasto i pokazać im jakąś farmę. Samochód zawsze stał przed Pierwszym Bankiem Narodowym, gdzie ojciec Krebsa miał kancelarię na pierwszym piętrze. Teraz, po wojnie, był nadal ten sam wóz.

W miasteczku nic się nie zmieniło poza tym, że dziewczęta podorastały. Jednakże żyły w tak skomplikowanym świecie już ukształtowanych związków i zmiennych kłótni, że Krebs nie miał dosyć energii ani odwagi, żeby do niego wtargnąć. Mimo to lubił na nie patrzeć. Tyle tam było przystojnych, młodych dziewczyn. Większość nosiła włosy krótko obcięte. Kiedy odjeżdżał, tylko małe dziewczynki albo dziewczyny złego prowadzenia miały takie włosy. Teraz wszystkie nosiły swetry i bluzki z okrągłymi, wykładanymi kołnierzami. Był to szablon. Krebs lubił patrzeć na nie z frontowego ganku, kiedy przechodziły po drugiej stronie ulicy. Lubił je obserwować, kiedy spacerowały w cieniu drzew. Podobały mu się ich okrągłe kołnierze nad swetrami. Podobały mu się ich jedwabne pończochy i pantofle na płaskich obcasach. Podobały mu się ich krótko przycięte włosy i sposób chodzenia.

Kiedy był w mieście, nie odczuwał zbyt silnie ich powabu. Nie podobały mu się, kiedy je widział w greckiej lodziarni. W gruncie rzeczy wcale ich nie chciał. Były za bardzo skomplikowane. Chodziło o coś innego. Niejasno pragnął dziewczyny, ale nie miał ochoty popracować, żeby ją zdobyć. Chętnie by miał dziewczynę, ale nie chciało mu się poświęcać

wiele czasu, żeby ją dostać. Nie chciał się wdawać w intrygi ani politykować, ani być zmuszonym do jakichkolwiek umizgów. Nie chciał już więcej kłamać. Nie było warto.

Nie chciał też żadnej konsekwencji. Nie chciał nigdy więcej jakichkolwiek konsekwencji. Chciał sobie żyć bez nich. Poza tym w gruncie rzeczy nie potrzebował dziewczyny. Tego nauczyło go wojsko. Można było pozować na to, że musi się mieć dziewczynę. Prawie każdy to robił. Ale to nie była prawda. Nie potrzebowało się dziewczyny. To właśnie najśmieszniejsze. Najpierw ktoś się przechwalał, że dziewczyny nic dla niego nie znaczą, że nigdy o nich nie myśli, że wcale go nie obchodzą. Potem przechwalał się, że nie może dać sobie rady bez dziewczyn, że musi je mieć stale, że nie jest w stanie bez nich zasnąć.

To wszystko było kłamstwo. Kłamstwem było i jedno, i drugie. Nie potrzebowałeś dziewczyny, jeżeli o niej nie myślałeś. Tego nauczył się w wojsku. A potem wcześniej czy później zawsze jakąś sobie znajdowałeś. Kiedy się naprawdę do tego dojrzało, zawsze się znajdowało dziewczynę. Nie trzeba było o tym myśleć. Wcześniej czy później musiało to przyjść. Tego nauczył się w wojsku.

Teraz chętnie by miał dziewczynę, gdyby sama do niego przyszła i nie chciała mówić. Ale tu, w kraju, to było zanedo skomplikowane. Wiedział, że nigdy by nie mógł znowu przebrnąć przez to wszystko. Nie było warte tego zachodu. To właśnie miały do siebie Francuzki i Niemki. Nie było całego tego gadania. Nie umiałeś zbyt wiele mówić i nie potrzebowałeś mówić. Wszystko odbywało się prosto i zostawaliście przyjaciółmi. Pomyślał o Francji, a potem zaczął myśleć o Niemczech. Na ogół lepiej podobały mu się Niemcy. Nie chciał wyjeżdżać z Niemiec. Nie miał ochoty wracać do domu. Mimo to wrócił do domu. Siedział na ganku frontowym.

Podobały mu się te dziewczyny spacerujące po drugiej stronie ulicy. Podobały mu się z wyglądu o wiele bardziej niż Francuzki czy Niemki. Ale świat, w którym żyły, nie był światem, w którym żył on. Chętnie by miał jedną z nich. Ale nie było warto. Były tak ładnie szablonowe. Podobał mu się ten szablon. Był podniecający. Ale Krebs nie miał chęci przechodzić przez to całe gadanie. Nie miał dość silnej ochoty na dziewczynę. Mimo to lubił na nie patrzeć. Tylko że nie było warto, Szczególnie teraz, kiedy wszystko zaczynało się znowu dobrze układać.

Siedział na ganku i czytał książkę o wojnie. Była to praca historyczna i czytał o wszystkich walkach, w których brał udział. Uważał, że to najciekawsza lektura, jaką dotąd znał. Żałował, że nie ma tam więcej map. Z przyjemnością szykował się na przeczytanie wszystkich naprawdę dobrych prac historycznych, kiedy się ukażą z dobrymi

szczegółowymi mapami. Teraz naprawdę dowiadywał się czegoś o wojnie. W swoim czasie był dobrym żołnierzem. A to było ważne.

Któregoś rana, kiedy przebywał w domu już około miesiąca, matka weszła do jego sypialni i usiadła na łóżku. Wyglądziła dłonią fartuch.

- Rozmawiałam wczoraj wieczorem z twoim ojcem, Haroldzie - powiedziała - zgadza się, żebyś brał wieczorami samochód.

- Tak? - spytał Krebs, który jeszcze nie całkiem, się obudził. - Żebym brał samochód? Tak?

- Tak. Ojciec już od jakiegoś czasu uważa, że powinieneś móc używać wieczorem samochodu, kiedy tylko będziesz miał ochotę, ale omówiliśmy to dopiero wczoraj.

- Założę się, że to ty go namówiłaś - rzekł Krebs.

- Nie. Ojciec sam zaproponował, żebyśmy porozmawiali na ten temat.

- Aha. Założę się, że to ty go namówiłaś. - Krebs usiadł na łóżku.

- Zejdiesz na śniadanie, Haroldzie? - spytała matka.

- Jak tylko się ubiorę - odpowiedział Krebs.

Matka wyszła z pokoju i słyszał, jak coś przysmażała na dole, kiedy się mył, golił i ubierał, żeby zejść do jadalni na śniadanie. Podczas gdy jadł śniadanie, siostra przyniosła pocztę.

- No, Harku, ty stary śpiochu - powiedziała - Po co ty w ogóle wstajesz?

Krebs spojrzał na nią. Lubił ją. To była jego najlepsza siostra.

- Masz gazetę? - zapytał.

Podawała mu "The Kansas City Star", a on ściągnął brunatną opaskę i otworzył gazetę na kronice sportowej. Rozłożył "The Star" i oparł ją o dzbanek z wodą, i przysunął swój talerz z owsianką, żeby się równo trzymała i żeby mógł czytać jedząc.

- Haroldzie - matka stanęła w progu kuchni. - Haroldzie, proszę cię, nie pognieć tej gazety. Ojciec nie może jej czytać, kiedy jest pognieciona.

- Nie pogniotę - rzekł Krebs.

Siostra usiadła przy stole i przypatrywała mu się, kiedy czytał.

- Dziś po południu gramy w szkołę w baseball pokojowy - powiedziała. - Ja będę rzucała piłkę.

- Dobra - rzekł Krebs. - Jak tam twoja łapina?

- Rzucam lepiej niż cała masa chłopców. Wszystkim mówię, że to ty mnie nauczyłeś. Inne dziewczynki nie są za dobre.

- Tak? - spytał Krebs.

- Mówię im wszystkim, że ty jesteś mój kawaler. Bo czy nie jesteś, Harku?

- No pewnie.

- Czy brat naprawdę nie może być czyimś kawalerem tylko dlatego, że jest bratem?

- Nie wiem.

- Jasne, że wiesz. Nie mógłbyś być moim kawalerem, gdybym była doroślejsza i gdybyś miał ochotę?

- Pewnie. Już teraz jesteś moją dziewczyną.

- Naprawdę jestem?

- Jasne.

- A kochasz mnie?

- Aha.

- I będziesz mnie zawsze kochał?

- Jasne.

- Przyjdiesz popatrzeć, jak gram?

- Może.

- E, Harku, ty mnie wcale nie kochasz. Gdybyś mnie kochał, miałbyś chęć przyjść i popatrzeć, jak gram.

Matka Krebsa weszła z kuchni do jadalnego pokoju. Niosła talerz z dwoma sadzonymi jajkami i kruchym boczkiem i drugi z gryczanymi plackami.

- Zmykaj, Heleno - powiedziała. - Chcę porozmawiać z Haroldem.

Postawiła przed nim jajka z boczkiem i przyniosła dzbanuszek syropu klonowego do placków. Potem usiadła przy stole naprzeciw Krebsa.

- Chciałabym, żebyś na chwilę odłożył tę gazetę, Haroldzie - powiedziała.

Krebs wziął gazetę i złożył ją.

- Czy już się zdecydowałeś, co będziesz robił? - spytała matka zdejmując okulary.

- Nie - odparł Krebs.

- Nie uważasz, że to już może pora? - Matka nie powiedziała tego w jakiś przykry sposób. Była wyraźnie zatroskana.

- Nie myślałem o tym - odrzekł Krebs - .

- Bóg ma dla każdego jakąś pracę - powiedziała matka. - Nie może być próżnujących w jego królestwie.

- Ja nie należę do jego królestwa - powiedział Krebs.

- Wszyscy należymy do jego królestwa.

Krebs poczuł się skrepowany i zły jak zawsze.

- Tak się o ciebie martwiłam, Haroldzie - ciągnęła matka. - Domyślałam się, na jakie pokusy musiałeś być wystawiony. Wiem, jacy słabi są mężczyźni. Pamiętam, co twój kochany dziadek, a mój ojciec, opowiadał nam o wojnie domowej, i modliłam się za ciebie. Modlę się za ciebie po całych dniach, Haroldzie.

Krebs patrzył na tłuszcz z boczku krzepnący na talerzu.

- Ojciec także się martwi - ciągnęła matka. - Uważa, że straciłeś swoje ambicje, że nie masz określonego celu w życiu. Charley Simmons, który jest akurat w twoim wieku, ma dobrą posadę i żeni się. Wszyscy chłopcy jakoś się urządzają, każdy chce do czegoś dojść; od razu widać, że tacy jak Charley Simmons są na najlepszej drodze do tego, żeby się stać chlubą społeczeństwa.

Krebs nic nie mówił.

- Nie miej takiej miny, Haroldzie - ciągnęła matka. - Wiesz, że cię kochamy, a ja chcę ci powiedzieć dla twojego własnego dobra, jak sprawa stoi. Ojciec nie chce ograniczać twojej swobody. Uważa, że powinieneś móc jeździć naszym samochodem. Jeżelibyś miał ochotę zabrać jakąś miłą panienkę na przejażdżkę, będziemy tym zachwyceni. Chcemy, żebyś się bawił. Ale będziesz musiał wziąć się do pracy, Haroldzie. Ojcu jest wszystko jedno, od czego zaczniesz. Każda praca jest uczciwa, jak powiada. Ale musisz od czegoś zacząć. Prosił mnie, żebym dziś rano z tobą pomówiła, a potem możesz wpaść do niego do biura.

- To wszystko? - zapytał Krebs.

- Tak. Nie kochasz już swojej mamy, chłopcze drogi?

- Nie - odparł Krebs.

Matka spojrzała na niego znad stołu. Oczy jej zwilgotniały. Rozplakała się.

- Nie kocham nikogo - rzekł Krebs.

Na nic się to nie zdało. Nie mógł jej wytłumaczyć, nie mógł sprawić, żeby zrozumiała. Głupio zrobił, że to powiedział. Tylko ją zranił. Podszedł i wziął ją za rękę. Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

- To nie było na serio - powiedział. - Po prostu byłem na coś zły. To nieprawda, że cię nie kocham.

Matka płakała dalej. Krebs objął ją za ramię.

- Nie wierzysz mi, mammo?

Matka potrząsnęła głową.

- Proszę cię, proszę, mammo. Proszę cię, uwierz mi.

- No dobrze - powiedziała matka zdławionym głosem. Podniosła na niego wzrok. -  
Wierzę ci, Haroldzie.

Krebs ucałował jej włosy. Podniosła twarz ku niemu.

- Jestem twoją matką - rzekła. - Nosłam cię na sercu, kiedy byłeś malutki.

Krebs poczuł niechęć i jakby mdłości.

- Wiem, mamusiu - powiedział. Postaram się być dobry dla ciebie.

- Może byś ukląkł i pomodlił się ze mną? - spytała matka.

Uklękli przy stole i matka Krebsa zaczęła się modlić.

- No, pomódl się teraz - rzekła.

- Nie mogę - powiedział Krebs.

- Spróbuj Haroldzie.

- Nie mogę.

- Chcesz, żebym się pomodliła za ciebie?

- Tak.

Matka pomodliła się więc za niego, po czym wstali i Krebs pocałował matkę, i wyszedł z domu. Tak bardzo się starał uniknąć komplikacji w życiu. Ale to wszystko wcale go nie dotknęło. Zrobiło mu się żal matki, a ona zmusiła go do kłamstwa. Pojedzie do Kansas City, weźmie sobie posadę i matka będzie zadowolona. Może przed odjazdem nastąpi jeszcze jedna scena. Nie zajdzie do kancelarii ojca. To sobie daruje. Chciał, żeby jego życie toczyło się gładko. Właśnie zaczynało tak być. Ano, teraz to już się w każdym razie skończyło. Zajdzie do szkoły i popatrzy, jak Helena gra w baseball pokojowy.

*Przełożył Bronisław Zieliński*



O drugiej nad ranem dwaj Węgrzy dostali się do sklepu tytoniowego na rogu Piętnastej Ulicy i Grand Avenue. Drevitts i Boyle przyjechali - fordem z komisariatu policji na Piętnastej Ulicy. Węgrzy właśnie, cofali swój wóz z bocznej uliczki. Boyle zestrzelił jednego z siedzenia, a drugiego z tyłu wozu. Drevitts przestraszył się, kiedy stwierdził, że obaj nie żyją.

- Psiakrew, Jimmy - powiedział - nie powinieneś był tego robić. Może być do cholery przykrości.

- Przecież to opryszki, nie? - odparł Boyle. - Makaroniarze, nie? Kto ma nam robić jakieś przykrości?

- Może tym razem jakoś to przejdzie - powiedział Boyle - ale skąd wiedziałeś, że to makaroniarze, kiedyś ich kropnął?

- Makaroniarze - odparł Boyle. - Potrafię poznać makaroniarza na milę.

## REWOLUCJONISTA

W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym jeździł koleją po Włoszech mając przy sobie kwadracik ceraty z centrali partii, na którym było wypisane ołówkiem chemicznym, że jest towarzyszem, który bardzo dużo wycierpiał od Białych w Budapeszcie, oraz że uprasza się towarzyszy o udzielenie mu wszelkiej możliwej pomocy. Używał tego zamiast biletu. Był bardzo nieśmiały i całkiem młody i kolejarze przekazywali go sobie z rąk do rąk. Nie miał pieniędzy i żywili go za kontuarem w stołówkach kolejowych.

Był zachwycony Włochami. Mówił, że to piękny kraj. I ludzie tacy dobrzy. Był w wielu miastach, dużo chodził i obejrzał masę obrazów. Kupował reprodukcje Giotta, Masaccia i Piero delia Francesca i nosił je zawinięte w numer "Avanti". Mantegni nie lubił.

Zameldował się w Bolonii i zabrałem go z sobą do Romagni, gdzie musiałem pojechać, żeby zobaczyć się z pewnym człowiekiem. Dobrze nam się razem podróżowało. Był początek września, a okolica przyjemna. On był Madziarem, bardzo miłym i bardzo skromnym chłopcem. Ludzie Horthyego robili mu straszne rzeczy. Trochę o tym opowiadał. Mimo tego, co stało się na Węgrzech, wierzył całkowicie w rewolucję światową.

- A jak się rozwija ruch we Włoszech? - zapytał.

- Bardzo źle - odpowiedziałem.

- Będzie lepiej - rzekł. - Wy tu macie wszystko. To jedyny kraj, którego każdy jest pewny. Będzie punktem wyjścia wszystkiego.

Nie powiedziałem nic.

W Bolonii pożegnał się z nami, bo miał pojechać pociągiem do Mediolanu, a potem do Aosty, żeby przez przełęcz przejść do Szwajcarii. Powiedziałem mu o obrazach Mantegni w Mediolanie. Nie, odrzekł bardzo nieśmiało, on nie lubi Mantegni. Wypisałem mu, gdzie ma jadać w Mediolanie, a także adresy towarzyszy. Podziękował mi bardzo, ale już wybiegał myślą ku przejściu tą przełęczą. Bardzo mu było pilno przedostać się przez nią, dopóki utrzymywała się dobra pogoda. Uwielbiał góry w jesieni. Ostatnia wiadomością, jaką o nim miałem, było to, że Szwajcarzy trzymają go w więzieniu niedaleko Sion.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

Pierwszy matador dostał rogiem w tą raka, w której trzymał szpadę, i tłum go wygwizdał. Drugi matador pośliznął się i byk trafił go w brzuch, i matador uchwycił się rogu jedną ręką, a drugą przycisnął do rany, i byk rąbnął go o ścianę, i róg wylazł, a on upadł na piasek, a potem wstał jak pijany wariat i próbował pobić ludzi, którzy go wynosili, i wołał o szpadę, ale zemdlał. Wtedy wyszedł ten młodziak i musiał zabić pięć byków, bo nie może być więcej niż trzech matadorów, i przy ostatnim byku był już taki zmęczony, że nie mógł wbić szpady. Ledwie mógł podnieść rękę. Próbował pięć razy, a tłum siedział cicho, bo byk był dobry i wyglądało na to, że będzie albo on, albo byk, i w końcu mu się udało. Siadł na piasku i zwymiotował, i zasłaniali go kapą, podczas gdy tłum wrzeszczał i ciskał różne przedmioty na arenę.

## PAN I PANI ELLIOT

Pan i pani Elliot bardzo usilnie próbowali mieć dziecko. Próbowali tak często, jak tylko mogła wytrzymać pani Elliot. Próbowali w Bostonie po ślubie i próbowali płynąc na statku. Na statku nie próbowali za często, bo pani Elliot mocno chorowała. Chorowała, a jak już chorowała, to chorowała tak, jak chorują kobiety z Południa. To znaczy kobiety z południowej części Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak wszystkie kobiety z Południa, panią Elliot bardzo szybko wykańczała choroba morska, podróżowanie nocą i za wczesne ranne wstawanie. Wiele osób na statku brało ją za matkę Elliota. Inne, które wiedziały, że ci dwoje są małżeństwem, przypuszczały, że będzie miała dziecko. W rzeczywistości liczyła sobie czterdzieści lat. Posunęła się raptownie, kiedy zaczęła podróżować.

A wydawała się znacznie młodsza, właściwie bez określonego wieku, kiedy Elliot ożenił się z nią po kilku tygodniach zalotów, znając ją przedtem od dawna z jej sklepu z herbatą, zanim któregoś wieczora ją pocałował.

Hubert Elliot pisał pracę absolwencką na wydziale prawa w Harvardzie, kiedy się ożenił. Był poetą mającym blisko dziesięć tysięcy dolarów rocznego dochodu. Pisał bardzo szybko bardzo długie poematy. Miał dwadzieścia pięć lat i przed poślubieniem pani Elliot nigdy nie poszedł do łóżka z kobietą. Chciał się zachować w czystości, ażeby móc ofiarować swojej żonie taką samą czystość umysłu i ciała, jakiej oczekiwał od niej. Nazywał to uczciwym życiem. Kochał się w paru dziewczynach, zanim pocałował panią Elliot, i zawsze wcześniej czy później mówił im, że żył w czystości. Prawie wszystkie dziewczyny przestawały się nim interesować. Był zgorszony i naprawdę przerażony tym, że dziewczęta zaręczają się i wychodzą za mężczyzn, o których muszą wiedzieć, że tarzali się w błocie. Raz spróbował przestrzec pewną znajomą dziewczynę przed człowiekiem, co do którego prawie miał dowody, że w college'u był rozpustnikiem, i wyniknął z tego bardzo nieprzyjemny incydent.

Pani Elliot miała na imię Cornelia. Nauczyła go nazywać ją Calutina, co było jej rodzinnym przydomkiem na Południu. Jego matka spłakała się, kiedy po ślubie przywiózł Cornelię do domu, ale znacznie poweselała, kiedy się dowiedziała, że będą mieszkali za granicą.

Kiedy powiedział Cornelii, że zachował się dla niej w czystości, rzekła: "Mój drogi, najmilszy chłopiec", i przytuliła go mocniej niż kiedykolwiek. Cornelia też była czysta. "Jeszcze raz mnie tak pocałuj" - powiedziała.

Hubert wyjaśnił jej, że tego sposobu całowania nauczył się z opowiadań pewnego znajomego. Był zachwycony swoim eksperymentem i oboje doskonalili go, jak tylko mogli. Czasem, gdy całowali się bardzo długo, Cornelia prosiła, żeby raz jeszcze powtórzył, że naprawdę zachował się dla niej w czystości. To oświadczenie zawsze dodawało jej nowego bodźca.

Z początku Hubert nie miał zamiaru żenić się z Cornelia. Nigdy o niej nie myślał w ten sposób. Była dla niego taką dobrą przyjaciółką, a potem któregoś dnia tańczyli przy gramofonie w pokoiku za sklepem, podczas gdy jej przyjaciółka czekała od frontu, i wtedy Cornelia zajrzała mu w oczy, a on ją pocałował. Nie mógł sobie nigdy przypomnieć, kiedy właściwie zostało postanowione, że się pobiorą. Ale się pobrali.

Noc po ślubie spędzili w bostońskim hotelu. Oboje doznali zawodu, ale Cornelia w końcu usnęła. Hubert nie mógł zasnąć i kilka razy wychodził i spacerował tam i z powrotem po hotelowym korytarzu w nowym jaegerowskim płaszczu kąpielowym, który sobie sprawił na podróż poślubną. Chodząc tak zauważył pary trzewików, trzewików małych i dużych, stojące pod drzwiami hotelowych pokoi. Na ten widok serce zaczęło mu walić i pognął z powrotem do swego pokoju, ale Cornelia spała. Nie chciał jej budzić i wkrótce wszystko już było w porządku, i zasnął spokojnie.

Nazajutrz odwiedzili jego matkę, a następnego dnia odpłynęli do Europy. Można było próbować mieć dziecko, ale Cornelia nie mogła robić tych prób za często, chociaż oboje pragnęli dziecka jak niczego na świecie. Wylądowali w Cherbourgu i przyjechali do Paryża. W Paryżu próbowali mieć dziecko. Potem postanowili pojechać do Dijon, gdzie były letnie kursy i gdzie pojechało sporo osób, które przyplęły statkiem razem z nimi. Stwierdzili, że w Dijon nie ma co robić. Jednakże Hubert pisał wiele poematów, a Cornelia przepisywała mu je na maszynie. Wszystko to były bardzo długie poematy. Hubert bardzo surowo traktował pomyłki i kazał jej przepisywać całą stronę, jeżeli był na niej jeden błąd. Napłakała się dużo i kilka razy próbowali mieć dziecko, zanim wyjechali z Dijon.

Przybyli do Paryża, a większość ich znajomych ze statku wróciła także. Mieli dość Dijon, a zresztą mogli już mówić, że po ukończeniu Harvardu czy Columbii, czy Wabash, studiowali na uniwersytecie w Dijon na Côte d'Or. Wielu z nich wolałoby pojechać do Languedoc, Montpellier czy Perpignan, jeżeliby tam były uniwersytety. Tylko że to wszystko za daleko. Dijon jest zaledwie o cztery i pół godziny drogi od Paryża, a w pociągu jest wagon restauracyjny.

Przez kilka dni siadywali więc wszyscy przed "Café . du Dôme", unikając "Rotonde'y" naprzeciwko, bo tam zawsze tak pełno cudzoziemców, po czym Elliotowie

wynajęli chateau w Touraine z ogłoszenia w "New York Herald". Elliot miał już sporo przyjaciół, którzy zachwycali się jego poezjami, a pani Elliot nakłoniła go, żeby sprowadził z Bostonu jej przyjaciółkę, która pracowała w sklepie z herbatą. Pani Elliot znacznie się rozpogodziła, kiedy ta przyjaciółka przyjechała i obie nieraz dobrze się wspólnie wyplakały. Przyjaciółka była kilka lat starsza od Cornellii i nazywała ją Pieszczotką. I ona również pochodziła z bardzo starej rodziny z Południa.

Wszyscy troje, wraz z kilkoma przyjaciółmi Elliota, którzy go nazywali Hubciem, pojechali do owego chateau w Touraine. Uznali, że Touraine jest płaską, upalną okolicą, mocno przypominającą Kansas. Elliot miał już prawie dostateczną ilość poematów na książkę. Zamierzał wydać ją w Bostonie i już przesłał czek i zawarł umowę z wydawcą.

Po krótkim czasie przyjaciele zaczęli odpływać do Paryża. Touraine nie okazała się taka, jak wyglądała z początku. Wkrótce wszyscy przyjaciele wyjechali z pewnym młodym, bogatym i nieżonatym poetą do nadmorskiego uzdrowiska pod Trouville. Tam było im bardzo dobrze.

Elliot dalej siedział w owym chateau w Touraine, ponieważ wynajął go na całe lato. On i pani Elliot bardzo usilnie próbowali mieć dziecko na wielkim, twardym łożu w wielkiej, dusznej sypialni. Pani Elliot uczyła się pisać na maszynie nie patrząc na klawisze, ale przekonała się, że ten system wprawdzie zwiększał szybkość, jednak powodował więcej błędów. Przyjaciółka przepisywała obecnie właściwie wszystkie rękopisy. Była bardzo staranna, sprawna i zdawała się robić to z przyjemnością.

Elliot nabrał zwyczaju picia białego wina i mieszkał osobno w swoim pokoju. Nocami pisywał masę poezji, a rano wyglądał na bardzo wyczerpanego. Pani Elliot sypiała teraz z przyjaciółką w ogromnym średniowiecznym łożu. Nieraz dobrze się wspólnie napłakały. Wieczorami siadali we troje do kolacji w ogrodzie pod platanem, i wiał gorący wieczorny wiatr. Elliot popijał białe wino, a pani Elliot rozmawiała z przyjaciółką i wszyscy byli. zupełnie szczęśliwi.

Przełożył Bronisław Zieliński

*Zdzielili po nogach białego konia i wtedy poderwał się z klęczek. Pikador naprostował strzemiona i wydzwignął się na siodło. Wnętrznosci konia zwisały błękitnym pękiem i kołysały się w tył i do przodu, kiedy ruszył krótkim galopem, popędzany przez monos, którzy uderzali go prętami po tylnej stronie nóg. Pogalopował chwiejnie wzdłuż bariery. Nagle stanął w miejscu i jeden z mono s poprowadził go dalej za uzdę. Pikador dał koniowi ostrogę, pochylił się w przód i potrząsnął lancą do byka. Spomiędzy przednich nóg konia chlustała regularnie krew. Chwiał się nerwowo na nogach. Byk nie mógł się zdecydować na szarżę.*

## KOT NA DESZCZU

W hotelu mieszkało tylko dwoje Amerykanów. Nie znali nikogo z ludzi, których mijali na schodach wychodząc czy wracając do swego pokoju. Pokój ten był na pierwszym piętrze, od strony morza. Wychodził też na park i pomnik wojenny. W ogrodzie były wysokie palmy i zielone ławki. W pogodny dzień zawsze był tam jakiś artysta ze sztalugami. Artystom podobały się palmy, które tam rosły, i żywe barwy hoteli stojących naprzeciw ogrodu i morza. Włosi przychodzili z daleka, żeby popatrzeć na pomnik. Był on odlany z brązu i lśnił na deszczu.

Padalo. Deszcz ociekał z drzew palmowych. Woda stała kałużami na wyżwirowanych ścieżkach. Fale morskie załamywały się długą linią w deszczu i spływały z plaży, aby powrócić i znowu załamać się długą linią w deszczu. Z placu przy pomniku zniknęły wszystkie samochody. Po przeciwległej stronie, w progu kawiarni, stał kelner i patrzył na pusty plac.

Żona Amerykanina stała przy oknie i wyglądała na dwór. Na zewnątrz, wprost pod ich oknem, pod jednym z ociekających wodą zielonych stolików, przycupnął kot. Starał się skulić tak, żeby na niego nie kapalo.

- Idę na dół po tego kotka - powiedziała Amerykanka.

- Ja to zrobię - zaproponował z łóżka jej mąż.

- Nie, ja go przyniosę. Biedny kotek schował się przed deszczem pod stolik.

Mąż czytał dalej, leżąc w nogach łóżka, podparty dwiema poduszkami.

- Tylko się nie przemocz - powiedział.

Żona zeszła na dół, a właściciel hotelu wstał i uklonił się jej, kiedy mijала kantor. Jego biurko stało w głębi kantoru. Był starym, bardzo wysokim mężczyzną.

- Il piove (pada deszcz) - powiedziała żona Amerykanina. Lubila właściciela hotelu.

- Si, si signora, brutto tempo (Tak, tak, proszę pani, brzydka pogoda), Bardzo brzydka pogoda.

Stał za biurkiem w głębi ciemnego pokoiku. Żona Amerykanina lubila go. Podobała jej się śmiertelna powaga, z jaką przyjmował wszelkie zażalenia. Podobała jej się jego godność. Podobała się jego chęć usłużenia jej. Podobało jej się jego podejście do funkcji kierownika hotelu. Podobała jej się jego stara, ociężała twarz i duże ręce.

Myśląc o tym, że go lubi, otworzyła drzwi i wyjrzała na dwór. Padalo jeszcze gęściej. Przez pusty plac szedł w stronę kawiarni jakiś mężczyzna w gumowej pelerynie. Kot



powinien był być na prawo. Chyba będzie mogła tam dojść pod okapem dachu. Kiedy tak stała w progu, otworzył się za nią parasol. Była to pokojówka, która sprzątała ich pokój.

- Żeby pani nie zmokła - uśmiechnęła się mówiąc po włosku. Oczywiście przysłał ją kierownik hotelu.

Amerykanka, z pokojówką trzymającą nad nią parasol, poszła wyżwirowaną ścieżką pod ich okno. Stolik tam był, jasnozielone obmyty deszczem, ale kot zniknął. Nagle poczuła się zawiedziona. Pokojówka spojrzała na nią.

- Ha perduto qualche cosa, signora? (Czy pani coś zgubiła?)

- Tu był kot - powiedziała Amerykanka.

- Kot?

- Sì, il gatto.

- Kot? - roześmiała się pokojówka. - Kot na deszczu?

- Tak - odparła. - Pod tym stołem. - A po chwili: - Och, tak chciałam go wziąć! Chciałam mieć kotka.

Kiedy to powiedziała po angielsku, twarz pokojówki zeszywniała.

- Chodźmy, signora - rzekła. - Trzeba wrócić do środka. Pani zmoknie.

- Chyba tak - powiedziała Amerykanka. Zawróciły wyżwirowaną ścieżką i doszły do drzwi.

Pokojówka zatrzymała się na dworze, żeby zamknąć parasol. Kiedy Amerykanka przechodziła obok kantoru, padrone skłonił jej się zza biurka. Poczowała, że jakby ścisnęło się w niej coś bardzo małego. Przy padrone czuła się bardzo mała, a jednocześnie naprawdę ważna. Doznała chwilowego uczucia najwyższej własnej ważności. Weszła na górę po schodach. Otworzyła drzwi pokoju. George leżał na łóżku i czytał.

- Masz tego kota? - zapytał odkładając książkę.

- Już go nie było.

- Ciekawe, gdzie poszedł - rzekł pozwalając oczom wypocząć od czytania.

Usiadła na łóżku.

- Tak go chciałam - rzekła. - Nie wiem, czemu chciałam go tak bardzo. Chciałam wziąć tego biednego kotka. Wcale nie jest zabawne być biednym kotkiem na deszczu.

George czytał znowu.

Podeszła do toaletki, usiadła przed lustrem i zaczęła przeglądać się w nim za pomocą ręcznego lusterka. Przystudiowała swój profil najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Następnie obejrzała tył swojej głowy i szyję.

- Nie uważasz, że to byłby dobry pomysł, gdybym zapuściła dłuższe włosy? - spytała, znów oglądając swój profil.

George podniósł wzrok i zobaczył jej szyję od tyłu, z włosami przystrzyżonymi krótko jak u chłopca.

- Mnie się podoba tak, jak jest.

- A mnie się to już tak znudziło - odparła. - Znudziło mi się wyglądać jak chłopiec.

George poprawił się na łóżku. Nie spuszczał z niej oka, odkąd zaczęła mówić.

- Wyglądasz bardzo a bardzo ładnie.

Położyła lusterko na toalecie, podeszła do okna i wyjrzała. Ściemniało się.

- Chcę zaczesywać w tył włosy zupełnie gładko i robić z tyłu duży węzeł, taki, który bym czuła - powiedziała. - Chcę mieć kotka, który siedziałby mi na kolanach i mruczał, kiedy go gładzę.

- Tak? - odezwał się George z łóżka.

- I chcę jadać przy stole zastawionym moim własnym srebrem, i chcę mieć na nim świecę. I chcę, żeby była wiosna i żeby mogła czesać włosy przed lustrem, i chcę kotka i jakieś nowe sukienki.

- E, daj spokój i weź sobie coś do czytania - rzekł George. Czytał znowu.

Jego żona wyglądała przez okno. Było już zupełnie ciemno, a deszcz wciąż padał między palmami.

- Tak czy owak, chcę kota - powiedziała. - Chcę kota. Chcę go zaraz. Jeżeli nie mogę mieć długich włosów ani żadnej przyjemności, to chociaż mogę mieć kota.

George nie słuchał. Czytał książkę. Jego żona spojrzała przez okno na plac, na którym zapłonęły latarnie.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Avanti (wejść) - powiedział George. Podniósł wzrok znad książki.

W progu stanęła pokojówka. Trzymała przyciśniętego mocno do siebie dużego, nakrapianego kota, który zwisał wzdłuż jej ciała.

- Bardzo przepraszam - rzekła. - Padrone kazał mi to przynieść dla signory.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

*Tłum krzychał przez cały czas i ciskał na arenę kawałki chleba, potem poduszki i skórzane bukłaki do wina, wciąż gwizdząc i wrzeszcząc. Wreszcie byk, wyczerpany tyłoma ciężkimi ciosami, przyklęknął i przewrócił się, a jeden z cuadrilli pochylił się nad jego karkiem i dobił go za pomocą puntillo. Tłum przesadził barrera, dopadł tarera i dwaj mężczyźni chwycili go i przytrzymali, a ktoś obciął mu warkoczyk i zaczął nim wymachiwać, i jakiś chłopak wyrwał mu go i uciekł. Później widziałem tego tarera w kawiarni. Był bardzo niski, o smagłej twarzy i zupełnie pijany i mówił, że ostatecznie coś podobnego już się zdarzało. W gruncie rzeczy nie jestem dobrym t o r e r e m.*

## PO SEZONIE

Za te cztery liry, które zarobił przekopując ogród hotelowy, Peduzzi spił się porządnie. Zobaczył młodego pana idącego ścieżką i zagadał do niego sekretnie. Młody pan odpowiedział, że jeszcze nie jadł, ale będzie gotów pójść, jak tylko skończy obiad. Za czterdzieści minut albo godzinę.

W cantinie przy moście skredytowali Peduzziemu jeszcze trzy kieliszki grappy, ponieważ mówił tak pewnie i tajemniczo o robocie, która go czeka po południu. Dzień był wietrzny, słońce wychodziło zza chmur, a potem chowało się w mżącym deszczu. Wspaniała dzień na połów pstrągów.

Młody pan wyszedł z hotelu i zapytał Peduzziego o wędkę. Czy żona ma iść za nimi z wędkami?

- Tak - powiedział Peduzzi. - Niech idzie za nami.

Młody pan zawrócił do hotelu i porozumiał się z żoną. On i Peduzzi ruszyli drogą. Młody pan miał torbę przewieszoną przez ramię. Peduzzi zobaczył, że żona, która wyglądała równie młodo jak mąż, miała podkute buty i granatowy beret, wyszła za nimi na drogę niosąc w jednej i drugiej ręce rozmontowane wędziska. Peduzziemu nie podobało się, że tak zostaje w tyle.

- Signorina - zawołał mrugając do młodego pana. - Proszę podejść bliżej i iść z nami. Niech signorina podejdzie. Idźmy wszyscy razem.

Peduzzi chciał, żeby wszyscy troje przeszli razem przez ulicę Cortiny.

Żona pozostała w tyle, idąc za nimi raczej niechętnie.

- Signorina - - zawołał czule Peduzzi. - Proszę tu podejść do nas.

Młody pan obejrzał się i coś krzyknął. Żona przestała marudzić w tyle i dogoniła ich.

Wszystkich, których spotykali idąc główną ulicą miasteczka, Peduzzi skrupulatnie pozdrawiał. "Buon di', Arturo!" - i dotykał kapelusza. Z progu faszystowskiej kawiarni przyglądał mu się urzędnik z banku. Ludzie stojący przed sklepami w grupkach po kilka osób przyglądali się im trojgu. Pracujący przy fundamentach nowego hotelu robotnicy w kurtkach obsypanych kamiennym pyłem podnosili głowy, kiedy ich mijali. Nikt do nich nie przemówił ani nie dał im żadnego znaku, oprócz miejscowego żebraka, chudego i starego, z posklejaną od śliny brodą, który uchylił kapelusza, kiedy przechodzili.

Peduzzi zatrzymał się przed sklepem z wystawą zastawioną butelkami i z wewnętrznej kieszeni swej starej kurtki wojskowej wydobyl pustą flaszkę po grappie.

- Odrobinę czegoś do picia, troszkę marsali dla signory, cośkolwiek, cośkolwiek do picia. - Pokazał butelkę. Był to cudowny dzień. - Marsala; czy signora lubi marsalę? Troszkę marsali?

Żona stanęła nadąsana.

- Musisz się tym zająć - powiedziała. - Ja nie rozumiem ani słowa z tego, co on mówi. Pijany jest, prawda?

Młody pan jakby nie słyszał słów Peduzziego. Rozmyślał: "Dlaczego, u licha, musi mówić: marsala? Przecież to właśnie pija Max Beerbohm (1872 - 1956 - angielski satyryk i krytyk literacki.)"

- Geld - powiedział wreszcie Peduzzi łapiąc młodego pana za rękaw. - Lire. - Uśmiechnął się; nijako mu było to forsować, ale musiał skłonić młodego pana do działania.

Młody pan wyjął portfel i dał mu banknot dziesięcilirowy. Peduzzi poszedł po schodkach do drzwi Składu Win Krajowych i Zagranicznych. Były zamknięte.

- Otwierają dopiero o drugiej powiedział drwiąco ktoś przechodzący ulicą.

Peduzzi zeszedł ze schodków. Było mu przykro. - Mniejsza z tym - powiedział do siebie. - Możemy to dostać w "Concordii".

Wszyscy troje pomaszrowali razem do "Concordii". Na ganku "Concordii," gdzie były złożone zardzewiałe bobsleje, młody pan zapytał:

- Was wollen Sie?(Co pan chce?)

Peduzzi oddał mu złożony we czworo banknot dziesięcilirowy.

- Nic - odrzekł. - Cokolwiek. - Był zakłopotany. - Może marsali. Czy ja wiem. Marsali?

Drzwi "Concordii" zamknęły się za młodym panem i jego żoną.

- Trzy marsale - powiedział młody pan do dziewczyny stojącej za kontuarem z ciastkami.

- Chyba dwie? - zapytała.

- Nie - odrzekł. - Trzecią dla jednego vecchio (starego).

- A - powiedziała. - Dla vecchio - i roześmiała się zdejmując z półki butelkę.

Nalała kleistego trunku do trzech kieliszków. Żona siedziała przy stoliku pod rzędem wiszących gazet na kijkach. Młody pan postawił przed nią kieliszek marsali.

- Chyba to wypij - powiedział. - Może się po tym lepiej poczujesz.

Siedziała patrząc na kieliszek. Młody pan wyszedł na dwór z kieliszkiem dla Peduzziego, ale nie mógł go znaleźć.

- Nie wiem, gdzie poszedł - rzekł wracając do cukierni z kieliszkiem w ręku.

- On chciał całą ćwiartkę - powiedziała żona.

- Ile kosztuje ćwierć litra? - zapytał dziewczyny młody pan.

- Tego bianco? Jeden lir.

- Nie, marsali. Niech pani wleje i te dwa kieliszki - powiedział dając jej swój i ten, który naląła dla Peduzzi. Napełniła przez lejek ćwierćlitrową miarkę wina. - I jeszcze butelkę, żeby to zabrać - rzekł młody pan.

Poszła szukać butelki. To wszystko ją bawiło.

- Przykro mi, że jesteś w takim paskudnym nastroju, maleńka - powiedział do żony.  
- Żałuję, że tak mówiłem przy obiedzie. Oboje zmierzaliśmy do tego samego z różnych punktów wyjścia.

- To nie ma znaczenia - odrzekła. - Nic nie ma znaczenia.

- Czy ci nie za zimno? - spytał. - Szkoda, że nie włożyłaś jeszcze jednego swetra.

- Mam na sobie trzy swetry.

Weszła dziewczyna ze smukłą, brązową butelką i naląła do niej marsali. Młody pan dopłacił jeszcze pięć lirów. Oboje wyszli. Dziewczyna była rozbawiona. Peduzzi trzymając wędki przechadzał się tam i z powrotem po drugiej stronie, gdzie nie było wiatru.

- Chodźmy - powiedział. - Poniosę te wędki. Co za różnica, że ktoś je zobaczy? Nikt się do nas nie przyczepi. Nikt nie przyczepi się do mnie w Cortinie. Znam tych z municipio. Byłem żołnierzem. Wszyscy mnie lubią w tym mieście. Handluję żabami. Co z tego, że teraz nie wolno łowić ryb? Nic. Nic a nic. Żadnych kłopotów. Mówię panu, są duże pstrągi. Cała masa.

Schodzili ze wzgórza ku rzece. Miasteczko zostało za nimi. Słońce się schowało i kropił deszcz.

- O! - powiedział Peduzzi wskazując dziewczynę stojącą na progu domu, który mijali. - Moja

córka.

- Jego kurka? - spytała żona. - Czy on nam musi pokazywać swoją kurkę?

- Powiedział: córka - rzekł młody pan.

Dziewczyna weszła do domu w chwili, kiedy Peduzzi ją pokazał.

Zeszli ze wzgórza przez pola, a potem skręcili, aby iść dalej wzdłuż brzegu rzeki. Peduzzi mówił coś prędko, bardzo przemyślnie, mrugając oczami. Kiedy szli obok siebie, żona poczuła na wietrze jego oddech. Raz trącił ją w żebra. Chwilami mówił dialektem z D'Ampezzo, to znów tyrolsko-niemieckim. Nie mógł się zorientować, który najlepiej rozumieją młody pan i jego żona, wobec tego przemawiał dwujęzycznie. Jednakże kiedy

młody pan powiedział: "Ja, ja", Peduzzi postanowił mówić tylko po tyrolsku. Młody pan i jego żona nie rozumieli nic.

- Wszyscy w mieście widzieli nas z tymi wędkami. Pewnie teraz już idzie za nami straż łowiecka. Żałuję, żeśmy się wdali w tę idiotyczną historię. Poza tym ten stary bałwan jest taki pijany.

- Oczywiście nie masz na tyle nerwu, żeby po prostu zawrócić - powiedziała żona. - Oczywiście musisz iść dalej.

- To dlaczego nie wracasz? Wróc się, maleńka.

- Zostanę z tobą. Jeżeli cię wsadzą do więzienia, to równie dobrze możemy pójść oboje.

Skręcili prosto w dół rzeki i Peduzzi przystanął w rozwianej kurtce, wskazując rzekę. Była brudna i błotnista. Po prawej było śmietnisko.

- Mów pan do mnie po włosku - rzekł młody pan.

- Una mezz'ora. Piu di un mezz'ora.(Pół godziny. Więcej niż pół godziny)

- Mówi, że jeszcze co najmniej pół godziny. Wracaj, maleńka. Przecież ci zimno na tym wietrze. Dzień jest paskudny, a zresztą i tak nie będziemy mieli żadnej przyjemności,

- Dobrze - odpowiedziała i zaczęła się wspinać na trawiasty brzeg.

Peduzzi stał nad rzeką i nie zauważył jej do chwili, gdy już prawie zniknęła za garbem brzegu.

- Frau! - krzyknął. - Frau! Frdulein! Niech pani nie idzie.

Zniknęła za garbem pagórka.

- Poszła! - powiedział Peduzzi. Był tym oburzony.

Zdjął gumowe opaski, które przytrzymywały segmenty wędki, i zaczął składać jedną z nich.

- Przecież pan mówił, że trzeba iść jeszcze pół godziny.

- O, tak. Dobrze pół godziny. Ale tutaj też dobrze.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Tu dobrze i tam też dobrze. Młody pan usiadł na brzegu, złożył wędkę, umocował kołowrotek i przewlókł żyłkę przez wodziki. Czuł się nieswojo i bał się, że lada chwila jakiś strażnik albo zastęp obywateli przybiegnie na brzeg od miasta. Ponad wierzchem wzgórza widział domy miasteczka i campanillę. Otworzył pudełko z przyponami. Peduzzi pochylił się i wetknął do środka swój płaski, twardy kciuk i wskazujący palec i splątał zwilżone przypony.

- Ma pan ołów?

- Nie.

- Trzeba mieć ołów. - Peduzzi był podniecony. Musi pan mieć piombo. Trochę piombo. O, tutaj. Zaraz nad haczykiem, bo inaczej pańska przynęta będzie pływała na wodzie. Musi pan go mieć. Chociaż kawałek piombo.

- A pan nie ma?

- Nie. Rozpaczliwie przeszukiwał kieszenie. Przetrzasał paprochy w podszewce wewnętrznych kieszeni swojej wojskowej kurtki. - Nie ma nic. A musimy mieć piombo.

- No, to nie możemy łowić - powiedział młody pan i rozmontował wędkę zwijając na powrót żyłkę przez wodziki. - Znajdziemy gdzieś piombo i będziemy łowili jutro.

- Ale niech pan słucha, caro (kochany), trzeba mieć piombo. Bo żyłka będzie leżała płasko na wodzie. - Projekty Peduzziego na ten dzień rozpadały się w oczach. - Trzeba mieć piombo. Wystarczy kawałek. Pański sprzęt jest czyściutki i nowy, ale pan nie ma ołowiu. Byłbym go przyniósł. A pan mówił, że ma wszystko.

Młody pan popatrzał na rzekę zszarzałą od topniejącego śniegu.

- Wiem - powiedział. - Znajdziemy kawałek piombo i przyjdziemy łowić jutro.

- O której godzinie rano? Niech pan mi powie.

- O siódmej.

Wyszło słońce. Było przyjemnie i ciepło. Młody pan poczuł ulgę. Już nie łamał prawa. Usiadł na brzegu, wyjął z kieszeni butelkę marsali i podał ją Peduzziemu. Peduzzi mu ją zwrócił. Młody pan pociągnął łyk i znowu wręczył ją Peduzziemu. Peduzzi oddał mu ją ponownie.

- Niech pan pije - rzekł. - Niech pan pije. To pańska marsala.

Po następnym krótkim łyku młody pan dał mu butelkę. Peduzzi obserwował ją bacznie. Wziął skwapliwie butelkę i przechylił ją. Siwe włoski w fałdach jego szyi drgały, kiedy pił z oczami utkwionymi w dno wąskiej brązowej butelki. Wypił wszystko. Słońce świeciło, kiedy pił. Było wspaniale. To jednak był wielki dzień. Cudowny dzień.

- Senta, caro! Jutro rano o siódmej.

Kilka razy nazwał młodego pana "caro" i nic się nie stało. Marsala była dobra. Oczy mu błyszczały.

Takie dni jak ten rozciągały się na długo. Miało się to zacząć o siódmej rano.

Ruszyli z powrotem pod górę ku miastu. Młody pan szedł przodem. Był już dość daleko na wzgórzu. Peduzzi zawołał do niego:

- Niech pan posłucha, caro. Może pan mi dać pięć lirów z łaski swojej?

- Za dzisiaj? spytał młody pan marszcząc brwi.



- Nie, nie za dzisiaj. Niech pan mi da dziś na jutro. Ja wszystko przygotuję na jutro. Pane, salami, formaggio,(chleb, salami, ser) dobre rzeczy dla nas wszystkich. Dla pana, dla mnie i dla signory. Przynęty na ryby, płotki, nie tylko robaki. I może dostanę trochę marsali. Wszystko za pięć lirów. Pięć lirów, jeśli łaska.

Młody pan poszperał w portfelu i wyjął banknot dwulirowy i dwa jednolirowe.

- Dziękuję, caro. Dziękuję - powiedział Peduzzi tonem członka Carlton Clubu przyjmującego numer "Morning Post" z rąk drugiego członka. To było życie. Skończył już z hotelowym ogrodem, z rozrzucaniem widłami zmarzniętego nawozu. Życie się przed nim otwierało.

- No więc do siódmej, caro - powiedział klepiąc młodego pana po plecach. Punktualnie o siódmej.

- Możliwe, że się nie wybiorę - rzekł młody pan chowając portfel do kieszeni.

- Co? - zawołał Peduzzi. - Będę miał płotki, signor. Salami, wszystko. Dla pana, dla mnie i dla signory. Dla nas trojga.

- Możliwe, że nie pójdę - powiedział młody pan. - Najprawdopodobniej nie pójdę. Zostawię wiadomość u padrone w kantorze hotelu.

Przełożył Bronisław Zieliński

*Jeżeli to się działo blisko na wprost Ciebie, mogłeś widzieć, jak Villalta pokrzykiwał i klął byka, a kiedy ten zaszarżował, okręcał się twardo w miejscu jak dąb uderzony podmuchem wiatru, z mocno zestawionymi nogami, zamiatając muletą, za której półkolistym ruchem podążała szpada. Potem znów zaklął na byka, strzepnął ku niemu muletą i odchylił się przed szarżą, stojąc twardo na nogach i okręcając muletę, a tłum wył za każdym takim zwrotem.*

*Kiedy przeszedł do zabijania, uczynił wszystko jednym rzutem. Byk stał na wprost niego i przyglądał mu się z nienawiścią. Villalta wyciągnął szpadę z fałd mulety i zmierzył się tym samym ruchem, zawołał na byka: "Toro! Toro!", a byk zaszarżował i Villalta też zaszarżował, i na chwilę stopili się w jedno. Villalta stopił się w jedno z bykiem i już było po wszystkim. Villalta stał wyprostowany, a czerwona rękojeść szpady sterczała tępo pomiędzy łopatek byka. Villalta stał z ręką podniesioną do tłumu, byk chlustał krwią, patrzył prosto na Villalta, a nogi uginały się pod nim.*

## ŚNIEŻNY SZLAK

Wagonik kolejki zachybotał się po raz ostatni i stanął. Nie mógł jechać dalej: śnieg grubą warstwą przysypał tor. Wichura smagająca obnażone stoki góry zbiła śnieg w twardą skorupę. W wagoniku bagażowym Nick smarował narty; potem wsunął buty w żelazne uchwyty i zacisnął klamry wiązań. Bokiem wyskoczył z wagoniku, obrócił się i pochylony, ciągnąc za sobą kijki, pomknął w dół zbocza.

Na bieli poniżej zjawiał się, niknął i znów zjawiał się George. Pęd powietrza, raptowny spadek, szalony zjazd falistą stromizną góry zacierały wszystkie myśli. Po całym ciele rozchodziło się tylko cudowne uczucie pędu i żeglowania w powietrzu. Nick wyprostował się na krótkim przeciwstoku; po chwili śnieg znowu zaczął mu uciekać spod nart, chłopiec mknął w dół, coraz szybciej i szybciej ostatnim, długim i stromym odcinkiem zbocza. Zgięty tak bardzo, że prawie siedział na deskach, usiłując obniżyć jak najbardziej środek ciężkości, omiatany śniegiem, niby w piaskowej burzy, wiedział, że utrzymuje zbyt dużą szybkość. Ale utrzymywał ją. Nie chciał z niej zrezygnować i przewrócić się. Aż trafił na zawianą śniegiem muldę. Przekoziołkował kilka razy w płataninie nart, czując się jak postrzelony królik. Wreszcie utknął w miejscu - nogi mu się poplątały, nos i uszy miał pełne śniegu, deski sterczały ku niebu.

Poniżej na zboczu stał George otrzepując energicznie śnieg z wiatrówki.

- Wspaniale leciałeś, Nick! - zawołał. - Paskudny miękki śnieg w tej muldzie. Mnie też przyłapało.

- A jak jest na spadzie? - spytał Nick. Leżąc na plecach odpiął i zrzucił narty, potem wstał.

- Trzymaj się lewej strony. Dobry, szybki zjazd. Na samym dole musisz zjechać chrystianią, bo dalej stoi płot. - Poczekaj chwilkę, zjedziemy razem.

- Nie, ty jedź pierwszy. Chcą zobaczyć, jak ci pójdzie.

Nick Adams minął George'a, którego plecy i jasna czupryna były jeszcze ośnieżone, zjechał na samą krawędź spadu i szusem pomknął w dół. Gwizd powietrza mieszał się z krystalicznym pyłem śnieżnym: Nick zdawał się wznosić i opadać na wielkich śnieżnych garbach. W dole, szusując na płot, trzymał się lewej strony, kolana ścisnął mocno razem, obrócił się całym ciałem, jakby dokręcał śrubę; narty zarzuciły ostro w prawo, wzbijając tuman śniegu. Stracił szybkość równoległe do stoku - wzgórze i drucianego płotu.

Spojrzał w górę, George zjeżdżał telemarkiem, w przykłęku. Jedną - nogę wysunął i przygiął, drugą ciągnął za sobą. Kijki w dłoniach przypominały cieniutkie nóżki pająka -

gdzie musnęły powierzchnię śniegu, tam kotłowały się małe obłoczki. Zbliżył się pięknym łukiem w prawo, w przykłęku, pochylony - jedna noga wyrzucona do przodu, druga w tyle, ciało opierało się praczej na zewnątrz sile, oba kijki niby linie świetlne akcentowały zakręt. Wszystko okrywał tuman śniegu.

- Bałem się chrystianii - powiedział George. - Śnieg za głęboki. Tyś zjechał wspaniale.

- Z moją nogą nie mogę telemarkiem - powiedział Nick.

Nick przyduślił nartą drut ogrodzenia i George przeszedł górą. Nick ruszył za nim w stronę drogi. Z wysiłkiem, miarowo, energicznie posuwali się droga wiodącą w las. Im dalej, tym powierzchnia była bardziej wyslizgana, ubarwiona na pomarańczowo i tabaczkowo od częstego wożenia tędy ściętych pni. Obaj chłopcy trzymali się pasma śniegu na skraju. Droga raz zanurzyła się ostro w dolinę, którą płynął strumień, potem już szła prosto pod górę. Na zboczu dojrzeli długi zniszczony nie pogodą budynek z nisko zwieszającym się okapem. Oglądany zza drzew miał wyblakłą żółtą barwę. Z bliska widać było, że ramy okienne pomalowane są na zielono i że farba odpryskuje. Nick kijkiem odczepił wiązania i zrzucił narty.

- Stąd możemy już je nieść - powiedział.

Z nartami na ramionach zaczął wspinać się stroma ścieżką, mocno wbijając okute obcasy w zlodowaciałą ziemię. Tuż za sobą słyszał oddech George'a i odgłos jego obcasów na lodzie. Oparli narty o ścianę budynku gospody i wzajemnie otrzepali sobie spodnie ze śniegu; dokładnie odbili śnieg z butów i weszli.

Wnętrze było mroczne, w jednym rogu błyszczał wielki kafłowy piec, pułap zwiślał nisko. Po obu stronach izby proste ławy, przed nimi poplamione winem ciemne stoły. Obok pieca siedziało nad szklaneczkami mętnego młodego wina dwóch Szwajcarów z fajkami. Nick i George zdjęli wiatrówki i usiedli pod ścianą z drugiej strony pieca. W sąsiedniej izbie zamilkł śpiew i w drzwiach ukazała się dziewczyna w niebieskim fartuchu. Spytała, czego się napiją.

- Butelkę valais - powiedział Nick. - Odpowiada ci, George?

- Dobrze. Ty się lepiej znasz na winie niż ja. Mogę pić każde.

Dziewczyna wyszła.

- Nie ma jak narty, prawda? powiedział Nick. - Co za wspaniałe uczucie, kiedy się człowiek puszcza szusem w długi zjazd.

- Aha - zgodził się George. - Aż za wspaniałe, żeby o tym mówić.

Dziewczyna przyniosła wino; mieli kłopot z korkiem, wreszcie Nick otworzył butelkę. Dziewczyna wyszła. Słyszeli, jak śpiewa po niemiecku w sąsiedniej izbie.

- Nic nie szkodzi, że wpadło trochę korka - powiedział Nick.

- Może mają tu jakieś ciasto?

- Zapytajmy.

Kiedy weszła dziewczyna, Nick zauważył, że jej fartuch nieudolnie osłania ciążę. "Dziwne, że od razu tego nie spostrzegłem" - pomyślał.

- Co to była za melodia? - spytał.

- Opera. Niemiecka opera. - Nie zdradzała ochoty do prowadzenia rozmowy na ten temat. - Jest placek z jabłkami. Podać?

- Niezbyt serdeczna, co? - zauważył George.

- A niech tam. Nie zna nas i może myślała, że będziemy pokpiwali sobie z jej śpiewania. Pewno pochodzi z niemieckiej Szwajcarii i jest przeczulona na tym punkcie. Nie ma męża, a spodziewa się dziecka i też jest przeczulona na tym punkcie.

- Skąd wiesz, że nie ma męża?

- Nie nosi obrączki. A poza tym dziewczyny nie wychodzą tu za mąż, póki nie zajmą w ciążę.

Drzwi od dworu otworzyły się na oścież i weszła gromadka drwali. Tupali butami o podłogę, ich odzież parowała. Dziewczyna przyniosła im trzy litry młodego wina. Usiedli przy dwóch stołach w milczeniu paląc fajki, zdjęli kapelusze i oparli się o ścianę lub stół. Na dworze od czasu do czasu słychać było ostry dźwięk dzwonek, gdy zaprzężone do sani konie szarpały głowami.

Nick i George czuli się szczęśliwi. Lubili się nawzajem. Wiedzieli, że czeka ich jeszcze wspólna droga do domu.

- Kiedy musisz wracać do szkoły? - spytał Nick. - Dziś wieczorem - odparł George. - Chcę jechać dziesiąta czterdzieści z Montreux.

- Szkoda, że nie możesz zostać. Poszlibyśmy jutro na Dent du Lys.

- Muszę zdobywać wiedzę - powiedział George. - Nick, jakby to było dobrze, gdybyśmy tak mogli razem się powłóczyć. Wziąć narty na plecy, wsiąść do pociągu i dostać się na jakieś dobre tereny. Potem jazda. Sypiać po gospodarach, przejść Oberland, całe Valais i Engandine, na wszelki wypadek wziąć do plecaków, co trzeba do reperacji nart i zapasowe swetry, i piżamy, i nie potrzebować się martwić o żadną cholerną szkołę ani o nic.

- Aha, i potem na Szwarwald. Ojej! Jaka wspaniała wycieczka.

- Byłeś tam w zeszłym roku na rybach, prawda?

- Aha.

Zjedli placek i wypili resztę wina. George oparł się o ścianę i zamknął oczy.

- Jak się napiję wina, to zawsze się tak czuję - powiedział.

- Żle?

- Nie, dobrze, ale dziwnie.

- Rozumiem.

- Właśnie.

- Zamówić jeszcze jedną butelkę? - spytał Nick.

- Dla mnie nie - odparł George.

Siedzieli - Nick z łokciami na stole, George bezwładnie oparty o ścianę.

- Helena spodziewa się dziecka? - spytał George odrywając się od ściany i pochylając nad stołem.

- Aha.

- Kiedy?

- Pod koniec lata?

- Jesteś zadowolony?

- Tak. Teraz tak.

- Wrócisz do Stanów?

- Chyba tak.

- Chcesz wracać?

- Nie.

- A Helena chce?

- Nie.

George siedział w milczeniu. Patrzył na pustą butelkę i puste szklanki.

- To straszne, prawda? - spytał.

- Nie, nie tak straszne - odparł Nick.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem - przyznał Nick.

- Czy pojedziecie kiedy na narty w Stanach? - zapytał George.

- Nie wiem.

- Tamtejsze tereny są nienadzwyczajne.

- Nie - zgodził się Nick. - Zbyt skaliste. Zbyt zalesione, za daleko do nich jechać.

- Aha. Tak jest w Kalifornii.

- Aha - potwierdził Nick. - Tak jest wszędzie, gdzie byłem.

- Aha - powiedział George. - Tak właśnie jest. Siedzący pod piecem Szwajcarzy wstali, zapłacili i wyszli.

- Szkoda, że nie jesteśmy Szwajcarami - odezwał się George.

- Oni wszyscy chorują na tarczycę - powiedział Nick.

- Nie wierzę.

- Ja też nie. Roześmieli się.

- Może już nigdy nie pójdziemy razem na narty - powiedział George.

- Musimy - stwierdził Nick. - Samemu to żadna przyjemność.

- Więc musimy pójść razem.

- Aha, musimy - potwierdził Nick.

- Chciałbym, żebyśmy to sobie mogli na pewno obiecać - dodał George.

Nick wstał. Zapiął szczelnie wiatrówkę, pochylił się nad George'em i wziął dwa kijki oparte o ścianę. Jeden z nich wbił szpicem w podłogę.

- Nie ma sensu obiecywać sobie zbyt wiele - powiedział.

Otworzyli drzwi i wyszli na dwór. Było bardzo zimno. Śnieg pokrył się lodem. Droga biegła w górę, między sosny.

Zabrali narty oparte o ścianę gospody. Nick włożył rękawice. George już się oddalił parę kroków, niosąc na ramieniu narty. Teraz czekała ich wspólna droga do domu.

*Przełożył Jan Zakrzewski*

*Usłyszałem zbliżające się ulicą bębny, a potem flety i piszczałki i wreszcie ukazali się zza rogu, tańcząc. Wypełnili całą ulicę. Maera zobaczył go, a potem i ja go zobaczyłem. Kiedy muzyka zamilkła, żeby przysiąść na chwilę, on też przykucnął ze wszystkimi na ulicy, a kiedy znów ruszyli, zerwał się i zaczął tańczyć wraz z nimi. Był porządnie pijany.*

*- Zejdź po niego - powiedział Maera. - On mnie nienawidzi.*

*Zeszedłem wiać i dopędziłem ich, i złapałem go, kiedy siedział w kucki czekając, aż muzyka znów się odezwie, i powiedziałem:*

*- Chodźże, Luis. Na miłość boską, przecież masz byki dziś po południu.*

*Nie słuchał mnie, bo tak nasłuchiwał, kiedy odezwie się muzyka.*

*- Nie bądźże głupi, Luis. Wracaj do hotelu - powiedziałem.*

*A wtedy muzyka zagrała znowu, więc zerwał się, wyśliznął mi się i zaczął tańczyć. Chwyciłem go za rękę, ale się wyrwał i powiedział:*

*- Och zostaw mnie. Nie jesteś moim ojcem. Wróciłem do hotelu, a Maera stał na balkonie i wypatrywał, czy go przyprowadzę. Kiedy mnie zobaczył, zawrócił do środka i zeszedł na dół zniechęcony.*

*- Ano - powiedziałem - ostatecznie to przecież jest ciemny meksykański dzikus.*

*- Tak - odparł Maera - ale kto za niego pozabija te byki, jak dostanie c o g id ę?*

*- Pewnie my - odpowiedziałem.*

*- Tak, my - odrzekł Maera. - My będziemy zabijali byki dzikusów, byki pijaków i byki tańczących riau-riau. Tak. My je będziemy zabijali. A jakże. Tak, tak, tak.*



## MÓJ STARY

Jak teraz o tym myślę, to widzę, że mój stary miał skłonności do tycia i że z czasem stałby się jednym z takich tłuszciochów, co to ich jest niemało na świecie. Ale nigdy do tego nie doszedł, chyba troszkę pod sam koniec, choć i to nie jego wina, bo wtedy jeździł tylko na torze z przeszkodami i mógł sobie pozwolić, na ile chciał kilogramów.

Pamiętam, jak na dwa swetry wciągał gumową koszulę, a na to jeszcze bawełnianą kurtkę i w gorącym słońcu, rano, zabierał mnie na próbny galop. Bywało, że o czwartej rano przyjeżdżał turyńskim pociągiem i ze stacji gnał dorożką do stajni, skoro świt brał którąś z chabet Razza i jechał na ten próbny galop, choć po nocy wszystko było jeszcze pokryte i osą, a słońce dopiero wschodziło. Pomagałem ojcu ściągać buty, on sam wkładał trampki i wszystkie te swetry, o których mówiłem, i jechaliśmy.

- No, do roboty, synu - mówił spacerując tam i z powrotem przed szatnią dżokejów.  
- Trzeba się rozruszać.

Kłusowaliśmy raz dokoła padoku, ojciec na przodzie, równo, ładnie, a potem wyjeżdżaliśmy z bramy na jedną z dróg, co to prowadzi z San Siro, wysadzone gęsto drzewami. Wtedy to już ja jechałem pierwszy, a też potrafiłem ładnie jechać, stary lekko kentrował tuż za mną i kiedy po chwili obracałem głowę, zaczynał się pocić. Pocił się mocno, ale udawał, że wcale się nie poci, i patrzył prosto przed siebie. Kiedy mnie przyłapał na tym, że mu się przyglądam, krzywił twarz w uśmiechu i pytał: "Pocisz się, co?" Jak mój stary się uśmiechał, to każdy musiał zrobić to samo.

No i jechaliśmy dalej w kierunku gór, i wreszcie ojciec krzyczał: "Hej, Joe!" Obracałem się, a on już siedział pod drzewem, szyję miał owiniętą ręcznikiem, którym przedtem był opasany.

Wtedy wracałem, siadałem koło niego. On wstawał, wyciągał z kieszeni kawał sznura, trzymał go jak skakankę i zaczynał skakać w słońcu, a pot ściekał mu po twarzy. I tak skakał w białym pyłe trzepiąc głośno sznurem o ziemię, słońce grzało coraz mocniej, a on skakał z coraz większym zapalem tam i z powrotem po drodze. Mówię wam, że to było cudo patrzeć na mojego ojca, jak skacze przez tę skakankę. Potrafił obracać nią szybko albo wolno i bardzo wymyślnie. Powinniście byli widzieć gęby chłopków, co nas czasami mijali prowadząc do miasta wozy zaprzężone w woły. Patrzyli, jakby myśleli, że mój stary zwariował, bo sznur zaczynał latać jak fryga i latał tak, póki chłopkowie nie stanęli zdumieni, żeby się lepiej temu widowisku przypatrzeć, a potem zacinali woły albo szturchali je batem i jechali dalej, tam gdzie mieli jechać.

Kiedy tak siedziałem i przyglądałem się, jak ojciec ćwiczy, to byłem wtedy strasznie z niego dumny: kompan pierwsza klasa i lubił zaprawę, i kończył zawsze jakimś szalonym młynkiem, od którego pot spływał mu po twarzy strumieniami jak woda. Potem zarzucał sznur na drzewo, podchodził, siadał koło mnie i opierał się o drzewo, zasłaniając sobie szyję swetrem i ręcznikiem.

- Diabelnie trudno utrzymać wagę, Joe - mówił oparty tak o drzewo. Oddychał powoli, głęboko, oczy miał zamknięte. - To już nie tak, jak się jest młodym - stwierdzał.

Potem zbieraliśmy się z powrotem i nim jeszcze pot na nas obsechł, kentrowaliśmy ku stajniom. Tak się robiło, żeby schudnąć. Bo mój stary ciągle się martwił swoją wagą. Inni dżokeje potrafią zdjąć, ile chcą, kilogramów - dżokej przeciętnie traci kilo na każdym biegu - ale ojciec był jakiś wysuszony czy co i nie mógł stracić nic bez tego skakania.

Pamiętam raz, w San Siro to było, taki krępy makaroniarz Regoli, który jeździł na łąkach Buzoniego, szedł przez padok do baru, żeby się napić czego zimnego. Szedł sobie i szpicrutą wybijał takt po cholewie, a dopiero co się ważył. Mój stary też dopiero co się ważył, stanął w drzwiach trzymając siodło pod pachą i był bardzo czerwony na twarzy i trochę za duży na ten swój dżokejski strój. Stanął i patrzył na młodego Regoli, który kręcił się przed otwartym barem taki jakiś niedorosły i spokojny. Spytałem: „Co się stało, tatku?“, bo myślałem, że go może Regoli uderzył albo co, ale ojciec tylko jeszcze raz spojrzął na tego Regoli, powiedział: „Pal sześć“, i poszedł do szatni.

Może i wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy zostali w Mediolanie i jeździli w Mediolanie i w Turynie, bo jeżeli są w ogóle nietrudne tory, to właśnie te dwa. „Samograj, Joe“ - powiadał ojciec zsiadając z konia w boksie zwycięzcy, a wszyscy makaroniarze na trybunach myśleli, że to był Bóg wie jaki wyczyn. Spytałem go kiedyś, dlaczego. „Bo tor jest dobry, sam pod tobą jedzie. Najważniejsze jest tempo na płaskim, od tego zależy bezpieczeństwo skoku, Joe. Tu nie jeździmy szybko, przeszkody też są wcale znośne. Pamiętaj, że szybkość na płaskim, a nie skoki są źródłem wypadków.“

San Siro to najlepszy tor, jaki kiedykolwiek widziałem, ale ojciec powiadał, że życie tu psie: tylko się człowiek pęta między Mirafiore i San Siro, jeździć trzeba prawie co dzień, a co drugą noc spędza się w pociągu.

- Ja też byłem zwariowany na punkcie wyścigów. Coś w tym jest, kiedy wyprowadzają konie na tor i kiedy one szorują pod start. Wyglądają tak jakoś bojowo i jakby roztańczone, gdy je dżokej twardo trzyma, a potem oddaje trochę wodze i pozwala na krótki galop. No, a jak stawały pod barierą, to już mnie zupełnie brało. Zwłaszcza na torze San Siro, gdzie pole jest zielone, daleko na horyzoncie widać góry, tłusty makaroniarz-

starter macha tą swoją szpicrutą, a dżokeje kręcą się na koniach. I wreszcie bariera idzie w górę, słychać dzwon, konie wypadają tabunem na tor i powoli rozciągają się w długi sznur. Wiecie chyba, jak to jest, kiedy gromada koni wychodzi ze startu? Kiedy stoicie na trybunie i macie lornetkę, to najpierw widzicie, jak ruszają ława - potem dopiero słychać dzwon, a jego silny głos zdaje się zawisać w powietrzu - już zaraz drą trawę kopytami na zakręcie. Dla mnie nie ma piękniejszego widoku na świecie.

Ale któregoś dnia w szatni mój stary, kiedy się przebierał do miasta, powiedział: "To nie są konie, Joe. W Paryżu wzięto by takie łąchy na wyroby skórzane i klej." Powiedział to w dniu, kiedy wygrał Premio Commercio na Lantornie prowadząc ją w posyle przez ostatnie trzysta metrów daleko przed resztą. Zupełnie jakby wyciągnął korek z butelki, a butelka została w tyle.

No i właśnie niedługo po wygraniu Premio Commercio wycofaliśmy się z tych torów i wyjechaliśmy z Włoch.

Mój stary, gość nazwiskiem Holbrook i gruby makaroniarz w słomkowym kapeluszu, ocierający stale twarz chustką, siedzieli przy stoliku w Galleria Vittorio Emanuele i kłócili się. Gadali wszyscy po francusku i tamci dwaj mieli jakiś żal do mojego starego. Ojciec w końcu przestał się odzywać, siedział tylko i patrzył na Holbrooka, a oni nalatywali na niego. Najprzód jeden szwargotał, potem drugi, a tłusty makaroniarz stale przerywał Holbrookowi.

- Idź i kup "Sportowca", Joe - powiedział ojciec i dał mi parę soldów nie odrywając oczu od Holbrooka.

Wyszedłem więc z Ottagono delia Galleria i przed "Scalą" kupiłem gazetę, wróciłem i stanąłem opodal stolika, bo nie chciałem im przerywać. Mój stary siedział głęboko w krześle, patrzył w swoją kawę, bawił się łyżeczką. Holbrook i ten drugi grubas stali nad nim, grubas ciągle wycierał sobie twarz i kiwał głową.

Wreszcie podszedłem. Mój stary zachowywał się tak, jakby tamtych dwóch wcale nie było, i spytał: "Chcesz lody, Joe?" Holbrook spojrział jeszcze raz na ojca i powiedział wolno i wyraźnie: "Ty sukinsynu", i zaczął się przeciskać z makaroniarzem między stolikami do wyjścia.

Ojciec siedział i niby uśmiechał się do mnie, ale był blady jak nie wiem co i chyba okropnie chory. A ja się strasznie bałem i też byłem chory w środku, bo wiedziałem, że coś się stało, i nie mogłem zupełnie zrozumieć, jak to może być, żeby ktoś nazwał mojego ojca sukinsynem i żeby mu to uszło na sucho. Ojciec otworzył "Sportowca" i przez chwilę przeglądał handicap, potem odezwał się: "W życiu tak jest. Trzeba się godzić z wieloma

rzeczami, Joe." A po trzech dniach wyjechaliśmy na dobre z Mediolanu pociągiem przez Turyn do Paryża. Jeszcze przedtem koło stajni Turnera zrobiliśmy licytację wszystkiego, co nie chciało się zmieścić w jednym kufrze i walizce.

Przyjechaliśmy do Paryża wczesnym rankiem na bardzo długą, brudną halę dworcową i ojciec powiedział, że to jest Gare de Lyon. Po Mediolanie Paryż wydawał mi się strasznie duży. W Mediolanie zawsze uważałem, że wszyscy dokądś idą i wiedzą, dokąd idą, tramwaje też gdzieś jadą, wiadomo dokąd, a Paryż sprawiał wrażenie, że tu się wszystko pokiełbasiło i nawet nikt nie próbuje tego uporządkować. Ale polubiłem to miasto, w każdym razie jego część, i wiecie tam są chyba najlepsze tory wyścigowe na świecie. Wydaje się, że jedynie dzięki tym torom komunikacja w mieście trzyma się jeszcze jako tako kupy - tylko w tym jednym można się rozeznać, bo wiadomo, że co dzień autobusy będą jechały na tor, gdzie są właśnie wyścigi, będą tam jechały przez ten cały rozgardiasz, przez wszystko, i na pewno dojadą. Właściwie nigdy dobrze nie poznałem Paryża, bo przyjeżdżałem tu z Maisons najwyżej dwa razy na tydzień w towarzystwie starego. Ojciec siadał zawsze przy stoliku w "Café de la Paix", od strony Opery, z całą bandą z Maisons. To chyba najruchliwszy punkt miasta. Tak mi się akurat przypomniało, jakie to śmieszne, że takie duże miasto jak Paryż nie ma Ottagono delia Galleria, prawda?

Więc, jak powiedziałem, zamieszkaliśmy w Maisons-Laffitte, gdzie chyba wszyscy mieszkają z wyjątkiem tej sitwy, co się umieściła w Chantilly. Zatrzymaliśmy się u pani Meyers, która prowadziła pensjonat. Maisons to chyba najlepsze miejsce do mieszkania na świecie. Miasteczko nieduże, ale jest jezioro i śliczny las i do tego lasu zawsze chodziliśmy nic nie robić przez cały dzień ja i jeszcze jeden chłopiec, i mój stary zmajstrował mi procę, i trafiliśmy dużo rzeczy tą procą, a najlepsza to była chyba nasza sroka. Dick Atkinson trafił też raz królika i położyliśmy tego królika pod drzewem. Siedzieliśmy koło niego i paliliśmy papierosy, które miał Dick, kiedy nagle królik skoczył i zwiął w krzaki. Goniliśmy go, ale na próżno. Och, świetnie się bawiliśmy w Maisons. Pani Meyers to już rano dawała mi obiad i potem mogłem latać cały dzień. Szybko uczyłem się po francusku. To łatwy język.

Jak tylko przyjechaliśmy do Maisons, ojciec napisał do Mediolanu po swoją licencję i bardzo się martwił, póki jej nie dostał. Lubił siadywać z całą bandą w "Café de Paris" w Maisons. Spotkał kilku gości, których znał jeszcze sprzed wojny, kiedy jeździł na torach w Paryżu. Oni też mieszkali w Maisons i mieli dużo czasu na siedzenie w kafejce, bo dla dżokejów robota w stajniach kończy się koło dziewiątej rano. Pierwsze konie bierze się na próbny galop o piątej trzydzięci rano, a resztę o ósmej. Przy takim trybie życia trzeba wstawać bardzo wcześnie i wcześnie kłaść się spać. A gdy w dodatku dżokej jeździ w

czyichś barwach na torze, to nie może się pętać po mieście i na przykład pić, bo jeśli jeszcze z niego dzieciak, to trener ma na niego oko, a jeśli jest dorosły, to sam się pilnuje. Dlatego gdy dzok nie pracuje, to przeważnie siedzi z całą bandą w tej "Café de Paris". Wszyscy tak potrafią siedzieć dwie albo i trzy godziny nad jedną szklanką wermutu z wodą sodową; gadają, opowiadają sobie różne historie i grają na automatach. Zupełnie jak w jakim klubie albo w Galleria. Tylko że to niezupełnie jest tak jak w Galleria, bo tam ciągle przechodzą ludzie, a przy stolikach siedzą właściwie wszyscy, o kim by się pomyślało.

No, więc mój stary wreszcie dostał tę swoją licencję. Przysłali mu ją bez słowa. Potem parę razy jeździł w Amiens, na północy kraju, i na innych tym podobnych torach, ale jakoś nikt mu nic nie proponował na stałe w Paryżu. Wszyscy go właściwie lubili i kiedy bym nie przyszedł rano do "Café de Paris", zawsze ktoś z nim razem siedział przy stoliku. Lubili go pewnie dlatego, że nie był skąpy jak większość dżokejów, co to jeszcze trzymają pierwszego dolara zarobionego na wyścigach w czasie Wystawy Światowej w St. Louis w roku dziewięćset czwartym. Mój stary tak właśnie zawsze mówił, kiedy żartował z George'a Burnsa. Ale mimo że go lubili, jakoś wymigiwali się od puszczania go na siodło.

Co dzień też jeździliśmy wielkim samochodem z Maisons tam wszędzie, gdzie odbywały się gonitwy, w których tutejsi dżokeje brali udział. To było chyba najprzyjemniejsze. Byłem bardzo zadowolony, jak przyszło lato i konie wróciły z Deauville, chociaż to oznaczało, że skończyło się nic nie robienie po okolicznych lasach, bo jeździliśmy do Enghien albo Tremblay, albo St. Cloud i z boksu dla trenerów i dżokejów przyglądaliśmy się biegom. Dobrze się nauczyłem wszystkiego, co się tyczy wyścigów, jeżdżąc stale z tą bandą i było strasznie przyjemnie, że jeździliśmy codziennie.

Pamiętam raz w St. Cloud wielki bieg o dwieście tysięcy franków. Zapisanych było siedem koni, faworytem był ogier War Cloud. Poszedłem z ojcem na padok zobaczyć konie. Nigdy nie widzieliśmy chyba takich wyścigowców. A War Cloud - wielki, prawie żółty koń - to splot samych mięśni i ruchu. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego konia. Prowadzili go dokoła padoku, a on opuścił łeb i jak go zobaczyłem z bliska, to aż mnie w dołku ścisnęło, taki był piękny. Podobnie wspaniałego, smukłego, stworzonego do biegu konia chyba jeszcze nie było na świecie. Prowadzili go dokoła padoku, a on stawiał nogi właśnie tak, jak powinien, ostrożnie i spokojnie, i jakoś lekko, zupełnie jak by wiedział, czego się od niego oczekuje; nie szarpał się i nie stawał dęba, i nie robił dzikich oczu, jak to robią czasem rozmaite łachy naszpikowane zastrzykami. Tłum był taki gęsty, że potem widziałem już tylko nogi i trochę tego żółtego. Ojciec zaczął przeciskać się z powrotem, ja za nim, prosto do szatni dżokejskiej między drzewami. Tam też zebrał się wielki tłum, ale jakiś człowiek,

co stał w meloniku przed drzwiami, skinął ojcu głowa i weszliśmy. Dokoła siedzieli dżokeje i ubierali się, naciągali przez głowy koszule, wkładali buty; pachniało gorącem i potem ciała, i olejkiem migdałowym, a z zewnątrz zaglądał przez okna tłum ludzi.

Mój stary wszedł, przysiadł się do George'a Gardnera, który właśnie wciągał spodnie, i spytał go:

- Co brzęczy, George? - Ot, zwyczajnie spytał, bo nie było po co kluczyć. George jest taki, że albo powie od razu, albo wcale nie powie.

- Mój nie weźmie - mruknął George bardzo cicho, pochylając się nisko i sznurując bryczesy.

- Kto weźmie? - spytał ojciec podsuwając się bliźniutko, żeby nikt nie słyszał.

- Foxless - szepnął George. - Jeśli wygra, to żebyś schował dla mnie ze dwa bilety.

Potem mój stary coś głośno powiedział do George'a i George głośno odpowiedział:

- Nigdy nie stawiaj na konia, którego ci radzę - tak niby żartując. Wyszliśmy z szatni torując sobie drogę przez ten tłum, co zaglądał do okien. Poszliśmy prosto do kasy stufrankowej. Ale ja wiedziałem, że coś dużego wisi w powietrzu, bo przecież George jedzie właśnie na War Cloudzie. Potem ojciec kupił tę żółtą kartę, na której podane są handicapy, i z niej wynikało, że War Clouda, który jest faworytem, notują pięć do dziesięciu, Cefisidote jest następny - trzy do jednego, Foxless, piąty na liście - osiem do jednego. Ojciec postawił na Foxlessa pięć tysięcy franków "z góry" i tysiąc "z dołu" i wróciliśmy tyłami głównej trybuny i potem schodami w górę, żeby widzieć bieg.

Staliśmy tam na górze ściśnięci w tłumie ludzi i po jakimś czasie ukazał się starszy mężczyzna we fraku i w szarym cylindrze, w ręku trzymał szpicrutę. Za nim jeden po drugim wychodziły konie, na każdym siedział dżokej, a po obu stronach trzymali uzdę chłopcy stajenni. Ten wielki żółty koń, War Cloud, otwierał procesję. Kiedy się na niego pierwszy raz spojrzęło, nie wydawał się taki duży, dopiero trzeba się było przyjrzeć jego nogom, jakie są długie, i w ogóle, jak jest zbudowany i jak się rusza. Słowo daję, nie widziałem jeszcze takiego konia. Jechał na nim George Gardner. Jechał wolno, zaraz za tym starym facetem w cylindrze. Wyglądało to zupełnie tak, jakby dyrektor cyrku otwierał paradę koni. Za War Cloudem, który poruszał się lekko, cały złoty w słońcu, szedł zgrabny kary z ładnym łbem. Dosiadał go Tommy Archibald. Po karym wyszło rzędem jeszcze pięć koni. Cała procesja minęła wolno główną trybunę i placyk z wagą. Ojciec powiedział mi, że ten kary to właśnie Foxless, i jak mu się dobrze przyjrzałem, to się okazał nawet ładny koń, tylko nie taki ładny jak War Cloud.

Wszyscy oklaskiwali War Clouda, kiedy przechodził, i to był naprawdę wspaniały koń. Potem cała procesja poszła na drugą stronę idąc wzdłuż trawników i z powrotem do zakrętu toru. Tam dyrektor tego cyrku kazał chłopcom stajennym kolejne puszczać wodze, tak że dżokeje jeden po drugim przegalopowali przed trybunami udając się na start i wszyscy mogli jeszcze raz dobrze się przyjrzeć koniom. Długo na starcie nie czekali, prawie wcale, bo rozległ się dzwon i konie ruszyły w zwartej gromadzie na pierwszy zakręt, jak by je gnali wszyscy diabli. Przyglądałem się przez lornetkę. War Cloud biegł dobrze z tyłu, prowadził jeden z kasztanków. Przeleciały na prostą z drugiej strony, potem znowu do nas i kiedy mijały trybunę, War Cloud był daleko za wszystkimi, a Foxless ciągnął na czele, i to zupełnie gładko. Ojej, jak to strasznie patrzeć, kiedy konie przelatują tuż blisko, a potem oddalają się coraz dalej i robią się mniejsze i mniejsze, potem na zakręcie zbijają się w kupę, wychodzą znowu na prostą i człowiekowi chce się kłać i wymyślać jeszcze bardziej niż przedtem. Wreszcie minęły ostatni zakręt i po raz ostatni wyszły na prostą. Foxless prowadził o kilka długości. Wszyscy tak jakoś dziwnie wyglądali i trochę słabo wołali: "War Cloud!" Konie zbliżały się coraz bardziej prostą, kiedy nagle akurat w pole widzenia mojej lornetki wpadła, oderwawszy się z gromady koni, jakaś żółtawa błyskawica o łbie końskim i wszyscy zaczęli wyć: "War Cloud!", jak gdyby poszaleli. War Cloud zbliżał się szybciej niż cokolwiek, co widziałem w życiu, i dopędzał Foxlessa, który gnał w batach tak szybko, jak jakikolwiek kary mógł gnać.

Przez chwilę War Cloud i Foxless pędziły łeb w łeb, ale tylko przez chwilę, bo War Cloud zdawał się pędzić dwa razy szybciej, wyciągnąwszy łeb do przodu i sadząc ze sto metrów na raz. Tylko że właśnie wtedy, jak oba konie gnały łeb w łeb, minęły też metę i kiedy wywieszono numery na tablicy, to okazało się, że dwójka wygrała bieg, czyli że Foxless jest pierwszy.

W środku to się cały trząsałem jak galareta i jakoś tak mi było dziwnie w dołku, a potem otoczyli nas ludzie idący na dół, żeby zobaczyć na tablicy, co płać za Foxlessa. Tak strasznie chciałem, żeby zwyciężył War Cloud. Ale teraz, gdy gonitwa się skończyła, wszystko było już dobrze, bo przecież postawiliśmy na Foxlessa.

- Jaki wspaniały wyścig, prawda tatusiu? - spytałem.

Ojciec spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie, a melonik miał przesunięty na tył głowy.

- Aha, George Gardner to wspaniały dżok - zgodził się. - Trzeba być nie lada' dżokejem, żeby nie dopuścić takiego konia jak War Cloud na pierwsze miejsce.

Ja naturalnie wiedziałem przez cały czas, że tu coś nie bardzo z tą gonitwą, ale tak bezpośrednio usłyszeć to od starego było przykro i odebrało mi całą przyjemność, i już nie

odzyskałem tej przyjemności, nawet kiedy na tablicy wywiesili wygrane i rozległ się dzwonek na wypłatę, i okazało się że za Foxlessa płacą sześćdziesiąt siedem i pół franka za dziesięć.

Wszędzie dokoła ludzie mówili: "Biedny War Cloud, biedny War Cloud", a ja sobie myślałem, że chciałbym być dżokejem i jechać na War Cloudzie zamiast tego sukinsyna. I to też było dziwne myśleć o George'u Gardnerze w ten sposób, bo ja go zawsze lubiłem, a poza tym on właśnie wytypował nam zwycięzcę. Ale jednak coś wygląda, że George był tym sukinsynem.

Więc wtedy mój stary dostał kupę forsy i częściej przyjeżdżaliśmy do Paryża. Jeżeli banda jechała na tor Tremblay, zabierali nas autobusem i zostawiali w mieście, a potem zabierali w drodze powrotnej do Maisons, kiedyśmy już wysiedzieli się z ojcem parę godzin przed "Café de la Paix" przyglądając się ludziom. To śmiesznie tak siedzieć przy stoliku przed kawiarnią, płynie cały potok ludzi i rozmaici faceci podchodzą i chcą coś koniecznie wtrynić. Dobrze mi było z moim starym. Wtedy najlepiej się bawiliśmy. Zjawiali się na przykład faceci, co sprzedawali śmieszne zajączki, które podskakiwały, gdy się nacisnęło gruszkę. Podchodzili do nas i ojciec z nimi żartował.

Potrafił gadać po francusku tak dobrze jak po angielsku i wszyscy faceci znali go, bo przecież zawsze można poznać dżokeja, a poza tym zawsze siedzieliśmy przy tym samym stoliku i oni się już przyzwyczaili stale nas tam widzieć. Byli też tacy goście, co sprzedawali gazety z propozycjami matrymonialnymi, albo przychodziły dziewczyny i miały takie gumowe piłeczki, z których po naciśnięciu wyskakiwał kurczak, albo zjawiał się taki stary obleśny typ i proponował widokówki Paryża. Pokazywał je wszystkim, ale naturalnie nikt ich nie chciał, więc on wracał i pokazywał co jest pod spodem, a to były pornograficzne obrazki i wtedy dużo gości je kupowało.

Oj tak, pamiętam różne dziwne typy, co koło nas przechodziły. Na przykład pod wieczór: dziewczyny szukające kogoś, kto by je zaprosił na kolację. I nawet zagadywały mojego starego, on im odpowiadał jakimś francuskim żartem i one mnie gładziły po głowie, i szły sobie dalej. A raz przy sąsiednim stoliku usiadła Amerykanka z córką i obie jadły lody, a ja się przyglądałem tej córce, bo ona była strasznie ładna. Uśmiechnąłem się do niej i ona uśmiechnęła się do mnie, ale nic więcej z tego nie wyszło, bo jak następnego dnia rozglądałem się za nią i za jej matką i każdego dnia potem się rozglądałem, to ich nie widziałem. A już sobie postanowiłem, że się odezwę, i byłem ciekaw, czy jej matka - jak ją poznam, naturalnie - pozwoli mi zabrać tę córkę do Auteuil albo do Tremblay. Ale pewno nie potrafiłbym dobrze tej sprawy załatwić, bo jak teraz o tym myślę, to sobie



przypominam, że miałem zamiar odezwać się w ten sposób: "Bardzo przepraszam, czy chciałaby pani dobrego konia na dzisiejsze biegi w Enghien?", i być może, ona by pomyślała, że ja jestem jakiś frant, a nie ktoś, kto naprawdę chce uczciwie poradzić, na jakiego konia stawiać.

Więc tak siadywaliśmy w "Café de la Paix", ja i ojciec, i mieliśmy dobrą markę u kelnera, bo mój stary zawsze zamawiał whisky, a to kosztuje pięć franków, i jak potem przychodziło do liczenia szklanek, to wypadał niezły napiwek. Mój stary pił więcej, niż kiedykolwiek widziałem, żeby pił, ale teraz już wcale nie jeździł i poza tym mówił, że whisky ściąga mu wagę. Ja co prawda widziałem, że mu przybywa. Oderwał się też jakoś od bandy z Maisons i lubił najwięcej wysiadywać ze mną na bulwarze. Tylko że co dzień tracił dużo pieniędzy na torze. Po ostatnim biegu czuł się zawsze strasznie przygnębiony, jeżeli tego dnia przegrał, i dopiero się rozweselał przy naszym stoliku po pierwszej whisky, i wtedy już wszystko było bardzo dobrze. Czytał sobie swój "Paris-Sport", czasami podnosił na mnie oczy i pytał: "Gdzie twoja panna, Joe?" Żartował tak, bo mu opowiedziałem o Amerykance z córką, co to siedziała przy stoliku obok. Ja się czerwieniłem, ale lubiłem żarciki na temat tej córki. "Miej oczy otwarte, Joe - powiadał. - Ona jeszcze tu przyjdzie."

Pytał mnie też o różne rzeczy i z niektórych rzeczy, które ja mu mówiłem, bardzo się śmiał. A potem opowiadał rozmaite historie: o tym, jak jeździł w Egipcie albo na lodzie w St. Moritz jeszcze przedtem, nim umarła mama, albo w czasie wojny na południu Francji, kiedy urządzano wyścigi bez żadnego totka ani zakładów, ani ludzi, tylko po to, żeby konie utrzymać w formie. Tak, to były prawdziwe wyścigi! Dżokeje wyciskali siódme poty z koni. Ojej, mogłem godzinami słuchać, jak ojciec opowiadał, zwłaszcza jeśli wypił przed tym parę whisky. Opowiadał mi jak był małym chłopcem i mieszkał w Kentucky, i chodził polować na szopy, o dawnych czasach w Stanach, nim wszystko wywróciło się do góry nogami. I mówił: "Joe, kiedy zbierzemy trochę forsy, wrócisz do Stanów i pójdiesz tam do szkoły." A ja pytałem: „Po co mam wracać do Stanów, kiedy tam jest wszystko wywrócone do góry nogami?" "To zupełnie co innego" - odpowiadał i wołał kelnera, który liczył szklanki, i braliśmy wtedy taksówkę na dworzec St. Lazare, i jechaliśmy do Maisons. Któregoś dnia w Auteuil, po wyścigu z przeszkodami koni przeznaczonych na sprzedaż, mój stary kupił zwycięzcę tego biegu za trzydzieści tysięcy franków. Musiał się trochę potargować, nim go kupił, ale w końcu właściciel ustąpił, i w ciągu tygodnia ojciec miał pozwolenie na udział w biegach i własne barwy. Ojej, jaki byłem dumny, że mój stary jest właścicielem konia. Umówił się o miejsce w stajni z Charlesem Drake'em i już nie przyjeżdżał do Paryża. Znowu zaczął swoje poranne jazdy i pocenie się. On i ja stanowiliśmy całą obsługę stajni.

Nasz koń nazywał się Gilford - irlandzkiej rasy, dobry, łagodny skoczek. Mój stary uważał, że jak go sam ujeździ i potrenuje, to ta inwestycja się opłaci. Ja byłem bardzo z wszystkiego dumny i uważałem, że Gilford to równie dobry koń jak War Cloud. To był pierwszorzędny, pewny skoczek, kasztan, miał dobrą szybkość na płaskim, jeśli się tego od niego zażądało, i w ogóle ładny koń, jak na niego spojrzeć.

Tak, naprawdę przywiązałem się do Gilforda. Kiedy pierwszy raz mój ojciec jechał na nim w wyścigu na dwa i pół tysiąca metrów przez płotki, zajął trzecie miejsce. Gdy zsiadał w boksie, spocony i szczęśliwy, i szedł się ważyć, czułem się strasznie dumny, jak gdyby to był pierwszy wyścig, w którym mój stary brał udział. Bo widzicie: jeśli człowiek długo nie jeździ, to potem, kiedy znowu jeździ, trudno uwierzyć, że to nie jest pierwszy raz. Zresztą wszystko było teraz inaczej, bo w Mediolanie nawet największe biegi nie robiły ojcu różnicy. Gdy zwyciężył, to nie był wcale podniecony ani nic. A teraz to ja nie mogłem wcale spać całą noc przed wyścigiem i wiedziałem, że ojciec też jest podniecony jak nie wiem co, nawet jeśli tego nie okazuje. To wielka różnica, kiedy się jeździ dla siebie.

Po raz drugi ojciec jechał na Gilfordzie owej deszczowej niedzieli w Auteuil, w biegu o Prix Marat, cztery tysiące pięćset metrów z przeszkodami. Jak tylko wyjechał z padoku, poleciałem się przyglądać z trybuny. Miałem nową lornetkę, którą mi ojciec kupił. Start był daleko, po drugiej stronie toru. Na starcie zrobiło się zamieszanie, bo jakiś koń w okularach strasznie się rzucał, cofał, kręcił w kółko i rozbił nawet barierę. Ale ja dobrze widziałem mojego starego w czarnej kurtce z białym krzyżem i czarnej czapce. Siedział na Gilfordzie i klepał go. Potem wszyscy wystartowali całą gromadą i zniknęli za drzewami, i dzwon dzwonił jak na pożar, i słychać było grzechot zamykanych okienek kas. Jaki ja byłem podniecony, ojej! Bałem się spojrzeć na tor, ale nastawiłem lornetkę na miejsce, gdzie konie miały wyjść zza drzew i rzeczywiście wyszły, i czarna kurtka była trzecia, i konie płynęły ponad przeszkodami niby ptaki. Potem znowu zniknęły mi z oczu i dopiero je ujrzałem, jak zjeżdżały ze wzgórza, pięknie, gładko i lekko, i brały przeszkody całą gromadą, oddalając się od nas spory kawał. Dżokeje tak byli blisko siebie i tak równo jechali, że zdawało się, że można się przejść po ich grzbietach jak po równym. Potem się trochę rozsypali na wielkim podwójnym żywopłocie z rowem i ktoś spadł. Nie widziałem, kto to był, ale koń się zaraz podniósł i pogalopował samotnie. Jeźdźcy znowu się zbili w gromadę, wzięli lewy zakręt i wyszli na prostą. Po kamiennym murze jechali zwarciem na rów z woda, który znajdował się tuż przed trybunami. Widziałem, jak jadą, krzychałem do mojego starego, kiedy mnie mijał, a prowadził wtedy o jedną długość, jechał w posyle, lekko jak małpa, i wszyscy go gonili na ten rów. Przed żywopłotem zasłaniającym wodę

odbili się całą gromadą od ziemi i właśnie wtedy nastąpił wypadek; dwa konie jakoś się z tego po chwili wyśliznęły i poszły dalej, reszta zwała się na kupę. Nigdzie nie mogłem dostrzec ojca. Jeden koń stanął na kolana, jego dżok ujął uzdę, wsiadł i popędził, żeby chociaż dostać forszę za miejsce. Drugi koń też się podźwignął i pogalopował bez jeźdźca, między nogami plątała mu się uzda, a jego dżokej zataczając się zszedł na bok toru pod ogrodzenie. Potem zobaczyłem Gilforda; przetoczył się na bok, tuż koło ojca, wstał i zaczął biec na trzech nogach, a jego przednie lewe kopyto tak jakoś zwiślało.

Ojciec leżał na trawie, twarzą do góry, z boku całą głowę miał we krwi. Zbiegłem z trybuny, wpadłem w gęsty tłum ludzi, dopchałem się do ogrodzenia, ale złapał mnie policjant i trzymał, a dwóch wielkich sanitariuszy pobiegło z noszami do mojego ojca. Po drugiej stronie toru widziałem trzy konie wyciągnięte w sznur, akurat wychodziły spomiędzy drzew i szykowały się do skoku.

Mój stary już nie żył, kiedy go przynieśli. Gdy doktor szukał bicia serca takim czymś, co miał jednym końcem włożone do ucha, usłyszałem strzał na torze - właśnie zabili Gilforda. Zawisłem u tych noszy, jak je nieśli do ambulatorium, i płakałem, a ojciec leżał taki biały i taki już zupełnie nieżywy, i jakby nie on. Pomyślałem sobie, że skoro ojciec już nie żyje, to może nie potrzebowali zabijać Gilforda, może on by wydobrzeł. Sam nie wiem. Ja tak strasznie kochałem tatusia.

A potem przyszło dwóch gości i jeden z nich klepał mnie po plecach, a jak przestał, to podszedł do noszy i spojrzał na mojego starego, wziął prześcieradło z łóżka i przykrył mu twarz. A drugi gdzieś telefonował i mówił po francusku, żeby przysłano karetkę i zabrano ojca do Maisons. Nie mogłem powstrzymać płaczu, więc płakałem, aż się krztusiłem od płaczu i łzy mi leciały, i wszedł George Gardner, usiadł koło mnie na podłodze, objął mnie ramieniem i powiada:

- No, chodź, Joe, staruszk. Wstań i pójdziemy do bramy. Tam poczekamy na karetkę.

Więc wyszedłem z George'em do bramy i chciałem jakoś przestać płakać; George wytarł mi twarz swoją chusteczką i staliśmy tak nieco z boku. A z bramy wychodzili ludzie i dwóch facetów zatrzymało się koło nas, kiedyśmy czekali, żeby cały ten tłum sobie poszedł. I jeden z tych dwóch liczył stos biletów i powiedział:

- No, Butlerowi dostało się za swoje. A drugi facet odparł:

- A niech go cholera, parszywego kombinatora. Należało mu się za wszystko, co wyczyniał.

- To prawda, to prawda - zgodził się ten drugi i przedarł bilety, które trzymał, przez pół.

George Gardner spojrział na mnie, żeby zobaczyć, czy to słyszałem, a ja naturalnie słyszałem, i powiedział:

- Nie słuchaj, co te bydlaki mówią, Joe. Twój stary był wspaniały facet.

Ale ja nie wiem, bo w życiu tak jest, że jak się raz człowieka czepią, to już suchej nitki na nim nie zostawiają.

*Przełożył Jan Zakrzewski*

*Maera leżał nieruchomo, z głową na rękach, twarzą w piasku. Czuł się lepki i ciepły od krwi. Za każdym razem czuł zbliżające się uderzenie rogu. Czasem byk tylko grzmocił go łbem. Raz róg przeniknął na wylot i Maera poczuł, jak wbija się w piasek. Ktoś trzymał byka za ogon. Klęli na niego i potrząsali mu kapą przed pyskiem. A potem byka już nie było. Jacyś ludzie podnieśli Maerę i zaczęli z nim biec do b a r r e r y, potem przez bramę i dookoła przejściem pod trybunami do ambulatorium. Położyli Maerę na składanym łóżku i jeden z mężczyzn wyszedł po doktora. Reszta stała nad nim. Doktor przybiegł z c o r r a ł u, gdzie zeszywał konie pikadorów. Musiał się zatrzymać i umyć ręce. Nad nimi, na trybunach, rozlegały się głośne krzyki. Maerze wydało się, że wszystko rośnie i rośnie, a potem maleje i maleje. I znowu zaczęło rosnąć i rosnąć, a potem maleć i maleć. Wreszcie wszystko zaczęło sunąć coraz prędzej i prędzej, jak przyśpieszony film. A potem skonał.*

## RZKA DWÓCH SERC

### I

Odjeżdżający pociąg zniknął za jednym ze wzgórz pokrytych kikutami spalonych drzew. Nick usiadł na związanych w tobolek kocach i płótnie namiotowym, które kolejarz wyrzucił z wagonu bagażowego. Miasteczka nie było - nic, tylko tor kolejowy i wypalona okolica. Po trzynastu barach, które znajdowały się na jedynej ulicy Seney, nie zostało ani śladu. Fundamenty hotelu "Mansion House" sterczały nad ziemią. Kamień był wyszczerbiony i potrzaskany przez ogień. Tylko tyle zostało z Seney. Zgorzała nawet wierzchnia warstwa ziemi.

Nick popatrzał na osmalone wzgórza, na których spodziewał się ujrzeć rozproszone domki miasteczka, a potem ruszył torem kolejowym w stronę mostu na rzece. Rzeka płynęła jak dawniej. Kłębiła się wokół pali mostu. Nick spojrział w przezroczystą, brunatną wodę, która swą barwę brała od kamienistego dna, i dostrzegł pstrągi stojące z drgającymi płetwami w prądzie. Gdy na nie patrzył, zmieniały pozycję szybkim zakosem, tylko po to, by znowu znieruchomieć w , bystro płynącej wodzie. Nick obserwował je długo.

Widział, jak utrzymują się w miejscu, nosem pod prąd; było ich tam wiele w głębokiej, wartkiej rzece, a wydawały się lekko zniekształcone, kiedy patrzył poprzez szklista, wypukłą powierzchnię wody, która parła na mocno wbite w dno pale mostu i wzdymała się gładko dokoła nich.

Na dnie utworzonej w tym miejscu sadzawki widać było duże pstrągi. Nick nie zauważył ich zrazu. Potem dostrzegł je na dnie - wielkie sztuki, które zdawały się przywierać do kamienistego podłoża wśród lotnych kłębow żwiru i piasku, wzbijanych przez prąd.

Nick patrzył z mostu w wodę. Dzień był gorący. Nad rzeką przeleciał zimorodek. Wiele czasu minęło, odkąd Nick po raz ostatni patrzył w rzekę i widział pstrągi. Te były zupełnie niezłe. Kiedy cień zimorodka sunął po rzece, spory pstrąg śmignął ku powierzchni długim skosem, znaczone tylko przez jego własny cień, potem wyprysnąwszy nad wodę zagubił ów cień, błysnął w słońcu, a kiedy opadł na powrót w głąb rzeki, cień jakby spłynął bezwolnie z nurtem pod most, gdzie pstrąg znieruchomiał, zwrócony głową przeciw prądowi.

Nickowi zabiło serce, gdy pstrąg wyskoczył. Wróciło całe dawne uczucie.

Obejrzał się w dół rzeki. Płynęła po kamienistym dnie, pełna płycizn i wielkich głazów, tworząc głęboką sadzawkę w miejscu, gdzie zakrecała wokół podnóża skarpy.

Nick wrócił po podkładach tam, gdzie przy szynach leżały na żużlu jego rzeczy. Był szczęśliwy. Poprawił i mocno dociągnął rzemienie opasujące tłumok, zarzucił go sobie na plecy, przesunął ręce przez szelki i odciążył nieco ramiona zakładając na czoło szeroką taśmę pomocniczą. Ale i tak było mu za ciężko. O wiele za ciężko. Wziął skórzany futerał z wędkami i pochyliwszy się w przód, aby utrzymać brzemień plecaka wysoko na barkach, ruszył równoległą do toru drożyną pozostawiając za sobą w spiekocie spalone miasteczko.

Zza pagórka wyszedł na drogę, która między dwoma wysokimi, osmalonymi pożarem zboczami biegła dalej, w głąb kraju.

Szedł czując bolesny ciężar pakunku. Droga pięła się coraz wyżej. Marsz pod górę był ciężkim trudem. Mięśnie bolały Nicka, było gorąco, ale czuł się szczęśliwy. Czuł, że pozostawił za sobą wszystko: potrzebę myślenia, potrzebę pisania, inne potrzeby. Wszystko to zostało gdzieś w tyle.

Od chwili gdy wysiadł z pociągu, a bagażowy wyrzucił jego pakunek z wagonu, wszystko wydawało się inne. Seney było spalone, cała okolica spalona i zmieniona, ale to nie miało znaczenia. Wiedział, że nie mogło spłonąć wszystko. Wędrował drogą pocąc się w słońcu, wspinając się coraz wyżej, ażeby przejść pasmo wzgórz, które odgradzało linię kolejową od wyżyny porośniętej sosnami.

Droga niekiedy schodziła w dół, ale na ogół wznosiła się coraz wyżej. Nick szedł dalej. Nareszcie droga dotarła do szczytu biegnąc równoległe do osmalonego zbocza. Nick oparł się plecami o pień i wysliznął spomiędzy rzemieni. Jak okiem sięgnąć miał przed sobą równinę usianą sosnami. Wypalony teren kończył się w lewo na paśmie wzgórz. Z równiny wyrastały wysepki ciemnych sosen. Daleko po lewej ręce rysowała się linia rzeki. Nick przesunął po niej wzrokiem i dostrzegł lśnienie wody w słońcu.

Przed nim nie było nic prócz pokrytej kępami sosen równiny, która ciągnęła się aż po odległe błękitne pagórki, tworzące płaskowyż Jeziora Górnego. Ledwie je mógł dojrzeć ponad równiną. Jeżeli patrzył zbyt usilnie - znikaly. Ale gdy spojrział niejako mimochodem, ukazywały się znowu - dalekie stoki płaskowyżu.

Nick usiadł, oparł się o zwęglony pień i zapalił papierosa. Tobolek leżał równo na wierzchu pnia, widać było wgłębienie odcisnięte przez plecy Nicka, rzemienie zwisały gotowe do nałożenia. Nick siedział paląc i spoglądając na okolicę. Nie potrzebował wyjmować mapy. Wiedział, gdzie jest, orientując się według rzeki.

Kiedy tak palił wyciągnąwszy przed siebie nogi, zauważył konika polnego, który lał po ziemi, a potem wpełznął na jego wełnianą skarpetkę. Był czarny. Kiedy Nick szedł pod górę, wypłoszył z pyłu drogi wiele koników polnych. Wszystkie były czarne. Nie były to te

duże, z żółto-czarnymi albo czerwono - . - czarnymi skrzydełkami, trzepocącymi przy wzlocie swą czarną pokrywą, ale po prostu zwykłe koniki polne, tylko tyle, że wszystkie miały czarną barwę sadzy. Nicka zaciekawilo to, kiedy wędrował, ale właściwie nie myślał o nich. Teraz, patrząc na czarnego konika, który swą czworokątną wargą skubał wełnę skarpetki, zrozumiał, że one wszystkie szerniały wskutek przebywania w wypalanej okolicy. Uprzytomnił sobie, że pożar wybuchnął w ubiegłym roku, ale koniki polne wciąż jeszcze były całe czarne. Zastanowił się, jak długo takimi pozostaną.

Ostrożnie wyciągnął rękę i pochwycił owada za skrzydełka. Odwrócił go do góry, przebierającego w powietrzu wszystkimi nóżkami, i popatrzał na jego brzuch. Tak, był również czarny i mienił się tam, gdzie pył osiadł koło łebka i grzbietu.

- Idź sobie, koniku - powiedział odzywając się głośno po raz pierwszy. - Leć, gdzie chcesz.

Rzucił owada w powietrze i patrzył, jak ten poszybował ku zwęglonemu pniewi po drugiej stronie drogi.

Nick wstał. Podparł plecami ciężki tłumok, ustawiony pionowo na pniu, i przesunął rękę przez szelki. Z pakunkiem na plecach stał chwilę na szczycie wzgórza i patrzył w stronę dalekiej rzeki, a potem zaczął schodzić ze zbocza oddalając się od drogi. Ziemia pod stopami była miękka i szło się po niej dobrze. O dwieście jardów niżej na zboczu kończyła się strefa pożaru. Dalej rosły paprocie, w których brodziło się po kostki, i kępy sosen; okolica była rozległa, falista, z częstymi wzniesieniami i spadkami, pod stopą czuło się piasek, wszystko dokoła znów żyło.

Nick kierował się według słońca. Wiedział, w którym punkcie chce dojść do rzeki, szedł więc przez wyżynę, wspinając się na małe wzniesienia po to, by zaraz ujrzeć inne, a czasem ze szczytu któregoś z nich - wielką, gęstą wyspę sosen na prawo lub lewo. Ułamał kilka łodyg wrzosowatej paproci i wetknął je pod rzemienne szelki. Rzemienie rozgniotły liście i Nick idąc czuł ich zapach.

Był zmęczony i bardzo zgrzany wędrując przez nierówny, pozbawiony cienia teren. Wiedział, że skręciwszy w lewo natrafiłby zaraz na rzekę. Nie mogła być dalej niż o milę. Szedł jednak wciąż na północ, ażeby dotrzeć do rzeki w najwyższym punkcie, jaki zdoła osiągnąć w ciągu dnia marszu.

Już od jakiegoś czasu Nick widział jedną z dużych wysp sosen, sterczącą nad pofalowaną wyżyną. Zszedł w dół, a potem wstąpiwszy powoli na wzniesienie skręcił i ruszył ku sosnom.



Wysepka sosen nie miała podszycia. Pnie drzew śmigwały wprost w górę albo chyliły się ku sobie. Były proste, brunatne, огоłocone z gałęzi, które wyrastały dopiero wyżej. Niektóre splatały się razem, rzucając gęsty cień na brunatne podłoże. Wokoło była otwarta przestrzeń. Nick idąc czuł pod stopą coś miękkiego i brunatnego. Był to dywan opadłych igieł sięgający poza rozpiętość koron. Drzewa wybująły, gałęzie przesunęły się wyżej pozostawiając w słońcu tę nagą przestrzeń, którą niegdyś okrywały swym cieniem. Tuż za skrajem owego leśnego podłoża zaczynały się paprocie.

Nick zsunął z pleców tłumok i położył się w cieniu. Leżał na wznak i patrzył w górę, na korony sosen. Szyja, plecy i krzyż wypoczywały, gdy tak się wyciągnął. Przyjemnie było czuć pod plecami ziemię. Poprzez gałęzie spojrzął na niebo, a potem zamknął oczy. Otworzył je i popatrzał znowu. W górze wiatr poruszał konarami. Nick przymknął oczy i zasnął.

Obudził się zeszywniały i drętwy. Słońce już prawie zachodziło. Gdy zarzucił na plecy tobołek, wydał mu się ciężki; rzemienie uciskały boleśnie. Pochylił się z pakunkiem na plecach, podniósł skórzany futerał z wędkami, wyszedł spomiędzy sosen w kotlinę porośłą paprociami i ruszył ku rzece. Wiedział, że nie może być dalej niż o milę.

Po usianym pieńkami stoku pagórka zszedł na łąkę. Skrajem płynęła rzeka. Nick rad był, że już do niej dotarł. Szedł łąką w górę rzeki; spodnie przemokły mu od rosy; Po gorącym dniu rosa opadła szybko i obficie.

Rzeka płynęła cicho; była wartka i gładka. Zanim wspiał się na niewielkie wzniesienie, aby tam rozbić obóz, popatrzał ze skraju łąki na rzekę i wynurzające się pstrągi. Wypływały w pogoni za owadami, które po zachodzie słońca nadleciały tu z moczarów na drugim brzegu. Pstrągi wyskakiwały z wody, aby je chwycić. Nick, idąc wąskim pasmem łąki nad rzeką, widział, jak skakały wysoko. Owady musiały teraz siadać na powierzchni, bo spojrzawszy w dół rzeki widział, że pstrągi żerują na całej jej długości. Jak okiem sięgnąć, wypływały pozostawiając na wodzie kółka niby padający deszcz.

Zalesiony, piaszczysty teren wznosił się tutaj nad łąką, rzeką i bagnem. Nick położył tobołek i futerał z wędkami i poszukał wzrokiem płaskiego miejsca. Był bardzo głodny, a chciał rozbić obóz, nim weźmie się do gotowania. Zauważył kawałek zupełnie równej ziemi między dwiema sosnami. Wyjął z plecaka toporek i odrąbał dwa sterczące korzenie. W ten sposób powstało wystarczająco duże miejsce do spania. Ręką wyrównał piaszczysty grunt i wyrwał z korzonkami wszystkie kępy paproci. Dłonie przyjemnie nimi pachniały. Wygładził spulchnioną ziemię. Nie chciał, aby go coś uwierało przez koc. Kiedy już

wszystko wyrównał, rozpostarł swoje trzy koce. Jeden złożył podwójnie na spodzie. Dwa następne umieścił na nim.

Toporkiem odrąbał z pnia szczapę, którą połupał na kołki do namiotu. Zrobił długie i mocne, żeby dobrze trzymały się ziemi. Kiedy wyjął namiot i rozłożył go, toból oparty o sosnę zmalął wyraźnie. Nick uwiązał do jednej z sosen linkę, po czym drugim jej końcem podciągnął namiot w górę i przywiązał go do sąsiedniej sosny. Brezent zawisł na lince niby kołdra na sznurze do bielizny. Nick podparł go u drugiego czubka uciętym palikiem, po czym rozpostarł i przemienił w namiot przytwierdzając boki kołkami do ziemi. Naciągnął dobrze brezent, kołki wbił głęboko obuchem siekiery, aż węzły uwiązanej na nich linki schowały się w ziemi, a materiał napiął się jak bęben.

W otwartym włazie namiotu zawiesił gazę dla ochrony przed komarami. Wpełznął do środka pod tą moskitierą niosąc wyjęte z worka różne przedmioty, które chciał poukładać w głowach posłania, pod nachyloną ścianką namiotu. Światło przenikało do wnętrza poprzez brązowy materiał. Pachniało tu przyjemnie brezentem. Od razu czuło się coś tajemniczego i domowego.

Nickowi było dobrze tam w środku. Zresztą i przez cały dzień nie było mu źle, ale tu chodziło o coś innego. Teraz już zrobił, co należało. A trzeba było to zrobić. Teraz już zrobione. Podróż była ciężka. Czuł się bardzo zmęczony. Załatwione. Założył obóz. Urządził się. Nic nie mogło mu się stać. Obrął dobre miejsce na obóz. Znajdował się tu, w tym dobrym miejscu. W swoim domu, tam gdzie go założył. Poczul głód.

Wyczołgał się pod gazą. Na zewnątrz panowały zupełne ciemności. W namiocie było widniej.

Nick podszedł do tobołka i palcami wymacał na jego dnie długi gwóźdź w papierowej torebce z gwoździami. Wbił go w sosnę, trzymając mocno i uderzając lekko obuchem siekiery. Na gwoździu zawiesił worek. Znajdowały się w nim wszystkie zapasy; teraz już nie leżały na ziemi i były zabezpieczone.

Nick był głodny. Tak głodny jak chyba jeszcze nigdy. Otworzył puszkę wieprzowiny z fasolką i drugą z makaronem i wyłożył zawartość na patelnię. - Mam prawo jeść takie rzeczy, jeżeli mi się chce je nosić - powiedział. Głos jego dziwnie zabrzmiał w zapadających ciemnościach leśnych. Nie odezwał się więcej.

Rozniecił ognisko ze szczapek sośniny, które odłupał toporkiem z pieńka. Na ogniu postawił druczany ruszt wepchnąwszy butem w ziemię jego cztery nóżki. Na ruszcie umieścił nad płomieniem patelnię. Był coraz bardziej głodny. Fasolka z makaronem grzała się. Nick zamieszał ją. Zaczęła kipieć; małe banieczki powietrza dobywały się z trudem na

wierzch. Rozszedł się smakowity zapach. Nick wyjął butelkę sosu pomidorowego i ukrajał cztery kawałki chleba. Małe banieczki wydobywały się coraz szybciej.

Usiadł przy ognisku i zdjął z rusztu patelnię. Przełożył około połowy jej zawartości na blaszany talerz. Z wolna rozlała się na nim. Nick wiedział, że jedzenie jest za gorące. Dolał trochę sosu pomidorowego, ale fasola z makaronem była jeszcze za ciepła. Spojrzał na ogień, potem na namiot; nie miał zamiaru popsuć wszystkiego parząc sobie język.

Przez całe lata nie doceniał smaku przysmażanych bananów, bo nigdy nie mógł się doczekać, żeby wystygły. Język miał ogromnie wrażliwy.

Był bardzo głodny. Zauważył, że po drugiej stronie rzeki, prawie w zupełnym mroku, wstaje nad moczarami mgła. Raz jeszcze spojrzał na namiot. W porządku. Nabrał pełną łyżką z talerza.

- O rany - powiedział. - O rany - powtórzył z satysfakcją.

Zjadł cały talerz, zanim przypomniał sobie o chlebie. Drugi talerz wytarł chlebem do połysku. Nie miał nic w ustach, odkąd w bufecie na stacji St. Ignace zjadł bułkę z szynką i wypił filiżankę kawy. Wspaniałe to było. Już przedtem odczuwał taki głód, ale nie miał okazji go zaspokoić. Gdyby chciał, mógł rozbić obóz już wiele godzin temu. Nad rzeką znalazłoby się dużo dobrych miejsc. Ale tak właśnie było wspaniałe.

Wsunął dwie spore drzazgi pod ruszt. Ogień rozpalił się. Nick zapomniał przynieść wody na kawę. Wyjął z plecaka składane wiadro brezentowe i zszedł ze zbocza, a potem skrajem łąki nad rzekę. Drugi brzeg przesłaniały białe opary. Nick poczuł, że trawa jest wilgotna i zimna, gdy ukląkł i zanurzył brezentowe wiadro w wodzie. Wybrzuszyło się i poczęło silnie ciągnąć z prądem. Woda była lodowata. Nick wypłukał wiadro, napełnił je i zaniósł do obozu. Z dala od rzeki nie było tak zimno.

Wbił jeszcze jeden gwóźdź w drzewo i zawiesił wiadro z wodą. Zanurzył w niej garnek do kawy, napełnił go do połowy, wsunął nowe drzazgi pod ruszt i ustawił na nim garnek. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się przyrządza kawę. Pamiętał spór na ten temat z Hopkinsem, ale nie wiedział już, jakie wtedy zajął stanowisko.

Postanowił kawę zagotować. Przypomniał sobie teraz, że taka była metoda Hopkinsa. Niegdyś spierał się z Hopkinsem o wszystko. Czekał, aż kawa się zagotuje, otworzył małą puszkę moreli. Lubił otwierać puszki. Wlał zawartość do blaszanego kubka. Przypatrując się kawie stojącej na ogniu, zaczął pić sok morelowy, zrazu ostrożnie, ażeby go nie rozlać, a potem jakby w zamyśleniu, wsysając morele. Smakowały lepiej niż świeże.

Kawa zagotowała się. Pokrywka podskoczyła, a plyn i fusy spłynęły po ścianie garnka. Nick zdjął go z rusztu. To był triumf Hopkinsa. Wsypał cukru do pustego

kubka po morelach i nalał trochę kawy, aby wystygła. Jeszcze była za gorąca, więc ucho garnka trzymał przez kapelusz. Nie chciał, żeby się naparzyła w garnku. Przynajmniej nie pierwsza porcja; powinna być od początku do końca zrobiona według przepisu Hopkinsa.

Ten Hop na to zasługiwał. Był naprawdę poważnym kawiarzem. W ogóle najpoważniejszym człowiekiem, jakiego Nick znał. Nie ociążałym, poważnym. To było już dawno temu. Hopkins mówił nie poruszając wargami. Grywał w polo. Zarobił miliony dolarów w Teksasie. A musiał pożyczyć pieniądze na przejazd do Chicago, kiedy przyszła depesza, że jego pierwszy wielki szyb działa. Mógł zatelegrafować po pieniądze, ale to by za długo trwało. Dziewczynę Hopa nazywano "Blond Wenus", ale on nie miał tego za złe, bo to nie była naprawdę jego dziewczyna. Twierdził, że nikt nie wyśmiewałby się z jego prawdziwej dziewczyny. Miał rację. Wyjechał, kiedy przyszła depesza. To było nad Czarną Rzeką. Telegram szedł aż osiem dni. Hopkins oddał Nickowi swego automatycznego Colta. Aparat fotograficzny podarował Billowi. Żeby go zawsze wspominali. Następnego lata mieli się wszyscy znów wybrać na ryby. Hopowi nie brakowało pomysłów. Obiecywał sobie, że kupi jacht i że popływają razem wzdłuż brzegów Jeziora Górnego. Był podniecony, ale poważny. Pożegnali się i wszystkim zrobiło się przykro, bo to im psuło wycieczkę. Nigdy więcej nie zobaczyli Hopkinsa. To było dawno temu nad Czarną Rzeką.

Nick wypił kawę, kawę przyrządzoną według Hopkinsa. Była gorzka. Nick roześmiał się; to dobre zakończenie całej historii. Różne myśli zaczynały mu się cisnąć do głowy, ale wiedział, że zdoła je stłumić, bo był dostatecznie zmęczony. Wylał kawę z garnka i wytrząsnął fusy w ogień. Zapalił papierosa i wszedł do namiotu. Siedząc na kocu rozebrał się i zdjął buty, zawinął je w spodnie, ażeby zrobić sobie zagłówek, i wsunął się pod koc.

Przez właz namiotu patrzył na blask ognia podsycanego nocnym wiatrem. Noc była spokojna; na bagnach panowała zupełna cisza. Nick wyciągnął się wygodnie pod kocem. Koło ucha zabrzączał mu komar. Nick siadł i potarł zapałkę. Komar łąził po płótnie nad jego głową. Nick szybko przysunął zapałkę, a komar zaskwierczał w płomieniu. Zapałka zgasła, a Nick położył się znowu i nakrył kocem. Obrócił się na bok i zamknął oczy. Był śpiący i czuł, że sen już nadchodzi. Skulił się pod kocem i zasnął.

*Wieszali Sama Cardinellę o szóstej rano w korytarzu okręgowego więzienia. Korytarz był wysoki i wąski, z rzędami cel po obu stronach. Wszystkie cele były zajęte. Przeprowadzili tam ludzi, których mieli powiesić. Pięciu skazanych na powieszenie było w pięciu dalszych celach. Trzej z nich byli Murzynami. Bali się bardzo. Jeden z białych*

siedział na pryczy, z twarzą ukrytą w dłoniach. Drugi leżał wyciągnięty na swej pryczy, z głową owiniętą kocem.

Weszli na szubienicę przez drzwi w murze. Było ich siedmiu razem z dwoma księżmi. Nieśli Sama Cardinellę. Był w takim stanie od jakiejś czwartej nad ranem.

Kiedy wiązano mu nogi, podtrzymywali go dwaj strażnicy, a obaj księża coś do niego szeptali.

- Bądź mężczyzną, mój synu - powiedział jeden z księży.

Kiedy podeszli do niego z kapturem, który mieli założyć mu na głowę, Sam Cardinella stracił panowanie nad swoim zwieraczem. Podtrzymujący Sama strażnicy puścili go. Obaj byli pełni obrzydzenia.

- Może by tak krzesło, Willu? - zapytał jeden ze strażników.

- Lepiej przynieś - odpowiedział mężczyzna w meloniku.

Kiedy wszyscy na szafocie cofnęli się od zapadni, która była bardzo ciężka, sporządzona z dębu i stali, i chodziła na łożyskach kulkowych, został na niej Sam Cardinella przykrępowany do krzesła, i młodszy z dwóch księży, który klęczał obok. Ksiądz odskoczył na szafot w ostatniej chwili przed otwarciem się zapadni.

## II

Kiedy się zbudził, słońce już wzeszło i namiot zaczynał się nagrzewać. Nick wypełznął na zewnątrz pod zasłaniającą wyjście moskitierą, ażeby obejrzeć poranek. Kiedy się czołgał niosąc spodnie i buty, czuł pod dłońmi wilgotną trawę. Słońce właśnie wyszło zza wzgórza. Przed sobą miał łąkę, rzekę i bagna. Na zielonych moczarach pod drugiej stronie rzeki rosły brzozy.

Był wczesny poranek, rzeka płynęła wartko, czysta i gładka. Około dwustu jardów dalej leżały w poprzek niej trzy pnie drzewne. Powyżej woda była lśniąca i głęboka. Kiedy Nick patrzył, wydra przebiegła po kłodach przez rzekę i zniknęła na moczarach.

Nick czuł podniecenie. Podniecał go ten wczesny poranek i rzeka. Doprawdy zbyt mu się spieszyło, aby szykować śniadanie, ale wiedział, że musi coś zjeść. Rozpalił małe ognisko i postawił na nim garnek do kawy.

Podczas gdy woda się grzała, wziął pustą butelkę i zszedł ze wzniesienia na łąkę. Była mokra od rosy, a Nick chciał nałapać koników polnych na przynętę, nim słońce trawę osuszy. Znalazł całe mnóstwo dobrych koników; siedziały w trawie, tu i ówdzie czepiały się jej łodyżek. Były zziębnięte i przemoczone od rosy i nie mogły skakać, póki ich nie rozgrzało słońce. Nick zbierał tylko te średnie, brązowe i wpuszczał je do butelki. Dźwignął jakąś kłodę i pod nią, zaraz z brzegu, znalazł kilkaset koników polnych. Był to niejako ich hotel, Nick wsadził do butelki około pięćdziesięciu brązowych. Gdy je wybierał, inne rozgrzewały się w słońcu i zaczynały odskakiwać. Skacząc unosiły się w powietrzu. Z początku dawały tylko jednego susa, po którym przysiadaly bez ruchu jak martwe.

Nick wiedział, że zanim skończy śniadanie, będą już rześkie jak zwykle. Gdyby nie rosa na trawie, musiałyby je łapać cały dzień, aby uzbierać pełną butelkę, i rozgniótłby wiele owadów uderzając je kapeluszem.

Obmył ręce w rzece. Jej bliskość wprawiała go w podniecenie. Potem poszedł do namiotu. Koniki polne skakały już sztywno w trawie. W butelce, rozgrzane słońcem, skakały całą ciżbą. Nick zatkał butelkę sosnowym kóleczkim. Zamykał on szyjkę na tyle, że koniki nie mogły się wydostać na zewnątrz, a przy tym pozostawiał wystarczający dopływ powietrza.

Nick przetoczył kłodę z powrotem na miejsce; wiedział już, że każdego rana znajdzie pod nią koniki polne.

Oparł o pień sosny butelkę pełną podskakujących owadów. Szybko zalał wodą kubek mąki hreczanej. Do garnka wsypał garść kawy, wyłowił z puszki kawałek tłuszczu i rzucił go

na gorącą patelnię. Następnie wylał ostrożnie hreczaną papkę na dymiącą patelnię, na której rozplynęła się niczym lawa, a tłuszcz bryzgnął gwałtownie. Ciasto zaczęło twardnieć po brzegach, potem przyrumieniło się i nabrało kruchości. Na powierzchnię z wolna występowały pęcherzyki powietrza tworząc w niej pory. Nick podważył przyrumieniony spód ciasta świeżą drzazgą sosnową. Potrząsnął bokiem patelni i ciasto oderwało się od jej dna. "Tak go nie będę przerzucał" - pomyślał. Przesunął czystym drewnikiem pod całym spodem i wtedy przerzucił ciasto odwrotną stroną do góry. Zaskwierczało na patelni.

Gdy było gotowe, Nick na nowo wysmarował tłuszczem patelnię. Zużył całą papkę. Zrobił z niej jeszcze jeden duży i jeden mniejszy naleśnik.

Zjadł oba, posmarowane jabłkową marmoladą. Nałożył jej na trzeci, zwinął go dwukrotnie i zapakowawszy w papier pergaminowy wsadził do kieszeni koszuli. Schował do worka słoik z marmoladą i ukrajał chleba na dwa sandwicze.

W worku znalazł dużą cebulę. Przekrajał ją na pół i obrał z jedwabistej skórki. Następnie jedną połowę pociął na plasterki i przyrządził sobie kanapki z cebulą. Zawinął je także w pergamin i wsunął do drugiej kieszeni swojej koszuli barwy khaki. Patelnię położył na ruszcie dnem do góry, wypił kawę, słodką i żółto-brunatną od skondensowanego mleka, po czym zrobił porządek w obozie. Dobry był ten obóz.

Nick wyjął ze skórzanego futerału wędkę muchową, złożył ją i wsunął futerał na powrót do namiotu. Przymocował kołowrotek i przewiół linkę przez przelotki. Musiał przekładać ją z ręki do ręki, gdyż inaczej wysunęłaby się na powrót własnym ciężarem. Była to ciężka, z obu końców zwężona muchówka. Nick dawno temu zapłacił za nią osiem dolarów. Sporządzono ją w ten sposób dlatego, aby dobrze podrywała się w powietrze i spadała na płask ciężko i prosto, umożliwiając zarzucenie muszki nie mającej własnej wagi.

Nick otworzył aluminiowe pudełko z przyponami. Leżały tam zwinięte między wilgotnymi podkładkami z flaneli. Nick zwilżył podkładki w wodzie z chłodnicy jadąc pociągiem do St. Ignace. Przypony ze struny zmiękły na mokrych podkładkach i Nick rozwinął jeden i przywiązał go pętlą do końca ciężkiej muchówki. Do przyponu przytwierdził haczyk; był on niewielki, bardzo cienki i sprężysty.

Nick siedząc i trzymając wędkę w poprzek kolan wyjął go z książeczki z haczykami. Sprawdził węzeł i elastyczność wędki napinając mocno linkę. Było to przyjemne uczucie. Uważał, żeby nie skaleczyć się haczykiem w palec.

Ruszył w dół rzeki trzymając wędkę, z butelką pełną koników polnych zawieszoną na szyi za pomocą rzemyka zawiązanego w węzły. U pasa zwisała mu na haczyku siatka do podrywania ryb. Przez ramię miał przerzucony długi worek od mąki związany w każdym

rogu w ucho. Sznurek biegł mu przez ramię, a worek obijał się o nogi. Obwieszony całym tym ekwipunkiem, Nick czuł się trochę nieporadny, ale i jakoś zawodowo dumny.

Butelka z konikami polnymi kołysała mu się na piersi. Przez koszulę uwierały go umieszczone w kieszeniach sandwicze i książeczka z muszkami.

Zszedł do rzeki. Doznał lekkiego wstrząsu. Spodnie przyłgnęły mu do nóg. Pod butami czuł żwir. Zdrętwiał cały od zimnej wody.

Rwący prąd przysysał mu się do nóg. Tam gdzie Nick wszedł do rzeki, woda sięgała powyżej kolan. Zaczął brodzić z biegiem nurtu. Kamyki usuwały mu się spod stóp. Spojrzał na wiry wodne, tworzące się za jego nogami, i przechylił butelkę, aby z niej wyjąć konika polnego.

Pierwszy dał susa przez szyjkę butelki i skoczył do wody. Wessał go wir za prawą nogą Nicka; wynurzył się na powierzchnię dopiero nieco dalej w dół rzeki. Płynął bystro, przebierając nóżkami. Zniknął w małym szybkim kręgu, który zmarszczył gładką powierzchnię wody. Chwycił go pstrąg.

Drugi konik wytknął pyszczek z butelki. Jego czułki drgały. Wysunął przednie nóżki, ażeby skoczyć. Nick ujął go za łepkę i przytrzymał palcami, przewlókł mu cienki haczyk pod żuchwą, wskroś tułowia, i wbił go w ostatnie segmenty brzucha. Konik polny chwycił haczyk przednimi nóżkami plując nań sokiem tytoniowym. Nick cisnął go do wody.

Trzymając wędkę prawą ręką wypuścił linkę wleczoną przez konika unoszonego prądem. Lewą ręką wyciągnął ją z kołowrotka i pozwolił jej się odwijać. Widział konika polnego wśród drobnych fal nurtu. Niebawem owad zniknął mu z oczu.

Coś szarpnęło za linkę. Nick poderwał ją. Była napięta; pierwsza ryba wzięła. Trzymając w poprzek prądu wędkę, która teraz ożyła, zwinął linkę lewą ręką. Wędka zginała się i odginała raptownie; pstrąg szamotał się w nurcie.

Nick wiedział, że to jakaś mała sztuka; poderwał wędkę prosto w powietrze. Wygięła się od tego szarpnięcia.

Widział, jak pstrąg głową i całym ciałem tarł linkę przebiegającą w wodzie zmiennym skosem.

Nick ujął ją lewą ręką i wyciągnął na powierzchnię pstrąga szamoczącego się z prądem coraz słabiej. Cętkowany grzbiet ryby miał czystą barwę wody przepływającej nad kamykami, a bok zalśnił w słońcu. Trzymając wędkę pod prawą pachą Nick schylił się i zanurzył prawą dłoń w wodzie. Przytrzymał tą mokrą dłonią pstrąga, który ani na chwilę nie przestał się wyrywać, wyjął mu hak z pyska, po czym wrzucił rybę na powrót do rzeki.



Na chwilę pstrąg zawisł niepewnie w prądzie, po czym osunął się w dół i spoczął na dnie obok kamienia. Nick zanurzył rękę po łokieć, aby go dotknąć. Pstrąg leżał na żwirze przy kamieniu, nieruchomy w płynącej wodzie. Kiedy Nick dotknął go palcami, czując jego zimną, podwodną gładkość, pstrąg zniknął mignawszy cieniem po dnie.

"Nic mu się nie stało - pomyślał Nick. - Był tylko zmęczony."

Nim dotknął pstrąga, zwilżył dłoń, ażeby nie zetrzeć pokrywającego rybę delikatnego śluzu. Jeśli dotknęło się pstrąga suchą ręką, odsłonięte miejsce atakował potem biały grzybek. Przed laty chwytając ryby w zbyt tłumnie nawiedzanych potokach, gdzie miał przed i za sobą wędkarzy łowiących na muszki, Nick coraz to natrafiał na martwe pstrągi, okryte kożuchem białego grzyba, zniesione prądem pod jakąś skałę lub pływające brzuchem do góry na spokojnej wodzie. Nick nie lubił łowić w rzece razem z innymi. Jeżeli byli to obcy, psuli mu całą przyjemność.

Brnąc w prądzie powyżej kolan przeszedł pięćdziesiąt jardów płycizny za pniami drzewnymi, co przegradzały rzekę. Nie założył nowej przynęty na haczyk i brodząc niósł wędkę w ręku. Pewien był, że na płyciznie mógłby nałapać małych pstrągów, ale takich nie chciał. A o tej porze dnia nie mogło tu być dużych.

Wtem zimna woda sięgnęła mu raptownie aż do uda. Przed nim, powyżej pni, które tamowały jej spływ, była gładka, lśniąca i ciemna; po lewej był dolny skraj łąki, po prawej moczary.

Nick pochylił się, aby stawić opór prądowi, i wyjął z butelki konika. Nadział go na haczyk i splunął na niego na szczęście. Potem wyciągnął z kołowrotka kilka jardów linki i cisnął konika daleko przed siebie, w bystrą, ciemną wodę. Owad spłynął ku pniom, po czym ciężar linki wciągnął przynętę pod powierzchnię. Nick trzymał wędkę prawą ręką, pozwalając lince sunąć między palcami.

Poczuł długie ciągnięcie. Szarpnął, a wędka, nagle ożywiona i groźna, zgięła się we dwoje, linka zaczęła się napinać i wynurzać z wody naprężając się coraz bardziej, ciągnięta równo, ciężko, niebezpiecznie. Nick wyczuł moment, kiedy przypon był już bliski pęknięcia, i wypuścił linkę.

Kołowrotek zawarczał metalicznie, gdy linka wylatywała. Za szybko. Nick nie mógł jej zatrzymać, wylatywała dalej, a kołowrotek terkotał coraz cienie.

Gdy ukazał się już jego trzpień, serce zamarło w Nicku z podniecenia. Odchylił się w tył stawiając opór prądowi, który lodowato wspinał mu się do ud. Nick zatrzymał kołowrotek lewą ręką. Z trudnością wsunął duży palec w jeden z otworów na jego bocznej ścianie.

Kiedy przycisnął mocniej, linka nagle wyprężyla się twardo, a za pniami olbrzymi pstrąg wyskoczył wysoko nad wodę. W tejże chwili Nick opuścił koniec wędki. Jednakże opuszczając go, aby zmniejszyć napięcie, wyczuł chwilę, gdy było ono za wielkie, a twardość zbyt wyraźna. No, oczywiście: pękł przypon. Nie mogło być żadnej wątpliwości; linka utraciła całą elastyczność, stała się sucha i twarda. A potem luźno zwisała.

Zgnębiony, czując suchość w ustach, Nick począł nawijać linkę na kołowrotek. Nigdy jeszcze nie widział tak ogromnego pstrąga. Poczul ciężar, jakąś niepowstrzymaną siłę, a potem ujrzał wyskakującą rybę w całej jej wielkości. Wydawała się duża jak łosoś. Nickowi drżała ręka. Nawijał powoli. Wrażenie było zbyt silne. Zrobiło mu się jakby odrobinę słabo, miał chęć usiąść gdzieś na chwilę.

Przypon pękł w miejscu, gdzie był umocowany haczyk. Nick pochwycił go. Myślał o pstrągu ukrytym na dnie, leżącym nieruchomo na żwirze głęboko poza zasięgiem światła, pod pniami drzewnymi, z hakiem w szczęce. Nick wiedział, że zęby pstrąga przetną żyłkę, na której umocowany był haczyk, i że ten utkwil mu w szczęce. Domyślał się, że pstrąg jest rozłuszczony. Każde tak duże stworzenie byłoby złe na jego miejscu. To dopiero pstrąg! Hak wczepił się w niego twardo. Twardo jak skała. I on też czul się jak skała, nim zaczął uciekać. "Boże, ależ był wielki! Największy, o jakim slyszalem."

Nick wydrapał się na brzeg i przystanął; woda ściekała mu ze spodni, wylewała się z butów, w których chlupotało. Podszedł do leżących kłoców i usiadł. Chciał odzyskać panowanie nad sobą.

Poruszył palcami stóp w wodzie wypełniającej buty i wyjął papierosa z kieszeni koszuli. Zapalił go i cisnął zapalkę w wodę płynącą wartko za pniami. Kiedy zapalka okręciła się w bystrym prądzie, podpłynął do niej malutki pstrąg. Nick roześmiał się. Trzeba dopalić papierosa.

Siedział na kłocu, palił, suszył się w słońcu, które grzało mu plecy, przyglądał się rzece płytkiej w miejscu, gdzie zakosem wpływała w las, patrzył na mielizny, migotanie światła, wielkie, wygładzone przez wodę skały, na cedry i białe brzozy rosnące wzdłuż brzegu, na kłocce nagrzone słońcem, gładkie pod dotknięciem, szare i odarte z kory - i rozczarowanie z wolna go opuszczało. Odeszło powoli to uczucie zawodu, co zjawilo się nagle po dreszczu podniecenia, od którego zabolaly go ramiona. Teraz już wszystko było w porządku. Wędka leżała na kłocach, a Nick przywiązał nowy haczyk do przyponu, dociągając żyłkę, póki nie zacisnęła się w twardy węzeł.

Założył przynętę, podniósł wędkę i poszedł na koniec kłoca, chcąc zejść do wody tam, gdzie nie była zbyt głęboka. Z obu stron leżących w rzece pni utworzyła się sadzawka. Przez mieliznę pod bagnistym brzegiem Nick zszedł do płytkiego koryta rzeki.

Po lewej ręce, w miejscu gdzie kończyła się łąka, a zaczynały lasy, leżał wielki wiąz, wyrwany z korzeniami. Obalony przez burzę upadł w las, a korzenie, oblepione ziemią i obrosłe trawą, piętrzyły się niby skarpa nad wodą. Rzeka płynęła tuż pod wyrwanym drzewem. Z miejsca, gdzie Nick stał, widać było głębokie kanały, jakby wyżłobienia wymyte przez wartki prąd w jej płytkim łożysku. I tu, i dalej pełna była kamieni i głazów; tam gdzie skręcała obok korzeni drzewa, dno miała marglowe, a między głębokimi wyżłobieniami chwiały się w prądzie zielone łodyżki wodorostów.

Nick zamachnął się wędką przez ramię, a linka z konikiem polnym spadła łukiem na jeden z głębokich kanałów, między wodorosty. Owada pochwycił pstrąg, a Nick szarpnął wędkę.

Wyciągnął ją daleko przed siebie ku obalonemu drzewu i brodząc tyłem w prądzie zaczął holować targającego wygiętą, rozedrganą wędką pstrąga na środek rzeki, gdzie nie groziło już wplątanie się w wodorosty. Trzymając wędkę drgającą od prądu, Nick przyciągnął rybę. Rzuciła się, ale zbliżała wciąż, wędka poddawała się jej skokom, niekiedy kryła się pod wodę, ale przyciągała ją stale. Nick uszedł kawałek drogi w dół rzeki i trzymając wędkę wysoko nad głową naprowadził pstrąga nad siatkę, którą następnie poderwał.

Pstrąg ciężko zwisał w oczkach siatki, grzbiet miał cetkowany, boki srebrzyste. Nick zdjął rybę z haczyka; była ciężka, przyjemna w dotknięciu, szczękę miała dużą, wysuniętą. Miotła się i wyslizgiwała, kiedy Nick wpuszczał ją do długiego worka, który zwisał mu z ramion aż do wody.

Rozciągnął wylot worka i nadstawił go pod prąd, a worek wypełnił się, ciężki od wody. Nick przytrzymał go dnem w rzece, a woda zaczęła wylewać się bokami. Na dnie worka, w wodzie, leżał duży, żywy pstrąg.

Nick ruszył w dół rzeki. Worek osunął się ciężko w wodę, aż Nicka zaboląły ramiona. Robiło się gorąco: słońce piekło go w kark.

Miał już jednego dobrego pstrąga. Nie zależało mu na tym, aby ich złowić wiele. W tym miejscu rzeka była płytka i szeroka. Na obu brzegach rosły drzewa. Te z lewego brzegu rzucały w przedpołudniowym słońcu krótkie cienie na wodę. Po południu, kiedy słońce przesunie się ku wzgórzom, pstrągi będą siedziały w chłodnym cieniu po drugiej stronie.

Największe usadowią się tuż przy brzegu. Na Czarnej Rzece można je było zawsze tam znaleźć. Po zachodzie słońca wszystkie wpływały w prąd. W momencie kiedy słońce zachodząc rzucało na wodę oślepiający blask, mogłeś w pierwszym lepszym punkcie nurtu schwytać dużego pstrąga. Ale łowienie było wtedy prawie niemożliwe, gdyż powierzchnia wody oślepiała niczym lustro w słońcu. Oczywiście można było łowić idąc w górę rzeki, ale na takiej jak Czarna albo ta trzeba brnąć pod prąd, a wtedy w głębokich miejscach woda zalewa człowieka. Nie jest przyjemnie łowić idąc w górę rzeki przy tak silnym prądzie.

Nick szedł przez płyciznę wypatrując na brzegach głębokich rozpadlin. Tuż nad rzeką rósł buk, którego gałęzie zwisały do samej wody. Nurt wpływał pod liście; w takich miejscach zawsze trafiały się pstrągi.

Nick nie miał wielkiej chęci łowić w owym dole. Był pewien, że zaplątałby się w gałęzie.

Jednakże dół wydawał się głęboki. Nick spuścił w wodę konika polnego, którego pod zwisającą gałęzią wessał prąd. Linka napięła się mocno, a Nick pociągnął. Pstrąg targnął się gwałtownie do połowy wynurzony z wody między liśćmi i gałązkami. Linka zahaczyła o coś. Nick szarpnął mocno, a wtedy pstrąg się oderwał. Nick zwinął linkę i trzymając haczyk w ręce poszedł w dół rzeki.

Dalej, przy lewym brzegu, leżał wielki pień drzewny. Nick zauważył, że jest wydrążony; leżał wzdłuż prądu, który wpływał weń swobodnie, tylko woda marszczyła się z lekka po obu końcach. Było tam głębiej. Wierzch wydrążonego pnia był suchy, popielaty, częściowo ukryty w cieniu.

Nick wyjął z butelki zatyczkę, do której przywarł konik polny. Zdjął go, założył na haczyk i rzucił do wody. Wyciągnął wędkę daleko przed siebie, tak aby konik znalazł się w prądzie, który wpływał do wydrążonego pnia. Nick opuścił wędkę i owad wpłynął do środka. Nastąpiło silne szarpnięcie, Nick pociągnął naprężoną wędkę. Gdyby nie żywe jej drganie, można by pomyśleć, że zaczepiła się haczykiem o sam pień. Popróbował wciągnąć rybę w prąd. Wypłynęła ciężko z wnętrza pnia.

Linka zwisała i Nick już myślał, że pstrąg uciekł. A potem ujrzał go całkiem blisko, szarpiącego głową, próbującego uwolnić się od haczyka. Pysk miał silnie zaciśnięty. Szamotał się z haczykiem w przezroczystym, wartkim nurcie.

Przyciągnąwszy linkę lewą ręką, Nick ruchem wędki napiął ją i spróbował naprowadzić pstrąga na siatkę, ale ten zniknął mu z oczu, tylko linka wciąż drgała. Nick przytrzymał go stawiając opór prądowi, a ryba miotła się na wędce. Przełożył wędkę do lewej ręki, podciągnął pstrąga w górę rzeki, czując jego ciężar, a potem wpuścił go do

siatki. Poderwał z wody pstrąga, ciężkiego, zwiniętego w półkole w ociekającej wodą siatce, zdjął go z haczyka i wpuścił do worka.

Rozsunął worek i spojrzał na dwa duże pstrągi poruszające się w wodzie.

Przez coraz głębszy nurt Nick pobrnął do wydrążonego pnia. Zdjął przez głowę worek, w którym pstrągi zaczęły się rzucać, kiedy go podniósł nad wodę, po czym zawiesił go tak, aby dobrze się zanurzyły. Następnie wciągnął się na pień i usiadł; woda ze spodni i butów ściekała do rzeki. Odłożył wędkę, przesunął się w cień, na koniec pnia, i wydobyl z kieszeni sandwicze. Umoczył je w zimnej wodzie. Prąd porwał okruszyny. Nick zjadł sandwicze i zaczerpnął w kapelusz wody, która przeciekała na wylot szybciej, niż nadażał pić.

W cieniu na pniu było chłodno. Wyjął papierosa i potarł zapalnik o pień. Werżnęła się w szare drzewo pozostawiając małe wyżłobienie. Nick przechylił się przez pień, wyszukał twarde miejsce i zapalił zapalnik. Siedział zaciągając się dymem z papierosa i patrzył na rzekę.

Nieco dalej zwężała się i wpływała między moczary. Była tu gładsza, głębsza, a bagna wydawały się lądem stałym, gdyż rosły na nich gęsto cedry, których gałęzie splatały się z sobą. Niepodobna byłoby przejść przez takie bagno; gałęzie wyrastały za nisko. Trzeba by nieomal pełzać, aby móc się w ogóle poruszać. Nikt by się nie przedarł przez taki gąszcz. "Pewno dlatego żyjące na bagnach zwierzęta mają taką właśnie budowę" - pomyślał Nick.

Żałował, że nie wziął nic do czytania. Miał chęć poczytać. Nie chciało mu się włączyć w moczary. Spojrzał na rzekę. Duży cedr pochylał się nad nią. Dalej rzeka wpływała w bagna.

Nick nie chciał tam teraz iść. Z niechęcią myślał, że trzeba by brodzić w głębokiej wodzie sięgającej po pachy i łowić pstrągi w miejscach, gdzie niepodobna ich wyciągnąć. Na moczarach brzeg był nagi, ogromne cedry splatały w górze gałęzie, przez które tylko miejscami przenikało słońce, a w bystrej, głębokiej wodzie, w półmroku, łowienie mogło się skończyć tragicznie. Połowy na bagnach były niebezpieczne i Nick nie miał na to ochoty. Dziś nie chciał już iść dalej w dół rzeki.

Wyjął scyzoryk, otworzył go i wbił w pień. Potem podciągnął worek, sięgnął do środka i wydobyl jednego z pstrągów. Trzymając przy ogonie miotającą się i wyslizgującą rybę, trzepnął nią o pień. Pstrąg zadrżał i zesztyniał. Nick położył go w cieniu na pniu i w ten sam sposób przetrzącił kręgosłup drugiemu. Ułożył je obok siebie na pniu. Były to piękne pstrągi.

Nick wypatroszył je rozcinając od odbytnicy aż do szczęk. Wszystkie wnętrzości, skrzela i język dały się wyjąć razem. Oba pstrągi były samcami; miały długie, gładkie, szarobiałe pasma mlecza. Wnętrzości były czyste i jędrne. Nick wyjął je i cisnął na brzeg, na żer dla wydr.

Obmył pstrągi w rzece. Kiedy zanurzył je w wodzie, grzbietem do góry wyglądały jak żywe ryby. Jeszcze nie utraciły barwy. Umył sobie ręce i otarł je o pień. Następnie położył pstrągi na worku rozpostartym na pniu, zawinał je, związał w mały węzełek i wsadził do siatki. Scyzoryk wciąż tkwił wbity ostrzem w pień. Oczyszczył go pocierając o drzewo i schował do kieszeni.

Stał na pniu trzymając wędkę, czując ciężar zwisającej siatki; potem zsunął się do wody i pobrodził do lądu. Wspiął się na brzeg i zagłębił w las zmierzając ku wzniesieniu. Wracał do obozu. Obejrzał się : rzeka była ledwie widoczna między drzewami. Miał jeszcze przed sobą wiele dni, kiedy mógł łowić na moczarach.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## L'ENVOI

Król pracował w ogrodzie. Zdawał się bardzo rad, że mnie widzi. Przeszliśmy razem przez ogród.

- To jest królowa - powiedział. Przycinała właśnie krzak róży.

- O, dzień dobry panu - powiedziała. Usiedliśmy przy stoliku pod dużym drzewem i król kazał przynieść whisky z wodą sodową.

- Mamy chociaż dobrą whisky - powiedział. Mówił mi, że komitet rewolucyjny nie pozwala mu wychodzić poza teren pałacu.

- Mam wrażenie, że Plastiras jest bardzo porządnym człowiekiem - powiedział - ale strasznie trudnym. Myślę, że jednak dobrze zrobił rozstrzelując tamtych. Gdyby Kiereński rozstrzelał paru ludzi, wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Oczywiście najważniejszą rzeczą w tego rodzaju sprawach jest nie zostać rozstrzelanym samemu!

Było bardzo przyjemnie. Rozmawialiśmy długo. Tak jak wszyscy Grecy miał chęć pojechać do Ameryki.

## NIEPOKONANY

Manuel Garcia wszedł po schodach do biura Don Miguela Retany. Postawił walizkę i zapukał do drzwi. Nie było odpowiedzi. Stojąc w przedsionku wyczuł, że w pokoju ktoś jest. Czuł to przez drzwi.

- Retana - powiedział nasłuchując. Milczenie.
- “A jednak tam jest” - pomyślał Manuel.
- Retana - powtórzył i zaczął łomotać we drzwi.
- Kto tam? - odezwał się ktoś z wewnątrz.
- To ja, Manolo - powiedział Manuel.
- Czego chcesz? - spytał głos.
- Roboty - odpowiedział Manuel.

Coś parokrotnie szczęknęło w zamku i drzwi rozwarły się na oścież. Manuel wszedł z walizką w rękę.

W głębi pokoju siedział za biurkiem mały człowieczek. Nad nim wisiał łeb byka wypchany przez madryckiego preparatora; na ścianach były fotografie w ramkach i afisze reklamujące walki byków.

Mały człowieczek patrzył ze swego miejsca na Manuela.

- Myślałem, że już nie żyjesz - powiedział.

Manuel postukał knykциями o biurko. Człowieczek siedział patrząc na niego z nadzornym blatu.

- Ile corridas miałeś tego roku? - zapytał Retana.
- Jedną - odpowiedział Manuel.
- Tylko tę jedną? - spytał tamten.
- Tylko.
- Czytałem o niej w gazetach - powiedział Retana. Odchylił się w fotelu i patrzył na Manuela.

Manuel podniósł wzrok na wypchanego byka. Widział go już nieraz. Odczuwał dla niego pewne rodzinne zainteresowanie; mniej więcej przed dziewięciu laty ów byk zabił jego brata, tego obiecującego. Manuel pamiętał tamten dzień. Na dębowej tarczy, do której przymocowany był łeb, widniał mosiężny szyldzik. Manuel nie mógł go odczytać, ale domyślał się, że jest poświęcony pamięci brata. No cóż, dobry był chłopak.



Napis na szyldziku brzmiał: "Byk Mariposa własność księcia Veragua. Skłuty dziewięcioma pikami, zabił siedem koni i spowodował śmierć Antonia Garcia dnia 27 kwietnia 1909 roku."

Retana zauważył, że Manuel patrzy na wypchany łeb byka.

- Z tymi bykami, które książę przysłał mi na niedzielę, to będzie skandal - powiedział. - Wszystkie są słabe w nogach. Co o nich mówią w kawiarni?

- Nie wiem - odparł Manuel. - Dopiero co przyjechałem.

- Ano, tak - powiedział Retana. - Jeszcze masz walizkę.

Patrzył na Manuela, rozparty w fotelu za wielkim biurkiem.

- Siadaj powiedział. - Zdejmij czapkę.

Manuel usiadł. Kiedy zdjął czapkę jego twarz wydała się inna. Był blady, a coleta (warkoczyk toreadora), upięta na głowie tak, żeby nie sterczała spod czapki, nadawała mu dziwny wygląd.

- Niedobrze wyglądasz - powiedział Retana.

- Dopiero co wyszedłem ze szpitala.

- Słyszałem, że ci ucięli nogę.

- Nie - odparł Manuel. - Wygoiła się.

Retana pochylił się nad biurkiem i podsunął Manuelowi drewniane pudełko z papierosami.

- Zapal sobie - powiedział.

- Dziękuję.

Manuel zapalił papierosa.

- Dać ci ognia? - spytał wyciągając zapałkę do Retany.

- Nie - machnął ręką tamten. - Nigdy nie palę.

Retana przyglądał się palącemu.

- Dlaczego nie znajdziesz sobie posady i nie weźmiesz się do jakiejś pracy? - zapytał.

- Nie chcę pracować - odparł Manuel. - Jestem toreadorem.

- Teraz już nie ma toreadorów.

- Ja jestem toreador - powiedział Manuel.

- Tak, póki tu siedzisz. Manuel roześmiał się.

Retana nie mówił nic, tylko patrzył na Manuela.

- Jeżeli chcesz, dam cię na walki wieczorne - zaproponował.

- Kiedy? - spytał Manuel.

- Jutro.

- Nie mam ochoty nikogo zastępować - oświadczył Manuel. Tak właśnie ginęli wszyscy. Tak zginął Salvador. Manuel postukał knykциями o stół.

- Nie mam nic innego - powiedział Retana.

- Może mi dasz coś w przyszłym tygodniu? zaproponował Manuel.

- Nie ściągnąłbyś publiczności. Oni chcą tylko Litriego, Rubita i La Torre. To chłopaki pierwsza klasa.

- Przyszliby popatrzeć i na mnie - powiedział z nadzieją Manuel.

- Gdzie tam. Już nie pamiętają, kto ty jesteś.

- Jeszcze potrafię coś pokazać.

- Proponuję ci jutrzejszy wieczór - ciągnął Retana. - Możesz wystąpić z młodym Hernandezem i zabić dwa novillos po popisach kłownów.

- Czyje?

- Nie wiem. Te, które będą akurat mieli w zagrodach. Te, których weterynarze nie puszczą na dzienne walki.

- Nie mam chęci nikogo zastępować - powtórzył Manuel.

- Chcesz, to dobrze; nie, to nie - powiedział Retana. Pochylił się nad papierami. Przestało go to interesować. Zniknął chwilowy sentyment, który poczuł dla Manuela wspomniawszy dawne czasy. Chętnie by wziął Manuela na zastępstwo Larity, bo mógł go dostać tanio. Ale mógł dostać tanio i innych. Z chęcią dopomógłby Manuelowi. Dał mu przecież szansę. Niech się decyduje.

- Ile dostanę? - spytał Manuel. Wciąż jeszcze bawił się myślą, że odmówi. Ale wiedział, że nie może odmówić.

- Dwieście pięćdziesiąt pesetów - odrzekł Retana. Myślał o pięciuset, lecz kiedy otworzył usta, same powiedziały dwieście pięćdziesiąt.

- Villalcie płacisz siedem tysięcy.

- Ty nie jesteś Villalta.

- Wiem o tym.

- On przyciąga publiczność, Manolo - wytłumaczył Retana.

- Jasne - powiedział Manuel. Wstał z krzesła. - Daj mi trzysta, Retana.

- No, dobrze - zgodził się tamten. Sięgnął do szuflady po papier.

- Czy mógłbym dostać teraz pięćdziesiąt? - spytał Manuel.

- Oczywiście - zgodził się Retana. Wyjął z portfela banknot pięćdziesięciopesetowy i rozłożył go płasko na biurku.

Manuel wziął go i schował do kieszeni.

- A co będzie z cuadrillą ? (drużyna toreadora) - zapytał.

- Mam chłopców, którzy zawsze pracują dla mnie wieczorami - odpowiedział Retana. - Do rzeczy chłopaki.

- A pikadorzy?

- Nie są najlepsi - przyznał Retana.

- Muszę mieć jednego dobrego pikadora.

- To go sobie znajdź - odparł Retana. - Idź i poszukaj.

- Nie za te pieniądze - powiedział Manuel. - Nie mogę opłacić cuadrilli z sześćdziesięciu duras. (srebrne monety pięciopesetowe)

Retana nie powiedział nic, spojrzał tylko na Manuela znad wielkiego biurka.

- Sam wiesz, że muszę mieć jednego dobrego pikadora - rzekł Manuel.

Retana milczał. Patrzył na Manuela jakby z oddalenia.

- To nie jest w porządku - powiedział Manuel. Retana, rozparty w fotelu, wciąż przyglądał mu się z bardzo daleka.

- Są stali pikadorzy - zaproponował.

- Wiem - odparł Manuel. - Znam twoich stałych pikadorów.

Retana nie uśmiechnął się. Manuel wiedział, że sprawa jest przesądzona.

- Chcę tylko mieć przyzwoite szansę - rzekł tonem wyjaśnienia. - Chciałbym móc załatwić się z bykiem jak należy, kiedy wyjdę na arenę. Na to wystarczy mi jeden dobry pikador.

Mówił do człowieka, który już go nie słuchał.

- Jeżeli chcesz kogoś ekstra - powiedział Retana - to sam go sobie poszukaj. Będzie stała cuadrilla. Przyrowadź, ilu chcesz, własnych pikadorów. Występy kłownów skończą się o wpół do jedenastej.

- Dobrze - powiedział Manuel. - Jeżeli tak do tego podchodzisz.

- Właśnie tak - odparł Retana.

- Zobaczymy się jutro wieczorem.

- Będę na miejscu.

Manuel podniósł walizkę i wyszedł.

- Zamknij drzwi! - zawołał Retana.

Manuel obejrzał się. Retana siedział pochylony nad jakimiś papierami. Manuel mocno przyciągnął drzwi, aż zamek szczęknął.

Zszedł ze schodów, a potem przez bramę, w gorący blask ulicy. Był upał i światło odbite od białych budynków poraziło go nagle w oczy. Poszedł cienistą stroną ulicy ku

Puerta del Sol. Cień wydawał się jędrny i chłodny jak bieżąca woda. Gorąco uderzało nagle, kiedy się przechodziło przecznice. Wśród wszystkich mijanych ludzi Manuel nie dostrzegł ani jednego znajomego.

Przed samym placem Puerta del Sol skręcił do kawiarni.

Cicho tu było. Kilku mężczyzn siedziało przy stołach pod ścianami. Przy jednym czterech grało w karty. Inni, oparci o ścianę, palili papierosy, a na stolikach przed nimi stały puste filiżanki po kawie i kieliszki do likieru. Manuel przeszedł przez długą salkę do małego pokoju na tyłach. W kacie spał za stolikiem jakiś mężczyzna. Manuel usiadł przy innym stole.

Wszedł kelner i stanął przy nim.

- Widziałeś Zurita? - spytał Manuel.

- Był tu przed obiadem - odrzekł kelner. - Nie wróci przed piątą.

- Proszę kawy z mlekiem i kieliszek tego, co zwykle - powiedział Manuel.

Kelner wrócił po chwili niosąc tackę, a na niej dużą szklankę kawy i kieliszek do likieru. W lewej ręce trzymał butelkę koniaku. Zamaszyście postawił to wszystko na stole, a pikolak, który przyszedł za nim, nalał kawy i mleka z dwóch lśniących garnuszków z dzióbkami i długimi rączkami.

Manuel zdjął czapkę, a kelner zauważył jego warkoczyk upięty do przodu na głowie. Mrugnął na chłopca nalewając koniaku do małego kieliszka, który stał obok szklanki kawy. Pikolak z zaciekawieniem spojrzał na blada twarz Manuela.

- Pan tutaj walczy? - zapytał kelner korkując butelkę.

- Tak - odpowiedział Manuel. - Jutro.

Kelner stał trzymając butelkę opartą o biodro. - Razem z kłownami? - zapytał. Pikolak odwrócił wzrok.

- Nie, w zwykłych walkach.

- Myślałem, że wystawią Chavesa i Hernandeza - powiedział kelner.

- Nie. Mnie i jeszcze jednego.

- Kogo? Chavesa czy Hernandeza?

- Zdaje się że Hernandeza.

- A co się stało z Chavesem?

- Ranny.

- Skąd pan to słyszał?

- Od Retany.

- Hej, Luis! - zawołał kelner do drugiej sali. - Chaves dostał cogidę.( rana zadana rogami przez byka)

Manuel odwinął kostki cukru z papierka i wpuścił je do kawy. Zamieszał ją i wypił; była słodka, gorąca, rozgrzewała mu pusty żołądek. Łyknął kieliszek koniaku.

- Jeszcze jeden - powiedział do kelnera.

Kelner odkorkował butelkę i napełnił kieliszek rozlewając drugie tyle na spodek. Do stolika podszedł inny kelner. Pikolak zniknął.

- Czy Chaves mocno dostał? - zapytał Manuela drugi kelner.

- Nie wiem - odparł Manuel. Retana nie mówił.

- Guzik go to obchodzi - powiedział wysoki kelner. Manuel nie widział go nigdy dotąd. Widocznie pracował tu od niedawna.

- Jeżeli w tym mieście ktoś trzyma z Retana, to kariera gotowa - ciągnął wysoki kelner. - A jak nie, może równie dobrze kropnąć sobie w łeb.

- Takes i mówił - powiedział trzeci kelner, który właśnie wszedł. - Mówiłeś to kiedyś.

- Słusznie - odrzekł wysoki. - Bo wiem, co gadam, jak mówię o tym ptaszku.

- Czego on nie robił dla Villalty! - powiedział pierwszy.

- To jeszcze nie wszystko - dorzucił wysoki. - A dla Marciała Lalandy? Albo dla Nacionala?

- Masz rację, bracie - zgodził się niski. Manuel przyglądał im się, kiedy tak rozmawiali

stojąc przed jego stolikiem. Wypił już drugi koniak. Tamci przestali się nim zajmować. Nie był dla nich interesujący.

- Banda wielbłądów - powiedział wysoki kelner. - Widziałeś kiedy tego Nacionala Drugiego?

- No chyba; w zeszłą niedzielę - odrzekł pierwszy.

- Zupełnie żyrafa - powiedział niski.

- A nie mówiłem? - wtrącił wysoki. - Takie są te chłopczyki Retany.

- Dajcie no jeszcze jednego - powiedział Manuel. Podczas gdy rozmawiali, zlał do kieliszka koniak ze spodka i wypił.

Pierwszy kelner automatycznie napełnił kieliszek, po czym wszyscy trzej wyszli z pokoju rozmawiając.

Mężczyzna w drugim rogu wciąż spał, lekko pochrapując, kiedy nabierał tchu; głowa odchyliła mu się w tył i oparła o ścianę.

Manuel wypił koniak. I on też czuł się senny. Za gorąco było, aby wyjść na miasto. Poza tym nie miał nic do roboty. Chciał zobaczyć się z Zuritem. Przedrzemie się czekając na niego. Trącił nogą walizkę pod stołem, aby upewnić się, że tam jest. Może lepiej wsunąć ją pod siedzenie, aż do samej ściany. Pochylił się i wepchnął ją głębiej. Potem oparł głowę na stole i zasnął. Kiedy się zbudził, ktoś siedział po drugiej stronie stolika. Był to tęgi mężczyzna z obwisłą, smagłą twarzą, podobny do Indianina. Siedział tak już od dłuższego czasu. Ruchem ręki odprawił kelnera i czytał gazetę, niekiedy rzucając okiem na Manuela, który spał złożony głowę na stole. Czytał pracowicie, formując każde słowo ruchem warg. Kiedy go to zmęczyło, spoglądał na Manuela. Siedział ociężale na krześle, czarny kordobański kapelusz miał zsunięty na oczy.

Manuel wyprostował się i popatrzał na niego.

- Jak się masz, Zurito - powiedział.

- Jak się masz, stary - rzekł tamten.

- Zasnąłem. - Manuel potarł czoło wierzchnią stroną dłoni.

- Tak mi się zdawało.

- Co słyhać?

- Wszystko dobrze. A u ciebie?

- Nie bardzo.

Zamilkli obaj. Pikador Zurito popatrzył na bladą twarz Manuela. Manuel opuścił wzrok na olbrzymie ręce pikadora, które składały i wsuwały do kieszeni gazetę.

- Chcę cię prosić o jedną uprzejmość, Manos - powiedział Manuel.

Manosduros (twarde ręce) było to przezwisko Zurita. Ilekroć je słyszał zawsze myślał o swoich ogromnych łapach. Złożył je nieporadnie na stole.

- Napijmy się - powiedział.

- Dobra - rzekł Manuel.

Kelner wszedł, wyszedł i powrócił znowu. Kiedy wychodził z pokoju, obejrzał się na obu mężczyzn siedzących przy stoliku.

- O co chodzi, Manolo? - Zurito odstawił kieliszek.

- Skłulbyś dla mnie dwa byki jutro wieczorem? - zapytał Manuel patrząc znad stołu na Zurita.

- Nie - odparł Zurito. - Nie pracuję.

Manuel spojrział na swój kieliszek. Spodziewał się tej odpowiedzi i teraz ją usłyszał. No cóż, stało się.

- Przykro mi, Manolo, ale nie pracuję. - Zurito popatrzył na swoje ręce.

- Ano, trudno.
- Jestem za stary - powiedział Zurito.
- Ja tylko tak pytałem.
- To chodzi o jutrzejsze wieczorne walki?
- Aha. Myślałem sobie, że gdybym miał jednego dobrego pikadora, to dałbym radę.
- Ile ci płacą?
- Trzysta pesetów.
- Ja dostaję więcej za klucie.
- Wiem - powiedział Manuel. - Nie miałem prawa cię prosić.
- Po co ty to jeszcze robisz? - spytał Zurito. - Dlaczego nie obetniesz sobie colety,

Manolo?

- Czy ja wiem - odparł Manuel.
- Jesteś już prawie w moim wieku.
- Nie wiem - powiedział Manuel. - Muszę to robić. Jeżeli mi się uda tak urządzić, żebym miał przyzwoite szansę, to niczego więcej nie będzie trzeba. Muszę się tego trzymać, Manos.

- Wcale nie musisz.
- Owszem, muszę. Już próbowałem to rzucić.
- Wiem, co czujesz. Ale nie masz racji. Powinieneś zrezygnować i więcej do tego nie wracać.

- Nie mogę. A poza tym ostatnio dobrze mi szło.

Zurito przyjrzał się jego twarzy.

- Byłeś w szpitalu.
- Ale szło mi świetnie, kiedy oberwałem.

Zurito nic nie odpowiedział. Złął koniak ze spodka do kieliszka.

- Gazety pisały, że nigdy nie widziano lepszej roboty - mówił Manuel.

Zurito spojrzał na niego.

- Bo wiesz, jak się rozkręcę, to idzie mi dobrze - powiedział Manuel.
- Jesteś za stary - powiedział pikador.
- Nie - odparł Manuel. - Ty masz dziesięć lat więcej ode mnie.
- Ze mną to co innego.
- Nie jestem za stary - powiedział Manuel.

Siedzieli w milczeniu; Manuel obserwował twarz pikadora.

- Wspaniale mi szło, zanim oberwałem - zaryzykował. - Trzeba ci było mnie widzieć, Manos - dodał z wyrzutem.

- Nie chcę cię oglądać - odpowiedział Zurito - bo się denerwuję.

- Nie widziałeś mnie ostatnio.

- Dość się ciebie napatrzyłem.

Zurito zerknął na Manuela unikając jego wzroku.

- Powinieneś to rzucić, Manolo.

- Nie mogę - odparł Manuel. - Mówię ci, że teraz jestem w formie.

Zurito pochylił się do przodu i oparł ręce na stole.

- Słuchaj. Skłuję dla ciebie byka, ale jeżeli jutro wieczorem nie pójdzie ci pierwszorzędnie, to się wycofasz. Dobrze? Zrobisz tak?

- Oczywiście.

Zurito z ulgą odchylił się do tyłu.

- Musisz się wycofać - powiedział. - Żadnych cudów. Powinieneś obciąć sobie coletę.

- Nie będę musiał się wycofywać - odparł Manuel. - Obserwuj mnie. Mam jeszcze krzepę.

Zurito wstał. Znużyły go te spory.

- Musisz to rzucić - rzekł. - Sam ci obetnę coletę.

- Nie obetniesz - powiedział Manuel. - Nie będziesz miał powodu.

Zurito zawołał kelnera.

- Chodź - powiedział do Manuela. - Idziemy.

Manuel sięgnął pod krzesło po walizkę. Był szczęśliwy. Wiedział, że Zurito będzie dla niego kłuf. Najlepszy z żyjących pikadorów. Wszystko już teraz było proste.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział Zurito.

Manuel stał w patio de caballos (zagroda dla koni), czekając, aż skończą się występy kłownów udających Chaplina. Zurito stał obok niego. W tym miejscu było ciemno. Wysoka brama wiodąca na arenę była zamknięta. W górze rozległ się krzyk, a po nim wybuch śmiechu. Potem wszystko ucichło.

Manuel lubił zapach stajni w patio de caballos. Przyjemnie tam pachniało po ciemku. Z areny doleciał nowy ryk śmiechu, a później oklaski, przeciągłe, nie kończące się oklaski.

- Widziałeś ich kiedy? - zapytał Zurito, którego ogromna postać majaczyła w mroku obok Manuela.



- Nie - odrzekł Manuel.

- Dostyc są zabawni powiedział Zurito. Uśmiechnął się sam do siebie w ciemnościach.

Wysokie, podwójne, szczelne wrota, wiodące na arenę, rozwarły się na oścież i Manuel ujrzał ją w ostrym świetle lamp łukowych, a dokoła wznoszące się wysoko, pogrążone w cieniu trybuny. Wzdłuż krawędzi areny biegło kłaniając się dwóch mężczyzn w przebraniu włóczęgów, a za nimi trzeci w liberii boya hotelowego. Ten schylał się i zbierał kapelusze i laski, ciśnięte na piasek przez widzów, i odrzucał je z powrotem w ciemność.

W patio zapłonęło światło elektryczne.

- Wleżę na któregoś z tych kucyków, a ty zbierz chłopców - powiedział Zurito.

Za nimi rozległ się brzęk upręży mułów, które wychodziły na arenę, ażeby zwlec z niej zabitego byka.

Członkowie cuadrilli, którzy przypatrywali się burlesce z przejścia między barrera a rzędami krzeseł, wrócili teraz i przystanęli całą grupą rozmawiając pod elektryczną lampą w patio. Przystojny chłopak w srebrno-pomarańczowym stroju podszedł z uśmiechem do Manuela.

- Jestem Hernandez - powiedział i wyciągnął rękę.

Manuel uściskał ją.

- Dzisiaj będziemy mieli istne słonie - powiedział wesoło chłopak.

- Duże są i rogate - przyznał Manuel.

- Pan dostał najgorsze - zauważył chłopiec.

- To dobrze - powiedział Manuel. - Im są większe, tym więcej będzie mięsa dla biednych.

- Skąd pan to wziął? - wyszczerzył zęby Hernandez.

- Stary kawał - odparł Manuel. - Ustaw swoją cuadrillę w szeregu, żebym zobaczył, co mam.

- Ma pan kilku dobrych chłopaków - powiedział Hernandez. Był ogromnie wesoły. Już dwa razy występował w walkach wieczornych i zaczynał mieć powodzenie w Madrycie. Rad był, że walka rozpocznie się za kilka minut.

- Gdzie pikadorzy? - spytał Manuel.

- Wrócili do zagrody i biją się o te piękne rumaki - roześmiał się Hernandez.

Muły pędem przebiegły przez bramę wśród trzasku batów i brzęku dzwoneczków; wleczony młody byk złobił bruzdę w piasku areny.

Uformowali się do paseo (parady), gdy tylko przeciągnięto byka.

Manuel i Hernandez stanęli na przedzie. Za nimi ustawili się młodzieńcy z cuadrilli z ciężkimi kapami owiniętymi na ramionach. W tyle, w półcieniu zagrody, siedzieli na koniach czterej pikadorzy trzymając prosto swe piki ze stalowymi grotami.

- Ciekawe, że Retana nie dał nam obejrzeć koni przy dobrym świetle - powiedział jeden z pikadorów.

- Bo wie, że będzie nam przyjemniej, jak się za dobrze nie przyjrzymy tym chabetom - odparł drugi

- Ta łupa, na której siedzę, ledwie mnie może unieść - powiedział pierwszy.

- No, ale to zawsze konie.

- Ano, konie.

Rozmawiali siedząc w ciemnościach na wychudłych szkapach.

Zurito nie mówił nic. Miał jedyne go porządnego wierzchowca. Wypróbował go robiąc wolty w zagrodzie; koń reagował na wodze i ostrogi. Zdjął mu opaskę z prawego oka i poprzecinał sznurki, którymi podwiązano mu uszy, aby nie słyszał. Był to dobry, krzepki koń, trzymający się mocno na nogach. Zurito nie potrzebował nic więcej. Miał zamiar jeździć na nim przez całą corridę. Siedząc tam w półmroku, na wielkim, wyściełanym siodle, i czekając na paseo, zdążył już od chwili, gdy dosiadł konia, przerobić w myśli całą corridę. Obok rozmawiali inni pikadorzy. Nie słyszał ich.

Obaj matadorzy stali przed swymi trzema peones kapy mieli tak samo jak oni owinięte na lewej ręce. Manuel myślał o trzech młodzieńcach stojących za nim. Wszyscy trzej pochodzili z Madrytu, podobnie jak Hernandez, i mieli mniej więcej po dziewiętnaście lat. Podobał mu się jeden z nich, smagły Cygan, poważny i powściągliwy. Obrócił się do niego.

- Jak się nazywasz, mały? - zapytał.

- Fuentes - odpowiedział Cygan.

- Dobre nazwisko - rzekł Manuel. Cygan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zajmij się bykiem i przepędź go trochę, jak wyjdzie - powiedział Manuel.

- Dobrze - odparł Cygan. Twarz miał poważną. Zaczął sobie obmyślać, jak to zrobi.

- No, idziemy - powiedział Manuel do Hernandeza.

- Dobrze. Idziemy.

Podniósłszy głowy, stąpając w takt muzyki, kołysząc wolnymi prawymi rękami, wkroczyli na piaszczystą arenę, w światło łukowych lamp; za nimi rozwinęła się cuadrilla, dalej jechali pikadorzy, a pochód zamykała obsługa areny i brzęczące dzwoneczkami muły.

Gdy tak maszerowali, tłum począł bić brawo Hernandezowi. Zuchwali, rozkołysani, patrzyli prosto przed siebie.

Skłonili się przewodniczącemu, po czym orszak rozłamał się na części składowe. Toreadorzy podeszli do barrery i zamienili swe ciężkie płaszcze na lekkie kapy bojowe. Muły zeszyły z areny. Pikadorzy okrążyli ją krótkim galopem, a dwaj z nich zawrócili we wrota. Obsługa gładko wyrównała piasek.

Manuel wypił szklanekę wody, którą mu podał jeden z agentów Retany występujący jako jego impresario i miecznik. Hernandez podszedł skończywszy rozmawiać ze swoim.

- Dobrze cię przyjmują, mały - pogratulował mu Manuel.

- Lubią mnie - odparł z zadowoleniem Hernandez.

- Jak wypadło paseo? - spytał Manuel pomocnika Retany.

- Jak złoto - odpowiedział tamten. - Pysznie. Wyszedłeś pan na arenę niczym Joselito i Belmonte.

Obok przejechał Zurito przypominający konny posąg. Zatoczył koniem i obrócił go ku przeciwległej stronie areny, gdzie był toril z którego miał wybiec byk. Dziwnie było pod łukowymi lampami. Zurito zawsze kłuł w gorącym popołudniowym słońcu za grube pieniądze. Nie podobały mu się te lampy łukowe. Chciał, żeby już się zaczęło.

Podszedł do niego Manuel.

- Skłuj go, Manos - powiedział. - Przytnij mi go na miarę.

- Skłuję go, bracie - Zurito splunął na piasek. - Tak mu dam, że wyskoczy z areny.

- Pchnij go dobrze, Manos - poprosił Manuel.

- Pchnę - odparł Zurito. - Na co czekamy?

- Już idzie - powiedział Manuel.

Zurito siedział w siodle, stopy miał wsunięte w wielkie strzemiona, potężne nogi w ochraniaczach z kozłowej skóry ścisnęły konia, wodze trzymał w lewej ręce, a długą pikę w prawej, wielki kapelusz zsunął na same oczy, aby osłonić je od światła, i patrzył na daleką bramę torilu. Jego koń strzygł uszami. Zurito poklepał go lewą ręką.

Czerwono pomalowane wrota torilu rozwarły się i na moment Zurito zajrzał w pusty korytarz daleko po drugiej stronie. A potem byk wypadł na arenę, zarył wszystkimi czterema kopytami, gdy znalazł się w świetle, następnie skoczył cwałem i przeszedł w miękki, szybki galop; pędził w milczeniu, tylko sapał przez rozdęte nozdrza, rad, że nareszcie wyrwał się z ciemnej zagrody.

W pierwszym rzędzie krzesel, nieco znudzony, pochyliwszy się, aby pisać opierając notes na cementowej ścianie, którą miał tuż przed kolanami, zastępca sprawozdawcy "El

Heraldo" zanotował: "Campagnero Negro wypadł na arenę pełnym gazem, z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę..."

Manuel, który obserwował byka, oparty o barrera, skinął ręką i Cygan wybiegł na środek wlokąc za sobą kapę. Byk zrobił zwrot w pełnym galopie i ze spuszczonego łbem i zadartym ogonem zaszarżował na kapę. Cygan biegł zygzakiem i nagle byk dojrzał go i poniechał kapy, aby zaatakować człowieka. Ten pomknął jak strzała i przesadził czerwone ogrodzenie barrery w chwili, gdy byk uderzył w nie rogami. Potem zwierz po dwakroć jeszcze wbił rogi w drzewo bodąc na oślep.

Sprawozdawca "El Heraldo" zapalił papierosa, cisnął zapalką w byka, po czym zapisał w notesie: "Campagnero, wystarczająco wielki i rogaty, aby zadowolić publiczność, objawił skłonność do wdarcia się na teren toreadorów."

Manuel wkroczył na ubity piasek, kiedy byk grzmocił rogami w ogrodzenie. Kątem oka widział Zurita stojącego na białym koniu przy samej barrerze, o ćwierć obwodu areny w lewo. Manuel trzymał kapę tuż przed sobą, zebrał ją obiema dłońmi w fałdy i krzyknął na byka: - Hu! hu!

Byk odwrócił łeb, zaparł się o ogrodzenie i runął naprzód szarżując prosto w kapę, a Manuel uskoczył i okręciwszy się na pięcie, gdy zwierz przelatywał obok, zamiótł płachtą tuż przed jego rogami. Po tym zwrocie znalazł się znowu twarzą do byka, znów trzymał kapę przed sobą i powtórnie okręcił się, gdy ten zaszarżował. Za każdym obrotem rozlegały się krzyki tłumu.

Czterokrotnie obracał się tak za bykiem, unosząc wzdętą, sklębioną kapę, i za każdym razem zmuszał go do zawrócenia i ponownego ataku. Wreszcie po piątym obrocie przytrzymał kapę przy biodrze i okręcił się tak, że zawirowała niby spódnica tancerki, owinał byka wokół siebie niczym pas i uskoczył, a zwierz znalazł się oko w oko z Zuritem, który podjechał na białym koniu i stał twardo w miejscu, zwrócony ku bykowi. Koń nastawił uszy, wargi mu drżały, Zurito siedział pochylony, w kapeluszu zsuniętym na oczy, długie drzewce piki ostrym skosem sterczało mu spod prawej pachy do przodu i tyłu, w pół opuszczone, godzące w byka trójgraniastym żelazem grotu.

Drugorzędny sprawozdawca "El Heraldo" zaciągnął się papierosem nie spuszczać oczu z byka i napisał: "Weteran Manolo wykonał całą serię zupełnie znośnych veronicas kończąc bardzo belmontowskim recorte (unik), który zyskał sobie poklask bywalców, po czym rozpoczęła się tercja kawalerii."

Zurito siedział na koniu mierząc spojrzeniem odległość między bykiem a grotem lancy. Kiedy tak patrzył, byk zebrał się w sobie i zaszarżował nie odrywając oczu od piersi

konia. Gdy zniżał łeb, by ubóść, Zurito wbił grot w nabrzmiały, umięśniony garb nad łopatkami byka, wsparł się na drzewcu całym ciężarem, lewą ręką poderwał za wodze białego konia, który wspiął się przebijając w powietrzu przednimi kopytami; potem skręcił go w prawo, prowadząc byka lancą tak, że rogi przesunęły się tuż pod brzuchem konia nie czyniąc mu krzywdy, a wtedy rozedrgany koń opadł na przednie nogi, muśnięty w pierś ogonem zwierza, który szarżował na kapę nadstawioną przez Hernandeza.

Hernandez pobiegł w bok odciągając kapą byka coraz dalej, ku drugiemu pikadorowi. Zatrzymał go zamaszystym ruchem płachty na wprost jeźdźca, po czym odskoczył. Byk ujrawszy konia rzucił się naprzód. Lanca ześliznęła mu się po grzbiecie i kiedy siła ciosu uniosła konia z ziemi, pikador już wylatywał z siodła, oswobadzając prawą stopę ze strzemienia, po czym zwałił się w lewo, ażeby odgrodzić się koniem od byka. Koń poderwany w górę i rozpruty rogami runął na ziemię, byk bódl go wciąż, a pikador odepchnął się stopą od swego wierzchowca i leżał, czekając, żeby go podniesiono, odciągnięto i postawiono na nogi.

Manuel pozwolił bykowi bóść leżącego konia. Nie śpieszyło mu się, pikador był bezpieczny, a zresztą takiemu na dobre wyjdzie, jak się trochę złęknie. Następnym razem dłużej usiedzi w siodle. Parszywi pikarze. Spojrzał nad piaskiem areny na Zurita, który siedział na zdrętwiąłym koniu w pewnej odległości od barrery i czekał.

- Hu! - krzyknął Manuel na byka. - Tomar! (Łap) - Trzymał oburącz kapę tak, aby przyciągnęła wzrok zwierza. Ten oderwał się od konia i zaszarżował na nią, a Manuel odbiegł w bok z szeroko rozpostartą kapą, stanął, obrócił się na pięcie i ostro zakręcił bykiem, kierując go wprost ku Zuritowi.

“Campagnero odciągany przez Hernandeza i Manola dostał dwie varas (cios piką) za śmierć jednego rosynanta - zapisał sprawozdawca «El Herald». - Naparł na żelazo i wyraźnie pokazał, że nie jest miłośnikiem koni. Weteran Zurito wskrzesił kilka swych starych sztuczek z piką, a w szczególności suerte...”(zwód)

- Ole! Ole! - krzyknął siedzący obok mężczyzna. Krzyk ten utonął w ryku tłumu. Mężczyzna klepnął sprawozdawcę po plecach. Ten podniósł wzrok znad notatek i spojrzał na Zurita, który wprost pod nim, silnie wychylony z siodła, z drzewcem sterczącym ukośnie spod pachy, trzymał pikę prawie przy "samym grocie i wpychał ją całym swoim ciężarem, nie dopuszczając bliżej byka, który parł naprzód i bódl chcąc dobrać się do konia. Zurito, przechylony nad bykiem, przytrzymał go, przytrzymał i w miarę naporu z wolna okręcał koniem, aż wreszcie obrócił go zupełnie. Zurito wyczuł moment, gdy koń był już bezpieczny, a byk mógł przebiec obok, i wtedy zwolnił swój nieodparty, stalowy nacisk, a

trójgraniasty grot piki rozorał umięśniony garb byka, gdy ten wyrwał się - tylko po to, by tuż przed pyskiem znaleźć kapę Hernandeza. Rzucił się w nią na osłep, a młodzieniec odwiódł go na środek areny.

Zurito poklepał konia i spojrzał na byka atakującego kapę, którą powiewał przed nim w jaskrawym świetle Hernandez, podczas gdy tłum krzyczał.

- Widziałeś ten numer? - zapytał Manuela. - Cudo - powiedział Manuel.

- Dziobnąłem go tym razem - rzekł Zurito. - Tylko mu się przyjrzyj.

Przy końcu następnego ryzykownego manewru kapą byk osunął się na kolana. Zerwał się zaraz, ale Manuel i Zurito widzieli z daleka gładkie lśnienie krwi broczącej po jego czarnej łopacie.

- Tym razem go dostałem - oznajmił Zurito.

- Dobry byk - powiedział Manuel.

- Gdyby mi dali jeszcze raz kłuc, zabiłbym go - oświadczył Zurito. - Spójrz teraz na niego

- Muszę tam iść - powiedział Manuel i pobiegł ku drugiej stronie areny, gdzie monos całym orszakiem prowadzili za uzdę konia, okładając go po nogach prętami i czym popadło, usiłując go zmusić, aby podszedł do byka, który stał z opuszczoną głową i grzebał kopytami, nie mogąc się zdecydować na atak.

Zurito patrzył spode łba, jadąc stępą w tę stronę, i nie tracił z oczu ani jednego szczegółu owej sceny.

Wreszcie byk zaszarżował, monos rzucili się ku barykadzie, pikador trafił lancą za daleko, a byk dostał się pod konia, wziął go na rogi i zarzucił sobie na grzbiet.

Zurito patrzył. Monos w czerwonych koszulach biegną, aby odciągnąć pikadora. Pikador już wstał, klnie i macha rękami. Manuel i Hernandez stoją w pogotowiu, trzymając kapy. A byk, potężny, czarny byk ma na grzbiecie konia, którego kopyta zwisają, a wodze wplatane są między rogi zwierza. Czarny byk z koniem na grzbiecie potyka się na swych krótkich nogach, napina kark, dźwiga się, otrząsa i miota, aby zrzucić z siebie konia, wreszcie ten osuwa się na ziemię. Wtedy byk długim susem szarżuje na rozpostartą kapę Manuela.

Manuel wyczuł, że byk utracił szybkość. Krwawił okropnie. Krew połyskiwała na całym jego boku.

Manuel znów nadstawił kapę. Byk nadbiegał z rozwartymi oczyma, szpetny, wpatrzony w płachtę. Manuel odstąpił w bok i podniósł ręce napinając je przed zwierzem, aby wykonać veronica.

W tej chwili miał go na wprost siebie. Tak, łeb mu lekko opadał. Trzymał go teraz niżej. To było dzieło Zurita.

Manuel strzepnął kapą. Już leci. Uskoczył w bok i okręcił się w następnej veronica. "Mierzy diablo dokładnie - pomyślał. - Ma dosyć walki, więc teraz uważa. Teraz poluje. Ma na mnie oko. Ale ja mu wciąż nadstawiam kapę."

Potrząsnął nią przed bykiem. O, idzie; uskoczył w bok. Straszliwie blisko tym razem. "Nie trzeba dopuszczać go aż tak blisko."

Skraj kapy był wilgotny od krwi, tam gdzie przesunął się po grzbiecie przebiegającego byka.

"No, dobra. Jeszcze ta ostatnia."

Manuel, który obracał się za bykiem przy każdym natarciu, miał go teraz na wprost siebie i podsunął mu kapę oburącz. Byk spojrział na niego. Oczy miał czujne, rogi nastawione, patrzył bacznie.

- Hu! - krzyknął Manuel. - Toro! - Odchylił się w tył i zamiótł kapą. Idzie! Uskoczył w bok, przerzucił ją za siebie i okręcił się tak, że byk, pędzący za wirującą materią, stanął raptem w miejscu, otumaniony, tym zwodem, urzeczony kapą, która mu się wymknęła. Manuel podrzucił mu ją pod pysk jedną ręką, aby pokazać, że zwierz jest unieruchomiony, po czym odszedł.

Nie było braw.

Manuel poszedł po piasku ku barykadzie, a Zurito zjechał z areny. Podczas gdy Manuel zajęty był bykiem, zabrzmiała trąba na znak, że nastąpi teraz wbijanie banderillos. Nie doszło to do świadomości Manuela. Monos przykrywali płótnem oba zabite konie i posypywali trocinami piasek dokoła nich.

Manuel podszedł do barykady, aby się napić wody. Agent Retany podał mu ciężki porowaty dzban.

Fuentes, wysoki Cygan, stał trzymając w dłoni dwa banderillos - cienkie czerwone drążki ze sterczącymi zadziarami. Spojrział na Manuela.

- Idź tam - powiedział Manuel.

Cygan odbiegł klusem. Manuel odstawił dzban i patrzył. Otarł twarz chustką.

Sprawozdawca "El Herald" sięgnął po butelkę ciepłego szampana, która stała między jego stopami, pociągnął haust i dokończył zdanie:

"...sędziwy Manolo nie zebrał oklasków za serię pospolitych manewrów kapą, po czym rozpoczęliśmy tercję szpikowania."

Samotny na środku areny byk ciągle stał nieruchomo. Fuentes, wysoki, o płaskich plecach, szedł ku niemu zuchwale, z rozpostartymi rękami, trzymając w palcach jednej i drugiej dłoni cienkie czerwone drążki, kolcami skierowane w przód. Szedł prosto. Za nim, nieco z boku, zbliżał się peon z kapą. Byk spojrział na niego i poruszył się wreszcie.

Oczy jego śledziły Fuentesa, który teraz przystanął w miejscu. Odchylił się w tył i zawołał coś do byka. Machnął banderillami, a błysk stalowych kolców zwrócił uwagę zwierza.

Byk zadarł ogon i zaszarżował.

Gnał prosto przed siebie, nie spuszczać oczu z człowieka. Fuentes stał bez ruchu, odchylony do tyłu, z nastawionymi banderillami. Kiedy byk zniżył łeb do ciosu, Fuentes odchylił się jeszcze bardziej, ręce jego podniosły się i zetknęły dłońmi, banderillos opuściły się w dół dwiema czerwonymi liniami i wtedy wziął zamach i wygięty w łuk ponad rogami wbił oba kolce w grzbiet zwierza, i wciąż trzymając sterczące pionowo drążki, okręcił się na złączonych nogach uchylając w bok ciało, aby przepuścić byka.

- Ole! - ryknął tłum.

Byk bódł dziko, miotając się jak pstrąg, podskakując na wszystkich czterech kopytach. Czerwone drzewca banderillos podrywały się za każdym skokiem.

Manuel stojąc u barrery zauważył, że zwierz wciąż ogląda się w prawo.

- Powiedz, żeby mu wsadził następną parę z prawego boku - zawołał do chłopaka, który biegł ku Fuentesowi z nowymi banderillami.

Ciężka ręka opadła na jego ramię. Był to Zurito.

- Jak się czujesz, stary? - zapytał. Manuel obserwował byka.

Zurito pochylił się nad barrera, oparty całym ciężarem ciała na rękach. Manuel obrócił się ku niemu.

- Dobrze ci idzie - powiedział Zurito

Manuel potrząsnął głową. Nie miał teraz nic do roboty przed następną tercją. Cygan doskonale operował banderillami. W następnej tercji byk będzie już odpowiednio przygotowany. Był to dobry byk. Dotychczas wszystko szło gładko. Manuel niepokoił się tylko o to, jak wypadnie końcowa robota ze szpadą. A właściwie nie niepokoił się wcale. Nawet o tym nie myślał. Ale kiedy tak stał, doznał przytłaczającego uczucia lęku. Patrzył na byka i planował sobie faenę - manewr czerwoną płachtą, który miał zmóc i poskromić zwierza.

Cygan znów szedł ku bykowi, stapał z pięt na palce, zuchwale, niby tancerz na sali balowej, a czerwone drzewca banderillos poruszały się za każdym jego krokiem. Byk śledził



go, już teraz nie odrętwiały; czaił się, lecz czekał chwili, gdy tamten znajdzie się dosyć blisko, by móc na pewno dopaść i wbić w niego rogi.

Kiedy Fuentes tak szedł, byk rzucił się naprzód. Fuentes przebiegł ćwierć obwodu koła, gdy byk zawrócił i mijał go w pędzie. Cygan przystanął, pochylił się w przód, wspierał na palce, wyciągnął prosto ramiona i zatopił banderillos w zbitych, potężnych mięśniach łopatkowych, gdy byk przelatywał nie trafiwszy go rogami.

Tłum ogarnął szal.

- Ten chłopak nie zostanie długo w wieczornych walkach - powiedział do Zurity agent Retany.

- Dobry jest - przyznał Zurito.

- Patrz pan teraz na niego.

Patrzyli.

Fuentes stał oparty plecami o barrera. Za nią czekali dwaj z cuadrilli, trzymając w pogotowiu kapy, aby przerwucić je przez ogrodzenie i tym sposobem przyciągnąć uwagę byka.

Byk, z wywieszonym ozorem, dysząc ciężko, obserwował Cygana. Był pewien, że teraz już go ma. Przypartego do tych czerwonych desek. Zaledwie na odległość krótkiej szarży. Przyglądał mu się.

Cygan wygiął się w tył, wziął zamach rękami, wymierzył w byka banderillos. Zawołał coś do niego, tupnął nogą. Byk był podejrzliwy. Chciał dostać człowieka. Nie nowe kolce w łopatkę.

Fuentes podszedł trochę bliżej, odchyłony do tyłu. Zawołał znowu. Ktoś w tłumie krzyknął ostrzegawczo.

- Cholera, za blisko - powiedział Zurito.

- Uważaj pan - odezwał się agent Retany. Przegięty w tył, drażniąc byka banderillami, Fuentes skoczył w górę na obu nogach. W tej chwili byk zadarł ogon i runął naprzód. Fuentes z wyprężonymi rękami i całym ciałem wygiętym do przodu opadł na palce stóp i wbił oba kolce uchylając się przed prawym rogiem.

Byk gruchnął w barrera, tam gdzie roztrzepotane kapy zwróciły jego uwagę w chwili, gdy stracił z oczu człowieka.

Cygan biegł wzdłuż barrery ku Manuelowi, zbierając oklaski tłumu. Kurtkę miał rozdartą w miejscu, gdzie zawadził o nią szpic rogu. Rad był z tego, pokazywał ją publiczności. Obiegł całą arenę. Zurito widział, jak go mija uśmiechnięty, wskazując kurtkę. Uśmiechnął się i on.

Ktoś inny wbijał ostatnią parę banderillos. Nikt nie zwracał na to uwagi.

Agent Retany wsunął drążek w czerwoną płachtę mulety, owinął na nim materię i wręczył przez barrerę Manuelowi. Sięgnął do skórzanego futerału, wyjął zeń szpadę i trzymając ją za skórzaną pochwę, podał Manuelowi przez ogrodzenie. Manuel, ująwszy szpadę za czerwoną rękojeść, wyciągnął ją z pochwy, która miękko zwisała.

Spojrzał na Zurita. Tamten widział, że Manuel jest zlany potem.

- No, teraz go bierz, stary - powiedział Zurito.

Manuel kiwnął głową.

- Już gotów - dorzucił Zurito.

- Akurat tak, jak panu potrzeba - zapewnił agent Retany.

Manuel kiwnął głową.

W górze, pod dachem, trębacz zatrąbił na akt ostatni i Manuel ruszył przez arenę ku miejscu, gdzie w jednej z ciemnych łóż powinien był siedzieć przewodniczący.

W pierwszym rzędzie krzesel zastępca sprawozdawcy "El Heraldo" pociągnął długi łyk ciepławego szampana. Doszedł do wniosku, że nie warto notować na gorąco i że opisze całą corridą wróciwszy do redakcji. Bo cóż to jest, u diabła? Ot, wieczorna walka. Jeżeli coś opuści, przepisze to z porannych gazet. Napił się jeszcze szampana. Miał o dwunastej randkę u Maxima. Ostatecznie, któż są ci toreadorzy? Dzieciaki i niedołęgi. Kupa niedołęgów. Schował do kieszeni bloczek papieru i spojrzał na Manuela, który stał bardzo samotny na arenie i zamiatał kapeluszem w pokłonie przed lożą, której nie mógł dojrzeć tam wysoko, wśród ciemnej plaza (trybuna). Opodał stał spokojnie byk patrząc w przestrzeń.

- Ofiarowuję tego byka panu, panie przewodniczący, oraz publiczności madryckiej, najmądrzejszej i najbardziej wspaniałomyślnej na świecie - mówił Manuel. Była to formuła i wypowiedział ją całą. Wydawała się trochę za długa jak na wieczorne walki.

Skłonił się w ciemność, wyprostował, odrzucił przez ramię kapelusz za siebie i trzymając muletą w lewej, a szpadę w prawej ręce, ruszył ku bykowi. Manuel szedł na byka. Ten spojrzał na niego bystro. Manuel zauważył banderillos, zwisające z lewej łopatki i lśnienie krwi ciągle płynącej po ciosach Zurita. Przyjrzał się kopytom. Idąc naprzód z muletą w lewej, a szpadą w prawej ręce, obserwował kopyta byka. Byk nie mógł szarżować nie zestawivszy ich razem. Teraz stał rozkraczony, otepiał.

Manuel szedł ku niemu patrząc na kopyta. W porządku. Uda mu się. Trzeba zmusić byka, żeby opuścił łeb, a wtedy można będzie uniknąć rogów i zabić go. Nie myślał o szpadzie i o zabiciu byka. Myślał o każdej rzeczy z osobna. Jednakże ciążyło mu to, co

miało przyjść. Idąc przed siebie i obserwując nogi byka, ujrzał kolejno jego oczy, wilgotny pysk i rozłożyste, zwrócone ku niemu rogi. Zwierz miał dokoła oczu jaśniejsze krążki. Te oczy śledziły Manuela. Byk czuł, że teraz dopadnie tego małego człowieka o bladej twarzy.

Manuel przystanął i rozpościerając szpadą czerwoną płachtę mulety - wsuwając klingę w materię tak, że szpada, trzymana teraz w lewej ręce, rozwijała czerwoną flanelę, niczym żagiel - przyjrzał się szpicom rogów. Jeden był nadłamany od grzmocenia w barrera. Drugi był ostry jak kolec jeża. Rozwijając muletą Manuel zauważył, że biała nasada rogu jest poplamiona czerwienią. Obserwując to wszystko nie tracił z oczu kopyt byka. Ten śledził go nieprzerwanie.

"Jest teraz w defensywie - myślał Manuel. - Zbiera siły. Trzeba mu w tym przeszkodzić, zmusić go, żeby spuścił łeb. Zawsze powinno się to robić. Zurito już raz przygiął mu głowę, ale teraz byk znowu ją podniósł. Jak go ruszę z miejsca, zacznie krwawić i wtedy łeb spuści."

Rozwijając muletą szpadą trzymaną w lewej ręce, krzyknął na byka.

Byk spojrział na niego.

Manuel zuchwale odchylił się w tył i potrząsnął szeroko rozpostartą płachtą.

Byk zobaczył muletę. Była jaskrawoszkarłatna w świetle lamp. Naprężyły mu się nogi.

Idzie! Manuel obrócił się, gdy byk nadbiegał, i uniósł muletą tak, że przesunęła się nad rogami i zamiotła po rozłożystym grzbiecie od łba aż do ogona. Szarżujący byk dał susa w górę. Manuel ani drgnął.

Po tym ataku byk zawrócił niczym kot wychodzący zza rogu i stanął naprzeciw Manuela.

Był znowu w ofensywie. Jego ociężałość zniknęła. Manuel zauważył świeżą krew połyskującą na czarnej łopatce i ściekającą po nodze. Wyciągnął szpadę z mulety i ujął ją prawą ręką. Nisko opuścił trzymaną w lewej muletę i pochyliwszy się w bok, krzyknął na byka. Temu naprężyły się nogi, utkwilił oczy w płachtę. "Idzie - pomyślał Manuel. - Hu!"

Mocno stojąc na nogach, obrócił się za atakującym bykiem, zagarnął przed nim muletą, za którą szpada zakreśliła łuk - błysk światła pod lampami.

Byk powrócił do ataku po zakończeniu pasę natural, a Manuel podniósł muletę do pasę de pecho. Stał twardo, a byk przeleciał mu tuż przed piersią, pod uniesioną płachtą. Manuel cofnął głowę, ażeby go nie uderzyły klekoczące drzewca banderillas. Rozgrzane, czarne ciało byka musnęło w przelocie jego piersi.

“Diabelnie blisko” - pomyślał Manuel. Zurito oparty o barrerę powiedział coś szybko Cyganowi, który podbiegł do Manuela z kapą. Zurito głębiej nacisnął kapelusz i spojrział poprzez arenę na Manuela.

Manuel znów stał naprzeciw byka trzymając muletę nisko i nieco w lewo. Byk miał łeb opuszczony i wpatrywał się w płachtę.

- Gdyby to robił Belmonte, dostaliby szau - powiedział agent Retany.

Zurito nie mówił nic. Obserwował Manuela stojącego pośrodku areny.

- Skąd szef wygrzebał tego gościa? - zapytał agent Retany.

- Ze szpitala - odparł Zurito.

- Diabło szybko tam wróci - powiedział agent. Zurito obrócił się ku niemu.

- Odpukaj pan w to - odezwał się wskazując barrerę.

- Ja tylko żartowałem, człowieku - powiedział tamten.

- Odpukaj pan w drzewo.

Agent Retany pochylił się i trzykrotnie zastukał w barrerę.

- Przyjrzyj się pan faenie - powiedział Zurito.

Na środku areny, pod lampami, Manuel klęczał, zwrócony twarzą do byka, a kiedy oburącz podniósł muletę, ten zaszarżował z zadartym ogonem.

Manuel odchylił się w bok całym ciałem, a kiedy byk powrócił do ataku zatoczył muletą półkole, które rzuciło byka na kolana.

- No, to przecież wspaniały toreador - powiedział agent Retany.

- Nie, wcale nie - odparł Zurito.

Manuel wstał i trzymając muletę w lewej, a szpadę w prawej ręce, podziękował ukłonem za oklaski dolatujące z ciemnej plaża.

Byk wygiął grzbiet, poderwał się z klęczek i stanął w oczekiwaniu, z nisko zwieszonym łbem.

Zurito powiedział coś dwóm pozostałym chłopcom z cuadrilli, ci zaś odbiegli i stanęli za Manuelem z kapami. Teraz było ich tam czterech. Hernandez szedł za Manuelem od chwili, gdy ten po raz pierwszy wkroczył na arenę z muletą. Fuentes, rosły, spokojny, gnuśnooki, obserwował go leniwym wzrokiem, trzymając kapę przy piersi. W tej chwili podeszło jeszcze tych dwóch. Hernandez ruchem ręki kazał im zająć miejsca z obu stron. Manuel stał samotnie, zwrócony do byka.

Dał znak ludziom z kapami, by się cofnęli. Odchodząc ostrożnie, zauważyli, że twarz ma pobladłą i mokrą od potu.

“Czy oni nie wiedzą, że powinni trzymać się w tyle? Chcą zwrócić uwagę byka na kapy, kiedy już stoi nieruchomo i jest gotów? Dosyć jest kłopotów i bez tego.”

Byk stał na rozkraczonych nogach i wpatrywał się w muletę. Manuel zebrał ją lewą ręką. Byk nie spuszczał z niej oka. Jego ciało ciężko wspierało się na nogach. Głowę miał opuszczoną nisko, ale nie za nisko.

Manuel podniósł przed nim muletę. Byk ani drgnął. Tylko jego oczy patrzyły bacznie.

“Cały jak z ołowiu - myślał Manuel. - Związany w sobie. Stoi dobrze. Dostanie.”

Myślał terminami toreadorskimi. Czasem nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrażenia gwarowego na jakąś myśl i wtedy nie mógł jej sobie uprzytomnić. Jego instynkty i wiedza działały automatycznie, a mózg pracował powoli, słowami. Znał się dobrze na bykach. Nie musiał się nad nimi zastanawiać. Po prostu robił, co trzeba. Oczy notowały pewne rzeczy, a ciało wykonywało niezbędne ruchy bez udziału myśli. Gdyby zaczął o tym myśleć, byłoby po nim. Teraz, stojąc naprzeciw byka, świadom był wielu rzeczy naraz. A więc widział rogi - jeden nadłamanym, drugi gładki i ostry - pamiętał, że trzeba stanąć bokiem do lewego rogu, rzucić się w przód krótko i celnie, zniżyć muletę, aby byk pognał za nią, i godząc ponad rogami, wbić całą szpadę w punkt mały jak pięciopisetowa moneta, znajdujący się tuż za karkiem, między opadającymi stromo łopatkami byka. Trzeba to zrobić, a potem wydostać się spomiędzy rogów. Świadom był, że musi zrobić to wszystko, ale jedyna jego myśl układała się w słowa: “Corto y derecho.” (krótko i prosto, celnie)

“Corto y derecho” - pomyślał zbierając muletę. Krótko i celnie. Corto y derecho wyciągnął szpadę z mulety. Stał bokiem do nadłamanego lewego rogu, opuścił płachtę wzdłuż ciała, prawa ręka, trzymająca broń na wysokości oczu, uczyniła znak krzyża, potem wspiął się na palce i spojrzał po niższej klindze szpady w tamto miejsce wysoko między łopatkami.

Corto y derecho rzucił się na byka.

Nastąpił wstrząs i Manuel uczuł, że wylatuje w powietrze. W przelocie pchnął szpadą, ale ta wypadła mu z ręki. Grzmotnął o ziemię i byk już był na nim. Manuel leżąc kopnął go w pysk nogą obutą w pantofel. Kopał i kopał, byk napierał na niego, nie trafiał w podnieceniu, walił go łbem, bódł piasek. Kopiając jak człowiek, który leży i podbija nogami piłkę w powietrzu, Manuel nie pozwalał bykowi zadać celnego ciosu.

Na plecach czuł powiew kap, którymi machano przed bykiem, a potem zwierz nagle zniknął przesadziwszy go jednym susem. Ciemno mignął przelatujący w górze brzuch. Byk nawet nie nadepnął Manuela.

Manuel wstał i podniósł muletę. Fuentes podał mu szpadę. Była zgięta od trafienia w łopatkę.

Manuel wyprostował ją na kolanie i pobiegł ku bykowi, który stał teraz nad jednym z zabitych koni. Gdy biegł, jego kurtka rozwiewała się tam, gdzie była rozdarta pod pachą.

- Zabierz go stąd! - krzyknął Manuel do Cygana. Byk zwietrzył krew zabitego konia i orał teraz rogami przykrywające go płótno. Zaszarżował na kapę Fuentesesa. Z nadłamanego rogu zwisał mu strzęp materiału, a tłum wybuchnął śmiechem. Na środku areny byk potrząsnął łbem, ażeby zrzucić płótno. Hernandez podbiegł z tyłu, uchwycił je za koniec i zgrabnie ściągnął z rogu.

Byk poskoczył za nim pólszarżując i nagle stanął jak wryty.

Znowu był w defensywie. Manuel szedł ku niemu ze szpadą i muletą. Zamiótł płachtą przed bykiem, ale ten nie chciał atakować.

Manuel stanął profilem i od oka wymierzył w niego znizoną klingę szpady. Byk stał nieruchomo, jakby zmartwiały, niezdolny do ponownej szarży.

Manuel wspiął się na palce, spojrział wzdłuż podniesionej klingi i pchnął.

Znów wstrząs i znowu uczuł, że leci w tył i ciężko uderza o piasek. Tym razem nie było mowy o kopaniu. Byk był już na nim. Manuel leżał jak martwy, twarz wtulił w ramiona, a byk walił go łbem. Walił po plecach, wgniatał mu twarz w piasek. Manuel poczuł, że róg przeniknął między złożonymi rękami. Byk uderzył go w krzyż. Twarz wparła się w piach, róg przebił jeden z rękawów i oddał go. Byk odrzucił Manuela i pognął za kapami.

Manuel wstał, odnalazł muletę i szpadę, sprawdził palcem ostrze i podbiegł do barrery po nową broń.

Agent Retany podał mu szpadę przez ogrodzenie.

- Obetrzyj pan twarz - powiedział.

Manuel wracając biegiem do byka otarł chusteczką zakrwawioną twarz. Nie widział Zurito. Gdzież podział się Zurito?

Cuadrilla odstąpiła od byka i czekała z kapami. Byk stał, znów ciężki i otępiały po walce.

Manuel podszedł do niego z muletą. Przystanął i potrząsnął nią. Byk nie zareagował. Manuel przesunął muletę przed jego pyskiem z prawa w lewo i z lewa w prawo. Oczy byka śledziły płachtę i obracały się za jej ruchem, ale zwierzę nie chciał atakować. Czekał na Manuela.

Manuel zaniepokoił się. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uderzyć. Corto y derecho. Ustawił się profilem tuż przed bykiem, zasłonił się muletą i skoczył. Gdy wbijał szpadę, rzucił się w lewo całym ciałem, aby uniknąć rogu. Byk minął go, a szpada wyprysnęła w powietrze migocząc w świetle lamp i spadła czerwoną rękojeścią w piasek.

Manuel podskoczył i podniósł ją. Była skrzywiona, więc wyprostował ją na kolanie.

Gdy biegł ku stojącemu znowu bez ruchu bykowi, minął Hernandeza, który czekał z kapą.

- Same gnaty - rzucił mu na pociechę chłopak.

Manuel kiwnął głową, ocierając twarz. Schował skrwawioną chustkę do kieszeni.

Otóż i byk. Stał teraz blisko baryery. Niech go licho! Może rzeczywiście to same gnaty. Może nie ma na nim żadnego miejsca, gdzie mogłaby wejść szpada. Diabła tam. Pokaże im.

Spróbował manewru z muletą, ale byk ani drgnął. Manuel pomachał przed nim płachtą tam i z powrotem. Nic z tego.

Zwinął muletę, wyciągnął szpadę, stanął bokiem i pchnął byka. Poczul, że szpada wygięła się, gdy ją wbijał napierając całym ciężarem, a potem nagle wystrzeliła wysoko w powietrze, koziołkując w tłum. Manuel szarpnął się w bok, gdy szpada wyskoczyła.

Pierwsze poduszki, ciśnięte z ciemności, nie trafiły go. Potem jedna uderzyła go w twarz, w ubroczoną twarz zwróconą ku widzom. Pociski leciały szybko, zaścielały piasek. Ktoś z bliska rzucił pustą butelkę, od szampana. Trafiła Manuela w nogę. Stał patrząc w mrok, z którego leciały różne przedmioty. A potem coś świsnęło w powietrzu i padło przy nim. Manuel pochylił się i podniósł. Była to jego szpada. Wyprostował broń na kolanie i skinął nią do tłumu.

- Dziękuję! - zawołał. - Dziękuję!

"Och, parszywe dranie! Parszywe dranie! Parszywe, zawszone dranie!" Biegnąc kopnął jakąś poduszkę.

Zobaczył byka. Stał taki sam jak przedtem. "No dobrze, ty parszywy, wstrętny draniu."

Manuel przesunął muletę przed czarnym pyskiem byka.

Nic się nie stało.

"Nie chcesz? Dobrze." Postąpił bliżej i wtoczył ostry koniec drążka mulety w wilgotny pysk zwierza.

Byk runął na Manuela w chwili, gdy ten odskakiwał, i Manuel, potknąwszy się o jakąś poduszkę, poczuł że róg przenika mu w ciało, w bok. Pochwycił ten róg oburącz i

zaczął się cofać opierając się co sił. Byk podrzucił go i Manuel uwolnił się od rogu. Leżał bez ruchu. W porządku. Byk odszedł.

Podniósł się kaszłąc, cały poprzetręcany i drętwy. "Parszywe dranie!"

- Dajcie mi szpadę! - krzyknął. - Dajcie płachtę! Podeszedł Fuentes z muletą i szpadą. Hernandez objął Manuela ramieniem.

- Idźże na punkt opatrunkowy, człowieku - powiedział. - Nie bądź wariatem.

- Odejdź ode mnie - odparł Manuel. - Idź precz, do diabła.

Wyrwał się Hernandez wzruszył ramionami. Manuel podbiegł do byka.

Ten stał ciężki, mocno zaparty na nogach.

"Dobrze, ty draniu." Manuel wyciągnął szpadę z mulety. Złożył się tym samym ruchem i runął na byka. Poczul, że szpada wchodzi cała. Aż po jelec. Wraził w byka wszystkie pięć palców. Czul ciepłą krew na knykciach, zwałił się na zwierza.

Ten potknął się razem z nim i zaczął osuwać na ziemię: wtedy Manuel odskoczył. Patrzył na byka zwolna przewracającego się na bok, a potem nagle leżącego wszystkimi czterema kopytami do góry.

Wtedy skinął do tłumu dłonią ciepłą od krwi.

"Dobrze, łobuzy." Chciał coś powiedzieć, ale rozkaszłał się. Było to ciepłe i dławiące. Poszukał wzrokiem mulety. Musi iść pokłonić się przewodniczącemu. Do diabła z przewodniczącym. Wtem już siedział na ziemi i patrzył na coś. Na byka. Z czterema kopytami do góry. Z wywalonym grubym jęzorem. Coś mu pełzało po kałdunie i pod nogami. Tam gdzie sierść była rzadka. Zabity byk. Do diabła z bykiem. Do diabła z tym wszystkim. Próbował dźwignąć się z ziemi i zaczął kaszleć. Siadł znowu kaszłąc. Ktoś podeszedł i podniósł go.

Nieśli go przez arenę na punkt opatrunkowy, biegli z nim po piasku - przy wrotach zatrzymały ich wjeżdżające muły - a potem dokoła areny, ciemnym przejściem. Wnoszący go na schody stękali, nareszcie złożyli go na czymś.

Lekarz i dwaj mężczyźni w bieli już czekali. Położono go na stole. Rozcinali mu koszulę. Manuel był zmęczony. Całe piersi paliły go w środku. Zaczął kaszleć i wtedy przytknęli mu coś do ust. Wszyscy byli ogromnie zajęci.

W oczy świeciło mu światło elektryczne. Przymknął powieki.

Usłyszał, że ktoś stąpa ciężko po schodach. Potem to ucichło. Następnie doleciał go jakiś daleki odgłos. Był to tłum. No cóż, ktoś przecie musi zabić jego drugiego byka. Pochlastali mu całą koszulę. Doktor uśmiechał się do niego. Był tam także Retana.

- Jak się masz, Retana - powiedział Manuel. Nie słyszał własnego głosu.



Retana uśmiechnął się do niego i coś odpowiedział. Manuel i tego nie mógł dosłyszeć.

Zurito stał przy stole pochylony nad miejscem, w którym doktor coś robił. Zurito był w swoim stroju pikadora, bez kapelusza.

Zurito odezwał się do niego. Manuel nie słyszał.

Zurito mówił do Retany. Jeden z mężczyzn w bieli uśmiechał się i podał Retanie nożyczki. Retana wręczył je Zuritowi. Zurito powiedział parę słów do Manuela, ale ten nie mógł ich dosłyszeć.

Do cholery z tym stołem operacyjnym. Leżał już na wielu takich stołach. Widać nie ma umrzeć. Gdyby miał umrzeć, byłby tu ksiądz.

Zurito coś mówił do niego. Trzymał nożyczki.

Tak, o to idzie. Chcą mu obciąć coletę. Chcą mu obciąć jego warkoczyk.

Manuel siadł na stole operacyjnym. Doktor cofnął się rozgniewany. Ktoś chwycił i przytrzymał Manuela.

- Chyba nie zrobisz czegoś podobnego, Manos - powiedział Manuel.

Nagle usłyszał wyraźnie głos Zurita.

- Nie, nie - mówił Zurito. - Nie zrobię. Tak sobie żartowałem.

- Szło mi dobrze - powiedział Manuel. - Tylko nie miałem szczęścia. Nic więcej.

Położył się z powrotem. Przytknęli mu coś do twarzy. Znał to dobrze. Zrobił głęboki wdech. Był bardzo zmęczony. Bardzo, bardzo zmęczony. Zdjeli mu to z twarzy.

- Dobrze mi szło - powtórzył słabym głosem. - Szło mi wspaniale.

Retana spojrział na Zurita i odszedł do drzwi.

- Zostanę tu przy nim - powiedział Zurito. Retana wzruszył ramionami.

Manuel otworzył oczy i spojrział na Zurita.

- No, czy nie szło mi dobrze, Manos? - zapytał szukając potwierdzenia.

- Pewnie - odparł Zurito. - Szło ci doskonale. Asystent doktora położył maskę na twarzy Manuela, który odetchnął głęboko. Zurito stał bezradnie i patrzył.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## W INNEJ KRAINIE

Na jesieni wojna wciąż trwała, ale my już na nią nie poszliśmy. Jesienią było zimno w Mediolanie i ściemniało się bardzo wcześnie. Potem zapalały się światła elektryczne i przyjemnie było oglądać wystawy na ulicach. Przed sklepami wisiało dużo zwierzyny i śnieg przyprószał futerka lisów, a wiatr rozwiewał ich ogony. Jelenie wisiały sztywne, ciężkie i wypatroszone, a drobne ptaki kołysały się na wietrze, który wywracał im piórka. Jesień była zimna i wiał wiatr od gór.

Chodziliśmy do szpitala każdego popołudnia i można było tam dojść różnymi drogami przez miasto o zmierzchu. Dwie prowadziły wzdłuż kanałów, ale te były dłuższe. Jednak żeby się dostać do szpitala, trzeba było zawsze przejść przez któryś mostek na kanale. Miało się trzy mostki do wyboru. Na jednym kobieta sprzedawała przypiekane kasztany. Ciepło było stać przed jej węglowym piecykiem, a kasztany były potem ciepłe w kieszeni. Szpital był bardzo stary i bardzo piękny i wchodziło się tam przez bramę, potem przez dziedziniec i wychodziło bramą po drugiej stronie. Zwykle z tego dziedzińca wyruszały pogrzeby. Za starym szpitalem stały nowe ceglane pawilony i tam spotykaliśmy się każdego popołudnia, i zachowywaliśmy się wszyscy bardzo uprzejmie, i pytaliśmy, co słyhać, i zasiadaliśmy w tych aparatach, które miały być takie skuteczne.

Doktor podszedł do aparatu, w którym siedziałem, i zapytał:

- Co pan najlepiej lubił robić przed wojną? Uprawiał pan jakiś sport?

Odpowiedziałem: - Tak, piłkę nożną.

- Świetnie - rzekł. - Będzie pan znowu mógł grać w piłkę nożną lepiej niż kiedykolwiek.

Kolano mi się nie zginało i noga opadała prosto od kolana do kostki, jakby nie było łydki, a aparat miał zginać kolano i poruszać nim, jak podczas jazdy na rowerze. Jednakże nie zginało się jeszcze, natomiast aparat zaskakiwał, kiedy dochodził do zginania. Doktor powiedział:

- To wszystko przejdzie. Ma pan szczęście, młodzieńcze. Będzie pan znowu grał w futbol jak mistrz.

W sąsiednim aparacie siedział pewien major, który miał rękę małą jak dziecko. Mrugnął do mnie, kiedy doktor oglądał jego dłoń wsuniętą między dwa skórzane pasy, które skakały w górę i w dół, trzępiąc sztywne palce, i zapytał:

- Czy i ja też będę grał w futbol, doktorze?

Był niegdyś świetnym szermierzem, przed wojną najlepszym szermierzem we Włoszech.

Doktor poszedł do swojego gabinetu w głębi i przyniósł fotografię ręki, która była uwiednięta i prawie tak mała jak ręka majora, zanim ją poddano zabiegom przy pomocy aparatu, a potem trochę się powiększyła. Major wziął zdrową ręką fotografię i przyjrzał jej się bardzo uważnie.

- Rana? - zapytał.

- Wypadek w fabryce - odparł doktor.

- Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe - powiedział major i zwrócił zdjęcie doktorowi.

- Nabrał pan zaufania?

- Nie - odpowiedział major.

Przychodzili tam też co dzień trzej chłopcy, którzy byli mniej więcej w tym samym wieku co ja. Wszyscy trzej pochodzili z Mediolanu i jeden miał zostać adwokatem, drugi malarzem, a trzeci zamierzał być żołnierzem, i po skończonym zabiegu szliśmy czasem do kawiarni „Cova”, która była tuż obok La Scali. Szliśmy krótszą drogą przez dzielnicę komunistyczną, bo byliśmy we czterech. Tamtejsi ludzie nienawidzili nas, ponieważ byliśmy oficerami, i kiedy przechodziliśmy, ktoś wołał z jakiejś winiarni: “A basso gli ufficiali”(precz z oficerami) Inny chłopak, który czasem chodził z nami i z którym było nas razem pięciu, nosił na twarzy czarną jedwabną chustkę, bo wówczas nie miał nosa i jego twarz trzeba było dopiero odtworzyć. Poszedł na front prosto z akademii wojskowej i został ranny w godzinę po przybyciu na pierwszą linię. Odtworzyli mu twarz, ale pochodził z bardzo starego rodu i nigdy nie zdołali zrobić mu nosa dokładnie tak, jak należało. Później pojechał do Ameryki Południowej i tam pracował w banku. Ale to wszystko działo się dawno temu i wtedy żaden z nas nie wiedział, co będzie później. Wiedzieliśmy tylko, że wciąż jest wojna^ ale że my już na nią nie pójdziemy. Mieliśmy wszyscy te same medale, oprócz chłopca z czarną jedwabną opaską na twarzy, bo ten nie był na froncie dość długo, żeby otrzymać medale. Wysoki chłopak z bardzo bladą twarzą, który miał zostać adwokatem, był porucznikiem w pułku arditi i miał trzy takie medale, z jakich każdy z nas miał tylko po jednym. Przez długi czas żył oko w oko ze śmiercią i był jakby trochę nieobecny. Wszyscy byliśmy trochę nieobecni i nic nas nie trzymało razem oprócz tego, że każdego popołudnia spotykaliśmy się w szpitalu. Chociaż kiedy szliśmy do “Covy” przez tę niebezpieczną dzielnicę, po ciemku, obok winiarń, z których padało światło i dolatywały śpiewy, czasami zmuszeni zejść na jezdnię, kiedy mężczyźni i kobiety tak się skupiali na

chodnikach, że musielibyśmy się przepychać, aby przejść - czuliśmy, że łączy nas coś, co się zdarzyło, a czego ci nie lubiący nas ludzie nie rozumieli.

My sami dobrze rozumieliśmy "Cove", gdzie było bogato i ciepło, i nie za dużo światła, i hałaśliwie, i pełno dymu w pewnych godzinach, i gdzie zawsze siedziały przy stolikach dziewczyny, a na wieszaku ściennym wisały gazety. Dziewczyny z "Covy" były wielkimi patriotkami, i przekonałem się, że we Włoszech największymi patriotkami były dziewczyny z kawiarni - i myślę, że nadal są patriotkami.

Chłopcy z początku odnosili się bardzo uprzejmie do moich medali i pytali, co zrobiłem, żeby je dostać. Pokazałem im papiery, które były napisane bardzo pięknym językiem i pełne jratellanza i abnegazione, (Braterstwa, samozaparcia ) lecz w gruncie rzeczy, po odjęciu przymiotników, mówiły, że dano mi medale, ponieważ byłem Amerykaninem. Po tym ich stosunek do mnie trochę się zmienił, chociaż nadal pozostałem ich przyjacielem wobec osób postronnych. Byłem przyjacielem, ale nie byłem już naprawdę jednym z nich, kiedy przeczytali owe pochwalne słowa, bo z nimi było inaczej i musieli dokonać bardzo odmiennych rzeczy, żeby otrzymać medale. Zostałem ranny, to prawda, ale wszyscy wiedzieliśmy, że ostatecznie rana to w gruncie rzeczy przypadek. Ale nigdy się nie wstydzilem swoich wstążeczek i czasem po godzinach coctailu wyobrażałem sobie, że zrobiłem to wszystko, co zrobili oni, ażeby dostać medale; jednakże kiedy wracałem nocą do domu przez puste ulice, na zimnym wietrze, mijając pozamykane sklepy i usiłując trzymać się blisko latarni, wiedziałem, że nigdy nie dokonałbym takich rzeczy, i bardzo bałem się śmierci i często w nocy leżałem samotnie na łóżku bojąc się śmierci i zastanawiałem się, jaki będę, kiedy znów wrócę na front.

Ci trzej z medalami byli jak łowieckie sokoły, ja zaś nie byłem sokołem, choć mogłem się nim wydawać tym, co nigdy nie polowali; ci trzej rozumieli to dobrze, toteż oddaliliśmy się od siebie. Jednakże pozostałem w bliskiej przyjaźni z tym, który został ranny swojego pierwszego dnia na froncie, ponieważ nigdy nie miał wiedzieć, jaki by się okazał; dlatego tamci też nie mogli uznać go za swojego, a ja go lubiłem, bo myślałem sobie, że i on może też nie okazałby się sokołem.

Major, który był tym wielkim szermierzem, nie wierzył w odwagę, a kiedy siedzieliśmy w aparatach poświęcał wiele czasu na poprawianie mojej gramatyki. Mówił mi komplementy na temat mojej znajomości włoskiego i rozmawialiśmy ze sobą bardzo gładko. Któregoś dnia powiedziałem, że włoski wydaje mi się tak łatwym językiem, że nie mogę się nim bardziej interesować; wszystko jest tak łatwo powiedzieć.

- Ach tak - odrzekł major. - To dlaczego pan nie zacznie stosować gramatyki?

Zaczęliśmy więc stosować gramatykę i wkrótce włoski stał się tak trudnym językiem, że bałem się odezwać do majora, póki sobie nie ułożyłem w głowie gramatyki.

Major przychodził do szpitala bardzo regularnie. Nie sądzę, żeby opuścił bodaj jeden dzień, choć jestem pewny, że nie wierzył w aparaty. Był taki okres, kiedy żaden z nas nie wierzył w aparaty i któregoś dnia major powiedział, że to wszystko bzdura. Aparaty były wtedy nowe i właśnie my mieliśmy wykazać ich wartość. Major mówił, że to idiotyczny pomysł, "teoria jak każda inna". Nie nauczyłem się jeszcze gramatyki i major powiedział, że jestem głupim, niemożliwym niedołągą, a on jest wariat, że sobie mną głowę zawracał. Był niskiego wzrostu, i siedział wyprostowany na krześle, z prawą ręką wsuniętą w aparat, i patrzył prosto przed siebie na ścianę, podczas gdy pasy trzepotały się do góry i w dół, z jego palcami w środku.

- Co pan będzie robił, jak wojna się skończy, jeżeli się skończy? - zapytał mnie. - Proszę mówić gramatycznie!

- Pojadę do Stanów.

- Pan jest żonaty?

- Nie, ale mam nadzieję się ożenić.

- To z pana głupiec - powiedział. Był najwyraźniej bardzo rozzłoszczony. - Człowiek nie powinien się żenić.

- Dlaczego, signor maggiore?

- Niech pan mnie nie nazywa "signor maggiore".

- Dlaczego człowiek nie powinien się żenić?

- Nie wolno mu się żenić. Nie wolno - odpowiedział gniewnie. - Jeżeli ma utracić wszystko, nie powinien stawiać się w takim położeniu, żeby to utracić. Nie wolno mu narażać się na straty. Powinien znaleźć sobie rzeczy, których stracić nie można.

Mówił z wielką złością i goryczą i przez cały czas patrzył prosto przed siebie.

- Ale dlaczego miałyby to koniecznie utracić?

- Utraci powiedział major. Wpatrywał się w ścianę. Potem spojrzął na aparat, wyrwał swą małą rękę spomiędzy pasów i strzepnął nią mocno o udo. - Utraci! - nieomal krzyknął. - Niech pan się ze mną nie spiera! - A potem zawołał do asystenta, który obsługiwał aparaty: - Proszę przyjść i wyłączyć to draństwo.

Poszedł do drugiego pokoju na naświetlanie i masaż. Potem usłyszałem, jak spytał doktora, czy mógłby skorzystać z jego telefonu, a następnie zamknął drzwi. Kiedy wrócił, siedziałem w innym aparacie. Major był w czapce i pelerynie i podszedł prosto do mojego aparatu, i położył mi rękę na ramieniu.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział i poklepał mnie po ramieniu zdrową ręką. - Nie chciałem być niegrzeczny. Moja żona właśnie umarła. Musi pan mi wybaczyć.

- O... - powiedziałem i zrobiło mi się go żal. - Tak mi przykro.

Stał przede mną przygryzając dolną wargę.

- To bardzo trudne - powiedział. - Nie mogę się z tym pogodzić.

Popatrzał gdzieś za mnie, przez okno. Potem się rozplakał.

- Zupełnie nie mogę się z tym pogodzić - rzekł i głos uwiązł mu w gardle. A potem, wciąż płacząc, z podniesioną głową, wpatrzony w pustkę, wyprostowany i żołnierski, ze łzami na obu policzkach, przygryzając wargi, przeszedł koło aparatów i zniknął za drzwiami.

Doktor powiedział mi, że żona majora, która była bardzo młoda i z którą ożenił się dopiero wtedy, gdy jako inwalida został ostatecznie wyeliminowany z wojny, umarła na zapalenie płuc. Chorowała tylko kilka dni. Nikt się nie spodziewał, że umrze.

Major przez trzy dni nie przychodził do szpitala. Potem się zjawiał o zwykłej godzinie, z czarną opaską na rękawie munduru. Kiedy wrócił, na ścianach wisiały duże oprawione fotografie przedstawiające wszelkie rodzaje ran przed i po leczeniu za pomocą aparatów. Przed tym aparatem, którego używał major, były trzy fotografie kompletnie wyleczonych rąk, takich jak jego ręka. Nie wiem, skąd doktor je wziął. Zawsze słyszałem, że my pierwsi używaliśmy tych aparatów. Fotografie nie zrobiły większego wrażenia na majorze, bo tylko spoglądał przez okno.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## WZGÓRZA JAK BIAŁE SŁONIE

Wzgórza po przeciwległej stronie doliny Ebro były podłużne i białe. Z tej strony nie było cienia ani drzew i dworzec stał w słońcu pomiędzy dwoma torami kolejowymi. Tuż przy jego ścianie leżał gorący cień budynku, a w otwartych drzwiach bufetu dworcowego wisiała zasłona, z nanizanych na sznurki paciorków bambusowych, jako ochrona od much. Amerykanin i jego towarzyszką siedzieli przy stoliku, w cieniu przed budynkiem. Był upał; ekspres z Barcelony miał nadejść za czterdzieści minut. Zatrzymywał się na tym rozjeździe dwie minuty, po czym ruszał dalej, do Madrytu.

- Czego się napijemy? - zapytała dziewczyna. Zdjęła kapelusz i położyła go na stoliku.

- Ależ upał! - powiedział mężczyzna.

- Napijmy się piwa.

- Dos cervezas - zawołał mężczyzna w stronę zasłony.

- Duże? - spytała z progu obsługująca kobieta.

- Tak. Dwa duże.

Kobieta przyniosła dwa kufle piwa i dwie filcowe podkładki. Położyła je na stoliku, na nich ustawiła kufle i przyjrzała się mężczyźnie i dziewczynie. Dziewczyna spoglądała w stronę pasma wzgórz. Bieląły w słońcu, a cała okolica była brunatna i wyschnięta.

- Wyglądają jak białe słonie - powiedziała.

- Nigdy nie widziałem białego słonia. - Mężczyzna popijał piwo.

- Bo nie mogłeś.

- Owszem, mogłem - odparł mężczyzna. - To że ty tak twierdzisz, jeszcze niczego nie dowodzi.

Dziewczyna spojrzała na zasłonę z paciorków.

- Coś tu jest namalowane - powiedziała. - Co to znaczy?

- Anis del Toro. To taki trunek.

- Może byśmy spróbowali?

Mężczyzna zawołał przez zasłonę:

- Proszę pani!

Z bufetu wyszła obsługująca.

- Cztery reales - powiedziała.

- Poprosilibyśmy jeszcze dwa Anis del Toro.

- Z wodą?

- Chcesz z wodą?

- Nie wiem - odrzekła dziewczyna. - A to dobre z wodą?

- I owszem.

- Ma być z wodą? - powtórzyła kobieta.

- Tak.

- Smakuje jak lukrecja - powiedziała dziewczyna odstawiając szklanke.

- Tak jest ze wszystkim.

- Właśnie - odparła dziewczyna. - Wszystko ma smak lukrecji. Zwłaszcza rzeczy, na które czekało się tak długo, na przykład absynt.

- Och, dajże spokój.

- Tyś zaczął - odpowiedziała. - Mnie to bawiło. Było mi bardzo przyjemnie.

- Więc spróbujmy tak zrobić, żeby nam znowu było przyjemnie.

- Dobrze. Właśnie próbowałam. Powiedziałam, że te wzgórza wyglądają jak białe słonie. Czy to nie pomysłówne?

- I owszem.

- Chciałam spróbować tego nowego trunku. Przecież właściwie tylko to robimy, no nie? Oglądamy różne rzeczy i próbujemy nowych trunków.

- Chyba tak.

Dziewczyna spojrzała na wzgórze.

- Ładne są - powiedziała. - Właściwie wcale nie przypominają białych słoni. Miałam na myśli tylko ich kolor widoczny między drzewami.

- Napijemy się jeszcze?

- Dobrze.

Podmuch ciepłego wiatru przywiał zasłonę z paciorków aż do stolika.

- Dobrze to piwo i chłodne - powiedział mężczyzna.

- Doskonale - odrzekła.

- To naprawdę szalenie prosta operacja, Jig - powiedział mężczyzna. - Właściwie wcale nie operacja.

Dziewczyna patrzyła w ziemię, tam gdzie opierały się nogi stolika.

- Jestem przekonany, że nie miałabyś nic przeciwko temu, Jig. To doprawdy głupstwo. Po prostu trzeba wpuścić powietrze do środka.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Pojedziemy razem i będę przy tobie przez cały czas. Tylko wpuszczają powietrze, a potem to już idzie zupełnie naturalnie.



- A co zrobimy później?
- Później będzie nam cudownie. Tak samo jak było przedtem.
- Dlaczego tak uważasz?

- Bo to jest jedyna rzecz, która nas trapi. Jedyna rzecz, która odebrała nam radość.

Dziewczyna spojrzała na zasłonę, wyciągnęła rękę i chwyciła dwa sznurki paciorków.

- I myślisz, że wtedy będziemy zadowoleni i szczęśliwi?

- Na pewno. Nie powinnaś się niczego bać. Znam masę kobiet, które to robiły.

- I ja też - rzekła dziewczyna. - I potem wszystkie były takie szczęśliwe.

- No cóż - powiedział mężczyzna. - Jeżeli nie masz chęci, to nie rób. Nie chciałbym cię do niczego zmuszać wbrew twojej woli. Ale wiem, że to jest całkiem proste.

- I naprawdę chcesz tego?

- Uważam, że to najlepsza rzecz, jaką można zrobić. Ale nie chcę cię zmuszać, jeżeli naprawdę nie masz ochoty.

- A jeżeli się zdecyduję, to będziesz zadowolony i wszystko będzie jak dawniej, i będziesz mnie kochał?

- Kocham cię i teraz. Wiesz, że cię kocham.

- Wiem. Ale jeżeli to zrobię, czy znów będzie ci się podobało, jak powiem, że coś przypomina białe słońce?

- Będę zachwycony. I teraz mnie to zachwyca, tylko po prostu nie mogę się nad tym zastanawiać. Wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy mnie coś trapi.

- A potem nie będziesz się już nigdy trapił?

- Tym nie będę się trapił, bo to całkiem proste.

- Więc to zrobię. Bo nie dbam o siebie.

- Jak to?

- Nie dbam o siebie.

- Ale ja o ciebie dbam.

- O, tak. A ja nie. I zrobię to, i wszystko znów będzie świetnie.

- Więc nie rób, jeżeli tak do tego podchodzisz.

Dziewczyna wstała i poszła ku krańcowi stacji. Po drugiej stronie były pola żyta i rosły drzewa wzdłuż brzegów Ebro. W oddali, za rzeką, widniały góry. Cień obłoku przesunął się po polu; między drzewami ujrzała rzekę.

- I moglibyśmy mieć to wszystko - powiedziała. - Moglibyśmy mieć to wszystko, a z każdym dniem coraz bardziej to sobie uniemożliwiamy.

- Coś ty mówiła?
- Że moglibyśmy mieć wszystko.
- Możemy mieć wszystko.
- Nie, nie możemy.
- Możemy mieć cały świat.
- Nie.
- Możemy pojechać wszędzie.
- Nie. Świat już do nas nie należy.
- Należy.
- Nie. A kiedy go raz zabiorą, nigdy nie dostaje się go z powrotem.
- Ależ nikt go nam nie zabrał.
- Zobaczymy.
- Wróc w cień. Nie powinnaś tak myśleć.
- Ja w ogóle nie myślę - powiedziała dziewczyna. - Po prostu wiem swoje.
- Nie chcę, żebyś robiła coś, na co nie masz ochoty.
- Ani co nie jest dla mnie dobre - dokończyła. - Wiem. Moglibyśmy napić się jeszcze

piwa?

- Dobrze. Ale musisz zrozumieć...

- Ja rozumiem - powiedziała dziewczyna. - A czy nie moglibyśmy przestać rozmawiać?

Usiedli przy stoliku, dziewczyna spojrzała na wzgórze, wznoszące się po wyschniętej stronie doliny, a mężczyzna patrzył to na nią, to na stół.

- Musisz zrozumieć - powiedział - że wcale nie chcę, abyś to robiła, jeżeli nie masz ochoty. Jestem najzupełniej gotów doprowadzić całą rzecz do końca, jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie.

- A dla ciebie nie ma żadnego? Przecież moglibyśmy dać sobie radę.

- Oczywiście, że ma. Tylko że ja nie chcę nikogo oprócz ciebie. Nie chcę nikogo innego. I wiem, że to zupełnie prosty zabieg.

- Tak; wiesz, że to zupełnie prosty zabieg.

- Możesz sobie tak mówić, ale co wiem, to wiem.

- A zrobiłbyś teraz coś dla mnie?

- Wszystko bym zrobił.

- Więc błagam cię, błagam, błagam, błagam, błagam, błagam, błagam, żebyś przestał mówić.

Nie odezwał się, spojrzął tylko na walizki stojące pod ścianą dworca. Były na nich nalepki wszystkich hoteli, w których spędzali noce.

- Wcale nie chcę, żebyś to robiła - powiedział. - Nic mi na tym nie zależy.

- Zacznę krzyczeć - powiedziała dziewczyna. Przez zasłonę wyszła kobieta niosąc dwa kufle piwa, które ustawiła na wilgotnych podkładkach filcowych.

- Pociąg przychodzi za pięć minut - powiedziała..

- Co ona mówi? - spytała dziewczyna.

- Że za pięć minut przychodzi pociąg. Dziewczyna uśmiechnęła się pogodnie do kobiety, aby jej podziękować.

- Lepiej zaniosę walizki na drugą stronę dworca - powiedział mężczyzna. Uśmiechnęła się i do niego.

- Dobrze. A potem wróc, to dokończymy piwa.

Dźwignął obie ciężkie walizki i poniósł je naokoło dworca, na drugi peron. Popatrzał na tory, ale nie mógł jeszcze dojrzeć pociągu. Wracając przeszedł przez bufet, gdzie popijali czekający na pociąg. Wypił jedno anis przy barze i przyjrzał się ludziom. Wszyscy czekali spokojnie. Wyszedł przez zasłonę z paciorków. Dziewczyna siedziała przy stoliku i uśmiechnęła się do niego.

- Lepiej się czujesz? - zapytał.

- Czuję się świetnie - odpowiedziała. - Nic mi nie brakuje. Czuję się świetnie.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## MORDERCY

Drzwi jadalni "Henry" otworzyły się i weszło dwóch. Siedli przy bufecie.

- Słucham? - spytał George.

- Jeszcze nie wiem - powiedział jeden z mężczyzn. - Al, co będziesz jadł?

- Nie wiem. Nie wiem, co będę jadł.

Na dworze ciemniało. Przed oknem zapłonęła latarnia. Mężczyźni siedzący przy bufecie czytali kartę. Z drugiego końca bufetu przyglądał im się Nick Adams. Gdy weszli, rozmawiał z George'em.

- Dla mnie pieczeń wieprzowa z kompotem i kartofle purée - powiedział pierwszy.

- Jeszcze niegotowe.

- To po jaką cholere stoi w karcie?

- To kolacja. Możecie dostać kolację od szóstej - tłumaczył George.

George spojrział na zegar na ścianie za bufetem.

- Jest piąta.

- Jest pięć po piątej - powiedział drugi.

- Spiesz się o dwadzieścia minut.

- Zostaw zegar - powiedział pierwszy. - Co jest do jedzenia?

- Sandwicze wszelkiego rodzaju powiedział George. - Jaja na szynce, jaja na bekonie, wątróbka z bekonem albo befszyk.

- Dla mnie kroiety z drobiu z zielonym groszkiem, z sosem śmietanowym i kartofle purée.

- To jest też kolacja.

- Co by człowiek nie powiedział, to kolacja. Tak pracujecie?

- Są jaja na szynce, jaja na bekonie, wątróbka...

- Dla mnie jaja na szynce - powiedział Al. Miał na sobie czarny dwurzędowy płaszcz.

Na głowie melonik. Twarz małą o bardzo białej i wąskich, zaciśniętych ustach. I jeszcze jedwabny szalik i rękawiczki.

- Dla mnie jaja na bekonie - powiedział drugi. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Al. Z twarzy niepodobni, ubrani byli jak bliźniaki. Płaszcz obaj mieli za ciasne. Siedzieli nachyleni ku przodowi, oparci łokciami o blat bufetu.

- Jest tu coś do picia? - spytał Al.

- Piwo, bevo, gingerale - powiedział George.

- Pytam, czy jest coś do picia.

- Już mówiłem.
- Fajne miasteczko - powiedział tamten. - Jak się nazywa?
- Summit.
- Słyszałeś kiedy o takim mieście? - spytał Al przyjaciela.
- Nie - odpowiedział przyjaciel.
- Co się tu robi wieczorami? - spytał Al.
- Je się kolację powiedział przyjaciel. Wszyscy schodzą się tu i jedzą porządną kolację.

- To prawda - powiedział George.
- A więc powiadasz, że to prawda? - spytał Al George'a.
- Pewnie.
- Cwaniak z ciebie, co?
- Pewnie - powiedział George.
- A ja mówię, że nie - odezwał się drugi człowieczek. - Co, Al?
- Jest durny - powiedział Al. Zwrócił się do Nicka: - A ty tam, jak się nazywasz?
- Adams.
- Jeszcze jeden cwaniak - stwierdził Al. - No co, Max, cwaniak z niego czy nie?
- Całe miasto pełne jest cwaniaków - powiedział Max.

George postawił na bufecie dwa talerze. Na jednym były jaja na szynce, na drugim jaja na bekonie.

Dostawił dwa mniejsze talerzyki frytek i zamknął okienko kuchenne.

- Co pan zamówił? - spytał Ala.
- Nie pamiętasz?
- Jaja na szynce.
- Mówiłem, że cwaniak z niego - powiedział Max. Przechylił się i sięgnął po talerz z jajami na szynce. Obydwaj jedli nie zdjawszy rękawiczek. George patrzył na nich uważnie.
- Czego się gapisz? - Max spojrzał na George'a.
- Wcale się nie gapię.
- Akurat. Patrzyłeś na mnie.
- Max, a może on tylko udawał, że patrzy - powiedział AL George roześmiał się.
- Ty nie masz się co śmiać - zwrócił się do niego Max. - Ty nie masz się wcale z czego śmiać, rozumiesz?
- Rozumiem - powiedział George.

- Powiada, że rozumie - Max zwrócił się do Ala. - Zdaje mu się, że rozumie. To dobry kawał.

- Myśliciel - stwierdził AL Jedli dalej.

- Jak się nazywa ten cwaniak, co tam siedzi? - spytał Al Maxa.

- Ej tam, cwaniak - zawołał AL - Idź no za bufet do swojego przyjaciela.

- Co znowu? - spytał Nick.

- Nic.

- Radzę - ci przejść za bufet - powiedział AL Nick przeszedł za bufet.

- O co chodzi? - spytał George.

- Nie twój zakichany interes - powiedział AL - Kto jest w kuchni?

- Murzyn.

- Jaki Murzyn?

- Murzyn, który gotuje.

- Powiedz, żeby tu przyszedł.

- Dlaczego?

- Powiedz mu, żeby przyszedł.

- A wam się zdaje, że gdzie jesteście?

- Już my wiemy, co nam się zdaje - powiedział ten, którego nazywano Maxem. - Czy wyglądamy na kretynów?

- Ty gadasz z nim jak kretyn - stwierdził AL - Po jaką cholere rozmawiasz z tym szczeniakiem? Słuchaj - powiedział do George'a - powiedz czarnemu, żeby tu zaraz przyszedł.

- Czego chcecie od niego?

- Nic: Idź po rozum do głowy. Co można chcieć od czarnego?

George otworzył okienko kuchenne.

- Sam! - zawołał - chodź no tu na chwilę. Drzwi od kuchni otworzyły się i wszedł Murzyn.

- Co jest? - spytał.

Tamci dwaj spojrzeli na niego zza bufetu.

- Dobra jest, czarny - powiedział AL - Stań sobie tutaj.

Murzyn Sam stał w swoim fartuchu i patrzył na mężczyzn siedzących za bufetem.

- Tak jest, sir - powiedział. Al zeszedł ze swojego stołka.

- Idę do kuchni z czarnym i z cwaniakiem - powiedział. - No, jazda do kuchni, czarny. A ty, cwaniak, też, no!

Mały człowieczek ruszył za Nickiem i kucharzem do kuchni. Zatrzasnęły się za nimi drzwi. Ten, którego nazywano Maxem, usiadł naprzeciwko George'a. Nie patrzył na George'a, lecz w lustro, które ciągnęło się wzdłuż ściany za bufetem. Jadłodajnia "Henry" przerobiona była z dawnego baru.

- No co, cwaniak powiedział Max patrząc w lustro - czemu nic nie mówisz?

- O co chodzi?

- Hej, Al! - zawołał Max. - Mój cwaniak chce wiedzieć, o co chodzi.

- To mu powiedz - odezwał się głos Ala z kuchni.

- No, jak ci się zdaje, o co chodzi?

- Nie wiem.

- Ale jak ci się zdaje? Przez cały czas Max patrzył w lustro.

- Coś mi się zdaje.

- Hej, Al, cwaniak mówi, że nie chce gadać.

- Tu wszystko słyhać - powiedział Al z kuchni. Podparł okienko kuchenne butelką sosu pomidorowego. - Słuchaj no, cwaniak - powiedział z kuchni do George'a. - Posuń no się trochę dalej wzdłuż bufetu. A ty, Max, trochę na lewo. - Był jak fotograf ustawiający klientów do zbiorowego zdjęcia.

- No, cwaniak, gadaj! - powiedział Max. - Jak ci się zdaje, co będzie dalej?

George nie odpowiadał.

- To ja ci powiem - powiedział Max. - Wykańczamy jednego Szweda. Czy znasz takiego dużego Szweda, co się nazywa Ole Andreson?

- Tak.

- Przychodzi tu jeść co wieczór, no nie?

- Czasami.

- Przychodzi o szóstej, co?

- Jak przychodzi, to o szóstej.

- To my wiemy - powiedział Max. - Gadaj o czym innym. Chodzisz czasem do kina?

- Czasem.

- Powinieneś chodzić częściej. Kino to dobra rzecz dla takich cwaniaków jak ty.

- Dlaczego chcecie zabić Ole Andresona? Co on wam zrobił?

- On? On nam nic nie zrobił. On nas nigdy na oczy nie widział.

- I zobaczy nas tylko jeden raz - dodał Al z kuchni.

- To dlaczego chcecie go zabić? - spytał George.

- Robimy to dla przyjaciela. Żeby się przysłużyć przyjacielowi.

- Zamknij się - powiedział Al z kuchni. - Cholernie dużo gadasz.

- Muszę zabawić mojego cwaniaka. No nie, cwaniak?

- Cholernie dużo gadasz powtórzył Al. Czarny i mój cwaniak sami się bardzo dobrze bawią. Są do siebie przywiązani jak pensjonarki w klasztorze.

- A ty byłeś kiedy w klasztorze?

- Dużo wiesz.

- Chyba w koszernym klasztorze. George spojrział w górę na zegar.

- Gdyby ktoś wszedł, powiesz, że kucharza nie ma, a gdyby nalegał, to powiesz, że sam pójdziesz do kuchni i przygotujesz, co trzeba. Zrozumiałeś, cwaniak?

- Dobrze - powiedział George. - A co potem z nami zrobicie?

- To zależy - powiedział Max. - Tego się nigdy z góry nie wie.

George znów spojrział na zegar. Było piętnaście po szóstej. Drzwi od ulicy otworzyły się. Wszedł tramwajarz.

- Halo, George! - zawołał. - Czy można dostać kolację?

- Sam musiał wyjść - mruknął George. - Wróci za jakie pół godziny.

- Lepiej chyba pójde gdzie indziej - powiedział tramwajarz. George spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej.

- Ładnieś to zrobił, cwaniak - powiedział Max. - Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

- Wiedział, że rozwalilibym mu łeb! - zawołał Al z kuchni.

- Nie - powiedział Max - to nie to. Cwaniak jest do rzeczy. Kochany chłop. Podoba mi się.

O szóstej pięćdziesiąt pięć George odezwał się:

- On już nie przyjdzie.

Przez ten czas jeszcze dwaj goście weszli do jadalni. Raz George poszedł do kuchni, żeby zrobić sandwicza z jajami i szynką "na wynos" dla jakiegoś człowieka. W kuchni zobaczył Ala. Siedział na stołku pod okienkiem od bufetu, w meloniku zsuniętym z czoła. Spiłowaną lufę dubeltówki oparł o parapet. Nick i kucharz stali w kącie plecami do siebie. Usta mieli zakneblowane ścierkami. George przygotował sandwicza, zapakował go w pergamin, włożył do papierowej torebki i zaniósł do bufetu. Klient zapłacił i poszedł sobie.

- Cwaniak wszystko potrafi - powiedział Max. - Umie gotować i w ogóle wszystko. Cwaniak będzie kiedyś dobrą żoneczką dla jakiejś dziewczyny.

- Tak - powiedział George - wasz przyjaciel, Ole Andreson, już dziś nie przyjdzie.

- Dajmy mu jeszcze dziesięć minut - zaproponował Max.



Max obserwował lustro i zegar. Wskazówki zegara wskazywały siódmą, potem pięć po siódmej.

- Jazda, Al - rzucił Max. - Chodźmy. On już nie przyjdzie.

- Jeszcze pięć minut! - krzyknął Al z kuchni.

Po pięciu minutach wszedł jakiś człowiek i George powiedział, że kucharz mu zachorował.

- No to dlaczego, do jasnej cholery, nie wynajmiecie innego kucharza - oburzył się tamten. - Czy to restauracja, czy nie? - Wyszedł.

- Jazda, Al - powiedział Max.

- Co robimy z cwaniakiem i z czarnym?

- Dajmy im spokój.

- Tak uważasz?

- Pewnie. Robota skończona.

- Nie podoba mi się to - powiedział Al. - Bałaganisz. I w ogóle za dużo gadasz.

- E, co tam! - zachnął się Max. - Człowiek musi mieć jakieś przyjemności, nie?

- Gadasz za dużo - powiedział Al. Wyszedł z kuchni. Przyciasny płaszcz opinał się na spiłowanych lufach dubeltówki. Wygładził płaszcz ręką w obcisłej rękawiczce.

- No to cześć, cwaniak - powiedział do George'a. - Masz szczęście.

- Tak jest - powiedział Max. - Powinieneś grać na wyścigach.

Obydwaj wyszli na dwór. George patrzył przez okno, jak przechodzili pod latarnią, a potem na drugą stronę ulicy. W obcisłych płaszczach i jednakowych melonikach wyglądali jak para z wodewilu. George wrócił przez wahadłowe drzwi do kuchni i uwolnił Nicka i kucharza.

- Ja mam dość - powiedział kucharz Sam. - Ja mam tego wszystkiego dość.

Nick wstał. Nigdy w życiu nie miał ścierki w ustach.

- Powiedz no - powiedział. - Co, u jasnej cholery? - Próbował zbagatelizować sprawę.

- Chcieli zabić Ole Andresona - powiedział George. - Czekali, czy przyjdzie na kolację, żeby go zastrzelić.

- Ole Andresona?

- Aha.

Kucharz kciukami dotykał kącików warg.

- Poszli? - spytał.

- Tak - odpowiedział George. - Poszli.

- Nie podoba mi się to - stwierdził kucharz. - Wcale mi się to nie podoba.

- Posłuchaj - powiedział George do Nicka. - Trzeba, żebyś poszedł i zobaczył się z Ole Andresonem.

- Dobra jest.

- Lepiej nie mieszaj się do tego - poradził kucharz Sam. - Lepiej trzymaj się z daleka.

- Nie idź, jak nie chcesz - powiedział George.

- Nic ci z tego nie przyjdzie, jak się będziesz mieszał - powiedział kucharz. - Trzymaj się z daleka.

- Pójdę - odparł Nick. - Gdzie on mieszka?

Kucharz odwrócił się.

- Mali chłopcy zawsze wiedzą najlepiej - stwierdził.

- Mieszka u Hirscha - powiedział George do Nicka.

- Pójdę już.

Na dworze latarnia oświetlała nagie gałęzie drzewa. Nick poszedł naprzód, wzdłuż szyn tramwajowych, i przy następnej latarni skręcił w boczną uliczkę. Trzeci dom był Hirscha. Pokoje do wynajęcia. Nick wszedł po dwóch schodkach i nacisnął dzwonek. W drzwiach ukazała się kobieta.

- Czy jest Ole Andreson?

- Chce się pan z nim widzieć?

- Tak. Jeżeli jest.

Nick poszedł za kobietą po schodach i korytarzem. Zastukała do drzwi.

- Ktoś do pana, panie Andreson - powiedziała.

- Nick Adams.

- Wejdz.

Nick otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Ole Andreson leżał na łóżku w ubraniu. Był niegdyś zapaśnikiem ciężkiej wagi i łóżko było dlań za krótkie. Pod głową miał dwie poduszki. Nie spojrzał na Nicka.

- O co chodzi? - spytał.

- To było u "Henry'ego" - powiedział Nick. - Zjawili się dwaj faceci i związali mnie i kucharza, i powiedzieli, że przyszli, żeby ciebie zabić.

Brzmiało to głupio. Ole Andreson nic nie odpowiedział.

- Wepchnęli nas do kuchni - ciągnął dalej Nick. - Mieli cię zastrzelić, jakbyś przyszedł na kolację.

Ole Andreson patrzył w ścianę i nic nie mówił.

- George kazał mi przyjść i powiedzieć ci.

- Nic na to nie poradzę - stwierdził Ole Andreson.

- Powiem ci, jak wyglądali.

- Nie chcę wiedzieć, jak wyglądali - powiedział Ole Andreson. Wciąż patrzył w ścianę. - Dziękuję, żeś przyszedł.

- To nic.

Nick patrzył na wielkiego mężczyznę leżącego na łóżku.

- Czy chcesz, żebym poszedł i zawiadomił policję?

- Nie - odpowiedział Ole Andreson. - To nic nie pomoże.

- Czy nic nie mogę zrobić?

- Nie. Tu nikt nic nie może zrobić.

- Oni się zgrywali?

- Nie, oni się nie zgrywali.

Ole Andreson odwrócił się całym ciałem do ściany.

- Najgorsze jest to - powiedział do ściany - że nie mogę się zdecydować, żeby wyjść.

Leżę tak od rana.

- Czy nie mógłbyś wyjechać?

- Nie. Mam już dość wałęsania się.

Patrzył uparcie w ścianę.

- Już teraz nic się nie da zrobić - powiedział.

- Czy nie mógłbyś jakoś załatwić tej sprawy?

- Nie. Wszystko się pokręciło. - Mówił wciąż tym samym bezbarwnym tonem. - Już nic się nie da zrobić. Niedługo zbiorę się i wyjdę.

- No to ja lepiej wrócę do George'a - powiedział Nick.

- Cześć! - pożegnał go Ole Andreson. Nie spojrzał nawet na Nicka. - Dziękuję ci.

Nick wyszedł z pokoju. Gdy zamykał drzwi, zobaczył raz jeszcze Ole Andresona leżącego na łóżku w ubraniu i patrzącego w ścianę.

- Nie wyszedł od rana ze swojego pokoju - opowiadała na dole gospodyni. - Myślę, że może się źle czuje. Powiedziałam: "Panie Andreson, niech pan przejdzie się trochę. Taki ładny jesienny dzień." Ale nie miał jakoś ochoty.

- Nie chce wyjść.

- On się źle czuje. Żal mi go - powiedziała kobieta. - To taki miły człowiek. Pan wie, że on był bokserem?

- Tak, wiem.

- Nigdy by się człowiek nie domyślił, gdyby nie ślady na twarzy - powiedziała kobieta. Stali tak i rozmawiali w frontowych drzwiach. - On jest taki łagodny.

- No to ja już się chyba pożegnam z panią, pani Hirsch - powiedział Nick.

- Nie, nie - powiedziała kobieta. - Pani Hirsch jest właścicielką domu. Ja u niej pracuję. Nazywam się Bell.

- No to dobranoc, pani, pani Bell - powiedział Nick.

- Dobranoc - powiedziała kobieta.

Nick wrócił ciemną ulicą do latarni przy rogu, a potem wzdłuż szyn tramwajowych do jadłodajni "Henry". Za bufetem stał George.

- Widziałeś go?

- Tak - powiedział Nick. - Jest u siebie w pokoju i nie chce wyjść.

Na dźwięk głosu Nicka kucharz uchylił drzwi.

- Nie chce nawet o tym słyszeć - powiedział i zamknął drzwi.

- Czy powiedziałaś mu wszystko? - spytał George.

- Tak. Powiedziałem mu, ale on wie, o co chodzi.

- Co ma zamiar robić?

- Nic.

- Zabiją go.

- Pewnie.

- Musiał zaplątać się w coś w Chicago.

- Pewnie - powiedział Nick.

- To straszna historia.

- Okropna historia - powiedział Nick.

Zamilkli. George sięgnął po ścierkę i zaczął wycierać blat bufetu.

- Ciekaw jestem, co on takiego zrobił - powiedział Nick.

- Pewnie kogoś wydał. Oni za to zabijają.

- Wynoszę się stąd - powiedział Nick.

- Tak - powiedział George. - To jest dobra myśl.

- Nie mogę nawet myśleć o tym, że on tam leży w swoim pokoju i czeka, i wie, że prędzej czy później go zabiją. To okropne.

- Cóż - powiedział George - lepiej wcale nie myśl o tym.

*Przełożyła Mira Michałowska*

## CHE TI DICE LA P ATRIA?

Droga przez przełęcz była twarda i gładka, i jeszcze nie zakurzona o tak wczesnej porannej godzinie. Niżej były pagórki porośnięte dębami i kasztanami, a daleko w dole morze. Z drugiej strony wznosiły się pokryte śniegiem góry.

Zjeżdżaliśmy z przełęczy przez zalesioną okolicę. Przy drodze stały stosy worków z węglem drzewnym, a między drzewami widzieliśmy chaty węglarzy. Była niedziela i droga wznosiła się i opadała, ale wciąż schodziła w dół z wyniosłości przełęczy, prowadząc przez karłowaty las i przez wioski.

Wokoło wiosek rozciągały się pola winorośli. Pola były brunatne, a winorośle gęste i krzaczaste. Domy były białe, a na ulicach grali w kręgle mężczyźni w niedzielnych ubraniach. Pod ścianami niektórych domów rosły grusze z gałęziami rozpiętymi jak kandelabry na białych murach. Grusze spryskiwano i ściany domów nosiły metaliczne, niebieskozielone ślady pyłu rozpryskiwanej cieczy. Wokoło wiosek były małe polanki, na których rosły winorośle, a dalej las.

W którejś wsi, o dwadzieścia kilometrów od Spezii, stał na placyku tłum ludzi i do auta podszedł jakiś młody człowiek z walizką, i poprosił nas, żebyśmy go zabrali do Spezii.

- Są tylko dwa miejsca i oba zajęte - powiedziałem. Mieliśmy starego krytego forda.

- Pojadę na stopniu.

- Będzie panu niewygodnie.

- To nic. Musze dojechać do Spezii.

- Weźmiemy go? - spytałem Guya.

- Zdaje się, że i tak pojedzie - odrzekł Guy. Młody człowiek podał nam przez okno jakąś paczkę.

- Pilnujcie tego, panowie - powiedział.

Dwaj mężczyźni przywiązali jego walizkę na tyle samochodu, nad naszymi walizkami. Uścisnął wszystkim dłonie, oświadczył, że dla faszysty i człowieka tak przyzwyczajonego do podróżowania jak on nie ma niewygód, i stanął na stopniu po lewej stronie samochodu trzymając się od wewnątrz ręką wsuniętą przez otwarte okno.

- Możecie ruszać - powiedział. Tłum zaczął do niego machać rękami. On też pomachał wolną ręką.

- Co on powiedział? - zapytał mnie Guy.

- Że możemy ruszać.

- Jaki miły - powiedział Guy.

Droga biegła wzdłuż rzeki. Za rzeką były góry. Słońce zdejmowało szron z trawy. Było pogodnie i zimno i powietrze wpadało przez uchyloną przednią szybę.

- Jak myślisz, podoba mu się tam? - Guy patrzył na szosę. Widok ze swej strony wozu miał zablokowany przez naszego gościa. Młody człowiek wysterczał z boku samochodu niczym figura dziobowa okrętu. Postawił kołnierz marynarki, nacisnął kapelusz, a nos miał zsiniały z zimna na wietrze.

- Może mu się to znudzi - powiedział Guy. - Po tej stronie jest nasza gorsza opona.

- O, zostawiłby nas, gdyby nam guma nawaliła - odparłem. - Nie chciałby sobie zabrudzić podróznego ubrania.

- Cóż, mnie on nie przeszkadza - rzekł Guy. - Tyle, że tak się odchyła na zakrętach.

Lasy zniknęły, droga odbiegła od rzeki i zaczęła piąć się pod górę; w chłodnicy się gotowało, a młody człowiek spoglądał podejrzliwie i z niezadowoleniem na parę i rdzawą wodę; motor zgrzytał, Guy dociskał pedał, wóz wspinał się pierwszym biegiem pod górę i pod górę, potem do tyłu i znowu naprzód pod górę, aż wreszcie wyrównał. Zgrzytanie ustało i w tej nagłej ciszy rozległo się potężne kipienie i bulgotanie w chłodnicy. Byliśmy na szczycie ostatniego łańcucha wzgórz nad Spezią i morzem. Teraz droga opadała krótkimi, ledwie zaokrąglonymi skrętami. Nasz gość wywieszał się na zewnątrz na zakrętach i o mało nie przeważał obciążonego samochodu.

- Nie można mu powiedzieć, żeby przestał odezwać się do Guya. - To jego instynkt samozachowawczy.

- Ten wielki instynkt włoski.

- Największy instynkt włoski.

Jechaliśmy w dół zakosami, w głębokim pyle, który przyprószał drzewa oliwne. W dole rozpościerała się nad morzem Spezią. Droga wyrównała przed miastem. Nasz gość wetknął głowę przez okno.

- Chciałbym stanąć.

- Zatrzymaj wóz - powiedziałem do Guya.

Zwolniliśmy i stanęli z boku drogi. Młodzieniec zszedł ze stopnia, poszedł na tył wozu, i odwiązał swoją walizkę.

- Zatrzymuję się tutaj, żebyście nie mieli przykrości za przewożenie pasażerów - powiedział. - Moja paczka.

Podaliśmy mu paczkę. Sięgnął do kieszeni.

- Ile jestem winien?

- Nic.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziałem.

- To dziękuję - powiedział młody człowiek, nie: "dziękuję panom" ani "bardzo panom dziękuję", ani "dziękuję tysiącrotnie", jak to się dawniej mówiło we Włoszech komuś, kto podawał rozkład jazdy albo tłumaczył, w którą stronę się udać. Młody człowiek użył najniższej formy podziękowania i popatrzał za nami podejrzliwie, kiedy Guy uruchomił wóz. Pomachałem mu ręką. Był zbyt godny, ażeby odpowiedzieć. Pojechaliśmy dalej do Spezii.

- To jest młody człowiek, który daleko zajedzie we Włoszech - powiedziałem do Guya.

- Ano - odparł Guy - z nami już ujechał dwadzieścia kilometrów.

### **Obiad w Spezii**

Wjechaliśmy do Spezii rozglądając się, gdzie można by coś zjeść. Ulica była szeroka, a domy wysokie i żółte. Pojechaliśmy za torami tramwajowymi do centrum miasta. Na murach domów widniały malowane przez szablon, wyłupiastookie portrety Mussoliniego z domalowanymi ręcznie "viva", czyli podwójnymi V ociekającymi po murze czarną farbą. Boczne ulice prowadziły do portu. Było słonecznie i ludzie powychodzili na niedzielny spacer. Bruk polano wodą i na kurzu pozostały mokre pasy. Jechaliśmy blisko krawężnika, żeby wyminąć tramwaj.

- Zjedzmy w jakimś skromnym miejscu - powiedział Guy.

Zatrzymaliśmy się naprzeciw szyldów dwóch restauracji. Stanęliśmy po drugiej stronie ulicy i poszedłem kupić gazety. Obie restauracje były obok siebie. Stojąca w drzwiach jednej z nich kobieta uśmiechnęła się do nas, więc przeszliśmy przez ulicę i weszli do środka.

Wewnątrz było ciemno, a w głębi siedziały przy stoliku trzy dziewczyny z jakąś starą kobietą. Przy innym stoliku, naprzeciw nas, siedział marynarz. Siedział nic nie jedząc ani nie pijąc. Trochę dalej pisał coś przy stoliku młody człowiek w granatowym ubraniu. Miał wypomadowane, lśniące włosy, był bardzo elegancko ubrany i wyglądał sympatycznie.

Światło wpadało przez drzwi i okno wystawowe, gdzie jarzyny, owoce, steki i kotlety były poukładane w witrynie. Podeszła dziewczyna i przyjęła od nas zamówienie, a druga stanęła w progu. Zauważyliśmy, że pod domową sukienką nie miała nic na sobie. Dziewczyna, która przyjmowała zamówienie, objęła Guya za szyję, podczas gdy

przeoglądaliśmy kartę dań. Były tam ogółem trzy dziewczyny i każda kolejno podchodziła i stawała w progu. Stara kobieta, siedząca przy stoliku w głębi, powiedziała coś do nich i wszystkie znów usiadły przy niej.

Jedyne drzwi z salki prowadziły do kuchni. Wisiała w nich kotara. Dziewczyna, która przyjęła zamówienie, przysłała z kuchni niosąc spaghetti. Postawiła je na stole, przyniosła butelkę czerwonego wina i usiadła z nami.

- Ano - powiedziałem do Guya - chciałeś zjeść w jakimś skromnym miejscu.

- Tu nie jest skromnie. Tu jest bardzo wymyślnie.

- Co panowie mówią? - spytała dziewczyna. - Panowie jesteście Niemcy?

- Niemcy południowi - odparłem. - Południowi Niemcy to łagodni, mili ludzie.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Jaka tu jest procedura? - zapytał Guy. - Czy muszę jej pozwolić, żeby mnie obejmowała za szyję?

- Oczywiście - odrzekłem. - Mussolini zniósł burdele. To jest restauracja.

Dziewczyna miała na sobie sukienkę z jednego kawałka materiału. Pochyliła się nad stołem, położyła sobie dłonie na piersiach i uśmiechnęła się. Uśmiechała się lepiej jedną stroną niż drugą i tę dobrą stronę obróciła ku nam. Urok tej dobrej strony został uwydatniony przez jakiś wypadek, który wgniół drugą stronę jej nosa, tak jak można wgnieść ciepły wosk. Jej nos jednakże wcale nie przypominał ciepłego wosku. Był całkiem chłodny i jędrny, tyle że wgnieciony.

- Podobam ci się? - spytała Guya.

- On cię uwielbia - odrzekłem. - Tylko nie mówi po włosku.

- Ich spreche Deutsch - powiedziała i pogładziła Guya po włosach.

- Mów do tej damy w swoim ojczystym języku, Guy.

- Skąd jesteście? - spytała dama.

- Z Poczdamu.

- I zostanieie tu jakiś czas?

- W tej kochanej Spezii?

- Powiedz jej, że musimy jechać - rzekł Guy. - Powiedz jej, że jesteśmy bardzo chorzy i nie mamy pieniędzy.

- Mój przyjaciel jest wrogiem kobiet - powiedziałem. - Starym niemieckim wrogiem kobiet.

- Niech pan mu powie, że go kocham.

- Powiedziałem mu.



- Może się zamkniesz i wyciągniesz nas stąd - rzekł Guy. Dama objęła go za szyję drugą ręką.

- Niech mu pan powie, że jest mój. Powiedziałem mu.

- Wyciągniesz nas stąd w końcu?

- Klóćcie się - powiedziała dama. - Wy się nie kochacie.

- Jesteśmy Niemcy - odparłem dumnie. - Starzy Niemcy z południa.

- Niech mu pan powie, że jest śliczny chłopiec - rzekła dama.

Guy ma trzydzieści osiem lat i czerpie niejaką dumę z faktu, że we Francji biorą go za komiwożera.

- Jesteś ślicznym chłopcem - rzekłem.

- Kto to mówi? - zapytał Guy. - Ty czy ona?

- Ona. Ja jestem tylko twoim tłumaczem. Przecież po to zabrałeś mnie w tę podróż.

- Cieszę się, że to ona - odparł Guy. - Nie chciałbym być zmuszony zostawiać tutaj i ciebie.

- Czy ja wiem. Spezia to ładne miasto.

- Spezia - powiedziała dama. - Mówicie o Spegii.

- Ładne miasto - rzekłem.

- Moje rodzinne - powiedziała. - Spezia to mój dom, a Włochy to mój kraj.

- Mówi, że Włochy są jej krajem.

- Powiedz jej, że na to wyglądają - rzekł Guy.

- Co tu macie na deser? - zapytałem.

- Owoce - odrzekła. - Mamy banany.

- Banany nie są złe - powiedział Guy. - Przynajmniej mają skórki.

- O, on bierze banany - zawołała dama. Uścisnęła Guya.

- Co ona mówi? - spytał odwracając twarz.

- Ciesz się, bo bierzesz banany.

- Powiedz jej, że nie biorę bananów.

- Ten signor nie bierze bananów.

- A - powiedziała dama zawiedziona. - Nie bierze bananów.

- Powiedz jej, że co rano biorę zimną kąpiel - rzekł Guy.

- Ten signor bierze co rano zimną kąpiel.

- Nie rozumiem - powiedziała dama.

Siedzący naprzeciw nas manekinowaty marynarz nie poruszył się ani razu. Nikt w lokalu nie zwracał na niego uwagi.

- Prosimy o rachunek - powiedziałem.

- O, nie. Musicie zostać.

- Słuchaj - odezwał się piszący przy stoliku sympatyczny młodzieniec. - Niech sobie jadą. Ci dwaj są nic niewarci.

Dama wzięła mnie za rękę.

- Nie zostaniecie? Nie poprosi go pan, żeby został?

- Musimy jechać - powiedziałem. - Dziś wieczorem musimy być w Pizie, a jeżeli się da, to we Florencji. Wieczorem możemy zabawić się w tych miastach. Teraz jest dzień. Za dnia musimy pokonywać odległość.

- Miło jest zatrzymać się trochę.

- Ale trzeba jechać, póki widno.

- Słuchaj powiedział sympatyczny młodzieniec. - Nie masz co gadać z tymi dwoma. Powtarzam ci, że są nic niewarci, i wiem, co mówię.

- Proszą nam dać rachunek - rzekłem.

Przyniosła rachunek wypisany przez ową starą, wróciła do niej i usiadła przy stoliku. Z kuchni wyszła inna dziewczyna. Przeszła przez salkę i stanęła w wyjściu.

- Nie zawracaj sobie głowy tymi dwoma - powiedział znużonym głosem sympatyczny młodzieniec. - Chodź coś zjeść. Oni są do niczego.

Zapłaciliśmy rachunek i wstali. Wszystkie dziewczyny, stara kobieta i sympatyczny młodzieniec zasiedli razem przy stoliku. Manekinowaty marynarz siedział z głową opartą na dłoniach. Przez cały ten czas, kiedy jedliśmy obiad, nikt się do niego nie odezwał. Dziewczyna przyniosła nam resztę, którą jej odliczyła stara, po czym wróciła na swoje miejsce przy stoliku. Zostawiliśmy na stole napiwek i wyszliśmy. Kiedy już siedzieliśmy w samochodzie gotowi do odjazdu, dziewczyna wyszła i stanęła w progu. Ruszyliśmy, a ja pomachałem jej ręką. Nie pomachała w odpowiedzi, tylko stała patrząc za nami.

## **Po deszczu**

Padał gęsty deszcz, kiedy mijaliśmy przedmieścia Genui i chociaż jechaliśmy bardzo powoli za tramwajami i ciężarówkami, płynne błoto bryzgało na chodniki tak, że ludzie na nasz widok wchodzili do bram. W San Pier d'Arna, przemysłowym przedmieściu Genui, jest szeroka ulica z dwoma torami tramwajowymi, i jechaliśmy środkiem, żeby nie opryskiwać błotem ludzi wracających z pracy do domu. Po lewej ręce mieliśmy Morze Śródziemne. Morze było wzburzone i fale rozbijały się na brzegu, a wiatr znosił pył wodny

na samochód. Rzeka, której łożysko, tam gdzie je mijaliśmy wjeżdżając do Włoch, było szerokie, kamieniste i wyschnięte, tutaj toczyła się brunatna, wezbrana po brzegi. Bura woda barwiła morze i kiedy załamujące się fale rozplaszczają się i wygładzają, światło przeświecało przez żółtą wodę, a grzywy fal, porwane wiatrem, niosły się w poprzek ulicy.

Minął nas duży samochód jadący bardzo szybko i płachta błotnistej wody chlusnęła na naszą chłodnicę i przednią szybę. Automatyczne wycieraczki zaczęły poruszać się tam i z powrotem, rozprowadzając jej warstwę po szybie. Zatrzymaliśmy się w Sestri na obiad. Restauracja nie była ogrzewana i siedzieliśmy w paltach i kapeluszach. Przez okno widzieliśmy nasz wóz. Był pokryty błotem i stał przy jakichś łodziach, które wciągnięto na brzeg poza zasięg fal. W restauracji widziało się parę własnego oddechu.

Pasta asciutta (makaron) była dobra; wino miało posmak ałunu i dolaliśmy do niego wody. Później kelner przyniósł befsztyki z przysmażonymi kartoflami. W głębi sali restauracyjnej siedziała jakaś para. On był w średnim wieku, a ona młoda i ubrana na czarno. Przez cały czas posiłku chuchwała parą w zimne, wilgotne powietrze. Mężczyzna patrzył na to i potrząsał głową. Jedli nie mówiąc nic do siebie, a on trzymał ją za rękę pod stołem. Kobieta była przystojna, a oboje wydawali się bardzo smutni. Mieli ze sobą torbę podróżną.

Kupiliśmy gazety i czytałem na głos Guyowi sprawozdanie o walkach w Szanghaju. Po obiedzie Guy poszedł z kelnerem na poszukiwanie pewnego miejsca, które nie istniało w tej restauracji, a ja przetarłem szmatą przednią szybę, reflektory i tabliczki z numerem samochodu. Guy wrócił, po czym cofnęliśmy wóz i ruszyli w drogę. Kelner zaprowadził go naprzeciwko, do jakiegoś starego domu. Mieszkańcy owego domu byli usposobieni podejrzliwie i kelner pozostał przy Guyu, aby dopilnować, żeby nic nie zginęło.

- Chociaż nie mam pojęcia, jak mogli się obawiać, że nie będąc hydraulikiem zdołam tam coś ukraść - powiedział Guy.

Kiedy wjechaliśmy na przylądek za miastem, wiatr uderzył w samochód i o mało go nie wywrócił.

- Dobrze, że nas zwiewa od morza - powiedział Guy.

- Ano - powiedziałem - gdzieś tutaj utopili Shelleya.

- To było koło Viareggio - odrzekł Guy. - Czy pamiętasz, po co przyjechaliśmy do tego kraju?

- Tak - odparłem. - Aleśmy tego nie znaleźli.

- Dziś wieczorem z niego wyjedziemy.

- Jeżeli się przedostaniemy za Ventimiglia.

- Zobaczymy. Nie mam ochoty jechać tym wybrzeżem po nocy.

Było wczesne popołudnie i pokazało się słońce. W dole widzieliśmy niebieskie morze z białymi grzywami fal gnającymi ku Savonie. W tyle, za przylądkiem, łączyły się brunatne i błękitne wody. Przed nami płynął wzdłuż wybrzeża frachtowiec.

- Czy jeszcze widać Genuę? - zapytał Guy.

- O, tak.

- Za następnym dużym przylądkiem powinna zniknąć nam z oczu.

- Będziemy ją jeszcze długo widzieli. Wciąż widzę przylądek Portofino za nią.

W końcu nie mogliśmy już dojrzeć Genui. Obejrzałem się, kiedy wyjechaliśmy na wzniesienie, i było tylko morze, w dole, przy zatoce, pasmo plaży, z łodziami rybackimi, a nad nami, na stoku wzgórza, miasteczko i potem przylądki daleko wzdłuż wybrzeża.

- Już jej nie widać - powiedziałem do Guya.

- O, nie widać jej od dawna.

- Nie mogliśmy być pewni, dopóki się dobrze nie oddaliliśmy.

Ukazał się znak drogowy z wymalowanym esowatym zakrętem i napisem "Svolta Pericolosa" (niebezpieczny zakręt). Droga biegła dokoła przylądka, a przez szparę w przedniej szybie dmuchał wiatr. Poniżej przylądka był płaski odcinek nad samym morzem. Wiatr osuszył błoto i spod kół zaczynał wzbijać się kurz. Na płaskim odcinku drogi minęliśmy jakiegoś faszystę jadącego na rowerze, z ciężkim rewolwerem w kaburze na biodrze. Trzymał się środka drogi i skręciliśmy, żeby go wyminąć. Spojrzał na nas, kiedyśmy przejeżdżali. Przed nami był przejazd kolejowy i kiedy się zbliżaliśmy, szlabany się zamknęły.

Podczas gdy czekaliśmy, nadjechał ów faszysta na rowerze. Pociąg przemknął i Guy zapuścił motor.

- Zaczekać! - krzyknął tamten zza samochodu. - Macie zabrudzony numer.

Wysiadłem ze szmatą w ręce. Numer był czyszczony podczas obiadu.

- Można go odczytać - powiedziałem.

- Tak pan uważa?

- Proszę spróbować.

- Nie mogę go odczytać. Jest brudny. Przetarłem numer szmatą.

- A teraz?

- Dwadzieścia pięć lirów.

- Co? - powiedziałem. - Mógł go pan odczytać. Jest zabrudzony tylko wskutek stanu dróg.

- Nie podobają się panu włoskie drogi?

- Bo są brudne.

- Pięćdziesiąt lirów. - Splunął na drogę. - Wasz wóz jest brudny i wy też jesteście brudni.

- W porządku. Ale proszę mi dać pokwitowanie ze swoim nazwiskiem.

Wyjął książeczkę kwitów z odpisami, dziurkowanych tak, że jedną połówkę doręczało się klientowi, a druga, wypełniona, pozostawała przy grzbiecie. Nie było jednak kalki do skopiowania tego, co wypisano na doręczonym odcinku.

- Proszę pięćdziesiąt lirów.

Napisał coś ołówkiem chemicznym, oddał połówkę i podał mi ją. Przeczytałem.

- To jest kwit na dwadzieścia pięć lirów.

- Pomyłka - rzekł i przerobił dwadzieścia pięć na pięćdziesiąt.

- A teraz ten drugi odcinek. Proszę wypisać pięćdziesiąt na tej części, którą pan zatrzymuje.

Uśmiechnął się pięknym włoskim uśmiechem i napisał coś na odcinku grzbietowym trzymając książeczkę tak, żebym nie mógł zajrzeć.

- Jedźcie, panowie, dalej, zanim wam się znowu zabrudzi numer - powiedział.

Jechaliśmy jeszcze przez dwie godziny po zapadnięciu ciemności i przenocowaliśmy w Mentonie. Wydała nam się bardzo wesoła i czysta, przyjemna i ładna. Zrobiliśmy trasę z Ventimiglia do Pizy i Florencji, potem przez Romagnę do Rimini i z powrotem przez Forli, Imolę, Bolonię, Parmę, Piacenzę i Genuę znowu do Ventimiglia. Cała podróż trwała zaledwie dziesięć dni. Naturalnie podczas tak krótkiej podróży nie mieliśmy możliwości przekonać się, jaka jest sytuacja kraju czy ludzi.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## PIĘĆDZIESIĄT KAWAŁKÓW

- Jak ci idzie, Jack? - pytam.

On na to:

- Widziałeś tego Walcotta?

- Tylko na sparringu.

- Oj - powiada Jack. - Musiałbym mieć dużo szczęścia, żeby z nim wygrać.

- On ci nic nie może zrobić, Jack - mówi Wojak.

- Żeby to była prawda.

- Nie trafiłby cię, gdyby nawet sypnął garścią śrutu.

- Śrutem niechby sobie sypał - zgodził się Jack. - Niechby sypał śrutem.

- Wygląda, że jego łatwo trafić - wtrącam.

- Walcott długo się nie utrzyma - stwierdził Jack. - Nie utrzyma się tak długo jak ja czy ty, Jerry. Ale w tej chwili to mu nic nie brak.

- Swoją lewą zupełnie go zmordujesz, Jack.

- Może, może... No chyba. Pewno. Mam w każdym razie szansę.

- Załatw go tak, jak załatwiłeś Ritchie Lewisa.

- Ritchie Lewisa - obruszył się Jack. - Tego żydłaka.

Siedzieliśmy w knajpie Hanleya: Jack Brennan, Wojak Bartlett i ja. Przy sąsiednim stoliku rozparły się dwie dziewczki. Były pod gazem.

- Patrzcie go, od żydłaków wymyśla - zamruczała jedna. - Znalazł się, irlandzki bęcwał. Bęcwał, cholera, irlandzki bęcwał. Żydłak, powiada?

- Aha - powtórzył Jack. - Skapy żydłak, właśnie.

- Żydłak! - parsknęła dziewczka. - A tyś lepszy, dusigroszu? Postawiłeś kiedy komu whisky? Pewno ci żona rano kieszenie zaszywa. Irlandczycy, psiakrew. Wszyscy jednakowi. Ritchie Lewis dobrze by ci nos rozkwasił.

- Z pewnością - zgodził się Jack. - Tyś to niby hojna, co? Może darmo rozdajesz to i owo?

Wyszliśmy. Taki był Jack: potrafił dociąć, kiedy chciał.

Jack pojechał na trening do ośrodka kondycyjnego Hogana. W Jersey. Ładnie tam jest, ale Jack się zanadto nie zachwycał. Wcale nie w smak mu była rozłąka z żoną i dziećmi, prawie cały czas chodził wściekły i naburmuszony. Mnie lubił, dobrze nam było razem. I lubił Hogana, tylko Wojak Bartlett po pewnym czasie zaczął mu grać na nerwach. Straszna to rzecz zawodowy żartowniś w obozie kondycyjnym, zwłaszcza kiedy

jego dowcipom rosną brody. Wojak stale żartował z Jacka, ot po prostu ciągle sobie żartował. Ani to były dobre żarty, ani zabawne i Jacka zaczynali brać diabli.

Odbywało się to mniej więcej tak: Jack właśnie kończył z ciężarami czy workiem i wkładał rękawice.

- Popracujesz trochę ze mną? - zwracał się do Wojaka.

- Dobra jest. Jak mam pracować? - pytał Wojak. - Mam cię załatwić tak, jakby to zrobił Walcott? Rzucić cię kilka razy na deski?

- Aha, właśnie o to mi chodzi - odpowiadał Jack, chociaż wcale mu się nie podobał dowcip Wojaka.

Któregoś dnia odbywaliśmy bieg kondycyjny. Odeszliśmy spory kawał od ośrodka i teraz wracaliśmy. Trzy minuty biegiem, potem minuta marszu i znowu trzy minuty biegiem. Jacka nikt by nie nazwał dobrym sprinterem, nigdy nim nie był. Owszem, na ringu ruszał się dość szybko, jeśli było trzeba, ale na drodze nie miał szybkości. Wojak żartował sobie z niego przez cały czas.

Idąc pod górę mijamy farmę.

- Wiesz co, Wojak - odzywa się Jack - lepiej jedź do miasta.

- Nie rozumiem - powiada Wojak.

- Jedź do miasta i zostań tam.

- Niby dlaczego?

- Bo mi się flaki wywracają od twojego gadania.

- Tak? i - mówi Wojak.

- Właśnie - mówi Jack.

- Wywrócą ci się flaki, wywrócą, ale dopiero jak się Walcott z tobą załatwi.

- Może - zgodził się Jack. - Może się i wywrócą. Ale teraz się wywracają od słuchania ciebie.

Więc Wojak wsiadł w pociąg i pojechał jeszcze tego ranka. Odprowadziłem go na stację. Był bardzo urażony.

- Przecież tylko żartowałem - powiedział, gdy czekaliśmy na peronie. - Ja nie pozwolę na takie kawałki wobec siebie, Jerry.

- Kiedy to w gruncie rzeczy dobry chłopak. Ma trochę rozstrojone nerwy, jest nie w sosie.

- Jaki on tam dobry. Guzik, dobry. Nigdy nie był dobry.

- Do zobaczenia, Wojak - mówię, bo pociąg nadjechał. Wojak wziął swoją walizkę i wsiadł.

- Do zobaczenia, Jerry - kiwnął mi ręką. - Przyjedziesz jeszcze do miasta przed walką?

- Chyba nie.

- No, to zobaczymy się w czasie spotkania.

Zniknął w głębi wagonu, konduktor skoczył na stopień, pociąg odjechał. Wróciłem do ośrodka wozem. Jack siedział na ganku i pisał list do żony. Przynieśli już pocztę, więc wziąłem gazety i usiadłem po drugiej stronie ganku, żeby sobie poczytać.

Na progu stanął Hogan; po chwili podszedł do mnie.

- Poprzytykał się z Wojakiem?

- Poprzytykał? Nie. Powiedział mu tylko, żeby sobie wracał do miasta.

- Przeczuwałem to - mruknął Hogan. - Nigdy zanadto nie kochał Wojaka.

- Aha. On wielu ludzi nie kocha.

- Skryty gość - stwierdził Hogan.

- Bo ja wiem, dla mnie jest zawsze miły.

- Dla mnie też - zgodził się Hogan. - Nie mogę się skarżyć. Ale to skryty gość.

Hogan zniknął za drzwiami obciążniętymi siatką. Ja zostałem na werandzie i dalej czytałem gazety.

Ładna tu okolica wśród pagórków Jersey, ładna wczesna jesień, więc kiedy przeczytałem, co było do czytania, dalej sobie siedziałem i oglądałem okolicę, i patrzyłem na drogę w dole, wzdłuż lasu, gdzie przejeżdżające samochody wzbijały chmury kurzu. Ciepło było i widok naprawdę przyjemny. Hogan znowu stanął w drzwiach. Więc go pytam:

- Słuchaj no, Hogan, nie ma tu do czego postrzelać?

- Nie. Chyba do wróbli.

- Przeglądałeś gazetę?

- A bo co?

- Sande miał wczoraj trzy szlagiery.

- Już to wieczorem przez telefon słyszałem - powiada Hogan.

- Phi, phi, trzymasz rękę na pulsie.

- Ano, nie tracę kontaktu - zgodził się.

- A Jack? Gra na wyścigach?

- Jack? Czy on na to wygląda?

I wtedy właśnie zza rogu wyszedł Jack, w ręku trzymał list. Miał na sobie sweter, stare spodnie i bokserskie pantofle.

- Masz znaczek? - pyta Hogana.



- Daj mi list - powiedział Hogan - wyślę go.

- Hej, Jack - mówię mu. - Tyś grał kiedyś na wyścigach, prawda?

- Aha.

- Tak myślałem. Coś mi świta w głowie, że cię widywałem na wyścigach w Sheepshead.

- Dlaczegoś przestał? - zainteresował się Hogan.

- Za dużo przegrywałem.

Jack usiadł koło mnie na ganku i oparł się o słup. Zamknął oczy przed promieniami słońca.

- Może dać ci krzesło? - zaproponował Hogan.

- Nie - odparł Jack. - Tak mi jest dobrze.

- Ładny dzień - odezwałem się. - I okolica piękna.

- Sto razy wolałbym być w mieście z żoną. - No, jeszcze tydzień.

- Aha - mruknął Jack. - Jeszcze tydzień. Siedzieliśmy na ganku. Hogan wrócił do biura.

- Co powiesz o mojej formie? - spytał Jack.

- No, wiesz, trudno coś teraz stwierdzić - odparłem. - Masz jeszcze cały tydzień.

- Nie zagaduj.

- Chcesz, to ci powiem. Nie jesteś w formie.

- Źle sypiam - stwierdził Jack.

- Za parę dni będziesz w porządku.

- Nie - powiada Jack. - Cierpię na bezsenność.

- Czym się gryziesz?

- Brak mi żony.

- Niech tu przyjedzie.

- O, nie. Na to jestem za stary.

- No to przed pójściem spać chodź na spacer, Zmachaj się porządnie...

- Zmachaj się! - wykrzyknął Jack. - Stale jestem zmachany.

Przez cały tydzień był taki. Nie sypiał nocami, a rano wstawał czując się tak podle, jak, no, wiecie, tak jak wy byście się czuli, gdybyście nie mogli zacisnąć pięści.

- Zupełnie zdechły - mruczał Hogan. - Do niczego.

- Nie widziałem nigdy Walcotta - powiedziałem.

- Walcott go zabije - stwierdził Hogan. - Miazgę z niego zrobi.

- Ha - odparłem. - Każdego musi to kiedyś spotkać.

- Ale nie w ten sposób - oburzył się Hogan. - Oni pomyślą, że Jack wcale nie trenował. To kompromituje mój ośrodek.

- Słyszałeś, co gazety pisały o Jacku?

- Kto by nie słyszał. Pisały, że jest do niczego. Że nie powinno się go puszczać na ring.

- No, prasa często się myli...

- Owszem, często. Ale nie tym razem.

- A co oni, do cholery, wiedzą i skąd mają wiedzieć, czy gość jest dobry, czy nie?

- Nie tacy oni znowu głupi.

- Że niby wytypowali Willarda wtedy w Toledo. Ten Lardner, który teraz jest taki mądry, o właśnie: spytaj go, jak to było z Willardem w Ohio.

- Nie gadaj. Lardner wcale się wtedy nie wychylił. To spec od mistrzostw.

- Co mnie obchodzi, od czego spec - powiedziałem.

- Wiem, że oni się na niczym nie znają. Może i umieją pisać, ale guzik wiedzą.

- Ale powiedz: Jack nie w formie, co?

- Nie. Jack jest skończony. Trzeba tylko, żeby na dokładkę Corbett wytypował go na zwycięzcę, a kłapa murowana.

- Corbett go wytypuje - stwierdził Hogan.

- Jasne. I ja tak myślę.

Tej nocy Jack także nie zmrużył oka. A następny dzień to już był ten ostatni przed walką. Po śniadaniu usiedliśmy jak zwykle na ganku.

- O czym rozmyślasz, Jack, kiedy nie możesz spać? - pytam go.

- Martwię się - powiada Jack. - Martwię się o dom, który kupiłem w Bronx, i o plac na Florydzie. O dzieciaki. O żonę. A czasami myślę o walkach. Myślę o tym żydłaku Ritchie Lewisie i krew mnie zalewa. Mam trochę akcji i też się o nie martwię. O wszystko się martwię.

- No, dobra - mówię mu. - Jutro wieczorem już będzie po wszystkim.

- Prawda i to - zgadza się Jack. - Zawsze jakaś pociecha, co? Ty to pewno jesteś zadowolony. No, jasne.

Cały dzień chodził skrzywiony. Nie pracowaliśmy. Jack trochę się pokręcił, żeby rozprostować kości. Walczył z cieniem parę rund, ale wcale nie zrobił przy tym dobrego wrażenia. Potem chwilę ćwiczył na skakance. Nie spocił się nawet.

- Lepiej by było, żeby nic nie robił - złościł się Hogan. Staliśmy, przyglądając się Jackowi, który skakał przez skakankę. - Czy on się nigdy, do diabła, nie poci?

- Nie, nie poci się.

- Może to jakiś wewnętrzny uraz? Miał kiedy kłopot z utrzymaniem wagi? Zdaje się, że nie.

- Nie, nie ma żadnego urazu. Po prostu nic już nie ma w środku.

- Powinien się pocić - powtórzył Hogan.

Jack zbliżył się do nas ze skakanką. Skakał przed nami w górę i w dół, do przodu i do tyłu, co trzeci skok krzyżował ramiona.

- No - powiada - o czym, szakale, gadacie?

- Właśnie mówimy, żeś powinien przestać trenować - powiada Hogan. - Będziesz jak zdechły.

- Zmartwiłbyś się, co? - mruknął Jack i odszedł kręcąc energicznie skakanką.

Tego popołudnia zjawił się w ośrodku John Collins. Jack był wtedy w swoim pokoju. John przyjechał z miasta samochodem, przywiózł dwóch kumpli. Zatrzymał wóz przed gankiem, wszyscy wysiedli.

- Gdzie Jack? - spytał John.

- U siebie w pokoju. Odpoczywa. Leży.

- Leży?

- Leży - powtórzyłem.

- Jak wygląda?

Spojrzałem na tych dwóch facetów, co przyjechali z Johnem.

- To jego przyjaciele - wyjaśnił John. - Żle wygląda - przyznałem.

- Co mu jest?

- Nie sypia.

- Ta cholera nigdy dobrze nie sypia - stwierdził John.

- I w ogóle nie jest dobry - dodałem.

- Cholera - powtórzył John. - On nigdy nie był dobry. Dziesięć lat się z nim męczę i nigdy nie był dobry.

Dwaj faceci, którzy przyjechali z Johnem; zarechotali.

- Poznajcie się - mruknął John. - Morgan, Steinfeld. A to Doyle. Trener Jacka.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedziałem.

- No, to chodźmy. Obejrzyjmy chłopaczka - zaproponował facet zwany Morganem.

- Tak, trzeba go zobaczyć - zgodził się Steinfeld.

Poszliśmy na górę.

- Gdzie Hogan? - spytał John.

- Poszedł do sali ćwiczeń z dwoma pacjentami.

- Dużo ma ich teraz? - zaciekał się John.

- Tylko dwóch.

- Phi. Trupiarnia - stwierdził Morgan.

- Aha, trupiarnia - zgodziłem się. Stanęliśmy przed drzwiami pokoju Jacka. John zapukał. Żadnej odpowiedzi.

- Może śpi - podsunąłem myśl.

- Po cholere miałby spać w ciągu dnia? John nacisnął klamkę. Weszliśmy. Jack spał. Leżał na brzuchu, twarz ukrył w poduszce, którą trzymał w ramionach.

- Ej, Jack - odezwał się John. Spoczywająca na poduszce głowa drgnęła.

- Jack - powiedział John nachylając się nisko.

Jack zakopał się jeszcze głębiej w poduszkę. John położył mu rękę na ramieniu. Jack zerwał się, usiadł i spojrzał dokoła. Był nie ogolony, miał na sobie stary sweter.

- Dlaczego nie dasz mi spać? - obruszył się na Johna.

- Nie złość się - powiada mu John. - Nie miałem zamiaru cię budzić.

- O, nie. Ty byś miał zamiar kogo budzić.

- Znasz Morgana i Steinfelta? - spytał John.

- Bardzo mi przyjemnie - mruknął Jack.

- Jak się czujesz, Jack? - odezwał się Morgan.

- Świetnie. A jak się miałem czuć?

- I wyglądasz świetnie - dodał Steinfelt.

- Prawda? - skrzywił się Jack. - Słuchaj no - zwrócił się do Johna. - Jesteś moim menażerem czy nie? Dostajesz dobry procent. Dlaczego, do diabła, nie ma cię tutaj, kiedy przyjeżdżają reporterzy, co? Ja i Jerry mamy z nimi gadać, co?

- Lew walczył w Filadelfii. Musiałem tam być.

- A co mnie obchodzi Lew. Jesteś moim menażerem. Dostajesz dobry procent, nie? Nie zarabiasz dla mnie żadnej forsy w Filadelfii, prawda? Dlaczego tu nie siedzisz, kiedy cię potrzebuję?

- Hogan tu jest.

- Hogan, Hogan. Hogan jest tak samo głupi jak ja.

- Wojak tu był i trenował z tobą przez parę dni, nie? - spytał Steinfelt, żeby zmienić temat.

- Aha. Był - zgodził się Jack. - Jak cholera był.

- Słuchaj, Jerry - zwrócił się do mnie John. - Idź, poszukaj Hogana i powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć za jakieś pół godziny.

- Dobra - zgodziłem się.

- A dlaczego Jerry nie ma tu zostać, co? - powiada Jack. - Zostań, Jerry.

Morgan i Steinfeld spojrzeli po sobie.

- Uspokój się, Jack - mówi John.

- Może ja jednak pójde poszukać Hogana wtrąciłem.

- Idź, jeśli koniecznie chcesz - odburknął Jack. - Ale nie dlatego, że ci każe któryś z tych cwaniaków.

- Pójde poszukać Hogana - powtórzyłem.

Hogan był w wozowni. To znaczy w sali ćwiczeń. Obok niego podskakiwało między linami dwóch "pacjentów" ośrodka kondycyjnego. Mieli rękawice bokserskie i każdy z nich pilnował się, żeby przypadkiem nie trafić drugiego, bo ten drugi mógłby wtedy oddać.

- Dość - powiedział Hogan, kiedy mnie zobaczył. - Zakończcie tę krwawą walkę, szanowni panowie. Teraz prysznic, a potem Bruce was pomasuje.

Przetarabanili się pod linami, Hogan podszedł do mnie.

- John Collins i dwaj jego kumple przyjechali obejrzyć Jacka.

- Widziałem, jak podjeżdżali samochodem.

- Co to za goście? - spytałem.

- Kombinatorzy. Nie znasz ich?

- Nie.

- Happy Steinfeld i Lew Morgan. Mają własną szulernię.

- Długi czas mnie tu nie było - wytłumaczyłem się.

- Rozumiem - odpowiedział Hogan. Ten Steinfeld to kombinator na wielką skalę.

- Słyszałem to nazwisko.

- Lepszy spryciarz - ciągnął Hogan. - W ogóle obaj to cwaniaki pierwszej klasy.

- No więc, oni chcą z nami pogadać za pół godziny - Znaczy, że nie chcą nas widzieć przez najbliższe pół godziny?

- Aha.

- Chodź do biura - powiedział Hogan. - Niech ich cholera ściśnie.

Mniej więcej po trzydziestu minutach poszliśmy, ja i Hogan, na górę. Zapukaliśmy do drzwi pokoju Jacka. Słyszać było stamtąd głosy.

- Poczekajcie chwilkę - krzyknął ktoś.

- Diabli z wami. - Hogan nie wytrzymał. - Jak będziecie chcieli ze mną gadać, to przyjdźcie do biura.

Klucz w zamku obrócił się. Steinfeld otworzył drzwi.

- Chodź, Hogan - powiada. - Napijemy się.

- To już lepiej - burknął Hogan.

Weszliśmy. Jack siedział na łóżku. John i Morgan na krzesłach. Steinfeld stał.

- Cichociemne z was chłopaki - powiada Hogan.

- Serwus, Danny - mówi John.

- Serwus, Danny - powiada Morgan i podaje mu rękę.

Jack nic nie mówi. Tylko siedzi na tym łóżku. Siedzi sam, zupełnie jakby nas nie było - zatopiony w myślach. Ma na sobie stary niebieski sweter, spodnie i pantofle ringowe. Przydałoby się, żeby się ogolił. Steinfeld i Morgan, ci się ubierają. I John też jest klasa. A Jack siedzi i wygląda bardzo po irlandzku i bardzo groźnie.

Steinfeld wyciągnął butelkę. Hogan przyniósł kilka szklanek, wszyscy wypili. Jack i ja po jednej, a reszta po dwie albo nawet i trzy kolejki.

- Schowajcie trochę na powrotną drogę - powiada Hogan.

- Nic się nie martw, mamy jeszcze - mówi Morgan.

Jack wypił tylko jedną kolejkę. Stał i patrzył na tych dwóch, co przyjechali z Johnem. Morgan siedział na łóżku Jacka.

- Napij się jeszcze, Jack - prosi go John podając butelkę i szklankę.

- Nie - mówi Jack. - Nigdy nie lubiłem chodzić na stypy.

Wszyscy się roześmieli. Tylko Jack nie.

Odjeżdżali w różowych humorach. Jack stał na ganku, kiedy wsiadali do samochodu. Pomachali mu na pożegnanie.

- Do widzenia - odpowiedział Jack.

Potem była kolacja. Jack nic nie mówił oprócz "proszę podać mi to", "proszę podać mi tamto". Pozostali dwaj "pacjenci" jedli przy tym samym stole. Zupełnie sympatyczne chłopcy. Skończyliśmy jeść i wyszliśmy na ganek. Wcześniej się ściemniło.

- Pójdziemy na spacer? - zaproponował Jack.

- Chętnie - powiedziałem.

Włożyliśmy marynarki i ruszyliśmy w drogę. Spory kawałek do głównej szosy, a potem jeszcze półtorej mili tą szosą. Przejeżdżało masę samochodów, za każdym razem stawaliśmy z boku, czekając, aż nas miną. Jack nie odzywał się. Dopiero kiedy wleźliśmy w krzaki, żeby przepuścić jakiś wielki wóz, powiedział:

- Do diabła z takim spacerem. Wracajmy do Hogana.

Wracaliśmy boczną drogą, która przecina wzgórze i idzie przez pola prosto do ośrodka. Już ze wzgórza widać było światła budynku. Obeszliśmy dom dokoła. We frontowych drzwiach stał Hogan.

- Spacer się udał? - pyta.

- Owszem - Jack na to. - Słuchaj Hogan, masz może whisky?

- Mam - powiada Hogan. - Co za nowy pomysł?

- Przyślij mi do pokoju - prosi Jack. - Dziś będę dobrze spał.

- Twoja wola - odpowiada Hogan.

- Chodź do mnie do pokoju, Jerry - mówi Jack.

Poszedł na górę, usiadł na łóżku, głowę schował w dłoniach.

- Pieskie życie - stwierdza.

Hogan przyniósł butelkę whisky i dwie szklanki.

- Chcesz piwa imbirowego?

- Nie mam zamiaru rzygać.

- Pytałem tylko - tłumaczy się Hogan.

- Napijesz się z nami? - rzuca Jack.

- Nie, dziękuję. - Hogan wyszedł.

- A ty, Jerry?

- Jednego z tobą. Jack nalał do szklanek.

- No, dobra. Spokojnie sobie posmakuję...

- Dolej do tego trochę wody - radzę mu.

- Aha, masz rację.

- Wypiliśmy tak po dwie whisky nic nie mówiąc, Jack zaczął nalewać trzecią.

- Nie - powiedziałem. - Dla mnie dość.

- Jak chcesz. - Nalał tylko sobie nielicho i rozcieńczył wodą. Ożywił się trochę.

- Ale to banda, co? Musieli przyjechać. - powiedział. - Ci dwaj nie lubią ryzykować. -  
A po chwili. - Mają rację. Niby po co ryzykować, kiedy można nie. Napijesz się jeszcze, Jerry? No, skus się. Razem ze mną.

- Ja nie muszę, Jack. Ja się dobrze czuję...

- No, jeszcze jedną - prosił. Whisky go rozklejała.

- Niech będzie - uległem.

Jack nalał szklankę dla mnie i drugą z czubem dla siebie.

- Wiesz co? - powiedział. Ja właściwie bardzo lubię whisky. Gdyby nie boks, tobym dużo pił.

- Ano, bywa - zgodziłem się.

- Wiesz co? - ciągnął dalej. - Przez ten boks dużo straciłem w życiu.

- Ale zarobiłeś sporo forsy.

- Jasne. O to mi chodziło. Ale poza tym dużo straciłem. Sam przecież wiesz, Jerry.

- Na przykład?

- Na przykład, jeśli idzie o żonę. No i tyle czasu spędzam poza domem. To niedobrze dla moich córek. "Co robi twój stary?" - pytają je pewno koleżanki, wiesz, te z lepszego towarzystwa. A one na to: "Mój stary? To przecież Jack Brennan." Tak, to dla nich niedobrze...

- Eee, ważne, że mają forszę, nic innego. Jak mają forszę, to już dobrze.

- Prawda. Trochę forsy dla nich zarobiłem... Nalał jeszcze jedną kolejkę. Butelka była już prawie pusta.

- Dolej wody - poradziłem.

Jack dolał wody.

- Wiesz co? - powiedział. - Nie wyobrażasz sobie, jak mi brak żony.

- Wiem.

- Nic nie wiesz. Pojęcia nie masz, jak mi brak żony.

- Powinieneś się lepiej czuć na wsi niż w mieście.

- Wszystko mi teraz jedno, gdzie jestem. Nie wyobrażasz sobie, jak mi jest źle.

- No, jeszcze jednego.

- Czy ja już jestem pijany? Gadam jakieś głupstwa?

- Dochodzisz, dochodzisz.

- Nie wyobrażasz sobie, jak to jest. Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest.

- Z wyjątkiem żony?

- O, tak. Ona rozumie. Ona dobrze wszystko wie. Ona wie. Założę się z tobą, że ona wie...

- Dolej wody, Jack.

- Jerry, ty pojęcia zielonego nie masz, jakie to się robi okropne...

Był pijany. Zupełnie. Wlepił we mnie oczy. Jakoś troszkę za bardzo wlepił.

- No, teraz będziesz dobrze spał.

- Słuchaj, Jerry, chcesz zarobić trochę forsy? Jeśli chcesz, to postaw na Walcotta.

- Tak powiadasz?



- Słuchaj, Jerry - Jack odstawił szklanę. - Teraz nie jestem pijany, rozumiesz?

Wiesz, ile postawiłem na Walcotta? Pięćdziesiąt kawalców.

- Ho, ho, pięćdziesiąt tysięcy. To duża forsa.

- Aha, pięćdziesiąt kawalców. Dwa do jednego. Zarobię dwadzieścia pięć tysięcy.

Postaw na Walcotta, Jerry.

- Nęcąca propozycja.

- No, bo jakże ja go mogą pokonać? Tu nie ma żadnego kantu, Jerry. Jakże ja go mogę zwyciężyć? Dlaczego przy okazji nie zarobić?

- Dolej wody, Jack.

- Po tym spotkaniu wycofuję się. Koniec, kropka. Wezmę raz lanie, i koniec.

Dlaczego przy tym nie zarobić?...

Dlaczego nie.

- Od tygodnia nie śpię. Całe noce leżę i zamartwiam się na śmierć. Nie mogę spać, Jerry. Ty sobie nie wyobrażasz, Jerry, jak to jest, kiedy nie można spać.

- Rozumiem.

- Nie mogę spać. Tylko tyle. Po prostu nie mogę spać. Po co dbać o siebie i pilnować się przez tyle lat, kiedy w końcu nie można spać?

- Tak, to bardzo źle.

- Ty sobie nie wyobrażasz, Jerry, jak to jest, kiedy nie można spać.

- Dolej wody - powiedziałem.

Koło jedenastej Jack kimnął. Położyłem go do łóżka. Taki się zrobił senny, że już nie mógł dłużej siedzieć. Rozebrałem go i położyłem do łóżka.

- Teraz to będziesz spał, Jack.

- Aha. Teraz będę spał.

- Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, Jerry - powiada Jack. - ; Jesteś moim jedynym przyjacielem.

- No, śpij - mówię mu.

- Będę spał - zgodził się.

Na dole Hogan siedział za biurkiem i czytał gazetę. Spojrzał na mnie, kiedy wszedłem.

- Utyliłeś chłopaczka do snu?

- Uhu, wyłączony z obiegu.

- To lepiej, niżby miał nie spać.

- No, pewnie.

- Tylko że będziesz miał drobny kłopot z tłumaczeniem tego prasie.
- Chwilowo nic mnie nie obchodzi. Też idę spać.
- Dobranoc - powiedział Hogan.

Rano zszedłem na dół około ósmej i zjadłem śniadanie. Obaj "pacjenci" ćwiczyli w wozowni pod nadzorem Hogana. Poszedłem tam i chwilę przyglądałem się.

- Raz, dwa, trzy, cztery - liczył Hogan. - Halo, Jerry - zobaczył mnie. - Jack wstał?
- Nie. Jeszcze śpi.

Wróciłem do pokoju i zacząłem się pakować. Około dziewiątej trzydzieści usłyszałem, że w sąsiednim pokoju Jack wstaje. Kiedy zszedł na dół, zszedłem i ja. Jack już siedział przy stole. Zjawił się też Hogan i stał koło niego.

- Jak się czujesz, Jack? - spytałem.
- Nieźle.
- Dobrze spałeś? - zainteresował się Hogan.
- Dobrze - odparł Jack. - Pali trochę w gębie, ale nie mam kaca.
- Szczęśliwie - powiedział Hogan, - To była dobra whisky.
- Wlicz do rachunku - mówi Jack.
- Kiedy chcesz jechać do miasta - spytał Hogan.
- Przed obiadem. Pociągiem o jedenastej. Siadaj, Jerry.

Hogan wyszedł. Usiadłem przy stole. Jack jadł grejpfruta. Kiedy znajdował pestkę, wypluwał ją na łyżeczkę, potem z łyżeczki składał na talerzyk.

- Zdaje się, że wczoraj byłem nieźle zawiany... - zaczął.
- Trochę piłeś.
- I, zdaje się, gadałem dużo głupstw.
- Można wytrzymać.
- Gdzie Hogan? - Jack skończył grejpfruta.
- W biurze.
- Mówiłem coś o stawianiu na kogoś pieniędzy? - spytał Jack. Trzymał w ręku łyżeczkę i dziobał nią grejpfruta.

Weszła dziewczyna z półmiskiem jajek na szynce. Zabrała grejpfruta.

- Proszę mi przynieść jeszcze jedną szklankę mleka - zwrócił się do niej Jack.

Dziewczyna wyszła.

- Powiedziałeś, żeś postawił pięćdziesiąt kawałków na Walcotta.
- To prawda.
- Dużo forsy.

- Trochę się tym martwię.
- Coś się może jednak zdarzyć.
- Nie - sprzeciwił się Jack. - Jemu bardzo zależy na tytule mistrza. Oni będą za nim.
- Nigdy nie można wiedzieć.
- Nie. Walcottowi naprawdę zależy. Dla niego to gruba forsa.
- Pięćdziesiąt kawałków to też gruba forsa.
- Dobry interes. Ja nie mogę zwyciężyć. Przecież wiesz, że i tak nie mogę zwyciężyć.
- Póki walczysz, masz szansę.
- Nie. Jestem skończony. To zwykły interes.
- Jak się czujesz?
- Właściwie świetnie. Brakowało mi tylko snu.
- Może ci dobrze pójść.
- Pokażą im ładną walkę - obiecał Jack.

Po śniadaniu Jack rozmawiał z żoną na międzymiastowej. Z kabiny w hallu.

- Pierwszy raz do niej dzwoni, od kiedy przyjechał - zdziwił się Hogan.
- Pisze co dzień.
- Aha - przyznał Hogan. - List kosztuje tylko dwa centy.

Hogan pożegnał się z nami. Murzyn Bruce, masażysta, odwiózł nas na stację wozem.

- Do widzenia, panie Brennan. Mam nadzieję, że rozkwasi pan tamtemu nos - życzył Bruce.

- Do widzenia, Bruce - powiedział Jack i dał mu dwa dolary. Bruce miał przy nim dużo roboty i teraz wydawał się rozczarowany. Miał w ręku te dwa dolary. Jack zobaczył, że się temu przyglądam.

- To było w rachunku policzył mi za masaż.

W pociągu Jack nic nie mówił. Usiadł w rogu, bilet wsunął za wstążkę kapelusza i wyglądał przez okno. Tylko raz się obrócił i powiedział:

- Zawiadomiłem żonę, że wynajmuję pokój w hotelu "Shelby", zaraz obok hali. Do domu wrócę jutro rano.

- To dobry pomysł, Jack. Żona widziała cię kiedy na ringu?
- Nie. Nigdy nie widziała, jak walczę.

Pomyślałem sobie, że Jack spodziewa się dostać tęgie lanie, skoro po walce nie chce od razu wracać do domu. Na dworcu wzięliśmy taksówkę do hotelu "Shelby". Przy wejściu pikolak zabrał nasze walizki. Podeszliśmy do portiera.

- Po ile pokoje? - pyta Jack.

- Tylko podwójne - powiada portier. - Mam ładny podwójny pokój za dziesięć dolarów.

- Za drogo.

- Mogę panu dać podwójny za siedem dolarów.

- Z łazienką?

- Naturalnie.

- No to może zostaniesz ze mną, Jerry?

- E, nie. Pójdę do szwagra.

- Kiedy nie potrzebujesz płacić, Jerry. Jak już muszę brać podwójny pokój, to niech go wykorzystam.

- Proszę wpisać się do książki - poprosił portier. Potem rzucił okiem na nazwiska. - Pokój dwieście trzydzieści osiem, panie Brennan.

Pojechaliśmy windą. Pokój był ładny, duży. Dwa łóżka i drzwi prosto do łazienki.

Jack obejrzał wszystko.

- Owszem, podoba mi się - stwierdził.

Pikolak, który z nami przyjechał, rozsunął story i wniósł walizki. Jack się nie kwapił, więc ja dałem chłopakowi dwadzieścia pięć centów. Umyliśmy się. Jack powiedział, że trzeba by pójść coś przegryźć..

Zjedliśmy obiad w knajpie Hanleya. Spotkaliśmy tam dużo naszych chłopaków. Kiedyśmy jedli, przysiadł się do nas John. Jack nie był w nastroju do rozmowy.

- Jak stoisz z wagą, Jack? - spytał go John. Jack pałaszował niezły obiad.

- Nawet w ubraniu nie będę miał nadwagi - odparł Jack. Nigdy nie musiał martwić się wagą; urodzony bokser wagi średniej, nie było obaw, żeby utył. A u Hogana stracił nawet parę uncji.

- No tak, o to jedno możesz się nigdy nie martwić - stwierdził John.

- Tak, o to jedno... - powtórzył Jack.

Po obiedzie poszliśmy do hali - Jack miał się urzędowo zważyć. Ważenie było wyznaczone na godzinę trzecią - waga średnia, sto czterdzieści siedem funtów. Jack stanął na wadze, owinął się ręcznikiem. Przed chwilą ważył się Walcott i teraz stał otoczony gromadą ludzi.

- No, zobaczymy, ile ci przybyło - powiedział Freedman, menażer Walcotta.

- Dobra, dobra - mruknął Jack. - Interesuj się swoim pupilkiem - wskazał głową Walcotta.

- Zrzuć ten ręcznik - powiedział Freedman.

- No, ile? - spytał Jack gości manipulujących skalą.
- Sto czterdzieści trzy - powiedział jeden z nich, zdrowy tłuścioch.
- Nisko się trzymasz, Jack - zauważył Freedman.
- Zważ go - warknął Jack.

Podszedł Walcott. Ramiona i łopatki jak w wadze ciężkiej. Blondyn. Nogi krótkie. Jack był od niego o pół głowy wyższy.

- Halo, Jack - powiedział. Miał twarz nieźle pokiereszowaną.
- Halo - odparł Jack. - Jak się czujesz?
- Zupełnie dobrze. - Walcott zdjął ręcznik z bioder i wszedł na wagę. Chyba nie było faceta o szerszych plecach i ramionach.

- Sto czterdzieści sześć funtów i dwanaście uncji.

Walcott zszedł na podłogę i uśmiechnął się do Jacka.

- No, źle z tobą Walcott - odezwał się John. - Jack będzie od ciebie lepszy o te cztery funty z hakiem.

- Więcej - wykrzywił się Walcott. - Bo idę teraz na obiad. Przybędzie mi.

Poszliśmy do szatni. Jack zaczął się ubierać.

- Ten chłopczyna groźnie wygląda - powiada do mnie.
- Wygląda, jakby mu nieraz dobrze wlepiono.
- O, z pewnością - odpowiada Jack. - Ale jemu nietrudno wlepić.
- Gdzie idziesz? - pyta John, kiedy Jack się ubrał.
- Z powrotem do hotelu. Wszystko załatwione?
- Aha - mówi John. - Wszystko załatwione.
- Trochę sobie odpocznę - oznajmia Jack.
- Przyjdę do ciebie za kwadrans siódma i pójdziemy coś przetrącić.
- Dobra.

W hotelu Jack zdjął pantofle i marynarkę i położył się. Ja napisałem list. Parę razy rzuciłem okiem na łóżko: Jack nie spał, leżał tylko nieruchomo i co pewien czas otwierał oczy. Wreszcie usiadł.

- Zagramy w dziobatkę, Jerry?
- Dobra, możemy zagrać.

Jack poszperał w walizce, wyjął karty i tabliczkę.

Zaczelśmy grać w tę dziobatkę i Jack ograł mnie na trzy dolary. Potem przyszedł John.

- Zagrasz w dziobatkę? - zaproponował Jack.

John położył kapelusz na stole. Kapelusz był cały mokry. Płaszcz Johna też był mokry.

- Pada? - spytał Jack.

- Leje - odparł John. - Taksówka, którą jechałem utknęła. Jakiś zator. Musiałem wysiąść i iść pieszo.

- No chodź, zagramy w dziobatkę - ponowił propozycję Jack.

- Powinieneś coś zjeść.

- Nie - sprzeciwił się Jack. - Jeszcze nie chcę jeść.

Więc grali w dziobatkę z pół godziny i Jack wygrał od Johna półtora dolara.

- No, możemy pójść coś zjeść - powiedział Jack. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

- Ciągłe pada?

- Aha.

- Zjemy tu, w hotelu - zaproponował John.

- Dobra - zgodził się Jack. - Zagramy jeszcze jedną rundkę, przegrany stawia kolację.

Po paru minutach Jack wstaje i mówi:

- Ty fundujesz, John.

Więc zeszliśmy na dół do wielkiej sali restauracyjnej.

Po kolacji wróciliśmy na górę i Jack dalej grał w dziobatkę z Johnem i znowu go ograł na dwa i pół dolara. Był w dobrym humorze. John przyniósł walizkę, a w niej wszystko, co potrzeba. Jack zdjął kołnierzyk, koszulę, włożył sweter i dres, żeby się nie przeziębic, kiedy wyjdzie na dwór. Płaszcz i kostium upchał do walizki.

- Jesteś gotowy? - spytał John. - Zadzwońię po taksówkę.

Po chwili portier zawiadomił nas przez telefon, że taksówka czeka. Zjechaliśmy na dół windą, przez hali wyszliśmy na ulicę do taksówki. Ciągłe padał spory deszcz, ale na chodnikach było pełno ludzi. W hali wszystkie miejsca sprzedane. Idąc do szatni widzieliśmy, jak tam nabite. Wydawało się, że do ringu jest z pół mili. Dokoła panował mrok, tylko ring był oświetlony.

- Dobrze, że pada. Gdyby była lepsza pogoda urządziliby pewno mecz na stadionie - odezwał się John.

- Sporo ludzi - zauważył Jack.

- Na taką walkę przyszłoby ich jeszcze więcej, gdyby tylko hala mogła pomieścić.

Przez tę pogodę...

- Nigdy nie należy liczyć na pogodę - stwierdził Jack i zniknął w szatni.

Po chwili John wsadził głowę przez drzwi. Jack siedział owinięty szlafrokiem, skrzyżował ramiona i patrzył w podłogę. Za Johnem stali dwaj arbitrzy i zaglądali mu ciekawie przez ramię. Jack podniósł głowę.

- Tamten już jest? - spytał.

- Akurat idzie.

- No i potem wyszliśmy. Walcott wchodził właśnie na ring. Tłum witał go hałaśliwie. Walcott przełaził między sznurami, podniósł do góry złączone w uścisku dłonie i uśmiechał się. I potrząsał tymi dłońmi w kierunku publiczności - w jedną stronę ringu, potem w drugą. W końcu usiadł. Jackowi też urządzono owację, kiedy szedł w stronę ringu. Jack jest Irlandczykiem, a Irlandczycy zawsze zbierają owacje. Irlandczycy nie ściągają w Nowym Jorku takich tłumów jak Żydzi albo Włosi, ale na ringu zawsze witani są owacyjnie. Jack wlaź na deski i pochylił się, żeby przejść między sznurami. Walcott wybiegł ze swego kąta i odciągnął sznur do dołu ułatwiając Jackowi przejście. Publiczność uważała, że to bardzo, ale to bardzo sportowo. Potem położył rękę na ramieniu Jacka i obaj stali tak przez chwilę.

- Popularności ci się zachciało. Ukochany mistrz ulicy - warknął Jack. - Zmiataj z tą łapą, ale już.

- Wolnego - Walcott ozdobił twarz uśmiechem.

Wszystko to robi wspaniałe wrażenie na publiczności. Co za dżentelmeni ci chłopcy. Przed walką życzą sobie szczęścia.

Solly Freedman przyszedł do naszego kąta, kiedy Jack bandażował sobie ręce, a John poszedł do Walcotta. Jack wysunął kciuk przez rozcięcie bandaża i potem gładko owinął całą dłoń. Zalepiłem mu bandaż plasterem na przegubie i dwa razy w poprzek napięstka.

- Hej! - krzyczy Freedman. - Po cholere ten plaster?

- Dotknij - powiada mu Jack. - Przecież to nie ołów, tylko miękki plaster. Nie bądź bałwanem.

Freedman stoi przez cały czas i patrzy, jak Jack bandażuje sobie drugą dłoń, a sekundant przynosi rękawice, naciąga je Jackowi i pasuje.

- Słuchaj, Freedman - mówi Jack. - Jakiej narodowości jest ten twój Walcott?

- A bo ja wiem - powiada Solly. - Jakiś Duńczyk czy coś takiego.

- Czech - wtrąca chłopak, który przyniósł rękawice.

Arbiter wywołuje bokserów na środek ringu. Jack podnosi się z miejsca. Walcott podchodzi pełen uśmiechów. Spotykają się, arbiter opiera ręce na ich ramionach.

- Halo, ulubieńcze ulicy - powiada Jack do Walcotta.

- Zamknij się - mówi Walcott.

- Dlaczegoś sobie wybrał takie nazwisko? - pyta Jack. - Nie wiesz, że Walcott był Murzynem.

- Słuchajcie... - zaczyna arbiter i klepie dalej pacierz znanych przepisów. Walcott raz mu przerywa. Łapie za ramię Jacka i pyta:

- Mogę bić, kiedy mnie tak złapie?

- Zabieraj łapska, mówię ci - syczy Jack. - Tu się nie filmuje.

Wracają na swoje miejsca w rogach ringu. Zdjąłem szlafrok z Jacka, chłopak oparł się o liny, zrobił parę przysiadów, podeszwami pantofli przejechał po kalafonii.

Gong. Jack szybko się obrócił i wyszedł na środek. Walcott ruszył ku niemu. Dotknęli się rękawicami i jak tylko Walcott opuścił ręce, Jack wylądował dwa razy lewą na twarzy przeciwnika. Tak, Jack był najlepszym bokserem, jakiego widziałem. Umiał walczyć jak nikt. Walcott ciągle na niego następował, parł do przodu, cały czas miał głowę nisko opuszczoną na piersi. Walcott lubi haki, nosi ręce nisko. Umie jedno: podejść blisko i walić proste. Ale ile razy podchodzi blisko, Jack częstuje go lewym prostym. Dzieje się tak za każdym razem, jakby to był automat. Jack po prostu bije lewą, lewa ląduje na szczęce Walcotta. Parę razy Jack próbuje kontrować, ale Walcott nurkuje i Jack trafia w ramię albo jego pięść prześlizguje się nad czubkiem głowy. Walcott jest taki sam jak każdy hakarz: zawsze boi się tylko podobnego do siebie. Oslania się wszędzie, gdzie by go można zaatakować, a lewymi prostymi w twarz wcale się nie przejmuje.

Po czterech rundach Jack załatwił Walcotta na tyle, że chłop ma trochę rozkwaszoną i pokrwawioną gębę. Ale ile razy Walcott zdoła podejść bliżej, Jack obrywa prostym tak mocno, że wykwitają mu dwie czerwone plamy tuż pod żebrami. Ile razy Walcott podchodzi, Jack robi zwarcie, potem wyswobadza jedną rękę i wali podbródkowym. Ale jeśli Walcottowi uda się wyswobodzić rękę, wtedy rąbie cepy w korpus Jacka tak, że chyba słychać na ulicy. Walcott to cepiarz.

I ciągnie się to przez trzy rundy. Żaden z nich nic nie mówi. Pracują cały czas. My też pracujemy niemało nad Jackiem w przerwach między rundami. Dobrze to wcale nie wygląda, choć na ringu nasz chłopak nie pracuje znowu tak ciężko. Jack nigdy nie pracuje ciężko, a te jego lewe są już chyba zupełnie automatyczne. Trafiają w twarz Walcotta, gdy tylko Jack tego chce. Jack jest zawsze spokojny w zwarciach i nie marnuje sił. Wie wszystko, co trzeba wiedzieć o walce w zwarcu, i dlatego udaje mu się wiele rzeczy, które nie powinny się udać. Kiedy walka odbywała się w naszym rogu, przyglądałem się, jak Jack kłamruje Walcotta, wyswobadza prawą rękę, wychodzi z podbródkowym i szczytem



rękawicy przejeżdża Walcottowi po nosie. Walcott nieźle zaczął krwawić i otarł nos o ramię Jacka, żeby mu użyczyć trochę tego koloru. Jack poderwał ramię dosyć ostro, zawadził o ten nos, potem znowu wyszedł prawą takim samym podbródkowym jak przedtem.

Walcott był wściekły jak nie wiem co. Nim minęło pięć rund, znienawidził szczerze Jacka. Jack nie był wściekły, to znaczy nie bardziej wściekły niż zwykle. Faceci, którzy z nim walczyli, prędko zaczynali żałować, że się wzięli do boksu. Jack nie mógł nigdy wyprowadzić z równowagi tylko Lewisa Ritchie. Ritchie zawsze miał w zapasie co najmniej trzy nowe brudne tricki, których Jack nie znał. Ale teraz Jack był na bezpiecznym gruncie, póki nie stracił siły uderzenia. Prał Walcotta bezlitośnie. Najśmieszniejsze było to, że Jack wyglądał jak klasyczny pugilista. Może dlatego, że miał w sobie wszystko, co potrzeba.

Po siódmej rundzie Jack powiada:

- Moja lewa słabnie.

I od tej chwili zaczął brać lanie. Na początku nie było tego widać, ale zamiast dalej nadawać ton walce, oddał inicjatywę Walcottowi. Już nie poruszał się na bezpiecznym gruncie, ale brnął w kłopoty. Już nie potrafił utrzymać Walcotta na odległość swoją lewą. I chociaż wszystko wyglądało niby tak jak przedtem, ciosy Walcotta zamiast trafiać w pustkę, trafiały w Jacka. Jack brał lanie.

- Która runda? - spytał.

- Jedenasta.

- Już nie mogę ustać - powiada. - Galareta w nogach.

Walcott miał przewagę od dłuższego czasu. Poprzednio Jack przyjmował ciosy w sposób odbierający im całą siłę. Teraz Walcott zaczął ładować twarde ciosy. Tak, to była maszyna. Jack próbował tylko się osłaniać. Nawet nie było widać, że bierze takie lanie.

Między rundami masowałem mu nogi. Czulem, jak drżą mu mięśnie pod moją ręką. Jack miał już dosyć.

- Jak punkty? - obrócił spuchniętą twarz w kierunku Johna.

- Jego walka.

- Myślę, że wytrzymam do końca - powiedział. - Żaden śmierdzący Czech nie przerobi mnie zbyt łatwo.

Wszystko szło tak, jak sobie Jack umyślił. Wiedział, że nie pokona Walcotta. Brakowało mu sił. Był skończony. Pieniądze miał jak w kieszeni i teraz, już dla własnej satysfakcji, chciał skończyć walkę w stylu. Nie miał zamiaru dać się pokonać przez k.o. Uderzył gong. Wypchnęliśmy Jacka na środek ringu. Szedł wolno. Walcott ruszył do ataku. Jack wpakował mu lewy prosty w głowę. Walcott przyjął go, przesunął się pod nim i zaczął

okładać korpus Jacka. Jack dążył do kłamrowania, ale to tak, jakby próbował ręką zatrzymać mechaniczną piłę. Oderwał się więc i w próżnię wypuścił prawy prosty. Walcott przyciął go lewym hakiem i Jack poszedł na deski. Oparł się na rękach i kolanach, spojrzał w naszym kierunku. Arbiter zaczął liczyć. Jack patrzył na nas i potrząsał głową. Na osiem John dał mu znak. Trudno było cokolwiek słyszeć, bo ludzie strasznie wrzeszczeli. Jack wstał. Arbiter licząc powstrzymywał Walcotta jedną ręką.

Kiedy Jack stanął, Walcott ruszył.

- Uważaj, Jimmy! - wrzasnął do niego Solly Freedman. Usłyszałem to wyraźnie mimo hałasu.

Walcott poszedł, Jack wpatrywał się w niego i nagle wpakował mu lewy prosty. Walcott tylko potrząsnął głową. Zepchnął Jacka na liny, ocenił dystans, lewym sierpowym, niezbyt ciężkim, wylądował na głowie Jacka, a prawym cepem, jak tylko mógł najmocniej i jak tylko mógł najniżej, uderzył w korpus. Chyba mu wyszło z pięć cali poniżej pasa. Zdawało mi się, że Jackowi oczy wyleżą z głowy, tak je wybałuszył. Otworzył usta jak ryba.

Arbiter chwycił Walcotta. Jack zrobił krok do przodu. Gdyby teraz poszedł na deski, poszłoby i pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jack posuwał się tak, jakby mu miały za chwilę wypłynąć wnętrzności.

- To nie było za nisko - powiedział. - Wypadek...

Ludzie tak wyli, że nikt nic nie słyszał.

- Wszystko w porządku - powtórzył Jack. Arbiter i Jack stali akurat naprzeciwko nas. Arbiter spojrzał na Johna i potrząsnął głową.

- No, chodź tu, bydlaku - powiada Jack do Walcotta.

John zawisł na linach. Miał przygotowany ręcznik, żeby go rzucić Jackowi. Jack stał parę kroków od lin, ruszył jeszcze krok naprzód. Po twarzy spływał mu pot. Zupełnie jakby ją kto wycisnął. Z nosa staczała się wielka kropla.

- No, chodź i bij się - powiada Jack do Walcotta.

Arbiter znowu spojrzał na Johna i wreszcie dał znak ręką Walcottowi.

- No, jazda, śmierdziuchu - powiedział.

Walcott poszedł. Sam nie wiedział, co ma robić. Nie przypuszczał ani przez chwilę, że Jack to przetrzyma. Jack władował mu lewy prosty w głowę. W hali wrzask zabijał wrzask. Obaj zawodnicy walczyli teraz po naszej stronie ringu. Walcott trafił Jacka dwa razy. Twarz Jacka była straszna - jej wyraz. Malował się na niej ogromny wysiłek utrzymania się na nogach. Przez cały czas myślał o miejscu, gdzie przed chwilą oberwał, i osłaniał je.

No i wtedy zaczął młócić. Jego twarz dalej miała ten straszny wyraz. Młócił trzymając łokcie nisko, przyciśnięte do boków. Walcott osłonił korpus i wtedy Jack zaczął wymierzać dzikie ciosy w głowę przeciwnika. Potem wypuścił lewy sierp i trafił Walcotta w pachwinę, wypuścił prawy prosty i władował mu w to samo miejsce, gdzie przed chwilą poczęstował go Walcott - dobrze poniżej pasa. Walcott poszedł na deski, złapał się za brzuch, przeturlał i zwinął w kłębek.

Arbiter złapał Jacka i wypchnął go do rogu. John wyskoczył na ring. A przez cały czas ten wrzask w hali. Arbiter zaczął gadać z sędziami, a potem zapowiadacz wyszedł z megafonem na ring i obwieścił: "Brennan zdyskwalifikowany. Zwyciężył Walcott!"

Arbiter powiedział do Johna:

- Co mogłem zrobić? Jack nie chciał przyznać, że sam został sfaulowany, a potem polazł zamroczony, żeby Walcottowi wpakować poniżej pasa.

- Tak czy inaczej przegrał - powiada John.

Jack siedzi na krześle. Zdjąłem mu rękawice, chłopak obiema rękami trzyma się za wątrobę. Kiedy ją tak trzyma, twarz robi mu się mniej straszna.

- Podejdz do niego i powiedz, że ci jest przykro - szepce mu John do ucha. - Będzie lepiej wyglądało.

Jack wstaje, na twarz występuje mu pot. Owijam go płaszczem. Jack trzyma się jedną ręką pod tym płaszczem za wątrobę i idzie przez ring. Podnieśli już Walcotta i próbują go doprowadzić do jakiegoś takiego stanu. W rogu Walcotta zebrało się dużo ludzi. Nikt się nie odzywa do Jacka, ale on pochyła się nad przeciwnikiem.

- Bardzo mi przykro - powiada. - Nie miałem zamiaru bić poniżej pasa.

Walcott nic nie mówi. Wygląda diablo źle.

- No, zostałeś mistrzem - powiada mu Jack. - Mam nadzieję, że ci to przyniesie cholerne zadowolenie i tyleż radości.

- Zostaw chłopaka - powiada Solly Freedman.

- Hallo, Solly - mówi Jack. - Bardzo żałuję, że uszkodziłem twojego szczeniaka.

Freedman tylko popatrzył na niego.

Jack wrócił do swojego rogu, wrócił kuśtykając śmiesznie, tępo. Przepchnęliśmy go przez liny, koło stołu prasy i w dół przejściem między ławkami. Różni ludzie chcieli klepać go po plecach.

Jack szedł między całym tym tłumem do szatni, otulony płaszczem. Ludzie są zadowoleni, że zwyciężył Walcott - tak szły zakłady.

Gdy tylko znaleźliśmy się w szatni, Jack kładzie się i zamyka oczy.

- Jedziemy do hotelu i wzywamy lekarza - powiada John.

- W środku miazga - stwierdza Jack.

- Cholernie mi przykro - bąka John.

- Wszystko będzie dobrze - mówi Jack.

Leży i ma oczy zamknięte.

- No, ładnie cię chcieli oszukać - odzywa się John.

- Twoi przyjaciele: Morgan i Steinfeld - dodaje Jack. - Miłych masz przyjaciół.

Leży, tylko teraz oczy ma otwarte. Na twarzy ciągle ten sam wyraz okropnego skoncentrowania.

- Jakie to śmieszne - powiada. - Człowiek szybko myśli, kiedy idzie o taką kupę forsy.

- Jesteś byczy chłop - mówi John.

- Nie - zaprzecza Jack. - To nie było nic nadzwyczajnego.

*Przełożył Jan Zakrzewski*

## PROSTA INDAGACJA

Na dworze śnieg sięgał wyżej okna. Słońce wpadało przez okno i oświetlało mapę wiszącą na sosnowych deskach ściany chaty. Słońce było wysoko i światło wpadało do środka ponad wierzchem śniegu. Od strony wejścia przekopano wzdłuż chaty rów i każdego pogodnego dnia ciepło słońca promieniowało od ściany na śnieg i poszerzało rów. Był koniec marca. Major siedział przy stole pod ścianą. Przy drugim stole siedział jego adiutant.

Major miał wokoło oczu dwa białe kręgi od ciemnych okularów, które chroniły jego twarz przed odbłaskiem słońca od śniegu. Reszta twarzy najpierw się przypiekła, potem opaliła, a potem znowu przypiekła przez opaleniznę. Nos miał spuchnięty, a skórę złuszczoną w miejscach, gdzie były pęcherze. Pracując nad papierami maczał palce lewej ręki w spodku z oliwą, po czym rozprowadzał oliwę po twarzy dotykając jej bardzo ostrożnie czubkami palców. Starannie otarł palce o krawędź spodka, tak że pozostała na nich tylko warstewka oliwy, i najpierw poklepał sobie czoło i policzki, delikatnie poklepał palcami nos. Kiedy skończył, wstał, wziął spodek z oliwą i poszedł do małej izby, w której sypiał.

- Zdrzemnę się trochę - powiedział do adiutanta. W tej armii adiutant nie ma stopnia oficerskiego. - Pan już to skończy.

- Tak jest, signor maggiore - odpowiedział adiutant. Odchylił się w krześle i ziewnął. Wyjął z kieszeni munduru książkę w papierowej oprawie i otworzył ją; następnie rozłożył książkę na stole i zapalił fajkę. Pochylił się nad stołem, aby poczytać, i pyknął z fajki. Następnie zamknął książkę i schował ją na powrót do kieszeni. Miał za dużo papierkowej roboty do załatwienia. Nie mógł się rozkoszować lekturą, dopóki tego nie skończył. Na dworze słońce schowało się za górę i jego światło przestało padać na ściankę chaty. Wszedł żołnierz i włożył do pieca kilka sosnowych gałęzi porąbanych na kawałki niejednakowej długości.

- Tylko cicho, Pinin - powiedział adiutant. - Pan major śpi.

Pinin był ordynansem majora, smagłym, młodym chłopcem. Powkładał starannie drzewo do pieca, zaniknął drzwiczki i wrócił na tyły chaty. Adiutant dalej pracował nad papierami.

- Tonani! - zawołał major.

- Signor maggiore?

- Proszę mi tu przysłać Pinina.

- Pinin! - zawołał adiutant. Pinin wszedł do izby. - Pan major was potrzebuje.

Pinin przeszedł przez główną izbę chaty ku drzwiom majora. Zapukał w uchylone drzwi.

- Signor maggiore?

- Wejdźcie - usłyszał adiutant głos majora - i zamknijcie drzwi.

Major leżał na pryczy. Pinin stanął przed nią. Major leżał z głową na plecaku, który wypchał zapasową odzieżą, żeby sobie zrobić poduszkę. Jego pociągła, opalona, pokryta oliwą twarz obróciła się do Pinina. Ręce leżały na kocu.

- Wy macie dziewiętnaście lat? - zapytał.

- Tak jest, signor maggiore.

- Byliście kiedy zakochani?

- Jak to, signor maggiore?

- No, zakochani... W dziewczynie.

- Bywałem z dziewczynami.

- Nie o to pytam. Pytam, czy byliście zakochani... W dziewczynie.

- Tak jest, signor maggiore.

- I kochacie się teraz w tej dziewczynie? Nie pisujecie do niej. Czytam wszystkie wasze listy.

- Kocham się w niej - powiedział Pinin - ale do niej nie pisuję.

- Jesteście tego pewni?

- Jestem pewny.

- Tonani - powiedział major tym samym tonem - czy pan mnie słyszy, jak mówię?

Z drugiego pokoju nie było odpowiedzi.

- Nie może słyszeć - powiedział major. - I jesteście zupełnie pewni, że kochacie dziewczynę?

- Jestem pewien.

- I - major spojrzał szybko na niego - że nie jesteście zepsuci?

- Nie wiem, co to znaczy zepsuty.

- Dobrze, dobrze - powiedział major. - Nie musicie tak się wywyższać.

Pinin wpatrywał się w podłogę. Major popatrzył na jego smagłą twarz, na niego całego od stóp do głów, i na jego ręce. Potem ciągnął dalej, bez uśmiechu:

- I naprawdę nie chcecie... - Major urwał. Pinin patrzył w podłogę. - Naprawdę waszym wielkim pragnieniem nie jest... - Pinin patrzył w podłogę. Major oparł głowę na plecaku i uśmiechnął się. Poczul prawdziwą ulgę; życie w wojsku było znanym

skomplikowane. - Dobry z was chłopak - powiedział. - Dobry z was chłopak, Pinin. Ale nie bądźcie tacy ważni i pilnujcie się, żeby nie przyszedł ktoś inny i nie wziął was.

Pinin stał bez ruchu przy pryczy.

- Nie bójcie się - rzekł major. Ręce miał splecione na kocu. - Ja was nie tknę. Możecie wrócić do swojego plutonu, jeżeli chcecie. Ale lepiej, żebyście zostali u mnie na służbie. Macie więcej szans, że nie zginiecie.

- Czy pan chce czegoś ode mnie signor maggiore?

- Nie - odrzekł major. - Idźcie i róbcie dalej to, co robiliście. A wychodząc zostawcie drzwi otwarte.

Pinin wyszedł zostawiając otwarte drzwi. Adiutant popatrzał na niego, kiedy przechodził niezgrabnie przez izbę i zniknął za drzwiami. Pinin był zarumieniony i ruszał się inaczej niż wtedy, kiedy przyniósł drzewo na opał. Adiutant popatrzał za nim i uśmiechnął się. Pinin wrócił niosąc jeszcze trochę drzewa do pieca. Major leżąc na pryczy i spoglądając na swój hełm w pokrowcu i okulary ochronne, wiszące na wbitym w ścianę gwoździu, słyszał, jak stąpał po podłodze. "A to mała szelma - pomyślał. - Ciekawy jestem, czy mi skłamał."

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## DZIESIĘCIORO INDIAN

Późnym wieczorem po święcie Czwartego Lipca Nick, wracając z miasta do domu dużym wozem wraz z Joe Garnerem i jego rodziną, minął po drodze dziewięciu pijanych Indian. Pamiętał, że było ich dziewięciu, bo Joe Garner powożąc w ciemnościach, zatrzymał konie, zeskoczył na drogę i odciągnął jednego z Indian, który leżał w koleinie i spał twarzą w piasku. Joe powlókł go w krzaki i wszedł na wóz.

- To już dziewiąty od miasta - powiedział.

- Ach, ci Indianie - odezwała się pani Garner. Nick siedział z dwoma młodymi Garnerami na

tylnej ławce. Wyjrzał ze swego miejsca, żeby zobaczyć Indianina, który leżał przy drodze, tam gdzie go zawlókł Joe.

- Czy to nie Bil Tabeshaw? - zapytał Carl.

- Nie.

- Miał całkiem podobne spodnie.

- Wszyscy Indianie noszą takie same.

W ogóle go nie widziałem - powiedział Frank. - Tata wyskoczył i wrócił, zanim zdążyłem spojrzeć. Myślałem, że poszedł zabić węża.

- Pewnie dziś w nocy wielu Indian zabija węże - odezwał się Joe Garner.

- Ach, ci Indianie - powiedziała jego żona.

Jechali dalej. Droga skręciła z głównego traktu i biegła między wzgórzami. Koniom było ciężko, więc chłopcy wysiedli i szli piechotą. Droga była piaszczysta. Na szczycie wzgórza, niedaleko szkoły, Nick obejrzał się. Zobaczył światła Petoskey, a dalej, za zatoczką, oświetlone Harbour Springs. Wsiedli z powrotem na wóz.

- Powinni podsypać żwirem ten kawałek drogi - odezwał się Joe Garner.

Wóz jechał teraz lasem. Joe i pani Garner siedzieli obok siebie na przednim siedzeniu, a Nick między chłopcami. Droga wyszła z lasu na polanę.

- To tutaj tata przejechał skunksa.

- Nie, dalej.

- Wszystko jedno gdzie - powiedział Joe nie obracając głowy. - Każde miejsce jest dobre, żeby przejechać skunksa.

- Wczoraj wieczorem widziałem dwa - rzekł Nick.

- A gdzie?

- Nad jeziorem. Szukały na brzegu zdechłych ryb.



- To pewnie były szopy - powiedział Carl.

- Nie, skunksy. Chyba znam się na skunksach.

- Powinieneś się znać - odparł Carl. - Bo masz indiańską dziewczynę.

- Nie mów tak, Carl - powiedziała pani Garner.

- No, bo one śmierdzą mniej więcej tak samo. Joe Garner roześmiał się.

- Nie śmieję się, Joe - ciągnęła pani Garner. - Nie pozwolę Carlowi tak mówić.

- A ty rzeczywiście masz Indiankę, Nickie? - zapytał Joe.

- Nie.

- Ale ma, tatusiu - powiedział Frank. - Jego dziewczyna to Prudence Mitchell.

- Wcale nie.

- Chodzi do niej co dzień.

- Nic podobnego. - Nick, w ciemnościach, siedząc między dwoma chłopcami, był w głębi duszy rad, że tak się z nim przekomarzają na temat Prudence Mitchell.

- To nie jest moja dziewczyna - powiedział.

- Posłuchaj, co on gada - rzekł Carl. - Przecież co dzień widuję ich razem.

- A Cari nie może sobie znaleźć dziewczyny - powiedziała matka. - Nawet squaw.

Carl zamilkł.

- Bo on nie umie dać sobie rady z dziewczynami - rzekł Frank.

- Cicho bądź.

- Masz rację, Carl - powiedział Joe Garner. - Dziewczyny nie wychodzą mężczyźnie na dobre. Weź choćby własnego ojca.

- I ty to mówisz. - Pani Garner podsunęła się bliżej do męża, gdy wóz podskoczył. - Miałeś do licha dziewczyn w swoim czasie.

- Założą się, że tata nigdy by sobie nie wziął Indianki.

- Nie bądź taki pewny - odparł Joe. - A ty lepiej pilnuj tej Prudie, Nicku.

Żona szepnęła mu coś, a on się roześmiał.

- Z czego ojciec się śmieje? - zapytał Frank.

- Nie mów - przestrzegła żona. Joe roześmiał się znowu.

- Niech sobie Nickie ma tę Prudence - powiedział. - Ja też mam dobrą dziewczynę.

- Tak trzeba mówić - rzekła pani Garner. Konie z trudem ciągnęły wóz przez piach.

Joe sięgnął batem w ciemność.

- No, ciągnijcie. Jutro będziecie miały cięższą robotę.

Pokłusowali w dół po długim stoku wzgórza. Wóz podskakiwał. Przed domem wszyscy wysiedli. Pani Garner otworzyła drzwi z klucza, weszła do środka i wróciła z lampą

w ręce. Carl i Nick pozdejmowali rzeczy umieszczone w tyle wozu. Frank wdrapał się na przednie siedzenie, żeby odprowadzić wóz do szopy, a konie uwiązać w stajni. Nick wszedł po schodkach i otworzył drzwi prowadzące do kuchni. Pani Garner układała w piecu drwa na ogień. Oblała je naftą i obróciła się.

- Do widzenia pani - powiedział Nick. - Bardzo dziękuję, że państwo mnie zabrali.

- Ach, dajże spokój, Nickie.

- Wspaniale się bawiłem.

- Bardzo nam z tobą przyjemnie. Nie zostałeś na kolacji?

- Chyba już pójdę. Tatusz pewnie na mnie czeka.

- No to idź. Powiedz Carlowi, żeby tu przyszedł, dobrze?

- Dobrze.

- Dobranoc, Nickie.

- Dobranoc pani.

Nick poszedł przez podwórze do szopy. Joe i Frank doili krowy.

- Dobranoc - powiedział Nick. - Fajnie było.

- Dobranoc, Nicku! - zawołał Joe Garner. - Nie zostaniesz, żeby coś zjeść?

- Nie mogę. Niech pan powie Carlowi, że matka go woła.

- Dobrze. Dobranoc, Nickie.

Nick ruszył boso ścieżką biegnącą przez łąkę za szopą. Ścieżka była gładka, pod bosymi stopami czuł chłodną rosę. Na końcu łąki przelazł przez płot i poszedł dalej wąwozem. Stopy miał mokre od błota. Potem wszedł w suchy las bukowy i wreszcie dojrzał światła domku. Przelazł przez ogrodzenie i podszedł do frontowego ganku. Przez okno zobaczył ojca, który siedział za stołem i czytał coś przy świetle dużej lampy. Nick otworzył drzwi i wszedł do środka.

- No, Nickie - odezwał się ojciec. - Dobrze się bawiłeś?

- Pysznie, tatusiu. Pierwszorzędny Czwarty Lipca.

- Głodny jesteś?

- Ja myślę.

- Coś zrobił z butami?

- Zostawiłem na wozie u Garnerów.

- Chodź do kuchni.

Ojciec poszedł pierwszy z lampą. Przystanął i podniósł klapę lodówki. Nick wszedł do kuchni.

Ojciec wyjął półmisek z kawałkiem zimnego kurczęcia i dzbanek mleka i postawił to na stole przed Nickiem. Odsunął lampę.

- Jest też kawałek placka - powiedział. - Wystarczy ci?

- No chyba.

Ojciec usiadł na krześle przy stole nakrytym ceratą. Rzucił ogromny cień na ścianę kuchni.

- Kto wygrał mecz?

- Petoskey. Pięć trzy.

Ojciec siedział, patrzył, jak Nick je, i nalał mu do szklanki mleka z dzbanka. Nick wypił i otarł usta serwetą. Ojciec zdjął z półki placek i ukrajał spory kawałek. Był to placek z borówkami.

- Coś porabiał, tato?

- Rano poszedłem na ryby.

- I co złowiłeś?

- Tylko okonie.

Ojciec siedział i przypatrywał się Nickowi jedzącemu placek.

- A po południu co robiłeś? - zapytał Nick.

- Poszedłem na spacer w stronę obozu indiańskiego.

- Widziałeś kogo?

- Wszyscy Indianie piją dziś w mieście.

- I w ogóle nikogo nie widziałeś?

- Owszem, twoją znajomą, Prudie.

- Gdzie była?

- W lesie, z Frankiem Washburnem. Wpadłem prosto na nich. Nie najgorzej się zabawiali.

Ojciec nie patrzył na Nicka.

- Co robili?

- Nie czekałem, żeby się przekonać.

- Powiedz mi, co robili.

- Czy ja wiem - odparł ojciec. - Ot, słyszałem, jak się tam tarłosili.

- A skąd wiesz, że to byli oni?

- Bo ich widziałem.

- Przecież mówiłeś, żeś nie widział

- Owszem, widziałem.
- I kto to z nią był?
- Frank Washburn.
- Czy oni... czy oni...
- Czy oni co?
- Czy było im dobrze?
- Chyba tak.

Ojciec wstał od stołu i wyszedł z kuchni. Kiedy wrócił, Nick wpatrywał się w swój talerz. Widać było, że płakał.

- Chcesz jeszcze? - Ojciec wziął nóż, aby ukrajać placka.
- Nie - odpowiedział Nick.
- Zjedz jeszcze kawałek.
- Nie, nie chcę. Ojciec sprzątnął ze stołu.
- Gdzie oni byli tam w lesie? - zapytał Nick.
- Za obozem.

Nick wpatrywał się w talerz. Ojciec powiedział.

- Lepiej się połóż, Nicku.
- Dobrze.

Nick poszedł do swego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Słyszał, jak ojciec krząta się po bawialni. Nick leżał ukrywając twarz w poduszce.

"Mam złamane serce - myślał. - Jeżeli tak się czuję, to znaczy, że muszę mieć złamane serce."

Po chwili usłyszał, że ojciec zdmuchnął lampę i poszedł do swego pokoju. Na dworze wiatr zaszumiał w drzewach i Nick poczuł przez zasłonę jego chłodny powiew. Leżał tak długo twarzą w poduszce, po jakimś czasie zapomniał o Prudence i wreszcie zasnął. Kiedy obudził się w nocy, usłyszał wiatr szumiący w koronach jodeł, szmer fal na brzegu jeziora i zasnął znowu.

Rano dał silny wiatr, fale wdzierały się daleko na brzeg, a Nick przebudziwszy się leżał przez dłuższy czas, zanim przypomniał sobie, że serce ma złamane.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## KANAREK

Pociąg bardzo szybko minął długi dom z czerwonego kamienia i ogród, gdzie w cieniu czterech grubych palm stały stoły. Z drugiej strony było morze. Zaraz potem wjechał w rodzaj otwartego tunelu z gliny i czerwonego kamienia. Morze prześwitywało już tylko od czasu do czasu pomiędzy wielkimi głazami i było gdzieś nisko i daleko.

- Kupiłam go w Palermo - powiedziała Amerykanka. - Puścili nas na ląd na godzinę. Była niedziela rano. Kupiec żądał zapłaty w dolarach. Dałam mu dolara i pięćdziesiąt centów. Śpiewa naprawdę przepięknie.

Było bardzo gorąco w pociągu i bardzo gorąco w naszym przedziale lit salon. Okno było otwarte, ale nie dochodził do nas najmniejszy nawet przewiew. Amerykanka spuściła rolety. Morze znikło zupełnie, nie pojawiała się nawet od czasu do czasu. Z drugiej strony przedziału były oszklone drzwi, za nimi korytarz, potem otwarte okno, a za tym oknem jakieś pokryte kurzem drzewa i połyskliwa droga, i płaskie pola porośnięte winoroślą, za nimi zaś szare kamieniste wzgórza.

Gdy podjeżdżaliśmy do Marsylii, pojawiły się liczne dymiące kominy. Pociąg zwolnił biegu i pobiegł gładko torem, krzyżującym się z wieloma innymi torami, prosto na dworzec. Na dworcu w Marsylii pociąg nasz stał dwadzieścia pięć minut i Amerykanka kupiła sobie "Daily Mail" i pół butelki wody Evian. Pospacerowała po peronie, ale trzymała się blisko wejścia do naszego wagonu, w Cannes bowiem, gdzie zatrzymaliśmy się na dwanaście minut, pociąg ruszył bez żadnego ostrzeżenia i wskoczyła w ostatniej chwili. Amerykanka była przygłucha i obawiała się, że mogłaby nie usłyszeć sygnału do odjazdu.

Pociąg ruszył z Marsylii i zaraz było znowu mnóstwo dymu fabrycznego i liczne zwrotnice, a wychylając się przez okno i patrząc wstecz widać było całe miasto Marsylię, z okalającą je zatoką i kamienistymi wzgórzami, i ostatnie blaski słońca na wodzie. Gdy się zaczęło ściemniać, pociąg minął płonący w szczerym polu dom. Na szosie zatrzymały się liczne samochody, a po całym polu rozrzucone były meble i pościel, wyniesione z palącego się domu. Wielu ludzi przyglądało się pożarowi. Gdy się już zupełnie ściemniło, pociąg wjechał do Avignonu. Ludzie wsiadali i wysiadali. Francuzi, powracający do Paryża, obiegli kiosk i kupowali francuskie gazety z dzisiejszą datą. Na peronie stała grupa żołnierzy Murzynów. Mieli na sobie brunatne mundury, byli wysocy, a twarze ich błyszcząły w świetle elektrycznych latarni. Twarze ich były bardzo czarne i byli zbyt wysocy, by móc gapić się na nas przez okna wagonu. Gdy ruszaliśmy z dworca avignonskiego, Murzyni wciąż jeszcze stali na peronie. Był z nimi biały sierżant, niewielkiego wzrostu.

W przedziale lit salon konduktor pościelił już trzy łóżka, które wysunął ze ściany. Przez całą noc Amerykanka leżała z otwartymi oczami, był to bowiem pociąg rapide i rzeczywiście miał wielkie tempo, a ona bała się takiej szybkiej jazdy w ciemnościach. Poślanie Amerykanki znajdowało się najbliżej okna. A kanarek z Palermo, w klateczce przykrytej chustką, znajdował się w korytarzyku prowadzącym do umywalni, z dala od wszelkich możliwych przeciągów. Nad drzwiami przedziału była niewielka niebieska żarówka, a Amerykanka czuwała przez całą noc i leżała na swoim poślaniu oczekując katastrofy. Gdy zrobił się dzień, pociąg zbliżać się zaczął do Paryża. Amerykanka wyszła z umywalni; wyglądała nie więcej niż na czterdziestkę, schludnie i bardzo po amerykańsku, mimo że przez całą noc nie zmrużyła oka. Zdjęła chustkę z klatki kanarka, powiesiła klatkę w słońcu przy oknie i poszła do wagonu restauracyjnego. Gdy powróciła, łóżka były już zaścielone i wepchnięte z powrotem w ścianę, tak że tworzyły ławki, kanarek trzepotał skrzydełkami w promieniach słońca, okno było otwarte, a pociąg znajdował się tuż pod Paryżem.

- Bardzo kocha słońce - powiedziała Amerykanka - za chwilę zaczniesz śpiewać.

Kanarek zatrzepotał i skubnął się pod skrzydełkiem.

- Zawsze lubiłam ptaki - odezwała się znów Amerykanka. - Wiozę go do domu dla mojej córeczki. O, proszę, już śpiewa.

Kanarek zaświergotał, na krtani nastroszyły mu się piórka. Zaraz potem spuścił łebek i znów dziobnął się w brzuszek. Pociąg minął most i wjechał do bardzo starannie utrzymanego lasu. Potem minął wiele schludnych małych miasteczek podparyskich. W miasteczkach dzwoniły tramwaje, a na murach domów widniały reklamy Belle Jardiniere, Dubonneta i Pernod. Wszystko to razem miało wybitnie przedśniadaniowy wygląd. Amerykanka rozmawiała teraz z moją żoną, a ja od kilku minut nie przysłuchiwałem się już temu, co mówiła.

- Czy pani mąż też jest Amerykaninem? - pytała moją żonę.

- Tak - odpowiedziała żona - jesteśmy oboje Amerykanami.

- A ja myślałam, że państwo są Anglikami.

- O, nie.

- Może dlatego, że noszę szelki - wtrąciłem się. Amerykanka nie słyszała tego, co powiedziałem.

Była rzeczywiście głucha i czytała z warg, a ja byłem od niej odwrócony twarzą. Wyglądałem przez okno. Mówiła dalej do mojej żony:

- Tak się cieszę, że państwo są Amerykanami. Amerykanie to najlepsi mężowie. Dlatego opuściliśmy kontynent - dodała. - Moja córka zakochała się w pewnym młodym człowieku z Vevey. - Zamilkła na chwilę. - Byli zakochani w sobie powyżej uszu. - Znów zamilkła. - Zabrałam ją stamtąd, oczywiście - zakończyła.

- Czy przeszło jej? - spytała moja żona.

- Obawiam się, że nie - powiedziała Amerykanka. - Nie jada nic i nie sypia. Robię, co mogę, ale nie można jej niczym rozweselić. Nic ją już nie interesuje. Ale przecież nie mogłam dopuścić do tego, żeby wyszła za mąż za cudzoziemca. Ktoś kiedyś powiedział, że żaden cudzoziemiec nie uszczęśliwił jeszcze amerykańskiej dziewczyny.

- Chyba nie - powiedziała moja żona.

Amerykanka bardzo podziwiała podróźny płaszcz mojej żony i zaraz okazało się, że od dwudziestu lat zamawia wszystkie swoje rzeczy w pewnym maison de couture na Rue Saint Honoré. Mieli jej wymiary i była tam sprzedawczyni, która doskonale знаła ją i jej gust, i sprzedawczyni ta wybierała suknie i wysyłała je do Ameryki. Suknie te przychodziły do Nowego Jorku i były do odebrania na dzielnicowej poczcie bardzo niedaleko mieszkania, a cło nigdy nie było wygórowane, a to dlatego, że urzędnicy pocztowi, którzy otwierali paczki i oceniali ich zawartość, nie orientowali się w ich wartości, gdyż suknie były zawsze bardzo skromne, bez jakichś koronek czy haftów, które by nadawały im kosztowny wygląd. Sprzedawczyni nazywała się Thérèse, a przed nią była inna, która nazywała się Amélie. Przez dwadzieścia lat miała do czynienia tylko z tymi dwiema sprzedawczyniami. I zawsze zamawiała wszystko w tym samym maison de couture. Aie ceny, ceny za to poszły bardzo w górę przez te lata. Chociaż kurs dolara wyrównywał jakoś tę różnicę. Mieli tam teraz już również wymiary jej córki. Była już dorosła i wymiary jej nie powinny się były zmieniać.

Pociąg wjeżdżał do Paryża. Fortyfikacje były rozebrane, ale trawa nie zdążyła jeszcze odrosnąć. Na bocznych torach stały różne wagony. Brunatne drewniane wagony restauracyjne i brunatne drewniane wagony sypialne, które powinny były odjechać do Włoch o godzinie siedemnastej, pod warunkiem oczywiście, że pociąg na Włochy wciąż jeszcze odjeżdżał o siedemnastej. Na wagonach widniały napisy: "Paris - Rome". Były tam też wagoniki kolejki podmiejskiej, z ławkami na dachach. W pewnych godzinach wszystkie te ławki bywały zajęte, oczywiście, jeżeli nic się nie zmieniło od tamtych czasów. Mijali też wiele białych, ślepych ścian i wiele, bardzo wiele okien i domów. Wszystko wciąż wyglądało jeszcze wybitnie przedśniadaniowo.

- Najlepsi mężowie na świecie to Amerykanie - powiedziała znów Amerykanka do mojej żony. Zdejmowałem walizki z półek. Jedyni mężczyźni, jacy nadają się na mężów, to Amerykanie.

- A kiedy państwo opuściliście Vevey? - spytała moja żona.

- Na jesieni będzie dwa lata. Widzi pani, to dla niej wiozę tego kanarka.

- A czy ten młody człowiek, w którym zakochała się pani córka, jest Szwajcarem? - dopytywała się moja żona.

- Tak - odpowiedziała Amerykanka. - Nawet z bardzo dobrej szwajcarskiej rodziny. Studiował na politechnice, miał zostać niedługo inżynierem. Spotkali się tam, w Vevey. Chodzili na długie spacer.

- Znam dobrze Vevey - powiedziała moja żona. Byliśmy tam w podróży poślubnej.

- Naprawdę? To niebywałe. Nie miałam oczywiście pojęcia, że się w nim tak zakocha.

- To bardzo piękna miejscowość - wtrąciła moja żona.

- O tak - potwierdziła Amerykanka. - Tam jest naprawdę przepięknie. Gdzie państwo mieszkali?

- W "Trois Couronnes" - powiedziała moja żona.

- O, to taki świetny stary hotel.

- Tak, tak - przypomniała sobie moja żona. -

Mieliśmy bardzo miły pokój. A jesienią jakie tam były widoki.

- To państwo byli tam na jesieni?

- Tak - powiedziała moja żona.

Mijaliśmy właśnie trzy rozbite wagony. Ściany miały zgniecione, a dachy zupełnie zapadnięte.

- Popatrzcie, moje panie - powiedziałem. - Musiała tu być katastrofa.

Amerykanka wyjrzała przez okno i spostrzegła roztrzaskane wagony.

- Całą noc bałam się właśnie tego - westchnęła. - Mam czasami straszne przeczucia. Nigdy więcej nie będę jechała nocą pociągiem pośpiesznym. Są chyba jakieś inne wygodne pociągi, które nie pędzą z taką szybkością.

Teraz pociąg wjechał w mrok Gare de Lyon i zatrzymał się. Do okien podbiegli tragarze. Podawałem bagaż przez okno. Za chwilę stałem już na mrocznym długim peronie, a Amerykanka oddała się w opiekę jednemu z trzech agentów Cooka, który mówił. "Chwileczkę, proszę pani, zaraz znajdę pani nazwisko na liście."



Tragarz przyciągnął wózek i począł układać na nim walizki. Moja żona pożegnała się z Amerykanką i ja również pożegnałem się z Amerykanką, której nazwisko tymczasem odnalazło się na długiej liście, którą człowiek od Cooka chował teraz do kieszeni.

Poszliśmy za naszym tragarzem i jego wózkiem wzdłuż długiego peronu. Mijaliśmy całą długość pociągu. Na końcu peronu była furka i jakiś człowiek odebrał nasze bilety.

Powracaliśmy do Paryża, by załatwić formalności rozwodowe.

Przełożyła Mira Michałowska

## ALPEJSKA IDYLLA

Gorąco było schodzić w dolinę nawet tak wcześnie rano. Słońce roztopiało śnieg na nartach, które nieśliśmy, i osuszało drewno. W dolinie była wiosna, ale słońce było bardzo gorące. Przyszliśmy drogą do Galtur niosąc nasze narty i plecaki. Kiedy przechodziliśmy obok cmentarza, właśnie skończył się tam czyjś pogrzeb. Powiedziałem "Gruss Gott" [Niech bądź pochwalony] do księdza, który nas mijał wychodząc z cmentarza. Ksiądz skłonił się.

- Zabawne, że ksiądz nigdy do człowieka nie zagada - powiedział John.

- Zdawałoby się, że oni powinni chętnie mówić "Gruss Gott".

- A nigdy nie odpowiadają - rzekł John.

Przystanęliśmy na drodze i patrzyliśmy, jak grabarz zrzucił łopatą świeżą ziemię. Obok grobu stał chłop z czarną brodą, w skórzanych butach z cholewami. Grabarz przerwał robotę i rozprostował grzbiet. Chłop w butach z cholewami odebrał mu łopatę i począł dalej zasypywać grób - rozprowadzając ziemię równo, jak ktoś kto rozrzuci nawóz w ogrodzie. W jasnym świetle majowego poranka to zasypywanie grobu wydawało się nierealne. Nie mogłem sobie wyobrazić, że ktoś naprawdę umarł.

- Pomyśleć, że można być grzebanym w taki dzień - powiedziałem do Johna.

- Mnie by to się nie podobało.

- Ano, nie musimy tego robić - odrzekłem.

Poszliśmy dalej drogą do karczmy, mijając domy miasteczka. Przez cały miesiąc jeździliśmy na nartach w Silvretta i dobrze było znaleźć się znowu w dolinie. W Silvretta jeździło się doskonale, ale to już było wiosenne jeżdżenie, a śnieg dobry tylko z samego rana i wieczorem. Przez resztę dnia psuło go słońce. Obaj mieliśmy już dosyć słońca. Nie można było nigdzie od niego uciec. Jedyny cień dawały skały albo schronisko wybudowane pod jedną z nich, obok lodowca a znowu w cieniu pot zamarzał człowiekowi na bieliźnie. Nie można było posiedzieć przed schroniskiem bez ciemnych okularów. Przyjemnie jest opalać się na czarno, ale słońce bardzo nas zmęczyło. Nie mogliśmy w nim odpocząć. Cieszyłem się, że jestem na dole, z daleka od śniegu. Była już za późna wiosna, żeby siedzieć w Silvretta. Miałem trochę dosyć nart. Za długo tam byliśmy. Czulem jeszcze smak wody z roztopionego śniegu, którą piliśmy, kiedy ściekała z blaszanego dachu schroniska. Ten smak stanowił część mojego obecnego stosunku do nart. Cieszyłem się, że są jeszcze inne rzeczy poza nartami i że już jestem na dole, z dala od nienaturalnej wiosny wysokogórskiej, o tym majowym poranku w dolinie.

Karczmarz siedział na ganku, na krześle przysuniętym pod ścianę. Obok siedział kucharz.

- Skiheil! - zawołał karczmarz.

- Heil! odpowiedzieliśmy i oparłszy narty o ścianę zdjęliśmy plecaki.

- Jak tam było na górze? - zapytał karczmarz.

- Schon.[pięknie] Trochę za dużo słońca.

- Tak. O tej porze roku jest za dużo słońca. Kucharz dalej siedział na krześle.

Karczmarz

wszedł z nami do środka, otworzył swój kantorek i przyniósł naszą korespondencję.

Była tam paczka listów i trochę gazet.

- Zamówmy piwo - powiedział John.

- Dobrze. Wypijemy je w izbie.

Gospodarz przyniósł dwie butelki, które wypiliśmy czytając listy.

- Napijmy się jeszcze - powiedział John. Tym razem przyniosła piwo dziewczyna.

Uśmiechnęła się otwierając butelki.

- Dużo listów - powiedziała.

- Aha. Dużo.

- Prosit - rzekła i wyszła zabierając puste butelki.

- Już zapomniałem, jak smakuje piwo.

- Ja nie - odparł John. - Tam na górze, w schronisku, często o nim myślałem.

- Ano - powiedziałem - nareszcie je mamy.

- Nigdy nie trzeba niczego robić za długo.

- Tak. Za długo byliśmy w górach.

- Za długo, psiakrew - rzekł John. - Nie opłaca się niczego robić za długo.

Przez otwarte okno wpadało słońce i prześwietlało stojące na stole butelki. Butelki były do połowy opróżnione. Zebrało się w nich na piwie trochę piany, ale nie dużo, bo piwo było bardzo zimne. Pieniło się, kiedy je lałeś do wysokich kufli. Wyjrzałem przez otwarte okno na białą drogę. Rosnące przy niej drzewa były okryte pyłem. Za drogą było zielone pole i potok. Nad potokiem rosły drzewa i stał tartak z kołem wodnym. Przez otwarty bok tartaku dojrzałem długi drewniany kloc z werżniętą weń piłą, która podnosiła się i opadała. Zdawało się, że nikt jej nie obsługuje. Po zielonym polu lażyły cztery wrony. Jedna siedziała na drzewie i patrzyła. ?sra ganku kucharz wstał z krzesła i przeszedł przez sień prowadzącą na tyły, do kuchni. Słońce prześwietlało puste szklanki na stole. John pochylił się do przodu i oparł głowę na rękach.

Przez okno zobaczyłem dwóch mężczyzn wchodzących na frontowe schodki. Weszli do izby. Jednym z nich był ów brodaty chłop w butach z cholewami. Drugim był grabarz. Usiedli przy stoliku pod oknem. Przyszła dziewczyna i stanęła przed nimi. Chłop zdawał się jej nie widzieć. Siedział z rękami złożonymi na stole. Miał na sobie stary mundur wojskowy z łatami na łokciach.

- Co zamawiamy? - zapytał grabarz. Chłop nie zwrócił na to uwagi.

- Co pijecie?

- Sznapsa - odrzekł chłop.

- I ćwiartkę czerwonego wina - powiedział grabarz do dziewczyny.

Dziewczyna przyniosła trunki i chłop zaczął popijać sznapsa. Wyglądał przez okno. Grabarz obserwował go. John siedział z głową złożoną na stole. Spał.

Wszedł karczmarz i zbliżył się do tamtego stolika. Przemówił w dialekcie i grabarz coś mu odpowiedział. Chłop wciąż wyglądał przez okno. Karczmarz wyszedł z izby. Chłop wstał. Wyjął ze skórzanego portfela złożony banknot wartości dziesięciu tysięcy koron i rozwinął go. Dziewczyna podeszła.

- Alles? [wszystko] - zapytała.

- Alles - odpowiedział.

- Ja zapłacę za wino - odezwał się grabarz.

- Alles - powtórzył chłop do dziewczyny. Włożyła rękę do kieszeni fartucha, wyjęła pełną garść monet i odliczyła resztę. Chłop wyszedł z karczmy. Gdy tylko zniknął, karczmarz zjawił się znowu i zagadał do grabarza. Usiadł przy stoliku. Rozmawiali w dialekcie. Grabarz był rozbawiony. Karczmarz mówił coś z niesmakiem. Grabarz wstał od stolika. Był niskim mężczyzną z wąsami. Wychylił się przez okno i wyjrzał na drogę.

- Wszedł tam - powiedział.

- Pod "Lôwen"?

- Ja.

Znowu chwilę rozmawiali, po czym karczmarz podszedł do naszego stolika. Był wysokim, starym mężczyzną. Popatrzał na śpiącego Johna.

- Porządnie się zmęczył.

- Tak, wstaliśmy wcześniej.

- Będziecie panowie chcieli niedługo coś zjeść?

- Każdej chwili - odpowiedziałem. - A co jest do jedzenia?

- Co panowie sobie życzą. Kelnerka przyniesie kartę.

Dziewczyna przyniosła kartę dań. John się obudził. Menu było wypisane atramentem na karcie wsuniętej w drewnianą ramkę.

- Masz Speisekarte - powiedziałem do Johna. Popatrzał na nią. Był jeszcze senny.

- Napije się pan z nami? - spytałem karczmarza. Usiadł.

- Ci chłopci to zwierzaki - powiedział.

- Tego widzieliśmy na cmentarzu, jak przyszedliśmy do miasta.

- Grzebał swoją żonę.

- Aha.

- To zwierzak. Oni wszyscy tacy.

- Jak to?

- Nie uwierzylibyście panowie. Nie dalibyście wiary, co on zrobił.

- Niech pan opowie.

- Nie uwierzycie. - Karczmarz zwrócił się do grabarza: - Franz, chodź no tutaj. - Franz podszedł niosąc swoją flaszkę wina i szklankę.

- Panowie dopiero co zeszli z Wiesbadener-hutte - powiedział karczmarz. Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Czego pan się napije? - spytałem.

- Niczego. - Franz potrząsnął przecząco palcem.

- Może jeszcze ćwiartkę wina?

- No dobrze.

- Czy panowie rozumieją dialekt? - spytał karczmarz.

- Nie.

- O co to idzie? - spytał John.

- On ma nam opowiedzieć o tym chłopie, co zasypywał grób, jak przyszedliśmy do miasta.

- Ja i tak nie zrozumiem - rzekł John. - Dla mnie to za szybko idzie.

- Ten chłop - odezwał się karczmarz - przywiózł dzisiaj swoją żonę, żeby ją pochować. Umarła w listopadzie.

- W grudniu - powiedział grabarz.

- Cóż za różnica? No więc umarła w grudniu i on wtedy zawiadomił gminę.

- Osiemnastego grudnia - rzekł grabarz.

- Tak czy owak nie mógł jej przywieźć i pochować, dopóki śniegi nie stopniały.

- Mieszka po drugiej stronie Paznaunu - powiedział grabarz. - Ale należy do tej parafii.

- I w żaden sposób nie mógł jej przywieźć? - spytałem.

- Nie. Póki śnieg leży, może się wydostać stamtąd, gdzie mieszka, tylko na nartach. Więc dzisiaj przywiózł ją na pogrzeb i ksiądz, jak zobaczył twarz nieboszczki, nie chciał jej pochować. No, teraz ty dalej opowiedz - rzekł do grabarza. - Ale mów po niemiecku, nie w dialekcie.

- Z księdzem było bardzo zabawnie - powiedział grabarz. - Wedle tego zawiadomienia do gminy ona umarła na serce. My tu wiedzieliśmy, że chorowała na serce. Czasem mdlała w kościele. Od dawna tu nie przychodziła. Nie miała siły wspinać się z powrotem. No i kiedy ksiądz odsłonił jej twarz, spytał Olza: "Czy wasza żona bardzo cierpiała?" "Nie - odpowiedział Olz. - Jak wszedłem do domu, leżała nieżywa na łóżku."

Wtedy ksiądz znów jej się przyjrzał. Nie podobało mu się to.

"A jakim sposobem tak się zrobiło z jej twarzą?"

"Nie wiem" - odpowiedział Olz.

"To się lepiej dowiedzcie" - rzekł ksiądz i naciągnął koc z powrotem. Olz nic nie mówił. Ksiądz spojrział na niego, a on na księdza. "Chce ksiądz wiedzieć?" - zapytał.

"Muszę wiedzieć" - odrzekł mu ksiądz.

- W tym miejscu zaczyna się najlepsze - wtrącił karczmarz. - Słuchajcie, panowie. No, mów, Franz.

- Olz powiedział wtedy: "Ano, jak umarła, zawiadomiłem gminę i położyłem nieboszczkę w szopie, na grubych kłocach drzewa. Kiedy później zacząłem rąbać to grube drzewo, była już całkiem sztywna, więc postawiłem ją pod ścianą. Usta miała otwarte i jak przychodziłem wieczorem do szopy, żeby rąbać to drzewo, zawieszałem w nich latarnię."

"Dlaczego to robiliście?" - zapytał ksiądz.

"A bo ja wiem" - odpowiedział Olz.

"I często tak było?"

"Za każdym razem, jak szedłem pracować wieczorem w szopie."

"To bardzo źle - powiedział ksiądz. - Czy wyście kochali swoją żonę?"

"Jawohl, kochałem ją - odrzekł Olz. - Bardzo ją kochałem."

- Zrozumiał pan wszystko? - spytał karczmarz. - Zrozumiał pan to o jego żonie?

- Słyszałem.

- Może byśmy coś zjedli? - zapytał John.

- Zamów - odrzekłem. - Pan myśli, że to prawda? - spytałem karczmarza.

- Jasne, że prawda - powiedział. - Ci chłopcy to zwierzaki.

- A dokąd on teraz poszedł?

- Poszedł pić do mojego kolegi, pod "Lôwen".
- Nie chciał pić ze mną - odezwał się grabarz.
- Ze mną też nie chciał, odkąd Franz dowiedział się o jego żonie.
- Słuchaj - rzekł John. - Może byśmy coś zjedli?
- Dobrze - odpowiedziałem.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## WYŚCIG NA DOCHODZENIE

William Campbell prowadził od samego Pittsburga wyścig na dochodzenie z trupą kabaretową. W kolarskim wyścigu na dochodzenie zawodnicy startują w równych odstępach jeden za drugim. Jadą bardzo prędko, bo taki wyścig jest zwykle ograniczony do krótkiego dystansu i jeżeli któryś z kolarzy zwolni, inny, utrzymujący tempo, nadrobi przestrzeń dzielącą ich przy starcie. Gdy tylko jeden z kolarzy zostanie dopędzony i wyprzedzony, odpada z wyścigu i musi zsiąść z roweru i opuścić tor. Jeżeli żaden z zawodników nie zostaje dopędzony, zwycięzcą wyścigu jest ten, kto uzyskał największe wyprzedzenie. W większości takich wyścigów, jeżeli bierze w nich udział tylko dwóch kolarzy, któryś zostaje dopędzony na przestrzeni sześciu mil. Trupa kabaretowa dopędziła Williama Campbella w Kansas City.

William Campbell miał nadzieję utrzymać niewielkie prowadzenie nad trupą kabaretową do momentu, kiedy dotrą do wybrzeża Pacyfiku. Póki wyprzedzał trupę jako jej forpoczta, poty mu płacono. Kiedy trupa go dopędziła, właśnie leżał w łóżku. Leżał w łóżku, kiedy kierownik zespołu wszedł do jego pokoju, a po wyjściu kierownika Campbell uznał, że równie dobrze może pozostać w łóżku. W Kansas City było bardzo zimno i nie spieszyło mu się do wyjścia. Nie lubił Kansas City. Sięgnął pod łóżko po butelkę i napił się. Po tym zrobiło mu się jakoś lepiej na żołądku. Pan Turner, kierownik trupy kabaretowej, odmówił przyjęcia trunku.

Rozmowa Williama Campbella z panem Turnerem odbyła się trochę dziwnie. Pan Turner zapukał do drzwi. Campbell powiedział: "Proszę!" Kiedy pan Turner wszedł do pokoju, zobaczył ubranie na krześle, otwartą walizkę, butelkę na krześle obok łóżka i kogoś leżącego w łóżku i całego nakrytego prześcieradłem.

- Panie Campbell - powiedział pan Turner.

- Nie może pan mnie wylać - odezwał się spod prześcieradła Campbell. Pod prześcieradłem było ciepło, biało i przytulnie. - Nie może pan mnie wylać, bo już zsiadłem z roweru.

- Pan jest pijany - rzekł pan Turner.

- O, tak - odparł William Campbell mówiąc przez prześcieradło i czując jego dotyk na wargach.

- Głupiec z pana - powiedział Turner. Zgasił światło elektryczne. Światło paliło się całą noc. Była już dziesiąta rano. - Pijany głupiec. Kiedy pan tu przyjechał?



- Przyjechałem tu wczoraj - odrzekł William Campbell mówiąc przez prześcieradło. Stwierdził, że jest mu przyjemnie mówić przez prześcieradło. - Czy pan kiedy mówił przez prześcieradło?

- Niech pan nie będzie taki dowcipny. Wcale pan nie jest zabawny.

- Nie próbuję być zabawny. Po prostu mówię przez prześcieradło.

- Rzeczywiście gadasz pan przez prześcieradło.

- Teraz może pan sobie iść - powiedział Campbell. - Już u pana nie pracuję.

- Chociaż tyle pan wie.

- Wiem dużo rzeczy powiedział William Campbell. Odchylił prześcieradło i spojrzał na pana Turnera. - Wiem dość, żeby móc spojrzeć na pana bez przykrości. Chciałby pan usłyszeć, co wiem?

- "Nie.

- To dobrze - powiedział William Campbell. - Bo w gruncie rzeczy nic nie wiem. Tylko tak sobie mówiłem. - Znowu naciągnął prześcieradło na głowę. - Strasznie przyjemnie jest pod prześcieradłem - powiedział.

Pan Turner stał przy łóżku. Był mężczyzna w średnim wieku, z dużym brzuchem i łąsą głową, i miał masę do roboty.

- Powinien pan zatrzymać się tu i przeprowadzić kurację. Załatwię to, jeżeli pan chce.

- Nie chcę się leczyć - powiedział William Campbell. - Wcale nie chcę się leczyć. Jest mi doskonale. Przez całe życie było mi doskonale.

- Od jak dawna pan jest w takim stanie?

- Co za pytanie? - odetchnął William Campbell przez prześcieradło.

- Od jak dawna pan jest zalany, Billy?

- Czy nie zrobiłem tego, co do mnie należało?

- Jasne. Ja tylko pytam, od jak dawna pan jest zalany.

- Nie wiem. Ale już mam z powrotem mojego wilka - dotknął prześcieradła językiem. - Mam go od tygodnia.

- Guzik pan ma.

- A jakże. Mój kochany wilk. Jak tylko się napiję, ucieka z pokoju. Nie znosi alkoholu. Biedne maleństwo. - Powiódł w koło językiem po prześcieradle. - To śliczny wilk. Jest taki sam jak zawsze. - William Campbell przymknął oczy i nabrał głęboko tchu.

- Musi pan się leczyć, Billy - powiedział Turner. - Keeley [metoda leczenia alkoholików] by panu nie zaszkodził. To nie jest złe.

- Keeley - rzekł William Campbell. - To niedaleko Londynu. - Przymknął oczy i znowu je otworzył muskając rzęsami prześcieradło. - Po prostu uwielbiam prześcieradła - powiedział. Spojrzał na pana Turnera. - Panie, pan myśli, że ja jestem pijany.

- Bo tak jest.

- Wcale nie.

- Jest pan pijany i już pan miał delirium tremens.

- Nie. - William Campbell otulił głowę prześcieradłem. - Kochane prześcieradło - powiedział oddychając przez nie delikatnie. - Śliczne prześcieradełko. Kochasz mnie, prawda? To jest wliczone w cenę pokoju. Całkiem jak w Japonii. Nie - powiedział. - Słuchaj pan, Billy, mój drogi "Ruchliwy Billy", mam dla pana niespodziankę. Nie jestem pijany. Tylko fest nastrzykany.

- Nie - powiedział pan Turner.

- Niech pan patrzy. - William Campbell podciągnął pod prześcieradłem prawy rękaw pidżamy i wysunął prawe przedramię. - Niech pan spojrzy. - Na rękę, od napiętka do łokcia, widniały małe sine krążki wokoło maleńkich granatowych śladów ukłuć. Krążki te prawie stykały się ze sobą. - To jest nowe osiągnięcie - rzekł William Campbell. - Popijam tylko trochę od czasu do czasu, żeby nie dopuszczać tego wilka do pokoju.

- Mają na to leczenie - powiedział "Ruchliwy Bill" Turner.

- Nie - odparł William Campbell. - Nie mają na nic leczenia.

- Nie może pan tak rezygnować - rzekł Turner. Usiadł na łóżku.

- Niech pan uważa na moje prześcieradło - powiedział William Campbell.

- Nie może pan rezygnować w swoim wieku i pompować w siebie tego paskudztwa tylko dlatego, że pan się wkleił w kłopoty.

- Bo prawo tego zakazuje. Jeżeli to o to panu idzie.

- Nie; idzie mi o to, że pan musi się przemóc.

Billy Campbell powiódł pieszczotliwie wargami i językiem po prześcieradle.

- Kochane prześcieradło - powiedział. - Mogę je całować i jednocześnie wszystko przez nie widzieć.

- Daj pan spokój z tym prześcieradłem. Po prostu nie wolno panu wpadać w ten nałóg.

William Campbell przymknął oczy. Zaczynał odczuwać lekkie mdłości. Wiedział, że te mdłości będą się wciąż wzmagaly, bez ulgi, jaką dają wymioty, dopóki się jakoś na to nie zaradzi. W tym właśnie momencie zaproponował, żeby pan Turner czegoś się napił. Pan Turner odmówił. William Campbell pociągnął łyk z butelki. Był to środek tymczasowy.

Turner go obserwował. Siedział już w tym pokoju znacznie dłużej, niż był powinien, bo miał dużo do roboty; ale chociaż codziennie obcował z ludźmi, którzy się narkotyzowali, nie cierpiał narkotyków, a bardzo lubił Williama Campbella, toteż nie chciał go zostawiać samego. Współczuł mu i był przekonany, że kuracja mogłaby coś pomóc. Wiedział, że w Kansas City mają dobre metody leczenia. Ale musiał już iść. Wstał.

- Słuchaj, Billy - powiedział William Campbell. - Chcę ci coś powiedzieć. Nazywają cię "Ruchliwym Billym". To dlatego że umiesz się ruszać. Ja jestem po prostu Billy. To dlatego że nigdy w ogóle nie umiałem się ruszać. Nie umiem się ruszać, Billy. Zawsze się pośliznę. Ile razy spróbuję, to się pośliznę. - Przymknął oczy. - Nie umiem się ruszać, Billy. To okropne, jak człowiek nie umie się ruszać.

- Tak - powiedział "Ruchliwy Billy" Turner.

- Co "tak"?

- To, co pan mówił.

- Nie - odparł William Campbell. - Nic nie mówiłem. To chyba pomyłka.

- Mówił pan o ruszaniu się.

- Nie. To nie mogło być o tym. Ale słuchaj, Billy, powiem ci sekret. Trzymaj się prześcieradeł, Billy. Z daleka od kobiet i koni, i... - przerwał - ...i orłów, Billy. Jeżeli lubisz konie, będziesz miał konie... a jeżeli lubisz orły, będziesz miał orły. - Zamilkł i schował głowę pod prześcieradło.

- Muszę już iść - powiedział "Ruchliwy Billy" Turner.

- Jeżeli lubisz kobiety, weźmiesz sobie dawkę - mówił William Campbell. - Jeżeli lubisz konie...

- Tak, już pan to mówił.

- Co mówiłem?

- O koniach i orłach.

- A, tak. Jeżeli lubisz prześcieradła... - Odetchnął w prześcieradło i potarł je lekko nosem. - Nic nie wiem o prześcieradłach - powiedział. - Dopiero zaczynam kochać to prześcieradło.

- Muszę już iść - powiedział pan Turner. - Mam masę do roboty.

- W porządku - orzekł William Campbell. - Każdy musi sobie iść.

- Lepiej już pójdę.

- Dobrze, idź pan.

- Nic panu nie dolega, Billy?

- Nigdy w życiu nie było mi lepiej.

- I dobrze się pan czuje?

- Doskonale. Niech pan idzie. Ja tu sobie trochę poleżę. Koło południa wstanę.

Ale kiedy pan Turner przyszedł do pokoju Campbella około południa, William Campbell spał, a ponieważ pan Turner był człowiekiem, który wiedział, co w życiu jest cenne, więc go nie zbudził.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## DZISIAJ JEST PIĄTEK

Trzej rzymscy żołnierze siedzą w tawernie; jest godzina jedenasta wieczorem. Pod ścianami beczki. Za drewnianym kontuarem stoi Hebrajski sprzedawca wina. Trzej rzymscy żołnierze są trochę wstawieni.

I żołnierz rzymski: Próbowaleś tego czerwonego?

II żołnierz: Nie, jeszcze nie.

I żołnierz: To lepiej spróbuj.

II żołnierz: No, dobra, Georg, kolejkę czerwonego!

Hebrajski sprzedawca wina: Proszę bardzo, panowie. Będzie panom smakowało (podaje gliniany dzban, który napełnij winem z jednej z beczek). To bardzo dobre wino.

I żołnierz: Sam też się trochę napij (obraca się do III żołnierza rzymskiego, który siedzi oparty o beczkę.). A tobie co jest? III żołnierz rzymski: Brzucho mnie boli.

II żołnierz: Boś żłopał wodę.

I żołnierz: Spróbuj trochę czerwonego.

III żołnierz: Nie mogę pić tego draństwa. Bebechy mi od niego kwaśniejają.

I żołnierz: Ty już tu siedzisz za długo. III żołnierz: Cholera, dobrze to wiem. I żołnierz: Słuchaj, Georg, nie mógłbyś dać temu panu czegoś na podreperowanie żołądka?

Hebrajski sprzedawca wina: Mam tutaj coś takiego.

(III żołnierz rzymski próbuje z kubka napitku, który dla niego zmieszał Sprzedawca wina.) III żołnierz: Ej, coś ty tu wsadził? Wielbłądzie łajno?

Sprzedawca wina: Niech pan oficer to wypije. Zaraz panu pomoże.

III żołnierz: Ano, już nie mogę czuć się gorzej.

I żołnierz: Zaryzykuj. Georg niedawno fajnie mnie podleczył.

Sprzedawca wina: Pan oficer był w kiepskiej formie. A ja wiem, co dobre na chory żołądek.

(III żołnierz rzymski wypija kubek do dna.)

III żołnierz rzymski: Ten Jezus Chrystus. (Krzywi się.)

II żołnierz: ! ten fałszywy alarm!

I żołnierz: Czy ja wiem. Nieźle się tam dzisiaj zachował.

II żołnierz: A dlaczego nie zszedł z krzyża?

I żołnierz: Bo nie chciał zejść. To nie jego zagranie.

II żołnierz: Pokażcie mi takiego gościa, który by nie chciał zejść z krzyża.

I żołnierz: E, psiakrew, ty się nic na tym nie rozumiesz. Spytaj Georga. Georg, czy on chciał zejść z krzyża?

Sprzedawca wina: Muszę panom powiedzieć, że mnie tam nie było. To jest rzecz, którą wcale się nie interesowałem.

II żołnierz: Słuchaj, ja ich widziałem całą masę - tutaj i w wielu innych miejscach. Jak mi pokażesz takiego, co nie chciałby zejść z krzyża, kiedy już przyjdzie ta chwila - rozumiesz, kiedy przyjdzie ta chwila - to wleżę na krzyż razem z nim.

I żołnierz: Ja uważam, że on był dzisiaj bardzo dobry.

III żołnierz: Niezły był.

II żołnierz rzymski: Wy mnie nie rozumiecie, chłopaki. Nie mówię, czy był dobry, czy nie. Mnie idzie o to, jak przyjdzie ta chwila. Kiedy im zaczynają wbijać gwoździe, nie ma takiego, co nie chciałby tego przerwać, gdyby mógł.

I żołnierz: A ciebie to nie ciekawiło, Georg? Sprzedawca wina: Nie, panie oficerze; wcale się tym nie interesowałem.

I żołnierz: Ja byłem zaskoczony jego zachowaniem.

III żołnierz: Najbardziej nie lubię tego przybijania. Wicie, to musi być dosyć paskudne.

II żołnierz: Nie takie paskudne, jak kiedy ich podnoszą do góry (robi złożonymi dłońmi gest podnoszenia). Kiedy zaczyna obciążać ich własny ciężar. Wtedy ich to bierze.

III żołnierz: Niektórych bardzo mocno.

I żołnierz: A bom to ich nie widział? Całą masę. Mówię wam, że on był dzisiaj bardzo dobry.

(II żołnierz rzymski uśmiecha się do Hebrajskiego sprzedawcy wina.)

II żołnierz: Z ciebie się całkiem zrobił chrystusek, chłopie.

I żołnierz: Jasne, możesz się z niego nabijać. Ale słuchaj, jak ci coś mówię. On był dziś bardzo fajny.

II żołnierz: Może jeszcze trochę wina?

(Sprzedawca wina podnosi wzrok wyczekująco. III żołnierz rzymski siedzi ze spuszczoną głową. Wygląda niedobrze.)

III żołnierz: Ja już nie chcę więcej.

II żołnierz: - No to tylko dla dwóch, Georg.

(Sprzedawca wina stawia dzban o numer mniejszy od poprzedniego. Pochyla się do przodu, oparty o drewniany kontuar.)

I żołnierz: A widzieliście tę jego dziewczynę?

II żołnierz: Przecież koło niej stałem.

I żołnierz: Ładna babka.

II żołnierz: Znałem ją jeszcze przed nim.

(Mruga do Sprzedawcy wina.)

I żołnierz: Widywałem ją na mieście.

II żołnierz: Ona miała coś. Nie przyniósł jej szczęścia.

I żołnierz: O, on nie ma szczęścia. Ale dzisiaj wydał mi się tam pierwszorzędny.

II żołnierz: Co się stało z tą jego bandą?

I żołnierz: A, pozwiewali. Tylko kobiety przy nim zostały.

II żołnierz rzymski: To były strachliwe typy. Kiedy zobaczyli, jak wchodził na tę górę, mieli dosyć.

I żołnierz: A kobiety go się trzymały.

II żołnierz: Jasne, dobrze się go trzymały.

I żołnierz rzymski: Widzieliście, jak mu wsadziłem tę moją włócznię?

II żołnierz rzymski: Jeszcze kiedyś będziesz miał za to przykrości. I żołnierz: Przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić. Powiadam wam, że wydał mi się dziś bardzo dobry. Hebrajski sprzedawca wina: Panowie, wiecie, że muszę już zamykać.

I żołnierz rzymski: Wypijemy jeszcze jedną kolejkę.

II żołnierz rzymski: A po co? Nic się z tego nie ma. No, chodźcie, idziemy. I żołnierz: Jeszcze tylko jedną.

III żołnierz rzymski (wstając z beczki): Nie, chodźcie. Pójdziemy, cholernie się dzisiaj czuję.

I żołnierz: Jeszcze tylko jedną kolejkę.

II żołnierz: Nie, chodźcie. Trzeba iść. Dobranoc, Georg. Zapisz to na rachunek.

Sprzedawca wina: Dobrej nocy panom (ma nieco stroskaną miną). Czy pan oficer nie mógłby zostawić mi coś a conto?

II żołnierz rzymski: Co do cholery, Georg! Wypłata jest we środę.

Sprzedawca wina: W porządku, panie oficerze. Dobrej nocy panom.

(Trzej rzymscy żołnierze wychodzą na ulicę.)

(Na ulicy.)

II żołnierz rzymski: Ten Georg to hultaj, jak oni wszyscy.

I żołnierz rzymski: E, Georg jest fajny chłop.

II żołnierz: Dzisiaj każdy jest dla ciebie fajny.

III żołnierz rzymski: No, chodźcie do koszar. Parszywie się dzisiaj czuję.

II żołnierz: Bo już tu siedzisz za długo.

III żołnierz rzymski: Nie, to nie tylko to.

Czuję się paskudnie. II żołnierz: Siedzisz tutaj za długo. Nic więcej.

Kurtyna

*Przełożył Bronisław Zieliński*



## BANALNA HISTORIA

Jadł więc pomarańczę z wolna wypluwając pestki. Na dworze śnieg przechodził w deszcz. Wewnątrz piecyk elektryczny jakby wcale nie dawał ciepła, toteż wstał od biurka i usiadł na piecyku. Jakież to przyjemne! Oto nareszcie jest życie.

Sięgnął po drugą pomarańczę. Daleko, w Paryżu, Mascart znokautował na trupa Danny'ego Frusha w drugiej rundzie. Daleko w Mezopotamii spadł śnieg grubości dwudziestu jeden stóp. Na drugim końcu świata, w dalekiej Australii, krykieści angielscy strzelali bramki. Oto była Przygoda.

Wyczytał, że mecenas sztuki i literatury odkryli "The Forum". Jest to przewodnik, filozof i przyjaciel myślącej mniejszości. Nagrodzone opowiadania... czy ich autorzy napiszą nasze jutrzejsze bestselery? Będzie można smakować te ciepłe, swojskie, amerykańskie opowieści, kawałki prawdziwego życia na otwartym rancho, w zatłoczonych kamienicach czy też w wygodnych domach rodzinnych - a wszystko ze zdrowym podkładem humoru.

"Muszę to kiedyś przeczytać" - pomyślał. Czytał dalej. Dzieci naszych dzieci - cóż z nimi? Z którymi z nich? Trzeba wynaleźć nowe sposoby zapewnienia nam miejsca pod słońcem. Czy będzie to osiągnięte przez wojnę, czy też da się zrobić metodą pokojową?

Czy też wszyscy będziemy musieli przenieść się do Kanady?

Nasze najgłębsze przekonania - czy Nauka je obali? Nasza cywilizacja - czy jest niższa od starego porządku rzeczy?

A tymczasem w dalekich, wilgotnych dżunglach Jukatana rozlegał się stukot siekier drwali zwalających drzewa gumowe.

Czy nam potrzeba ludzi wielkich - czy też wolimy kulturalnych? Weźmy Joyce'a. Weźmy prezydenta Coolidge'a. Jaką gwiazdę winni obrać sobie za cel nasi studenci? Jest Jack Britton. Jest doktor Henry Van Dyke. Czy można ich pogodzić ze sobą? Weźmy sprawę młodego Striblinga.

A co z naszymi córkami, które same muszą dokonać sondowania? Nancy Hawthorne zmuszona jest sama sondować morze życia. Rozumnie i dzielnie podchodzi do problemów nastęrczających się każdej osiemnastoletniej dziewczynie.

To wspaniała książeczka.

Czy jesteś osiemnastoletnią dziewczyną? Weź przypadek Joanny d'Arc. Weź przypadek Bernarda Shawa. Weź przypadek Betsy Ross.

Pomyślcie o tych sprawach w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym... Czy była jakaś ryzykowna karta w historii purytanów? Czy Pocahontas miała dwa oblicza? Czy miała czwarty wymiar?

Czy nowoczesne malarstwo - i poezja - jest sztuką? Tak i nie. Weźmy Picassa.

Czy włóczędzy mają kodeks postępowania? Wyślij swój umysł na poszukiwanie przygód.

Przygoda jest wszędzie. Pisarze z "Forum" trafiają w sedno, mają humor i dowcip. Ale nie usiłują być przemądrzali i nigdy nie są nużący.

Życ pełnym życiem umysłowym, czerpać podniecie z nowych idei, upijać się Przygodą i niezwykłością. Odłożył książeczkę.

A tymczasem, rozciągnięty płasko na łóżku w zaciemnionym pokoju swojego domu w Trianie, leżał Manuel Garcia Maera z rurkami w obu płucach, konając na zapalenie płuc. Wszystkie gazety w Andaluzji poświęciły specjalne dodatki jego śmierci, której się spodziewano od kilku dni. Mężczyźni i chłopcy kupowali jego kolorowe wizerunki w całej postaci, żeby go zapamiętać, i patrząc na owe litografie zatracali ten jego obraz, który zachowali we wspomnieniu. Toreadorzy z wielką ulgą przyjęli jego śmierć, ponieważ zawsze robił na arenie te rzeczy, które oni potrafili robić tylko czasami. Wszyscy pomaszerowali w deszczu za jego trumną i stu czterdziestu siedmiu toreadorów odprowadziło go na cmentarz, gdzie został pochowany w sąsiednim grobie obok Joselita. Po pogrzebie wszyscy zasiedli w kawiarniach, bezpieczni od deszczu, i wiele kolorowych wizerunków Maery sprzedano ludziom, którzy zwinęli je i schowali do kieszeni.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## GDY BĘDZIEMY ZASYPIALI

Tej nocy leżeliśmy w izbie na podłodze, a ja słuchałem, jak jedwabniki jedzą. Jedwabniki w swoich przegródkach żywiły się liśćmi morwowymi i przez całą noc słychać było, jak je chrupią i osuwają się między nimi.

Co do mnie, to nie chciałem zasnąć, bo od dłuższego czasu żyłem w przeświadczeniu, że jeżeli zamknę oczy w ciemności i stracę kontrolę nad sobą, dusza uleci mi z ciała. Było tak ze mną od dawna, odkąd którejś nocy trafił nas granat, a mnie się wydało, że dusza ze mnie wylatuje, ucieka, a potem wraca. Próbowałem o tym nie myśleć, ale odtąd było tak co noc w chwili zasypiania i mogłem to opanować tylko ogromnym wysiłkiem. Więc chociaż teraz jestem pewny, że w rzeczywistości dusza nie wyszłaby ze mnie, wówczas, tamtego lata, wolałem nie ryzykować.

Miałem różne sposoby zajmowania moich myśli, kiedy leżałem bezsennie. Myślałem o potoku, w którym jako chłopiec łowiłem pstrągi, i w wyobraźni brodziłem w nim pilnie z wędką wzdłuż całego biegu, łowiąc starannie pod wszystkimi kłodami, we wszystkich załamaniach brzegu, w głębokich rozpadlinach, na przezroczystych płycznach, czasem chwytając pstrągi, a czasem je gubiąc. Przerывałem łowienie w południe, żeby zjeść obiad - niekiedy na kłodzie nad potokiem albo na wysokim brzegu, pod drzewem - a zawsze jadłem bardzo powoli, obserwując płynący w dole potok. Czasem zabrakło mi przynęt, bo wychodząc na połów zabierałem tylko dziesięć robaków w puszcze od tytoniu. Kiedy je wszystkie zużyłem, musiałem szukać innych, a nieraz było bardzo trudno wygrzebać je na brzegu potoku, gdzie cedry przesłaniały słońce i nie było trawy, tylko naga, wilgotna ziemia, toteż często nie udawało mi się znaleźć robaków. Zawsze jednak wyszukiwałem jakąś przynętę, ale raz na moczarach nic mi się nie trafiło i musiałem pociąć na przynęty jednego ze schwytych pstrągów.

Niekiedy znajdowałem owady na podmokłych łąkach w trawie albo pod paprociami i używałem ich do łowienia. Były to chrząszcze i owady mające nogi podobne do łodyżek trawy, czerwie kryjące się w starych, przegniłych pniach, białe poczwarki o brunatnych, chwytnych łebkach, które nie trzymały się na haczyku i znikwały w zimnej wodzie, kleszcze siedzące pod kłodami, gdzie można było znaleźć glisty, które wwiercały się w ziemię, gdy tylko podniosłem kłodę. Raz użyłem salamandry wydobytej spod starego pnia. Była bardzo mała, zgrabna, żwawa, ładnie ubarwiona. Miała drobne nóżki i próbowała pochwycić nimi haczyk, i potem już więcej nie brałem salamandry, choć znajdowałem je bardzo często. Nie używałem też świerszczy ze względu na to, co wyprawiały na haczyku.

Czasem potok biegł przez otwartą łąkę i wtedy w suchej trawie łapałem koniki polne, których używałem jako przynęt albo chwytałem je i wrzucałem do potoku patrząc, jak unoszą się na wodzie i zataczając koła na powierzchni pływają porwane prądem i nikną, gdy wynurzy się pstrąg. Niekiedy w ciągu nocy łowiłem w czterech lub pięciu różnych potokach, zaczynając możliwie jak najbliżej źródła i idąc z ich biegiem. Jeżeli skończyłem za szybko i jeszcze zostawało mi trochę czasu, łowiłem znowu wzdłuż całego strumienia; zaczynałem od jego ujścia do jeziora i szedłem w górę, usiłując pochwyć te pstrągi, które wymknęły mi się za pierwszym razem.

Bywały też noce, kiedy sam wymyślałem sobie potoki, czasami pełne niespodzianek; było to coś niby sen na jawie. Niektóre pamiętam do dziś, wydaje mi się, że łowiłem w nich rzeczywiście, i mylą mi się z potokami poznanymi naprawdę. Ponadawałem im wszystkim nazwy, jeździłem do nich pociągiem, a czasem szedłem piechotą całe mile.

Jednakże zdarzały się noce, kiedy nie mogłem łowić ryb i wówczas leżałem bezsennie, odmawiałem wciąż od nowa modlitwy i próbowałem modlić się za wszystkich ludzi, jakich znałem. To zabierało wiele czasu, bo jeśli ktoś usiłuje przypomnieć sobie wszystkich, których znał, sięgając myślą do najwcześniejszych wspomnień - w moim przypadku do poddasza domu, gdzie się urodziłem, i tortu weselnego rodziców zachowanego w blaszanym pudełku zawieszonym tam u krokwi, a dalej słoików z węzami i innymi okazami uzbieranymi przez ojca, kiedy był jeszcze chłopcem, i przechowywanymi w spirytusie, który opadł już w słojach tak, że grzbiety węzów i innych stworzeń pobielają, wystając nad powierzchnię jeżeli więc ktoś sięga myślą tak daleko wstecz, to może przypomnieć sobie bardzo wiele osób.

A jeśli modlić się za nie wszystkie, odmawiając Zdrowaś Mario i Ojciec nasz za każdą, zajmuje to dużo czasu i w końcu robi się widno, a wtedy można zasnąć, jeżeli się jest w takim miejscu, gdzie można spać przy świetle dziennym.

W takie noce próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co mi się w życiu zdarzyło, zaczynając od chwili poprzedzającej mój wyjazd na wojnę i przechodząc od jednego wspomnienia do drugiego. Stwierdziłem, że nie mogę sięgnąć pamięcią dalej niż do tamtego poddasza w domu dziadka. Zaczynałem więc odtąd i przypominałem sobie wszystko z powrotem, aż do wojny.

Pamiętam, że po śmierci dziadka przenieśliśmy się z tego domu do nowego, zaprojektowanego i wybudowanego przez matkę. Wiele rzeczy, których nie mieliśmy zabrać z sobą, spalono na tylnym podwórku, i przypominam sobie, jak rzucono w ogień te słoje z poddasza, jak pękały w żarze, a płomień wystrzelał w górę, podsycany spirytusem.

Pamiętam węże płonące w ogniu na podwórku. Ale nie widziałem tam ludzi, tylko rzeczy. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, kto je palił, myślałem więc dalej, póki nie doszedłem do ludzi, a wtedy modliłem się za nich.

Z nowego domu zapamiętałem to, że matka stale coś czyściła i pilnie usuwała rzeczy zbędne. Kiedyś gdy ojciec pojechał na polowanie, oczyściła gruntownie sutereny i spaliła wszystko, co nie powinno było tam się znajdować. Gdy ojciec wrócił i wysiadłszy z bryczki uwiązał konia, ognisko wciąż jeszcze płonęło na drodze koło domu. Wszedłem na spotkanie ojca. Oddał mi strzelbę i spojrzał na ogień.

- Co to jest? - zapytał.

- Oczyszczałam sutereny, kochanie - powiedziała z ganku matka.

Czekała tam na niego uśmiechnięta. Ojciec popatrzał w ogień i trącił coś nogą. Potem pochylił się i wyjął jakiś przedmiot z popiołu.

- Idź po grabie, Nicku - powiedział.

Zszedłem do piwnicy, przyniosłem je, a ojciec zaczął bardzo ostrożnie grabić w popiele. Wyciągnął kilka kamiennych toporów, kamiennych noży do oprawiania zwierząt, narzędzi do sporządzania grotów do strzał, kawałków naczyń i wiele samych grotów. Wszystkie osmalił i nadzarał ogień. Ojciec wygrabił je starannie i poukładał na trawie przy drodze. Strzelba w skórzanym futerale i worki ze zwierzyną leżały tam, gdzie je zostawił, gdy wysiadł z bryczki.

- Zabierz strzelbę i worki do domu, Nicku, i przynieś mi papieru - powiedział.

Matka już weszła do wnętrza. Wziąłem strzelbę, która była ciężka i obijała mi się o nogi, i dwa worki i ruszyłem ku domowi.

- Bierz po jednym - powiedział ojciec. - Nie próbuj nosić za wiele na raz.

Położyłem na ziemi worki, zabrałem strzelbę i przyniosłem gazetę z kantorku ojca. Ojciec ułożył na niej wszystkie poczerniałe, pokruszone narzędzia kamienne, a potem je zawinął.

- Rozleciały się najlepsze groty - powiedział.

Poszedł do domu z paczką, a ja zostałem na trawie z dwoma workami. Po chwili wniósłem je do środka. W owym wspomnieniu widziałem tylko dwoje ludzi, więc modliłem się za nich.

Jednakże zdarzały się noce, kiedy nie mogłem sobie przypomnieć nawet modlitw. Dochodziłem tylko do słów: "jako w niebie, tak i na ziemi", zaczynałem od nowa i ani rusz nie udawało mi się przebrnąć dalej. Wtedy chcąc nie chcąc musiałem uznać, że nie pamiętam, dać spokój z odmawianiem modlitw tej nocy i próbować czegoś innego. Tak

więc bywały noce, kiedy usiłowałem przypomnieć sobie nazwy wszystkich zwierząt na świecie, a potem ptaków, potem ryb, potem krajów i miast, wreszcie rodzajów potraw i wszystkich ulic, jakie zapamiętałem z Chicago, kiedy zaś nie potrafiłem przypomnieć sobie już nic więcej, po prostu słuchałem. A nie pamiętam takiej nocy, żeby czegoś nie było słychać.

Jeżeli mogłem mieć światło, nie bałem się zasnąć, bo wiedziałem, że dusza wyjdzie ze mnie tylko po ciemku. Oczywiście wiele nocy spędziłem w miejscach, gdzie światło było, i wtedy spałem, bo czułem się niemal zawsze zmęczony, a często bardzo śpiący. Jestem też pewien, że nieraz spałem nie wiedząc o tym, lecz nigdy nie zasnąłem świadomie, a tej nocy słuchałem jedwabników. Nocą można słyszeć bardzo wyraźnie, jak jedzą, leżałem więc z otwartymi oczami i słuchałem.

W izbie był jeszcze jeden człowiek i ten też czuwał. Od dłuższego czasu słyszałem, że nie śpi. Nie mógł uleżeć tak spokojnie jak ja, bo może nie miał tyle praktyki w czuwaniu. Leżeliśmy na kocach rozpostartych na słomie, która szeleściła za każdym naszym ruchem, ale jedwabniki nie bały się hałasu i jadły spokojnie. Ze dworu dolatywały różne odgłosy, jakie usłyszeć można nocą siedem kilometrów za frontem, ale były one odmienne od tych drobnych szelestów w ciemnościach izby.

Towarzysz mój usiłował leżeć spokojnie. Wreszcie poruszył się znowu. Poruszyłem się i ja, aby wiedział, że nie śpię. Dziesięć lat przemieszkał w Chicago. Wzięli go do wojska w dziewięćset czternastym, kiedy przyjechał odwiedzić rodzinę, i przydzielili mi go jako ordynansa, bo mówił po angielsku. Czułem, że nasłuchuje, więc poruszyłem się na kocu.

- Nie może pan zasnąć, signor tenentel [panie poruczniku] - zapytał.

- Nie.

- Ja też nie mogę.

- Co wam jest?

- Nie wiem. Nie mogę spać.

- Czujecie się dobrze?

- No, chyba. Dobrze się czuję. Tylko nie mogę usnąć.

- Chcecie chwilę pogadać? - spytałem.

- Owszem. Ale o czym tu gadać w tym zakazanym miejscu?

- Tu jest zupełnie nieźle - powiedziałem.

- Ano, tak - odrzekł. - Nie najgorzej.

- Opowiedzcie, jak było w Chicago.

- Jużem to panu kiedyś opowiadał.

- No, to jakeście się ożenili.

- Też opowiadałem.

- Czy ten list w poniedziałek to był od niej?

- Aha. Przez cały czas do mnie pisuje. Dobrze sobie zarabia w tym sklepie.

- Będziecie mieli ładny sklep po powrocie.

- No, chyba. Fajnie go prowadzi. Zarabia kupę pieniędzy.

- Nie myślicie, że pobudzimy tamtych rozmową? - spytałem.

- Gdzie tam. Nic nie słyszą. A zresztą śpią jak wieprze. Ze mną to co innego - powiedział. - Ja jestem nerwowy.

- Mówcie ciszej - rzekłem. - Chcecie zakurzyć?

Zręcznie zapaliliśmy po ciemku papierosy.

- Pan niedużo pali, signor tenente.

- Nie. Właściwie rzuciłem palenie.

- No, cóż powiedział. Nie wychodzi lo człowiekowi na zdrowie i pewnie można do tego dojść, że nie odczuwa się braku. Słyszał pan kiedy, że ślepy nie ma ochoty palić, bo nie widzi dymu?

- Nie wierzę w to.

- Ja też myślę, że to bujda - powiedział. - Ot, gdzieś to słyszałem. Pan wie, jak to się słyszy różne rzeczy.

Zamilkliśmy obaj, a ja przysłuchiwałem się jedwabnikom.

- Słyszysz pan te cholerne robaki? - zapytał. - słychać, jak gryzą.

- Zabawne - powiedziałem.

- Signor tenente, czy panu coś naprawdę dolega, że pan nie może spać? Nigdy nie widzę, żeby pan spał. Odkąd przy panu jestem, nie sypia pan po całych nocach.

- Nie wiem, Janie - odpowiedziałem. - Na początku wiosny oberwałem paskudnie i to mi dokucza nocami.

- To samo ze mną - rzekł. - Nie powinienem był w ogóle iść na tę wojnę. Za nerwowy jestem.

- Może to się poprawi.

- Signor tenente, a w ogóle po co pan poszedł na tę wojnę?

- Czy ja wiem - odparłem. - Wtedy chciałem.

- Chciał pan - powiedział. - To nie było jakiś powód.

- Nie powinniśmy głośno mówić.

- Śpią jak wieprze - odparł. - A zresztą i tak nie rozumieją po angielsku. W ogóle nie rozumieją ni cholery. Co pan będzie robił, jak to się skończy i wrócimy do Stanów?

- Wezmę posadę w prasie.

- W Chicago? - - Może być.

- Pan kiedy czytał, co pisze ten Brisbane? Żona wycina to i przysyła mi tutaj.

- Owszem.

- Poznał go pan?

- Nie, ale go widziałem.

- Chciałbym poznać tego faceta. To fajny pisarz. Moja żona nie umie czytać po angielsku, ale kupuje gazetę tak samo jak wtedy, kiedy byłem w domu, wycina artykuły wstępne i kronikę sportową i przysyła mi.

- A jak tam dzieci?

- Doskonale. Jedna dziewczynka przeszła teraz do czwartej klasy. Wie pan, signor tenente, że gdybym nie miał dzieciaków, nie byłbym teraz pana ordynansem. Kazaliby mi siedzieć w linii przez cały czas.

- No to się cieszę, że macie dzieci.

- Ja też. Fajne dziewczynki, ale ja chciałbym chłopaka. Trzy dziewczuchy i ani jednego chłopca. Paskudny wynik.

- Dlaczego nie spróbujecie zasnąć?

- Nie, teraz bym nie mógł. Całkiem się rozczmuchałem, signor tenente. Ale martwię się, że pan nie śpi.

- Dam sobie radę, Janie.

- Co to jest, żeby taki młody człowiek nie spał.

- Jakoś przyjdę do siebie. Tylko trzeba na to czasu.

- Musi pan przyjść do siebie. Człowiek nie może dać sobie rady bez spania. Czy pan się czymś martwi? Coś pana gryzie?

- Nie. Janie. Chyba nic.

- Powinien pan się ożenić, signor tenente. Wtedy by pan się nie martwił.

- Nie wiem.

- Powinien pan się ożenić. Dlaczego pan sobie nie wybierze jakiejś ładnej włoskiej dziewczyny z kupą forsy? Mógłby pan wziąć, którą by pan chciał.

Jest pan młody, przystojny, ma pan odznaczenia. Był pan ranny kilka razy.

- Nie znam dość dobrze języka.



- Świetnie pan mówi. Do cholery ze znajomością języka. Nie trzeba do nich gadać. Trzeba się żenić.

- Pomyślę o tym.

- Przecież pan zna jakieś dziewczyny?

- No, pewnie.

- Więc niech pan się ożeni z tą, co ma najwięcej pieniędzy. Tak je tu wychowują, że każda będzie dla pana dobrą żoną.

- Zastanowię się nad tym.

- Niech pan się nie zastanawia, signor tenente. Niech pan to zrobi.

- Dobrze.

- Mężczyzna powinien być żonaty. Nie pożałuje pan tego. Każdy powinien mieć żonę.

- No, dobrze - powiedziałem. - Spróbujmy trochę pospać.

- Tak jest, signor tenente. Spróbuję jeszcze raz. Ale niech pan pamięta, co mówiłem.

- Zapamiętam - powiedziałem. - A teraz pośpijmy trochę, Janie.

- Tak jest - odparł. - Mam nadzieję, że pan zaśnie, signor tenente.

Usłyszałem, że zawija się w koce na słomie, a potem znieruchomiał zupełnie, ja zaś słuchałem jego regularnego oddechu. Wreszcie zaczął chrapać. Przez długi czas słuchałem tego chrapania, później przestałem i zacząłem przysłuchiwać się jedzącym jedwabnikom. Chrupały nieprzerwanie i osuwały się między liśćmi. Miałem nowy temat do rozmyślań, leżałem więc z otwartymi oczami w ciemnościach i myślałem o wszystkich dziewczynach, które znałem, i o tym, jakimi byłyby żonami. Był to temat bardzo interesujący i na pewien czas wyrugował zupełnie połowy pstrągów i przeszkodził mi w modlitwach. W końcu jednak wróciłem do pstrągów, bo przekonałem się, że pamiętam wszystkie potoki i zawsze znajduję w nich coś nowego; kiedy natomiast pomyślałem trochę o dziewczynach, zamazywały mi się, nie mogłem ich sobie przypomnieć i w końcu plątały się wszystkie i wydawały mniej więcej podobne do siebie, więc niemal zupełnie dałem spokój z myśleniem o nich.

Jednakże nie przestałem się modlić, bardzo często odmawiałem nocami modlitwy na intencję Jana i wreszcie jego rocznik został wycofany ze służby czynnej przed październikową ofensywą. Cieszyłem się, że go nie ma, bo miałbym z nim masę kłopotu. W kilka miesięcy później przyjechał odwiedzić mnie w szpitalu w Mediolanie; ogromnie był zawiedziony, że jeszcze się nie ożeniłem, i wiem, że miałby mi bardzo za złe, gdyby się

dowiedział, że wciąż jeszcze nie jestem żonaty. Wraciał do Ameryki, nie miał wątpliwości co do zalet małżeństwa i pewien był, że może ono wszystko załatwić.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## PO BURZY

Nie poszło o nic ważnego, bodajże o to, jak się robi poncz, i naraz zaczęliśmy się bić, ja się pośliznąłem, a ten mi kolanami na piersi i dusi mnie obiema rękami, jakby mnie chciał zabić, a ja przez cały czas próbuję wyciągnąć nóż z kieszeni, żeby go dźgnąć i żeby puścił. Wszyscy byli zanadto schlani, żeby go ze mnie ściągnąć. Dusił mnie, walił moją głową o podłogę, ale w końcu wyciągnąłem nóż, otworzyłem i chlasnąłem mu mięsień na rękę, a wtedy puścił. Nie mógłby trzymać, choćby chciał. Zleciał ze mnie, złapał się za tę rękę i wrzeszczy, a ja do niego:

- Za coś ty, do cholery, chciał mnie udusić? Mało go nie zabiłem. Nie mogłem łykać przez tydzień. Paskudnie mi poharatał gardło.

No i prysnąłem stamtąd, bo z nim była kupa innych, i niektórzy wylecieli za mną, więc ja za róg i do przystani, a tam spotkałem jednego gościa i ten mi powiedział, że człowieka zabili na ulicy. Ja na to:

- Kto go zabił? A on:

- Nie wiem, kto zabił, ale jest gotów.

Ciemno było, woda stała na ulicach, latarnie się nie paliły, okna powybijane, łodzie powyrzucało na brzeg, drzewa zwalone, wszystko poprzewracane, więc złapałem jakiś kajak i znalazłem swoją łódź przy wysepce Mango, tam gdzie ją zostawiłem. Była w porządku, tyle że pełna wody. Więc wybrałem i wypompowałem tę wodę, a nie było księżyca, tylko kupa chmur i wciąż jeszcze fest dęło; wyprowadziłem łódź i jak się zrobił dzień, już byłem daleko za Portem Wschodnim.

Bracie, ale to była burza. Moja łódź wypłynęła pierwsza, a nigdy nie widzieliście takiej wody. Biała niczym beczka ługu, a jak płynąłeś od Portu Wschodniego do Południowej Wyspy, toś nie mógł poznać brzegu. Przez sam środek plaży wypłukało wielki kanał. Drzewa zwalone, w środku przecięty kanał, woda jak kreda, a na niej, co chcesz: gałęzie, całe pnie, pozabijane ptaki - wszystko pływa. Między wysepkami latały pelikany z całego świata i najróżniejsze ptaki. Musiały tam powłazić, kiedy zrozumiały, że to idzie.

Przez cały dzień stałem przy Południowej Wyspie i nikt za mną nie przyplynał. Byłem tam pierwszy i zobaczyłem reję na wodzie, i już wiedziałem, że tu się rozbił statek, więcem go zaczął szukać. I znalazłem. To był trzymasztowy szkuner; tylko kikuty masztów sterczały nad wodą. Leżał za głęboko i nic mi się z niego nie dostało. Więc zacząłem szukać czego innego. Przyplynałem przed innymi, więc wiedziałem, że coś mi powinno kapnąć.

Z tego miejsca, gdzie zostawiłem ten trzymasztowy szkuner, popłynąłem dalej koło łachy, ale nie znalazłem nic, chociaż zrobiłem szmat drogi. Już byłem niedaleko ruchomych piasków i nic nie znalazłem, więc płynąłem dalej. A potem, jak już było widać latarnię Rebecca, zobaczyłem różne ptaki, co nad czymś ganiały, no to walę tam, żeby sprawdzić, co jest, i patrzę, a tu ich rzeczywiście cała chmara.

Widziałem, że coś wystaje z wody, jakby maszt, i kiedy się zbliżyłem, te wszystkie ptaki poderwały się i dawały latać nade mną. Woda tu była czysta, jakiś maszt sterczał trochę nad nią, a kiedy podpłynąłem blisko, zobaczyłem, że pod wodą jest coś ciemnego, jakby długi cień, to wpłynąłem prosto nad niego i okazało się, że na dnie leży liniowiec pasażerski - ot, leży sobie pod wodą, wielki jak cały świat. Przedryfowałem nad nim łodzią. Leżał na boku, rufą głęboko w dole. Wszystkie iluminatory miał na fest zamknięte, widać było szybki błyszczące w wodzie i cały statek, największy, jaki widziałem w życiu; leżał tam sobie, a ja przepłynąłem wzdłuż niego, potem zakotwiczylem, a że na przodzie łodzi miałem składak, więc go zepchnąłem na wodę i powiosłowałem tam, a ptaki ganiały wszędzie dokoła.

Miałem ze sobą szkło wodne, jakiego się używa do wylawiania gąbek, ale ręka tak mi się trzęsła, że ledwie je mogłem utrzymać. Wszystkie iluminatory, które widziałem, jakem płynął wzdłuż tego statku, były pozamykane, ale gdzieś w dole, blisko dna, coś musiało być otwarte, bo wciąż stamtąd wypływały jakieś kawałki. Nie wiadomo co. Ot, kawałki. To za tym ganiały te ptaki. Nigdy nie widzieliście tylu ptaków. Latały wszędzie dokoła, a darły się jak głupie.

Widziałem wszystko ostro i wyraźnie. Widziałem ten statek przewalony na bok, a wydawał się pod wodą na milę długi. Leżał na czystej, białej ławicy piasku, a ten maszt to był jakby fokmaszt czy inny takielunek; sterczał ukosem z wody, bo statek leżał na boku. Dziób nie był bardzo głęboko. Mogłem stanąć na literach nazwy statku na dziobie i głowę mieć akurat nad wodą. Ale najbliższy iluminator był ze dwanaście stóp głębiej. Ledwie go mogłem sięgnąć osęką i spróbowałem rozbić szybę, ale nie dałem rady. Szkło było za grube. Więc popłynąłem z powrotem do łodzi, wziąłem klucz francuski, przywiązałem do końca osęka, ale i tym nic nie zrobiłem. No i takem tam patrzył przez szkło na ten liniowiec; wszystko na nim było, ja przypląnąłem pierwszy i ani rusz nie mogłem się do niego dobrać. A musiało na nim być towaru za jakieś pięć milionów dolarów.

Aż mnie drzączka złapała, jakem pomyślał, co tam może być. Za tym zamkniętym okienkiem widziałem jakieś coś, ale przez szkło nie mogłem rozeznaczyć, co to takiego. Nic mi nie wychodziło z tym osęką, więc rozebrałem się, wstałem, zrobiłem parę głębokich

wdechów, dałem nura z rufy, z kluczem w ręce i popłynąłem w dół. Na chwilę złapałem się krawędzi tego iluminatora, zajrzałem do środka i patrzę, a tam jest kobieta, włosy ma rozpuszczone i tak jej falują w tej wodzie. Widziałem ją wyraźnie, więc mocno rąbnąłem dwa razy kluczem w szybę, aż mi w uszach brzęknęło, ale szkło nie puściło, a ja musiałem wypłynąć.

Uczepiłem się składaka, złapałem dech, a potem wdrapałem się do środka, odetchnąłem parę razy i znowu nura. Popłynąłem w dół, uchwyciłem się palcami krawędzi iluminatora i z całej siły trzasnąłem kluczem w szkło. Przez szybkę widziałem tę kobietę tam w wodzie. Włosy miała kiedyś ciasno upięte na głowie, ale teraz się rozwiązały i rozsnuły w wodzie. Widziałem, że ma pierścionki na ręce. Była zaraz za iluminatorem, więc uderzyłem dwa razy w szkło, ale nawet nie pękło. Kiedym wypłynął na górę, myślałem, że nie doczekam wierzchu i przedtem będę musiał odetchnąć.

Znurkowałem jeszcze raz i jakoś nadtkukłem szybę, ale tylko tyle, że pękła, a kiedy wypłynąłem, krew szła mi z nosa, więc stanąłem bosymi nogami na tych literach nazwy statku, wytknąłem głowę, odpocząłem trochę, a potem podpłynąłem do składaka, wciągnąłem się na niego, siadłem i czekałem, aż przestanie mnie boleć głowa, i patrzyłem w wodę przez szkło, ale takem krwawił, że musiałem to szkło opłukać. Potem położyłem się i przytrzymałem nos ręką, żeby zatamować krew, i leżałem sobie z głową przechyloną w tył, i patrzałem w górę, a tu wszędzie dokoła latało z milion ptaków.

Kiedy przestało krwawić, popatrzyłem jeszcze raz przez szkło i podpłynąłem składakiem do łodzi, żeby znaleźć coś cięższego od klucza, ale nic nie mogłem wyszukać, nawet haka do wylawiania gąbek. Wróciłem, a woda była tam coraz przezroczystsza i można było widzieć wszystko, co wypływało ze statku nad tą ławicą białego piachu. Rozejrzałem się, czy nie ma gdzie rekinów, ale nie było. Dojrzałbyś rekina z daleka, taka czysta była ta woda i taki biały piach.

Na składaku miałem chwytak do kotwiczenia, wiecem go odciął i dałem z nim nurka. Ściągnęło mnie prosto w dół, aż za ten iluminator; łapałem się, czego mogłem, ale nic nie uchwyciłem i takem jechał na dół i na dół po tym wypukłym kadłubie. Musiałem puścić chwytak. Usłyszałem, jak raz o coś stuknął, i wydało mi się, że rok trwało, zanim znów wypłynąłem na wierzch. Składak uciekł mi kawałek z odpływem, wiecem się do niego podsunął, a nos krwawił rni cały czas i cholernie byłem zadowolony, że tu nie ma rekinów, ałem się zmęczył.

Łeb mi pękał, więc położyłem się w składaku, odpocząłem i powiosłowałem z powrotem. Już się zrobiło późne popołudnie. Jeszcze raz znurkowałem z kluczem, ale nic z

tego nie wyszło. Ten klucz był za lekki. Nie warto było nurkować bez porządnego młotka albo czegoś ciężkiego, czym dałoby się coś zrobić. Więc znowu uwiązałem klucz do ośka, patrzyłem przez szkło, grzmociłem i waliłem w szybę, aż klucz się urwał i widziałem go dobrze, wyraźnie przez moje szkiełko, jak zsuwał się w dół po kadłubie statku, a potem wsiąkł w ruchomy piasek i już go nie było. Nie mogłem nic zrobić. Klucz poszedł, chwytak straciłem, więc powiosłowałem z powrotem do łodzi. Nie miałem już siły, żeby wciągnąć składak na łódź, a słońce zniżyło się porządnie. Ptaki zaczęły się zbierać i odlatywać, więc popłynąłem w stronę Wyspy Południowej i holowałem składak, a ptaki leciały przede mną i za mną. Byłem nielicho zmordowany.

Tej nocy zaczęło dąć i dęło tak przez tydzień. Ani rusz nie można było dostać się do statku. Przyszli do mnie z miasta i powiedzieli, że ten gość, co go musiałem dziabnąć, już jest w porządku, tylko rękę ma jeszcze nie bardzo, więc wróciłem do miasta i dostałem pięć dolarów grzywny. Jakoś mi się upiekło, bo tacy jedni, moi kumple, przysięgli, że on mnie gonił z siekierą, ale zanim wróciliśmy do tego statku, Grecy go rozsadzili i obrali ze wszystkiego. Rozpruli kasę dynamitem. Nikt nie ma pojęcia, ile tam wzięli. Na statku było złoto i oni wszystko zabrali. Oblupili go na czysto. Ja go znalazłem, a nie dostałem z niego ani centa.

To była cholerna historia, szkoda gadać. Mówią, że statek ledwie wyszedł z portu Hawany, kiedy go rąbnął huragan, a on nie mógł wpłynąć z powrotem, czy tam armatorzy nie pozwolili kapitanowi na takie ryzyko, chociaż podobno chciał próbować; dość, że musiał płynąć dalej, i pruć po ciemku, bo chciał prześliznąć się między Rebecca i Tortugas, i wtedy właśnie siadł na ruchomych piaskach. Może być, że im urwało ster. A może nawet nie sterowali. W każdym razie nie mogli wiedzieć, że to są ruchome piaski, i jak statek siadł, kapitan pewnie kazał otworzyć komory balastowe, żeby go utrzymać w miejscu. Ale trafili na ruchome piaski i kiedy otworzyli komory, statek wlaź w ten piach rufą naprzód, a potem się przewalił na bok. Na pokładzie miał czterystu pięćdziesięciu pasażerów i załogę i wszyscy musieli jeszcze być na pokładzie, kiedy go znalazłem. Pewnie pootwierali tam komory zaraz, jak tylko osiedli, a kiedy statek dotknął dna, te piaski go wciągnęły. No i kotły musiały się rozerwać, i przez to właśnie wypływały z niego takie te kawałki. Ale śmieszne, że nie było nigdzie rekinów. Ani jednej ryby. Zobaczyłbym każdą na tym czystym, białym piachu.

Ale teraz pełno tam ryb - guasów, tych największych. Większa część statku już teraz siedzi pod piachem, ale te ryby mieszkają tam w środku; największy gatunek guasów. Niektóre ważą trzysta do czterystu funtów. Kiedyś popłyniemy je złowić. Z tamtego miejsca

widać latarnię Rebecca. Postawili teraz nad statkiem boję. On leży na samym końcu ruchomych piasków, zaraz u wejścia do zatoki. Jeszcze ze sto jardów, a byłby wpłynął do środka. Nie trafili do wejścia w tych ciemnościach podczas burzy; lało tak, że nie mogli dojrzeć latarni. No i oni nie są przyzwyczajeni do takich rzeczy. Kapitan liniowca nie umie iść z wiatrem. Mają swój kurs i podobno nastawiają sobie jakiś kompas, a ten już sam steruje. Pewnie nie wiedzieli, gdzie są, kiedy ich tak zwiewało, ale o mały włos byliby trafili. Może jednak stracili ster. W każdym razie jakby już weszli w zatokę, z niczym by się nie zderzyli aż do samego Meksyku. Nieźle tam się musiało wyrabiać, kiedy utknęli na piaskach w tym deszczu i wichurze, a on kazał otworzyć komory. Nikogo nie mogło być na pokładzie w taką ulewę i wiatr. Wszyscy musieli siedzieć w środku. Nie wyżyliby na pokładzie. Nieliche sceny musiały się tam dziać, bo statek osiadł bardzo szybko. Widziałem, jak ten klucz wsiąkł w piasek. Kapitan nie mógł wiedzieć, że to ruchome piaski, kiedy statek siadał, chyba że znał te wody. Skombinował tylko tyle, że to nie skała. Musiał wszystko widzieć ze swojego mostka. Pewnie zrozumiał, co się święci, jak statek siadł. Ciekawym, jak szybko to poszło. I czy oficer był wtedy przy nim. Myślicie, że zostali na mostku czy zwiali? Nie znaleźli tam żadnych ciał. Ani jednego. Nikt nie pływał na wodzie. A człowiek może kawał upłynąć w pasie ratunkowym. Musiało ich to zaskoczyć w środku. No, cóż. Grecy wszystko tam załapali, ale to wszystko. Pośpieszyli się; obrali statek do czysta. Pierwsze były ptaki, potem ja, potem Grecy, ale nawet te ptaki dostały z niego więcej niż ja.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## JASNE, DOBRZE OŚWIETLONE MIEJSCE

Było już późno. Wszyscy goście opuścili kawiarnię, z wyjątkiem jednego starca, który siedział pod elektryczną lampą, w cieniu liści. Za dnia ulica była zakurzona, lecz nocą rosa osiadała na warstwach pyłu, a starzec, który był głuchy, lubił te późne godziny, kiedy zapadała cisza. Mimo głuchoty wyczuwał różnicę. Dwaj kelnerzy w głębi kawiarni wiedzieli, że starzec zaczyna już być pijany, a chociaż znali go jako dobrego klienta, wiedzieli też, że jeżeli upije się na dobre, wyjdzie nie zapłaciwszy rachunku. Toteż nie spuszczaali z niego wzroku.

- W zeszłym tygodniu usiłował popełnić samobójstwo - powiedział jeden z kelnerów.
- Dlaczego?
- Z rozpaczy.
- Ale z jakiego powodu?
- Bez powodu.
- Skąd wiesz, że bez powodu?
- Ma tyle pieniędzy.

Siedzieli pod ścianą, przy stoliku koło drzwi, i obserwowali taras, który teraz był już zupełnie pusty, tylko starzec siedział wciąż w cieniu liści poruszanych łagodnymi podmuchami wiatru. Ulicą przeszedł żołnierz z dziewczyną. Światło latarni oświetliło na chwilę mosiężny numererek na jego kołnierzyku. Dziewczyna miała odkrytą głowę i szybko biegła obok niego.

- Patrol go złapie - powiedział jeden z kelnerów.
- No, to co? Jeżeli tylko dostanie to, o co mu chodzi.
- Powinien zejść z ulicy. Patrol go na pewno złapie. Przechodzili tędy pięć minut temu.

Stary człowiek siedzący w cieniu drzewa, podniósł szklanką i zadzwonił nią o spodeczek. Młodszy z kelnerów podszedł do niego.

- O co chodzi?

Stary podniósł na niego wzrok.

- Jeszcze jeden koniak - powiedział.
- Upijesz się - ostrzegł go kelner. Stary znów popatrzył na niego i kelner odszedł.
- Zobacysz, że zostanie do rana - powiedział do kolegi. - Spać mi się chce. Nigdy nie kładę się przed trzecią. Szkoda, że się nie zabił w zeszłym tygodniu.



Wziął butelkę koniaku i spodek z bufetu i poszedł na taras do stolika starego. Postawił spodek na stoliku i nalał koniaku do kieliszka.

- Szkoda, że nie zabiłeś się w zeszłym tygodniu - powiedział do głuchego starca.

Stary zaczął poruszać palcami.

- Jeszcze trochę.

Kelner dolał do kieliszka, tak że płyn przelał się przez brzeg i spłynął wzdłuż nóżki na stertę spodeczków, które stały pod nim.

- Dziękuję - powiedział stary.

Kelner odniósł butelkę w głąb kawiarni. Przysiadł się znów do stolika kolegi.

- Teraz już jest zupełnie pijany - oświadczył.

- Upija się co noc.

- Dlaczego chciał się zabić?

- A bo ja wiem.

- Ale jak?

- Powiesił się na sznurze.

- A kto go odciął?

- Siostrzenica.

- Dlaczego go odcięli?

- Bali się o nieśmiertelność jego duszy.

- Ile on może mieć pieniędzy?

- Bardzo dużo.

- Ma chyba z osiemdziesiąt lat.

- Na oko ma chyba osiemdziesiątkę.

- Chciałbym, żeby sobie już poszedł do domu. Nigdy nie kładę się przed trzecią. Czy to jest pora na spanie?

- On lubi siedzieć po nocy.

- Bo jest samotny. A ja nie jestem samotny. Na mnie czeka żona w łóżku.

- On też miał kiedyś żonę.

- Na co by mu teraz była żona?

- Nie wiadomo. Może byłoby mu lepiej, gdyby miał żonę.

- Siostrzenica opiekuje się nim.

- Wiem. Mówiłeś, że go odcięła.

- Nie chciałbym być taki stary. Starość to okropna rzecz,

- Nie zawsze. Ten staruszek jest czysty. Pije nie rozlewając, nawet teraz, kiedy jest pijany. Spójrz na niego.

- Nie chcę patrzeć na niego. Chciałbym, żeby sobie już poszedł. Nie liczy się z ludźmi pracy.

Stary przeniósł wzrok z kieliszka na skwer, potem na kelnerów.

- Jeszcze jeden koniak - powiedział wskazując na kieliszek. Kelner, który spieszył się do domu, podszedł do niego.

- Skończone - powiedział i dodał, z pominięciem składni, co zawsze czynią ludzie głupi, gdy mówią do pijanych lub do cudzoziemców. - Skończone. Dzisiaj nie ma nic. Zamykamy.

- Jeszcze jeden - powiedział stary.

- Nie. Koniec. - Kelner wytarł brzeg stolika serwetką i potrząsnął głową. Stary wstał, policzył powoli spodeczki, wyciągnął z kieszeni skórzaną sakiewkę i zapłacił za koniaki, zostawiając pół pesety jako napiwek.

Kelner patrzył za nim, jak oddalał się ulicą, krokiem niepewnym, ale pełnym godności.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mu zostać i pić? spytał, gdy zakładali żaluzje, drugi kelner, ten, któremu nie spieszyło się do domu. - Nie ma jeszcze wpół do drugiej.

- Chcę iść do domu, do łóżka.

- Godzina więcej czy mniej.

- Dla mnie godzina znaczy więcej niż dla niego.

- Godzina to godzina.

- Sam mówisz, jakbyś był starcem. On może sobie pozwolić na kupienie całej butelki koniaku. Niech sobie pije w domu.

- To nie to samo.

- Nie, to nie to samo - zgodził się żonaty kelner. Nie chciał być niesprawiedliwy. Po prostu spieszyło mu się do domu.

- A ty? Nie boisz się przyjść do domu wcześniej niż zazwyczaj?

- Co to? Próbujesz mnie znieważać?

- Skądże znowu, hombre. Chciałem po prostu zażartować.

- Nie, nie boję się - powiedział żonaty kelner prostując się po spuszczeniu metalowych żaluzji. - Mam zaufanie, mam pewność i zaufanie.

- Jesteś młody. Masz pewność i zaufanie, i pracę - stwierdził starszy kelner. - Masz po prostu wszystko.

- A czego tobie brak?

- Wszystkiego z wyjątkiem roboty.

- Masz to samo co ja.

- Nieprawda. Nigdy nie miałem zaufania do nikogo i nie jestem już młody.

- Przestań. Nie gadaj głupstw i zamykaj już.

- Ja jestem z tych, co lubią długo w noc przesiadywać w kawiarniach - dodał starszy kelner. - Z tych, którym nie spieszy się do łóżka. Z tych, którym potrzebna jest lampka nocna.

- Chcę iść do domu i do łóżka.

- Należymy do dwóch różnych gatunków ludzkich - ciągnął starszy z kelnerów. - To nie tylko kwestia wieku i pewności siebie, chociaż są to rzeczy piękne. Co noc ociągam się z zamykaniem kawiarni, bo myślę, że może ona być komuś potrzebna.

- Hombre, są bodegi otwarte do rana.

- Nie rozumiesz mnie. Nasza kawiarnia jest czysta i jasna. Jest dobrze oświetlona, światło jest bardzo dobre, a teraz jest nawet cień liści na tarasie.

- Dobranoc - powiedział młodszy kelner.

- Dobranoc odpowiedział starszy. Gasząc światło elektryczne kontynuował z samym sobą przerwana rozmowę. Światło jest oczywiście ważne, ale poza tym miejsce powinno być czyste i przyjemne. Nie trzeba muzyki. Na pewno nie trzeba muzyki. Przy barze trudno jest stać z godnością, a o tej porze otwarte są już tylko bary. Czego się bał? Nie, nie był to strach czy lęk. Była to po prostu pustka, nicość, którą znał aż nazbyt dobrze. Wszystko jest nicością, człowiek jest niczym. To wszystko wypełnić można tylko światłem, no i odrobiną ładu i czystości. Niektórzy żyją w tej nicości i nawet jej nie czują, ale on wie, że wszystko jest nada y pues nada y nada y pues nada. [ wszystko i nic ] "Nada nasz, któryś jest w nada, święć się nada twoje, przyjdź nada twoje, bądź nada twoja jako w nada, tak i na nada, nada naszego powszedniego, daj nam nada a nada, nam nasze nada, jako i my nada naszym nada i nie nada nas na nada, ale nas zbaw ode nada; pues nada. Zdrowaś nicości, nicościś pełna, nicość z tobą." Uśmiechnął się i znalazł się przed barem, na którym stała błyszcząca maszynka do parzenia kawy.

- Co dla pana? - spytał barman.

- Nada.

- Otro loco mas [jeszcze jeden wariat] - powiedział barman i odwrócił się.

- Małą szklaneczkę - poprosił kelner. Barman obsłużył go.

- Światło u was jest jasne i przyjemne, ale bar nie jest wypolerowany - powiedział kelner.

Barman spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział. Było za późno na rozpoczynanie konwersacji.

- Jeszcze jedną capita [kolejka] - spytał.

- Nie, dziękuję - powiedział kelner i wyszedł. Nie lubił barów i bodeg. Czysta, dobrze oświetlona kawiarnia to zupełnie co innego. Teraz, nie zastanawiając się więcej nad niczym, pójdzie do domu, do swojego pokoju. Położy się do łóżka i gdy nadejdzie świt, będzie mógł nareszcie usnąć. "Ostatecznie - powiedział do siebie - to prawdopodobnie zwykła bezsenność. Wielu ludzi na to cierpi."

*Przełożyła Mira Michałowska*

## ŚWIATŁO ŻYCIA

Kiedy barman zobaczył nas wchodzących, podniósł wzrok, a potem wyciągnął rękę i przykrył szklanymi kloszami dwie salaterki z bezpłatną zakąską.

- Poproszę piwo - powiedziałem.

Ściągnął je, zebrał z wierzchu pianę szpachelką i przytrzymał kufel w ręce. Położyłem pięciocentówkę na blacie, a wtedy posunął piwo ku mnie.

- Co dla pana? - zapytał Toma.

- Piwo.

Ściągnął następne piwo, zebrał pianę i, jak zobaczył pieniądze, popchnął kufel Tomowi.

- Co to znaczy? - zapytał Tom.

Barman nie odpowiedział. Spojrzał tylko nad naszymi głowami i zapytał jakiegoś mężczyzny, który właśnie wszedł:

- Co dla pana?

- Whisky - powiedział tamten.

Barman wystawił butelkę, szklankę i drugą szklankę z wodą.

Tom sięgnął ręką i zdjął klosz z salaterki z bezpłatną zakąską. Były w niej marynowane nóżki wieprzowe, które nabierało się drewnianym narzędziem, działającym jak nożyce, z dwoma drewnianymi widelcami na końcach.

- Nie - powiedział barman i na powrót przykrył kloszem salaterkę. Tom trzymał w ręce drewniane nożycowe widelce. - Włóż pan to tutaj - rzekł barman.

- Wie pan gdzie - odparł Tom.

Barman obserwując nas obu sięgnął pod kontuar. Położyłem pięćdziesiąt centów na bufecie i wtedy się wyprostował.

- Co pan zamówił? - spytał.

- Piwo - odrzekłem, a on odkrył obie salaterki, zanim nalał piwa.

- Te cholerne nóżki wieprzowe śmierdzą - rzekł Tom i wypluł na podłogę wszystko, co miał w ustach. Barman nic nie powiedział. Mężczyzna, który wypił whisky, zapłacił i wyszedł nie oglądając się.

- Sam pan śmierdzisz - rzekł barman. - Wy wszyscy, pedryle, śmierdzicie.

- On mówi, że jesteśmy pedryle - powiedział do mnie Tom.

- Słuchaj, chodźmy stąd - odrzekłem.

- Zabierajcie się do diabła, pedryle - powiedział barman.

- Właśnie mówiłem, że wychodzimy - odparłem. - To nie był pański pomysł.
- Jeszcze tu wrócimy - powiedział Tom.
- Nie, nie wróćcie - odrzekł barman.
- Powiedz mu, jak bardzo się myli - obrócił się Tom do mnie.
- No, chodź - rzekłem.

Na dworze było przyjemnie i ciemno.

- Co to za miejsce, u licha? - zapytał Tom.
- Nie wiem - odparłem. - Chodźmy na stację.

Przyjechaliśmy do tego miasta z jednego końca, a wyjeżdżaliśmy z drugiego. Pachniało tu skórą, korą garbarską i wielkimi stertami trocin. Kiedy przyjechaliśmy, ściemniało się, a teraz, gdy było już ciemno, zrobiło się zimno i kałuże na ulicy obmarzały po brzegach.

Na stacji było pięć kurew, które czekały na pociąg, sześciu białych i czterech Indian. Było tłoczno i gorąco od pieca i pełno zatechłego dymu. Kiedy weszliśmy, nikt nie rozmawiał, a okienko kasy biletowej było opuszczone.

- Może byście zamknęli drzwi - odezwał się ktoś.

Spojrzałem, kto to powiedział. Był to jeden z białych. Miał podwinięte spodnie, gumowe buty drwala i kraciastą koszulę tak samo jak pozostali, ale był bez czapki, twarz miał bladą, a ręce białe i chude.

- Nie zamkniecie tych drzwi?
- A jakże - powiedziałem i zamknąłem je.
- Dziękuję - rzekł. Jeden z pozostałych zachichotał.
- Zadawałeś się pan kiedy z kucharzem? - spytał mnie.
- Nie.
- Z tym możesz się pan zadać - spojrzał na kucharza. - On to lubi.

Kucharz odwrócił od niego wzrok zaciskając wargi.

- Smaruje sobie ręce sokiem cytrynowym - mówił tamten. - Za nic by ich nie włożył do zmywania naczyń. Patrz pan, jakie ma białe.

Jedna z kurew roześmiała się głośno. Była to najtęższa kurwa i najtęższa kobieta, jaką w życiu widziałem. Miała na sobie taką jedwabną suknię, co to się mieni różnymi kolorami. Oprócz niej były jeszcze dwie inne kurwy prawie równie tęgie, ale ta najtęższa musiała ważyć ze trzysta pięćdziesiąt funtów. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy na nią patrzałem. Wszystkie trzy miały te mieniące się jedwabne suknie. Siedziały obok siebie na

ławce. Były ogromne. Dwie pozostałe, utlenione blondynki, wyglądały zwyczajnie jak wszystkie kurwy.

- Patrz pan na jego ręce - powiedział mężczyzna i wskazał kucharza głową. Kurwa zaśmiała się znowu i cała aż się zatrzęsała.

Kucharz obrócił głowę i powiedział do niej szybko:

- Ty wielka, wstrętna góro miecha. Nadal tylko śmiała się i trzęsała.

- O Jezu - powiedziała. Miała przyjemny głos. - O Jezu kochany.

Dwie drugie tęgie kurwy zachowywały się bardzo spokojnie i potulnie, jak gdyby nie były zanadto rozgarnięte, ale były ogromne, prawie takie jak ta najtęższa. Jedna i druga musiała dobrze przekraczać dwieście pięćdziesiąt funtów. Pozostałe dwie siedziały bardzo godnie.

Z mężczyzn, poza kucharzem i tym, co się odezwał, byli tam jeszcze dwaj drwale - z których jeden przysłuchiwał się rozmowie z zaciekawieniem, ale nieśmiało, a drugi jakby gotował się, żeby coś powiedzieć - i dwaj Szwedzi. Dwaj Indianie siedzieli na końcu ławki, a trzeci stał pod ścianą.

Ten, który szykował się, żeby coś powiedzieć, rzekł do mnie bardzo cicho:

- To musi być tak, jakby człowiek wlaził na stertę siana.

Roześmiałem się i powtórzyłem to Tomowi.

- Jak Boga Kocham, jeszcze nigdy nie byłem w takim miejscu - powiedział. - Patrz na te trzy.

Wtedy odezwał się kucharz:

- Ile wy, chłopcy, macie lat?

- Ja dziewięćdziesiąt sześć, a on sześćdziesiąt dziewięć - odrzekł Tom.

- Cha, cha, cha! - zatrzęsała się ze śmiechu tęga kurwa. Miała naprawdę ładny głos.

Pozostałe kurwy nie uśmiechnęły się.

- O, nie możecie być grzeczniejsi? - rzekł kucharz. - Zapytałem was przez życzliwość.

- Mamy siedemnaście i dziewiętnaście lat - powiedziałem.

- Co ci się stało? - obrócił się do mnie Tom.

- Nic, w porządku.

- Mów do mnie: Alicjo - powiedziała tęga kurwa i znowu zaczęła się trząść.

- Tak masz na imię? - spytał Tom.

- Jasne - odparła. - Alicja. No nie? - zwróciła się do mężczyzny siedzącego obok kucharza.

- Alicja. Zgadza się.

- Takie imię pasowałoby do ciebie - powiedział kucharz.

- To moje prawdziwe - odparła Alicja. - A tamte dziewczyny? - zapytał Tom.

- Hazel i Ethel - odpowiedziała Alicja. Hazel i Ethel uśmiechnęły się. Nie były zbyt bystre.

- Jak ci na imię? - spytałem jednej z blondynek.

- Frances - odrzekła.

- Frances co?

- Frances Wilson. A co ci do tego?

- A ty? - spytałem drugiej.

- E, nie bądź taki cwany - odparła.

- On tylko chce, żebyśmy się wszyscy zaprzyjaźnili - powiedział ten, który mówił przedtem. - Nie chcecie się zaprzyjaźnić?

- Nie - odrzekła Utleniona. - Nie z tobą.

- Ona jest diaboliczna - powiedział mężczyzna. - Całkiem mała diaboliczna.

Jedna z blondynek spojrzała na drugą i potrząsnęła głową.

- Cholerne kapcany - powiedziała. Alicja znowu zaczęła śmiać się i trząść cała.

- Tu nie ma nic śmiesznego - powiedział kucharz. - Śmiejecie się wszyscy, ale tu nie ma nic śmiesznego. A wy dwaj, młodzi, gdzie jedziecie?

- A pan gdzie jedzie? - spytał Tom.

- Ja chcę jechać do Cadillac - odrzekł kucharz. - Byliście tam kiedy? Moja ciotka tam mieszka.

- On sam jest "ciota" - powiedział mężczyzna w podwiniętych spodniach.

- Dałbyś z tym spokój - powiedział kucharz. - Nie możemy porozmawiać przyzwoicie?

- Z Cadillac pochodził Steve Ketchel i stamtąd też jest Ad Wolgast - odezwał się nieśmiały.

- Steve Ketchel - powtórzyła jedna z blondynek donośnym głosem, jak gdyby to nazwisko nacisnęło w niej jakiś cyngiel. - Własny ojciec zastrzelił go na śmierć. Jak pragnę Boga, własny ojciec. Nie ma już takich jak Steve Ketchel.

- Czy on się nie nazywał Stanley Ketchel? - zapytał kucharz.

- E, zamknij się - odparła blondynka. - Co ty tam wiesz o Stevie? Stanley. Nie żaden Stanley. Steve Ketchel to był najfajniejszy i najpiękniejszy chłop, jaki żył na tym świecie. Nigdy nie widziałam takiego czystego, białego i pięknego chłopaka jak Steve Ketchel. Nie było



jeszcze takiego mężczyzny. Ruszał się całkiem jak tygrys, a był najfajniejszym i najhojniejszym gościem, jakiego ziemia nosiła.

- Znałaś go? - zapytał któryś z mężczyzn.

- Czy ja go znałam! Czy go znałam! A czy go kochałam! I wy mnie o to pytacie? Znałam go jak wy nikogo na świecie, a kochałam tak jak wy Pana Boga. Był najwspanialszym, najfajniejszym, najbielszym i najpiękniejszym mężczyzną na ziemi, ten Steve Ketchel, i własny ojciec zastrzelił go jak psa.

- Byłaś z nim na wybrzeżu?

- Nie. Znałam go przedtem. To był jedyny mężczyzna, jakiego kochałam.

Wszyscy z uszanowaniem słuchali utlenionej blondynki, która wypowiadała to donośnym, scenicznym głosem; tylko Alicja zaczynała się znowu trząść. Czulem to siedząc przy niej.

- Trzeba ci było wyjść za niego - rzekł kucharz.

- Nie przeszkadzałabym mu w karierze - powiedziała utleniona blondynka. - Nie byłabym dla niego zawadą. Ale on nie potrzebował żony. O Boże, co to był za mężczyzna!

- Bardzo ładne podejście - rzekł kucharz. - Ale czy jego nie znokautował Jack Johnson?

- To był podstęp - odparła Utleniona. - Ten wielki czarnuch napadł go z nienacka. Steve właśnie zwał go na deski, czarnego drania. A ten Murzyn pobił go fuksem.

Okienko biletowe otwarło się i trzech Indianie podeszli do niego.

- Steve zwał go na deski - mówiła Utleniona. - I obrócił się, żeby uśmiechnąć się do mnie.

- Przecież, zdaje się, mówiłaś, że nie byłaś na wybrzeżu - powiedział ktoś.

- Pojechałam tylko na tę walkę. Więc Steve obrócił się, żeby uśmiechnąć się do mnie, a ten czarny sukinsyn z piekła rodem zerwał się i uderzył go z nienacka. Steve mógłby nalać stu takich jak ten czarny drań.

- To był wielki bokser - powiedział drwal.

- Jak pragnę Boga, że wielki - odrzekła Utleniona. - Jak pragnę Boga, że nie ma już takich bokserów jak on. Był całkiem jak jakiś bożek. Taki biały i czysty, i piękny, i gładki, i szybki, zupełnie jak tygrys albo błyskawica.

- Widziałem go na filmie zrobionym z tej walki - powiedział Tom. Wszyscy byliśmy bardzo przejęci. Alicja trzęsła się cała; spojrzałem na nią i zauważyłem, że płacze. Indianie już wyszli na peron.

- Był czymś więcej, niż mógłby być jakikolwiek mąż - mówiła Utleniona. - Pobraliśmy się w oczach Boga i należę do niego teraz i na zawsze, i cała jestem jego. Moje ciało jest nieważne. Mogą sobie brać moje ciało. Moja dusza należy do Steve'a Ketchela. Jak Boga kocham, to był mężczyzna.

Wszyscy czuli się okropnie. Było to smutne i żenujące. A potem Alicja, która wciąż dygotała, przemówiła.

- Jesteś parszywa kłamczucha - powiedziała tym swoim cichym głosem. - Nigdy w życiu nie leżałaś ze Steve'em Ketchelem i dobrze o tym wiesz.

- Jak możesz tak mówić? - odparła dumnie Utleniona.

- Mówię, bo to prawda - powiedziała Alicja. - Jestem tutaj jedyną, która знаła Steve'a Ketchela, i pochodzę z Mancelony, i tam go poznałam, i to jest prawda, i ty wiesz, że to prawda, i niech tu skonam, jeżeli kłamię.

- Niech i ja skonam - odparła Utleniona.

- To prawda, prawda, prawda, i ty to wiesz. Nic nie zmyśliłam i wiem dokładnie, co mi powiedział.

- A cóż powiedział? - spytała łaskawie Utleniona.

Alicja płakała i dygotała tak, że ledwo mogła mówić.

- Powiedział: "Ładna z ciebie sztuka, Alicjo." Dokładnie tak powiedział.

- Kłamstwo - rzekła Utleniona.

- Prawda - odparła Alicja. - Naprawdę tak powiedział.

- To kłamstwo - rzekła dumnie Utleniona.

- Nie, to prawda, prawda, prawda, na Pana Jezusa i świętą Marię.

- Steve nie mógł tego powiedzieć. On tak nie mówił - odparła z zadowoleniem Utleniona.

- To prawda - powtórzyła Alicja swoim miłym głosem. - I wszystko mi jedno, czy wierzysz, czy nie. - Już nie płakała i była spokojna.

- Niemożliwe, żeby Steve tak powiedział - oświadczyła Utleniona.

- Właśnie, że powiedział - odrzekła Alicja i uśmiechnęła się. - I pamiętam kiedy, i to fakt, że była wtedy ze mnie ładna sztuka, właśnie tak jak powiedział, i teraz też jestem lepsza sztuka od ciebie, ty stary, wyschnięty worku gumowy.

- Nie możesz mnie obrazić - odparła Utleniona - ty wielka góro ropy. Mam swoje wspomnienia.

- Nie - odrzekła Alicja swym słodkim, ładnym głosem. - Nie masz żadnych prawdziwych wspomnień poza tym, że ci bebechy poprzestawiali i że się zaraziłaś.

Wszystko inne wyczytałaś w gazetach. Ja jestem czysta, wiesz doskonale, i wiesz, że chłopcy mnie lubią, chociaż jestem tęga, i nigdy nie kłamię, i to wiesz także.

- Zostaw mnie z moimi wspomnieniami - powiedziała Utleniona. - Z moimi prawdziwymi, cudownymi wspomnieniami.

Alicja spojrzała na nią, potem na nas, i jej twarz straciła urażony wyraz; uśmiechnęła się i wtedy miała chyba najładniejszą twarz, jaką widziałem. Miała przystojną twarz, śliczną, gładką skórę i ładny głos, i była rzeczywiście miła i naprawdę sympatyczna. Ale, Boże drogi, tęga to ona była. Jak trzy kobiety na raz. Tom zauważył, że na nią patrzę, i powiedział:

- No, chodź. Idziemy.

- Do widzenia - powiedziała Alicja. Miała niewątpliwie ładny głos.

- Do widzenia - odpowiedziałem.

- W którą stronę jedziecie, chłopcy? - zapytał kucharz.

- W przeciwną niż pan - odpowiedział mu Tom.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## **BÓG Z WAMI, PANOWIE**

W owych czasach odległości były zupełnie inne, wiatr zwiewał piasek z pagórków, które teraz zostały zniwelowane, a Kansas City bardzo przypominało Konstantynopol. Może w to nie uwierzycie. Nikt w to nie wierzy, ale to prawda. Owego popołudnia padał śnieg i na wystawie salonu samochodowego, oświetlonej we wczesnym zmierzchu, stał wyścigowy wóz całkowicie wykończony w srebrze, z napisem "Dans argent" na masce. Myślałem, że to znaczy "srebrny taniec" albo "srebrny tancerz", i szedłem ulicą w śniegu, niezupełnie pewny, co to może znaczyć, ale uradowany widokiem samochodu i zadowolony ze swojej znajomości obcego języka. Szedłem z baru braci Woolf - gdzie w Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia podawano bezpłatną kolację z indykiem - do miejskiego szpitala, stojącego na wysokim wzgórzu, które dominowało nad dymami, budynkami i ulicami miasta. W izbie przyjęć szpitala siedzieli dwaj lekarze z pogotowia, doktor Fischer i doktor Wilcox, jeden przy biurku, a drugi na krześle pod ścianą.

Doktor Fischer był chudy, miał włosy jak len, wąskie usta, rozbawione oczy i dłonie karciarza. Doktor Wilcox był niskim brunetem i nosił przy sobie zaopatrzoną w skorowidz książeczkę Przyjaciół i przewodnik młodego lekarza, która podawała objawy i sposób leczenia na każdy przypadek. Miała również skorowidz z odsyłaczami, tak że do każdego z objawów podawała diagnozy. Doktor Fischer proponował, żeby w następnych wydaniach uzupełnić skorowidz dalszymi odsyłaczami, tak aby po wyszukaniu w nim stosowanej kuracji można było znaleźć odpowiadającą im dolegliwość oraz objawy. "Jako wspomnienie pamięci" - mówił.

Doktor Wilcox był przewrażliwiony na punkcie tej książki, ale nie mógł sobie dać rady bez niej. Była oprawna w miękką skórę, pasowała do kieszeni jego marynarki, a kupił ją na zalecenie jednego ze swoich profesorów, który powiedział: "Wilcox, nie powinien pan być zostać lekarzem i robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby pan nie otrzymał dyplomu. Ponieważ jednak jest pan obecnie członkiem tego uczonego zawodu, zalecam panu w imię ludzkości, żeby pan zdobył egzemplarz Przyjaciół i przewodnika młodego lekarza i używał go, doktorze Wilcox. Ucz się pan go używać."

Doktor Wilcox nic nie powiedział, ale tego samego dnia kupił sobie ów oprawny w skórę przewodnik.

- No, co tam, Horacy? - zapytał doktor Fischer, kiedy wszedłem do izby przyjęć, w której pachniało papierosami, jodoformem, karbolem i przegrzаныmi kaloryferami.

- Dzień dobry panom - powiedziałem.

- Co słyhać na rialto? - zapytał doktor Fischer. Lubował się w pewnej ekstrawagancji wyrażen, która wydawała mu się niezmiernie wytworna.

- Bezpłatny indyk u Woolfa - odrzekłem.

- Uraczył się pan?

- Obficie.

- A było tam wielu confrere'ow?

- Wszyscy. Cały personel.

- Dużo radosnego nastroju gwiazdkowego?

- Niewiele.

- Tu obecny doktor Wilcox uraczył się powściągliwie - powiedział doktor Fischer.

Doktor Wilcox spojrział na niego, potem na mnie.

- Napije się pan czegoś - zapytał.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałem.

- Proszę bardzo - rzekł doktor Wilcox.

- Horacy - powiedział doktor Fischer. - Nie gniewa się pan, że mówię do pana Horacy, prawda?

- Nie.

- Nasz zacny Horacy. Mieliśmy niezmiernie interesujący przypadek.

- Ja myślę - powiedział doktor Wilcox.

- Pamięta pan tego chłopaka, który tu był wczoraj?

- Którego?

- Tego, co domagał się eunuchostwa.

- Tak.

Byłem tam, kiedy się zjawił. Miał około szesnastu lat. Przyszedł bez kapelusza, był bardzo podniecony i wystraszony, ale zdeterminowany. Miał kręcone włosy, wydatne wargi i był dobrze zbudowany.

- Co ci dolega, synu? - zapytał go wtedy doktor Fischer.

- Proszę mnie wykastrować - powiedział chłopak.

- Dlaczego? - zapytał doktor Fischer.

- Modliłem się, robiłem wszystko, ale nic nie pomaga.

- Na co?

- Na tę okropną żądzę.

- Jaką okropną żądzę?

- Na to, co się ze mną dzieje. Na to, czego nie mogę powstrzymać. Modłę się po całych nocach.

- Ale co się właściwie dzieje? - zapytał doktor Fischer.

Chłopiec opowiedział mu.

- Słuchaj, chłopcze - rzekł doktor Fischer. - Z tobą jest wszystko w porządku. Tak właśnie powinno być. Nie ma w tym nic złego.

- To jest złe - powiedział chłopiec. - To grzech przeciwko czystości. To grzech przeciwko Panu Naszemu i Zbawicielowi.

- Nie - odparł doktor Fischer. - To jest rzecz naturalna. Tak z tobą powinno być i jeszcze kiedyś będziesz uważał, że jesteś bardzo szczęśliwy.

- Och, pan nic nie rozumie - powiedział chłopiec.

- Posłuchaj - rzekł doktor Fischer i powiedział chłopcu pewne rzeczy.

- Nie. Nie będę tego słuchał. Nie może pan mnie zmusić do słuchania.

- Proszę cię, posłuchaj - rzekł doktor Fischer.

- Jesteś diabelny dureń - powiedział chłopcu doktor Wilcox.

- Więc panowie tego nie zrobią? - zapytał chłopak.

- Czego?

- Nie wykastrujecie mnie?

- Słuchaj - rzekł doktor Fischer. - Nikt cię nie wykastruje. Z twoim ciałem jest wszystko w porządku. Masz doskonałe ciało i nie powinienes o tym myśleć. Jeżeli jesteś religijny, pamiętaj, że to, na co się skarżysz, nie jest żadnym grzesznym stanem, ale umożliwieniem spełnienia sakramentu.

- Nie mogę tego powstrzymać - powiedział chłopiec. - Modłę się po całych nocach i modłę się za dnia. To jest grzech, stały grzech przeciwko czystości.

- A idźże i ..... się - powiedział doktor Wilcox.

- Kiedy pan tak mówi, ja pana nie słyszę - powiedział z godnością chłopiec do doktora Wilcoxa. - Proszę pana, niech pan to zrobi - zwrócił się do doktora Fischera.

- Nie - odparł doktor Fischer. - Już ci mówiłem, chłopaku.

- Wyprowadźcie go stąd - rzekł doktor Wilcox.

- Sam wyjdę - powiedział chłopiec. - Proszę mnie nie dotykać. Sam wyjdę.

To było około piątej poprzedniego dnia.

- No i co się stało? - zapytałem.

- No i dzisiaj o pierwszej w południe - odparł doktor Fischer - przywieźli chłopaka z samookaleczeniem za pomocą brzytwy.

- Wykastrował się?

- Nie - odpowiedział doktor Fischer. - Nie wiedział, co to znaczy "kastrować".

- Może umrzeć - rzekł doktor Wilcox.

- Dlaczego?

- Z upływu krwi.

- Znakomity lekarz, tu obecny doktor Wilcox, a mój kolega, był właśnie na dyżurze i nie mógł znaleźć takiego przypadku na liście w swojej książce.

- Niech pana licha porwie z takim mówieniem - powiedział doktor Wilcox.

- Ja to powiedziałem jak najżyczliwiej, doktorze - odparł doktor Fischer patrząc na swoje ręce, te ręce, które przez jego usłużność oraz brak poszanowania dla ustaw federalnych wpędzały go w kłopoty. - Tu obecny Horacy przyświadczy, że mówię to jak najżyczliwiej. Ten młody człowiek dokonał amputacji, Horacy.

- Ano, chciałbym, żeby pan przestał wciąż mi dojeżdżać - rzekł doktor Wilcox. - Nie ma żadnej potrzeby tego robić.

- Dojeżdżać panu, doktorze, w ten dzień, w samą rocznicę urodzin naszego Zbawiciela?

- Naszego Zbawiciela? Czyż pan nie jest Żydem? - zapytał doktor Wilcox.

- Jestem istotnie. Jestem. Zawsze mi to wylatuje z głowy. Nigdy nie przywiązywałem do tego należytej wagi. Bardzo ładnie z pana strony, że pan mi przypomniał. Waszego Zbawiciela. Słusznie. W a s z e g o Zbawiciela, niewątpliwie waszego Zbawiciela; a dojeżdżanie odłożmy na Niedzielę Palmową,

- Pan jest zanadto przemądrzały - powiedział doktor Wilcox.

- Wyborna diagnoza, doktorze. Zawsze byłem zanadto przemądrzały. A już z pewnością na wybrzeżu. Niech pan tego unika, Horacy. Nie ma pan za dużo tendencji w tym kierunku, ale czasami widzę przebłyki. Ale co za diagnoza. I to bez książki.

- Żeby pan z piekła nie wyszedł - powiedział doktor Wilcox.

- Wszystko we właściwym czasie, doktorze - odparł doktor Fischer. - Wszystko we właściwym czasie. Jeżeli istnieje takie miejsce, to je z pewnością odwiedzę. Już nawet tam troszkę zajrzałem. Tylko zajrzałem, nic więcej. Prawie natychmiast odwróciłem wzrok. I wie pan, Horacy, co powiedział ten młody człowiek, kiedy tu obecny zacny doktor go przywiózł? Powiedział: "Och, tak prosiłem, żeby pan to zrobił. Tyle razy prosiłem."

- I to w Boże Narodzenie - rzekł doktor Wilcox.

- Znaczenie tego akurat dnia nie jest istotne - powiedział doktor Fischer.

- Może dla pana - odparł doktor Wilcox.

- Słyszysz pan, Horacy? - zapytał doktor Fischer. - Słyszysz pan? Odkrywszy mój słaby punkt, moje piętę Achillesową, można powiedzieć, pan doktor wykorzystuje swoją przewagę.

- Pan jest zanadto przemyślający - powiedział doktor Wilcox.

Przełożył Bronisław Zieliński



## CUDOWNA PRZEMIANA

- No dobrze - powiedział mężczyzna. - Więc jak?
- Nie - odrzekła dziewczyna. - Nie mogę.
- To znaczy, nie chcesz.
- Nie mogę - powtórzyła dziewczyna. - To znaczy tylko tyle.
- To znaczy, że nie chcesz.
- Dobrze - powiedziała dziewczyna. - Niech będzie, jak sobie życzysz.
- Wcale nie jest tak, jak sobie życzę. Dałby Bóg, żeby tak było.
- Było przez długi czas - powiedziała dziewczyna.

Było jeszcze wcześniej, w kawiarni nikogo poza barmanem i tą parą, która siedziała przy stoliku w rogu. Lato się kończyło, oboje byli opaleni, tak że w Paryżu wydawali się nie na miejscu. Dziewczyna miała na sobie tweedowy kostium, jej skóra była gładka i złotobrazowa, a krótko przycięte blond włosy rosły piękną linią nad czołem. Mężczyzna spojrzał na dziewczynę.

- Ja ja zabiję - powiedział.
  - Proszę cię, przestań - odrzekła. Miała bardzo ładne ręce i mężczyzna popatrzał na nie. Były szczupłe i smagłe, i bardzo piękne.
  - Zabiję. Przysięgam na Boga.
  - To ci nie da zadowolenia.
  - Nie mogłaś się wdać w coś innego? Nie mogłaś się wkleić w jakąś inną historię?
  - Widocznie nie - rzekła dziewczyna. - No, i co masz zamiar z tym zrobić?
  - Już ci powiedziałem.
  - Nie, ja mówię poważnie.
  - Nie wiem - odparł.
- Spojrzała na niego i wyciągnęła rękę.
- Biedny Phil - powiedziała. Popatrzał na jej ręce, ale ich nie dotknął.
  - Nie, dziękuję ci - rzekł.
  - Nic nie pomoże, jeżeli powiem, że mi przykro?
  - Nie.
  - A jeżeli ci powiem, jak to jest?
  - Wolałbym tego nie słyszeć.
  - Ja cię bardzo kocham.
  - Tak. To tego dowodzi.

- Żałuję, że nie rozumiesz - powiedziała.

- Rozumiem. W tym właśnie sęk. Rozumiem.

- No tak - rzekła. - To oczywiście jeszcze pogarsza sprawę.

- Jasne - powiedział patrząc na nią. - Rozumiem to przez cały czas. Po całych dniach i całych nocach. Szczególnie w nocy. Rozumiem. Możesz się o to nie martwić.

- Przykro mi - powiedziała.

- Gdyby to był mężczyzna...

- Nie mów tego. To nie mógł być mężczyzna. Wiesz doskonale. Nie ufasz mi?

- A to zabawne - powiedział. - Ufać ci. To naprawdę zabawne.

- Bardzo mi przykro - rzekła. - Zdaje się, że wciąż powtarzam to jedno. Ale jeżeli się rozumiemy, nie ma co udawać, że tak nie jest.

- Nie - odparł. - Chyba nie.

- Wrócę do ciebie, jeżeli mnie zechcesz.

- Nie. Nie chcę ciebie.

Potem nie mówili nic przez jakiś czas.

- Nie wierzysz, że cię kocham, prawda? - spytała dziewczyna.

- Nie mówmy bzdur - powiedział.

- Naprawdę nie wierzysz, że cię kocham?

- Czemu tego nie udowodnisz?

- Dawniej nie byłeś taki. Nigdy nie żądałeś, żebym coś udowadniała. To nie jest uprzejme.

- Zabawna jesteś.

- A ty nie. Ty jesteś wspaniałym człowiekiem i serce mi się kraje, że odchodzę i rzucam ciebie...

- Ale oczywiście musisz.

- Tak - potwierdziła. - Muszę i ty to wiesz. Nie odpowiedział nic, a ona spojrzała na niego

i znowu wyciągnęła rękę. Barman był w drugim końcu baru. Twarz miał równie białą jak kurtkę. Znał tych dwoje i uważał ich za ładną młodą parę. Widywał wiele ładnych młodych par zrywających ze sobą i tworzące się nowe pary, które nigdy nie były tak ładne na długo. Nie myślał o tym, tylko o koniu. Za pół godziny będzie mógł posłać naprzeciwko, żeby się dowiedzieć, czy ten koń wygrał.

- Nie mógłbyś po prostu być na tyle dobry, żeby pozwolić mi odejść? - zapytała dziewczyna.

- A ty myślisz, że co ja zrobię?

Weszły dwie osoby i zbliżyły się do baru.

- Słucham pana - barman przyjął zamówienie.

- Nie możesz mi przebaczyć? Kiedy już o tym wiesz? - zapytała dziewczyna.

- Nie.

- Nie uważasz, że to, cośmy przeżyli i robili, powinno ułatwić zrozumienie?

- "Występek jest potworem, co tak swe kły szczerzy - powiedział gorzko młody człowiek - że aby coś tam, coś tam, ujrzeć go należy. A potem my tam coś tam, wreszcie się ściskamy." - Nie mógł sobie przypomnieć słów. - Nie pamiętam tego cytatu - rzekł.

- Nie mówmy "występek" - powiedziała. - To nie bardzo uprzejme.

- Zboczenie - powiedział.

- Jakubie - zwrócił się jeden z klientów do barmana - wygląda pan doskonale.

- Pan też doskonale wygląda - powiedział barman.

- Nasz stary Jakub - rzekł drugi klient. - Przytył pan, Jakubie.

- Coś okropnego, jak mi przybywa na wadze - odparł barman.

- Nie zapomnij pan dodać koniaku - powiedział pierwszy klient.

- Nie, proszę pana - odrzekł barman. - Proszę mi ufać.

Dwaj stojący przy barze spojrzeli na tych dwoje siedzących przy stoliku, a potem znów na barmana. Wygodniej było patrzeć w kierunku barmana.

- Wolałabym, żebyś nie używał takich słów - powiedziała dziewczyna. - Nie ma potrzeby używać takiego słowa.

- A jak chcesz, żebym to nazwał?

- Nie musisz tego nazywać. Nie musisz nadawać temu żadnej nazwy.

- Taka jest na to nazwa.

- Nie - powiedziała. - Jesteśmy złożeni z najróżniejszych rzeczy. Wiedziałeś o tym. Korzystałeś z tego nie najgorzej.

- Nie musisz tego powtarzać.

- Bo to ci wszystko tłumaczy.

- W porządku - rzekł. - W porządku.

- Chcesz powiedzieć, że nie w porządku. Wiem. Zupełnie nie w porządku. Ale ja wrócę. Powiedziałam ci, że wrócę. Wrócę od razu.

- Nie, nie wrócisz.

- Owszem, wrócę.

- Nie. Nie do mnie.

- Zobaczysz.

- Tak - powiedział. - To jest właśnie najgorsze. Prawdopodobnie wrócisz.

- Oczywiście, że tak.

- No to idź.

- Naprawdę? - Nie mogła uwierzyć, ale głos miała uradowany.

- Idź. - Własny głos wydawał mu się obcy. Patrzył na nią, na zarys jej ust i wypukłość kości policzkowych, na jej oczy i linię włosów nad czołem, na krawędź ucha i szyję.

- Niemożliwe. Och, jesteś strasznie kochany - powiedziała. - Jesteś dla mnie za dobry.

- A jak wrócisz, opowiesz mi wszystko. - Jego głos brzmiał bardzo obco. Nie poznawał go. Spojrzała szybko na niego. Coś w nim się przełamało.

- Chcesz, żebym odeszła? - spytała poważnie.

- Tak - odpowiedział poważnie. - W tej chwili. - Jego! głos nie był ten sam, a w ustach mu zaschło. - Zaraz.

Wstała i wyszła prędko. Nie obejrzała się na niego. Patrzył za nią. Nie był tym samym człowiekiem, którym był, zanim powiedział jej, żeby odeszła. Wstał od stolika, wziął oba kwitki i podszedł z nimi do baru.

- Jestem innym człowiekiem, Jakubie - rzekł do barmana. - Widzi pan we mnie zupełnie innego człowieka.

- Tak, proszę pana? - zapytał Jakub.

- Występek - powiedział opalony młody człowiek - to bardzo dziwna rzecz, Jakubie.

- Spojrzał przez uchylone drzwi wejściowe. Zobaczył ją, jak odchodziła ulicą. Kiedy przyjrzał się sobie w lustrze, stwierdził, że naprawdę wygląda zupełnie inaczej. Dwaj mężczyźni przy barze odsunęli się, żeby mu zrobić miejsce.

- Pan szanowny ma rację - powiedział Jakub.

Tamci dwaj odsunęli się jeszcze trochę, żeby mu było całkiem wygodnie. Młody człowiek przejrzał się w lustrze, które wisiało za barem.

- Powiedziałem, że jestem innym człowiekiem, Jakubie - rzekł. Patrząc w lustro widział, że to zupełna prawda.

- Wygląda pan doskonale powiedział Jakub. - Musiał pan mieć bardzo udane lata.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## TAKI JUŻ NIGDY NIE BĘDZIESZ

Natarcie poszło przez pole, zostało zatrzymane ogniem broni maszynowej z drogi biegnącej parowem i z zabudowań folwarcznych, nie napotkało oporu w miasteczku i dotarło do brzegu rzeki. Nicholas Adams, jadąc tą drogą na rowerze, a prowadząc go w rękę tam, gdzie nawierzchnia była zbyt potrzaskana, wywnioskował z pozycji zabitych, co się tu działo.

Leżeli pojedynczo albo po kilku w wysokiej polnej trawie i na drodze, kieszenie mieli wywrócone, nad nimi unosiły się muchy, a wokół każdego ciała czy grupki ciał walały się różne papiery.

W trawie i zbożu przydrożnym, a także tu i ówdzie na drodze leżało dużo sprzętu: kuchnia polowa, która musiała tu przyjechać, kiedy jeszcze wszystko szło dobrze, tornistry ze skóry cielęcej, granaty ręczne, hełmy, karabiny - gdzieniegdzie sterczące kolbą do góry i wbite bagnetem w ziemię; widać w ostatniej chwili było dosyć gorąco - i znowu granaty, hełmy, karabiny, sprzęt do kopania rowów strzeleckich, skrzynki amunicyjne, rakiety z rozrzuconymi wokół nabojami, torby sanitarne, maski gazowe, puste puszki od masek, karabin maszynowy bez trzona zamkowego, z pełnymi taśmami wystającymi z komory, rozkraczony na trójnogu w gnieździe wystrzelonych łusek, przy nim przewrócona, próżna blaszanka od wody używanej do chłodzenia i obsługa w dziwnych pozycjach, a dokoła, w trawie, znów te charakterystyczne papiery.

Były tam mszaliki, grupowe pocztówki przedstawiające oddział obsługi karabinów maszynowych stojący szeregiem, wesół i krzepki niby na zdjęciu drużyny piłkarskiej przeznaczonym do pamiątkowego albumu szkelnege (teraz ci ludzie leżeli poskręcani i napuchnięci w trawie), dalej propagandowe odkrytki, na których żołnierz w austriackim mundurze przewracał kobietę na łóżko. Postacie narysowano impresjonistycznie, bardzo to było pięknie wymalowane i nie miało nic wspólnego z prawdziwym gwałceniem, kiedy to spódnicę zarzuca się na twarz kobiecie, żeby ją przydusić, a czasem któryś z kolegów siada jej na głowie. Dużo tam leżało tych podburzających pocztówek, które najwidoczniej wypuszczono przed samą ofensywą. Teraz walały się razem z brudnymi fotografiami - małymi zdjęciami wiejskich dziewcząt, wykonanymi przez wiejskich fotografów, zdjęciami dzieci i listami, listami, listami. Wokół zabitych zawsze jest dużo papieru i szczątki pozostałe po tym natarciu nie były wyjątkiem.

Trupy były świeże i nikt nie zatroszczył się o nic poza ich kieszeniami. Nick zauważył, że własnych zabitych - albo tych, których wciąż jeszcze uważał za własnych - jest

nadspodziewanie mało. Im także porozpinano mundury, powywracano kieszenie, a ich pozycje świadczyły o sposobie przeprowadzenia i o skuteczności natarcia. Upał jednak rozdął ciała wszystkich poległych, bez względu na narodowość.

Miasteczka najwyraźniej broniono w ostatniej chwili z linii drogi biegnącej parowem i chyba tylko nieliczni Austriacy zdołali się do niego wycofać. Na ulicy leżało zaledwie trzech zabitych, którzy wyglądali tak, jakby polegli w ucieczce. Domy miasteczka potrzaskane były granatami artyleryjskimi, ulica zasłana gruzem i tynkiem, wszędzie pełno pogruchotanych belek, popękanych dachówek i dużo lejów - niektóre miały krawędzie żółte od iperytu. Leżały tu liczne odłamki pocisków, a między gruzem rozsypane kulki szrapneli. W miasteczku nie było żywej duszy.

Nick Adams nie spotkał nikogo, odkąd opuścił Fornaci, choć jadąc przez kraj okryty bujną zielenią widział na lewo od szosy działa zamaskowane liśćmi merwowymi, a rozpoznawał je po rozgrzanym powietrzu drgającym nad nimi tam, gdzie słońce padało na metal. Teraz przejechał przez miasteczko, ze zdziwieniem stwierdzając, że jest opustoszałe, i znalazł się na drodze pod skarpą nadrzeczną. Za miastem rozciągała się naga, otwarta przestrzeń, gdzie droga schodziła w dół; widać stamtąd było spokojne wody rzeki, płaski łuk przeciwległego brzegu i pobielale, spieczone słońcem błoto, w miejscu gdzie okopali się Austriacy. Roślinność rozpleniła się i zazieleniła bujnie, odkąd tu był po raz ostatni, a fakt, że rzeka stała się historyczna, w niczym nie zmienił jej wyglądu.

Batalion zajął pozycję po lewej ręce, wzdłuż brzegu. Na szczycie skarpy widać było rząd dołów strzeleckich, a w nich kilku żołnierzy. Nick zauważył rozstawione karabiny maszynowe i rakiety sygnalizacyjne na stojakach. Żołnierze, siedzący w dołach na zboczu, spali. Nikt go nie zatrzymał. Ruszył dalej, a kiedy mijał zakręt błotnistej skarpy, młody podporucznik ze szczeciniastym zarostem i zaczerwienionymi, mocno nabiegłymi krwią oczami wymierzył w niego pistolet.

- Kto pan jest? Nick wyjaśnił.

- A skąd ja to mogę wiedzieć?

Nick pokazał mu tesseract [legitymacja] z fotografią, poświadczeniem tożsamości i pieczęcią trzeciej armii. Oficer wziął ją.

- Ja to zatrzymuję.

- Nic podobnego - powiedział Nick. - Niech pan mi zwróci legitymację i schowa pistolet. O tu, do kabury.

- Skąd mogę wiedzieć, kto pan jest?

- Mówi panu o tym tesseract.

- A jeżeli jest fałszywa? Proszę to dać.

- Nie bądź pan niemądry - powiedział wesoło Nick. - Zaprowadź mnie pan do dowódcy kompanii.

- Powiniennem pana odesłać do dowództwa batalionu.

- W porządku - odparł Nick. - Niech pan posłucha. Zna pan kapitana Paravicini? Takiego wysokiego, z małym wąsikiem, był architektem i mówi po angielsku.

- A pan go zna?

- Trochę.

- Którą kompanią dowodzi?

- Drugą.

- Teraz dowodzi batalionem.

- Dobra - powiedział Nick. Z ulgą usłyszał, że "Para" jest zdrow i cały. - Chodźmy do batalionu.

Kiedy Nick wyjeżdżał z miasteczka, trzy szrapnele rozerwały się w górze, nieco na prawo, nad jednym z rozwalonych domów, i od tej pory artyleria milczała. Ale twarz oficera wyglądała jak twarz człowieka w chwili bombardowania. Było w niej to samo napięcie, a jego głos nie brzmiał naturalnie. Pistolet denerwował Nicka.

- Zabierz pan to - powiedział. - Między nimi a panem jest cała rzeka.

- Gdybym pana uważał za szpiega, zastrzeliłbym pana z punktu - odparł podporucznik.

- Chodźmy - rzekł Nick. - Pójdziemy do batalionu. - Ten oficer ogromnie działał mu na nerwy.

W ziemiance będącej kwaterą dowództwa batalionu kapitan Paravicini, pełniący funkcje majora, jeszcze chudszy i bardziej angielski niż kiedykolwiek, wstał zza stołu, kiedy Nick mu zasalutował.

- Dzień dobry! - powiedział. - Nie poznałem pana. Co pan tu robi w tym mundurze?

- A wsadzili mnie w niego.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę, Nicolo.

- Ja też. Dobrze pan wygląda. Jak wam poszło?

- Przeprowadziliśmy doskonale natarcie. Naprawdę. Świetne natarcie. Pokażę panu. Niech pan patrzy.

Pokazał na mapie przebieg ataku.

- Jadę z Fornaci - powiedział Nick. - Widziałem, co tu się działo. Bardzo dobrze to wypadło.

- Nadzwyczajnie. Zupełnie nadzwyczajnie. Czy pan jest przydzielony do pułku?

- Nie. Mam tu się trochę pokreć, żeby pokazać ludziom mundur.

- Dziwne.

- Bo jak zobaczą jeden mundur amerykański, to podobno uwierzą, że inni Amerykanie już są w drodze.

- Ale skąd się dowiedzą, że to mundur amerykański?

- Pan im powie.

- Ach, tak. Rozumiem. Poślę z panem kaprała, żeby pana oprowadził, to pan zrobi obchód pozycji.

- Niczym jakiś cholerny polityk.

- Wyglądałby pan o wiele wytworniej w cywilnym ubraniu. Bo tylko takie ubranie jest naprawdę dystyngowane.

- I w meloniku - dodał Nick.

- Albo w bardzo włochatym pilśniowym kapeluszu.

- Powinienem mieć pełne kieszenie papierosów, pocztówek i tym podobnych rzeczy - powiedział Nick. - I chlebak pełen czekolady. To wszystko należałoby rozdawać z dobrym słowem i klepaniem po plecach. Ale nie było papierosów i pocztówek ani czekolady. Więc powiedzieli, żebym tak czy owak pokazał się tutaj.

- Jestem pewien, że pańskie zjawienie się bardzo podniesie żołnierzy na duchu.

- Wolalbym, żeby pan nie był pewien - odparł Nick. - I tak wcale mi się to nie podoba. W zasadzie powinienem był przywieźć panu butelkę koniaku.

- "W zasadzie" - powiedział Para i uśmiechnął się po raz pierwszy, ukazując żółte zęby. - To takie piękne wyrażenie. Napije się pan grappy?

- Nie, dziękuję - odrzekł Nick.

- Nie ma w niej ani trochę eteru.

- Jeszcze czuję jego smak - przypomniał sobie Nick nagle i zupełnie dokładnie.

- Wie pan, jakieśmy wtedy wracali ciężarówkami, nie domyślałem się wcale, że pan jest pijany, póki pan nie zaczął mówić.

- Byłem schlany w każdym natarciu - powiedział Nick.

- Ja nie mogę tego robić - oświadczył Para. - Spróbowałem podczas pierwszej, tej najpierwszej bitwy, i tylko mnie to wytrąciło z równowagi, a potem strasznie mi się chciało pić.

- Panu to niepotrzebne.

- Pan jest w natarciu o wiele odważniejszy ode mnie.



- Nie - powiedział Nick. - Wiem, jaki jestem, i wolę się urząć. Wcale się tego nie wstydę.

- Nigdy pana nie widziałem pijanego.

- Nie? - zapytał Nick. - Nigdy? Nawet tej nocy, kiedy jechaliśmy z Mestre do Portogrande, a mnie się zachciało spać i pomyliłem rower z kołdrą, i naciągnąłem go sobie pod brodę?

- To nie było w linii.

- Nie mówmy o tym, jaki jestem - rzekł Nick. - To temat, o którym za wiele wiem, żeby mi się jeszcze chciało o nim myśleć.

- Może pan tu chwilę posiedzieć - powiedział Paravicini. - I zdrzemnąć się, jeżeli pan ma ochotę. Bombardowanie niewiele zrobiło tej ziemiance. Jeszcze za gorąco, żeby wychodzić.

- Myślę, że nie ma co się śpieszyć.

- A jak pan się naprawdę czuje?

- Doskonale. Czuję się świetnie.

- Nie, ale tak naprawdę?

- Zupełnie dobrze. Nie mogę spać bez światła. Tyle tylko mi po tym zostało.

- A mówiłem, że trzeba było trepanować. Nie jestem lekarzem, ale wiedziałem swoje.

- No cóż, oni uważali, że będzie lepiej, jak to się wessie, i tak to zostawili. A bo co? Chyba pan nie ma wrażenia, że jestem nienormalny.

- Zdaje się, że pan jest w pierwszorzędnej formie.

- To diablo nieprzyjemnie, jak kogoś już raz uznają za stukniętego - powiedział Nick.

- Potem nikt nie ma do człowieka za grosz zaufania.

- Zdrzemnąłbym się na pana miejscu, Nicolo - rzekł Paravicini. - To już nie taka kwatery dowództwa batalionu, jakąśmy widywali. Tylko czekamy, kiedy nas stąd wykurzą. Nie powinien pan teraz wychodzić na ten upał - to byłoby niemądre. Niech pan się położy na pryczy.

- Mogę się trochę wyciągnąć - powiedział Nick. Położył się na pryczy. Był bardzo zawiedziony,

że tak się czuje, a może jeszcze bardziej, że to jest tak widoczne dla kapitana Paravicini. Ziemianka nie była tak duża jak tamta, w której ów pluton z rocznika 1899, świeżo przysłany na front, dostał histerii podczas bombardowania przed natarciem, a Para, chcąc pokazać ludziom, że nic im się nie stanie, kazał mu wyprowadzać po dwóch na raz.

Założył wtedy pasek od hełmu ciasno pod brodę, żeby mu wargi nie drżały. Wiedział, że nie zdołają utrzymać tego, co zdobędą. Że to wszystko jest cholerna bzdura. "Jeżeli nie może przestać beczeć, to rozkwasić mu nos, żeby miał inny temat do rozmyślań. Zastrzeliłbym z jednego, ale już teraz za późno. Wszyscy poczuliby się jeszcze gorzej. Rozwalić mu nos. Przełożyli to na piąta dwadzieścia. Mamy jeszcze tylko cztery minuty. Przetrać nos temu głupiemu skurczybykowi i wykopać stąd jego durną dupę. Myślisz, że pójdą? Jak nie, kropnąć ze dwóch i poprobować jakoś wypchnąć resztę. Trzymajcie się za nimi, sierżancie. Nie warto iść naprzód i przekonać się, że z tyłu nie ma nikogo. Wygarniajcie ich po drodze. Co za cholerna bzdura. Dobrze. W porządku." A potem, patrząc na zegarek, tym spokojnym tonem, tym nieocenionym, spokojnym tonem: "Savoia!" Szedł na trzeźwo, bo nie było czasu; nie mógł się połapać, kiedy mu wgniotło czaszkę. Cały bok wgniotło i od tego właśnie wszystko się zaczęło. Na trzeźwo po tym zboczu - jedyny raz, kiedy nie szedł schlany.

A gdy wracali, stacja kolejki linowej płonęła i niektórych rannych znieśli na dół dopiero w cztery dni później; innych wcale nie znieśli, a szło się pod górę i z powrotem, i w dół, i ciągle w dół. I wtedy, rzecz dziwna, zobaczył Gaby Deslys z piórami na głowie. "«Laleczką» zwałś mnie przed rokiem, tralala, mówiłeś, żeś pod mym urokiem, tralala" - w tych piórach i bez piór - cudna Gaby, a moje nazwisko: Harry Pilcer, i wysiadało się z drugiej strony taksówki, kiedy jechała stromo pod górę, i co noc widział we śnie to wzgórze, a na nim Sacré Coeur, biało rozdęte, niby bańka mydlana. Czasem jego dziewczyna szła z nim, a czasem z kim innym, nie mógł tego zrozumieć, ale to były te noce, kiedy rzeka płynęła o tyle szerzej i spokojniej niż w rzeczywistości, a za Fossalta jest niski kanał, a on tam był ze sto razy i nigdy go nie widział, a przecież kanał pokazywał mu się teraz co noc, widoczny jak góra, tyle tylko że budził w nim lęk. Ten dom był najważniejszy; zjawiał się każdej nocy. Czuł, że to mu właśnie potrzebne, ale bał się, zwłaszcza gdy łódź stała spokojnie na kanale pod wierzbami, tylko że brzegi były inne niż przy tej rzece. Niższe, takie jak w Portogrande, kiedy zobaczyli tamtych brodzących z karabinami wysoko nad głową poprzez zalane pole, póki nie popadali w wodę. Kto to dał tamten rozkaz? Gdyby mu się wszystko tak piekielnie nie mąciło, mógłby to sobie przypomnieć. Dlatego właśnie starał się zapamiętać każdą rzecz dokładnie, żeby mieć jakiś ład w głowie i wiedzieć, co się z nim dzieje, ale nagle wszystko się mieszało bez powodu - jak choćby i teraz, kiedy tu leżał na pryczy w kwaterze dowództwa batalionu, Para komenderował batalionem, a on miał na sobie ten cholerny amerykański mundur.

Siadł na pryczy i rozejrzał się: wszyscy obserwowali go, Para gdzieś wyszedł. Położył się znowu.

Wspomnienia paryskie przyszły pierwsze, a on nie bał się ich, tylko tego, że ona wyjechała z kim innym i że mogą znów wsiąść do tej samej taksówki. To go przerażało. Wcale nie front. Teraz front już mu się nie śnił, ale ów długi, żółty dom i jakaś inna szerokość rzeki napawały go takim lękiem, że nie mógł się otrząsnąć. Obecnie wrócił tu, nad tę rzekę, przejechał przez to samo miasto i domu nie było. I rzeka też wyglądała inaczej. Więc dokądże chodził co noc, co mu groziło, dlaczego budził się zlany potem, przerażony bardziej niż podczas bombardowania - z powodu domu, podłużnej stajni i kanału?

Siadł i ostrożnie spuścił nogi; drętwiały mu, ilekroć trzymał je wyprostowane przez dłuższy czas. Odwzajemnił baczne spojrzenie adiutantowi i dwóm gońcom stojącym u wejścia, po czym nałożył obciążony pokrowcem hełm bojowy.

- Żałuję, że nie mam czekolady, pocztówek i papierosów - odezwał się. - Ale jednak mam na sobie mundur.

- Pan major zaraz wraca - powiedział adiutant. W tej armii adiutant nie miał stopnia oficerskiego.

- Mundur nie jest całkiem przepisowy - powiedział Nick do nich. - Ale daje ogólne pojęcie. Niedługo będzie tu parę milionów Amerykanów?

- Myśli pan, że tu przyślą Amerykanów? - spytał adiutant.

- Ach, oczywiście. Amerykanów dwa razy większych ode mnie, zdrowych, o czystym sercu, dobrze spiających w nocy, takich, co nigdy nie byli ranni, nigdy nie wylecieli w powietrze, nigdy nie mieli wgniecionych czaszek i nigdy się nie bali, co nie piją, są wierni dziewczynom, które pozostawili, w większości wypadków nie mieli mend - jednym słowem, wspaniałych chłopaków. Zobaczycie.

- Pan jest Włoch? - zapytał adiutant.

- Nie. Amerykanin. Spójrzcie na mundur. Uszył go Spagnolini, ale nie jest całkiem przepisowy.

- Północny czy południowy Amerykanin?

- Północny - odpowiedział Nick. Czuł, że to znowu nadchodzi. Trzeba było się opanować.

- Ale pan mówi po włosku.

- Dlaczego nie miałbym mówić? Czy to wam przeszkadza, że mówię po włosku? Nie mam prawa mówić po włosku?

- Pan ma włoskie medale.

- Tylko wstążki i dokumenty. Medale otrzymuje się później. Albo daje się je komuś na przechowanie i ten ktoś wyjeżdża, albo też giną razem z naszymi bagażami. Można kupić inne w Mediolanie. Tylko dokumenty są ważne. Nie powinniście mi zazdrościć. Sami też coś dostaniecie, jak posiedzicie dłużej na froncie.

- Ja jestem weteranem kampanii erytrejskiej - powiedział sztywno adiutant. - Walczyłem w Trypolisie.

- Bardzo mi przyjemnie was poznać. - Nick wyciągnął rękę. - To musiały być ciężkie chwile. Zauważyłem te wstążeczki. Czyście przypadkiem nie byli na Carso?

- Zmobilizowali mnie dopiero na tę wojnę. Mój rocznik był za stary.

- Kiedyś byłem poniżej granicy wieku poborowego - powiedział Nick. - Ale teraz już jestem zwolniony ze służby frontowej.

- To dlaczego pan tu jest?

- Demonstruję mundur amerykański - odrzekł Nick. - Nie uważacie, że to bardzo znamienne? Trochę jest ciasny w kołnierzu, ale niedługo zobaczycie nieprzeliczone miliony ludzi w takich mundurach, mrowiące się niczym szarańcza. Bo, wiecie, konik polny - to, co w Ameryce nazywamy konikiem polnym - jest w gruncie rzeczy szarańczą. Prawdziwy konik polny bywa mały, zielony i stosunkowo słaby. Jednakże nie trzeba go mylić z siedmioletnią szarańczą, czyli cykadą, wydającą szczególny, przeciągły dźwięk, którego w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć. Próbuje, ale nie mogę. Już, już go słyszę, a potem ucieka mi zupełnie. Wybaczycie, że przerwę naszą rozmowę?

- Idź no poszukać majora - powiedział adiutant do jednego z gońców. - Widzę, że pan był ranny - rzekł do Nicka.

- W parę miejsc - powiedział Nick. - Jeżeli interesujecie się bliznami, to mogę wam pokazać kilka bardzo ciekawych, ale wolałbym pomówić o konikach polnych. To znaczy o tym, co nazywamy konikami polnymi, a co naprawdę jest szarańczą. Te owady kiedyś odegrały w moim życiu bardzo doniosłą rolę. To może was zainteresuje. Możecie też przyglądać się mundurowi, kiedy będę mówił.

Adiutant dał ręką znak drugiemu gońcowi, który zaraz wyszedł.

- Popatrzcie na ten mundur. Wiecie, robił go Spagnolini. Wy także możecie patrzeć - rzekł Nick do sygnalistów. - Ja właściwie nie mam stopnia. Podlegamy amerykańskiemu konsulowi. Możecie zupełnie spokojnie patrzeć. Nawet wytrzeszczać oczy, jeżeli macie ochotę. Opowiem wam o szarańczy amerykańskiej. Zawsze uważaliśmy za lepszą tę, którą nazywaliśmy średnią brązową. Najlepiej się trzyma w wodzie i ryby ją wolą. Ta większa, co

latając wydaje odgłos trochę przypominający grzechotnika, kiedy grzechocze grzechotkami, taki bardzo suchy dźwięk, ma skrzydełka o żywej barwie. Owady te bywają jasnoczerwone albo żółte, pręgowane czarno, ale skrzydełka rozłazą im się na kawałki w wodzie i przez to nie nadają się na przynętę, podczas gdy ta średnia brązowa jest tłusta, jędrna, soczysta i mogę ją polecić, o ile można polecać coś, z czym panowie prawdopodobnie nigdy się nie spotkają. Muszę jednakże podkreślić, że nie zdołacie zbierać dostatecznego zapasu tych owadów na cały dzień łowienia, jeżeli będziecie je łapać rękami albo usiłovali trafić kijem. Jest to czysty nonsens i próżna strata czasu. Powtarzam, panowie, że w ten sposób nic nie osiągniecie. Właściwą metodą, którą należałoby wykładać wszystkim młodym oficerom na każdym kursie nauki o broni ręcznej, gdybym miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia - a kto wie, czy nie będę miał - jest zastosowanie niewodu, czyli sieci sporządzonej ze zwykłej moskitiery. Dwaj oficerowie trzymają taką sieć za oba przeciwległe końce - albo, powiedzmy, jeden oficer za każdy koniec - pochylają się, ujmują dolną krawędź siatki w jedną rękę, górną zaś w drugą i zaczynają biec pod wiatr. Owady unoszące się z wiatrem wlatują w sieć i zostają uwięzione w jej fałdach. Nie jest żadną sztuką nałapać w ten sposób bardzo dużą ilość i, moim zdaniem, każdy oficer powinien nosić przy sobie kawałek moskitiery nadający się do zaimprovizowania takiej sieci na koniki polne. Mam nadzieję, że wyrażałem się jasno, panowie. Czy są jakieś pytania? Jeżeli nie zrozumieliście czegoś z wykładu, proszę zadawać pytania. Słucham. Nikt? Pragnąłbym więc zakończyć następującym akcentem. Słowami wielkiego żołnierza i dżentelmena, sir Henry'ego Wilsona: "Panowie! Albo musicie rządzić, albo musicie być rządzeni." Pozwólcie, że to powtórzę. Panowie chciałbym, żebyście jedno zapamiętali. Chciałbym, żebyście jedno wynieśli z tej sali. Panowie! Albo musicie rządzić, albo musicie być rządzeni. To wszystko, proszę panów. Do widzenia.

Zdjął obciążony pokrowcem hełm, nałożył go z powrotem i pochyliwszy się wyszedł przez niski właz ziemianki. Drogą biegnącą parowem nadchodził Paravicini z gońcami. Na słońcu było bardzo gorąco i Nick zdjął hełm.

- Powinien być jakiś system zwilżania tych hełmów - powiedział. - Zmoczę go w rzece. - Zaczai wchodzić na skarpe.

- Nicolo! - zawołał Paravicini. - Nicolo! Dokąd pan idzie?

- Właściwie wcale nie muszę iść. - Nick zszedł ze zbocza niosąc hełm w rękach. - To jest i tak piekielnie męczące, na mokro czy na sucho. A pan stale nosi ten swój?

- Stale - odrzekł Para. - Przez to łysieję. Wejdzmy do środka.

W ziemiance Para kazał Nickowi usiąść.

- Wie pan, te hełmy są absolutnie do niczego - powiedział Nick. - Pamiętam, że dodawały nam ducha, kiedyśmy je pierwszy raz włożyli, ale potem za często je widywałem pełne mózgu.

- Nicolo - powiedział Para. - Uważam, że pan powinien wrócić. Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan nie przyjeżdżał na linię, póki pan nie dostanie tych prowiantów. Nie ma tutaj dla pana nic do roboty. Jak pan zacznie kręcić się tam i z powrotem, nawet z czymś, co warto by rozdać, ludzie będą się gromadzić, a to ściąga ogień artyleryjski. Nie zgodzę się na to.

- Wiem, że to głupie - powiedział Nick. - To nie był mój pomysł. Dowiedziałem się, że brygada jest tutaj, więc przyszło mi do głowy, żeby odwiedzić pana albo jakiego innego znajomego. Mogłem pojechać do Zenzon czy San Dona. Chciałbym pojechać do San Dona, żeby znowu zobaczyć most.

- Nie pozwolę panu kręcić się tu bez celu - powiedział kapitan Paravicini.

- W porządku - odparł Nick. Czuł, że to znowu nadchodzi.

- Zrozumiał mnie pan?

- Oczywiście - powiedział Nick. Próbował to pohamować.

- Wszelkie tego rodzaju rzeczy należy robić nocą.

- Naturalnie - zgodził się Nick. Wiedział, że teraz już tego nie powstrzyma.

- Widzi pan, ja dowodzę batalionem - powiedział Para.

- Dlaczego nie miałby pan dowodzić? - odparł Nick. W tej chwili to przyszło. - Przecież pan umie czytać i pisać, prawda?

- Tak - odrzekł łagodnie Para.

- Cały feler w tym, że pan ma pod swoimi rozkazami diabo mały batalion. Jak tylko wróci do właściwego stanu liczebnego, oddadzą panu kompanię. Dlaczego nie grzebie się zabitych? Widziałem ich dopiero co. Nie mam ochoty oglądać ich znowu. Jeżeli o mnie idzie, to można ich pogrzebać każdej chwili, co zresztą byłoby o wiele lepiej dla was. Wszyscy dostaniecie cholernych mdłości.

- Gdzie pan zostawił rower?

- W ostatnim domu.

- Myśli pan że wszystko będzie dobrze?

- Proszę się nie martwić - powiedział Nick. - Za chwilę odjadę.

- Niech pan się trochę położy, Nicolo.

- Dobrze.

Przymknął oczy i zamiast brodatego mężczyzny, który najspokojniej patrzył na niego z nad celownika karabinu, zanim nacisnął cyngiel (a potem był biały błysk, cios jak uderzenie drągiem. Nick klęcząc dławiał się czymś gorąco-słodkim i wycharkiwał to na skałę, gdy inni przebiegali obok), ujrzał długi, żółty dom, niską stajnię i rzekę, o wiele szerszą i spokojniejszą niż naprawdę.

- O Jezu - powiedział. - Chyba już pojedę. Wstał.

- Jadę, Para - rzekł. - Będę teraz wracał po południu. Jeżeli przyszyły jakieś prowianty, przywiozę je wieczorem. Jeśli nie, przyjadę w nocy, jak będę miał coś do przywiezienia.

- Jeszcze za gorąco na jazdę - powiedział kapitan Paravicini.

- Może pan się nie martwić - odparł Nick. - Teraz jest wszystko w porządku na dłuższą chwilę. Miałem to dopiero co, ale było lekkie. Bardzo się poprawia. Mogę wyczuć, kiedy to nadchodzi, bo tyle wtedy mówię.

- Poślę z panem gońca.

- Wolę nie. Znam drogę. - Wróci pan niedługo?

- Bezwzględnie.

- A może z panem posłać...

- Nie - powiedział Nick. - W dowód zaufania.

- No to ciao.

- Ciao - powiedział Nick. Ruszył drogą ku miejscu, gdzie zostawił rower. Po południu na drodze za kanałem powinien być cień. Dalej rosą po obu stronach drzewa, które w ogóle nie były pod ostrzałem. To na tym odcinku minęli kiedyś w marszu pułk kawalerii Terza Savoia, który jechał z lancami po śniegu. Oddechy koni tworzyły pióropusze w zimnym powietrzu. Nie, to było gdzie indziej. Ale gdzie?

"Muszę dobrnąć do tego przekłętego roweru - powiedział Nick do siebie. - Nie chciałbym zmylić drogi do Fornaci."

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## MATKA KRÓLOWEJ

Kiedy umarł mu ojciec, był jeszcze młodym chłopakiem i jego impresario pochował ojca na stałe. To znaczy tak, żeby miał działkę bezterminowo. Ale kiedy umarła mu matka, impresario pomyślał, że może nie będą zawsze tak się do siebie palili. Byli kochankami; jasne, on jest "królową"[amer. slang - homoseksualista], a toście tego nie wiedzieli? Oczywiście, że jest. Więc pogrzebał matkę tylko na pięć lat.

No i kiedy wrócił do Meksyku z Hiszpanii, dostał pierwsze upomnienie. Pisali tam, iż po raz pierwszy przypominają, że pięć lat już upłynęło, i proszą, aby załatwił sprawę przedłużenia prawa własności do grobu matki. Za stałe prawo własności liczą tylko dwadzieścia dolarów. Trzymałem wtedy kasę i powiedziałem: "Pozwól mi się tym zająć, Paco." Ale on odpowiedział, że nie, że sam się tym zajmie. Zajmie się tym natychmiast. To jego matka i sam chce to załatwić.

A potem, po tygodniu, dostał następne upomnienie. Przeczytałem mu je i powiedziałem, iż myślałem, że już to załatwił.

Nie, odpowiedział, nie załatwił.

- Ja to zrobię - rzekłem. - Pieniądze są tu, w tej kasetce.

Nie, odparł. Nikt mu nie będzie mówił, co ma robić. Załatwi to sam, jak się do tego zabierze.

- Co za sens wydawać pieniądze wcześniej niż potrzeba?

- Dobrze - odpowiedziałem. - Ale pamiętaj, żebyś się tym zajął.

W tym czasie miał kontrakt na sześć walk po cztery tysiące pesos, oprócz swojej walki benefisowej. Zarobił ponad piętnaście tysięcy dolarów w samej stolicy. Po prostu był sknera, nic więcej.

Trzecie upomnienie przyszło po następnym tygodniu i przeczytałem mu je. Pisali tam, że jeżeli nie dokona wpłaty do następnej soboty, grób jego matki zostanie otwarty, a jej szczątki zrzucone do wspólnej mogiły. Powiedział, że to załatwi tego popołudnia, jak pojedzie do miasta.

- Dlaczego mi nie dasz tego zrobić? - spytałem go.

- Nie mieszaj się do moich spraw - odparł. - To moja sprawa i sam się tym zajmę.

- W porządku, jeżeli tak uważasz - powiedziałem. - Zajmij się swoimi własnymi sprawami.



Wyjął pieniądze z kasetki, choć wówczas stale nosił przy sobie sto albo więcej pesos, i powiedział, że to załatwi. Wyszedł z pieniędzmi, więc oczywiście myślałem, że się tym zajął.

W tydzień później przyszło zawiadomienie, że ponieważ nie otrzymano odpowiedzi na ostateczne ostrzeżenie, więc ciało jego matki zostało rzucone do wspólnej mogiły, do mogiły publicznej.

- Jezu Chryste - powiedziałem do niego. - Przecież mówiłeś, że zapłacisz, i wziąłeś na to pieniądze z kasetki, a teraz co się stało z twoją matką? Boże drogi, no tylko pomyśl! Publiczna mogiła i twoja rodzona matka. Dlaczego mi nie dałeś tym się zająć? Byłbym przesłał pieniądze, jak przyszło pierwsze upomnienie.

- To nie twoja rzecz. To moja matka.

- Nie moja rzecz, owszem, ale była twoja. Co to za krew płynie w człowieku, który pozwala zrobić coś podobnego ze swoją matką? Nie zasłużyłeś, żeby mieć matkę.

- To moja matka - odparł. - Teraz jest mi jeszcze o wiele droższa. Teraz nie muszę myśleć, że jest pogrzebana w jakimś jednym miejscu, i smuć się tym. Teraz jest wszędzie dokoła mnie w powietrzu, jak ptaki i kwiaty. Teraz już zawsze będzie przy mnie.

- Jezu Chryste! - powiedziałem. - Co ty masz w sobie za krew? Nawet się do mnie nie odzywaj.

- Ona jest wszędzie dokoła mnie - odrzekł. - Teraz już nigdy nie będę smutny.

W owym czasie wyrzucał masę pieniędzy na kobiety, żeby się wydać mężczyzną i zamydlić ludziom oczy, ale na tych, którzy coś o nim wiedzieli, nie robiło to żadnego wrażenia. Był mi winien z górą sześćset pesos i nie chciał ich oddać.

- Po co ci to w tej chwili? - pytał. - Nie ufasz mi? Nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Tu nie idzie o to, czy jesteśmy przyjaciółmi ani o zaufanie do ciebie. Zapłaciłem rachunki z własnej kieszeni, kiedy ciebie nie było, i teraz te pieniądze są mi potrzebne, i musisz mi je zwrócić.

- Kiedy nie mam.

- Masz - powiedziałem. - Są w kasetce i możesz mi je oddać.

- Te pieniądze są mi na coś potrzebne - rzekł. - Nie znasz wszystkich moich potrzeb pieniężnych,

- Siedziałem tu przez cały ten czas, kiedy byłeś w Hiszpanii, i upoważniłeś mnie do płacenia rachunków, w miarę jak napływały, tych' wszystkich wydatków domowych, i nie przysyłałeś mi żadnych pieniędzy, kiedy cię nie było, i wypłaciłem ponad sześćset pesos z własnej kieszeni, a teraz potrzeba mi tych pieniędzy i możesz mi je zwrócić.

- Zwrócę ci niedługo - powiedział. - W tej chwili bardzo mi potrzeba pieniędzy.
- Na co?
- Na moje własne sprawy.
- Może byś mi wpłacił coś a conto?
- Nie mogę - odparł. - Zanadto potrzebuję tych pieniędzy. Ale ci zwrócę.

W Hiszpanii walczył tylko dwa razy, nie mogli go tam znieść, od razu przejrzeni go na wylot, i sprawił sobie siedem nowych strojów toreadorskich, i taki on był: zapakował je tak fatalnie, że cztery zniszczyła woda morska podczas drogi powrotnej i nie mógł ich nawet włożyć.

- Boże kochany - powiedziałem do niego. - Jedziesz do Hiszpanii, siedzisz tam przez cały sezon i walczysz tylko dwa razy. Wszystkie pieniądze, jakie zabrałeś, wydajesz na stroje, a potem pozwalasz, żeby słona woda zniszczyła je tak, że nie możesz ich włożyć. Taki jest twój sezon, a później gadasz mi, że będziesz prowadził swoje własne sprawy. Dlaczego mi nie zwrócisz tych pieniędzy, które mi jesteś winien, żebym mógł sobie pójść?

- Chcę, żebyś był ze mną - odrzekł - i spłacę cię. Ale teraz potrzebuję pieniędzy.
- Potrzebujesz ich tak bardzo, że nie chcesz zapłacić za grób własnej matki, żeby mogła dalej w nim leżeć, prawda? - spytałem.
- Jestem szczęśliwy, że tak się stało z moją matką - odrzekł. - Ty nie możesz tego zrozumieć.

- Bogu dzięki, nie mogę - powiedziałem. - Zwróć, co mi jesteś winien, bo jak nie, to wezmę sobie z kasetki.

- Sam będę trzymał kasę - rzekł.
- Nie, nie będziesz - odparłem.

Tegoż popołudnia przyszedł do mnie z jakimś łobuzem, typkiem z jego rodzinnego miasta, który był splukany, i powiedział:

- To jest paesano [chłop], który potrzebuje pieniędzy na powrót do domu, bo jego matka jest ciężko chora.

A to był po prostu łobuz, rozumiecie, jakiś ktoś, kogo nigdy przedtem nie widział, ale pochodził z jego rodzinnego miasta, a on chciał zgrywać wielkiego, hojnego matadora opiekującego się swoim ziomkiem.

- Daj mu pięćdziesiąt pesos z kasetki - powiedział do mnie.
- Dopiero co mi mówiłeś, że nie masz pieniędzy, żeby mi zwrócić - odparłem. - A teraz chcesz dać pięćdziesiąt pesos temu łobuzowi.
- To mój ziomek - powiedział. - I jest w nieszczęściu.

- Ty dziwko - odparłem. Dałem mu klucz od kasetki. - Bierz sobie sam. Ja jadę do miasta.

- Nie złość się - powiedział. - Ja ci to zwrócę. Wyprowadziłem wóz, żeby pojechać do miasta.

Był to jego wóz, ale wiedział, że prowadzę lepiej niż on. Potrafiłem lepiej od niego robić wszystko to co on. Wiedział o tym. Nie umiał nawet czytać i pisać. Chciałem się z kimś zobaczyć i zastanowić, jak można by go zmusić, żeby mnie spłacił. Wyszedł i powiedział:

- Jadę z tobą i zapłacę ci. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nie ma potrzeby się kłócić.

Pojechaliśmy do miasta; ja prowadziłem wóz. Zanim dojechaliśmy, wyciągnął dwadzieścia pesos.

- Masz pieniądze - rzekł.

- Ty dziwko bez matki - odparłem i powiedziałem mu, co może sobie zrobić z tymi pieniędzmi. - Dajesz pięćdziesiąt pesos takiemu łobuzowi, a potem ofiarowujesz mi dwadzieścia, kiedy jesteś winien sześćset. Nie wezmę od ciebie ani grosza. Wiesz, co możesz sobie z tym zrobić.

Wysiadłem z auta bez jednego pesos w kieszeni, nie mając pojęcia, gdzie będę spał tej nocy. Później wróciłem tam z jednym znajomym i zabrałem swoje rzeczy. Nie rozmawiałem z nim ani razu aż do tego roku. Spotkałem go idącego wieczorem z trzema przyjaciółmi do kina "Callao" na Gran Via w Madrycie. Wyciągnął do mnie rękę.

- Jak się masz, Rogerze, stary przyjacielu - powiedział do mnie. - Jakże się czujesz? Ludzie mówią, że mnie obgadujesz. Że mówisz różne niesprawiedliwe rzeczy na mój temat.

- Mówię tylko, że nigdy nie miałeś matki - odpowiedziałem mu. Jest to najgorsza zniewaga, jaką można wyrządzić komuś po hiszpańsku.

- To prawda - odrzekł. - Moja biedna matka umarła, kiedy byłem jeszcze taki młody, że wydaje się, jak gdybym nigdy nie miał matki. To bardzo smutne.

- Otóż i macie "królową". Ich nie można dotknąć. Nic, nic nie może ich dotknąć. Wydają pieniądze na siebie albo na głupstwa, ale nigdy ich nie zwracają. Spróbujcie zmusić któregoś, żeby zwrócił. Powiedziałem mu, co o nim myślę, tam, na środku Gran Via, przy jego trzech kumplach, a on teraz do mnie zagaduje, kiedy go spotkam, tak jak gdybyśmy byli przyjaciółmi. Jaka to krew robi z człowieka coś podobnego?

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## LIST CZYTELNICZKI

Siedziała przy stoliku w swojej sypialni, miała przed sobą rozłożoną gazetę i przerywała pisanie tylko po to, by spojrzeć przez okno na śnieg, który padał i padając topniał na dachu. Pisała ten list równomiernie, nie musząc nic przekreślać ani przepisywać.

Roanoke, Wirginia.

6 lutego 1933

Szanowny Panie Doktorze

Czy mogę prosić Pana o bardzo ważną radę - muszę powziąć decyzję, a po prostu nie wiem, komu najbardziej zaufać, rodziców nie śmiem zapytać, więc zwracam się do Pana - i tylko dlatego, że nie muszę Pana widzieć, mogę się Panu zwierzyć. Otóż sytuacja jest taka: w roku 1929 wyszłam za mężczyznę będącego w służbie Stanów Zjednoczonych i tego samego roku posłano go do Chin, do Szanghaju - siedział tam trzy lata - potem wrócił - został zwolniony ze służby kilka miesięcy temu - i pojechał do swojej matki, która mieszka w mieście Helena, stan Arkansas. Napisał do mnie, żebym przyjechała - pojechałam i przekonałam się, że bierze serię zastrzyków, i naturalnie spytałam i dowiedziałam się, że go leczą na - nie wiem, jak się pisze to słowo, ale brzmi jak "syfilis". Pan pewnie wie, o co idzie, i niech Pan mi powie, czy będzie dla mnie bezpiecznie znowu z nim żyć - nie miałam z nim ani razu zbliżenia od jego powrotu z Chin. On mnie zapewnia, że będzie całkiem zdrowy, jak ten doktor z nim skończy - czy Pan myśli, że to prawda - często słyszałam, jak mój Ojciec mówił, że człowiek powinien życzyć sobie śmierci, jeżeli raz padnie ofiarą tej choroby - wierzę Ojcu, ale najbardziej chcę wierzyć mojemu Mężowi - proszę, proszę, żeby Pan mi odpowiedział, co robić - mam córeczkę, która się urodziła, kiedy jej Ojciec był w Chinach.

Dziękuję Panu i całkowicie ufając w Pana radę pozostaję  
i podpisała swoje nazwisko.

"Może on potrafi mi powiedzieć, co się powinno zrobić - mówiła do siebie. - Może potrafi mi powiedzieć. Na fotografii w tej gazecie wygląda tak, jakby wiedział. Mądrze wygląda, a jakże. Co dzień mówi komuś, co robić. Powinien wiedzieć. Ja chcę zrobić to, co jest słuszne. Tylko że to już tak długo. Bardzo długo. I było długo. Boże drogi, strasznie długo. Ja wiem, że musiał jechać tam, gdzie go posłali, ale nie wiem, po co to dostał. Z

całego serca chciałabym, żeby tego nie miał. Wszystko mi jedno, co zrobił, żeby to dostać. Ale tak strasznie żałuję, że dostał. Przecież chyba nie musiał. Nie wiem, co robić. Tak okropnie bym chciała, żeby się nie był zaraził żadną chorobą. Nie wiem, dlaczego musiał się zarazić tą chorobą."

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## HOŁD DLA SZWAJCARII

### Część pierwsza - Portret pana Wheelera Montreux

W bufecie dworcowym było ciepło i widno. Drzewo stolików lśniło od wycierania i stały na nich koszyczki z preclami w torebkach z satynowanego papieru. Krzesła były rzeźbione, ale wysiedziane i wygodne. Na ścianie wisiał rzeźbiony drewniany zegar, a w głębi sali był bar. Za oknem padał śnieg.

Dwaj tragarze siedzieli przy stoliku pod zegarem, popijając młode wino. Wszedł inny tragarz i powiedział, że ekspres Simplon-Orient przybył do Saint-Maurice z godzinnym opóźnieniem. Potem wyszedł. Do stolika pana Wheelera podeszła kelnerka.

- Ekspres ma godzinę spóźnienia, proszę pana - powiedziała. - Czy można panu podać kawy?

- Jeżeli pani uważa, że to mi nie przeszkodzi zasnąć.

- Proszę? - spytała kelnerka.

- Niech pani poda - powiedział pan Wheeler.

- Dziękuję.

Przyniosła kawę z kuchni, a pan Wheeler popatrzał przez okno na śnieg padający w świetle latarni peronu.

- Czy pani mówi innymi językami poza angielskim? - zapytał kelnerki.

- O tak, proszę pana. Znam niemiecki, francuski i dialekty.

- Może pani by się czegoś napiła?

- O nie, proszę pana. Nie wolno pić w bufecie razem z klientami.

- Nie chce pani cygara?

- O nie, proszę pana. Ja nie palę.

- W porządku - powiedział pan Wheeler. Znów spojrzał przez okno, wypił kawę i zapalił papierosa.

- Fraulein - zawołał. Kelnerka podeszła.

- Czego pan sobie życzy?

- Pani - odpowiedział.

- Nie powinien pan tak ze mnie żartować.

- Ja nie żartuję.

- To nie powinien pan tego mówić.

- Nie mam czasu dyskutować! - powiedział pan Wheeler. - Pociąg przychodzi za czterdzieści minut. Jeżeli pani pójdzie ze mną na górę, dam pani sto franków.

- Nie powinien pan mówić takich rzeczy. Poproszę tragarza, żeby się z panem rozmówił.

- Nie chcę tragarza - odrzekł pan Wheeler. - Ani policjanta, ani takiego chłopca, co sprzedaje papierosy. Chcę pani.

- Jeżeli pan będzie tak mówił, będzie pan musiał stąd wyjść. Nie może pan tu zostać i mówić w ten sposób.

- To dlaczego pani nie odejdzie? Jeżeli pani odejdzie, nie będę mógł mówić do pani.

Kelnerka odeszła. Pan Wheeler popatrzał, czy nie rozmawia z tragarzami. Nie zrobiła tego.

- Mademoiselle! zawołał. Kelnerka podeszła do stolika. - Poproszę o butelkę sion.

- Służę panu.

Pan Wheeler obserwował ją, gdy wychodziła, a potem wracała z winem, które przyniosła mu do stolika. Spojrzał na zegar.

- Dam pani dwieście franków - powiedział.

- Proszę nie mówić takich rzeczy.

- Dwieście franków to bardzo dużo pieniędzy.

- Proszę pana nie mówić takich rzeczy! - zawołała kelnerka. Zaczynała jej się płatać angielszczyzna. Pan Wheeler przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

- Dwieście franków.

- Pan jest wstrętny.

- To dlaczego pani nie odejdzie? Nie będę mógł z panią rozmawiać, jeżeli pani nie będzie.

Kelnerka odeszła od stolika i zbliżyła się do baru. Pan Wheeler przez jakiś czas popijał wino i uśmiechał się do siebie.

- Mademoiselle! - zawołał. Kelnerka udała, że nie słyszy. - Mademoiselle! - zawołał znowu. Kelnerka podeszła.

- Pan sobie czegoś życzy?

- I to bardzo. Dam pani trzysta franków.

- Pan jest obrzydliwy.

- Trzysta franków szwajcarskich.

Odeszła, a pan Wheeler popatrzał za nią. Jakiś tragarz otworzył drzwi. Był to ten, który opiekował się bagażami pana Wheelera.

- Pociąg już idzie, proszę pana - powiedział po francusku.

Pan Wheeler wstał.

- Mademoiselle! - zawołał. Kelnerka podeszła do stolika. - Ile za to wino?

- Siedem franków.

Pan Wheeler odliczył osiem franków i zostawił je na stoliku. Włożył palto i ruszył za tragarzem na peron, gdzie padał śnieg.

- Au revoir, mademoiselle - powiedział.

Kelnerka patrzyła za nim. "Szpetny jest - myślała. - Szpetny i obrzydliwy. Trzysta franków za takie głupstwo. Ile razy robiłam to za darmo. I tutaj nie ma gdzie pójść. Gdyby miał rozum, wiedziałby, że tu nie ma miejsca. Ani czasu, ani takiego miejsca, gdzie można by pójść. Trzysta franków za zrobienie tego. Co to za ludzie, ci Amerykanie."

Stojąc na cementowym peronie obok swoich walizek, patrząc po torze ku reflektorowi pociągu, który nadjeżdżał w śniegu, pan Wheeler myślał sobie, że to bardzo niekosztowna rozrywka. Poza kolacją wydał tylko siedem franków na butelkę wina i franka na napiwek. Lepiej byłoby dać siedemdziesiąt pięć centymów. Teraz czułby się lepiej, gdyby dał siedemdziesiąt pięć centymów napiwku. Jeden frank szwajcarski to jest pięć franków francuskich. Pan Wheeler jechał do Paryża. Był bardzo ostrożny z pieniędzmi i nie lubił kobiet. Już przedtem był na tej stacji i wiedział, że tam nie ma gdzie pójść na górę. Pan Wheeler nigdy nie ryzykował.

Część druga - Pan Johnson rozmawia o tym w Vevey

W bufecie dworcowym było ciepło i widno; stoliki lśniły od wycierania, na niektórych leżały obrusy w czerwone i białe pasy, na innych obrusy w pasy niebieskie i białe, na wszystkich stały koszyczki z preclami w torebkach z satynowanego papieru. Krzesła były rzeźbione, ale drewniane siedzenia wysiedziane i wygodne. Na ścianie wisiał zegar, w głębi sali był bar obity blachą, a za oknem padał śnieg. Dwaj tragarze dworcowi siedzieli przy stoliku pod zegarem, popijając młode wino.

Wszedł inny tragarz i powiedział, że ekspres Simplon-Orient przybył do Saint-Maurice z godzinnym opóźnieniem. Do stolika pana Johnsona podeszła kelnerka.

- Ekspres ma godzinę spóźnienia, proszę pana - powiedziała. - Czy można panu podać kawy?

- Jeżeli to pani nie sprawi za dużo kłopotu?

- Proszę? - spytała kelnerka.



- Napiję się kawy.

- Dziękuję.

Przyniosła kawę z kuchni, a pan Johnson popatrzał przez okno na śnieg padający w świetle latarń peronu.

- Czy pani mówi innymi językami poza angielskim? - zapytał kelnerki.

- O tak. Znam niemiecki, francuski i dialekty.

- Może pani by się czegoś napiła?

- O nie, proszę pana. Nie wolno pić w bufecie razem z klientami.

- A może cygaro?

- O nie, proszę pana - roześmiała się. - Ja nie palę.

- Ja też nie - powiedział Johnson. - To paskudny nawyk.

Kelnerka odeszła, a Johnson zapalił papierosa i wypił kawę. Na zegarze ściennym była za kwadrans dziesiąta. Jego zegarek trochę się śpieszył. Pociąg miał przyjść o wpół do jedenastej; godzina spóźnienia oznaczała więc, że przyjedzie o wpół do dwunastej. Johnson zawołał kelnerkę.

- Signorina!

- Czego pan sobie życzył

- Nie chciałyby pani zabawić się ze mną? - spytał Johnson.

Kelnerka zarumieniła się.

- Nie, proszę pana.

- Nie mam na myśli niczego strasznego. Nie miałyby pani ochoty wziąć jeszcze kogoś i obejrzeć nocnego życia Vevey? Niech pani zabierze jakąś przyjaciółkę, jeżeli pani chce.

- Muszę pracować - odpowiedziała kelnerka. - Mam tutaj obowiązki.

- Wiem - rzekł Johnson. - Ale nie mogłaby pani postarać się o zastępstwo? Tak się robiło podczas wojny secesyjnej.

- O nie, proszę pana. Muszę tu być w osobie.

- Gdzie pani się uczyła po angielsku?

- W szkole Berlitz'a, proszę pana.

- Niech pani mi o tym opowie - rzekł Johnson. - Czy studenci u Berlitz'a bardzo rozrabiali? A jak z tymi wszystkimi macankami i obłapkami? Czy dużo tam było lalusiów. Czy pani kiedy natknęła się na Scotta Fitzgeralda?

- Proszę?

- No, czy pani studia były najszcześniejszym okresem w pani życiu? Jaki zespół miał Berlitz zeszłej jesieni?

- Pan sobie żartuje.

- Tylko z lekka - powiedział Johnson. - Pani jest strasznie miła. I nie chce pani zabawić się ze mną?

- O nie, proszę pana - odrzekła kelnerka. - Czy pan sobie życzy, żebym coś panu przyniosła?

- Tak - powiedział Johnson. - Może pani mi dać kartę win?

- Proszę bardzo.

Johnson wziął kartę win i podszedł z nią do stolika, przy którym siedzieli trzej tragarze. Spojrzeli na niego. Byli to starsi ludzie.

- Wollen Sie trinken? [coś do picia?] - zapytał.

Jeden z nich kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Oui, monsieur.

- Mówicie po francusku?

- Oui, monsieur.

- Co wypijemy? Connais vous des champagnes? [czy znacie jakiś szampany?]

- Non, monsieur.

- Faut les connaitre [trzeba je znać?] - powiedział Johnson. - Fraulein! - zawołał kelnerkę. - Napijemy się szampana.

- Którego szampana pan woli?

- Najlepszego - odrzekł Johnson. - Laquelle est le [który jest] najlepszy? - zapytał tragarzy.

- Le meilleur? [najlepszy?] - zapytał tragarz, który przemówił pierwszy.

- Ma się rozumieć.

Tragarz wyjął z kieszeni kurtki okulary w złotej oprawie i przejrzał listę. Wodził palcem po czterech wypisanych na maszynie markach i cenach.

- Sportsman - powiedział. - Sportsman jest najlepszy.

- Panowie się z tym zgadzają? - zapytał Johnson pozostałych. Jeden z nich kiwnął głową. Drugi powiedział po francusku:

- Osobiście ich nie znam, ale często słyszałem o sportsmanie. Dobry jest.

- Butelkę sportsmana - powiedział Johnson do kelnerki. Spojrzał na cenę w karcie win: jedenaście franków szwajcarskich. - Niech będą dwie butelki. Można się przysiąc do panów? - zapytał tragarza, który zaproponował sportsmana.

- Proszę bardzo. Niech pan tu siada. - Tragarz uśmiechnął się do niego. Składał okulary i chował je do futerału. - Czy to dziś urodziny pana szanownego?

- Nie - odpowiedział Johnson. - To nie jest żadna fete. Moja żona postanowiła się ze mną rozejść.

- A - rzekł tragarz. - To chyba, że nie jest. Drugi tragarz potrząsnął głową. Trzeci wydawał się trochę głuchy.

- Rzecz niewątpliwie jest zwykła - powiedział Johnson. - Taka jak pierwsza wizyta u dentysty albo ten pierwszy raz, kiedy dziewczyna jest niezdrowa, ale się tym przejąłem.

- Zrozumiałe - rzekł najstarszy tragarz. - Ja to rozumiem.

- A z panów nikt nie jest rozwiedziony? - zapytał Johnson. Przestał już błaznować z francuszczyzną i od pewnego czasu mówił prawidłowo.

- Nie - odparł tragarz, który zamówił sportsmana. - Tutaj mało kto się rozwodzi. Są tacy panowie, co się rozwiedli, ale niewielu.

- U nas - rzekł Johnson - jest inaczej. Prawie każdy jest rozwiedziony.

- To prawda - potwierdził tragarz. - Czytałem o tym w gazecie.

- Ja osobiście jestem trochę zapóźniony - ciągnął Johnson. - Rozwodzę się po raz pierwszy. A mam trzydzieści pięć lat.

- Mais vous etes encore jeune [Ależ pan jest jeszcze młody] - powiedział tragarz. Wy tłumaczył dwóm pozostałym: - Monsieur n'a que trente cinq ans.[Pan ma tylko trzydzieści pięć lat]

Tamci kiwnęli głowami.

- Bardzo jest młody - powiedział jeden.

- I naprawdę pierwszy raz pan się rozwodzi? - zapytał tragarz.

- Jak najbardziej - odrzekł Johnson. - Mademoiselle, proszę otworzyć to wino.

- A rozwód drogo kosztuje?

- Dziesięć tysięcy franków.

- Szwajcarskich?

- Nie, francuskich.

- Aha. Dwa tysiące franków szwajcarskich. Ale i tak to nie jest tanio.

- Nie.

- A po co się to robi?

- Bo ktoś tego żąda.

- Ale dlaczego żąda?

- Żeby wyjść za kogoś innego.

- Przecież to idiotyczne.
- Zgadzam się z panem - powiedział Johnson.
- Kelnerka napełniła cztery kieliszki. Wszyscy je podnieśli.
- Prosit - powiedział Johnson.
- A votre santé, monsieur [pana zdrowie] - rzekł tragarz. Dwaj pozostali powiedzieli:
- Salut. - Szampan smakował jak słodki różowy jabłecznik.
- Czy w Szwajcarii jest taki system, żeby zawsze odpowiadać w innym języku? - spytał Johnson.
- Nie - odrzekł tragarz. - Francuski jest bardziej kulturalny. Poza tym tu jest la Suisse Romande .[Szwajcaria Francuska]
- Ale pan mówi po niemiecku?
- Tak. Tam, skąd pochodzę, mówią po niemiecku.
- Rozumiem - odrzekł Johnson. - I powiada pan, że pan się nigdy nie rozwodził?
- Nie. To byłoby za kosztowne. Poza tym nigdy się nie ożeniłem.
- Aha - rzekł Johnson. - A ci panowie?
- Oni są żonaci.
- Dobrze panu być żonatym? - zapytał Johnson jednego z tragarzy.
- Co?
- Dobrze panu w małżeńskim stanie?
- Oui. C'est normal. [Tak. To normalne]
- Właśnie - rzekł Johnson. - Et vous, monsieur? [a pan?]
- Ça va3 [jakoś leci] - odpowiedział drugi tragarz.
- Pour moi - rzekł Johnson - ça ne va pas.[U mnie to nie idzie]
- Monsieur się rozwodzi - wyjaśnił pierwszy tragarz.
- O - powiedział drugi tragarz.
- No - rzekł Johnson - ten temat wydaje się być wyczerpany. Pana nie interesują moje kłopoty - zwrócił się do pierwszego tragarza.
- Ależ tak - odparł tamten.
- Ano, pomówmy o czym innym.
- Jak pan sobie życzy.
- O czym możemy mówić?
- Uprawia pan sporty?
- Nie - odrzekł Johnson. - Ale moja żona owszem.
- Co pan robi dla przyjemności?

- Jestem pisarzem.

- Czy to daje dużo pieniędzy?

- Nie. Ale później daje, jak już się jest znanym.

- To ciekawe.

- Nie - powiedział Johnson. - Wcale nie ciekawe. Przepraszam panów, ale muszę już iść. Bądźcie łaskawi wypić tę drugą butelkę.

- Przecież pociąg przyjdzie dopiero za trzy kwadranse.

- Wiem - odparł Johnson. Podeszła kelnerka; zapłacił za wino i za kolację.

- Pan wychodzi - spytała.

- Tak - odparł Johnson. - Trochę się przejść. Zostawię tu walizki.

Włożył szal, palto i kapelusz. Na dworze padał gęsty śnieg. Spojrzał ze dworu przez okno na trzech tragarzy siedzących przy stoliku. Kelnerka nalewała im do kieliszków resztę wina pozostałą w odkorkowanej butelce. Nie otwartą zabrała z powrotem do baru.

"To im daje po trzy franki z czymś na twarz" pomyślał Johnson. Odwrócił się i odszedł peronem. W bufecie myślał, że rozmowa o tym jakoś to stępi, ale nie stępiła; tylko poczuł się po niej paskudnie.

### Część trzecia Syn współczłonka w Territet

W bufecie dworcowym w Territet było trochę za gorąco; światło paliło się jasno, a stoliki lśniły od polerowania. Na stolikach stały koszyczki z preclami w torebkach z papieru satynowanego oraz leżały kartonowe podkładki do kufli z piwem, ażeby wilgotne kufle nie zostawiały kółek na drzewie. Krzesła były rzeźbione, ale drewniane siedzenia wysiedziane i całkiem wygodne. Na ścianie wisiał zegar, w głębi sali był bar, a za oknem padał śnieg. Przy stoliku pod zegarem jakiś starszy pan popijał kawę czytając wieczorną gazetę. Wszedł tragarz i powiedział, że ekspres Simplon-Orient przybył do Saint-Maurice z godzinnym opóźnieniem. Do stolika pana Harrisa podeszła kelnerka. Pan Harris właśnie kończył kolację.

- Ekspres ma godzinę spóźnienia, proszę pana. Czy można panu podać kawy?

- Jeżeli pani sobie życzy.

- Proszę? - spytała kelnerka.

- Dobrze - powiedział pan Harris.

- Dziękuję panu.

Przyniosła kawę z kuchni, pan Harris wrzucił do filiżanki kostki cukru, rozgniół je łyżeczką, i popatrzał przez okno na śnieg padający w świetle latarni peronu.

- Czy pani mówi innymi językami poza angielskim? - zapytał kelnerki.

- O tak, proszę pana. Znam niemiecki, francuski i dialekty.

- Który pani najbardziej lubi?

- Właściwie to wszystko jedno, proszę pana. Nie mogę powiedzieć, żebym któryś lubiła bardziej niż inny.

- Napiałaby się pani czegoś mocnego albo kawy?

- O nie, proszę pana, nie wolno pić w bufecie razem z klientami.

- Nie chciałyby pani cygara?

- O nie, proszę pana - roześmiała się. - Ja nie palę.

- Ja też nie - powiedział Harris. - Nie zgadzam się z Dawidem Belasco [aktor amerykański].

- Proszę?

- Belasco. Dawid Belasco. Można PO zawsze poznać po tym, że nosi kołnierzyk tył na przód. Ale się z nim nie zgadzam. Poza tym już nie żyje.

- Czy mogę pana przeprosić na chwilę? - zapytała kelnerka.

- Bezwzględnie - odrzekł Harris.

Pochylił się w krześle i popatrzał przez okno. Po drugiej stronie sali stary pan złożył gazetę. Spojrzał na pana Harrisa, po czym wziął swoją filiżankę z kawą i spodek i podszedł do jego stolika.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powiedział po angielsku - ale właśnie przyszło mi na myśl, że pan może jest członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego.

- Proszę, niech pan siada - rzekł Harris.

Stary pan usiadł.

- Może pan pozwoli jeszcze kawy albo likieru?

- Nie, dziękuję - powiedział stary pan.

- Nie wypiłby pan ze mną po kieliszku kirszu? - Owszem. Ale jeżeli to ja pana poczęstuję.

- Nie, proszę koniecznie.

Harris zawołał kelnerkę. Stary pan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki skórzany portfel. Zdjął z niego szeroką gumową opaskę i wydobył kilka papierów, wybrał jeden i wręczył go Harrisowi.

- To jest moje zaświadczenie członkowskie - powiedział. - Czy pan zna w Ameryce Fredericka J. Roussela?

- Obawiam się, że nie.

- Zdaje się, że to bardzo wybitny człowiek.

- : A skąd on pochodzi? Czy pan wie, z której części Stanów?

- Z Waszyngtonu, oczywiście. Czy nie tam jest siedziba Towarzystwa?

- Tak mi się zdaje.

- Tak się panu zdaje. Nie jest pan pewny?

- Już dawno nie byłem w kraju - rzekł Harris.

- To pan nie jest członkiem?

- Nie. Ale mój ojciec tak. Jest członkiem od bardzo wielu lat.

- To musi znać Fredericka J. Roussela. On należy do zarządu Towarzystwa. Zauważy pan, że właśnie pan Roussel wysunął moją kandydaturę na członka.

- Strasznie się cieszę.

- Żałuję, że pan nie jest członkiem. Ale mógłby pan uzyskać nominację przez ojca?

- Myślę, że tak - powiedział Harris. - Muszę to zrobić po powrocie.

- Radziłbym panu - rzekł stary pan. - Oczywiście zna pan miesięcznik?

- Bezwzględnie.

- A widział pan ten numer z kolorowymi tablicami fauny północnoamerykańskiej?

- Tak. Mam go w Paryżu.

- A ten z panoramą wulkanów na Alasce?

- To było чудо.

- Bardzo mi się też podobały fotografie dzikich zwierząt robione przez George'a Shirasa trzeciego.

- Tak, były cholernie fajne.

- Co proszę?

- Były wyśmienite. Ten facet...

- Nazywa go pan facetem?

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedział Harris.

- Rozumiem. Pan zna George'a Shirasa trzeciego. Musi być bardzo interesujący.

- Tak. To chyba najbardziej interesujący człowiek, jakiego znam.

- A zna pan George'a Shirasa drugiego? Czy on też jest ciekawy?

- O, już nie taki.

- Wyobrażałem sobie, że powinien być bardzo interesujący.

- Wie pan, zabawna rzecz. Nie jest taki interesujący. Często zastanawiałem się dlaczego.

- Hm - powiedział stary pan. - Sądziłem, że każdy z tej rodziny powinien być interesujący.

- Pamięta pan panoramę Sahary? - zapytał Harris.

- Sahary? To było prawie piętnaście lat temu.

- Tak jest. To jeden z ulubionych numerów mojego ojca.

- Nie woli tych nowszych?

- Pewnie tak. Ale bardzo lubił panoramę Sahary.

- Była wyborna. Ale dla mnie jej wartość artystyczna znacznie przewyższała walory naukowe.

- Czy ja wiem? - powiedział Harris. - Ten wiatr zwiewający piasek i ten Arab z wielbłądem klęczący twarzą ku Mekce.

- O ile pamiętam, Arab stał trzymając wielbłąda.

- Zupełnie słusznie - rzekł Harris. - Miałem na myśli książkę pułkownika Lawrence'a.

- Książka Lawrence'a traktuje o Arabii, jak mi się zdaje.

- Naturalnie - powiedział Harris. Właśnie ten Arab mi ją przypomniał.

- Lawrence to musi być bardzo interesujący młody człowiek.

- Chyba tak.

- Czy panu wiadomo, co on teraz robi?

- Jest w angielskim lotnictwie.

- Ale dlaczego?

- Bo mu się to podoba.

- Nie wie pan, czy on należy do Towarzystwa Geograficznego?

- Nie jestem pewien.

- Byłby doskonałym członkiem Towarzystwa. Takich tam właśnie potrzebują. Z radością wysunąłbym jego kandydaturę, jeżeli pan uważa, że zechcieliby go przyjąć.

- Myślę, że tak.

- Zaproponowałem już pewnego naukowca z Vevey i jednego mojego kolegę z Lozanny, i obaj zostali wybrani. Sądzę, że byliby bardzo zadowoleni, gdybym wysunął pułkownika Lawrence'a.

- Wspaniała myśl - powiedział Harris. - Czy pan często zachodzi do tego bufetu?

- Przychodzę tu na kawę po kolacji.



- Czy pan wykłada na uniwersytecie?

- Już nie pracuję aktywnie.

- Ja tutaj tylko czekam na pociąg - rzekł Harris. - Jadę do Paryża, a potem odpłynę z Hawru do Stanów.

- Nigdy nie byłem w Ameryce. Ale bardzo bym chciał tam pojechać. Może kiedyś wybiorę się na zjazd Towarzystwa. Byłoby mi bardzo miło poznać pańskiego ojca.

- Ojciec na pewno byłby bardzo rad poznać pana, ale umarł w zeszłym roku. Zastrzelił się, nawiasem mówiąc.

- Naprawdę szczerze mi przykro. Jestem pewien, że jego odejście było ciosem zarówno dla nauki, jak dla rodziny.

- Nauka zniosła to doskonale. Proszę, to jest mój bilet wizytowy - powiedział Harris.

- Ojciec miał inicjały E.J., a nie E.D. Na pewno byłoby mu bardzo miło poznać pana.

- Dla mnie byłaby to wielka przyjemność. Stary pan wyjął z portfela bilet wizytowy i podał

go Harrisowi. Było na nim napisane:

DR FIL. SIGISMUND WYER

Członek Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego

Waszyngton, D. C., U. S. A.

- Zachowam to najpieczołowiciej - powiedział Harris.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## OCZEKIWANIE

Leżeliśmy jeszcze w łóżku, gdy wszedł do sypialni, by zamknąć okna, i zaraz spostrzegłem, że jest chory. Drżał na całym ciele, był blady i ruszał się powoli, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból.

- Co ci jest, skarbie?

- Głowa mnie boli.

- Wracaj lepiej do łóżka.

- Nie. Nic mi nie jest.

- Wracaj do łóżka. Ubiorę się i przyjdę do ciebie.

Ale gdy zszedłem na dół, był ubrany i siedział przed kominkiem. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego i chorego dziewięcioletniego chłopca. Gdy dotknąłem ręką jego czoła, zorientowałem się od razu, że ma temperaturę.

- Idź na górę i kładź się - powiedziałem. - Jesteś chory.

- Nic mi nie jest - odpowiedział.

Gdy przyszedł doktor, zmierzył mu temperaturę.

- Ile ma? - spytałem.

- Sto dwa.

Na dole lekarz zostawił recepty na trzy różne lekarstwa w różnokolorowych kapsułkach i dokładne instrukcje co do ich zażywania. Jedno było na obniżenie temperatury, drugie na przeczyszczenie, a trzecie na zneutralizowanie kwasoty. "Zarazki influenzy - tłumaczył mi - mogą egzystować wyłącznie w środowisku kwaśnym." Był specjalistą od influenzy i powiedział, że nie należy się przejmować, póki temperatura nie przekracza stu czterech stopni. "Jest epidemia lekkiej influenzy, można wykluczyć wszelkie niebezpieczeństwo, pod warunkiem oczywiście, że nie przyplącze się do tego zapalenie płuc."

Wróciłem do pokoju, zapisałem temperaturę chłopca i zanotowałem sobie, w jakich godzinach dawać jakie kapsułki.

- Czy chcesz, żebym ci poczytał?

- Dobrze. Jeżeli masz ochotę - powiedział chłopiec. Był bardzo blady i miał czarne kręgi pod oczyma. Leżał w łóżku bardzo spokojnie i był jakiś zupełnie oderwany od tego, co działo się dokoła.

Poczytałem mu na głos z Księgi piratów Howarda Pyle'a, ale zaraz spostrzegłem, że nie słucha.

- Jak się czujesz, skarbie? - spytałem.

- Jak dotąd bez zmian - powiedział. Usiadłem na brzegu łóżka i czytałem dla siebie samego, by doczekać się pory podania jednego z lekarstw. Powinien był usnąć, ale gdy spojrzałem na niego, spostrzegłem, że wpatruje się w brzeg łóżka i że wygląda dziwnie.

- Wiesz co, spróbuj usnąć. Obudzę cię, jak będzie czas na lekarstwo.

- Wolę nie spać.

Po chwili powiedział:

- Wiesz co, tato, nie musisz tu siedzieć przy mnie, jeżeli cię to nudzi.

- Wcale mnie to nie nudzi.

- No tak, ale naprawdę nie musisz tu siedzieć, jeżeli ci się ma znudzić.

Pomyślałem sobie, że może jest trochę zamroczony gorączką, i gdy nadeszła godzina jedenasta, dałem mu przepisane lekarstwo i wyszedłem na chwilę.

Dzień był słoneczny i mroźny. Ziemia pokryta była szronem, tak iż zdawało się, że wszystkie nagie gałęzie drzew, krzaki i poszycie, wszystka trawa, a nawet goła ziemia została zawerniksowana cienką warstwą lodu. Zabrałem młodego irlandzkiego setera na krótki spacer po szosie i wzdłuż zamarznętej łachy, ale trudno było chodzić, a nawet stać na szklistej powierzchni. Rudy pies ślizgał się i potykał, a ja sam upadłem ciężko dwa razy i raz upuściłem dubeltówkę, która pojechała daleko po błyszczącym lodzie.

Spłoszyliśmy stado kuropatw spod wysokiego gliniastego nasypu. Zestrzeliłem dwie, a reszta zniknęła mi z oczu ponad szczytem nasypu. Niektóre osiadły na drzewach, jednak większość rozpięchła się w gęstym poszyciu i trzeba było skakać po zamarznętych krzakach, aby je wypłoszyć z ukrycia. Wyfruwały, kiedy chwiałem się niepewnie na szklistych, sprężystych gałązkach, toteż trudno było strzelać celnie. Zabiłem dwie, chybiłem pięć i ruszyłem do domu zadowolony, że znalazłem stadko tak blisko i że zostało ich jeszcze tyle na inny dzień.

W domu powiedziano mi, że chłopiec nikogo nie chce wpuszczać do siebie.

- Nie wchodźcie - mówił. - Jeszcze się ode mnie zarazicie.

Poszedłem na górę i zastałem go dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go opuściłem. Był wciąż kredowoblady, ale teraz dwie czerwone plamy malowały się gorączką wysoko na policzkach. Wpatrywał się wciąż w brzeg łóżka.

Zmierzyłem mu temperaturę.

- Ile mam?

- Około stu stopni - odpowiedziałem.

W rzeczywistości miał sto dwa i cztery dziesiąte.

- Miałem sto dwa - powiedział.

- Kto to powiedział?

- Doktor.

- Temperatura jest w porządku - powiedziałem. - Nie ma się czym przejmować.

- Nie przejmuję się - odpowiedział. - Ale trudno mi nie myśleć o tym.

- Nie myśl o niczym - poprosiłem. - Odpoczywaj sobie.

- Odpoczywam - powiedział i patrzył prosto przed siebie. Najwidoczniej dręczyło go coś, i to bar - Weź to i popij wodą.

- Czy myślisz, że to pomoże?

- Pewnie, że pomoże.

Siadłem, wziąłem do ręki książkę o piratach i zacząłem czytać, ale od razu spostrzegłem, że nie słucha, i dałem spokój.

- Jak myślisz, o której umrę? - spytał.

- Co?

- Jak długo potrwa, zanim umrę?

- Nie umrzesz. Ale co się z tobą dzieje?

- O tak, umrę. Słyszałem, jak powiedział sto dwa.

- Nikt jeszcze nie zmarł od stu dwóch stopni temperatury. Nie gadaj takich głupstw.

- Ale ja wiem, że tak. We Francji, w szkole, chłopcy powiedzieli mi, że człowiek nie może żyć z temperaturą wyższą niż czterdzieści cztery stopnie. A ja mam sto dwa.

Cały dzień czekał na śmierć, cały dzień od dziewiątej rano.

- Biedny skarbie! - powiedziałem. - Kochany, biedny skarbie! To tak samo jak mile i kilometry. To jest inny termometr. Na tamtym termometrze normalna temperatura wynosi trzydzieści siedem stopni, a na tym dziewięćdziesiąt osiem. Widzisz - tłumaczyłem - to jak mile i kilometry. To tak, jak obliczamy sobie w samochodzie, ile kilometrów zrobiliśmy, kiedy przejechaliśmy siedemdziesiąt mil.

- O! - powiedział.

Wzrok jego, wbity w brzeg łóżka, powoli tajał. Odprężał się cały. A nazajutrz był już zupełnie normalny i z łatwością płakał z powodu byle czego.

*Przełożyła Mira Michałowska*

## HISTORIA NATURALNA UMARŁYCH

Zawsze wydawało mi się, że wojna była pomijana jako pole do obserwacji dla przyrodnika. Mamy pełne uroku, solidne studia o florze i faunie Patagonii, pióra nieżyjącego już W. H. Hudsona, wilebny Gilbert White pisał bardzo interesująco o dudkach oraz ich rzadkich i bynajmniej nie powszednich odwiedzinach w Selborne, a biskup Stanley dał nam cenną, choć popularną Historię życia ptaków. Czyż więc nie wolno nam ufać, że dostarczymy czytelnikowi paru racjonalnych i ciekawych faktów na temat umarłych? Mam nadzieję, że tak.

Kiedy ów wytrwały podróżnik, Mungo Park, w pewnym okresie swoich wędrówek omdlewał na bezkresnej pustyni afrykańskiej, samotny i nagi, przekonany, że jego dni są policzone i że nie pozostało mu nic innego, jak położyć się i umrzeć, wzrok jego przyciągnęła róża mchowa niezwyklej piękności. "Jakkolwiek cała roślina - powiada - była nie większa od mojego palca, nie mogłem bez podziwu oglądać delikatnego ukształtowania jej korzonków, listków i torebek. Czyż Istota, która zasadziła, nawodniła i doprowadziła do doskonałości w owym zapadłym zakątku świata coś, co wydaje się być tak małej wagi, może niefrasobliwie spoglądać na położenie i cierpienie istot stworzonych na jej własny obraz i podobieństwo? Na pewno nie. Takie refleksje nie pozwoliły mi wpaść w rozpacz; powstałem i nie bacząc na głód i wyczerpanie ruszyłem naprzód, pewien, że ratunek jest bliski; i nie doznałem zawodu."

Czyż przy skłonności do podobnego podziwu i zachwycenia, jak mówi biskup Stanley, studiowanie jakiegokolwiek gałęzi historii naturalnej może nie spotęgować owej wiary, miłości i nadziei, których każdy z nas też potrzebuje w naszej wędrówce poprzez pustkowie życia? Zobaczymy przeto, jakie natchnienie możemy czerpać z umarłych.

Na wojnie umarli są zwykle samcami rodzaju ludzkiego, jakkolwiek nie stosuje się to do zwierząt, i często widywałem między końmi zabite klacze. Interesującym aspektem wojny jest także fakt, że tylko tam przyrodnik ma możliwość zaobserwować martwe okazy mułów. W ciągu dwudziestu lat obserwacji w życiu cywilnym nie widziałem ani razu martwego muła i zaczynałem już żywić pewne wątpliwości, czy te zwierzęta naprawdę są śmiertelne. W rzadkich wypadkach widywałem coś, co brałem za martwe muły ale przy bliższych oględzinach zawsze okazywało się, że są to żywe stworzenia, które zdawały się martwe przez swój kompletny bezruch. Natomiast na wojnie zwierzęta te giną zupełnie tak samo jak pospolitszy i mniej odporny koń.

Większość niezwywych mułów, jakie widywałem, leżała wzdłuż górskich dróg albo u stóp stromych wyniosłości, z których je zepchnięto, aby nie tarasowały drogi. Zdawały się dość odpowiednim widokiem w górach, gdzie człowiek przywykł do ich obecności, i wyglądały mniej niestosownie niż później w Smyrnie, gdzie Grecy połamali nogi wszystkim swoim zwierzętom jucznym i zepchnęli je z nabrzeża do płytkiej wody, aby tam potonęły. Mnóstwo tych mułów i koni tonących z połamanymi nogami w płytkiej wodzie po prostu wołało o jakiegoś Goyę, który by to namalował. Chociaż mówiąc dosłownie, trudno powiedzieć, żeby wołały o jakiegoś Goyę, ponieważ był tylko jeden Goya, który już dawno zmarł, a jest wysoce wątpliwe, czy owe zwierzęta, gdyby nawet potrafiły wołać, domagałyby się malarskiego odtworzenia ich udręki; wydaje się prawdopodobiejsze, że gdyby posiadały dar mowy, wzywałyby kogoś, żeby im ulżył w ich położeniu.

Co się tyczy płci umarłych, faktem jest, że tak się przywyka do tego, iż wszyscy zabici są mężczyznami, że widok martwej kobiety jest zupełnie wstrząsający. Takie odwrócenie zwykle spotykanej płci umarłych zobaczyłem pierwszy raz po wybuchu fabryki amunicji znajdującej się w pobliżu Mediolanu we Włoszech. Na miejsce katastrofy pojechaliśmy w ciężarówkach ocienioną topolami drogą, wzdłuż której biegły rowy zawierające wiele drobnego życia zwierzęcego, którego nie mogłem dobrze obserwować z uwagi na wielkie tumany kurzu wzbijane przez ciężarówki. Kiedy przybyliśmy na teren, gdzie przedtem znajdowała się fabryka, polecono niektórym z nas pełnić straż przy tych dużych zapasach amunicji, które z jakiejś przyczyny nie eksplodowały, innym zaś gasić ogień, który przerzucił się na trawę z przyległego pola. Po wykonaniu swego zadania otrzymaliśmy rozkaz szukania zwłok w bezpośrednim sąsiedztwie i na pobliskich polach. Odnależliśmy i przenieśli do zaimprovizowanej trupiarni sporą ich liczbę i muszę szczerze przyznać, iż wstrząsem było stwierdzenie, że między tymi zabitymi przeważały nad mężczyznami kobiety. W owych czasach kobiety nie zaczęły jeszcze nosić krótko przyciętych włosów, tak jak później przez szereg lat w Europie i Ameryce, i rzeczą najbardziej zatrważającą, może dlatego że tak niezwykłą, była obecność, a nawet jeszcze bardziej zatrważająca nieobecność tych długich włosów. Pamiętam, że po dość gruntownych poszukiwaniach całych zabitych zaczęliśmy zbierać kawałki. Wiele ich poodczepiano z gęstego ogrodzenia z drutów kolczastych, które otaczało miejsce, gdzie była fabryka, i z którego ocalałych odcinków zdejmowaliśmy wiele tych oderwanych kawałków, będących aż nazbyt dobrym świadectwem straszliwej energii materiałów wybuchowych. Wiele tych kawałków znaleźliśmy w znacznej odległości na polach, gdyż doleciały dalej, niesione własnym ciężarem.

Pamiętam, że po powrocie do Mediolanu kilku z nas dyskutowało o tym wydarzeniu i zgodziliśmy się, iż jakaś jego nierealność oraz fakt, że nie było tam rannych, w dużej mierze odzierała tę katastrofę ze straszliwości, która mogła być znacznie większa. Również fakt, że nastąpiła dopiero co i wskutek tego przenoszenie i dotykanie zabitych było, o ile to możliwe, jeszcze nie tak przykre, sprawiał, iż różniło się to bardzo od zwykłych doświadczeń z pola bitwy. Przyjemna, chociaż odbywająca się w kurzu jazda przez piękną lombardzką okolicę była także pewną rekompensatą za to niemiłe zadanie, a po powrocie, dzieląc się wrażeniami, uznaliśmy wszyscy, iż doprawdy szczęśliwie się złożyło, że pożar, który wybuchł tuż przed naszym przybyciem, został opanowany tak prędko, zanim dosięgnął olbrzymich podobno zapasów tej amunicji, co jeszcze nie eksplodowała. Zgodziliśmy się też, że zbieranie owych kawałków było niezwykle zajęciami; zdumiewające jest bowiem, że ludzkie ciało nie rozrywa się na sztuki według jakichś linii anatomicznych, ale raczej dzieli się tak nieobliczalnie jak pękający granat o dużej sile wybuchowej.

Przyrodnik chcąc osiągnąć ścisłość obserwacji może się ograniczyć w swoich uwagach do jednego zamkniętego okresu, toteż wybiorę najprzód moment po austriackiej ofensywie czerwcowej roku 1918 we Włoszech, jako ten, w którym umarli występowali w największej liczbie, ponieważ wojska zostały zmuszone do odwrotu, a później przeprowadziły natarcie, aby odzyskać utracony teren, tak że pozycje po bitwie były te same co przed nią, z wyjątkiem obecności zabitych. Przed pogrzebaniem wygląd zabitych zmienia się nieco z każdym dniem. U ras kaukaskich barwa skóry przechodzi z białej w żółtą, żółtozieloną i czarną. Jeżeli ciało pozostaje dość długo w upale, zaczyna przypominać smołę węglową, zwłaszcza w miejscach pęknięcia czy rozerwania, i odznacza się zupełnie wyraźną właściwą smole opalizacją. Polegli pęcznieją z każdym dniem, aż w końcu stają się czasem za duzi na swoje mundury, wypełniając i rozsadzając je tak, że zdają się bliskie pęknięcia. Objętość poszczególnych części ciała może się zwiększyć do niebywałych rozmiarów, a twarze są rozdęte i kuliste jak balony. Obok tej rosnącej korpulencji zaskakująca jest ilość papieru rozrzuconego wokół zabitych. Ostateczna pozycja zwłok, zanim można przystąpić do ich grzebania, zależy od rozmieszczenia kieszeni na mundurze. W armii austriackiej kieszenie były na tyle spodni i wobec tego po krótkim, czasie wszyscy zabici leżeli na twarzach, obie tylne kieszenie mieli wywrócone na wierzch, a w trawie dokoła były porzucane wszystkie papiery, które znajdowały się w tych kieszeniach. Gorąco, muchy, charakterystyczne pozycje zwłok w trawie oraz ta ilość rozrzuconych papierów - oto wrażenia, jakie się zachowuje. Zapachu pola bitwy w upale nie sposób

zapamiętać. Pamięta się, że był taki zapach, ale nigdy nam się nie zdarza nic takiego, co mogłoby go przypomnieć. Nie jest podobny do woni pułku, która nagle może nam wrócić na pamięć, kiedy jedziemy tramwajem - i wtedy podnosimy wzrok i widzimy człowieka, który nam ją przynosi. Natomiast tamto zanika tak całkowicie jak przeżycie miłosne; pamiętamy rzeczy, które się zdarzyły, ale samego doznania nie sposób sobie przypomnieć.

Człowiek zastanawia się, co takiego ów wytrwały podróżnik, Mungo Park, mógłby zobaczyć w upał na polu bitwy, żeby odzyskać ufność. Pod koniec czerwca i w lipcu zawsze były maki w pszenicy, a drzewa morwowe w pełni uliścione, i widziało się fale gorąca drgające nad lufami armat, tam gdzie słońce padało na nie przez zasłony z liści: na skraju lejów po granatach z gazem musztardowym ziemia była jaskrawożółta, przeciętny zrujnowany dom był przyjemniejszy dla oka niż ten, który rozwaliły pociski, ale tylko niewielu podróżników odetchnęłoby mocno, głęboko owym letnim powietrzem i snuło takie myśli jak Mungo Park o tych, co są stworzeni na obraz i podobieństwo boże.

Pierwszą rzeczą, jaką stwierdzało się co do poległych, było to, że jeżeli zostali dość ciężko trafieni, umierali jak zwierzęta. Niektórzy bardzo prędko, od rany tak małej, iż nigdy by się nie pomyślało, że mogłaby zabić królika. Umierali od małych ran tak jak niekiedy króliki od trzech lub czterech ziarenek śrutu, które zdają się ledwie przebijać skórę. Inni umierali jak koty; z wgniecioną czaszką i kawałkiem żelaza w mózgu leżeli żywi przez dwa dni, zupełnie jak koty, co z kula w czaszce włożą do skrzyni na węgiel i nie chcą zdechnąć, dopóki im się nie utnie głowy. Możliwe, że koty wtedy nie zdychają: podobno mają dziewięć żyć, tego nie wiem, ale większość ludzi umiera jak zwierzęta, nie jak ludzie. Nigdy nie widziałem tak zwanej śmierci naturalnej, więc przypisywałem to wojnie i jak ów wytrwały podróżnik, Mungo Park, wiedziałem, że istnieje jeszcze coś innego, to zawsze nieobecne coś innego, które w końcu zobaczyłem.

Jedyną śmiercią naturalną, jaką widziałem poza utratą krwi, co nie jest takie złe, była śmierć na hiszpankę. Przy tej chorobie człowiek tonie w śluzie i dławi się, a to, że pacjent umarł, poznajemy po tym, iż na końcu staje się on znów małym dzieckiem, choć z całą swą męską siłą, i równie obficie jak dziecko pieluszki zlewa prześcieradło wielką, ostatnią, żółtą kataraktą, która płynie i cieknie dalej, chociaż już skonał. Toteż chciałbym teraz zobaczyć zgon któregoś samozwańczego "humanisty" <sup>1</sup>, bo taki wytrwały podróżnik jak Mungo Park czy ja żyje nadal i może jeszcze pożyje, aby być świadkiem śmierci członków tej literackiej sekty i obserwować ich godne odejście. W toku moich rozważań przyrodniczych nasunęło mi się na myśl, że o ile przystojność jest rzeczą znakomitą, to jednak pewne sprawy muszą być nieprzystojne, jeżeli nasz gatunek ma się utrzymać, jako



że pozycja przewidziana przy płodzeniu jest nieprzystojna, wysoce nieprzystojna; i nasunęło mi się też, że może tym właśnie są albo byli ci ludzie - dziećmi przystojnego pożycia. Jednakże bez względu na to, jaki był ich początek, mam nadzieję ujrzeć koniec niektórych i rozmyślać o tym, jak robaki napoczną tę długo konserwowaną jałowość; gdy ich utwory diabli wezmą, a w odnośnikach żądze szczyzną.

O ile jest może uzasadnione zajmować się tymi samozwańczymi osobnikami w historii naturalnej umarłych, chociażby nawet nazwa, którą sobie nadali, nikomu nic nie mówiła w chwili opublikowania niniejszej pracy, to jednak byłoby to niesprawiedliwe wobec tamtych innych nieboszczyków, którzy nie zmarli dobrowolnie w młodości, którzy nie byli właścicielami czasopism, z których wielu na pewno nigdy nie czytało tygodnika, a których widywaliśmy w upale, z półkwaterkiem robaków mrowiących się tam, gdzie były usta. Umarli nie zawsze mieli upalną pogodę, często padał deszcz, który ich obmywał, gdy na nim leżeli, i rozmięczał ziemię, w której byli pochowani, a czasem padał dopóty, dopóki nie przemienił tej ziemi w błoto i nie wypłukał ich na wierzch, tak że musiało się ich grzebać na nowo. To znowu w zimie trzeba ich było zakopywać w śniegu, a kiedy na wiosnę śnieg stopniał, musiał ich grzebać ktoś inny. W górach mieli tam piękne tereny do grzebania, wojna w górach jest najpiękniejszą ze wszystkich wojen, i w jednym z takich miejsc zwanym Pocol, pochowano pewnego generała, któremu snajper przestrzelił na wylot głowę. W tym punkcie myślą się tacy autorzy, co piszą książki pod tytułem: Generałowie umierają w łóżku, bo ten generał umarł w rowie strzeleckim wykopanym w śniegu wysoko w górach, mając na głowie kapelusz strzelców Alpini z orlim piórem, z przodu dziurką, w której nie zmieściłby się wasz mały palec, z tyłu dziurę, w której zmieściłaby się wasza pięść, gdyby była niewielka, a wy mielibyście ochotę ją tam włożyć, oraz leżąc na mocno zakrwawionym śniegu. Był diablo dobrym generałem, tak samo jak generał von Behr, który dowodził bawarskim Alpenkorps w bitwie pod Caporetto i został zabity w swym wozie sztabowym przez tylną straż włoską, kiedy wjeżdżał do Udine na czele swoich oddziałów. Tytuły wszystkich takich książek powinny brzmieć: Generałowie zwykle umierają w łóżku, jeżeli ma być jakakolwiek ścisłość w tych rzeczach.

W górach czasem też padał śnieg na umarłych, którzy leżeli przed punktem opatrunkowym na zboczu osłoniętym przez górę od wszelkiego ostrzału. Zniesiono ich do jamy wykopanej w zboczu góry, nim ziemia zamarzła. W tej jamie przeleżał dzień, noc i dzień pewien człowiek, który miał głowę rozbitą, tak jak może być rozbita doniczka - chociaż trzymały ją w kupie błony i zręcznie założone bandaże, już przesiąknięte i stwardniałe - oraz całą strukturę mózgu uszkodzoną przez ułamek stali. Sanitariusze

prosil doktora, żeby poszedł i obejrzał go. Widzieli go za każdym razem, gdy tam wchodzili, a nawet jeżeli nie patrzyli, słyszeli, jak oddychał. Lekarz miał oczy czerwone, powieki obrzękłe i prawie zamknięte od gazu łzawiącego. Dwa razy obejrzał owego człowieka: raz za dnia, raz z latarką elektryczną. To także byłby dobry sztych dla Goyi, to znaczy owa wizyta z latarką. Obejrzawszy go po raz drugi, doktor uwierzył sanitariuszom, kiedy mu powiedzieli, że ten żołnierz jeszcze żyje.

- Więc co chcecie, żebym zrobił? - zapytał.

Nie chcieli, żeby coś robiono. Ale po jakimś czasie poprosili, żeby im pozwolił wynieść go stamtąd i położyć razem z ciężko rannymi.

- Nie, nie. Nie! - powiedział doktor, który był bardzo zajęty. - A bo co? Boicie się go?

- Nieprzyjemnie nam słyszeć go tam, gdzie leżą zabici.

- To nie słuchajcie. Jeżeli go stamtąd wyniesiecie, będziecie musieli odnieść z powrotem.

- To by nam nie szkodziło, panie kapitanie.

- Nie - rzekł doktor. - Nie. Czyście nie słyszeli, że powiedziałem: nie?

- Dlaczego pan mu nie da zwiększonej dawki morfiny? - zapytał oficer artylerii, który czekał, żeby mu opatrzono ranę ręki.

- Myśli pan, że to jedyne zastosowanie, jakie mam dla morfiny? Chciałby pan, żebym musiał operować bez morfiny? Ma pan pistolet, niech pan idzie i sam go zastrzeli.

- Do niego już strzelali - powiedział oficer. - Gdyby zastrzelić niektórych z was, lekarzy, byłibyście inni.

- Dziękuję panu bardzo - rzekł doktor wymachując w powietrzu szczypcami. - Dziękuję tysiącrotnie. A moje oczy? - wskazał je szczypcami. - Jak by się panu takie podobały?

- Gaz łzawiący. My uważamy za szczęście, jeżeli to gaz łzawiący.

- Bo wtedy wychodzicie z linii - powiedział doktor. - Bo przylatujecie tutaj z tym waszym gazem łzawiącym, żeby was ewakuować. Wcieracie sobie w oczy cebulę.

- Pan jest niepoczytalny. Nie zwracam uwagi na pańskie obelgi. Pan zwariował.

Weszli sanitariusze.

- Panie kapitanie - zaczął jeden z nich.

- Wynoście się stąd! - krzyknął doktor. Wyszli.

- Zastrzelę tego biedaka - powiedział oficer artylerii. - Jestem ludzki. Nie pozwolę, żeby się męczył.

- To niech go pan zastrzeli - odrzekł doktor. - Niech go pan zastrzeli. Niech pan weźmie na siebie odpowiedzialność. Ja złożę raport. Ranny zastrzelony przez porucznika artylerii na pierwszym punkcie opatrunkowym. Zastrzel go pan. Proszę bardzo.

- Pan nie jest człowiekiem.

- Moim zadaniem jest pielęgnować rannych, a nie zabijać ich. To dobre dla panów z artylerii.

- To dlaczego pan go nie pielęgnuje?

- Już to zrobiłem. Zrobiłem wszystko, co było można.

- Czemu pan go nie odeśle na dół kolejką linową?

- Coś pan za jeden, żeby mi zadawać pytania? Czy pan jest moim przełożonym? Dowodzi pan tym punktem opatrunkowym? Może pan mi odpowie z łaski swojej?

Porucznik artylerii nic nie powiedział. Oprócz nich byli w izbie sami żołnierze; nie było żadnych innych oficerów.

- Proszę mi odpowiedzieć - rzekł doktor trzymając igłę peseta. - Proszę mi dać odpowiedź.

- Odp..... się pan - powiedział oficer artylerii.

- Ach, tak - rzekł doktor. - Więc tak pan mówi. Dobrze. Doskonale. Zobaczmy.

Porucznik artylerii wstał i ruszył ku niemu.

- P..... się pan - powiedział. - P..... się pan.

P..... swoją matkę. P..... swoją siostrę...

Doktor chlusnął mu w twarz pełnym spodkiem jodyny. Oślepiiony porucznik idąc ku niemu wyciągnął po omacku pistolet. Doktor szybko poskoczył za niego, podstawił mu nogę, a kiedy porucznik upadł, kopnął go kilka razy i podniósł pistolet ręką w gumowej rękawiczce. Porucznik siadł na podłodze przyciskając zdrową dłoń do oczu.

- Ja cię zabiję! - powiedział. - Zabiję cię, jak tylko będę coś widział.

- Ja jestem tu szefem - rzekł doktor. - Wszystko jest wybaczone.,, skoro. pan. .wie, że jestem szefem. Nie może pan mnie zabić, bo mam pański pistolet. Sierzancie! Adiutant! Adiutant!

- Adiutant jest przy kolejce - powiedział sierżant.

- Proszę przetrzeć oczy temu oficerowi spirytusem z wodą. Dostała mu się do nich jodyna. I proszę mi przynieść miednicę do mycia rąk. Teraz zajmę się tym oficerem.

- Nie tknie mnie pan.

- Trzymajcie go mocno. Ma lekki napad szału. Wszedł jeden z sanitariuszy.

- Panie kapitanie.

- Czego chcecie?

- Ten człowiek tam, w trupiarni...

- Wynoście się stąd.

- ...umarł, panie kapitanie. Pomyślałem, że pan kapitan będzie zadowolony z tej wiadomości.

- A widzi pan, mój biedny poruczniku? Kłócimy się o nic. Jest wojna, a my kłócimy się o nic.

- P..... się pan - rzekł porucznik artylerii. Jeszcze nic nie widział. - Oślepił mnie pan.

- To głupstwo - powiedział doktor. - Pańskie oczy będą w porządku. To nic. Kłótnia o nic.

- Oj! Oj! Oj! - wrzasnął nagle porucznik. - Oślepił mnie pan! Oślepił mnie pan!

- Przytrzymajcie go mocno - powiedział doktor. - On ogromnie cierpi. Przytrzymajcie go bardzo mocno.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## WINO Z WYOMING

Było gorące popołudnie w Wyoming; góry stały daleko i widać było śnieg na ich szczytach, ale nie dawały cienia, a w dolinie żółciły się pola żytnie, droga kurzyła od przejeżdżających samochodów, a małe drewniane domki na skraju miasta piekły się w słońcu. Na tylny ganek domu Fontanów padał cień drzewa i siedziałem tam przy stoliku, a madame Fontan przyniosła z piwnicy zimne piwo. Z szosy skręcił w boczną drogę samochód i zajechał przed dom. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni i weszli przez furtkę. Schowałem butelki pod stół. Pani Fontan wstała.

- Gdzie Sam? - zapytał przez drzwi siatkowe jeden z mężczyzn.

- Nie ma go. Jest w kopalni.

- Ma pani piwo?

- Nie. Już nie ma piwa. To ostatnia butelka. Wszystko poszło.

- A on co pije?

- To ostatnia butelka. Wszystko poszło.

- Chodź, jedźmy gdzieś, gdzie będzie można dostać porządnego piwa - powiedział drugi i obaj zawrócili do samochodu. Jeden z nich szedł chwiejnym krokiem. Wóz szarpnął ruszając, zakręcił na drodze i odjechał.

- Niech pan postawi piwo na stole - powiedziała madame Fontan. - A bo co? Tak, wszystko w porządku. Dlaczego? Niech pan nie pije z podłogi.

- Nie wiedziałem, co to za jedni - odrzekłem.

- Pijani - powiedziała. - To właśnie najgorsze. Później idą gdzie indziej i mówią, że dostali pić tutaj. Może nawet nie pamiętają.

Mówiła po francusku, ale tylko urywkami; używała wielu angielskich słów i angielskiego układu zdań.

- A gdzie jest Fontan?

- Il - fait de la vendange. O mój Boże, il est wariat pour le vin.[ Zajmuje się winobranieniem... to (wariat) na punkcie wina]

- A pani lubi piwo?

- Oui, j'aime la biere, mais Fontan, il est wariat pour le vin.[ Tak, lubię piwo, ale Fontan to (wariat) na punkcie wina.]

Była pulchną starą kobietą o ładnej, rumianej cerze i siwych włosach. Była bardzo czysta i dom też był bardzo czysty i schludny. Pochodziła z Lens.

- Gdzie pan jadł obiad?

- W hotelu.

- Mangez ici. Il ne faut pas manger a l'hôtel ou au restaurant. Mangez ici! [ Niech pan jada tutaj. Nie trzeba jadać w hotelu czy w restauracji. Niech pan jada tutaj.]

- Nie chcę pani sprawiać kłopotu. A poza tym w hotelu dobrze dają jeść.

- Ja nigdy nie jadam w hotelu. Może tam i dają dobrze jeść. Tylko raz jeden byłam w restauracji w Ameryce. I wie pan, co mi dali? Wieprzowinę, która była całkiem surowa!

- Naprawdę?

- Nic panu nie kłamię. To była wieprzowina nie dogotowana! Et mon fils, il est marié avec une Américaine et tout le temps il a mangé la fasola en puszka. [A mój syn jest żonaty z Amerykanką i przez cały czas jadał (fasolę) z (puszki).]

- Jak długo już jest żonaty?

- O mój Boże, sama nie wiem. Jego żona waży dwieście dwadzieścia pięć funtów. Nie pracuje. Nie gotuje. Daje mu fasolę z puszek.

- A co ona robi?

- Przez cały czas czyta. Rien que des książki. Tout le temps elle [Nic tylko... Ona przez cały czas..] leży w łóżku i czyta książki. Już nie może mieć następnego dziecka. Za tłusta. Nie ma miejsca.

- A co z nią jest?

- Przez cały czas czyta książki. On to dobry chłopak. Ciężko pracuje. Najpierw w kopalni, a teraz na rancho. Przedtem nigdy nie pracował na rancho, a właściciel tego rancho powiedział do Fontana, że nie widział nikogo, kto by lepiej pracował u niego niż ten chłopak. Potem przychodzi do domu, a ona mu nie daje nic do jedzenia.

- Dlaczego syn się nie rozwiedzie?

- Nie ma pieniędzy na rozwód. Poza tym szaleje pour elle .[ Za nią.]

- Czy ona jest piękna?

- On tak uważa. Kiedy ją przywiózł do domu, myślałam, że skonam. Z niego jest taki dobry chłopak i wciąż tak ciężko pracuje, i nigdzie nie gania, i nie robi żadnych hec. No i poszedł do pracy w tej kopalni nafty, i przywiózł do domu tę Indienne, która już wtedy ważyła sto osiemdziesiąt pięć funtów.

- Elle est Indienne? [Ona jest Indianką?]

- Indianka, a jakże. Mój Boże, no tak. Bez przerwy mówi "sukinsyn" i "cholera". I nie pracuje.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na przedstawieniu.

- Ale gdzie?

- Na przedstawieniu. W kinie. Nic nie robi, tylko czyta i chodzi do kina.

- Ma pani jeszcze trochę piwa?

- Mój Boże, mam. Jasne. Niech pan przyjdzie do nas dziś wieczorem na kolację.

- Dobrze. Co mam przynieść?

- Niech pan nic nie przynosi. Nic a nic. Może Fontan będzie miał trochę wina.

Tego wieczora zjadłem kolację u Fontanów. Siedzieliśmy w jadalni, a stół był nakryty czystym obrusem. Spróbowaliśmy młodego wina. Było bardzo lekkie, klarowne i dobre, i jeszcze miało smak winogron. Do stołu usiedli Fontan, madame i mały André.

- Co pan dziś robił? - zapytał Fontan. Był starym mężczyzną o drobnym ciele steranym pracą w kopalni, miał obwisłe siwe wąsy i bystre oczy i pochodził z Centre pod Saint-Etienne.

- Pracowałem nad książką.

- I znalazł pan książkę w porządku? - spytała madame.

- Pani ma na myśli, że piszę książkę jako pisarz. Un roman [powieść] - wyjaśnił Fontan.

- Papa, mogę iść do kina? - spytał André.

- Jasne - odrzekł Fontan. André obrócił się do mnie.

- Jak pan myśli, ile mam lat? Uważa pan, że wyglądam na czternaście?

Był chudym chłopczykiem, ale z twarzy wyglądał na szesnaście lat.

- Tak. Wyglądasz na czternaście.

- Jak idę do kina, to się tak kulę, żeby się wydać mały. - Głos miał cienki i skrzekliwy. - Jak im dam dwudziestkę piątkę, to zatrzymują sobie wszystko, ale jak dam tylko piętnaście centów, to też mnie wpuszczają.

- No to ci dam tylko piętnaście centów - powiedział Fontan.

- Nie. Niech tata da całą dwudziestkę piątkę. Rozmienię po drodze.

- H faut revenir tout de suite apres le [Masz wrócić zaraz po...] przedstawienie - powiedziała madame Fontan.

- Wrócę zaraz.

André wyszedł. Na dworze robiło się chłodniej pod wieczór. Zostawił drzwi otwarte i do pokoju wpadł chłodny powiew.

- Mangez - powiedziała madame Fontan. - Nic pan nie jadł.

Zjadłem już dotąd dwie porcje kurczęcia i francuskich frytek, trzy kolby kukurydzy, trochę krajanych ogórków i dwie porcje sałaty.

- Może pan chce keksu? - rzekł Fontan.

- Powinnam była przygotować keks dla pana - powiedziała madame Fontan. - Mangez du fromage. Mangez du smjetankowy. Vous n'avez rien mangé [Niech pan zje sera. Niech pan zje (śmietankowego). Nic pan nie jadł.] Trzeba było kupić keks. Amerykanie zawsze jedzą keks.

- Mais j'ai rudement bien mangé. [Ależ ja się strasznie najadłem.]

- Mangez! Vous n'avez rien mangé. Niech pan zje wszystko. My nic nie chowamy. Niech pan zje wszystko, co jest.

- Może jeszcze trochę sałaty? - zapytał Fontan.

- Przyniosę jeszcze piwa - powiedziała madame Fontan. - Jeżeli pan pracuje przez cały dzień w fabryce książek, to pan musi być głodny.

- Elle ne comprend pas que vous etes écrivain[Ona nie rozumie, że pan jest pisarzem.] - rzekł Fontan. Był delikatnym, starym człowiekiem, który mówił gwarą i znał popularne piosenki z okresu swojej służby wojskowej pod koniec lat dziewięćdziesiątych. - Pan sam pisze książki - wyjaśnił żonie.

- To pan sam pisze te książki? - spytała madame.

- Czasami.

- O! - zawołała. - O! Więc pan sam pisze. Ano, jeżeli pan to robi, to też pan musi być głodny. Mangez! Je vais chercher de la biere.[ Niech pan je. Pójdę po piwo.]

Słyszeliśmy, jak schodziła do piwnicy. Fontan uśmiechnął się do mnie. Był bardzo wyrozumiały dla ludzi, którzy nie mieli jego doświadczenia i światowej wiedzy.

Kiedy André wrócił z kina, siedzieliśmy w kuchni i rozmawiali o polowaniu.

- W Święto Pracy pojechaliśmy wszyscy do Clear Creek - powiedziała madame. - Mój Boże, szkoda, że pana tam nie było. Pojechaliśmy wszyscy ciężarówką. Tout le monde est allé dans la ciężarówka. Nous sommes partis le dimanche. C'est la ciężarówka Charleya.[ Wszyscy pojechali... Wyjechaliśmy w niedzielę. To jest...]

- On a mangé, on a bu du vin, de la biere, et il y avait aussi un Français qui a apporté de l'absinthe - powiedział Fontan. - Un Français de la Californie [Jadło się, piło wino, piwo, a był też jeden Francuz, który przywiózł absynt. Francuz z Kalifornii!]

- Mój Boże, nous avons chanté [Śpiewaliśmy.]. Przyleciał jakiś farmer, żeby zobaczyć, co się dzieje, a myśmy mu dali coś do picia i został z nami jakiś czas. Przyszło też paru Włochów i także chcieli z nami zostać. Śpiewaliśmy piosenkę o Włochach, a oni nic nie rozumieli. Nie połapali się, że ich nie chcemy, ale wcale się z nimi nie zadawaliśmy i po chwili poszli sobie.



- Dużo ryb złowiliście?

- Tres peu.[Bardzo mało] .Łowiliśmy jakiś czas, ale potem znów wróciliśmy, żeby pośpiewać. Nous avons chanté, vous savez.

- W nocy - powiedziała madame - toutes les femmes dorment dans la ciężarówka. Les hommes a côté du feu? [Wszystkie kobiety śpią w... Mężczyźni przy ognisku.] I w nocy słyszę, że Fontan idzie po jeszcze trochę wina i mówię mu: "Mój Boże, zostawże trochę na jutro. Jutro nie będzie co pić i wtedy wszyscy będą żalowali."

- Mais nous avons tout bu - powiedział Fontan. - Et le lendemain il ne reste rien.[Ale myśmy wszystko wypili, i na jutro nic nie zostało.]

- I coście robili?

- Nous avons péché sérieusement. [Łowiliśmy ryby na całego.]

- Dobre pstrągi, bardzo ładne. Tak, mój Boże. Wszystkie takie same: po pół funta i jedna uncja każdy.

- A duże?

- Po pół funta, jedna uncja. W sam raz do jedzenia. Wszystkie takiej samej wielkości.

- Jak panu się podoba Ameryka? - zapytał mnie Fontan.

- Widzi pan, to jest mój kraj. Więc go lubię, bo jest mój. Mais on ne mange pas tres bien. D'antan, oui. Mais maintenant, non. [Ale nie bardzo dobrze się jada. Dawniej tak. Ale teraz nie.]

- Nie - powiedziała madame. - On ne mange pas bien. - Potrząsnęła głową. - Et aussi il a y trop de Polacks. Quand j'étais petite, ma mere m'a dit: "Vous mangez comme les Polacks." Je n'ai jamais compris ce que c'est qu'un Polack. Mais maintenant en Amérique je comprends. Il y a trop de Polacks. Et, mój Boże, ils sont sales, les Poiacks. [A także jest za dużo Polaków. Jak byłam małą, matka powiedziała mi: "Jesz jak Polacy." Nigdy nie rozumiałam, co to jest Polak. Ale teraz, w Ameryce już rozumiem. Za dużo tu Polaków. I... oni są brudni, ci Polacy.]

- Tutaj jest dobrze polować i łowić ryby - powiedziałem.

- Oui. Ça, c'est le meilleur. La, chasse et la peche - powiedział Fontan. - Qu'est-ce que vous avez comme fusil? [Tak. To jest najlepsze. Polowanie i rybołówstwo. Co pan ma za strzelbę?]

- Taką "szprycę", dwunastkę.

- Elle est bonne, la szpryca [Dobra jest taka...] - kiwnął głową Fontan.

- Je veux aller a la chasse moimeme [Ja sam chcę pójść na polowanie.] - odezwał się André swoim cienkim, chłopięcym głosem.

- Tu ne peux pas [Nie możesz.] - odparł Fontan. Obrócił się do mnie.

- Ils sont des sauvages, ci chłopczy, vous savez. Ils sont des sauvages. Ils veulent powystrzelać les uns les autres.[ To dzikusy... wie pan. To dzikusy. Chcą się (powystrzelać) nawzajem.]

- Je veux aller tout seul [Ja chcę pójść sam jeden.] - powtórzył André piskliwie. - Je veux strzelé les rats d'eau. [Chcę (strzelać) szczury wodne.]

- Nie możesz - powiedziała madame Fontan. - Jesteś za młody.

- Co to są rats d'eau? - zapytałem.

- Pan ich nie zna? Na pewno pan zna. To są tak zwane piźmowce.

André wyjął z szafy karabinek kalibru dwadzieścia dwa i trzymał go pod lampą.

- Ils sont des sauvages - wyjaśnił Fontan. - Ils veulent powystrzelé les uns les autres.

- Je veux aller tout seul - zapisał André. Popatrzał rozpaczliwie po lufie karabinka. - Je veux strzelé les rats d'eau. Je connais beaucoup de rats d'eau. [widziałem dużo szczurów wodnych.]

- Daj mi tę broń - powiedział Fontan i wytłumaczył mi ponownie: - To są dzikusy. Chcą powystrzelać jeden drugiego.

André trzymał kurczowo karabinek.

- On peut patrzé. On ne fait pas de mal. On peut patrzé. [Można (popatrzeć). Nie ma w tym nic złego.]

- Zwariował pour le polowanie - rzekła madame Fontan. - Mais il est trop jeune. [Ale on jest za młody.]

André schował karabinek na powrót do szafy.

- Jak będę większy, będę strzelał piźmowce i zające też - powiedział po angielsku. - Kiedyś poszedłem z tatą i tata trochę postrzelił zająca, a ja strzeliłem i trafiłem go.

- C'est vrai - kiwnął głową Fontan. - Il a tué un zając. [To prawda. On zabił...]

- Ale tata trafił go pierwszy - rzekł André. - A ja chcę pójść sam jeden i strzelać też sam. W przyszłym roku już będę mógł.

Odszedł w kąt i zasiadł z książką. Zajrzałem do niej, kiedy przyszliśmy do kuchni, żeby tam posiedzieć po kolacji. Była to książka z czytelni, Frank na kanonierce.

- Il aime les książki[On lubi...] - powiedziała pani Fontan. - Ale to lepsze, niż żeby ganiał z innymi chłopakami po nocy i kradł.

- Książki są dobre - rzekł Fontan. - Monsieur, il fait les książki.[ Pan robi...]

- Aha, tak jest. w porządku. Ale za dużo ksiązek to też niedobre. Ici c'est une maladie te książki. C'est comme les kościoły. Tutaj jest za dużo kościołów. En France il y a seulement les catholiques et les protestants - et tres peu de protestants. Mais ici rien que des kościoły. Quand j'étais venue ici je disais: O mój Boże, co to są te wszystkie kościoły? [Tutaj to jest choroba... Tak jest... We Francji są tylko katolicy i protestanci - i to bardzo mało protestantów. A tutaj nic tylko różne... Jak tu przyjechałam, mówiłam...]

- C'est vrai - rzekł Fontan. - Il y a trop de kościoły. [To prawda. Za dużo jest...]

- Ktoregoś dnia - mówiła pani Fontan - była tu jedna mała Francuzka z matką, kuzynką Fontana, i ta matka powiedziała do mnie: En Amérique il ne faut pas etre catholique. [W Ameryce nie trzeba być katolikiem.] To nie jest dobrze. Amerykanie me lubią, jak ktoś jest katolikiem, i o tak jak z prohibicja." A ja do niej mówię: "No to czym pani będzie, he? Lepiej być katoliczką, jak już się jest katoliczką." Ale ona mi odpowiedziała: "Nie, w Ameryce nie jest dobrze być katoliczką." Jednakże ja uważam, że lepiej nią być, jeżeli już się jest. Ce n'est pas bon de changer sa religion. [Nie jest dobrze zmieniać religię.] Mój Boże, nie.

- Pani tu chodzi na mszę?

- Nie. W Ameryce nie chodzę; tylko raz na dłuższy czas. Mais je reste catholique. [Ale pozostaję katoliczką.] Nie jest dobrze zmieniać religię.

- On dit que Schmidt est catholique [Mówią, że Schmidt jest katolikiem. (Idzie o kandydującego w r. 1928 na prezydenta USA gubernatora Alfreda E. Smitha.)] - powiedział Fontan.

- On dit, mais on ne sait jamais [Mówią, ale nigdy nie wiadomo.] - odparła madame Fontan. - Nie sądzę, żeby Schmidt był katolikiem. W Ameryce nie ma wielu katolików.

- My jesteśmy katolikami - powiedziałem.

- Jasne, ale wy mieszkacie we Francji - rzekła madame Fontan. - Je ne crois pas que Schmidt est catholique.[ Nie wierzę, żeby Schmidt był katolikiem.] Czy on kiedyś mieszkał we Francji?

- Les Polacks sont catholiques [Polacy są katolikami.] - powiedział Fontan.

- To prawda - odrzekła madame Fontan. Chodzą do kościoła, a potem się dźgają nożami przez całą drogę do domu i zabijają się nawzajem w każdą niedzielę. To nie są prawdziwi katolicy. To tacy polscy katolicy.

- Wszyscy katolicy są tacy sami - powiedział Fontan. - Jeden podobny do drugiego.

- Nie wierzę, żeby Schmidt był katolikiem - rzekła madame Fontan. - Byłoby strasznie zabawne, gdyby był. Moi, je ne crois pas.[ Ja w to nie wierzę.]

- Il est catholique [On jest katolikiem.] - powiedziałem.

- Schmidt katolik? - zastanowiła się pani Fontan. - A to bym nigdy nie myślała. Mój Boże, il est catholique.

- Marie, va chercher de la biere - powiedział Fontan. - Monsieur a soif, moi aussi.  
[Mario idź po piwo. Panu chce się pić, a i mnie też.]

- Aha. Dobrze - odrzekła madame Fontan z sąsiedniego pokoju.

Zeszła na dół: usłyszeliśmy skrzypienie schodów. André czytał w kącie. Fontan i ja siedzieliśmy przy stole; Fontan wlał do naszych szklanek piwo z ostatniej butelki, zostawiając trochę na dnie.

- C'est un bon pays pour la chasse - powiedział. - J'aime beaucoup strzelać kaczki.[ To dobry kraj na polowanie. Bardzo lubią...]

- Mais il y a tres bonne chasse aussi en France [Ale we Francji też jest bardzo dobre polowanie, ] - powiedziałem.

- C'est vrai - odrzekł Fontan. - Nous avons beaucoup de gibier labas.[ To prawda. Mamy tam dużo zwierzyny.]

Pani Fontan wróciła po schodach niosąc butelki z piwem.

- Il est catholique - powiedziała. - Mój Boże, Schmidt est catholique.

- Myśli pan, że on zostanie prezydentem? - spytał Fontan.

- Nie - odparłem.

Następnego popołudnia pojechałem do Fontanów, najpierw przez cieniste ulice miasta, a potem zakurzoną szosą; skręciłem w boczną drogę i zostawiłem wóz pod płotem. Znowu był upalny dzień. Madame Fontan podeszła do kuchennych drzwi. Przypominała Świętą Mikołajową, taka była czyściutka, rumiana i białowłosa, a stąpała jak kaczka.

- Mój Boże, witam - powiedziała. - Ale gorąco, mój Boże.

Zawróciła do wnętrza domu, żeby przynieść piwa. Usiadłem na tylnym ganku i przez siatkowe drzwi i liście drzew patrzyłem na upał i dalekie góry. Były brunatne, pożłobione brzdami, a nad nimi widziałem między drzewami trzy szczyty i lodowiec okryte śniegiem. Śnieg wydawał się bardzo biały i czysty, i nierealny. Pani Fontan przysła i postawiła na stole butelki.

- Co pan tam widzi?

- Śnieg.

- C'est joli, la neige. [To ładna rzecz, śnieg.]

- Niech pani też wypije szklankę.

- Dobrze.

Usiadła obok mnie na krześle.

- Ten Schmidt - powiedziała. - Pan myśli, że jeżeli on zostanie prezydentem, to będziemy mieli i wino, i piwo?

- Na pewno - odrzekłem. - Niech pani ufa Schmidtowi.

- Już zapłaciliśmy siedemset pięćdziesiąt pięć dolarów grzywien, kiedy zaarrestowali Fontana. Dwa razy aresztowała nas policja, a raz administracja. Poszły wszystkie pieniądze, jakie Fontan zarobił przez cały czas pracy w kopalni, a ja na praniu. Wszystko wydaliśmy. Wsadzili Fontana do więzienia. U na jamais fait de mal a personne. [Nigdy nie zrobił nikomu nic złego.]

- Taki porządny człowiek - powiedziałem. - To zbrodnia.

- Nie liczymy za drogo. Wino po dolarze litr. Piwo dziesięć centów butelka. Nigdy nie sprzedajemy piwa, póki nie jest dobre. W wielu miejscach sprzedają piwo od razu, jak tylko je zrobią, i wtedy każdy ma po nim ból głowy. Cośmy zrobili złego? A Fontana wsadzili do więzienia i ściągnęli z nas siedemset pięćdziesiąt pięć dolarów.

- To okropne - powiedziałem. - Gdzie jest Fontan?

- Siedzi przy winie. Musi go teraz pilnować, żeby złapać właściwy moment - uśmiechnęła się. Już nie myślała o pieniądzach. - Vous savez, on wariuje pour le vin. Wczoraj wieczorem przyniósł trochę do domu, to co pan pił, i trochę tego młodego. Najświeższego. Jeszcze nie jest gotowe, ale wypił odrobinę, a dziś rano wlał trochę do kawy. Dans son café, vous savez! Il est wariat pour le vin. Il est comme ça. Son pays est comme ça. [Do kawy, wie pan! On jest (wariat) na punkcie wina. Już taki jest. I tak jest w jego stronach...] W moich stronach, na północy, nie piją wina. Wszyscy piją piwo. Tam, gdzieśmy mieszkali, był zaraz obok nas wielki browar. Jak byłam mała, nie lubiłam zapachu chmielu na wozach. Ani na polach. Je n'aime pas les houblons. [Nie lubią chmielu.] Nie, mój Boże, ani trochę. Ten, co miał browar, powiedział mnie i mojej siostrze, żebyśmy tam poszły i napiły się piwa, to polubimy chmiel. I to była prawda. Polubiłyśmy go rzeczywiście. Kazał nam dawać piwo. Wtedy polubiłyśmy chmiel. Ale Fontan przepada za winem. Raz zabił zająca i chciał, żebym go ugotowała z winnym sosem, żebym zrobiła do tego zająca czarny sos z winem, masłem, grzybkami, cebulą i w ogóle. Mój Boże, zrobiłam ten sos, a on wszystko zjadł i powiedział: "La sauce est meilleure que le lievre." Dans son pays c'est comme ça. Il y a, beaucoup de gibier et de vin. Moi, j'aime les pommes de terre, le saucisson et la biere. C'est bon, la biere. C'est tres bon pour la santé. [Sos jest lepszy niż zając. W jego stronach tak jest. Jest dużo zwierzyny i wina. Ja lubię ziemniaki, kiełbasą i piwo. Piwo to dobra rzecz. Bardzo jest zdrowe.]

- Zdrowe jest - powiedziałem. - I wino także.

- Pan jest jak Fontan. Ale tu się zdarzyła jedna rzecz, której jeszcze nigdy nie widziałam. Myślę, że pan też czegoś takiego nie widział. Przyjechali tu jedni Amerykanie i dolewali sobie whisky do piwa.

- Nie - powiedziałem.

- Oui. Tak, mój Boże, to prawda. Et aussi une femme qui a vomi sur la table! [Tak... A także jedna kobieta, która zwymiotowała na stół.]

- Comment? [Jak to?]

- C'est vrai. Elle a vomi sur la table. Et apres elle a vomi dans ses pantofle. [To prawda. Zwymiotowała na stół. A potem zwymiotowała w swoje...] A potem się wrócili i powiedzieli, że chcą znowu przyjechać i urządzić przyjęcie w następną sobotę, ale ja powiedziałam: "Co to, to nie, mój Boże!" Jak przyjechali, zamknęłam drzwi na klucz.

- Okropni są, jak się popijają.

- W zimie, kiedy chłopcy chodzą na potańcówki, przyjeżdżają tu samochodami, czekają na dworze i mówią do Fontana: "Hej, Sam, sprzedaj nam butelkę wina", albo kupują piwo, a potem wyjmują z kieszeni flaszkę wody, wlewają do piwa i piją. Mój Boże, pierwszy raz w życiu to widziałam. Leją whisky do piwa. Mój Boże, tego już nie rozumiem!

- Chcą się pochorować, żeby wiedzieć, że sobie popili.

- Raz przyszedł tu jakiś gość i powiada do mnie, żebym im ugotowała sutą kolację, a oni wypiją parę butelek wina, i będą też ich dziewczyny, a potem pojedą na tańce. Odpowiedziałam, że dobrze. No i zrobiłam wielką kolację, a jak przyjechali, już byli dobrze podpicci. Wtedy zaczęli lać whisky do wina. Mój Boże, tak. Powiedziałam do Fontana: "On va etre malade!" "Oui" [Ktoś tu się pochoruje! Tak.] - on na to. Potem te dziewczyny się pochorowały, i to miłe dziewczyny, przyzwoite. Pochorowały się przy stole. Fontan chciał wziąć je pod ręce i pokazać, gdzie mogą sobie chorować w ubikacji, ale ci goście powiedzieli, że nie, że im całkiem dobrze przy stole. Wszedł Fontan.

- Więc kiedy znów przyjechali, zamknęłam drzwi na klucz. "Nie" powiedziałam. "Nawet za sto pięćdziesiąt dolarów." Nie, mój Boże.

- Po francusku jest określenie na ludzi, którzy tak postępują - rzekł Fontan. Stał, jakiś bardzo stary i zmęczony upałem.

- Jakie?

- Cochon - powiedział delikatnie, wahając się przed użyciem tak mocnego słowa. - Oni byli jak cochon. C'est un mot tres fort - usprawiedliwił się - mais vomir sur la table... [Świnia. To bardzo mocne słowo, ale wymiotować na stół...] potrząsnął smutno głową.

- Cochon - powiedziałem. - Tacy właśnie są: cochons. Salauds.

Grubość tych słów była odrażająca dla Fontana. Chętnie zmienił temat rozmowy.

- Il y a des gens tres gentils, tres sensibles, qui viennent aussi [Ale przychodzą też ludzie bardzo mili, bardzo delikatni. ] - powiedział. - Są oficerowie z fortu. Bardzo mili ludzie. Porządni goście. Każdy, kto był kiedyś we Francji, chce tu przyjechać i napić się wina. Ogromnie lubią wino.

- Jest jeden taki - powiedziała madame Fontan - którego żona nigdy nie puszcza z domu. Więc mówi jej, że jest zmęczony, i kładzie się do łóżka, a jak żona wyjdzie do kina, on leci prosto tutaj czasem tylko w pidżamie, z płaszczem zarzuconym na wierzch. "Mario, trochę piwa, na miłość boską", powiada. Siada w pidżamie, wypija piwo, a potem wraca do fortu i kładzie się do łóżka, zanim żona przyjdzie z kina.

- C'est un original, mais vraiment gentil [To oryginał, ale naprawdę miły.] - powiedział Fontan. - To miły chłop.

- Mój Boże, miły chłop, a jakże - rzekła madame Fontan. - Zawsze już leży w łóżku, jak żona wraca z kina.

- Jutro muszę wyjechać - powiedziałem. - Do rezerwatu Crow. Jedziemy na otwarcie polowania na pardwy stepowe.

- Tak? Zajrzyjcie tu jeszcze przed odjazdem. Zajrzyjcie na pewno?

- Bezwzględnie.

- Wtedy wino już będzie gotowe - rzekł Fontan. - Wypijemy razem butelkę.

- Trzy butelki - powiedziała madame Fontan.

- Przyjadę - obiecałem.

- Liczymy na pana - rzekł Fontan.

- Dobranoc - powiedziałem.

Z polowania wróciliśmy wczesnym popołudniem. Od piątej tego rana byliśmy na nogach. Poprzedniego dnia dobrze nam się polowało, ale tego rana nie spotkaliśmy ani jednej pardwy. Było nam bardzo gorąco w otwartym samochodzie i zatrzymaliśmy się, żeby zjeść obiad w cieniu pod przydrożnym drzewem. Słońce stało wysoko i krąg cienia był bardzo mały. Jedliśmy sandwicze i sucharki smarowane nadziewką sandwiczową, byliśmy spragnieni i zmęczeni, i ucieszyliśmy się, kiedyśmy się wreszcie znaleźli na głównej szosie prowadzącej do miasta. Natrafiliśmy na kopiec świstaków stepowych i zatrzymali wóz, żeby postrzelać do nich z pistoletu. Ustrzeliliśmy dwa, ale potem daliśmy spokój, bo kule, które chybiały, rykoszetowały od kamieni i ziemi i leciały jęklonie nad polem, za którym były drzewa nad rzeczką i dom, i nie chcieliśmy narobić sobie biedy z powodu zabłąkanych

kuł lecących w stronę tego domu. Pojechaliśmy więc dalej i w końcu znaleźliśmy się na szosie schodzącej w dół ku pierwszym domom miasta. Po drugiej stronie równiny widzieliśmy góry. Tego dnia były błękitne, a śnieg na wysokich szczytach błyszczał jak szkło. Lato już się kończyło, ale nowy śnieg nie okrył jeszcze na dobre wysokich gór: był tylko stary roztopiany przez słońce śnieg i lód, i z daleka błyszczał bardzo mocno.

Marzyliśmy o czymś chłodnym i o cieniu. Byliśmy opaleni, a wargi mieliśmy spieczone od słońca i alkalicznego, pyłu. Skręciliśmy w boczną drogę do Fontanów, zatrzymaliśmy wóz przed domem i weszli do środka. W jadalni było chłodno. Madame Fontan siedziała sama.

- Tylko dwie butelki piwa - powiedziała. - Wszystko poszło. Nowe jeszcze nie jest dobre.

Dałem jej kilka ptaków.

- To pysznie - powiedziała. - Doskonale. Dziękuję. Jak to dobrze.

Wyszła, żeby położyć ptaki w chłodniejszym miejscu. Kiedy skończyliśmy piwo, wstałem.

- Musimy jechać - powiedziałem.

- Ale zajrzyjcie wieczorem? Fontan już będzie miał wino.

- Zajrzemy przed wyjazdem.

- To już wyjeżdżacie?

- Tak. Musimy rano odjechać.

- Wielka szkoda. Przyjedźcie wieczorem. Fontan będzie miał wino. Urządzimy fetę przed waszym odjazdem.

- Wpadniemy tu przed odjazdem.

Jednakże tego popołudnia musieliśmy powysyłać depesze, przejrzeć wóz - kamień przebił dętkę i trzeba ją było wulkanizować - i nie mając samochodu wyszedłem pieszo na miasto, żeby załatwić rzeczy, które należało załatwić przed odjazdem. Kiedy przyszła pora kolacji, byłem zanadto zmęczony, żeby wyjść. Nie mieliśmy ochoty na obcy język. Chcieliśmy tylko położyć się wcześniej do łóżka.

Leżąc w łóżku przed zaśnięciem, wśród stosów letnich rzeczy przygotowanych do spakowania, przy otwartych oknach, przez które wpadało chłodne powietrze od gór, pomyślałem, że to wstyd, żeśmy nie pojechali do Fontanów - ale zaraz usnąłem. Nazajutrz przez całe rano byliśmy zajęci pakowaniem się i kończeniem lata. Zjedliśmy obiad i o drugiej byliśmy gotowi do odjazdu.

- Musimy pojechać pożegnać się z Fontanami - powiedziałem.



- Tak, musimy.
- Obawiam się, że czekali na nas wczoraj wieczorem.
- Właściwie mogliśmy pojechać.
- Żałuję żeśmy nie pojechali.

Pożegnaliśmy się z portierem hotelowym, z Larry'm i innymi naszymi znajomymi w mieście, po czym pojechaliśmy do Fontanów. I monsieur, i madame byli w domu. Ucieszyli się na nasz widok. Fontan wydawał się stary i zmęczony.

- Myśleliśmy wczoraj, że przyjedziecie - powiedziała madame Fontan. - Fontan miał trzy butelki wina. Kiedyście nie przyjechali, sam wypił wszystko.

- Wpadliśmy tylko na minutę - powiedziałem. - Przyjeżdżamy, żeby się pożegnać. Chcieliśmy przyjechać wczoraj wieczorem. Mieliśmy taki zamiar, ale byliśmy zaniechani przez zmęczenie po podróży.

- Idź, przynieś trochę wina - rzekł Fontan.

- Nie ma wina. Wszystko wypiliśmy. Fontan miał bardzo zmartwioną minę.

- Przyniosę trochę - powiedział. - Wskoczę tylko na kilka minut. Wypiłem wczoraj to wino. Przygotowaliśmy je dla was.

- Wiedziałam, że będziecie zmęczeni. "Mój Boże - powiedziałam - przecież są zaniechani, żeby przyjechać" - rzekła madame Fontan. - Idź po wino, Fontan.

- Podwożę pana samochodem - powiedziałem.

- Dobrze - odparł. - Tak będzie prędzej. Ujechaliśmy kawałek szosą i po jakiejś mili skręcili w boczną drogę.

- To wino będzie panu smakowało - rzekł Fontan. - Udało się dobrze. Może pan je dziś wypić przy kolacji.

Zatrzymaliśmy się przed jakimś barakiem. Fontan zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zaszliśmy od tyłu. I tam też drzwi były zamknięte. Pod nimi leżały puste blaszane puszki. Zajrzeliśmy przez okno. W środku nie było nikogo. Kuchnia była brudna i zapuszczona, a wszystkie drzwi i okna zamknięte na głucho.

- A to cholera. Gdzie ona polazła? - powiedział Fontan. Był zrozpaczony.

- Wiem, gdzie dostać klucz - rzekł. - Niech pan tu poczeka.

Patrzałem za nim, kiedy szedł do następnego domu przy drodze; zapukał, porozmawiał z kobietą, która do niego wyszła, i wreszcie wrócił. Miał klucz. Spróbowaliśmy otworzyć nim drzwi frontowe i kuchenne, ale nie chciał się przekręcić w zamku.

- To cholera. Gdzieś sobie poszła. Zajrzawszy przez okno zobaczyłem, gdzie przechowywano wino. Przy samym oknie czuło się zapach wnętrza domu. Był słodkawy i

mdły jak zapach domu indiańskiego. Nagle Fontan złapał leżącą deskę i zaczął nią wykopywać ziemię przy kuchennych drzwiach.

- Ja się tam dostanę - powiedział. - Cholera jedna, dostanę się.

Na podwórku sąsiedniego domu jakiś mężczyzna robił coś przy przednim kole starego forda.

- Niech pan lepiej da spokój - powiedziałem. - Ten człowiek pana zobaczy. Przygląda się.

Fontan wyprostował się.

- Spróbujemy jeszcze raz klucza - rzekł. Spróbowaliśmy klucza, ale nie działał. Robił tylko pół obrotu w obie strony.

- Nie dostaniemy się do środka - powiedziałem. - Lepiej wracajmy.

- Podkopię się od tyłu - zaproponował Fontan.

- Nie, nie pozwolę panu ryzykować. - Zrobię to.

- Nie - powtórzyłem. - Ten człowiek by zobaczył. Wtedy skonfiskowaliby wino.

Poszliśmy do samochodu i wrócili do Fontanów zatrzymawszy się po drodze, żeby zostawić klucz. Fontan nic, tylko kłął po angielsku. Gadał bez związku; był zdruzgotany. Weszliśmy do domu.

- A to cholera! - powiedział. - Nie mogłem dostać się do wina. Do mojego własnego wina, które sam zrobiłem.

Cała radość zniknęła z twarzy madame Fontan. Fontan usiadł w kacie z głową opartą na dłoniach.

- Musimy jechać - powiedziałem. - Mniejsza o to wino. Wypijecie je za nasze zdrowie, kiedy nas nie będzie.

- Gdzie ta wariatka poszła? - spytała madame Fontan.

- A czy ja wiem? - odparł Fontan. - Nie mam pojęcia, gdzie polazła. Teraz pojedziecie bez wina.

- Nie szkodzi - odrzekłem.

- To na nic - powiedziała madame Fontan. Potrząsnęła głową.

Musimy już jechać - powiedziałem. - Do widzenia i wszystkiego dobrego. Dziękujemy za miłe chwile.

Fontan potrząsnął głową. Był w rozpacz. Madame Fontan miała smutną minę.

- Nie martwcie się tym winem - powiedziałem.

- On tak chciał, żebyście się napili jego wina - odrzekła madame Fontan. - Może znów przyjedziecie w przyszłym roku?

- Nie. Może w następnym.

- A widzisz? - zwrócił się do niej Fontan.

- Do widzenia - powiedziałem. - Nie myślcie już o tym winie. Wypijcie trochę za nas, kiedy odjedziemy.

Fontan potrząsnął głową. Nie uśmiechał się. Wiedział, kiedy go spotyka klęska.

- To cholera - rzekł do siebie.

- Wczoraj miał trzy butelki - powiedziała madame Fontan, żeby go pocieszyć. Potrząsnął głową.

- Do widzenia - rzekł.

Madame Fontan miała łzy w oczach.

- Do widzenia - powiedziała. Żal jej było Fontana.

- Do zobaczenia - odpowiedzieliśmy.

Wszystkim nam było bardzo przykro. Fontanowie stali w progu; wsiedliśmy do samochodu i zapuściłem motor. Pomachaliśmy im rękami. Stali obok siebie smutnie na ganku. Fontan wydawał się bardzo stary, a madame Fontan miała zmartwioną minę. Pomachała nam ręką, a Fontan wszedł do domu. Skręciliśmy na szosę.

- Tak im było przykro. Fontan był zrozpaczony.

- Powinniśmy byli pojechać do nich wczoraj wieczorem.

- Tak. Trzeba było to zrobić.

Przedostaliśmy się przez miasto na gładką szosę z rzyskami po obu stronach i górami po prawej. Wyglądało tu jak w Hiszpanii, ale to był Wyoming.

- Mam nadzieję, że im się będzie dobrze powodziło.

- Nie będzie - odrzekłem - a Schmidt też nie zostanie prezydentem.

Asfaltowa szosa urwała się. Droga była teraz wyżwirowana; zostawiwszy za sobą dolinę jechaliśmy pod górę między dwoma wzgórzami. Droga zakręcała i zaczynała piąć się coraz wyżej. Ziemia na wzgórzach była czerwona, bożydrzew rósł tu szarymi kępami, i w miarę jak droga podchodziła wyżej, otwierał się widok nad wzgórzami i nad płaszczyzną doliny aż ku górom. Były teraz już dalej i jeszcze bardziej przypominały Hiszpanię. Droga wiała się i znowu pięła pod górę, a przed nami kilka pardw kąpało się w piasku na drodze. Kiedy podjechaliśmy bliżej, zerwały się, trzepocząc szybko skrzydłami, a potem poszybowały długim skosem i siadły na stoku wzgórza poniżej.

- Takie są duże i ładne. Większe od kuropatw europejskich.

- To dobry kraj na la chasse, jak mówi Fontan.

- A jak nie będzie la chasse?

- Wtedy już nie będą żyli.

- Ten chłopiec będzie.

Nie ma żadnej pewności, że będzie - odrzekłem.

- Trzeba było pojechać do nich wczoraj wieczorem.

- O, tak - powiedziałem. - Powinniśmy byli pojechać.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## SZULER, ZAKONNICA I RADIO

Przywieźli ich około północy i potem przez całą noc wszyscy wzdłuż tego korytarza słyszeli Rosjanina.

- Gdzie on jest postrzelony? - zapytał pan Frazer pielęgniarki pełniącej nocny dyżur.
- Zdaje się, że w udo.
- A co z tym drugim?
- O, obawiam się, że umrze.
- Gdzie ma postrzał?
- Dwa razy w brzuch. Znaleźli tylko jedną kulę.

Obaj byli robotnikami pracującymi przy burakach, jeden Meksykaninem, a drugi Rosjaninem, i siedzieli popijając kawę w nocnej restauracji, kiedy ktoś wszedł i zaczął strzelać do Meksykanina. Rosjanin wlaź pod stół i w końcu został trafiony strzałem wymierzonym w Meksykanina, który już leżał na podłodze z dwiema kulami w brzuchu. Tak to opisano w gazetach.

Meksykanin oświadczył policji, że nie ma pojęcia, kto do niego strzelał. Przypuszczał, że to przypadek.

- Przypadek, że tamten dał do pana osiem strzałów i trafił pana dwa razy?
- Si, señor [tak panie] - odrzekł Meksykanin, który nazywał się Cayetano Ruiz.
- Przypadek, że mnie w ogóle trafił, cabron [drań] jeden - powiedział do tłumacza.
- Co on mówi? - zapytał sierżant policji śledczej patrząc nad łóżkiem na tłumacza.
- Mówi, że to przypadek.
- Niech pan mu powie, żeby mówił prawdę, bo pewnie umrze - odparł śledczy.
- Nie - rzekł Cayetano. - Niech pan mu powie, że mi bardzo słabo i że wolalbym tyle nie mówić.

- Powiada, że mówi prawdę - rzekł tłumacz. A potem zwrócił się poufnie do śledczego. - Nie wie, kto go postrzelił. Strzelali do niego z tyłu.

- Tak - odparł sierżant. - To ja rozumiem, tylko dlaczego kule weszły od przodu?
- Może się okręcił - powiedział tłumacz.

- Słuchaj pan - powiedział śledczy potrząsając palcem Cayetanowi prawie przed samym nosem, który sterczał woskowożółty z jego trupiej twarzy o oczach żywych jak u jastrzębia. - Guzik mnie obchodzi, kto do pana strzelał, ale muszę tę rzecz wyjaśnić. Nie chcesz pan, żeby ten, kto pana postrzelił, został ukarany? Proszę mu to powtórzyć - rzekł do tłumacza.

- On chce, żeby pan powiedział, kto pana postrzelił.

- Mandarło al carajo [Niech idzie do cholery] - odparł Cayetano, który był bardzo zmęczony.

- Powiada, że nigdy nie widział tego gościa - rzekł tłumacz. - Przecież panu mówię, że go strzelali w plecy.

- Niech pan zapyta, kto postrzelił Rosjanina.

- Biedny Rosjanin - powiedział Cayetano. - Leżał na podłodze i obejmował głowę rękami. Jak do niego strzelili, zaczął krzyczeć i krzyczy wciąż do tej pory. Biedny Rosjanin.

- Mówi, że ktoś kogo nie zna. Może ten sam, co strzelał do niego.

- Słuchaj pan - powiedział śledczy. - Tu nie Chicago. Pan nie jesteś gangster. Nie musisz pan się zachowywać jak na filmie. Jest całkiem w porządku powiedzieć, kto do pana strzelał. Każdy by powiedział. To zupełnie w porządku. Przypuśćmy, że pan nie powie, co to za jeden, a on zastrzeli kogoś innego? Powiedzmy, że zastrzeli kobietę albo dziecko. Nie można puścić mu tego płazem. Niech pan mu to powtórzy - zwrócił się do pana Frazera. - Nie mam zaufania do tego cholernego tłumacza.

- Ja jestem bardzo solidny - odparł tłumacz. Cayetano spojrzał na pana Frazera.

- Słuchaj, amigo [przyjacielu] - rzekł pan Frazer. - Policjant mówi, że nie jesteśmy w Chicago, tylko w Hailey, stan Montana. Pan nie jest bandytą i to nie ma nic wspólnego z kinem.

- Wierzę mu - powiedział cicho Cayetano. - Ya lo creo.

- Można bez ujemy wskazać napastnika. On mówi, że tutaj każdy to robi. I pyta, co będzie, jeżeli po postrzeleniu pana ten człowiek zastrzeli kobietę albo dziecko?

- Ja nie jestem żonaty - odparł Cayetano.

- On mówi o jakiejkolwiek kobiecie, jakimkolwiek dziecku.

- Tamten nie wariat - powiedział Cayetano.

- Mówi, że pan powinien go wskazać - dokończył pan Frazer.

- Dziękuję panu - rzekł Cayetano. - Pan jest z tych świetnych tłumaczy. Ja mówię po angielsku, ale źle. Rozumiem całkiem dobrze. Jakim sposobem pan złamał sobie nogę?

- Upadek z konia.

- Co za pech. Ogromnie mi przykro. Czy to bardzo boli?

- Teraz już nie. Z początku tak.

- Słuchaj, amigo - zaczął Cayetano. - Jestem bardzo osłabiony. Pan mi wybaczy. Poza tym mam wielkie bóle; dostateczne bóle. Bardzo możliwe, że umrę. Proszę, zabierzcie stąd tego policjanta, bo jestem bardzo zmęczony.

Spróbował obrócić się na bok, ale się zatrzymał.

- Powtórzyłem mu dokładnie wszystko, co pan mówił, a on kazał panu powiedzieć, że naprawdę nie wie, kto go postrzelił, że jest bardzo osłabiony i że chciałby, żeby pan go przesłuchał później - rzekł pan Frazer.

- Później prawdopodobnie nie będzie żył.

- To całkiem możliwe.

- Dlatego chcę go przesłuchać teraz.

- Mówię panu, że ktoś go postrzelił w plecy - odezwał się tłumacz.

- O rany boskie - powiedział sierżant śledczy i schował notes do kieszeni.

Na korytarzu sierżant przystanął razem z tłumaczem obok fotela na kółkach pana Frazera.

- Pewnie pan także myśli, że ktoś mu strzelił w plecy?

- Tak - odrzekł pan Frazer. - Ktoś strzelił mu w plecy. No i co z tego?

- Nie złość się pan - powiedział sierżant. - Szkoda, że nie mówię tym ich narzeczem.

- Czemu pan się nie nauczy?

- Nie musi się pan złościć. Dla mnie to żadna zabawa wypytywać tego smolucha. Gdybym mówił ich językiem, byłoby co innego.

- Nie potrzebuje pan mówić po hiszpańsku - rzekł tłumacz. - Ja jestem bardzo solidnym tłumaczem.

- O rany boskie - powiedział sierżant. - No, to tymczasem. Jeszcze do pana wpadnę.

- Dziękuję. Jestem zawsze na miejscu.

- Ano, chyba tak. Pan rzeczywiście miał pecha.

- Teraz już jest lepiej, odkąd zestawili kość.

- Tak, ale na to trzeba czasu. Długiego czasu.

- Niech pan uważa, żeby ktoś panu nie strzelił w plecy.

- Tak jest - odrzekł. - Tak jest. No, cieszę się, że pan nie jest zły.

- To tymczasem - powiedział pan Frazer.

Pan Frazer przez dłuższy czas nie widział Cayetana, ale siostra Cecylia co rano przynosiła mu o nim wiadomości. Mówiła, że na nic się nie skarży, ale że jest z nim bardzo źle. Ma zapalenie otrzewnej i uważają, że nie wyżyje. "Biedny Cayetano", mówiła. Ma takie piękne race i taką świetną twarz, i nigdy się nie skarży. Odór jest teraz naprawdę okropny. Opowiadała, że Cayetano pokazuje palcem na nos, uśmiecha się i potrząsa głową. Przykro mu z powodu tego odoru. Siostra Cecylia mówiła, że to go krępuje. O, to taki doskonały pacjent. Wciąż się uśmiecha. Nie chciał się wypowiadać księdzu, ale obiecał odmawiać

modlitwy, a odkąd go przywieziono, nie odwiedził go żaden Meksykanin. Rosjanin ma w końcu tygodnia wyjść ze szpitala. "Nigdy nic nie czułam dla tego Rosjanina - mówiła siostra Cecylia. - Biedak, i on też cierpi. Ta kula była natłuszczona i brudna, i rana się zainfekowała, ale on robił tyle wrzasku, a poza tym ja zawsze lubię ciemne typy. Ten Cayetano to musi być ciemny typ, musi naprawdę być zły, całkiem zły, bo taki jest przystojny i delikatnie zbudowany, i nigdy nic nie robił swoimi rękami. On nie pracował przy burakach. Wiem na pewno, że nie pracował przy burakach. Ręce ma gładkie i wcale nie zrogowaciałe. Wiem, że to musi być jakiś ciemny typ. Teraz schodzę na dół pomodlić się za niego. Biedny Cayetano, okropne rzeczy przechodzi i ani piśnie. Dlaczego musieli do niego strzelać? Och, ten biedny Cayetano! Zaraz zejść pomodlić się za niego."

Zeszła zaraz i pomodliła się za niego.

W tym szpitalu radio nie działało zbyt dobrze, dopóki nie zapadł zmrok. Mówiono, iż to dlatego, że w ziemi jest tyle rudy czy też coś tam z górami, ale w każdym razie nie działało dobrze, dopóki na dworze nie zaczęło się ściemniać; natomiast w nocy działało doskonale i kiedy jedna stacja kończyła audycję, można było przesunąć się dalej na zachód i wyszukać następną. Ostatnią, jaką się odbierało, było Seattle w stanie Waszyngton, i kiedy tam przestawali nadawać o czwartej nad ranem, w szpitalu z uwagi na różnicę czasu była piąta rano, a o szóstej mogło się łapać porannych rewelersów z Minneapolis. To także wynikało z różnicy czasu i pan Frazer lubił myśleć o porannych rewelersach przybywających do studia i wyobrażał sobie, jak wyglądają wysiadając z tramwaju przed świtem i niosąc swoje instrumenty. Możliwe, że wcale tak nie było i że zostawiali instrumenty na miejscu, ale zawsze wyobrażał ich sobie z instrumentami. Nigdy nie był w Minneapolis i przypuszczał, że prawdopodobnie nigdy tam nie pojedzie, ale wiedział, jak ono wygląda o takiej wczesnej porze.

Z okna szpitala widać było pole z ruchomymi chwastami sterczącymi ze śniegu i goły gliniasty pagórek. Któregoś rana doktor chciał pokazać panu Frazerowi dwa bażanty na śniegu i kiedy przyciągał łóżko do okna, lampka nocna spadła z żelaznej poręczy łóżka i uderzyła pana Frazera w głowę. Teraz to nie brzmi tak zabawnie, ale wtedy było bardzo zabawne. Wszyscy wyglądali przez okno, a doktor, który był wyśmienitym lekarzem, pokazywał bażanty i ciągnął łóżko do okna i wtedy, jak na komicznym rysunku, pan Frazer został ogłuszony ołowianą podstawką lampy, która trafiła go w ciemność. Wydawało się to antytezą leczenia czy tego, po co ludzie są w szpitalu, i wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne jako coś w rodzaju kpiny z pana Frazera i doktora. W szpitalu wszystko jest znacznie prostsze, z kpinami włącznie.



Z drugiego piętra, jeżeli obróciło się łóżko, widać było miasto i trochę dymu ponad nim, i góry Dawson, które pod zimowym śniegiem wyglądały jak prawdziwe góry. Takie dwa widoki można było oglądać, gdy fotel na kółkach okazał się przedwczesny. Kiedy się jest w szpitalu, naprawdę najlepiej leżeć w łóżku, ponieważ dwa widoki, jeżeli ma się czas je obserwować z pokoju, w którym się reguluje temperaturę, są o wiele lepsze niż dowolna liczba widoków oglądanych przez parę minut z gorących, pustych pokoi, które czekają na kogoś innego albo po prostu są opróżnione, i do których wtaczają człowieka na kółkach. Jeżeli ktoś pozostaje dość długo w jakimś pokoju, widok, jakkolwiek jest, nabiera wielkiej wartości i staje się ogromnie ważny, i nie ma się ochoty go zmieniać nawet na inny kąt widzenia. Tak samo jak w radio są pewne rzeczy, do których człowiek się przywiązuje i chętnie ich słucha, i nie lubi nowych. Tej zimy najlepszymi melodiami były: Zaśpiewaj coś prostego, Śpiewająca dziewczyna i Małe kłamstewka. Pan Frazer uważał, że żadne inne piosenki nie są takie udane. Betty Coed też była dobra, ale parodia słów, która nasuwała się nieuchronnie na myśl panu Frazerowi, stawała się coraz bardziej i bardziej sprośna, a ponieważ nie było nikogo, kto by ją docenił, pan Frazer w końcu to zarzucił i pozwolił piosence powrócić do tematu piłki nożnej.

Około dziewiątej rano włączano aparat rentgenowski, i wtedy radio, które o tej porze odbierało tylko Hailey, stawało się bezużyteczne. Wiele osób mających w Hailey radia protestowało przeciwko aparatowi rentgenowskiemu szpitala, który zakłócał im poranny odbiór, ale nigdy nie podjęto żadnej akcji, chociaż wielu uważało za fatalne, że szpital nie może używać swojej aparatury w takiej porze, kiedy ludzie nie słuchają radia.

Mniej więcej wtedy, kiedy już trzeba było wyłączyć radio, weszła siostra Cecylia.

- Jak Cayetano, siostrze? - zapytał pan Frazer.

- O bardzo źle.

- Nieprzytomny?

- Nie, ale boję się, że umrze.

- A jak siostra się czuje?

- Bardzo się martwię o niego; i czy pan wie, że absolutnie nikt nie przyszedł go odwiedzić? Mógłby umrzeć po prostu jak pies, tyle to obchodzi tych Meksykanów. Oni są naprawdę okropni.

- Nie chciałaby siostra przyjść po południu i posłuchać transmisji z meczu futbolowego?

- O, nie - odparła. - Znadto bym się emocjonowała. Będę się modliła w kaplicy.

- Powinniśmy słyszeć mecz całkiem dobrze - powiedział pan Frazer. - Grają na wybrzeżu, a dzięki różnicy czasu wypadnie to u nas dość późno, żeby mieć dobry odbiór.

- O, nie, nie mogę. Mistrzostwa świata w baseballu o mało mnie nie wykończyły. Kiedy drużyna "Athletics" była w ataku, modliłam się na głos: "O Panie, kieruj ich oczami przy uderzeniach! O Panie, daj, żeby dobrze trafił! Daj mu dobry strzał!" A kiedy doszli do bazy w trzeciej rozgrywce, pamięta pan, to było ponad moje siły. "O Boże, daj mu dobry strzał! O Boże, daj, żeby strzelił gładko przez płotek!" A potem, wie pan, jak "Cardinals" doszli do bazy, to było po prostu okropne. "O Panie, daj, żeby nic nie widzieli! O Panie, żeby nie zobaczyli piłki! O Panie, daj, żeby ich zawodnicy odpadli z gry!" A ten mecz jest jeszcze gorszy. Tam gra drużyna "Notre Dame". Najświętsza Panna. Nie, ja będę w kaplicy. Dla Najświętszej Panny. Oni grają dla Najświętszej Panny. Chciałabym, żeby pan kiedyś napisał coś dla Najświętszej Panny. Mógłby pan to zrobić. Pan wie, że pan by mógł, panie Frazer.

- Nie wiem, co mógłbym o Niej napisać. Na ogół wszystko już zostało napisane. Siostrze nie spodobałyby się mój sposób pisania. I Ona też nie byłaby z niego zadowolona.

- Napisać pan kiedyś o Niej - powiedziała siostra. Wiem, że pan napisze. Musi pan napisać o Naszej Pani.

- Lepiej niech sobie siostra przyjdzie i posłucha meczu.

- To byłoby ponad moje siły. Nie, będę w kaplicy i postaram się robić, co tylko potrafię.

Tego popołudnia nadawano mecz najwyżej od pięciu minut, kiedy do pokoju weszła praktykantka pielęgniarska i powiedziała:

- Siostra Cecylia pyta, jak idzie gra.

- Proszę jej powiedzieć, że już mieli touchdown [W futbolu amerykańskim dotknięcie piłką ziemi poza linią bramki przeciwników.]. Niedługo potem praktykantka zjawiała się znowu.

- Proszę jej powiedzieć, że biją tamtych, jak chcą - rzekł pan Frazer.

Nieco później zadzwonił na pielęgniarkę, która miała dyżur na tym piętrze.

- Czy mogłaby siostra zejść do kaplicy albo posłać siostrze Cecylii wiadomość, że "Notre Dame" prowadzi czternaście do zera po pierwszej ćwierci i że wszystko jest w porządku. Może przestać się modlić.

Po kilku minutach weszła do pokoju siostra Cecylia. Była bardzo podniecona.

- Co to znaczy czternaście do zera? Ja się nie znam na tej grze. W baseballu to jest ładne, solidne prowadzenie. Ale nic się nie znam na piłce nożnej. Może to nic nie znaczy. Zaraz wracam do kaplicy i będę się modliła, dopóki to się nie skończy.

- Już ich pobili - odrzekł Frazer. - Zapewniam siostrę. Proszę tu zostać i słuchać ze mną.

- Nie, nie, nie, nie, nie - powiedziała. - Idę prosto do kaplicy, żeby się modlić.

Pan Frazer posyłał wiadomość za każdym razem, gdy drużyna "Notre Dame" zdobywała punkt, a w końcu, kiedy już od dawna było ciemno, podał ostateczny wynik.

- Jak siostra Cecylia?

- Wszystkie są w kaplicy.

Nazajutrz rano weszła siostra Cecylia. Była bardzo zadowolona i ufna.

- Wiedziałam, że nie mogą pokonać Naszej Pani - powiedziała. - I nie pokonali. A Cayetano też lepiej. O wiele lepiej. Będzie miał gości. Nie może jeszcze zobaczyć się z nimi, ale przyjdą, a to mu poprawi samopoczucie, bo będzie wiedział, że nie jest zapomniany przez swoich. Poszłam do komendy policji zobaczyć się z tym młodym O'Brienem i powiedziałam mu, że musi przysłać jakichś Meksykanów w odwiedziny do biednego Cayetana. Ma ich przysłać dziś po południu. Wtedy ten biedak lepiej się poczuje. To paskudne, że nikt nie przyszedł go odwiedzić.

Tegoż popołudnia około piątej do pokoju weszło trzech Meksykanów.

- Czy można? - zapytał najteższy, który miał grube wargi i był bardzo tłusty.

- Czemu nie? - odrzekł pan Frazer. - Siadajcie, panowie. Napijcie się czegoś?

- Serdeczne dzięki - powiedział gruby.

- Dzięki - powiedział najsmagleszy i najniższy.

- Nie, dzięki - powiedział chudy. - To mi idzie do głowy. - Postukał się w głowę.

Pielegniarka przyniosła kieliszki.

- Może siostra poda mi butelkę - poprosił Frazer. - To jest z Red Lodge - wyjaśnił.

- Z Red Lodge jest najlepsze - rzekł gruby. - O wiele lepsze niż z Big Timber.

- Pewnie - powiedział najniższy. - I więcej kosztuje.

- W Red Lodge jest po różnych cenach - rzekł gruby.

- Ile lamp ma to radio? - zapytał ten, który nie pił.

- Siedem.

- Bardzo piękne - powiedział. - Ile kosztuje?

- Nie wiem - odpowiedział pan Frazer. - Jest wynajęte. Panowie są przyjaciółmi Cayetana?

- Nie - odpowiedział gruby. - Jesteśmy przyjaciółmi tego, co go zranił.  
- Przysłała nas tutaj policja - powiedział najniższy.  
- Mamy mały barek, on i ja - powiedział gruby wskazując tego, co nie pił. - On też ma barek - pokazał niskiego, smagłego. - Policja powiedziała nam, że mamy przyjść, to przyszliśmy.

- Bardzo się z tego cieszą.  
- My również - powiedział gruby.  
- Napijcie się, panowie, jeszcze po kieliszeczku?  
- Czemu nie? - odparł gruby.  
- Za pańskim pozwoleniem - rzekł najniższy.  
- Ja nie - powiedział chudy. - To mi idzie do głowy.  
- Bardzo jest dobre - powiedział najniższy.  
- Dlaczego pan nie spróbuje? - zapytał Frazer chudego. - Niech panu trochę pójdzie do głowy.

- A później głowa boli - powiedział chudy.  
- Nie mogliście przysłać do Cayetana jego przyjaciół? - zapytał Frazer.  
- On nie ma przyjaciół.  
- Każdy ma jakichś przyjaciół.  
- Ten nie.  
- A co on robi?  
- Jest karciarzem.  
- Dobrze gra?  
- Chyba tak.  
- Ode mnie wygrał sto osiemdziesiąt dolarów - powiedział najniższy. - Teraz już nie ma tyle pieniędzy na całym świecie.

- Ode mnie - rzekł chudy - wygrał dwieście jedenaście dolarów. Weźcie pod uwagę tę cyfrę.

- Ja nigdy z nim nie grałem - powiedział tłusty.  
- Musi być bardzo bogaty - zauważył pan Frazer.  
- Biedniejszy jest od nas - powiedział niski Meksykanin. - Nie ma nic oprócz koszuli na grzbiecie.

- A ta koszula jest teraz niewiele warta - rzekł Frazer. - Bo taka podziurawiona.  
- Jasne.  
- Ten, co go zranił, też jest karciarzem?

- Nie, pracuje przy burakach. Musiał wyjechać z miasta.
- Weźcie pod uwagę, że grał na gitarze najlepiej ze wszystkich w tym mieście - powiedział najniższy. - Najlepiej ze wszystkich.
- Co za szkoda!
- Ja myślę - rzekł najtęższy. - Jak on umiał brząkać na tej gitarze!
- I nie ma już żadnego dobrego gitarzysty?
- Ani na lekarstwo.
- Jest jeden grajek na akordeonie, który jest coś wart - rzekł chudy.
- Kilku brząka na różnych instrumentach - powiedział gruby. - Pan lubi muzykę?
- Jakże bym nie lubił?
- Może przyjdziemy któregoś wieczora z muzyką? Myśli pan, że siostra by pozwoliła? Wydaje się bardzo sympatyczna.
- Na pewno pozwoli, kiedy Cayetano będzie mógł posłuchać.
- Czy ona nie jest trochę stuknięta? - zapytał chudy.
- Kto?
- Ta siostra.
- Nie - odparł pan Frazer. - To wspaniała kobieta o wielkiej inteligencji i sercu.
- Nie mam zaufania do wszystkich księży, mnichów i sióstr - powiedział chudy.
- Miał niedobre doświadczenia, kiedy był młodym chłopcem - rzekł najniższy.
- Byłem akolitą - powiedział chudy z dumą. - A teraz w nic nie wierzę. I nie chodzę na mszę.
- Dlaczego? Czy to panu idzie do głowy?
- Nie - odparł chudy. - Do głowy idzie mi alkohol. Religia to opium ubogich.
- Myślałem, że to marihuana jest opium ubogich - powiedział Frazer.
- Pan kiedy palił opium? - zapytał gruby.
- Nie.
- Ani ja - powiedział. - To podobno bardzo niebezpieczne. Jak raz się zacznie, nie można przestać. To nałóg.
- Jak religia - rzekł chudy.
- On jest bardzo cięty na religię - powiedział najniższy Meksykanin.
- Trzeba być na coś bardzo ciętym - powiedział uprzejmie pan Frazer.
- Szanuję tych, co mają wiarę, chociaż są ciemni - powiedział chudy.
- To dobrze - odparł pan Frazer.

- Co możemy panu przynieść? - zapytał gruby Meksykanin. - Może panu brak czegoś?

- Chętnie bym kupił piwa, jeżeli jest gdzieś dobre.

- Przyniesiemy panu piwa.

- Może jeszcze jedną capita, zanim panowie wyjdziecie?

- To bardzo smaczne.

- Okradamy pana.

- Ja nie mogę. To mi idzie do głowy. Potem mam paskudny ból głowy i mdłości.

- Do widzenia panom.

- Do widzenia i dziękujemy.

Wyszli i potem była kolacja, a następnie słuchanie radia nastawionego tak, żeby grało jak najciszej, ale dosłyszalnie, i wreszcie stacje zakończyły audycje w takim porządku: Denver, Salt Lake City, Los Angeles i Seattle. Pan Frazer nie wytworzył sobie na podstawie radia obrazu Denver. Widział Denver tak, jak je przedstawiała gazeta "Denver Post", i korygował ten obraz na podstawie "The Rocky Mountain News". Nie miał też nigdy wyczucia Salt Lake City ani Los Angeles z tego, czego słuchał z tych miast. Domyślał się tylko, że Salt Lake City jest czyste, ale nudne, a znowu za wiele mówiono o salach balowych w za wielu dużych hotelach, żeby mógł zobaczyć Los Angeles. Nie wyczuwał go właśnie przez te sale balowe. Natomiast Seattle poznał w końcu bardzo dobrze, razem z jego przedsiębiorstwem taksówkowym i dużymi białymi taksówkami (każda także wyposażona w radio), którymi jeździł co wieczór na dąsing po stronie kanadyjskiej, i śledził odbywające się tam zabawy według melodii, o które proszono telefonicznie radiostację. Mieszkał w Seattle co noc do drugiej nad ranem, słuchając piosenek, o które prosili różni ludzie, i to było równie rzeczywiste jak Minneapolis, gdzie rewelerski wstawali co rano, ażeby odbyć swoją wędrówkę do studia. Pan Frazer bardzo polubił Seattle w stanie Waszyngton.

Meksykanie przyszedli i przynieśli piwo, ale nie było to dobre piwo. Pan Frazer zobaczył się z nimi, ale nie miał ochoty rozmawiać, i kiedy odeszli, wiedział, że więcej nie przyjdą. Miał nerwy w złym stanie, a nie lubił wtedy widywać się z ludźmi. Nerwy popsuły mu się po pięciu tygodniach i chociaż był zadowolony, że wytrzymały tak długo, to jednak nie chciał być zmuszonym do powtórzenia tego samego eksperymentu, kiedy już znał odpowiedź. Pan Frazer już to wszystko przechodził. Jedyną nową dla niego rzeczą było radio. Grało mu całą noc, nastawione tak cicho, że ledwie je słyszał, i uczył się słuchać go nie myśląc.

Tego dnia siostra Cecylia przyszła do pokoju około dziesiątej rano i przyniosła pocztę. Siostra była bardzo ładna i pan Frazer lubił na nią patrzeć i słuchać co mówi, ale poczta, przychodząca jakby z innego świata, była ważniejsza. Jednakże nie było w niej nic ciekawego.

- Pan o wiele lepiej wygląda - powiedziała siostra Cecylia. - Niedługo pan nas opuści.

- Tak - odrzekł pan Frazer. - Siostra ma dzisiaj bardzo radosną minę.

- O, owszem. Dziś czuję się tak, jak gdybym miała być świętą.

Pana Frazera trochę to zaskoczyło.

- No, tak - ciągnęła. - Bo właśnie tym chcę być. Świętą. Od dziecka chciałam być świętą. Kiedy byłam małą dziewczynką, myślałam sobie, że jeżeli wyrzeknę się świata i pójdę do klasztoru, to zostanę świętą. Chciałam być świętą i myślałam, że to właśnie powinnam zrobić, żeby nią zostać. Spodziewałam się, że nią będę. Byłam tego absolutnie pewna. Przez chwilę zdawało mi się, że już jestem. Byłam taka szczęśliwa i to wydawało się takie proste i łatwe. Kiedy zbudziłam się rano, myślałam, że już jestem świętą, ale nie byłam. I nigdy nią nie zostałam. A tak bym tego chciała. Nie chcę niczego innego, tylko zostać świętą. Nigdy niczego innego nie chciałam. I dzisiaj czuję się tak, jak gdybym mogła nią być. O, mam nadzieję, że będę.

- Będzie siostra. Każdy dostaje to, czego chce. Tak mi zawsze mówiono.

- Teraz już nie wiem. Jak byłam mała, wydawało się to takie proste. Wiedziałam, że będę świętą. Tylko kiedy się przekonałam, że to nie następuje tak od razu, doszłam do wniosku, że trzeba na to czasu. Teraz wydaje mi się to prawie niemożliwe.

- Powiedziałbym, że siostra ma poważną szansę.

- Naprawdę tak pan myśli? Nie, ja nie chcę, żeby mnie tylko pocieszać. Niech pan tego nie robi. Chcę być świętą. Tak bardzo chcę nią być!

- Oczywiście, że siostra będzie - powiedział pan Frazer.

- Nie, pewnie nie. Ale och, gdybym tylko mogła nią zostać! Byłabym zupełnie szczęśliwa.

- Stawiam trzy przeciw jednemu, że siostra zostanie świętą.

- Nie, niech pan mnie nie pociesza. Ale gdybym mogła nią być! Gdybym tylko mogła!

- Jak siostry przyjaciel, Cayetano?

- Przyjdzie do siebie, ale jest sparaliżowany. Jedna z kul trafiła w ten duży nerw, który przechodzi przez udo, i ta noga jest sparaliżowana. Wykryli to dopiero wtedy, kiedy na tyle wydobrzał, że mógł się poruszać.

- Może ten nerw się zregeneruje.

- Modlę się o to - powiedziała siostra Cecylia. - Powinien pan się z nim zobaczyć.

- Nie mam ochoty widzieć się z nikim.

- Przecież pan wie, że chętnie by pan się z nim zobaczył. Mogliby go tu przywieźć w fotelu na kółkach.

- No dobrze.

Przywieźli go; skórę miał przezroczyłą, włosy czarne i wymagające przystrzyżenia, oczy bardzo roześmiane, a zęby brzydkie, kiedy się śmiał.

- Hola, amigo! Que tall [Jak się masz, przyjacielu! No jak tam?]

- Jak pan widzi - odrzekł Frazer. - A pan?

- Żyję i mam sparaliżowaną nogę.

- To źle - powiedział pan Frazer. - Ale nerw może się zregenerować i będzie jak nowy.

- Tak mi powiadają.

- A co z bólami?

- Teraz nie mam. Przez jakiś czas wariowałem od bólu w brzuchu. Myślałem, że sam ten ból mnie zabije.

Siostra Cecylia obserwowała ich uszczęśliwiona.

- Siostra mówi, że pan ani pisnął - rzekł Frazer.

- Tylu tam ludzi na sali - usprawiedliwił się Meksykanin. - A pan ma duże bóle?

- Dość duże. Jasne, że nie takie jak pan. Kiedy pielęgniarka wychodzi, jęczę przez godzinę, dwie. To mnie odpręża. Nerwy mam teraz w złym stanie.

- Ma pan radio. Gdybym ja miał separatkę i radio, jęczałbym i wrzeszczał przez całą noc.

- Wątpię.

- Hombre, si.[ Tak, człowieku, ] To bardzo zdrowo. Ale nie można tego robić przy tylu ludziach.

- Przynajmniej ręce ma pan nadal w porządku - powiedział pan Frazer. - Słyszałem, że tymi rękami zarabia pan na życie.

- I głową - odrzekł stukając się w czoło. - Ale głowa nie tyle warta.

- Byli tu trzej pańscy rodacy.

- Przysłani przez policję, żeby mnie odwiedzić.

- Przynieśli trochę piwa.

- Pewnie było niedobre.



- Niedobre.

- Dzisiaj, też przysłani przez policję, przyszli, żeby mi urządzić serenadę. - Roześmiał się, potem dotknął dłonią brzucha. - Jeszcze nie mogę się śmiać. Jako muzykanci są fatalni.

- A ten, co pana postrzelił?

- Jeszcze jeden dureń. Wygrałem od niego w karty trzydzieści osiem dolarów. Nie ma o co zabijać człowieka.

- Ci trzej mówili, że pan wygrywa dużo pieniędzy.

- Biedniejszy jestem niż ptacy.

- Jak to?

- Bo jestem biednym idealistą. Jestem ofiarą złudzeń. - Roześmiał się, potem wyszczerzył zęby i dotknął brzucha. - Jestem zawodowym karciarzem, ale lubię hazard. Prawdziwy hazard. Mały hazard to szachrajstwo. Do prawdziwego hazardu trzeba mieć szczęście. A ja nie mam szczęścia.

- Nigdy?

- Nigdy. Jestem kompletnie pozbawiony szczęścia. No, niech pan patrzy: ten cabron, który mnie teraz postrzelił. Czy on umie strzelać? Nie. Pierwszy strzał idzie w próżnię. Drugi załapał jakiś biedny Rosjanin. Zdawałoby się, szczęście. I co się dzieje? Strzela mi dwa razy w brzuch. To jest szczęściarz. A ja nie mam szczęścia. Nie potrafiłbym trafić w konia, choćby go trzymał za strzemień. Wszystko szczęście.

- Myślałem, że najpierw postrzelił pana, a potem tego Rosjanina.

- Nie, najpierw Rosjanina, a potem mnie. Gazeta się pomyliła.

- Dlaczego pan do niego nie strzelał?

- Nigdy nie noszę broni. Przy moim szczęściu, gdybym nosił broń, wieszaliby mnie dziesięć razy na rok. Jestem małym karciarzem, nic więcej. - Przerwał, a potem mówił dalej: - Kiedy uzbieram pewną sumę pieniędzy, hazarduję, a jak hazarduję, przegrywam. W grze w kości pasowałem przy trzech tysiącach dolarów, a wysiadałem przy szóstce. Grając dobrymi kośćmi. I to nie raz.

- To po co dalej grać?

- Jeżeli dość długo pożyję, szczęście się odmieni. Teraz już od piętnastu lat mam pecha. Jeżeli kiedyś zacznie mi się szczęścić, będę bogaty. - Wyszczerył zęby. - Ja jestem dobry hazardzista, naprawdę miło by mi było zostać bogatym.

- Czy pan ma pecha do wszystkich gier?

- Do wszystkich i do kobiet. - Uśmiechnął się znowu, pokazując zepsute zęby.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- I co się wtedy robi?

- Gra się pomalutku dalej i czeka, żeby szczęście się odmieniło.

- Ale z kobietami?

- Żaden karciarz nie ma szczęścia do kobiet. Zanadto się koncentruje. Pracuje po nocach. Wtedy, kiedy powinien być z kobietą. Żaden mężczyzna, który pracuje w nocy, nie może utrzymać przy sobie kobiety, jeżeli ta kobieta jest coś warta.

- Pan jest filozof.

- Nie, hombre. Małomiasteczkowy szuler. Jedno małe miasteczko, drugie małe miasteczko, jeszcze jedno, potem duże miasto, a potem znów od początku.

- A potem kula w brzuch.

- To pierwszy raz - odparł. - To się tylko raz zdarzyło.

- Może pana męczę rozmową? - zapytał pan Frazer.

- Nie. To ja pewnie męczę pana.

- A co z nogą?

- Nie bardzo mi jest potrzebna. Mogę mieć nogę albo jej nie mieć. Będę mógł się poruszać.

- Życzę panu szczęścia, szczerze i z całego serca - powiedział pan Frazer.

- Ja również - odrzekł. - I żeby panu ten ból przeszedł.

- Na pewno nie potrwa długo. Już mija. To nieważne.

- Żeby minął prędko.

- Nawzajem.

Tego wieczora Meksykanie grali na akordeonie i innych instrumentach w sali szpitalnej, i było bardzo wesoło, i odgłosy wdechów i wydechów akordeonu, dzwonek, cymbałów i bębna dolatywały korytarzem. W sali leżał jeździec z rodeo, który wypadł z zagrody na arenę w gorące, pyłne popołudnie, na oczach wielkiego tłumu, a teraz, z przetrąconym kręgosłupem, miał uczyć się wyrabiania przedmiotów ze skóry i wyplatania krzeseł, kiedy by na tyle wydobrzył, żeby opuścić szpital. Był też cieśla, który się zwałił na ziemię razem z rusztowaniem i złamał obydwie nogi w kostkach i oba napiętki. Wylądował jak kot, ale bez kociej elastyczności. Można go było na tyle wyleczyć, żeby mógł znowu pracować, ale to wymagało długiego czasu. Był szesnastoletni chłopiec z jakiejś farmy, który miał nogę złamaną i źle zestawioną, tak że trzeba ją było łamać na nowo. Był Cayetano Ruiz, małomiasteczkowy szuler ze sparaliżowaną nogą. Pan Frazer słyszał ich

wszystkich na końcu korytarza śmiejących się i weselących piosenkami granymi przez Meksykanów, których przysłała policja. Meksykanie dobrze się bawili.

Przyszli, ogromnie podnieceni, odwiedzić pana Frazera, i pytali, czy chciałby, żeby mu coś zagrać, i jeszcze dwa razy zjawili się dobrowolnie w nocy, żeby pograć.

Za drugim razem pan Frazer leżał w swoim pokoju przy otwartych drzwiach i słuchał hałaśliwej, kiepskiej muzyki, i nie mógł się powstrzymać od rozmyślań. Kiedy spytali, co by chciał, żeby mu zagrać, poprosił o "Cucarachę", która ma tę złowrogą lekkość i zgrabność tylu melodii, przy których ludzie szli na śmierć. Zegrali ją hałaśliwie i z przejęciem. Melodia, zdaniem pana Frazera, była lepsza niż większość jej podobnych, ale efekt był taki sam.

Pomimo tego wprowadzenia czynnika emocjonalnego, pan Frazer rozmyślał dalej. Zazwyczaj unikał, jak mógł, rozmyślań, z wyjątkiem chwil, kiedy pisał, lecz teraz myślał o tych, którzy grali, i o tym, co powiedział ten niski.

Religia to opium dla ludu. Wierzył w to on, ten mały knajpiarz cierpiący na niestrawność. Tak; i muzyka to także opium dla ludu. Ten, któremu szło do głowy, o tym nie pomyślał. A teraz i ekonomia jest opium dla ludu, razem z patriotyzmem, który jest opium dla ludu we Włoszech i w Niemczech. A co ze stosunkiem płciowym? Czy to też opium dla ludu? Dla niektórych z ludu. Dla niektórych najlepszych z ludu. Ale alkohol jest nieporównanym opium dla ludu, o, wspaniałym opium. Chociaż niektórzy wola radio - jeszcze jedno opium dla ludu, to tanie, którego właśnie używał. A obok tego jest hazard, też niewątpliwie opium dla ludu, jedno z najstarszych. Ambicja jest następnym, wraz z wiarą w każdą nową formę rządzenia. Czego potrzeba, to minimum rządzenia, wciąż coraz mniej rządzenia. Wolność, w którą wierzymy, jest teraz nazwą publikacji wydawanej przez MacFaddena. Wierzymy w nią, chociaż jeszcze nie znaleziono dla niej nowej nazwy. Ale które jest to prawdziwe? Jakie jest rzeczywiste, faktyczne opium dla ludu? Wiedział to doskonale. Zagubiło się gdzieś w tej dobrze oświeconej części jego umysłu, którą wyczuwał wieczorem po dwóch albo więcej kieliszkach, o której wiedział, że jest (a oczywiście wcale jej nie było). Więc cóż to takiego? Wie doskonale. Ale co to? No, oczywiście; chleb to jest opium dla ludu. Czy zapamięta to sobie i czy będzie miało jakiś sens za dnia? Chleb jest opium dla ludu.

- Proszę siostry - odezwał się do pielęgniarki, kiedy weszła do pokoju. - Niech siostra będzie łaskawa przyprowadzić tu tego niskiego, chudego Meksykanina, dobrze?

- Jak się panu podoba? - zapytał Meksykanin z progu.

- Bardzo.

- To pieśń historyczna - powiedział Meksykanin. - To pieśń prawdziwej rewolucji.
  - Panie - rzekł pan Frazer. - Dlaczego lud ma być operowany bez narkozy?
  - Nie rozumiem.
  - Dlaczego nie każde opium dla ludu jest dobre? Co powinno się zrobić z ludem?
  - Powinno się go ocalić od ciemnoty.
  - Niech pan nie mówi bzdur. Wykształcenie to jest opium dla ludu. Powinien pan o tym wiedzieć. Miał pan go trochę.
  - Pan nie wierzy w wykształcenie?
  - Nie - odparł pan Frazer. - W wiedzę, tak.
  - Nie podążam za pańskim rozumowaniem.
  - Często i ja sam nie podążam za nim z przyjemnością.
  - Chce pan jeszcze raz posłuchać "Cucarachy"? - spytał Meksykanin zatroskanym głosem.
  - Tak - odrzekł pan Frazer. - Zagrajcie jeszcze raz "Cucarachę". To lepsze niż radio.
- "Rewolucja - myślał pan Frazer - to nie jest opium. Rewolucja to katharsis, to ekstaza, która może być przedłużona tylko przez tyranię. Wszelkie rodzaje opium są na przedtem i na potem." Myślało mu się dobrze, trochę za dobrze.
- "Teraz już niedługo pójdą - pomyślał - i zabiorą «Cucarachę» ze sobą." Wtedy łyknie sobie coś mocniejszego i puści radio; można nastawić radio tak, że ledwie je słyszeć.

*Przełożył Bronisław Zieliński*

## OJCOWIE I SYNOWIE

Na samym środku głównej ulicy stał znak objazdu, ale ślady samochodów najwidoczniej biegły dalej - tablica mogła być pozostałością robót, które tu kiedyś prowadzono i już ukończono - Nicholas pojechał więc prosto pustą w niedzielę, klinkierową ulicą zatrzymując się na skrzyżowaniach pod światłami, które przestaną migotać w przyszłym roku, gdy je wyłączy elektrownia za niepłacenie rachunków za prąd; i dalej, w cień rozłożystych drzew, które bliskie są sercu, jeśli rosną w rodzinnym miasteczku i jeśli się pod nimi spacerowało, ale wydają się zbyt rozłożyste, odcinają od słońca i wilgotną ścianą zasłaniają domy przed oczami obcego; i dalej - minął ostatnie zabudowania, aż znalazł się na prostej drodze, to opadającej, to biegnącej pod górę, między równiutko ściętymi przekopami w czerwonej glince i drzewami po obu stronach. Choć nie przypominało to jego rodzinnych okolic, przyjemnie mu było tędy jechać i przyglądać się krajobrazowi pełnej jesieni. Zbiory bawełny już ukończono, na poletkach pozostała jeszcze kukurydza poprzetykana pasmami czerwonego sorgo.

Nicholas Adams jechał powoli, obok niego na siedzeniu spał syn. Przejechali już dzisiaj tyle mil, ile powinien był przejechać jednego dnia, wiedział, gdzie zatrzyma się na noc, mógł więc wyszukiwać pola kukurydzy zanieczyszczonej soją czy grochem, śledzić ukształtowanie terenu i położenie zagajników, domów i szłaśosów w stosunku do pól i zarośli. Polował w myślach: oceniał każde poletko pod względem potrzeb ptactwa, wyszukiwał prawdopodobne kryjówki przepiórek i zastanawiał się, gdzie też polecą spłoszone.

Polując na przepiórki nie wolno pchać się między stado a jego stałą kryjówkę; kiedy psy je wypatrzą, kiedy ptaki zerwą się do lotu - ruszą falą ku myśliwemu, jedne poszybują prostopadle ku górze, inne przemkną tuż nad głową, a zbliżając się będą, zda się, rosnać w powietrzu do niesamowitych rozmiarów. Wtedy jest jedno wyjście: obrócić się i dogonić je strzałem, nim złożą skrzydła i stoczą się w dół między gęste poszycie.

Polując w myślach na przepiórki, polując według ojcowskich wskazówek, Nicholas zaczął wspominać ojca. Ilekroć wspominał ojca, to przede wszystkim myślał o jego oczach. Potężna sylwetka, szybkie ruchy, szerokie bary, zakrzywiony sępi nos, broda osłaniająca nieduży podbródek - te szczegóły nie wydawały się ważne. Tylko oczy! - Głęboko osadzone, jakby natura stworzyła specjalną ochronę dla cennego klejnotu, osłonięte silnie zaakcentowanym łukiem brwi. Widziały dalej i spostrzegały szybciej niż jakiegokolwiek inne

ludzkie oczy - były hojnym darem natury. - Ojciec miał wzrok naprawdę równie dobry jak orzeł albo wielkorogi kozioł.

Nicholas stał na przykład z ojcem na brzegu jeziora - a Nicholas też miał wtedy dobre oczy - i ojciec mówił:

- Wciągnęli flagę na maszt.

A Nicholas wpatrywał się w drugi brzeg jeziora i nie widział ani masztu, ani flagi.

- Patrz - mówił ojciec. - Twoja siostra, Dorota. Wciągnęła flagę i idzie teraz ku przystani.

Nicholas widział tylko długą linię brzegu, za nim wysokie drzewa, cypel obejmujący zatokę, wzgórza należące do farmy, białe ściany ich domu między drzewami, ale w żaden sposób nie mógł dostrzec masztu ani przystani. Tylko jasny łuk nadbrzeżnego piasku.

- Spójrz w stronę cypla. Widzisz barany na wzgórzu?

- Aha.

Na szarej zieleni wzgórza rzeczywiście odcinała się biaława plama.

- Mogę je stąd policzyć - mówił ojciec.

Jak wszyscy ludzie, którzy mają jeden ze zmysłów rozwinięty ponad ludzką potrzebę, ojciec był bardzo nerwowy. I oprócz tego był sentymentalny, i jak wszyscy sentymentalni ludzie potrafił okazywać okrucieństwo i obrażać się na cały świat. Nie miał wiele szczęścia, choć nie zasługiwał na takie pomijanie przez los. Zginął w potrzasku, który sam krótko przedtem pomagał zastawiać. A nim zginął wszyscy po kolei w jakiś sposób go w życiu oszukali. Uczuciowi ludzie są tak często oszukiwani.

Nicholas nie mógłby jeszcze napisać historii ojca, chociaż miał zamiar uczynić to w przyszłości. Ale kraina przepiórek kazała mu o nim myśleć. Myśleć o ojcu z tego okresu, kiedy Nicholas był jeszcze małym chłopcem, bardzo wdzięcznym za dwie rzeczy: łowienie ryb i polowanie. O tych dwóch rzeczach ojciec wiedział bardzo dużo, tak jak bardzo mało, na przykład, wiedział o sprawach miłości. I Nicholas bardzo się cieszył z takiej sytuacji - zawsze przecież powinien być ktoś bliski, kto da pierwszą strzelbę lub umożliwi jej posiadanie i nauczy strzelać. No i powinno się mieszkać tam, gdzie jest zwierzyna lub potoki rybne, i trzeba się o tym wszystkim dowiedzieć, co i jak. Teraz mając trzydzieści osiem lat, Nicholas Adams lubi łowić ryby i polować tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wyszedł z ojcem do lasu. Była to pasja jego życia, która nigdy nie osłabła. I przez te wszystkie lata nigdy nie osłabła wdzięczność dla ojca za te dwie rzeczy.

Jeśli zaś idzie o tę drugą sprawę, o której ojciec wiedział tak mało, to przecież w odpowiednią broń wyposażyła człowieka natura, a co o tym trzeba wiedzieć, każdy się

dowie bez specjalnych pouczeń i nie ma znaczenia, gdzie się przy tym mieszka. Nicholas bardzo wyraźnie przypominał sobie jedyne dwie uwagi, jakie ojciec zrobił na ten temat. Pierwszą wtedy, kiedy razem polowali i Nicholas zestrzelił z wysokiej jodły czerwoną wiewiórkę. Wiewiórka spadła i gdy Nicholas chciał ją podnieść, przegryzła mu na wylot kciuk.

- Sodomska zaraza! - krzyknął i trzepnął wiewiórkę łebkiem o pień drzewa. - Spójrz, jak mnie urządziła.

Ojciec spojrział i odparł:

- Wyssij krew i zajodynuj po powrocie do domu.

- Sodomska zaraza - powtórzył Nicholas.

- A ty wiesz, co to jest sodomska zaraza? - spytał ojciec.

- Każdą rzecz można tak nazwać - odparł Nicholas.

- To wtedy, jak człowiek spółkuje ze zwierzętami.

- Po co? - spytał Nicholas.

- Nie wiem - przyznał się ojciec. - To najohydniejsze ze zbroczeń.

Nicholas był przerażony i do głębi poruszony. Przychodziły mu na myśl rozmaite zwierzęta, ale żadne nie wydawało się dość ponętne, bądź odpowiednie do tego celu. Oto cała jego wiedza w sprawach seksualnych, którą mu bezpośrednio przekazał w spadku ojciec, z wyjątkiem jeszcze jednej rozmowy: któregoś ranka Nicholas przeczytał w gazecie, że Enrico Caruso został aresztowany za uwiedzenie.

- Co to jest uwiedzenie?

- Najohydniejsze ze zbroczeń - odparł ojciec.

Wyobrażenia Nicholasa rysowała najprzeróżniejsze obrazy: wielki tenor czyni coś strasznie niesamowitego, dziwnego i najohydniejszego, trzymając w ręku wodze konia, na którym uwodzi w las przepiękną kobietę, taką na przykład, jak Anna Held wymalowana na pudełkach z cygarami. Postanowił sobie, świadomy własnej bezecności, że gdy będzie dostatecznie dorosły, spróbuje uwiedzenia chociażby raz. Ojciec zamknął całą dyskusję na tematy seksualne stwierdzeniem, że masturbacja powoduje ślepotę, chorobę umysłową i śmierć, człowiek zaś, który chodzi z prostytutkami, musi zarazić się najohydniejszymi chorobami wenerycznymi, i że najlepiej trzymać ręce przy sobie i nie pchać się do kobiet.

Z drugiej strony to właśnie ojciec miał parę najlepszych oczu na świecie i Nicholas bardzo go kochał, bardzo długo go kochał. Teraz - wiedząc, jak było naprawdę, nawet wspominając ten najwcześniejszy okres - nie było przyjemnie o tym myśleć. Gdyby to opisał, może pozbyłby się ciężaru. Pozbył się przecież ciężaru w wielu innych wypadkach,

pisząc o tym, co go bolało. Ale na to czas jeszcze, jeszcze żyło zbyt wiele osób, które o wszystkim wiedziały.

Nicholas postanowił więc myśleć o czymś innym. Nie mógł nic poradzić w sprawie ojca; dochodził do tego wniosku już wiele razy. Nie rozplynał mu się jeszcze w pamięci obraz dobrej roboty, jaką popisał się przedsiębiorca pogrzebowy reperując twarz ojca; inne rzeczy też się nie rozplnęły, tkwiły jasno w świadomości; pozostała także odpowiedzialność. Pogratulował wtedy przedsiębiorcy pogrzebowemu. Przedsiębiorca ani nie czuł się dumny, ani nie okazał jawnego zadowolenia. Ale to nie on nadał ojcu ten wyraz twarzy. Przedsiębiorca dokonał tylko kilku zgrabnych reperacji o wątpliwej wartości artystycznej. Wyraz twarzy ojca powstał samoistnie i powstawał przez długi czas. Szybko nabierał zdecydowanych cech w ciągu ostatnich trzech lat. Warto by to opisać, ale żyło jeszcze zbyt wielu ludzi, którzy o tym wiedzieli, i Nicholas nie mógł sobie pozwolić na pisanie.

Wiedzę o wspomnianych już sprawach Nicholas zdobył w jodłowym lesie za obozem indiańskim. Szło się tam ścieżką od chaty pomiędzy drzewami aż do farmy, potem drogą wijącą się poprzez bagna do obozu. Gdybyż tak teraz mógł poczuć pod bosymi stopami ten sam szlak! Więc naprzód miękki materac na pół przegniłych igieł, ciągnący się za chatą jodłowym lasem, gdzie kruszały zwalone pnie, a długie rozszczepione gałęzie zwisały na podobieństwo rohatyn z drzew, w które trafił piorun. Zamiast kładki pień rzucony przez strumień, po drugiej stronie ciemna plama mokradeł, skrajem lasu biegło ogrodzenie - trzeba było przejść górą - dalej szlak był twardy, prowadził w słońcu przez zżęte pola, wśród kęp dziewanny i dzikiego szczawiu, potem skręcał w lewo. Po lewej ręce widać było niepewny grunt ciągnącego się po obu stronach rzeki bagniska, gdzie kryły się siewki. Na rzece świr, pod stodołą świeży, gorący nawóz, na nim zeschył stary nawóz. A potem jeszcze jedno ogrodzenie i ubita rozgrzana ścieżka od stodoły do domu, i rozgrzana piaszczysta droga aż po las, znowu przez rzekę, tylko tym razem mostkiem. Tam rosły trzciny z kitami, które można było umoczyć w nafcie i zapalić idąc na nocny połów ryb.

Później główna droga skręcała w lewo omijając las i pnąc się na "wzgórze. Zostawiało się ją i szło między drzewa gliniastym i zarazem kamienistym szlakiem, gdzie w cieniu konarów panował miły chłód. Szlak został poszerzony na tyle, by można było wywozić jodłową korę, którą odzierali z drzew Indianie. Jodłową korę układano w długie stosy i pokrywano daszkami również z kory, a wielkie, pożółkłe, odarte ze skóry pnie leżały tam, gdzie je ścięto. Pozostawiano pnie w lesie, żeby zgniły, nawet nie odcinano i nie palono czubków. Garbarnia w Boyne City potrzebowała tylko kory, którą w zimie



przewożono po zamrzniętym jeziorze. Każdego roku było mniej lasu, a więcej otwartych, rozgrzanych, porośniętych zielskiem mokradeł bez skrawka cienia.

Ale wtedy było jeszcze dużo lasu, dziewiczego lasu bez poszycia, gdzie smukłe pnie dopiero wysoko w górze miały konary, gdzie szło się po brunatnym, czystym, uginającym się pod stopami dywanie igieł. I było tam chłodno nawet w najgorętszy dzień, i wszyscy troje kładli się pod pniem jodły dwa razy szerszym niż długość łóżka, wysoko między wierzchołkami drzew szumiał wiatr, a chłodne światło padało plamami na ziemię. I Billy powiedział:

- Chcesz mieć Trudy znowu?

- A ty chcesz, Trudy?

- Aha.

- No to chodź pójdziemy.

- Nie, tutaj.

- Ale Billy?...

- Billy nie przeszkadza. On mój brat.

A potem siedzieli wszyscy troje, słuchając, czy nie odezwie się czarna wiewiórka, która skryła się wysoko między gałęziami, tak że nie mogli jej dostrzec. Czekali, by znowu zaświstała, bo świstając potrząśnie kitą i Nicholas strzeli widząc ruch. Miał jednorurkę, dwudziestkę o bardzo długiej lufie, ojciec dawał mu tylko trzy naboje dziennie.

- Suka stara - powiedział Billy. - Ruszyć nie chce.

- Ty strzel, Nick. Przestrasz. Wtedy ona skoczy. Wtedy strzelisz znowu - powiedziała Trudy. Jak na nią, była to długa przemowa.

- Mam tylko dwa naboje - odparł Nicholas.

- Suka stara - powtórzył Billy.

Siedzieli oparci o drzewo, nie odzywali się. Nicholas czuł się wyczerpany i szczęśliwy.

- Eddie mówi, że kiedyś przyjdzie wieczorem spać w łóżku z twoją siostrą, Dorotą.

- Co?

- Mówi tak.

Trudy potwierdziła skinieniem głowy.

- Tylko to mówi.

Eddie był ich starszym przyrodnim bratem. Miał siedemnaście lat.

- Jeśliby Eddie kiedy przyszedł w nocy i tylko spróbował odezwać się do Doroty, to wiecie, co bym zrobił? Zabiłbym go. O tak... - Nicholas prawie nie

Celując pociągnął za spust, robiąc dziurę wielkości dłoni w głowie czy brzuchu tego mieszańca i bękarta Eddie'ego Gilby. - O tak, tak właśnie bym zrobił.

- Lepiej niech on nie przychodzi - zgodziła się Trudy. Włożyła rękę do kieszeni Nicholasa.

- On lepiej niech dobrze uważa - stwierdził Billy.

- On jest taki, co się chwali. - Trudy przeszukiwała wnętrze kieszeni Nicholasa. - Ale ty go nie zabij. Potem straszne kłopoty.

- Zabiję go. Tak, właśnie zabiję - powtórzył Nicholas. Eddie Gilby leżał na ziemi, klatkę piersiową miał przestrzeloną. Nicholas z dumą postawił na nim nogę. - Oskalpuję go - powiedział uszczęśliwiony.

- Nie - zaprotestowała Trudy. - To nieładnie.

- Oskalpuję go i skalp odeślę jego matce.

- Jego matka nie żyje - przypomniała Trudy. - Nie zabijaj go, Nick. Zrób dla mnie i nie zabij.

- A kiedy go oskalpuję, ciało rzucę psom. Billy był bardzo zgnębiony.

- On lepiej niech dobrze uważa - powtórzył ponuro.

- Psy go rozerwą na strzępy - ciągnął Nicholas zachwycony tą perspektywą. Kiedy już oskalpował tego mieszańca-renegata i stojąc przyglądał się z kamienną twarzą, jak go rozszarpują psy, przewrócił się nagle do tyłu, uderzając o drzewo; na szyi czuł mocny ucisk. Trudy dusiła go, przytrzymywała, krzyczała:

- Nie zabij! Nie zabij! Nie zabij! Nie, nie, nie! Nick, Nick, Nick!

- Co ci się znowu stało?

- Nie zabij go.

- Muszę go zabić.

- On jest tylko taki, co się chwali.

- No, dobra - uspokoił się Nicholas. - Nie zabiję go, jeśli nie będzie kręcił się koło domu. Puść mnie.

- To bardzo dobrze - odparła Trudy. - Chcesz teraz co zrobić? Moja chęć jest.

- Jeśli Billy stąd sobie pójdzie. - Nicholas zabił Eddie'ego Gilby, potem darował mu życie, teraz znowu czuł się mężczyzną.

- Billy, idź. I cały czas gdzieś tu czekaj. Idź.

- Sukinsyn - powiedział Billy. - Ja zmęczony tym. Po co tu jesteśmy? Polować czy nie?

- Możesz wziąć moją strzelbę. Jest w niej jeden nabój.

- Biorę. Na pewno trafię taką czarną wiewiórkę.

- Zawołam cię - powiedział Nicholas.

A potem, później, o wiele później, kiedy Billy jeszcze nie wrócił...

- Myślisz, że zrobiliśmy dziecko? - Trudy, pełna radości, złożyła razem brunatne nogi i otarła się o Nicholasa. Nicholas czuł, jakby coś nieuchwytnego ulatywało z niego bardzo daleko w przestrzeń.

- Chyba nie - odparł.

- Zrobiliśmy pewno, nie mów. Usłyszeli strzał.

- Ciekaw jestem, czy Bill coś trafił.

- Nie obchodzi - mruknęła Trudy.

Zza drzew wyszedł Billy. Strzelbę miał zarzuconą na ramię, za przednie łapy trzymał czarną wiewiórkę.

- Patrz - powiedział. - Większa od kota. U was załatwione?

- Gdzieś ją ustrzelił?

- A tam. Najpierw widziałem, że ona skacze.

- Muszę wracać do domu - odezwał się Nicholas.

- Nie - zaprotestowała Trudy.

- Muszę zdążyć na kolację.

- Dobrze.

- Chcecie polować jutro?

- Dobrze.

- Możecie sobie wziąć wiewiórkę.

- Dobrze.

- Wyjść do was po kolacji?

- Nie.

- Jak się czujesz?

- Bardzo dobrze.

- No, to dobrze.

- Daj mi pocałunek w twarz - powiedziała Trudy.

Ściemniało się. Na autostradzie Nicholas przestał już myśleć o ojcu. Koniec dnia nigdy nie skłaniał do myślenia o nim. Koniec dnia zawsze należał wyłącznie do Nicholasa. Nicholas nigdy nie czułby się dobrze nie mając wieczoru dla siebie. Myśl o ojcu powracała na jesieni, wczesną wiosną, kiedy na prerii pojawiały się bekasy albo kiedy Nicholas ujrzał snopy zboża, albo kiedy zobaczył jezioro; albo kiedy spostrzegł konia z wozem, albo kiedy

usłyszał czy widział dzikie gęsi, albo kiedy siedział na czatach polując na kaczki, przypominając sobie, jak to raz orzeł wypadł z kłębiącego się śniegu i rzucił się na brezentowego bałwanka, potem poderwał się bijąc skrzydłami w powietrzu, gdyż pazury zaplątał w brezent. Ojciec pojawiał się nagle koło niego w opuszczonych sadach i na świeżo zaoranych polach, w zagajnikach, wśród pagórków; wtedy, gdy Nicholas szedł po zeschłej trawie, rąbał drzewo albo ciągnął wodę ze studni, koło młynów, przy kadziach z jabłecznikiem, obok zapór wodnych i zawsze przy ogniskach. Miasta, w których mieszkał Nicholas, nie były miastami ojca. Gdy Nicholas skończył piętnaście lat, nic go już z nim nie łączyło.

W zimie ojciec miał oszronioną brodę, a gdy było gorąco, bardzo się pocił. Lubił pracować na farmie w słońcu, ponieważ nie musiał, i lubił pracę fizyczną, czego Nicholas nie znosił. Nicholas kochał ojca, ale nie cierpiał jego zapachu. Raz, kiedy musiał włożyć komplet bielizny, która tak się skurczyła, że była za mała na ojca, zrobiło mu się aż niedobrze. Zdjął bieliznę, przydusił ją dwoma kamieniami w strumieniu i powiedział, że zgubił. A przedtem jeszcze, kiedy ojciec kazał mu ją włożyć, Nicholas powiedział, że nie chce, i wyjaśnił dlaczego, ale ojciec twierdził, że bielizna jest świeżo wyprana. I była wyprana. Gdy Nicholas poprosił, by ojciec ją powąchał, ojciec pociągnął lekko nosem, obrażony i nadal twierdził, że bielizna jest czysta i świeża. Kiedy Nicholas wrócił z rzeki bez bielizny i powiedział, że ją zgubił, dostał lanie za kłamstwo.

Nicholas długo siedział w komórce, drzwi były otwarte, strzelbę naładował i przygotował do strzału. Patrzył przez podwórze na ojca, który na ganku czytał gazetę. Myślał: "Mogę go rozwalić. Zabić." Gniew powoli minął. Głupio mu się trochę zrobiło, że celuje ze strzelby, która mu dał właśnie ojciec. Poszedł potem do obozu Indian, szedł po ciemku, chcąc się pozbyć tego zapachu. Znosił tylko zapach jednej osoby, siostry. Z innymi unikał styczności. Przykre wrażenie mijało, gdy zaczął palić. Dobrze było palić. Dobrze to wpływało na myśliwskiego psa, ale niewiele pomagało człowiekowi.

- Jak to było, tatusiu, kiedyś był małym chłopcem i polowałeś z Indianami.

- A bo ja wiem... - Nicholas spojrzął zaskoczony na syna. Nie zwrócił wcale uwagi, że chłopiec się obudził i siedzi obok. Nicholas czuł się taki samotny, a tu syn był razem z nim. Od jak dawna? - Cały dzień chodziliśmy polując na czarne wiewiórki - powiedział. - Ojciec dawał mi tylko trzy naboje dziennie, bo mówił, że właśnie w ten sposób nauczę się strzelać i że nie jest dobrze, jak mały chłopiec chodzi po lesie i ciągle strzela. Chodziłem z Indianinem, który nazywał się Billy Gilby, i jego siostrą, Trudy. Jednego lata to prawie dzień w dzień wychodziliśmy razem.

- Dziwne imiona jak na Indian. - ' Prawda?
- Powiedz mi, co to byli za Indianie?
- Odzibwajowie, bardzo porządni.
- No, ale jak się czuleś, gdy byłeś z nimi?
- Trudno powiedzieć - odparł Nicholas.

Czy mógł powiedzieć, że Trudy pierwsza dała mu coś, czego nikt inny dotychczas nie potrafił dać mu pełniej? Czy miał opisywać miękkie, brunatne uda, płaski brzuch, twarde małe piersi, ramiona, które potrafiły tak mocno objąć, szybki, chętny język, płaskie oczy, przyjemny smak ust, a potem niewygodnie, blisko, słodko, wilgotnie, cudownie, blisko, jeszcze bliżej, boleśnie, pełnie, do syta, niekończąco się, w nieskończoność, nieskończenie, nagle skończone, wielki ptak płynący cicho jak sowa o zmroku, tylko że to był dzień, w lesie, i igły kłuły w brzuch. I kiedy się szło do obozowiska Indian, gdzie już nikogo nie było, wszystkie puste butelki po lekarstwach i bzykające muchy nie potrafiły oderwać od zapachu traw, zapachu dymu i tego ostatniego zapachu, który przypominał zapach świeżo ociągniętej skórki kuny. Żadne żarty ani żadne stare kobiety nie mogły tego odebrać. Ani żaden chorobliwie słodki zapach, jaki miewają. Ani to, co wreszcie zrobili. Nieważne, jak się skończyło. Zawsze kończy się tak samo. Dawno temu, na zawsze. Tylko że teraz nie zawsze jest dobrze.

I ta druga sprawa: kiedy trafiło się jednego ptaka w locie, trafiało się wszystkie ptaki w locie. Każdy z nich jest inny i każdy leci w innym kierunku, ale podniecenie czuje się to samo i ostatni jest równie dobry jak pierwszy. Za tę naukę Nicholas dziękował ojcu.

- Pewno by ci nie przypadli do gustu - odpowiedział Nicholas synowi. - A może i tak.
- I dziadek też z nimi chodził, kiedy był chłopcem, prawda?
- Tak. Kiedy go pytałem, jacy oni byli, mówił, że miał wśród nich wielu przyjaciół.
- Czy ja też będę kiedy chodził z Indianami?
- Nie wiem - zamyślił się Nicholas. - To zależy od ciebie.
- Ile muszę mieć lat, żeby dostać strzelbę i polować?
- Dwanaście, jeśli zobaczę, że jesteś rozsądny.
- Chciałbym już mieć dwanaście lat.
- Niedługo będziesz miał, czas szybko leci.
- A jaki był dziadek? Zupełnie go nie pamiętam oprócz tego, że dał mi wiatrówkę i amerykańską flagę, kiedy przyjechaliśmy wtedy z Francji. Jaki on był?
- Trudno go opisać. Był wspaniałym myśliwym i najlepszym rybakiem i miał cudowny wzrok.

- Czy był lepszy od ciebie?
- Był lepszym strzelcem, a jego ojciec też był doskonałym strzelcem do lotków.
- Założę się, że nie lepszym od ciebie.
- O tak, był. Strzelał szybko i zawsze trafiał. Nie widziałem lepszego strzelca. Zawsze się martwił, że ja tak źle strzelam.
- Dlaczego nigdy nie pójdziemy pomodlić się na grobie dziadka?
- Mieszkamy w innej części kraju. To daleko stąd.
- We Francji nie byłoby daleko. Jakbyśmy mieszkali we Francji, to byśmy chodzili na grób dziadka. Ale ja uważam, że i tu powinniśmy pójść.
- Kiedyś pójdziemy.
- Mam nadzieję, że nie będziemy mieszkali tak daleko, żebym ja nie mógł pójść i pomodlić się na twoim grobie, kiedy umrzesz.
- Trzeba będzie coś na to poradzić.
- Czy nie uważasz, że powinniśmy być wszyscy pochowani w jakimś dogodnym miejscu? Może we Francji. To byłoby dobrze.
- Ja nie chcę być pochowany we Francji - zaproponował Nicholas.
- No, to możemy wybrać dogodne miejsce w Ameryce. Czy można być pochowanym na farmie?
- Oryginalny pomysł.
- Wtedy mógłbym jadąc na pastwisko zatrzymać się na chwilkę i pomodlić na grobie dziadka. - Jesteś bardzo praktyczny.
- No, bo jest mi przykro, że nigdy nie byłem na jego grobie.
- Będziemy musieli tam pojechać - zdecydował Nicholas. - Tak, słusznie, musimy pojechać.

*Przełożył Jan Zakrzewski*